
3 1761 07038008 4

HISTORYA DWÓCH LAT.



HISTORYA DWÓCH LAT.

1861—1862.

PRZEZ

Z. L. S.

CZĘŚĆ WSTĘPNA.
1856—1860.

TOM I.

W KRAKOWIE.
NAKŁAD I DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1892.

„Ludy nie wtenczas powstają, gdy są najmocniej deptane, lecz przeciwnie wtenczas, gdy gniotące je jarzmo stało się lżejsze“.

(Tocqueville w „L'ancien régime“).



PRZEDMOWA.

Ich schreibe nicht euch zu gefallen,
Ihr sollt was lernen... *(Goethe).*

Przed kilku laty, autor niniejszej pracy wydał czterotomowe dzieło, opisujące ostatnie chwile powstania styczniowego. Powodem, że wziął się do przedmiotu nadzwyczaj bolesnego dla każdego Polaka, do opisania faktu, którego skutki dziś jeszcze w sposób straszliwy na nas się odbijają, była ta okoliczność, że wpadły mu w ręce liczne rękopiśmienne i jedyne w swoim rodzaju dokumenty, stanowiące niegdyś archiwum ostatniego Rządu Narodowego. Zużytkował więc ten materyał i napisał książkę obszerną, która stosunkowo dość względnego doznała przyjęcia u krytyki, zwłaszcza w Zaborze austryjackim.

Pisząc jednak wzmiankowane dzieło, autor musiał robić liczne, mozolne, i w warunkach, w jakich się znajdował, pełne przeszkód i trudów studya. Wiele faktów potrzebowało wyjaśnienia, musiał zatem sięgać w przeszłość, robić poszukiwania i badania wsteczne, tak że powoli w ręku jego

nagromadził się bardzo poważny i ciekawy materyał, dotyczący tak zaczątków fatalnego dla Polski ruchu 1861 i 62 roku, jak i samego powstania zbrojnego w 1863/4 r.

Owocem tej pracy jest niniejsza książka. Autor przyznając w części słuszność tym wszystkim, którzy twierdzą, że powstanie styczniowe jest zanadto bliskim nas faktem, by o nim można należyty sąd wydać, mniema wszelako, że współczesny może do pewnego stopnia najlepiej, najżywiej opisać wypadki, na które patrzał lub w których brał udział. Tylko świadek naoczny, tylko ten, który widział rozgrywający się przed nim dramat, jest w stanie skreślić jego historyą, tętniącą życiem, o tyle o ile wierny jej obraz. Traci może na tem perspektywa historyczna, traci bezstronność akademicka, ale śmiało rzec można, że bezstronność, jeżeli nie jest ideałem niezmiernie rzadko osiąganym w historyi, to bardzo często zmienia się w bezbarwność, suchość i trupią martwotę. Historya o tyle jest wierną, o ile czuć w niej krew żywą i namiętności chwili, boć same te namiętności są także faktem historycznym i bez nich obraz byłby szarą fotografią, bez światła i kolorytu.

A przy tem, jeszcze inne względy, natury, że tak powiemy, społecznej, nakazywały autorowi przedsięwzięcie tej pracy. Dawno już powiedziano, że historya jest mistrzynią życia. Aforyzm ten, w zastosowaniu do nas, ma wielkie i bardzo doniosłe znaczenie. W narodzie, który nie żyje politycznie, który ma zatamowane nieomal wszyst-

kie drogi swego rozwoju przyrodzonego, który głośno i publicznie nie może omawiać swych potrzeb i pragnień, w którym nakoniec wolne i nie kontrolowane pole do działania mogą mieć stronnictwa wywrotu, sama tylko historya może się stać tym drogowskazem, który rozbitą nawę ojczystą doprowadzić jest zdolen do portu. Tam, gdzie najnowsze, a ztąd najbardziej pouczające dzieje, są owocem zakazanym, gdzie młodzież nie wie, co jej ojcowie robili, obowiązkiem niejako obywatelskim jest pisanie historyi wczorajszej, choćby ta historya nie była zupełną, i choćby nosiła na sobie znamiona namiętności czasu.

Tem jest to potrzebniejsze, że u nas jak wszędzie zresztą, znaleźli się ludzie, stanowczo i bezwzględnie potępiający fakt historyczny, dla tego, że nie miał on powodzenia. Oplwano więc powstanie ostatnie, obrzucono je błotem, wywleczono wszystkich jego działaczy pod pręgież opinii narodowej i napiętnowano mianem zdrajców, łotrów i sprzedawczyków. Jeżeli ci, którzy sądzą wypadki dziejowe ze stanowiska ich powodzenia lub niepowodzenia, mają do pewnego stopnia racyą, to jednakże nie wypływa ztąd wcale wniosek, by powstania nasze były dla tego zbrodnią, że się nie udały. Zadanie historyi jest wyższe i podnioślejsze; jej celem jest wskazanie złego, gdzie ono było, ale zarazem przedstawienie dobrej strony faktu: nie należy, nigdy mierzyć wypadków dziejowych miarą mieszczańskiego ideału, że ten jest dobry i rozumny, komu się udało, kto ma powodzenie. Potępianie ryczałtowe po-

wstań, dlatego tylko, że one zostały pokonane, jest poprostu absurdem. Z tego bowiem stanowiska sądząc ludzi i rzeczy, należałoby, bez względu na powodzenie, potępić Szwajcarów, powstających przeciw Habsburgom, Niderlandy porywające się do broni przeciw Filipowi II-mu, Serbów, Bułgarów i Greków, toczących walki uparte z Turkami. Nie w tem błąd leży, żeśmy w ogólności powstawali, nie w tem żeśmy byli słabsi, bo każdy naród powstający przeciw najeźdzcy jego ziemi zawsze jest słabszy, ale w tem, żeśmy po większej części w naszych powstaniach wybierali chwilę nieodpowiednią, żeśmy nie umieli zużytkować wszystkich sił naszych, żeśmy same powstania źle prowadzili. Wykazanie tych wszystkich stron ujemnych i błędów, jest zadaniem historyi; obrzucanie zaś błotem pokonanych, zostawmy „diejatielom“ moskiewskim i junkrom pruskim.

Te to względy powodowały autorem, że zabrał się do pisania tej historyi smutnej i okropnej. W czasach, gdy pewne stronnictwa krótkowidzów, gdy wszelkiego rodzaju poziomi aferzyści i przemysłowcy, narzucili narodowi program wyparcia się czynnej opozycyi przeciw najazdowi i uciskowi, gdy poddawanie karku pod jarzmo kaudyńskie. ustępowanie ze wszystkich nieomal placówek samoistności i odrębności narodowej, uchodzi za patryotyzm, za dobrą służbę ojczyźnie, gdy drobne aspiracye, małoduszne pragnienia, mieszczańsko-kupieckie dążności stają się ideałem bytu narodowego, sądzimy, że książka malująca obraz innych czasów, innych pragnień, opisująca wysoki i je-

dyny w swoim rodzaju nastrój ducha polskiego, może być pożyteczną.

Z tych powodów autor nie wachał się zużytkować materyału, jaki zebrał przez kilka lat mozolnych, nieraz niebezpiecznych, a zawsze kosztownych studyów i poszukiwań. Czytelnik, w ciągu tej pracy, przekona się, że materyał ten był bardzo poważny i autentyczny. Składał on się w większej części z akt urzędowych, licznych korespondencyi i raportów. Jak się do nich autor dostał, kiedyś może opowie. Nie potrzeba zdaje się, dodawać, że wszystko co w tym przedmiocie było drukowane w językach: polskim, francuzkim, niemieckim, i rosyjskim, piszący, z małym bardzo wyjątkiem, może kilku broszur mniejszego znaczenia, których pomimo starań dostać nie mógł, czytał i odpowiednio zużytkował. Czytelnik zresztą łatwo się o tem może przekonać z wykazu źródeł drukowanych, na końcu tej przedmowy pomieszczonego, które autor miał pod ręką.

Niemniej starannie przejrzeliśmy dzienniki współczesne, polskie, rosyjskie i francuzkie, które z wielu względów stanowią materyał nader ważny, choćby w zakresie ustalenia dat chronologicznych. Oprócz tego staraliśmy się zasięgnąć wiadomości ustnych od osób, które, albo w wypadkach ówczesnych brały udział bezpośredni, albo też zajmowały takie stanowiska, że mogły znać wiele i widzieć ukryte, zakulisowe sprężyny niektórych faktów. Jednem słowem robiliśmy wszystko co można było, by praca nasza nosiła na sobie wszędzie i zawsze charakter prawdy i autentyczności.

Źródeł, z których czerpał, autor w tekście nie wymienia, a to dla dwóch powodów. Najprzód dla tego, że materyały rękopiśmienne, na których się w przeważnej części oparł, są dla ogółu nieprzystępne, więc wykazać ich nie może bez narażenia siebie i tych, którzy mu ich udzielili; potem dla tego, że dopiski na końcu tekstu zwiększają koszta nakładu, który w naszych stosunkach czytelniczych, jest znaczny i z trudnością się wraca. Trzeba było dzieło jak najoszczędniej wydać, by nie narazić się na straty. Te powody zmusiły autora do milczenia zkąd brał materyał do swych opisów, tu wszelako zapewnić może, iż nie ma ani jednego faktu, ani jednego twierdzenia w tej książce, któreby nie było prawdziwe.

Tu i owdzie piszący zmuszony był polemizować z autorami dzieł, dotyczących wypadków, będących przedmiotem jego opowiadania. Polemikę tę jednak pomieścił w przypiskach, nie chcąc tekstu przerywać ustępami, mającymi zaledwie pośredni związek z treścią historyi. Autor wszelkiemi siłami starał się unikać polemiki, i jeżeli ją rozpoczyna, to dla udowodnienia albo autentyczności podawanych przez siebie faktów, albo dla ich krytycznego rozjaśnienia.

Książka niniejsza obejmuje dzieje 1861 i 1862 roku. Dzieje te jednak musiały być poprzedzone długim wstępem, obejmującym czas od pokoju paryzkiego. Było to koniecznem dla jasności i zrozumienia smutnych i bolesnych wypadków, którym dzieło to zostało poświęcone.

Czerwiec 1891 r.

SPIS BIBLIOGRAFICZNY

druków i niektórych rękopismów użytych przy pisaniu dzieła niniejszego.

I. DRUKI.

a) polskie.

1. **Błoński Rafał.** *„Stan sprawy narodowej w związku ze sprawą kościoła w latach 1860—61, z wyłożeniem przyczyn upadku powstania, przez .... Kraków, u Friedleina, 1868 r.“* Dziełko to notujemy tylko dla ścisłości bibliograficznej; jako materyał historyczny bowiem, nie przedstawia żadnej prawie wartości.

2. *„Bierni do czynnych, list z prowincyi. Paryż 1862“.* Broszura przygodna, skreślona przez członka stronnictwa białych i przeciwna powstaniu zbrojnemu.

3. *„Dodatek do projektu do prawa względem oczynszowania z urzędu“.*

4. *„Dodatkowe zmiany we wstępie do prawa o oczynszowaniu z urzędu“.*

Oba te numera, drukowane na arkuszach luźnych bez m. i r. są projektami urzędowemi.

5. **Dzwonkowski Władysław.** *„Uwagi w kwestyi włościańskiej, ruskiej i żydowskiej. Paryż 1862“.* Mała broszurka, ze stanowiska stronnictwa ruchu napisana. Jako wyraz opinii chwili zasługuje na uwagę.

6. *„Galicya, czyli rok 1863 i 1864, przez autora „wspomnień kapitana wojsk polskich z r. 1863“. Lipsk. E. Ł. Kasprowicz 1865 r.“* Wśród mnóstwa bredni poetyczno-dramatycznych, znajduje się parę szczegółów do naszego przedmiotu.

7. **Gawarecki Zygmunt.** *„Dzień 8 kwietnia 1861 r. w Warszawie“.* Opis szczegółowy ale bałamutny i nie malujący dobrze strasznych wypadków, pomieszczony był w tygodniku lwowskim

p. t. „Ruch literacki“ w r. 1878. Sądów i podań błędnych jest tu bardzo wiele, dlatego korzystać z tej pracy należy z wielką oględnością,

8. „*Głos powtórny ze strony Bartłomieja Byczkowskiego na replikę w drodze restytucyi Aleksandra hr. Wielopolskiego i innych.* b. m. i r.“ Arkusz luźny, odnosi się do procesu o ordynacyą pińczowską“.

9. „*Głos szlachcica. Paryż 1859 r.*“ Broszura odnosząca się do sprawy włościańskiej na Litwie. Bliższe o niej szczegóły w tekście.

10. „*Głos w przedmiocie wyborów do rad powiatowych w Królestwie Polskiem r. 1861. Poznań, Żupański*“. Sam tytuł mówi o treści broszury przygodnej i niewielkiego znaczenia.

11. „*Głos z Paryża i Genui*“. Ultra czerwone przygodne pisemka. Znamy tylko dwa numera, jeden z Listopada, drugi z Grudnia 1861 r. Czy wyszło więcej, nie wiemy.

12. „*Głos kapłana Polskiego W drukarni tajemnej w Warszawie*“. Rodzaj czasopisma, które poczęło się okazywać w nieregularnych odstępach czasu w Lipcu 1862 r. Bliższe szczegóły w tekście.

13. **Giller Agaton.** „*Historya powstania narodu polskiego w 1861—1864 r. przez .... wydanie drugie. Paryż, księgarnia luksemburska 1867*“. Tomów cztery. Właściwie do przedmiotu nas zajmującego, potrzebne są tylko dwa pierwsze tomy, zawierające szereg sprawozdań krytycznych z różnych dzieł i broszur, jakie do r. 1867 ukazały się o powstaniu Styczniowem. W sprawozdaniach tych, tu i owdzie autor pomieścił luźne uwagi lub poprawki, mające dużą wartość, jako pochodzące od człowieka, który brał udział bezpośredni w ruchu. Na końcu obu tomów, pomieszczonych jest kilkadziesiąt dokumentów, dziś niezmiernie rzadkich, nadających wielką wagę pracy Gillera.

14. Tegoż „*Aleksander hr. Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski, przez A. G. Przedruk z Gazety Narodowej. Lwów 1878 r.*“ Jest to broszura niewielka, napisana z powodu śmierci Wielopolskiego. Autor, należący do stronnictwa rewolucyjnego, stanowczo potępia Wielopolskiego i widzi w nim jedną z przyczyn nieudania się ruchu. Dla tego powodu, jak również dla licznych niedokładności i błędnych informacyi, broszury tej należy używać bardzo ostrożnie, choć stanowi ona ważny dokument, dając nam w formie jasnej i wyraźnej poglądy i opinie ówczesnego stronnictwa ruchu.

15. Tegoż „*Dzieje Delegacyi warszawskiej w 1861 r. Ustęp z pracy niedrukowanej*“. Rzecz ta znajduje się w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania 1863/4. Tom wstępny. Lwów

1888 r.“ Autor zaczyna od pierwszych manifestacyi 1860 r. i kończy na rozwiązaniu Delegacyi warszawskiej. Praca to nadzwyczaj mętna, bez ładu i składu pisana, zdradzająca w autorze brak głębszego zmysłu historycznego i jasnego zdania sobie sprawy z przedmiotu, który opisuje. Jako surowy jednak, choć nadzwyczaj stronny materyał, ma swoją wartość.

16. Tegoż „*Karol Ruprecht, szkic biograficzny. Lwów 18* “. W tonie panegirycznym trzymane, pozbawione jednak ścisłych dat i faktów, opisanie życia Ruprechta, jednego z czynniejszych i wybitniejszych członków ruchu. Jako materyał historyczny bardzo małej wartości.

17. **Górski Ludwik.** „*Andrzej Zamoyski*“, praca pomieszczona w czasopiśmie warszawskiem „Niwa“ z r. 1879. Autor, jeden z wybitniejszych członków stronnictwa Klemensowczyków, podaje mnóstwo interesujących i autentycznych szczegółów, jakkolwiek jest bezwzględnym wielbicielem tak samego Zamoyskiego, jak i jego programu. Bądź co bądź, rozprawkę tę, niewielką co do objętości, ale nader treściwą i wysokiej wartości literackiej, uważać należy za jedno z najlepszych źródeł, tak co do charakterystyki Zamoyskiego, jak i komitetu Towarzystwa rolniczego.

18. **Epsilon.** „*Żywot i czyny Wielopolskiego podług najnowszych badań, opisał .... Poznań 1879*“. Nieznany autor na 62 stronicach nie podaje wprawdzie nic nowego, ale kreśli zato treściwą i wyborną charakterystykę Wielopolskiego.

19. **Haller Cezary.** „*A. Z. Helcel w Warszawie*“. (Przegląd polski z r. 1883). Kilka ciekawych szczegółów do wypadków przed i po 8 Kwietnia 1861 r.

20. „*Historya powstania narodu polskiego 1863 i 1864 r. Tom I i II. Lwów 1882*“. Dzieło bezimienne, powstałe z odczytów, jakie autor miał o powstaniu, ale pobieżne i w wielu razach powierzchowne. Rzecz jest traktowana ze stanowiska rewolucyjnego. Autor widocznie brał w ruchu udział czynny, gdyż tu i owdzie podaje szczegóły, zdradzające, że są z własnej obserwacyi zaczerpnięte. Jakkolwiek dzieło to ma charakter fejletonowy, dziennikarski, przecież jako materyał, w badaniach nad historyą ruchu 1861/5, pominiętem być nie może. Do naszego przedmiotu potrzebnym jest tylko tom pierwszy.

21. **Jastrzębczyk Juliusz.** „*Krzyżowy charakter ruchu polskiego i trzy charakterystyki, przez .... Nakład autora. Lwów 1864*“. Niewielka broszurka, zawierająca życiorysy ks. Fijałkowskiego, Białobrzeskiego i Felińskiego. Autor doskonale wtajemniczony w przebieg ówczesnych spraw kościelnych, daje kilka interesujących i ważnych szczegółów. Ton broszury jest rewolucyjno-mistyczny.

22. **Jeziorański Antoni** (jenerał). *„Pamiętniki .... powstanie 1863. Lwów 1880“*. Tomów trzy. Jest to opis przygód dość głośnego dowódcy w powstaniu 1863 r. Autor rozpoczyna swą rzecz od chwili powrotu do kraju z mocy amnestyi 1856 r. i w formie zaniedbanej i nieudolnej opowiada w pierwszych siedmiu rozdziałach, czasy manifestacyi politycznych. Opowiadanie jest nader pobieżne i poplątane. Autorowi nie zawsze dopisywała pamięć i nie zawsze umiał sobie zdać sprawę z rzeczy widzianych, ztąd podania jego należy brać z wielką ostrożnością.

23. **Kaczkowski Zygmunt.** *„Rewolucyjne sądy i wyroki, rzecz osobista przedstawiona przez .... Paryż i Wiedeń 1866“*. Znakomity powieściopisarz broni się tu przeciw niesłusznym oskarżeniom, jakie nań rzuciło w r. 1863 stronnictwo ruchu. Dla naszego przedmiotu ważną jest tylko wiadomość o założeniu i upadku dziennika „Głos“ we Lwowie w r. 1861.

24. *„Kilka rysów z żywota Katarzyny jenerałowej Sowińskiej. Kraków 1883“*. Mała broszurka zawierająca biografią i opis manifestacyi na pogrzebie Sowińskiej.

25. *„Kilka słów w sprawie modlińskiej. Poznań 1861 r.“* Jest to opis procesu 86 osób, uwięzionych d. 8 Kwietnia 1861 r. na placu Zamkowym i obrona sędziów, którzy osoby te uwolnili. Materyał ważny.

26. **Klaczko Juliusz.** *„Katechizm nierycerski, ojcom i matkom młodego pokolenia. Paryż 1859“*. Ognisty pamflet przeciw Mierosławskiemu, skreślony ze stanowiska partyi arystokratyczno-szlacheckiej. Rzuca dużo światła na ówczesne prądy umysłowe w emigracyi polskiej. Wartość literacka wysoka.

27. **Kolumna Zygmunt.** *„Pamiątka dla rodzin polskich. Krótkie wiadomości o straconych na rusztowaniach, rozstrzelanych, poległych i zmarłych na wygnaniu syberyjskiem i tułactwie, ofiar z 1861—1866 r. ze źródeł urzędowych, dzienników, jak niemniej z ustnych podań osób wiarogodnych i towarzyszów broni, zebrał i ułożył .... z wstępem skreślonym przez Bolesławitę. Kraków 1867 r.“* Gruby tom, wraz z dodatkiem wyszłym w r. 1868. Jest to spis alfabetyczny różnych osób, padłych ofiarą wypadków, ale pełen błędów. Należy użytkować z niego z wielką ostrożnością.

28. **Lelewel Joachim.** *„Sprawa żydowska w r. 1859, w liście do Ludwika Merzbacha przez .... rozważona. Poznań 1860“*. Są to uwagi znakomitego historyka nad zatargami redaktora „Gazety Warszawskiej“ z żydami. W broszurze tej wypowiedziana jest, bodaj czy nie po raz pierwszy myśl uznawania żydów za „Polaków mojżeszowego wyznania“. Okoliczność ta nadaje małej tej książeczce znaczenie bardzo duże.

29. **Lisicki Henryk.** „*Aleksander Wielopolski, przez .... Kraków 1879*". Tomów cztery. W pierwszym tomie jest życiorys margrabiego, w drugim i trzecim dokumenty. Tom czwarty całkiem do naszego przedmiotu nie należy. Praca skreślona dzielnem acz namiętnem piórem, oparta na dokumentach nieznanych, ofiarowanych autorowi przez rodzinę po śmierci margrabiego, wartości wysokiej jako dzieło sztuki, jako biografia, ale jako historya nadzwyczaj stronna i zakrawająca na panegiryk. Autor uległ wadzie, wspólnej wszystkim biografom, że bohatera swego zrobił człowiekiem idealnym, ale tak idealnym, że nie widać w nim krwi i kości istoty żywej. Z tego też powodu wszystką winę za nieszczęścia narodowe, autor zwala wyłącznie na stronnictwo ruchu, kiedy niestety! historya bezstronna przyznać jest zmuszona, że lwia część tej winy spada także na Wielopolskiego. W tekście, na miejscach właściwych, wykazujemy usterki autora, tu nadmienimy tylko, że pomimo wszystkiego, dzieło Lisickiego ma wysoką wartość historyczną, której znaczenie podnoszą dwa tomy dokumentów, w większej części nieznanych, lub przedrukowanych z rzadkich pism.

30. „*Literacki i polityczny spadek po A. Wielopolskim, Poznań 1880*". Broszura niepospolitej wartości literackiej, zdradzająca pióro wytrawne, umysł głęboki i krytyczny, wykształcony na najlepszych wzorach politycznych, ale zabarwiona pewnem bezwzględnem uwielbieniem dla margrabiego. Rzecz zresztą okolicznościowa, napisana zaraz po zgonie Wielopolskiego, bez której jednak przy studyach nad wypadkami 1861/2 r. żaden historyk obejść się nie może.

31. „*Litwa przed r. 1863*" — rozprawa pomieszczona w dziele „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania 1863/4. Tom wstępny". Autor opisuje położenie Litwy w 1861/2 r. oraz sprawę usamowolnienia włościan. Praca pobieżna, mętna, sucho traktowana i ze stanowiska wyłączności szlacheckiej.

32. **Lubliner O. Ludwik.** „*Obrona żydów zamieszkałych w krajach polskich od niesłusznych zarzutów i fałszywych oskarżeń. Bruksella, Grudzień 1858*". Do historyi podnoszącej się w tej dobie kwestyi żydowskiej, rzecz ważna. Autor broni żydów przeciw napaściom niektórych pism polskich i gorąco swych współwyznawców zachęca do zlania się z narodem polskim.

33. Tenże „*Napaść pana Lesznowskiego na Polaków wyznania mojżeszowego. Bruksella 1859 r.*"

34. Tenże „*Zatargi pana Lesznowskiego, redaktora „Gazety Warszawskiej" z żydami polskimi. Bruksella 15. Marca 1859*". Obie wymienione broszury zdradzają przez tytuł swą treść i mają znaczenie jako wyraz prądów i opinii chwili.

35. *„Margrabia Wielopolski i reformy rządu rosyjskiego w Królestwie Polskiem. Poznań 1863“*. Broszura przygodna, napisana z wielkim talentem publicystycznym, ale jako materyał historyczny małej wartości.

36. **Mazurkiewicz W.** *„Emigracya polska w r. 1862. Paryż 1862“*. Jest to jedna z broszur, których takie mnóstwo w tej epoce gorącej się ukazywało. Materyał historyczny bardzo mały i wątpliwej autentyczności.

36. **Montalembert hr.** *„Naród w żałobie. Tłumaczył ks. Prusinowski. Grodzisk 1861“*. Broszura pełna wykrzykników patetycznych, napisana przez znanego autora francuzkiego, który w lecie 1861 r. zwiedzał niektóre części Polski i unosił się nad żałobą powszechną w kraju. Notujemy ją tutaj tylko dla ścisłości bibliograficznej.

38. **Niegolewski.** *„Dwie interpelacye posła pleszewskiego na posiedzeniu izby poselskiej sejmu pruskiego dnia 11 Kwietnia 1859 i 12 Maja 1860 r. wedle sprawozdań stenograficznych. Poznań 1860 r.“* Są to znane interpelacye w parlamencie Berlińskim w sprawie Baerensprungu. Ważne jako dokument historyczny.

39. *„Narada prawników względem restytucyi na integrum w sprawie o ordynacyą Myszkowską“*.

40. *„Odpowiedź ze strony Bartłomieja Byczkowskiego na otwory* (sic) *do restytucyi w sprawie Aleksandra Wielopolskiego, oraz innych członków jego familii przeciwko Józefowi margr. Myszkowskiemu“*.

41. *„Odpowiedź ze strony Bartłomieja Byczkowskiego na skargę restytucyjną Aleksandra, Wincentego, Jana Kantego, Adama i Pawła hr. Wielopolskich“*. Trzy powyższe druki dotyczące procesu o Ordynacyą Myszkowskich, mają tylko pośrednie znaczenie dla naszego przedmiotu.

42. *„Ostatnie chwile Joachima Lelewela. Wydanie trzecie. Poznań 1863 r.“* Opis choroby, śmierci i pogrzebu znakomitego historyka, z dołączeniem mów, wygloszonych nad grobem. Broszurka bezpretensionalna ale cenna jako materyał.

43. *„Polska w r. 1859. Paryż 1860“*. Sprawozdanie roczne, skreślone dzielnem' piórem, jak się zdaje Juliana Klaczki.

44. **Prawdzicki Stefan** (pseudonim). *„Wspomnienie o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim, arcybiskupie metropolicie warszawskim, napisał.... Kraków 1866 r.“*. Rzecz trzymana w tonie kaznodziejskim, jako jednak dzieło księdza, który miał sposobność znać i widzieć wiele spraw zakulisowych, rozgrywających się około arcybiskupa, niezmiernie dla naszego przedmiotu ważne. Nie pozbawione jest ono atoli licznych błędów, jak np. pobyt arcybiskupa w Gatczynie jest całkiem fałszywie przedstawiony.

W tekście we właściwem miejscu fałsze te i niedokładności wytykamy.

45. *„Protokół ogólny, dotyczący projektu o żydach w Królestwie Polskiem“.*

46. *„Protokół ogólny, dotyczący projektu do prawa względem oczynszowania“.* Dwa urzędowe druki, na arkuszach osobnych, bez daty i miejsca.

47. *Protokóły posiedzeń Delegacyi warszawskiej od d. 6 Marca do 23 Marca 1861 r.“.* Pięć arkuszy in folio protokólów litografowanych. Jako materyał ma znaczenie pierwszorzędne dla naszej pracy.

48. **Radomiński Józef.** *„Kronika wypadków miasta Warszawy od 1861 do 1863 r.“*, wydrukowana w „Kalendarzu polskim na r. 1866“ w Bendlikowie. Ważny choć suchy i często błędny spis kronikarski wypadków.

49. *„Replika w sprawie Szanieckiego przeciwko hr. Wielopolskiemu“* odnosi się do procesu o ordynacyą Myszkowską.

50. *„Ruch polski w r. 1861. Lipsk 1862“.* Jest to broszura, napisana z natchnienia Wielopolskiego, jak wieść niesie przez Miniszewskiego z tendencyą antirewolucyjną. Ma tylko wagę jako wyraz pragnień i aspiracyi stronnictwa margrabiego.

51. *„Rzut oka na rozwój polityczny i społeczny w Królestwie Polskiem od 1831 do naszych czasów. Sprawa polska w r. 1862. Lipsk 1862“.* Broszura przygodnie, podobnie jak poprzednia, pochodząca z natchnienia Wielopolskiego i z tego względu zasługująca na uwagę.

52. **Skarbek Fryderyk hr.** *„Dzieje Polski — Poznań 1879 r.“.* Do naszego przedmiotu potrzebny jest tom trzeci. Opis jest pobieżny i nic nowego w sobie nie zawiera, choć autor ze swego stanowiska mógl o wielu rzeczach wiedzieć.

53. **Skrzyński St.** *„Andrzej Zamoyski i jego program polityczny. Kraków 1883“.* Mała broszurka w tonie panegirycznym skreślona, bez żadnej prawie wartości.

54. *„Skarga Maryanny z hr. Wielopolskich, przeciwko: 1) Aleksandrowi hr. Wielopolskiemu, 2) Józefowi hr. Wielopolskiemu, 3) spadkobiercom Elżbiety z hr. Wielopolskich. Warszawa 1862 r.“.* Brzydki proces rodzinny, toczący się gdy margrabia był już Naczelnikiem rządu cywilnego, rzucający jaskrawe światło na jego charakter.

55. *„Sprawa Polski w parlamencie angielskim“* b. m. i r. sprawozdanie z posiedzeń izby wyższej w Maju 1861 r. Jest to odbitka z „Gazety narodowej“ lwowskiej.

56. *„Sprawa Polski w r. 1861. List z kraju. Wydanie drugie. Paryż 1862“.* Bardzo czytana w swoim czasie broszura,

zastanawiająca się z punktu widzenia rewolucyjnego nad położeniem kraju.

57. *„Suum cuique. Kilka słów z powodu niektórych ustępów dzieła p. t. „Aleksander Wielopolski". Drezno 1878"*. Maleńka broszura, która się wcale w handlu księgarskim nie ukazała, pióra Karnickiego. Dla historyi reform materyał pierwszorzędnego znaczenia. Autor, jak wszyscy zresztą ludzie, odgrywający jaką rolę historyczną, przypisuje sobie głównie wyjednanie reform marcowych. We właściwem miejscu rzecz tę szczegółowo rozbieramy.

58. **Szaniecki Jan Olrych.** *„Rekurs ze strony..... przeciwko hr. Wielopolskiemu"*. Druk odnoszący się do procesu o ordynacyą Myszkowską.

59. Tenże: *„Historya, prawa i dowody własności dziedzicznej tej części dóbr, która z fideikomisu margrabiów Myszkowskich rozsprzedaną została. Z oryginalnych dokumentów, ustaw krajowych i wszelkich innych źródeł zebrana przez..... radcę województwa krakowskiego, nabywcę najznaczniejszej części dóbr rzeczonych, i ekspromitenta wszystkich długów wogóle, tak hipotecznych całego fideikomisu, jako i osobistych JW. J. N. hr. Wielopolskiego, margrabiego z Gonzagów Myszkowskiego. Warszawa 1820 r."*. Rzadka bardzo książka, do sprawy o ordynacyą Myszkowską znaczenia pierwszorzędnego.

60. Tenże *„Odpowiedź na rozbiór. Warszawa 1825 r."*. Zjadliwa i cięta polemika z Aleksandrem Wielopolskim z powodu procesu o rzeczoną ordynacyą.

61. **Tarnowski Stanisław hr.** *„Waleryan Kalinka"*, życiorys pomieszczony w „Przeglądzie Polskim" z r. 1888, zawiera nieco szczegółów, mających związek pośredni z zajmującym nas przedmiotem.

62. *„Wiadomości z kraju z lat 1861/2. Lipsk 1863"*. Jest to zbiór różnych dokumentów z r. 1861, ogłoszeń, wyciągów z gazet, dość niesystematycznie zebrany i nie kompletny. Największą wartość mają wyciągi z ówczesnych pism rewolucyjnych rosyjskich, które są bardzo rzadkie.

63. **Wielopolski hr. Aleksander.** *„Replika ze strony..., w sprawie o uznanie za nieważne umów, zmniejszających ordynacyą Myszkowskich z 12 kluczów na 3 klucze"*. Druk in folio bez miejsca i roku. Znaczenie jego dla naszej pracy sam tytuł określa.

64. Tenże: *„Wywód ze strony..... w sprawie o uznanie za nieważne umów, zmniejszających ordynacyą Myszkowską z 12 kluczów na 3 klucze"*.

65. Tenże: *„Rozbiór pisma mającego tytuł: historya, prawa i dowody własności dziedzicznej tej części dóbr i. t. d. Kraków*

1824". Jest to zjadliwa polemika z dziełem Szanieckiego, zaznaczonem w naszym spisie pod Nr. 59.

66. Tenże: „*Myśli i uwagi*". („Kronika rodzinna" Nr 10 z r. 1878). Jest to zbiór aforyzmów, drukowanych pierwotnie w „Kwartalniku naukowym", wydawanym w Krakowie przez Helcla w r. 1835/6. Do charakterystyki margrabiego dokument ważny, jakkolwiek znaczenie jego i doniosłość zbyt przesadzono.

67. Tenże: „*Biblioteka ordynacyi Myszkowskiej. Kraków 1859 r.*". Zawiera polemikę margrabiego o zapis Świdzińskiego.

68. Tenże: „*Zapis Świdzińskiego. Warszawa 1859r.*". Są tu mowy margrabiego, wygłoszone w sądzie apelacyjnym i senacie z powodu procesu o zapis Świdzińskiego oraz polemika z przeciwnikami.

69. **Wielopolski hr. Zygmunt.** „*List otwarty..... do Stanisława hr. Tarnowskiego. Kraków 188* ". Jest to odpowiedź na uwagi krytyczne, jakie hr. Tarnowski napisał o dziele Lisickiego. Pozatem znajduje się tu kilka interesujących szczegółów, odnoszących się do naszego przedmiotu.

70. „*Wydawnictwo materyałów do historyi powstania 1863 — 1864. Lwów 1888*". Dotąd (do r. 1890) wyszło dwa tomy. Do naszego przedmiotu potrzebny jest tylko tom wstępny. Zawiera on „słowo wstępne", czyli ogólny rzut oka na ruch przedpowstańczy i samo powstanie. Jest tu parę szczegółów wątpliwej autentyczności; dalej „Litwa przed r. 1863" i „Dzieje delegacyi warszawskiej w 1861 r. przez A. Gillera" o których to pracach we właściwem miejscu mówimy. W dziale dokumentów, pomieszczonych w tym tomie, niema ani jednego, któryby nie był kilkakrotnie przedrukowany i znany powszechnie.

71. „*Wyrok sądu apelacyjnego w sprawie o margrabstwo Myszkowskie w d. 2, 3, 4, 9, 10, 11, 14, 15, 16, 17 i 21 Grudnia 1829 r. zapadły*".

72. „*Wyrok sądu najwyższej instancyi r. 1836 w sprawie ordynacyi Myszkowskich zapadły*". Oba druki mówią o swej treści. [1]).

---

[1]) W spisie powyższym nie pomieściliśmy kilkunastu małego znaczenia broszur, oraz mogliśmy to i owo pominąć przez przeoczenie, w tekście jednak, tam gdzie należy, o dziele takiem, jeżeli ono co ważnego zawiera, wspominamy. Prócz tego nie wymieniamy tu, nie chcąc zbyt rozszerzać ram rzeczonego spisu, licznych odezw, proklamacyi i druków ulotnych rewolucyjnych, zwłaszcza, że o nich w tekście mówimy, lub je nawet *in extenso* przytaczamy. Nie podajemy tu także ukazów, rozporządzeń rządowych i ustaw, które znaleść można w gazetach ówczesnych, lub w „Dzienniku praw Królestwa polskiego".

b) rosyjskie.

73. **Andrejewskij J. E.** „*Kniaż Aleksander Arkadiewicz Suworow*“ (czasowismo· „Russkaja Starina“ z r. 1882). W rozdziale V, znajdują się interesujące szczegóły o zaburzeniach studentów uniwersytetu petersburskiego w r. 1861.

74. **Arseniew J. A.** „*Warszawa w 1861 godu — iz pamiatnoj knižki*“. Autor wezwany był w maju 1861 r. przez Gorczakowa do Warszawy, dla pisania korespondencyi o wypadkach do gazet rosyjskich i zagranicznych. Jakkolwiek jednak patrzał na wiele rzeczy własnemi oczami i miał przystęp do źródeł urzędowych, nie umiał jednak, lub nie chciał może, z nich należycie korzystać. Rzecz jest pobieżna, szczegółów nowych nie wiele, zaprawionych stronniczością nizkiego pokroju „diejatiela“. Pamiętnik ten drukowany był w miesięczniku „Istoriczeskij Wiestnik“ z r. 1886.

75. Tenże: „*Iz proszłago. Warszawskij archiepiskop Feliński j .otrywok iz pamiatnoj knižki*“. Krótka i parcyalna charakterystyka Felińskiego, drukowana w „Istoriczeskim Wiestniku“ z r. 1886.

76. Tenże: „*Wospominania*“ („Istoriczeskij Wiestnik“ z r. 1887). W rozdziale XIV znajduje się charakterystyka Chrulewa i Lamberta.

77. **Berg Nikołaj W.** „*Zapiski..... o polskich zagoworach i wozstaniach 1831 — 1862 izdanie „Russkago Archiwa“ Moskwa 1873*“. Bardzo cenne dzieło, pisane z możliwą u Rosyanina bezstronnością, obejmuje czas od upadku powstania 1831 r. aż do wyjazdu z Warszawy Lamberta. W przeważnej części oparte na źródłach archiwalnych, do których Berg, jako lektor uniwersytetu warszawskiego i urzędowy niejako historyk ostatniego powstania, miał jeszcze przez namiestnika Berga i Jenerał-gubernatora Kotzebuego, udzielony przystęp. Mimo to niewolne od usterek i błędów, a częstokroć zupełnie fałszywych podań. Dalszy ciąg tej pracy znajduje się w „Russkim Archiwie“ z r. 1874; wyszla ona także w całości w niewielkiej liczbie egzemplarzy w czterech tomach, które obejmują i samo powstanie zbrojne, ale wydania tego nie znamy. Przekład polski wyszedł w Krakowie.

78. Tenże; „*Kniaż Michaił Dmitriewicz Gorczakow*“. Dosadna, choć karykaturalna charakterystyka namiestnika Królestwa, drukowana w „Russkiej Starinie“ z r. 1880. Wywołała ona liczne odpowiedzi i sprostowania, które zaznaczamy we właściwem miejscu. Na sprostowania te dał swą odpowiedź Berg w tejże „Russkiej Starinie“ z r. 1880, bardzo ciekawą i ważną.

79. Tenże: „*Imperator Aleksander II i graf Zamojskij*“. („Istoriczeskij Wiestnik“ z r. 1888), zawiera opis wywiezienia

Zamojskiego we wrześniu, 1862 r. do Carskiego Sioła, skreślony na podstawie opowiadania rotmistrza żandarmów Sierzputowskiego, który towarzyszył panu Andrzejowi.

80. **Biłyk J.** „*Trewoga nad świeżoj mogiłoj T. G. Szewczenka*“ (czasopismo „Kijewskaja Starina“ z r. 1886). Jest to bezpretensionalna choć nieprzyjazna nam relacya o wzburzeniu, wynikłem w czerwcu 1861 r. śród ludu ukraińskiego przeciw szlachcie polskiej. Rzecz oparta na dokumentach urzędowych.

81. **Borszczow S. M.** „*Samoubijstwo generała Gersztencwejga*„ („Istoriczeskij Wiestnik“ z r. 1887). Borszczow był przyjacielem namiestnika Lamberta i był świadkiem naocznym dramatycznych wypadków, które spowodowały śmierć Gerstenzweiga.

82. **Bułhakow T.** „*Russkij gosudarstwiennyj człowiek*“ („Istor. Wiestnik“ z r. 1882). Jest to życiorys ambasadora rosyjskiego w Paryżu, Kisielewa, oparty na jego dzienniku własnoręcznym. Do naszego przedmiotu potrzebny jest rozdział V, który zawiera kilka interesujących szczegółów.

83. **Chrulew S.** „*Dniewnik*“ (w miesięczniku „Kołosia“ z r. 1884), ważny i ciekawy z tego powodu, że pisany pod wrażeniem chwili i wielokrotnie oparty na tajnych doniesieniach policyi, które żywcem Chrulew wcielał do swego dziennika. Obejmuje mniej więcej czasy Suchozaneta, t. j. Czerwiec, Lipiec, Sierpień 1861 r.

84. **Chruszczow A. P.** „*Otrywok iz dniewnika*“. („Istor. Wiestnik z r. 1881). Kilka bardzo interesujących szczegółów z ruchów w Lublinie w 1861 r. gdzie Chruszczow był naczelnikiem wojen.

85. **Cyłow N.** „*Sigizmund Sierakowskij i jego kaźń s predszestwowawszimi polskimi manifestaciami w Wilnie w 1861-63 godach. Iz dieł wilenskoj sledstwiennoj kommissii po politiczeskim diełam, sostawił..... Wilno 1867*“. Broszura na urzędowych dokumentach oparta, z wielu względów ciekawa, jakkolwiek w wysokim stopniu nam nieprzyjazna.

86. „*Dniewnik zakliuczennago*“. („Istor. Wiestnik“ z r. 1882). Jest to dziennik oficera batalionu strzeleckiego, nazwiskiem O....W, który zamówił wraz z kilku kolegami nabożeństwo żałobne za rozstrzelanych w Modlinie: Arnholda Śliwickiego i Szczura. O....W uwięziony w cytadeli, siedział następnie w Modlinie. Bezpretensyonalny opis jego cierpień, zawiera wiele szczegółów interesujących, tak co do pobytu w samej cytadeli, jak i niektórych wypadków ówczesnych.

87. „*Dokumenty k polskomu zagoworu. Wilna 1866*“. Mała broszurka, obejmująca cztery t. z. dokumenta, a mianowicie: 1) „nastawlenie kniazia Czartoryskago“. 2) „polskij katechizis“.

3) „staniem uczitsia“ i 4) „konspirationna organizacia dla polskich wospitannikow“. W ogólności jest to niegodny pamfiet, a jego dokumenta sfałszowane. Dla naszych badań ma tylko znaczenie pośrednie.

88. **Gogel N. W.** „*Josafat Ogryzko i peterburgskij rewolucionnyj rżond w diele posledniago miatieża. Sostawił.... Izdanie wtoroje znaczitielno dopołniennoje. Wilna 1867*“. Autor był członkiem komisyi śledczej w Wilnie i oparł swą pracę na dokumentach urzędowych. Rzecz napisana stronnie i bez żadnego talentu pisarskiego. Mnóstwo tu szczegółów do organizacyi i składu kółek rewolucyjnych w stolicy Rosyi, szczegółów rozrzuconych bezładnie po całej książce, mającej zresztą charakter pamfletu, jednego z tych, jakie w dobie murawiewowskiej tak obficie się ukazywały, stanowiąc zakałę prawdziwą literatury rosyjskiej.

89. **Karcow P. P.** „*Warszawa w 1860-1861 g.*“. („Russkaja Starina“ z r. 1882). Bardzo pobieżny i pełen błędów opis wypadków, zaszłych w wymienionych latach. Ważnym jest tylko z tego względu, że redakcya dołączyła do niego, otrzymany od Pawła Muchanowa szereg depesz telegraficznych, jakie z Warszawy namiestnicy wysyłali do Petersburga, lub ztamtąd otrzymywali. Depesze te, pierwszorzędny materyał historyczny, poczynają się od 14 Lutego (v. s.) 1861 r. a kończą 16 Czerwca 1862, to jest nieomal w chwili przyjazdu W. Ks. Konstantego. Powtarzamy, jest to materyał wartości nieocenionej.

90. **Majewskij J.** (Ksiądz Katolicki) „*Grodnienskaja procesia 14 Awgusta 1861 g.*“. („Russkaja Starina“ z r. 1891). Opis szczegółowy wypadków, zaszłych podczas procesyi do Różanego Stoku w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny. Dla nas ma znaczenie tylko rozdział pierwszy, gdyż w następnym są szczegóły osobiste.

91. **Markgrafskij A.** „*Istoria lejbgwardii litowskago połka. Warszawa 1887 g.*“. Z powodu, że pułk ten przybył do Warszawy w r. 1862, jest tu nieco szczegółów o ówczesnem położeniu.

92. **Ługanin.** „*Opyt istorii lejbgwardii wołyńskago połka. Peterburg 1889*“. Do naszego przedmiotu potrzebny tom II, w którym jest wiele ciekawych szczegółw o wypadkach 1862 roku.

93. **Oczewidiec.** „*Posledniaja polskaja smuta — raskazy oczewidca 1861-1864*“. („Russkaja Starina“ z r. 1874). Nader interesujące, pełne humoru wytwornego i mnóstwa faktów, jakkolwiek nie pozbawione błędów opowiadanie o rządach Suchozaneta, Lamberta, Lüdersa i W. Ks. Konstantego. Wywołało ono kilka sprostowań, rzucających pewne światło na wypadki.

94. **Pawliszczew N. J.** „*Siedmicy polskago miatieża 1861-1864. Peterburg 1887*“. Dwa tomy; ogólnego zbioru dzieł Pawli-

szczewa tomy: czwarty i piąty. Pawliszczew był niegdyś prezesem komitetu cenzury w Warszawie, a następnie redaktorem osławionego, „Dniewnika Warszawskiego". Na książkę tę złożyły się raporta tygodniowe, jakie przesyłał po za plecami władz warszawskich, cesarzowi. Jest to więc materyał pierwszorzędnej wagi, kreślony dość spokojnie i bezstronnie, jakkolwiek tu i owdzie pełen błędów, bardzo zresztą wytłomaczonych. Raporta te, obejmują peryod czasu od 13 Listopada 1861 r. aż do 15 Maja 1864. Dla naszego przedmiotu potrzebny jest tylko tom pierwszy.

95. **Podwysockij A.** „*Zapiski oczewidca o sobytiach w Warszawie w 1861 i 62 godach. Sostawił po dokumentam..... Peterburg 1869*". Autor był naczelnikiem policyi tajnej w Warszawie w peryodzie manifestacyjnym, zkąd uciekł zagrożony śmiercią. (Podobno znaleziono go powieszonym we własnem mieszkaniu i ocalono). Mógł zatem wiele rzeczy wiedzieć. Książka z tego względu jest ciekawą i jako materyał ważną, choć należy ostrożnie z niej korzystać. Podwysockij jest zdeklarowanym naszym wrogiem, ztąd dzieło jego tchnie duchem nienawiści i poziomym poglądem policyjnym na wypadki.

96. „*Polskaja rewolucionnaja obiednia — izwleczenie iz dieł kijewskoj śledstwiennoj kommissii perewod. Wilna 1866*". Jest to odbitka z „Wiestnika zapadnoj Rossii" i ma być mszą polską rewolucyjną. Broszura ta należy do tych wstrętnych pamfletów, jakimi diejatiele murawiewoscy zarzucali przed trzydziestu niespełna laty literaturę rosyjską. Jako materyał nie ma żadnego znaczenia.

97. **Przecławskij O.** (Polak). „*Josafat Ogryzko i jewo polskaja gazieta „Słowo*". („Russkij Archiw" z r. 1872). Przecławski, niegdyś wydawca „Tygodnika petersburskiego". wysoki urzędnik zarządu prasy w Petersburgu, opowiada tu w formie pamiętnikowej, dzieje założenia i upadku „Słowa". Jest tu dużo szczegółów nieznanych i charakterystycznych.

98. **Rotkirch.** „*Epizody iz sobytij 1861-64 godow*". („Russkij Archiw" z r. 1885). Nieco szczegółów do wypadków 15 Października 1861 r. choć dość mętnie i z nienawiścią do nas podanych.

99. **Rajkowskij S.** „*Polskaja mołodież zapadnago kraja w miatieżie 1861-1863 g.*". („Russkij Wiestnik" z r. 1869), zawiera dużo faktów ze źródeł urzędowych czerpanych, tak do peryodu manifestacyjnego, jak i samego powstania. Wszystko to jednak jest nadzwyczaj bezładnie i niesystematycznie napisane. Autor jest naszym wrogiem zaciętym.

100. **Ratcz Wasilij.** „*Swiedienia o polskom miatieże 1863 g. w siewiero-zapadnoj Rossii, sobrał..... Tom I. Wilna 1867. Tom II,*

1868 g.". Ratcz był historykiem urzędowym, naznaczonym przez Murawiewa do opisania powstania na Litwie. Dzieło złe, bałamutne, skreślone nieudolnie, bez żadnej wartości literackiej, przesiąknięte serwilizmem, duchem policyjnym i nienawiścią do wszystkiego co polskie. Do naszego przedmiotu tu i owdzie znaleść można nieco szczegółów, rozrzuconych bez ładu i składu w różnych miejscach. Korzystać jednak z nich należy z wielką ostrożnością.

101. Tenże: „*Polskaja emigracia do i wo wremia posledniago miatieża. 1831-1863. Wilna 1866 g.*". Posiada wszystkie wady pracy poprzedniej. Nieco szczegółów rozrzuconych bezładnie wśród frazeologii niesmacznej po całej książce.

102. **Sierno-Sołowiewicz. M.** „*Biskup Marszewskij w Łenczice epizod iz posledniej polskoj smuty*". („Istoriczeskij Wiestnik" z r. 1886). Opis kociej muzyki, wyprawionej Marszewskiemu w Łęczycy w Sierpniu 1861 r.

103. **Sławutinskij S.** „*Gorod Grodno i grodnienskaja gubernia wo wremia posledniago polskago miatieża*". („Istoriczeskij Wiestnik" z r. 1889). Dużo szczegółów i faktów, ale że rozprawka ta pisana była z pamięci po znacznym przeciągu czasu, więc pełna błędów i opuszczeń.

104. **Sołowiew J. A.** „*Zapiski senatora.....*" („Russkaja Starina" z r. 1886). zawierają nieco szczegółów do pobytu cesarza Aleksandra II w Wilnie w r. 1858.

105. **Spasowicz W. D.** „*Żiźń i politika markiza Wielepolskago epizod iz istorii russko-polskago konflikta i woprosa. Soczinił..... Peterburg 1882*". Dzieło wytwornego i literackiego pióra, ztąd wysokiej wartości jako utwór artystyczny. Za przykładem Lisickiego, Spasowicz zbyt idealizuje Wielopolskiego. Jest to kompilacya, ale znaczenia pierwszorzędnego. Materyału nowego bardzo niewiele.

106. **Szczebalskij P.** „*Nikołaj Aleksiejewicz Milutin i reformy w carstwie polskom*". („Russkij Wiestnik" z r. 1882). Dla naszego przedmiotu potrzebne są tylko dwa pierwsze rozdziały, jakkolwiek praca ta, przesiąknięta nienawiścią dla Polaków, nadzwyczaj stronna, nie daje żadnego nowego materyału. Przeważnie jest to kompilacya znanej rozprawy p. Leroy-Beaulien p. t. „Un homme d'êtat russe".

107. **Tatiszczew S.** „*Russkaja dipłomatia w polskom woprosie (1853-1863 g.)*". („Russkij Wiestnik" z r. 1888). Artykuł ten jest bardzo dobrze wykonaną kompilacyą z różnych, rozprószonych po książkach i gazetach, materyałów. Nowego w nim nie wiele, ale badacz tej epoki nie może go w żadnym razie pominąć. Ton tej pracy jest spokojny, choć nam nieprzyjazny.

108. **Ustimowicz M. P.** „*Zagowory i pokuszenia na żiżń namiestnika J. J. W. w Carstwie polskom i gławnokomandujuszczago wojskami warszawskago wojennago okruga, generał-feldmarszała Grafa Berga, 7/19 Sentiabra 1863 g. sostawił po dokumentam..... Warszawa 1870*“. Broszura ta ma dla naszego przedmiotu o tyle tylko znaczenie, że zawiera na końcu spis wszystkich kół, komitetów i rządów rewolucyjnych, oparty na dokumentach urzędowych, mieszczących się w archiwach cytadeli warszawskiej.

109. „*Wsiepoddanniejszyj otczet o diejstwiach uprawlenia generał-policijmejstera w Carstwie Polskom za 1864 god. Warszawa 1865.*“. Sprawozdanie sporządzone przez biuro jenerała policmajstra dla cesarza. Dla nas ma tylko znaczenie pośrednie z tego samego powodu co i broszura Ustimowicza. Dzieło nader rzadkie, gdyż odbite zostało w niewielkiej ilości egzemplarzy. Drugi tom, obejmujący rok 1865, do zakresu naszych badań nie należy.

c) francuzkie.

110. **Angeberg** (comte d') „*Receuil des traités, conventions et archives diplomatiques, concernant la Pologne, 1762-1862, par le comte..... Paris et Leipzig 1862*“. Znany zbiór dokumentów; dla poszukiwań historycznych niezbędny.

111. **Blanc Victor.** „*Aperçu sur les évenements de Varsovie en 1861 et 1862, par un temoin oculaire, par..... Paris 1862*“. Nieco szczegółów o wypadkach 1861 r. okraszonych bujną frazeologią.

112 **Klaczko Julien.** „*Etudes de diplomatie contemporaine. Les cabinets de l' Europe en 1863-1864 par..... Paris 1866*“. Mistrzowsko skreślone studyum o przebiegu sprawy polskiej od czasu kongresu paryzkiego, aż do upadku powstania 1863 roku, wśród dyplomacyi europejskiej. Jako materyał, pierwszorzędnej wagi i znaczenia.

113. **Lescoeur Louis** (Ksiądz) „*L' église catolique en Pologne sous le gouvernement russe par..... Paris 1860*“. Bardzo ważna historya kościoła w Polsce od czasów rozbioru, oparta na dokumentach, po większej części pierwszy raz przez autora opublikowanych.

114. **Leroy-Beaulien Anatole.** „*Un homme d' état russe*“. („Revue des deux mondes“ z r. 1880). Życiorys Milutyna, oparty na jego korespondencyi. Wyszedł także w osobnej książce, ale wydania tego nie znamy. Do naszego przedmiotu potrzebny rozdział III.

115. **Lisicki M. Henry.** „*Le marquis Wielopolski, sa vie et son temps. 1803-1877, par..... Vienne 1880*“. Dwa tomy. Ży-

ciorys margrabiego, napisany przez to samo pióro, które skreśliło panegiryk Wielopolskiego po polsku. Dzieło francuzkie o wiele jest obszerniejsze i kompletniejsze. Autor pomieścił tu wiele szczegółów takich, których dla różnych względów nie chciał podawać czytelnikom polskim. Książka bardzo ważna dla historyka tej epoki.

116. **Loubliner Louis.** „*De la condition politique et civile des Juifs dans le Royaume de Pologne, examen critique d' un rapport par..... Bruxelles 1860*". Jest to surowa krytyka raportu Muchanowa o żydach. Wiele ustępów i szczegółów interesującycych.

117. **Regnault M. Élias.** „*La Pologne devant le parlament anglais, avec une introduction de..... Paris 1862*". Broszura ta zawiera rozprawy nad kwestyą polską w parlamencie angielskim, w d. 4 Kwietnia 1862 r. Na końcu pomieszczona jest interesująca, jakkolwiek nie dotycząca naszego przedmiotu, korespondencya dyplomatyczna w sprawie polskiej w r. 1831 i 1832, po raz pierwszy przedłożona parlamentowi w r. 1861.

118. **Schedo-Ferotti.** „*Etudes sur l' avenir de la Russie. Huitième ètude. Que fera-t-on de la Pologne? Berlin 1865*". Użytkowaliśmy z edycyi drugiej. Dziełko to zawiera kilka nieznanych szczegółów. W tekście, we właściwem miejscu, mówimy o nim i o jego autorze.

d) niemieckie.

119. **Knorr Emil.** „*Die polnischen Aufstände seit 1830 J. in ihrem Zusammenhange mit den internationalen Umsturzbestrebungen von..... Berlin 1880*". Autor, major wojsk pruskich, miał przez namiestnika Berga w Warszawie, udzielony sobie przystęp do archiwów rządowych. W jego książce ważnym jest tylko zbiór dokumentów, wydrukowanych na końcu dzieła.

120. **Sybel H.** (von). „*Die Begründung des deutschen Reiches durch Wilhelm I. München und Leipzig 1889*". Do naszego przedmiotu potrzebny jest tom drugi, w którym jeden rozdział poświęcony jest sprawom polskim i zawiera kilka nowych szczegółów.

121. *Vorläufer (die) des polnischen Aufstandes. Beiträge zur Geschichte des Koenigreichs Polen, von 1855 bis 1863. Leipzig 1864*". Szereg fejletonów, kreślonych pod wrażeniem chwili, przez jednego z rabinów żydowskich warszawskich do „National Ztng". Rzecz pisana z werwą dziennikarską, ale materyału nowego prawie nie zawiera.

II. CZASOPISMA.

1. „*Baczność*“, czasopismo, wychodziło od Lipca 1862 r. w Paryżu; wydawca Ludwik Brzozowski. Znany tylko pierwszy numer, który ma charakter ultra-czerwony.

2. „*Czas*“, dziennik wychodzący w Krakowie; osiem roczników od 1855 do 1862 r.

3. „*Dziennik powszechny*“, organ Wielopolskiego, wychodził w Warszawie od 1 Października 1861 roku. Dwa roczniki: 1861 i 1862 r.

4. „*Demokrata polski*“, wychodził w Londynie pod redakcyą A. Żabickiego. Dwa roczniki 1858 i 1859.

5. „*Dziennik poznański*“, roczniki z lat 1861 i 1862.

6. „*Gazeta codzienna*“, wychodząca w Warszawie, roczniki z lat 1855 do 1861. Od Kwietnia 1861 zmieniła tytuł na *Gazetę polską*. Rocznik z 1862 r.

7. „*Gazeta narodowa*“ (lwowska), roczniki z lat 1861 i 1862.

8. „*Gazeta warszawska*“, roczniki od 1855 do 1862.

9. „*Głos*“, dziennik wychodzący we Lwowie pod redakcyą Zygmunta Kaczkowskiego przez kilka miesięcy w 1861 r.

10. „*Kołokoł*“, czasopismo rosyjskie, wydawane w Londynie przez A. Hercena. Rocznik z 1861 i 1862 r.

11. „*Kommunały*“, pismo humorystyczne warszawskie, redagowane przez Miniszewskiego, ilustrowane. Wychodziło w r. 1862. Znamy tylko trzy numera.

12. „*Kosynier*“, czasopismo tajne, warszawskie, przeznaczone dla sfer ludowych i rzemieślniczych. Numer pierwszy ukazał się d. 21 Sierpnia 1862. Motto: „hej, czas zacząć już chłopcy, z serca zrzucić trwogę, a Bóg rzeknie waszej pracy, toć i ja pomogę“. Pod nagłówkiem rysunek, przedstawiający Kosyniera. Pół arkusza we dwoje złożone, litografowane. Znamy tylko dwa numera (drugi z d. 26 Sierpnia t. r.), zdaje się, że więcej ich nie było.

13. „*Kuryer wileński*“, pod redakcyą Kirkora, dwa roczniki z lat 1861 i 1862.

14. „*Kuryer warszawski*“, roczniki z lat 1860, 61 i 62.

15. „*Pobudka*“, organ potajemny, począł wychodzić w Warszawie w Listopadzie 1861 r., po większej części litografowany na ćwiartce dużej. Z r. 1861 znamy tylko dwa, z r. 1862 trzy numera, z których drugi i trzeci są drukowane szczotką.

16. „*Prawdziwy patryota*“, czasopismo tajne, warszawskie. Numer pierwszy odbity w „drukarni niezależnej“, ukazał się

d. 27 Marca 1862 r. Mała kartka in 16-ce. Zdaje się, że wyszedł tylko jeden numer

17. „*Przegląd rzeczy polskich*", czasopismo zeszytowe, wychodziło w Paryżu pod redakcyą Seweryna Elżanowskiego. Roczniki z lat 1859, 60, 61 i 62.

18. „*Ruch*", pismo tajne, organ urzędowy Komitetu centralnego. Począł wychodzić w Sierpniu 1862 r. W roku tym wyszło numerów jedenaście. Niektóre egzemplarze są bardzo rzadkie i w poszukiwaniach naszych nie zdarzyło nam się widzieć kompletu tego pisma. Drukowane było szczotką na dużych półarkuszach, zwykle na jednej stronie.

19. „*Sternik*", pismo tajne, ukazywało się w Warszawie, ale jest tak rzadkie, że widzieliśmy zaledwie jeden, mocno zniszczony numer.

20. „*Strażnica*", organ tajny stronnictwa ruchu, wychodził dość nieregularnie w Warszawie od Lipca 1861 r. Numerów w tym roku było 15 (tyle ich znamy), w r. 1862 zaś 24. Nie wszystkie widzieliśmy, gdyż niektóre są rzadkością bibliograficzną. Strażnica przeważnie była drukowana na ćwiartkach i redagowana zwłaszcza z początku bardzo nieudolnie.

21. „*Szczerbiec*", pismo tajne, wychodziło w Warszawie od Lipca 1862 r. Znamy zaledwie dwa numera. Niezmiernie jest rzadkie.

22. „*Wiadomości polskie*" czasopismo, wychodziło w Paryżu pod egidą Czartoryskich, redagowane przez Klaczkę, Kalinkę, Wyzińskiego i innych. Znane nam są tylko dwa roczniki z r. 1858 i 1859.

III. RĘKOPISMA.

Wymieniamy tu tylko te z pomiędzy rękopismów, będących w naszym posiadaniu, których opublikowanie, naszym przyjaciołom i życzliwym w Warszawie, Wilnie, Kijowie i Petersburgu, w niczem zaszkodzić nie może.

1. „*Dieło z cirkularami ministra inostrannych dieł k rossijskim misiam o dozwolenii wozwratitsia w otieczestwo polskim wychodcam, kromie gławnych uczastnikow wozmuszczenia bywszago w 1830 g.*". Jest to kopia wszelkich urzędowych akt, odnoszących się do amnestyi dla emigrantów polskich.

2. „*Dieło o rozporiażeniach po wojskam 1-oj armii po słuczaju bezporiadkow woznikszich w Polsze 1861 goda*". Kopia, spo-

rządzona w Warszawie. Oryginały mają się dziś znajdować w archiwum sztabu głównego w Petersburgu.

3.. *„Dwa memoryały Michała Łempickiego“*, o których obszernie w tekście mówimy. Posiadaliśmy w ręku autografy łaskawie nam do użytku udzielone.

4. *„Chłop podolski w stosunkach z obywatelem w zaczęciu drugiej połowy XIX wieku“*. Rozprawa, której oryginał znajduje się w zbiorach po ś. p. J. I. Kraszewskim w Krakowie.

5. *„Kronika wypadków warszawskich“*, przez „Mieszkańca Warszawy“, obszerny rękopism in folio. Opowiada manifestacye 1860 i 1861 r. aż do dni Kwietniowych. Kopia znajduje się w naszych zbiorach.

6. *„Memoryał Aleksandra Jackowskiego“*, członka Rady stanu, podany hr. Lambertowi w Październiku 1861 r. Mieliśmy pod ręką autograf.

7. *„Notaty do lat 1860 1861, wspomnienia z pamięci“*. Rodzaj pamiętnika o wypadkach w Lublinie i okolicy. Użytkowaliśmy przy pracy naszej z kopii, którą posiadamy w naszych zbiorach. Mnóstwo tu szczegółów bardzo ciekawe rzucających światło na zdarzenia ówczesne.

8. *„Opowiadanie o skradzeniu papierów ministrowi austryjackiemu Rechbergowi“*. Króciótki ale treściwy opis tego wypadku. Znajduje się w naszych zbiorach.

9. *„Odezwa duchowieństwa do rad powiatowych i miejskich“* z d. 29 Października 1862 r. nigdzie nie drukowana i wzywająca też rady do rozwiązania się.

10. *„Protokół duchowieństwa polskiego“* z d. 29 Października 1862 r, spisany w województwie sandomierskiem, o poddaniu się tegoż duchowieństwa pod władzę Komitetu Centralnego. Rękopism współczesny.

11. *„Rozmowy z Ignatiewem“*, rękopism, którego dosłowny przekład z oryginału włoskiego posiadamy, zawiera nieco szczegółów nieznanych o tem, jak się po kongresie paryzkim i w czasie manifestacyi, niektóre państwa zapatrywały na sprawę polską. Autor, włoch rodem (jak się zdaje kapitan Marchesi), był w stosunkach przyjaźni z Ignatiewem, późniejszym ambasadorem rosyjskim w Stambule, i miał zwyczaj notować sobie rozmowy, jakie z nim prowadził, jeżeli te wydawały mu się godnemi pamięci.

12. *„Słowo narodu polskiego do Jks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego arcybiskupa metropolity archidyecezyi warszawskiej“*. Rękopism współczesny, zawierający nigdzie, o ile wiemy niedrukowaną odezwę do arcybiskupa. Ustępy z niej przytaczamy w tekście.

13. Rękopism bez tytułu, znajdujący się w naszych zbiorach, zawierający luźne notatki o niektórych wypadkach w Lubelskim w 1861-1863 r.

14. Trzy grube zeszyty, zawierające najrozmaitsze notatki o wypadkach i osobach, mnóstwo drobnych, po większej części nieznanych szczegółów, z lat 1861-1863.

15. Trzy zeszyty pieśni, wierszy ulotnych, odezw i t. d. spisywane w r. 1861 i 1862. Zbiór bardzo cenny i stosunkowo nader dokładny.

16. „*Święcone w Piotrkowie*". Opis wydarzeń, zaszłych podczas świąt wielkanocnych w 1861 r. w Piotrkowie. W naszych zbiorach posiadamy kopią. Na końcu zeszytu, znajdują się luźne wiadomości o wyborach do Rady miejskiej piotrkowskiej i o samej radzie.

17. „*Szkoła wojskowa w Cuneo*", obszerna monografia tego zakładu, napisana przez jednego z uczniów. Dużo szczegółów o organizacyi wewnętrznej, o wykładach i nauczycielach. Na końcu znajduje się lista uczniów szkoły, niestety! nie skończona. Rękopism w naszych zbiorach.

18. „*W sprawie memoryału Enocha*", rękopism z podpisem *W. D.*, dotyczący historyi tego memoryału, i w ogóle sprawy wyjednania reform w Marcu 1861 r. Rzecz pisana przez osobę doskonale obznajmioną z przebiegiem tej sprawy, i biorącą w niej udział bezpośredni. Oryginał znajduje się w zbiorach Artura Wołyńskiego w Rzymie, my korzystaliśmy z kopii, dla nas sporządzonej.

19. „*Wypadki w Suwałkach w r. 1861*". Rękopism w naszych zbiorach, sporządzony znacznie później. Opis zdarzeń, zaszłych w Czerwcu 1861 r.

20. „*Wypadki w Turku w r. 1857*". Opis zaburzeń antiżydowskich, skreślony przez naocznego świadka. Rękopism oryginalny w naszych zbiorach.

21. „*Zaburzenia chłopskie w Międzyrzeckiem*", dwie relacye, przez świadków naocznych spisane, o zaburzeniach w czasie świąt wielkanocnych w Marcu 1861 r. Oryginał w naszych zbiorach.

22. Zbiór dokumentów sądowych do sprawy Lesznowskiego, redaktora „Gazety Warszawskiej" z żydami w r. 1859 i do sprawy Wielopolskiego o sztachety w ogrodzie pałacu Kazimirowskiego.

23. „*Sprawa żydowska w r. 1859*". Duża teka, zawierająca wszelkie druki, oraz rękopisma, korespondencye, artykuły niepuszczane przez cenzurę, i t. p. dotyczące zatargów „Gazety Warszawskiej" z żydami. Zbiór bardzo ciekawy, możliwie kompletny.

ROZDZIAŁ I.

Majowe dni.

Śmierć cesarza Mikołaja. Wieści o jego następcy. Rząd francuski podnosi kwestyą polską. Jego korespondencya z lordem Clarendonem. Kongres paryzki i przyrzeczenia Orłowa. Śmierć Paskiewicza. Stan kraju i umysłów. Sprawa Wikińskiego. Nominacya księcia Gorczakowa, jego podróż do Warszawy i charakterystyka. Jego mowa w Warszawie. Nominacya Muchanowa na dyrektora Komisyi spraw wewnętrznych. Jego przeszłość, charakter i znaczenie. Pragnienia polityczne polskie. Przyjazd cesarza do Warszawy. Myśl o memoryale. Baron Firks go pisze. Cztery punkta. Cesarz w Brześciu Litewskim i jego rozmowa z Nazimowem. Cesarz w Międzyrzeczu. Projekt Wielopolskiego. Bal szlachecki. Mowa do szlachty. Bal w ratuszu. Amnestya dla wychodźców. Protest przeciw niej Towarzystwa demokratycznego. Zajęcia dla powracających wychodźców. Ukaz rozciąga się i do Litwy. Pomoc dla emigrantów. Sprawa włościańska i postępowanie Nazimowa. Obchód koronacyi w Warszawie. Ukaz o zesłanych na Sybir Polakach. Ich powrót i wpływ na kraj. Podróż i agitacya Nazimowa na Litwie. Komitety szlacheckie do sprawy włościańskiej. Zakończenie.

Dnia 2 Marca 1855 r. nad ranem, nie stało samowładnego cara Mikołaja I-go. Despota na wielką skalę, tyran, jakich historya nie wielu na szczęście ludzkości liczy, umysł twardy, zuchwały i nieugięty, postać jednolita, przejęta swą wielkością i swą opatrznościową misyą, skonał jak każdy śmiertelnik, jak tysiące i krocie tych, których on deptał i uciskał swą potężną stopą. Umarł w bolesnem uczuciu swej niemocy, w boleśniejszem jeszcze upokorzeniu

swej dumy. „Ukoronowany feldwebel“ widział jak przy huku dział Sewastopolskich rozpadają się nie tylko szańce i mury tej twierdzy, ale sypią się gruzy z całego państwowego budynku, który on przez trzydzieści lat wznosił, naprawiał i podpierał.

Wieść o śmierci Mikołaja, którego posępna postać jak widmo czarne, jak bajeczna zmora, cień ponury rzuca na cały jeden peryod naszej historyi, przyszła do Warszawy tego samego dnia telegrafem. Paskiewicz, namiestnik królewski, otrzymał ją podczas posiedzenia Rady Administracyjnej, i wiadomość ta nie oddziałała na niego zbyt silnie, prawdopodobnie dlatego, że przewidywał oddawna śmierć swego największego dobroczyńcy. Zato na ogół polski wywarła ona piorunujące wrażenie. Nagle każdy uczuł, jakby mu kamień spadł z piersi, jakby jaki tłoczący je ciężar zniknął i dał możność szerszego, głębszego, śmielszego oddechu. Dawna atmosfera rządów mikołajewskich, powietrze duszne i zbite, zdawało się, że się rozszerza, że powiał po niem jakiś świeższy prąd, że czarne chmury zalegające niebo polskie, powoli rozpływają się i dozwalają jasnemu słońcu znowu rzucić kilka zbawczych promieni na tę biedną polską ziemię, deptaną bez litości i bez sumienia. Ludzie spotykając się na ulicach winszowali sobie radosnej nowiny; po winiarniach i kupcach zbiegali się zamożniejsi i pili z uciechy, że śmierć nakoniec zabrała dręczyciela Polski, że noc, posępna mikołajewska noc się skończyła i zaczną się wkrótce dni jaśniejsze i weselsze.

Powszechna bowiem wieść niosła, wieść, której wszyscy chętnie wierzyli, tak kraj był spragniony swobody, że przyszły cesarz, który wstępował na tron ogromnego caratu, jest ożywiony jak najlepszemi chęciami, że ma umysł liberalny, serce dobre i ludzkie, uczucia podniosłe, i nakoniec to przekonanie, że system mikołajewski się przeżył, że jest stanowczo zgubnym dla państwa i dynastyi, że chcąc przywrócić dawną świetność Rosyi i jej znaczenie w Europie, należy się innego, wręcz odrębnego chwycić sposobu rządzenia. „Sewastopolskie słońce“, pokryte jeszcze dymem

prochowym i zaczerwienione krwią najdzielniejszych synów Rosyi, już ukazywało się na horyzoncie i niosło nadzieje weselszych dni.

Co się tyczy Polski, wieść ogólna przypisywała młodemu cesarzowi niemniej przyjazne usposobienie. Przypominano sobie jego, rzadkie zresztą, odwiedziny Warszawy, jego pojawienia się jako młodego chłopca na Saskim placu, przed powstaniem Listopadowem, przed szeregami wojsk polskich; jego piękne, sympatyczne i jakby załzawione oczy; wrażenie miłe, jakie wywierał na wszystkich swą osobą, swem zachowaniem się i wzięciem. Nosił to samo imię, które bądź co bądź pokoleniu wychowanemu w twardej szkole Mikołaja, przypominało dni konstytucyjnego królestwa, dni swobody, dni własnego rządu, sejmu, wojska polskiego. Wiedziano, że mówi po polsku, powtarzano sobie, że kiedyś miał czytać z zapałem poezye Mickiewicza, że kochał się gorąco w pięknej Polce, pannie Kalinowskiej, córce zamożnego szlachcica ukraińskiego. Powtarzano sobie tysiące wieści, tysiące historyi, którym, choćby najnieprawdopodobniejszym chętnie dawano ucha, jeszcze chętniej wierzono. Pogłoski te przynosiły ulgę sercom i umysłom zmęczonym i złamanym surowemi rządami wojskowemi, strasznym uciskiem, tysiącznemi gwałtami władzy samowładnej, okrutnej i bezwzględnej. A choć na Zamku warszawskim królował jeszcze Paskiewicz, wiedziano jednak, że był chory, że umrzeć wkrótce musi, że jeżeli nie umrze, to w każdym razie jego stanowisko samowładnego pana i kata Polski, stanowisko nie odpowiednie teraz przy ciepłych, świeżych prądach, zdających się unosić nad całą Rosyą i nad Polską, musi uledz pewnym zmianom a nadewszystko pewnej kontroli. Były zresztą niejakie dane, które czyniły to przypuszczenie prawdopodobnem. Tego samego bowiem dnia, w którym depesza telegraficzna, donosząca o śmierci Mikołaja, przybyła do Warszawy, w parę godzin potem nadszedł drugi telegram, powołujący jenerała Rüdigera, zwycięzcę Dwernickiego i Węgrów, na dowódcę gwardyi cesarskich, co zapowiadało przewagę partyi

niemieckiej, stanowczo przeciwnej Paskiewiczowi. Rüdiger przytem znany był jako nieprzyjaciel namiestnika, i nominacya powyższa tak go ucieszyła, że nie mógł zataić swej radości, zbyt widocznej dla wszystkich i zbyt rażący stanowiącej kontrast ze smutkiem obowiązkowym.

W parę dni potem nadszedł do Warszawy manifest młodego cesarza, który odczytał uroczyście w katedrze św. Jana dnia 27 Marca, po nabożeństwie z powodu zgonu cesarza, celebrowanem przez administratora archidyecezyi Fijałkowskiego, prałat Białobrzeski. Manifest przepełniony był zwykłemi, banalnemi frazesami i właściwie nic nie mówił. Zapewniał tylko wstępujący na tron wielkiego państwa monarcha, że jedynym jego celem będzie zapewnienie pomyślności cesarstwa rosyjskiego i „nierozdzielnych z niem Królestwa Polskiego i W. Ks. Finlandzkiego". Nakazano zaraz składanie przysięgi homagialnej. W cerkwi prawosławnej na ulicy Długiej, wojskowi i cywilni dygnitarze rosyjscy przysięgali d. 6 marca o godz. 11 rano, a w katedrze św. Jana urzędnicy polscy d. 9 marca o godz. 12 w południe. Obrządek ten zresztą dla wszystkich innych poddanych polskich Aleksandra II, trwał w Warszawie przez cały tydzień po różnych kościołach[1]), w kraju oczywiście znacznie dłużej.

[1]) Mieszkańcy miasta składali przysięgę od dwunastego roku życia d. 12 marca, w kościele św. Jana, Panny Maryi, Karola Boromeusza, św. Krzyża i św. Aleksandra w różnych godzinach. Unici u Bazylianów przysięgali d. 13 marca; w tymże dniu lutrzy i kalwini w swych kirchach; Żydzi d. 14 marca. Inne wyznania, które nie miały swej świątyni, składały przysięgę w magistracie d. 15 marca. Osobni urzędnicy byli delegowani z księgą do odbierania podpisów. Przysięga odbywała się zawsze w obecności jeneral-gubernatora, jenerała Tuczka. Rota przysięgi brzmiała jak następuje: „Ja niżej wymieniony, przyrzekam i przysięgam Bogu Wszechmogącemu na Świętą Jego Ewangelię, że chcę i powinienem Jego cesarskiej mości, mojemu prawdziwemu i przyrodzonemu Najmiłościwszemu wielkiemu panu cesarzowi Aleksandrowi Mikołajewiczowi, samowładcy Wszech Rosyi, Królowi Polskiemu i Jego cesarskiej mości Następcy tronu wszechrosyjskiego, Jego cesarskiej wysokości

Wszędzie jednak czy to w Warszawie, czy w kraju, ogromna większość mieszkańców, oprócz garści nieprzejednanych, oprócz starych mistrzów spisku, niepoprawnych radykałów i rewolucyonistów, demagogów, wichrzycieli i głupców nakoniec, składało tę przysięgę z pewną wewnętrzną radością, z nadzieją stokroć lepszej, a kto wie nawet, może świetnej przyszłości. Jakoż, oznaki zbliżających się dni lepszych, dni słonecznych po długiej mikołajewsko-paskiewiczowskiej nocy, poczęły się pojawiać. Zdawało się, że wszędzie, we wszystkich gałęziach surowych rządów, które pętały Polskę i dusiły w niej oddech, nastąpiło pewne rozluźnienie, powiał świeży, swobodę niosący w swem łonie wiatr, na ludzi i na rzeczy. A choć nowe panowanie dopiero co się zaczęło, choć nie mogło ono, ani czasu nie miało na to, by czemkolwiek dać poznać swe aspiracye, dążności i zamiary, przecież już sama

---

cesarzewiczowi i wielkiemu księciu Mikołajowi Aleksandrowiczowi, wiernie i nieobłudnie służyć i we wszystkiem być posłusznym, nie szczędząc życia mego do ostatniej kropli krwi, i wszystkie do wysokiego Jego cesarskiej mości samowładztwa, potęgi i władzy należące prawa i prerogatywy, postanowione i w przyszłości postanowić się mające, podług najściślejszego pojęcia, mocy i możności przestrzegać i bronić, a nadto wszelką miarą starać się popierać wszystko co tylko Jego cesarskiej mości wiernej służby i dobra państwa we wszelkich wypadkach dotyczyć może; o uszczerbku zaś dobra Jego ceserskiej mości, szkodzie i stracie, skoro się o tem dowiem, nie tylko wcześnie oznajmiać, lecz oraz wszelkiemi środkami odwracać i niedopuszczać starać się, i każdą powierzoną tajemnicę ściśle zachowywać będę, a poruczony i włożony na mnie urząd, tak według niniejszej (ogólnej jako i szczególnej) przepisanej i od czasu do czasu w Jego Ces. M. imieniu przez przełożonych nademną zwierzchników, postanawianych instrukcyi, regulaminów i ukazów, należycie podług sumienia mego sprawować, a dla własnej korzyści, pokrewieństwa, przyjaźni i nienawiści, przeciw obowiązkowi swemu i przysiędze nie postępować, a tak się zachowywać i postępować jak wiernemu J. C. M. poddanemu przystoi i należy; a jako przed Bogiem i strasznym jego sądem z tego zawsze zdać sprawę mogę, tak mi Panie Boże na duszy i na ciele dopomuż. Na dokończenie tej mojej przysięgi całuję słowa i krzyż Zbawiciela mego. Amen".

śmierć groźnej, żołnierskiej postawy cara Mikołaja, zdawała się zapowiadać różnym ludom caratu przyszłość lepszą, większą swobodę i instytucye bardziej ludzkie, bardziej cywilizowane.

Tymczasem pod Sewastopolem grzmiały dalej działa, lała się obficie krew rosyjska i polska. Liczni Polacy służący w armii rosyjskiej, zamknięci w murach Sewastopola, przechodzili ciągłą gorączkę wielkich nadziei i większych jeszcze smutków. Ilekroć zdawało się, że wojna rozognia się coraz więcej, grozi przybraniem szerszych rozmiarów, tylekroć na twarzach wojowników polskich jaśniała widoczna radość; w przeciwnym zaś razie powlekał je smutek. Zamykali się wówczas w swych namiotach i oddawali się głuchej rozpaczy. Przyszło do tego, że dla Rosyan, twarze polskich ich kolegów były barometrem stanu strony politycznej wojny. Jednakże z wstąpieniem na tron Aleksandra w świecie wojskowym i dyplomatycznym przewidywano bliski upadek Sewastopola, i stawiano sobie pytanie: co potem robić? We Francyi odpowiadano na to, że trzeba wyszukać nowy plac boju i na nim ciągnąć dalej walkę tak szczęśliwie rozpoczętą i ukończyć ją ostatecznem pognębieniem Rosyi. Mówiono, że w logicznym rozwoju tej wojny leży nie tylko obrona interesów Wschodu, usunięcie Turcyi z pod wpływu i nacisku rosyjskiego, ale trzeba wznieść na nowo odwieczny mur, broniący Europę od Rosyi, trzeba odbudować Polskę, której upadek w przeszłem stuleciu nadał państwu carów taką przewagę i takie znaczenie. Tak więc ze śmiercią Mikołaja, ze zbliżającą się wiosną, z pośrodka dymów bojowych krymskich, podnosiło się blade widmo Polski.

Rząd francuzki, kierowany przez Ludwika Napoleona, stanowczo powziął zamiar pomieszczenia Polski w programie związkowych. Chciał on całej tej walce, tak krwawej i tak kosztownej, nadać cel sympatyczny, który byłby zdolny rozentuzyazmować narody, chciał jak mówiono wtedy „roznamiętnić wojnę“. A cóż mogło ją bardziej roznamiętnić, co mogło być sympatyczniejszego dla wszy-

stkich ludzi uczciwych, wszystkich serc prawych, jak sprawa polska? co wreszcie mogło zadać najdotkliwszy cios Rosyi, zranić ją najciężej, najwięcej osłabić i na długi czas pozbawić wszelkiego wpływu i znaczenia w Europie, jak podniesienie kwestyi polskiej, odbudowanie Polski?

Bądź co bądź, z wiosną 1855 r. gdy car Mikołaj konał szarpany zgryzotami upokorzonej pychy, z wiosną zdającą się dźwigać w swem łonie tyle nadziei dla Polski, rząd francuzki zdecydował się na podniesienie jej sprawy i nadanie wojnie całkiem innego charakteru. Jeszcze w Petersburgu nie ucichły odgłosy uroczystości pogrzebowych i huku dział z twierdzy Petropawłowskiej, żegnających śmiertelne szczątki potężnego przed chwilą imperatora, gdy w urzędowym „Monitorze" ukazały się rozmaite adresy emigracyi polskiej, wystosowane do Napoleona IIIgo, z powodu nieudanego zamachu na jego życie. Między innemi wydrukowane zostały listy jenerała Rybińskiego i księcia Adama Czartoryskiego, z tem wyjaśnieniem dla nieświadomych historyi polskiej Francuzów, że Rybiński był „ostatnim wodzem siły zbrojnej polskiej w r. 1831", Czartoryski zaś piastował godność „prezesa rządu narodowego w powstaniu". W adresie Rybińskiego, zwracał na siebie uwagę powszechną następujący ustęp: „cała Polska potwierdziłaby moje słowa, gdyby jej wolno było wypowiedzieć swe myśli. Tak, Najjaśniejszy Panie, ona cierpi i oczy swe ma zwrócone na Zachód, gdzie widzi i kocha tylko ciebie!".

Te oznaki przychylności dla naszej sprawy, miały wkrótce przybrać bardziej realną i zdecydowaną formę. Dnia 26 Marca 1855 r. minister francuzki spraw zagranicznych, pan Drouyn de L'huys polecił ambasadorowi swego rządu w Londynie, zbadać usposobienie gabinetu Saint-James, co do kwestyi polskiej. W depeszy swej Drouyn de L'huys pisał, że „warunki, pod któremi Europa zgodziła się, by cesarz Aleksander I-szy przyłączył do państwa swego większą część ks. Warszawskiego, pod imieniem Królestwa polskiego, miały cechę ściśle obowiązującą. Stanowiły one

dla innych państw konieczną kompensatę za nabytek, który dawał Rosyi stanowisko groźne w sercu Europy środkowej"; że car zwolnił się z tych warunków, że Europa kilkakrotnie przeciw temu protestowała napróżno, nie chcąc wywoływać wojny, lecz „ponieważ Rosya sama zerwała pokój, dla utrzymania którego Francya liczne czyniła ofiary, ponieważ zmusiła tę ostatnią do pochwycenia za broń dla przeszkodzenia nowemu z jej strony pogwałceniu prawa, wydaje nam się, że nadszedł czas do przypomnienia zobowiązań, jakie zaciągnęła ona w obec Europy, odnośnie do Królestwa polskiego, i z których się sama uwolniła". Jednem słowem, domagał się, by „przywrócenie Polski w granicach traktatów 1815 r." weszło w stypulacye przyszłego pokoju.

Słowa te przejęte szczerą chęcią dopomożenia Polsce, nie znalazły, nie mogły znaleść oddźwięku w ministeryum angielskiem. Anglików, jeżeli prowadzili wojnę z Rosyą, więcej obchodziło położenie tamy nieustannemu jej posuwaniu się ku Carogrodowi, osłabienie jej potęgi w Azyi. Polska nic ich nie interesowała, to też na depeszę p. Drouyn de L'huys'a odrzekł lord Clarendon, że „inicyatywa w sprawie polskiej byłaby w obecnych okolicznościach nie tylko niepolityczną, ale nawet wprost niemożliwą".

Tak kategoryczna odpowiedź przerwała dalsze w tej sprawie negocyacye. Zresztą wzięcie połowy prawie Sewastopola, śmierć Mikołaja, zdawały się zapowiadać możność zawarcia pokoju i ukończenia nużącej, kosztownej i wycieńczającej wojny. Francya przytem musiała oszczędzać drażliwość angielską, i w tej chwili przynajmniej odłożyć do lepszych czasów swe zamiary względem Polski. Mimo to jednak cesarz Napoleon i jego rząd nigdy nie stracił jej z oczów.

W jesieni bowiem tegoż 1855 roku, gabinet tujleryjski nowy na tej drodze krok zrobił. W depeszy swej z d. 15 Września, francuzki minister spraw zagranicznych hr. Walewski, następca Drouyn de L'huys'a, jeszcze raz zaproponował rządowi angielskiemu pod d. 15 Września 1855 r.

podniesienie kwestyi polskiej „w granicach możliwie praktycznych“. Chciał on, by „odbudowanie Królestwa polskiego, na warunkach usankcyonowanych przez kongres wiedeński, stało się jednym z zasadniczych przedmiotów negocyacyi pokojowych, jeżeli te przyjdą do skutku, a współcześnie główną podstawą tego pokoju“. „Rząd cesarski spodziewa się, pisał dalej w swej depeszy hr. Walewski, że rząd Jej królewskiej mości Brytańskiej patrzy z tego samego stanowiska na tę ważną kwestyę, że uzna konieczność włączenia jej do przyszłych negocyacyi pokojowych i bez wahania połączy swe usiłowania z naszemi, by zniszczyć akt, przeciw któremu sumienie rządów i ludów nie przestało protestować, gdyż czas nie zdołał osłabić ani jego nieprawości, ani jego fatalnych następstw“.

Minister angielski jednak, lord Clarendon, odrzekł, że chwila nie jest odpowiednią, że obawia się, by opinia publiczna nie zwróciła się przeciw związkowym, przekonawszy się, że odbudowanie Polski było *sine qua non* warunkiem pokoju. „Zresztą, mówił minister, wielkie złudzenie się rozwiało; wiadomo teraz, że Rosya może być zaatakowaną z powodzeniem na swem własnem terytoryum, że jej urok militarny jest zniszczony“. W końcu obawiał się, by domaganie się nowych ustępstw od Rosyi, nie oburzyło Europy i nie zwróciło jej przeciw związkowym; że Europa zaczyna się przerażać imponującemi siłami Anglii i Francyi, i że nie poskąpi żadnych usiłowań, nie cofnie się przed żadnym środkiem, by rozerwać ich sojusz wzajemny.

W obec takiej postawy ministrów angielskich, rząd francuzki porzucił swe zamiary, i zdecydował się zostawić rozwiązanie kwestyi polskiej „ogólnemu biegowi wypadków“, tem więcej, że z mgły przyszłości ukazywała się już na horyzoncie historycznym Europy inna kwestya niemniej ważna i niemniej pierwszorzędnego znaczenia, kwestya włoska. Otóż słusznie sądził cesarz Francuzów, że w obec tej nowej komplikacyi, w obec niepewności dalszego przymierza angielskiego, należy sobie na przyszłość zachować

przyjaźń Rosyi, i nie drażnić jej teraz podnoszeniem sprawy, która w tej chwili nie miała żadnych szans powodzenia [1]).

W tym stanie rzeczy przyszło do pertraktacyi pokojowych, zwłaszcza, że młody car rosyjski pragnął ukończenia wojny, przynoszącej mu same klęski i grożącej stokroć większemi, w razie gdyby ostatecznie przyszło do podniesienia kwestyi polskiej. Kongres reprezentantów mocarstw zainteresowanych i wojujących, jaki się zebrał w początkach 1856 r. w Paryżu, przedstawiał istotnie bardzo pouczające widowisko. Z pomiędzy wszystkich państw, Francya okazywała najwięcej skłonności do zgody, najwięcej przyjaznego usposobienia dla Rosyi, ta sama Francya, która przed chwilą zamierzała uderzyć carat w samo jego serce, zagrzmieć swemi działami nad Wisłą. Anglia okazywała przedstawicielowi rosyjskiemu pewną wyższość, pewną ostrość i niechęć; Austrya, która podczas wojny nic nie robiła i nic nie ryzykowała, objawiała najwięcej wymagań i najwięcej obaw. Teraz to dopiero Wielka Brytania przypomniała sobie Polskę, tego „stracha na Moskwę“, jak ją nazywano w dyplomacyi angielskiej, Polskę, o której w przeszłym roku nie chciała nawet słyszeć, i usiłowała jej sprawę wnieść na posiedzenia kongresu. W tydzień niespełna po rozpoczęciu się narad, lord Palmerston, w liście z d. 5 Marca 1856 r. do pełnomocnika wielkobrytańskiego, lorda Clarendona, najsolenniej mu polecał, ażeby o Polsce „nie zapomniał“, ażeby sprawę tę podniósł, albowiem takie zadośćuczynienie sprawiedliwości dziejowej koniecznie dać należy

---

[1]) W liście z d. 22 Listopada 1855 r. do królowej Wiktoryi, pisał Napoleon: rozumiałbym jeszcze potrzebę dalszego przelewania krwi, gdyby rząd W. K. Mości oświadczył mi był, że honor i interesa nasze wymagają przerobienia na Wschodzie mapy Europy. Takiej polityce nie odmówiłbym pewnej wielkości; stawiałaby ona nadto otrzymać się mające rezultaty na jednym poziomie z poniesionymi ofiarami“. Ponieważ jednak, dodawał cesarz, nie widać wcale, żeby Anglia zgodziła się na odbudowanie Polski, przyłączenie Krymu do Turcyi i Finlandyi do Szwecyi, lepiej zatem będzie, gdy sprawa pokoju odrazu przybierze charakter wpaniałomyślności w obec Rosyi.

„parlamentowi, prasie, opinii publicznej, stowarzyszeniu polskiemu w Londynie i staremu Czartoryskiemu...“ Spełniając zlecenie pierwszego ministra, lord Clarendon udał się niezwłocznie do hr. Walewskiego i oznajmił, że jeśli Napoleon III-ci niema nic przeciwko temu, Anglia gotowa jest na kongresie żądać odbudowania Polski, choćby tylko na teraz w granicach traktatu wiedeńskiego. Gdy to oświadczenie Walewski przyjął chłodno i nie nastąpiła na nie żadna odpowiedź, Palmerston w liście z d. 1 Kwietnia ponowił powyższe propozycye i przesłał swemu pełnomocnikowi memoryał stowarzyszenia polskiego w Londynie. Clarendon w skutek tego, w rozmowie z Napoleonem, wspomniał o „gwarancyach“ dla Polski, przyczem nie wielkie stawiał wymagania. „Dość będzie, mówił, gdy hrabia Orłow uczyni odpowiednie oświadczenie na jednem z zebrań kongresu.“ Na zapytanie Napoleona, jaką mogłaby być osnowa podobnego oświadczenia, Clarendon rzekł: „wystarczy przyrzeczenie zaprowadzenia w Królestwie polskiem zarządu narodowego, języka polskiego w szkołach, przyznanie kościołowi katolickiemu praw mu należnych. Zresztą, dodał, dośćby może było przyrzec, że w Polsce inny odtąd system polityczny stosowany będzie.“ Napoleon własnego zdania nie objawił, obiecał tylko przy sposobności pomówić z Orłowem.

W ogóle rząd francuzki zachował się w obec tych usiłowań obojętnie, z czego możnaby mu słuszny zarzut zrobić, gdyby nie to, że widział w napomknieniach angielskich prosty manewr polityczny. W rzeczy samej tak było, czego dowodem pośpiech, z jakim wkrótce potem minister angielski cofnął swe propozycye. Jedno tylko mocarstwo mogło i miało obowiązek podniesienia tych propozycyi, gdyby posiadało rozum polityczny, szerszy pogląd na rzeczy i zdolność przewidywania wypadków. Mówimy tu o Austryi. Gdyby ona była za ministrem angielskim poparła sprawę polską, sprawę zgodną z jej interesami i traktatami, nie ulega wątpliwości, że byłaby znalazła gorliwego i szczerego sprzymierzeńca we Francyi, i kto wie, czy kwestya

polska nie byłaby wtedy zajęła tego stanowiska, jakie w parę lat później zdobyła sobie kwestya włoska.

Jakiekolwiek się jednak przyczyny złożyły na to, dość że nikt nie podniósł wniosku angielskiego. Przysłowiowe „szczęście polskie,“ znalazło tu, jak wszędzie i zawsze znajdowało, swe urzeczywistnienie fatalne. Orłow, uprzedzony o zabiegach angielskich, uciekł się do bardzo zręcznego kroku i poszedł sam naprzeciw niebezpieczeństwa, nie czekając aż ono na niego uderzy. Udał się więc do cesarza Napoleona i wysłuchawszy w milczeniu wyrazów współczucia dla Polski, oznajmił że „cesarz Aleksander Nikołajewicz zarówno troszczy się o dobro i szczęście Polaków, jak i innych swoich poddanych; że żywi względem nich jak najwspaniałomyślniejsze zamiary, ale że godność Rosyi nie pozwala, by ten przedmiot był rozpatrywany na kongresie“. Napoleon okazał zupełne zadowolenie z tego wyjaśnienia, poradził jednak Orłowowi, żeby to samo powiedział lordowi Clarendonowi.

Jakoż pełnomocnik rosyjski widział się z angielskim posłem, powtórzył to samo, co mówił Napoleonowi, i dodał, że w razie gdyby kwestya polska była rozpatrywaną na kongresie, cesarz rosyjski musiałby odpowiedzieć: „Polacy są buntownikami i rewolucyonistami; oni pierwsi zgwałcili konstytucyą, jaką im nadał kongres wiedeński. Mamy prawo traktować ich jak kraj podbity, i z prawa tego korzystamy.“ W przeciwnym zaś razie, jeżeli rządowi Aleksandra IIgo zostawioną będzie inicyatywa i swoboda działania, on, Orłów, przyrzeka, że skargi legalne Polaków otrzymają zupełną satysfakcyą i Polska osiągnie wszystko o czem tu mówiono. Zaręczał, że Polakom udzielona będzie ogólna amnestya, że przywrócona zostanie swoboda religii i kościoła katolickiego, że język polski w dawnych ziemiach Rzeczypospolitej wprowadzony będzie jako urzędowy do administracyi, sądownictwa i szkół, że nakoniec uniwersytet polski w Warszawie zostanie założony.

Na to Clarendon zauważył, że cesarz Aleksander może ogłosić zaraz te ustępstwa, albo przez deklaracyą złożoną

kongresowi, albo po jego zamknięciu, przez manifest do Polaków; że co do niego [Clarendona], to wolałby pierwszy sposób postępowania, który, według jego zdania, w niczem nie może ubliżać godności Rosyi, a natomiast wywrze jak najlepsze wrażenie i uchyli wszelkie nieporozumienia. Orłów obiecał donieść o tem depeszą telegraficzną do Petersburga.

Ze swej strony Clarendon pisząc o tem do lorda Palmerstona, wyraził opinią, że jakiekolwiek by były zamiary cesarza Aleksandra odnośnie do Polaków, to w każdym razie lepiej pójść za radą Orłowa i wyrzec się podniesienia na kongresie kwestyi polskiej. „Oczywiście, dodawał, stary Czartoryski nie pozwala nawet przypuszczać, żeby Rosya inaczej jak tylko pod przymusem mogła co dobrego zrobić dla Polakow. Nalega on, ażebym ja działał sam, ale zanadto jestem mądry, żeby to robić“.

W kilka dni potem Orłów zakomunikował Clarendonowi otrzymaną z Petersburga odpowiedź, zupełnie potwierdzającą poprzednie jego oznajmienia. Gabinet rosyjski stanowczo odrzucił propozycyą uwiadomienia w jakikolwiek bądź sposób kongresu o łaskach, jakie zostaną udzielone Polakom z powodu zbliżających się uroczystości koronacyjnych nowego cesarza. W liście do Palmerstona, Clarendon jeszcze raz położył nacisk na to, że należy tem się zadowolnić i nie poświęcać interesów „prawdziwych Polaków, t. j. mieszkańców Królestwa polskiego, wymaganiom emigracyi“, którą nic nie obchodzi los pierwszych, a która dba tylko o to, by nie nastąpiło przedawnienie praw, jakoby zagwarantowanych Polsce przez traktaty, w tym celu, żeby w razie wojny można się było do nich odwołać.

Wobec tego rezultat był łatwy do przewidzenia. Przyrzeczenia Orłowa nieokreślone, niewprowadzone w stypulacye kongresu, zadowolniły lorda Clarendona i reprezentantów mocarstw. Kwestya polska poszła w zapomnienie, wpadła znowu w to morze ciemności i cierpień, w których naród był pogrążony od lat trzydziestu blizko.

Taki miała przebieg sprawa polska na kongresie paryzkim. Wieści o tem doszły do kraju, do ogółu jego mieszkańców w formie niejasnej, w kształtach niepewnych, niemniej przeto fałszywych i przesadzonych. Zrazu łudzono się wielkimi nadziejami, potem gdy sam traktat stał się powszechnie wiadomy, szeptano sobie, że są artykuły tajemne i te właśnie mówią o Polsce. Złudzenie zgubne, jak tyle złudzeń naszych, dla których poświęcaliśmy najlepszą krew naszą, naszą przyszłość i byt sam narodowy nieomal; złudzenie, niestety! poparte do pewnego stopnia przez interpelacyą, jaką w parlamencie angielskim podniósł w kilka miesięcy później, dnia 11 Lipca 1856 r. lord Lyndhurst. Interpelant z powodu ogłoszonej w tym czasie amnestyi dla wychodźców polskich, podał, nie bez pośredniego zapewne przyczynienia się partyi monarchicznej emigracyi, mocnej i surowej krytyce rzeczoną amnestyą i w ogóle postępowanie rządu rosyjskiego w Polsce. „Amnestya, mówił Lyndhurst, pięknie brzmi, ale odbiera wszelką nadzieję..... Jeżeli mój przyjaciel lord Clarendon, zajmował się Polską na kongresie paryzkim, to rezultaty tego musiały być tak dla niego, jak i dla rządu angielskiego, upokarzające i obraźliwe. Obowiązkiem człowieka, którego głos może być wysłuchanym, jest: napiętnować publicznie tyle okrucieństw, tyle gwałtów i tyle ucisku! Pokrywanie milczeniem wszystkich tych okropności, byłoby wspólnictwem“.

Na interpelacyą tę, lord Clarendon wygłosił odpowiedź bardzo zręczną, bardzo dyplomatyczną, pełną napomknień i mglistych orzeczeń. Tłomacząc się koniecznością ostrożności, jaką mu nakazuje jego stanowisko jako członka gabinetu, minister prześlizgnął się szybko nad sprawą amnestyi i począł mówić o samym kongresie paryzkim i o podniesionej na nim sprawie polskiej. Zaznaczył więc najprzód silne, zdecydowane postanowienie pełnomocników angielskich i francuzkich „podniesienia kwestyi polskiej, podobnie jak i innych wielkich kwestyi, po zawarciu pokoju“. Nakoniec wyjaśnił powody, które zmusiły rzeczonych pełnomocników do porzucenia tego zamiaru.

„Mieliśmy (t. j. pełnomocnicy) poważne przyczyny do wiary, że zamysły cesarza rosyjskiego były wspaniałomyślne i dobroczynne; że cesarz nietylko zamierzał ogłosić amnestyą ogólną, ale nawet udzielić niektóre instytucye narodowe Polakom; że ci otrzymają zapewnienie swobody religijnej, że wychowanie w Polsce zostanie oparte na podstawach liberalnych i jak najbardziej narodowych. Mieliśmy prawo spodziewać się, że Rosya raz na zawsze porzuci system surowości, jakiego dotąd się trzymała. Uspokojeni wskutek tego przekonania, porzuciliśmy zamiar podniesienia tej kwestyi na kongresie... Zdawało nam się jednak, że polityka rosyjska mogła była dać poznać Europie swe zamiary pod tym względem. Lecz gdy nas przekonano, że takie żądanie z naszej strony, byłoby przez Rosyą w sposób obraźliwy tłomaczone... gdy dano nam do zrozumienia, że jeśli będziemy koniecznie domagali się dyskusyi nad sprawami Polski, możemy zaszkodzić kwestyi, której służyć pragniemy, wówczas pełnomocnicy Francyi i Anglii zaniechali swych zamiarów. Powtarzam jednak, że nie należy sądzić, by nasze milczenie było obojętnością; że sam tylko wzgląd na prawdziwy interes Polski i wychodźców, skrępował naszą akcyą“...

Dla ówczesnego pokolenia, dla emigracyi polskiej, która pragnęła się dowiedzieć, co właściwie mówiono na kongresie paryzkim o Polsce, i dlatego wywołała interpelacyą Lyndhursta, odpowiedź Clarendona była ostrożnem uchyleniem rogu zasłony. Była ona prócz tego pewną groźbą, wysłaną pod adresem Rosyi i Francyi, których dobre i przyjazne stosunki w tej porze, poczęły niepokoić Anglików. Dziś wiemy, że lord Clarendon i dyplomacya angielska, nie działała uczciwie i z dobrą wiarą w sprawie polskiej.

To były ostatnie słowa, które w tej dobie na scenie publicznego życia politycznego Europy, zabrzmiały o Polsce. Odtąd zapanowało o niej głuche milczenie; nie zapanowało ono jednak w samej Polsce, w ktorej wciąż żywiono to przekonanie, że kongres paryzki zamieścil w swych stypu-

lacyach tajne artykuły o Polsce, i że Rosya winna je wykonać, a jeżeli ich nie wykona, to trzeba ją zmusić do tego przez przypomnienie się w jakikolwiek sposób Europie. Powtarzamy, było to fatalne złudzenie, które w szeregu innych przyczyn, jakie z kolei opowiemy, spowodowało ruch 1861 r. tak krwawo, tak tragicznie zakończony.

Bądź co bądź jednak były czy nie było żadnych tajnych artykułów dotyczących Polski, kongres paryzki, na pewną grupę ludzi wrażliwszych, na ogół wreszcie kraju i emigracyi wywarł przygnębiające wrażenie. Cokolwiek by bowiem mówiono, to fakt pozostał faktem, że wśród stypulacyi międzynarodowych jeszcze raz zapomniano o Polsce i to w chwili, gdy największy wróg tej Polski leżał pokonany, gdy z tego położenia można było znaczne wyciągnąć korzyści. Nawet Francya, ta Francya, ku której ciągle zwracały się oczy i serca, nie podniosła głośno i publicznie, jak jej przystało, kwestyi polskiej. Któż nas teraz poratuje, wołano, kto nam poda rękę, lub obroni przed wrogiem? Zniechęcenie, rozpacz nawet w pewnych kołach emigracyi była ogromna. Leon Kapliński, znany w tej dobie poeta, jeden z epigonów romantyki, napisał wiersz pełen jak najczarniejszych, jak najrozpaczliwszych poglądów na przyszłość Polski, zaczynający się od słów: „zgasły dla nas nadziei promienie“. Autor nie widząc dla Polaków żadnej już nadziei, radził chwycić za noże i mordować swych wrogów. Wiersz ten odpowiadał tak dalece nastrojowi pewnych umysłów w tej dobie, że rozpowszechnił się bardzo i śpiewany był na nutę pełną melancholii w szarych godzinach smutku i żalu nad dolą polskiej ojczyzny....

Paskiewicz nie doczekał się zawarcia pokoju. Trapiony oddawna ciężką i bolesną chorobą, na którą szukając pomocy udawał się także do głośnego wówczas owczarza Króla, zamieszkałego pod Szydłowcem, umarł na zamku warszawskim d. 1 Lutego 1856 r. o godzinie 9ej rano. Schodził ze sceny dziejowej przez nikogo nieżałowany, przeklinany przez cały naród polski, którego był

krwawym i bezlitośnym katem; schodził w samą porę, bo jego usposobienie umysłowe i jego nawyknienia, w żadnym razie nie odpowiadały prądom i potrzebom chwili. Konał ciężko, dręczony według wieści przez widma i duchy. U łoża umierającego feldmarszałka rosyjskiego miał się pojawić duch matki powieszonego w r. 1834 Zawiszy, i jeszcze raz przeklinać tyrana tak samo, jak wtedy, gdy włóczyła się napróżno u nóg jego, błagając o życie syna. Umierał na chorobę męczącą i bolesną[1]), która w oczach publiczności polskiej przybierając kształty potworne, uważana była jako ciężka kara boża, za dwudziestopięcioletnie męczarnie, jakie zadawał Polsce Paskiewicz.

Pogrzeb odbył się d. 8 Lutego wspaniale i z niezwykłym przepychem. Zmarły był feldmarszałkiem trzech armii: rosyjskiej, austryackiej i pruskiej, i oba te państwa przysłały swych reprezentantów dla oddania ostatniej posługi nieboszczykowi. Feldzeugmejster austryacki von Parrot przybył do Warszawy w towarzystwie sześciu wyższych i niższych wojskowych[2]). Z oszczędnych zawsze Prus przyjechało tylko trzech oficerów.

Trumnę niesiono z Zamku przez Krakowskie Przedmieście, plac Saski, ulice: Wierzbową, Bielańską, Długą do cerkwi prawosławnej. Nazajutrz d. 9 Lutego przewieziono zwłoki na statek i Wisłą odesłano do twierdzy Iwangrodzkiej (Demblina), gdzie w miejscowości, zwanej Sioło Iwanowskie, stanowiącej część majoratu Paskiewicza, pochowano w osobnej kaplicy. Wojska rosyjskie z powodu tej śmierci przywdziały żałobę na dziewięć dni; na tyleż

---

[1]) Umarł właściwie na raka w żołądku; leczył go między innymi doktór Chałubiński, używający w tej porze nie małej wziętości i uchodzący za znakomitość lekarską. Wieść powszechna, utrzymująca że Paskiewicz za życia jedzony był przez robactwo, nie ma żadnej podstawy.

[2]) Przyjechał mianowicie pułkownik Karol Verancmann van Watervliet, komendant 12go pułku piechoty arcyksięcia Wilhelma; kapitan Karol Bellmond, porucznik Szilhavsky, jeden podoficer i dwóch szeregowców.

dni widowiska w teatrach warszawskich z rozkazu cesarskiego wstrzymano i wszystkim urzędnikom w Królestwie przez takiż czas kazano nosić żałobę.

Śmierć Paskiewicza zdawała się być jednym więcej dowodem, że los uśmiecha się Polsce, że kończy się kres jej cierpień i męczarni. Wszystko to zapowiadało. Od czasu choroby tyrana, sprawami cywilnemi zarządzał w Królestwie jenerał-adjutant Wincenty hr. Krasiński, Polak, jeden z tych szczątków napoleońskich żołnierzy, którzy sławę oręża polskiego zanieśli aż nad brzegi Tagu. Jakkolwiek przez swoją służalczość względem rządu rosyjskiego nie cieszył się on dobrą opinią, był powszechnie nielubiany, przecież postawienie Polaka, choćby tylko tymczasowe, na czele rządu w Królestwie, zdawało się zapowiadać, jeżeli już nie zmianę systemu, to przynajmniej dni lepsze.

Atmosfera swobody, rozluźnienia wszystkich kajdan, ukutych przez Mikołaja, panowała wszędzie, na całym obszarze imperyum rosyjskiego. Poczęły się pojawiać po dziennikach rosyjskich korespondencye z Polski, rzecz dotąd niesłychana; poczęto w salonach petersburskich mówić o Polsce, i ogólna opinia przeważała, że w dobie olbrzymich reform, jakie wkrótce mają nastąpić i których mglista zorza już się na horyzoncie ukazywała, należałoby coś także zrobić dla Polski, skończyć w niej z rządem wojskowym, który ani rządzonym ani rządzącym pożytku nie przynosi. Wprawdzie z wyjątkiem bardzo niewielkiej grupy ludzi, dla których to było obowiązkiem służbowym, ogromna większość urzędników rosyjskich oraz cały naród nie znał wcale Polski. Książek o niej po rosyjsku pisanych w tej porze całkiem nie było, korespondencye z Warszawy za rządów Paskiewicza zupełnie się nie ukazywały po czasopismach, bo on na to nie pozwalał, a jeżeli drżano przed nim w stolicy Polski, niemniej lękano się go w Petersburgu. A przytem, pod despotyczną władzą Mikołaja, wszystkie lepsze umysły i serca rosyjskie ogarnięte były apatyą i obojętnością nawet na sprawy własnej ojczyzny, a cóż dopiero na sprawy Polski, kraiku gdzieś na krańcach

olbrzymiego caratu zawieszonego, obcego językiem, religią, rządem i obyczajem. Zresztą, powtarzamy, nie było zkąd zasięgnąć tych wiadomości. Wojskowi, oficerowie, pułkownicy i jenerałowie, stojący nieraz po kilka lub kilkanaście lat w Polsce, jeżeli wrócili potem do swej ojczyzny, to umieli tyle tylko powiedzieć o kraju, w którym tak długo bawili, że są tam ładne kobiety i dobre rękawiczki. Z pomiędzy zaś cywilnych, którzy za Paskiewicza, w nader zresztą ograniczonej liczbie pojawiali się w naszym kraju, byli to po większej części ludzie bardzo nizkiej wartości moralnej i ciasnego, ograniczonego niezmiernie horyzontu, ludzie wykolejeni we własnej ojczyźnie, którzy szli do Polski szukać chleba i pieniędzy; inne zadania były dla nich obojętne. Wreszcie Paskiewicz nie bardzo lubiał, żeby jego współrodacy zjeżdżali się do Warszawy; krzywo patrzał na różnych awanturników, którzy tu od czasu do czasu pojawiali się szukając karyery i przy lada sposobności, pod eskortą żandarmów odsyłał ich napowrót do ojczyzny. Jenerałów i dygnitarzy rosyjskich traktował brutalnie, wymyślał im, tupał nogami i pięściami im wygrażał; to też ochotników na służbę w Królestwie było nie wielu. Tyran ten, despota, źle wychowany żołnierz, miał przytem umysł dość ograniczony i wcale nie widział potrzeby rusyfikowania Polski. Licznie rozdawane majoraty rozmaitym jenerałom i dygnitarzom rosyjskim, mające być niby środkiem do wytworzenia śród ziemiaństwa polskiego, zamożnej szlachty rosyjskiej, nie przyniosły tych korzyści, jakie miano na celu[1]). Donataryusze nie mieszkali wcale

[1]) W samej gubernii Warszawskiej, według źródeł urzędowych, było 42 majoraty, z dochodem rocznym 441,000 rubli. Najwyższe dochody bo 30 tysięcy rubli rocznie mieli: Bystrom, właściciel donacyi Chełmno w powiecie Łęczyckim; Fuhrmann, właściciel donacyi Brwilno w pow. Gostyńskim; Toll, właściciel donacyi Uniejów w pow. Kaliskim; i Kreütz, właściciel donacyi Kościelec w pow. Komińskim. Takich co mieli dochód roczny oznaczony na 5000 rubli było ogółem 21. Największa ilość majoratów, bo dziewięć, przypadała na powiat Piotrkowski; najmniej, bo dwa na powiaty: Stanisławowski, Rawski i Koniński.

w kraju, a mieszkając nie chcieli zakopywać się na wsiach, lecz majątki swoje wypuszczali w dzierżawę Polakom, dbając tylko o to, by jak najwięcej wyciągnąć z donacyi pieniędzy. Jak wszędzie w dygnitarzach rosyjskich i w ogóle w Rosyanach, tak i tu uderza zupełny z ich strony brak patryotyzmu rosyjskiego i odczucia interesu państwowego, jeżeli patryotyzmem jest rusyfikowanie Polski i jeżeli ono leży w interesie państwa.

Inni znowu, garść rosyjskich urzędników, głównie zamieszkała w Warszawie, nie miała nic innego na celu, tylko przypodobać się swemu groźnemu panu, Paskiewiczowi, i żyć wygodnie. Nie przyjmowani nigdzie przez towarzystwo polskie, które umiało od nich odgrodzić się nieprzebytym murem, żyjąc samotnie wśród polskiego otoczenia, powoli polonizowali się sami, przejmowali obyczajami polskiemi, zgrywali się w karty, pili i bardzo często żenili z jaką Polką, wyrwaną albo z domu publicznego, albo z kawiarni.

Było jeszcze kilkudziesięciu kupców rosyjskich, rozrzuconych po Warszawie i znaczniejszych miastach prowincyonalnych, zwanych powszechnie „kacapami", ale ci mając na celu jedynie swe interesa handlowe, żyli cicho, nie mieli żadnych pretensyi do panowania nad Polską i powoli, w ciągu lat ulegali także wyższości i urokowi życia i otoczenia polskiego. Wielu bardzo z nich osiadło tu na zawsze, a dzieci ich już były Polakami pod względem wyobrażeń, pojęć i języka, i z Rosyą łączyła ich tylko religia. W ogóle ta sfera ludzi była najuczciwsza i z małym wyjątkiem lubiana.

Wszystkie te klasy Moskali, jeżeli niekiedy wracały do ojczyzny, to nie przynosiły tam żadnych wiadomości o Polsce, i Polska dla ogółu rosyjskiego była równie obojętną, równie mało znaną jak Kochinchina lub Abissynia. Rzadkich za czasów Mikołaja podróżników rosyjskich, przejeżdżających przez Polskę, uderzała zupełnie różna i obca jej fizyognomia względnie do własnego kraju. Napotykali oni tu liczne i dobrze utrzymane drogi, gęste wsie, pola

starannie uprawne, ludność ruchliwą i czynną. Znać było na każdym kroku wyższą cywilizaczą; nie było tych wielkich, pustych, bezludnych przestrzeni, zarosłych lasami, przez które podróż wlokła się monotonnie nieraz całemi dniami, jąk w Rosyi. Tu nigdzie ziemia nie leżała odłogiem, wszędzie gdzie okiem było rzucić widniały wsie, błyszczały wieże kościołów, dwory szlacheckie, chaty chłopskie i miasteczka pełne żydostwa. Kraj był inny i dla Rosyanina wjeżdżającego tu po raz pierwszy, była to już obczyzna, zagranica. Komory celne, znajdujące się na kordonie między Królestwem i Cesarstwem, nadawały temu poglądowi na rzeczy, pewien stempel rzeczywistości widocznej, niezaprzeczonej.

Rosya więc nie znała nas, ale i my Rosyi nie znaliśmy. Podróżnicy nasi ówcześni, pomimo wysokiej ceny pasportów, tak licznie reprezentujący polską rozrzutność i polskie chore żołądki po różnych badach niemieckich, nigdy nie puszczali się do Rosyi. Był to świat dla nas zupełnie obcy i nieznany. Książek o Rosyi nie było żadnych, a jeśli były, to pisane przez emigracyą, przez zbiegłych z Syberyi skazańców, pełne zatem nienawiści i fałszywych sądów. Książki te zresztą były zakazane, ztąd mało czytane i w ogóle dające nieprawdziwy, skażony przez nienawiść pogląd na Rosyą i Rosyan. Fantastyczne sądy zabarwione grozą i okropnością, zastępowały prawdziwą znajomość kraju i narodu, z którym los nas związał i który przeważny wpływ wywierał i wywierać musiał na nasze przeznaczenia. Rosya dzięki tej nieznajomości w wyobrażeniu naszem była zawsze „kraina pusta, biała i otwarta, jak przeznaczona do pisania karta“, że użyjemy słów poety; lud dziki i okrutny, urzędnicy straszni i krwawi. Liczne krzywdy, jakie nam zrobił rząd rosyjski, szły na karb całego narodu. Uważano go w ogóle za piekielne jakieś zbiorowisko katów, morderców i złodziei.

Tego fałszywego i szkodliwego dla obu stron sądu, nikt nie prostował. Niemożność pisania o Rosyi czegokolwiek pod cenzurą, brak wszelkich korespondencyi ztamtąd

w gazetach naszych, zachowanie się nakoniec tej garści Rosyan, którzy do nas przybyli i rządzili, usprawiedliwiały zupełnie i nadawały tym sądom cechę autentyczności. Jeżeli każden prawie Moskal, przybyły do Warszawy na wysoką jaką posadę, dopuszczał się wszelkiego rodzaju nadużyć i gwałtów, jeżeli kradł i rozbijał, jeżeli był brutalem, źle wychowanym i okrutnym, to rzecz prosta, że z jego postępowania sądzono o całości narodu rosyjskiego. A na nieszczęście z małym bardzo wyjątkiem, wszyscy rosyjscy dygnitarze do nas przybyli, takimi byli, począwszy od Paskiewicza, a skończywszy na ostatnim woźnym. Wszystko to byli ludzie najgorszych instynktów i żadnej moralności i uczciwości; wszyscy kradli, brali łapówki, obdzierali gdzie mogli i jak mogli, nieprzyzwoicie i grubijańsko obchodzili się z podwładnymi i publicznością, wszyscy byli karciarze, pijacy, rozpustnicy. Iluż to z pomiędzy nich pożeniło się z ladacznicami, wywleczonemi z zamtuzów publicznych!

Te to śmieci, te odpadki narodu rosyjskiego, awanturnicy i łajdacy, jak z jednej strony powodowali najgorszą i z gruntu fałszywą opinią o całym narodzie rosyjskim, tak z drugiej wpływali niezmiernie niekorzystnie na kraj, którym rządzili. Za przykładem dygnitarzy rosyjskich okradających skarb bezczelnie i biorących łapówki od każdego, rozpowszechniło się w szeregach czystej dotąd pod tym względem administracyi krajowej łapownictwo na wielką skalę. Za śniadanie, za kubana wszystko można było zrobić, i jakkolwiek środek taki osłabiał nieraz siłę zgubnych ciosów, wymierzanych przez rząd na kraj, wszelako poniżał godność osobistą i poczucie obowiązków w bardzo licznej klasie urzędniczej polskiej. Do pewnego stopnia jednak tych ostatnich usprawiedliwia to, że pensye, jakie ze skarbu pobierali, były w ogóle bardzo małe, nieodpowiednie i niewystarczające na utrzymanie nawet siebie i rodziny. Przytem wymagania znacznie wzrosły. Warszawa za rządów Paskiewicza miała niezwykły blask i pozory oddanego zabawie i zbytkowi miasta. Chroniczna choroba

polska życia nad stan, dorównania bogatszym, pokazania się, jak to mówiono, zmuszała tych urzędników do pomagania sobie wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi środkami. Wszystko hulało, grało w karty, zbytkowało i urzędnik więc hulał, grał i zbytkował.

Ten charakter hulaszczości i nie oglądania się na jutro, jak z jednej strony leżał i leży w usposobieniu narodu, tak z drugiej był sztucznie podtrzymywany przez rząd. Paskiewicz, podobnie jak Cezar, nie lubiał bladych twarzy, umysłówześrodkowanych w sobie, charakterów poważnych i skromnych. Jemu podobała się szalejąca za końmi, psami i kobietami młodzież; tracąca majątki przy zielonych stolikach lub w buduarach modnych lafirynd, bo życie takie odbierało jej energią, nie pozwalało myśleć o zadaniach ogólnych, o sprawach krajowych. Rozpustę i utracyuszostwo podtrzymywali swym przykładem dygnitarze rosyjscy, podtrzymywało rozpaczliwe usposobienie wszystkich lepszych umysłów w kraju. Bezowocność usiłowań narodowych w r. 1831, 1846 i 48, straszny ucisk, tysiące ofiar bezużytecznie padłych, tyle krwi najlepszej marnie wylanej, brak życia politycznego i w ogóle jakiegokolwiek życia społecznego i umysłowego, emigracya z kraju wszystkich ludzi najdzielniejszych, najenergiczniejszych i najzdolniejszych, lub wygnanie ich na Sybir, sprowadziła na Polskę drzemkę nieprzespaną, apatyą i zniechęcenie. Stracono nadzieję w możność wszelkich usiłowań i prób polepszenia swego i kraju losu, bo rząd wszędzie i zawsze stawiał nieprzełamane zapory. Umysły mierne i małe, tworzące ogromną większość w każdym narodzie, popadły w zupełne ogłupienie, próżniactwo i rozpustę; serca lepsze i gorętsze, dusze podnioślejsze i zdolniejsze, wobec tego stanu, zaraziły się jadem zniechęcenia, trawiły rdzą pesymizmu i ostatecznie oddały się używaniu życia tak zawsze krótkiego i raz jeden tylko posiadanego, lub niezdrowym, nieopartym na podstawach rzeczywistości marzeniom, temu słusznie nazwanemu „onanizmowi ducha", który niemniej od fizycznego wyczerpywał i obezsilniał.

Literatura w kraju miała na usta nałożony kaganiec i w niczem nie mogła oddziałać na zmianę tego usposobienia ogólnego; literatura emigracyjna zato, zrodzona w ponurej nocy wygnania, nerwowo rozdrażniona i chora, oderwana od kraju i karmiona bałwochwalczą czcią nieziemskiej jakiejś ojczyzny, podtrzymywała ten stan marzeń, chorobliwych iluzyi, rozpaczliwych skarg i elegii. Pod jej wpływem zapanowało przekonanie, że w kraju nic robić nie było można i nie należy; że Polska niepodległa i wolna powstać kiedyś musi przy pomocy zagranicznej, przy pomocy kataklizmu jakiegoś, pułków archaniołów z nieba zesłanych, które nie zjawiały się wprawdzie, ale zjawić kiedyś muszą. Wiele umysłów wrażliwszych opanował denerwujący mistycyzm, płód ucisku, nieprawe dziecię bólu i cierpień. Wszystkiego spodziewano się od kogoś, niczego od siebie. Pojawiali się fałszywi prorocy, którym wierzono i czczono ich jak bogów; rymotwórcy, którzy stawali się kierownikami nawy narodowej. Lada wiersz zrodzony na emigracyi, uważano za ewangelią narodową. Bujanie w chmurach, w mistycznych ekstazach, płacz gdzieś nad Tybrem lub Lemanem nad Polską, uchodził za wysoki patryotyzm, za pracę na warsztacie narodowym, podczas gdy w kraju szlachcic uciskał chłopa, chłop mordował szlachcica, a ojciec rodziny patrzeć musiał na to, jak mu dzieci ogłupiają i wynaradawiają w szkołach. Przyszło do tego, że gdy powszechne zapanowało przekonanie, iż w kraju nic robić nie można i nie należy, za emigracyą przymusową szła emigracya dobrowolna zdolniejszych i energiczniejszych ludzi, których bezczynność męczyła, a którym się zdawało, że tylko na bruku paryzkim można coś dla Polski robić. Jednem słowem, dwoma żyłami najdroższa krew narodu ubiegała: wychodźtwem i konspiracyą.

Pozostali zato w kraju, młodzież o dobrej, gorącej krwi polskiej, chcąc czemś zapełnić czczość i pustkę życia, oddała się namiętnościom poniżającym i hulaszczości bez granic. Warszawa szumiała od balów, od uczt, wydawanych dla ladacznic, od czwórek w łejc po krakowsku zaprzężo-

nych, pędzących z trzaskiem i fantazyą po Alejach Ujazdowskich, od gier hazardownych, w których pękały setki tysięcy złotych, ciężko, krwawo zapracowanych przez chłopa polskiego. Wytworzyła się cała klasa t. z. „złotej młodzieży“, która słynęła na bruku warszawskim ze swej hulaszczości, znaną była przez wszystkie modne i drogie traktyernie, handle win, dorożkarzy i kobiety publiczne. Niektórzy z pomiędzy tych złotych młodzieńców upamiętnili się w tradycyi ludu warszawskiego, jak Mniewski z Kutna i wielu innych, którzy ogromne fortuny zmarnowali na bruku warszawskim. Rząd tej hulaszczości sprzyjał, bo ona niszczyła młodzież moralnie, fizycznie i materyalnie, wypędzała z głowy myśli poważniejsze. Do Warszawy bardzo często zjeżdżał stary Ignacy Turkułł, minister sekretarz stanu Królestwa, wielki kobieciarz, i wówczas grupowała się koło niego cała gromada, takich samych jak on rozpustników. Do gromady tej należeli Teodor Paskiewicz, syn namiestnika, Michał książę Radziwiłł, bracia Podczascy, Edmund Chojecki, późniejszy głośny pisarz francuzki, i inni. Nadawali oni, że tak powiemy, ton rozpuście warszawskiej, wyrzucali za okna pieniądze, że użyjemy przysłowia ludowego, przepędzali całe noce przy kartach, po modnych restauracyach, po zamtuzach publicznych. Na przejażdżki zamiejskie wywozili nieraz cały balet warszawski i głośne orgie wyprawiali, które zwracały na siebie uwagę powszechną. Obok nich, nazwiska ladacznic, umiejących wysysać tę młodzież z pieniędzy i zdrowia, mających swe stosunki wszędzie, jak osławiona żydówka Manasowa, wpływająca nieraz na sprawy najważniejsze, w historyi nawet zaznaczone być muszą.

Urodzaje panujące prawie przez dziesięć lat z rzędu, zniesienie ceł zbożowych w Anglii, a ztąd popyt na pszenicę polską i żyto, wzmagający się dobrobyt w kraju, przyczyniał się także bardzo wiele do tej hulaszczości, która nieraz miała charakter oszołomienia się umyślnego i szukania zapomnienia w kieliszku wina, przy zielonym stoliku, lub na łonie pięknych kobiet. Na prowincyi smutną

sławę zjednały sobie jarmarki w Jędrzejowie, Skaryszewie, Łowiczu, Łęczny, gdzie zjeżdżano się tłumnie i hulano na zabój, krocie tracąc i marnując. Zapanowała apatya powszechna, obojętność na wszystko, ból jakiś głuchy, o którym starano się zapomnieć w hulankach i bachanaliach. Śmierć Mikołaja i jego sługi wiernego Paskiewicza, pokój paryzki, na którym wiedziano, że była mowa o Polsce, jeżeli dla jednych, dla dusz melancholijnych, był „zgaśnięciem nadziei promieni", to dla ogółu, sądzącego rzeczy z pozoru, wszystkie te wypadki inaczej się przedstawiały, ożywiły nieco zapadający w senną, chorobliwą apatyę kraj. Dało się uczuć powszechne zwolnienie więzów, a choć dotąd żadne nie zaszły zmiany w systemacie rządzenia krajem, przecież ogólny charakter tych rządów był łagodniejszy, miększy, bardziej ludzki. Wicher liberalizmu, który się zerwał z pośrodka gradu kul sewastopolskich, szumiał po całem, olbrzymiem imperyum i słychać było trzask łamanych przez niego dawnych, zmurszałych już wiązań. Powtarzamy, dawało się to czuć i u nas, w Warszawie i w całym kraju.

Po krótkich, zastępczych rządach jenerała Wincentego Krasińskiego [1]), namiestnikiem w Królestwie został Michał

---

[1]) Właśnie w tej porze, za rządów jenerała Krasińskiego, stał się fakt, który z jednej strony okazywał wyraźnie co warci są wszyscy dygnitarze rosyjscy, rządzący w Królestwie, z drugiej, wykazujący jasno, że gdyby Polacy zajmowali te stanowiska, takich nadużyć by nie było.

Dyrektorem Komisyi spraw wewnętrznych i duchownych był wtedy jenerał Wikiński, sławny łapownik, starający się o to tylko, by na wysokim swym urzędzie zrobić majątek. Spekulował on na wszystkiem, na wszystkiem starał się coś zarobić. Musiano mu się opłacać przy nominacyach na urzędy, probostwa, prelatury; zysk z dostaw skarbowych zawsze, co najmniej w połowie, tonął w jego kieszeni. Głośną w swoim czasie była restauracya pałacu Mostowskich, w którym mieściła się Komisya spraw wewnętrznych. Restauracyą tę puścił Wikiński w antrepryzę niejakiemu Dobronokiemu, weterynarzowi i ujeżdżaczowi koni z powołania. Paskiewicz lubił Wikińskiego, i według wieści, dzielił się z nim kubanami, więc wszystkie złodziejstwa i nadużycia nie wychodziły na wierzch, a nawet

ks. Gorczakow. Nominacya jego na tę godność nastąpiła w dniu śmierci Paskiewicza, t. j. d. 1 Lutego 1856 r. i nie miała ona żadnego charakteru politycznego, nie mówiła wcale o programie, jakiego rząd zamierza trzymać się w Polsce. Była raczej nagrodą, rodzajem wysokiej, dobrze płatnej i pełnej zewnętrznego blasku synekury dla starego, zasłużonego jenerała, ostatniego wodza sewastopolskiego, z którym nie wiedziano co zrobić i gdzie go pomieścić. Jeżeli co przemawiało za schorowanym, wątłym księciem Gorczakowem, to jego długoletni pobyt w Polsce, na stanowisku naczelnika sztabu, jego umysł łagodny, miękki, liberalny. W czasach modnego liberalizmu, gdy po salonach petersburskich brzmiały tylko słowa: wolność, swoboda opinii, idee europejskie, reformy: w takich czasach, nie podobna było posyłać, nawet do Warszawy, człowieka surowych, skostniałych, mikołajewskich przekonań. Zresztą, Polska zdawała się być tak cichą, tak spokojną, tak pozbawioną nawet snów i marzeń, że mógł nią rządzić pierwszy lepszy jenerał,

---

skarga jenerała Rüdigera, zaniesiona do Petersburga na Wikińskiego o przeniewierstwo, nie miała żadnego skutku.

Ze śmiercią Paskiewicza atoli zmieniło się położenie. Wikiński działając po dawnemu, razem z Czetyrkinem, naczelnikiem służby zdrowia w Królestwie, wziął łapówki kilka tysięcy rubli od pewnego doktora, i przedstawił go na posiedzeniu Rady Administracyjnej do nominacyi na fizyka miasta Warszawy. Ktoś jednak doniósł o wszystkiem Krasińskiemu, wskutek czego ten nominacyą powstrzymał i wziąwszy Wikińskiego na bok, we framugę okna, rzekł do niego: „doniesiono mi, że ktoś w Komisyi spraw wewnętrznych wziął od tego doktora pieniądze za nominacyą, nie wypada więc go nominować“. Zakłopotany Wikiński stracił przytomność i jąkając się odpowiedział: „Jej Bohu, nie ja, to Czetyrkin wziął“. Ze swej strony Czetyrkin dowiedziawszy się o zdradzie wspólnika, pojechał do Krasińskiego z tłomaczeniem się i zapewniał, że to nie on, Czetyrkin, ale Dyrektór główny Komisyi wziął od doktora trzy tysiące rubli. Krasiński wzruszył na to ramionami i zawołał: „a dajcież mi pokój, kto dojdzie który z was wziął łapowe!“ Fakt powyższy nie ukrył się jednak przed publicznością, wszyscy o nim mówili, a choć skandal był wyraźny i głośny, Wikiński jednak nie utracił swej posady, aż dopiero w parę miesięcy później, już za namiestnictwa księcia Gorczakowa.

mający za sobą pięćdziesiąt lat służby i formy przyzwoite w obejściu.

Gorczakow więc z wielu względów nadawał się na tę posadę. Był księciem, pochodzącym z bardzo starożytnej, kniaziowskiej rodziny. Jeden z jego przodków, Piotr Iwanowicz Gorczakow, bronił w r. 1609 przeciw Zygmuntowi III-mu Smoleńska. W ogóle mówiąc, Gorczakowowie należeli do arystokracyi rosyjskiej, dumnie się nosili i górnie patrzyli, choć ta gałęź, z której pochodził namiestnik, była stosunkowo dość ubogą i posiadała niewielkie dobra w gubernii Kostromskiej. Po surowym więc plebejuszu, jakim był Paskiewicz, który z czasem wyrósł na księcia, ale który nigdy nie mógł się pozbyć swych nawyknień żołnierskich, posyłano do Polski księcia, prawdziwego księcia z krwi i rodu, do tej Polski, którą zawsze uważano w Petersburgu za kraj arystokracyi i szlachty. Otaczała go przytem aureola dawnej chwały wojennej, błyszczały na nim promienie napoleońskiego słońca z pod Borodina, Budziszyna, Drezna i Lipska! Okrywał go jeszcze kurz i dym bojowy sewastopolski, uparta choć nieszczęśliwa obrona tej twierdzy. Na czole nie świeciły mu wawrzyny wielkiego wodza, ale był jenerałem, który zachował godność w nieszczęściu, honor w niedoli i w ogólnem rozbiciu cześć swej armii podniósł wysoko. Przez parę lat żył w obozie, wśród gradu kul, wśród łoskotu walących się murów i pękania granatów, więc słusznie należał mu się spoczynek na cichym, drzemiącym, jak się zdawało, tronie namiestnikowskim w Zamku warszawskim.

A przytem Gorczakow znał Polskę. Od chwili gdy jego artylerya, której był naczelnikiem przy szturmie do Warszawy w r. 1831, zasypała deszczem ognia i żelaza biedny szaniec Wolski, od tej chwili aż do dni Sylistryi i Sewastopola nie opuszczał Polski a raczej Warszawy. Pełnił tu obowiązki szefa sztabu Paskiewicza a później jenerał-gubernatora. I ten to długi pobyt przy tym brutalnym tyranie, plebejuszu, do którego słusznie można zastosować ruskie przysłowie: „ne daj Boh z Iwana pana“,

ten długi, powtarzamy, pobyt w Warszawie, zrobił z Gorczakowa to, czem się w końcu okazał na nieszczęście Polski. Pod żelazną ręką zdobywcy Erywanu i Warszawy, Gorczakow utracił i tę odrobinę własnej woli, energii i inicyatywy, jaką miał. Teraz gdy siadał na stolec wielkorządcy cesarskiego w Warszawie, był to już zgrzybiały starzec tak pod względem fizycznym jak i moralnym. Sam się do tego przyznawał głośno, mówiąc że „nie ma żadnej ufności i wiary w swe zdanie". Złamało go życie, ugięło zupełnie ten miękki charakter, a raczej ten zupełny brak charakteru.

Urodził się w r. 1792, w chwili więc gdy przybywał do Warszawy, liczył 64 lata, z których trzecią część przepędził pod żelazną, niwelującą ręką Paskiewicza. Ten chwalił się głośno, że „złamał" Gorczakowa, że zrobił zeń zero, i niestety! pod tym względem się nie mylił. Gorczakow był zupełnem zerem, bez zdania, bez decyzyi, ulegający wpływom dziś, by nazajutrz znów odrzucić te wpływy i samemu pozostać bez zdania, bez decyzyi. Paskiewicz, który w uniesieniu kopał jenerałów, pięściami im wygrażał, a zawsze obrzucał szeregiem najobelżywszych, najtrywialniejszych wymysłów, z Gorczakowem nie inaczej się obchodził. Zdarzyło się raz, podczas wojny węgierskiej, że go ręką po nosie uderzał i gadał mu, że jest zerem, niczem innem tylko zerem. Zero to jednak wypromował na wodza naczelnego w kampanii krymskiej, a choć wyrzucał sobie to później, jednakże fakt się stał, fakt który Rosya ciężko odpokutowała. Krwawe hekatomby z ciał żołnierzy polskich i rosyjskich nad rzeką Czarną, będą zawsze dowodem nieuctwa, niedołęstwa i nicości Gorczakowa.

Nie był to nawet średniej wartości wódz, nie miał w sobie, ani pociągu do wojskowości, ani zapału, ani nauki. „Studyowałem wszystko, mówił o sobie, i taktykę i strategią i inżenierią wojenną, ale wodzem naczelnym być nie mogę, bom nie dowodził nigdy samoistnie nawet batalionem". A jednak takiego człowieka zrobiono genera-

lissimusem w wojnie ciężkiej, trudnej, z największemi podówczas potęgami militarnemi w Europie. Wojna nie unosiła go, nie rozgrzewała, nie budziła w nim żadnych pomysłów. Kiedy postanowił wziąć Sylistryą i kiedy wojska zajęły wyznaczone im miejsca, gotowe na sygnał rakiety rzucić się do szturmu, i kiedy do wydania tego sygnału brakowało tylko pół godziny, nagle zjawił się kurjer cesarski, Protasow z rozkazem, że „jeżeli w chwili otrzymania tego pisma, Sylistrya nie jest wzięta, to się cofać natychmiast“. Pismo to Gorczakow odczytał przy świetle latarni, w pośród stu tysięcy gotowych do szturmu żołnierzy, i zamiast rakiety sygnałowej, nakazał odwrót za Dunaj! Zaiste, nie tak by postąpił Kromwell, Maurycy Saski, Fryderyk Wielki, Napoleon, lub choćby nasz Henryk Dembiński i Chrzanowski. Oni by wprzódy Sylistryą wzięli, zburzyli, wysadzili w powietrze, krwią jej mury napoili, a potem dopiero wyższy rozkaz spełnili.

Żeby jednak coś podobnego zrobić, trzeba mieć w sobie ducha wojskowego, trzeba mieć charakter, którego Gorczakow był całkiem pozbawiony. Jego wysoka, szczupła, zawiędła postać, jego chód podobny do chodu żurawia, jego zgarbienie się, twarz mała, płaska z wyraźnym typem mongolskim, nos siodłowaty, pod którym sterczały krótkie, szczecinowate wąsy, nie budziły w wojsku i w nikim zapału ani sympatyi. Był głuchy i ślepy. Za młodu, jego małe, czarne, ukośne, tatarskie oczki, pokryte były zawsze do połowy powiekami, znamienna cecha rasy, do której należał, co go zmuszało do podnoszenia głowy i przechylania jej nieco w tył; później ten wzrok zły i brzydki, starał się poprawić przez okulary, ale i te mu niewiele pomagały. Widział zaledwie na parę kroków przed sobą.

Wszystko to, wszystkie te wady fizyczne i moralne, niemożliwym go oczywiście czyniły jako wodza, jako żołnierza, nawet jako naczelnika władzy. Pozatem atoli, jako człowiek, miał dużo zalet i cnót, które w innych warunkach i na innem stanowisku, robiłyby zeń prawdziwą ozdobę towarzyskich i państwowych sfer. Był on wysoce

prawym człowiekiem i nigdy nie okradał kas skarbowych, jak to jest we zwyczaju u wszystkich dygnitarzy rosyjskich. Każdy grosz rządowy był dla niego rzeczą świętą. Jako wódz naczelny miał prawo pobierania pieniędzy na utrzymanie sześćdziesięciu koni; trzymał ich tylko osiem, resztę pieniędzy zwracał skarbowi. Gdy jechał do Warszawy dla objęcia namiestnikowskiego berła, cesarz dawał mu znaczną bardzo sumę (podobno milion rubli) na zagospodarowanie się w stolicy Polski. Gorczakow podarku tego nie przyjął. Fakt rzeczony nabiera tem większego znaczenia, że Gorczaków był człowiekiem bardzo ubogim, utrzymywał się tylko ze swej pensyi i że w ogóle czuł bardzo często dotkliwy brak pieniędzy Ojciec jego, właściciel ziemski w gubernii Kostromskiej, nie posiadał dużego majątku, którym syn rządził nieumiejętnie, bo do wszelkich rządów był niezdatny. Ojciec ten do pewnego stopnia był literatem, pisał wiersze, powieści, opery; był członkiem akademii petersburskiej nauk i w syna wlał zamiłowanie do literatury, nie wlawszy weń talentu pisarskiego, którego przyszły wielkorządca polski nie miał wcale. To zamiłowanie jednak, to usposobienie literackie nosiło na sobie pewne znamię arystokratyczne. Gorczakow nie znał literatury ojczystej i nie czuł do niej żadnego pociągu; zato francuzką znał dobrze i czytał książki tylko w tym języku. Raz jedyny napisał słaby wiersz rosyjski na przejście armii przez Dunaj, który to wiersz Mikołaj kazał wydrukować.

Ojciec zrobił zeń zresztą jeżeli nie kosmopolitę, to Francuza. Mówił zawsze po francuzku i cenił tylko tych, którzy odzywali się doń dobrą francuzczyzną. Dla tych, którzy udawali się do niego z jaką prośbą, jezeli tę prośbę wygłaszali po rosyjsku, był szorstki i niechętny; jeżeli zaś prośba wypowiedziana była w języku Gallów, chętnie jej dawał ucha. Po wałach obleganego Sewastopola, włóczył się bardzo często, nucąc pod nosem: „je suis soldat français!“ Zabawny wódz naczelny, bijący się z Francuzami i śpiewający ich pieśni żołnierskie. Ale Gorczakow to kosmopolita, arystokrata z przekonań, z wychowania i prag-

nień. Był nadzwyczajnie roztargniony, nieprzytomny, niezdecydowany i leniwy. Najważniejsze sprawy gotów był odkładać na później dla przeczytania jakiego nowego romansu francuzkiego. Usposobienia był cichego, spokojnego, ambicyi i pragnień nie miał wysokich. Nie lubił ostentacyi, przepychu, publicznych wystąpień w majestacie władzy. Jadąc do Warszawy na stanowisko namiestnika, odezwał się do jednego ze swych adjutantów: „nigdy nie marzyłem nawet o tem, że mogę wrócić do Warszawy, i przyznaję się, żem wcale niezadowolony. Jedynem mojem, największem pragnieniem jest posiadanie małego domku w Szwajcaryi, z pensyą, jaką sobie wysłużyłem". Pragnienie poetyczne, o Cyncynatowym zakroju, ale bez zasług i przeszłości rzymskiego wodza.

Władza więc ciążyła mu, przyjmował ją z niechęcią, nie lubiał jej, jako rzeczy, którą kierować nie mógł, nie potrafił. Był zresztą chory, stary, ślepy i głuchy. Nigdy nie mówił wyraźnie czego chce, mruczał coś pod nosem niejasno, że go trudno było zrozumieć. Pisał tak nieczytelnie, że tylko trzy osoby w Warszawie mogły go czytać. Był z natury miękki, dobry, łagodny i w ogóle nie zostawił po sobie złego wspomnienia w Warszawie, choć umarł obficie krwią polską zlany. Stworzony był na wielkiego, bogatego pana, któryby nie potrzebował nic robić, niczem się zajmować, chyba bujać w sferach fantastycznych marzeń i czytać romanse francuzkie. Los, który umie ludziom i państwom płodzić niespodzianki, zrobił go wodzem naczelnym i wielkorządcą Polski, to jest oddał mu w ręce dwa stanowiska niezmiernie śliskie i trudne, zadania nader skomplikowane, które pomyślnie mógł rozwiązać tylko człowiek żelaznego charakteru, silnej woli, talentu i umiejący stworzyć program i program ten wykonać w zupełności. Niestety! na nieszczęście Polski, a powiedzmy i Rosyi, Gorczakow takim człowiekiem nie był. Miękki, wrażliwy, jadąc z Bakczysaraju, gdzie w starej chanów krymskich siedzibie odpoczywał po krwawych dniach Sewastopola, do Petersburga i Moskwy, wezwany tam przez cesarza dla otrzymania

instrukcyi, musiał przebyć niemal całą Rosyą. Jakież zmiany tu zastał, jak różny obraz od tego, gdy niedawno, przed laty biegł, by stawić czoło związkowym! Wszystko dyszało swobodą, wiosną życia, nadziejami. Mimowoli ten wrażliwy starzec, to siwowłose dziecko zaczerpnęło w zeschłą swą pierś tego powietrza świeżego, tego powiewu liberalnego, który wiał wówczas po całym caracie. Gdy się jeszcze znalazł w Petersburgu, gdzie zabawił parę tygodni, gdy ze wszystkich stron o stępiały słuch przyszłego namiestnika odbijały się wyrazy: reforma, postęp, swoboda; gdy po wszystkich salonach słyszał jeno wolnomyślne zdania, tysiączne projekta, gdy nakoniec sam cesarz zdawał się pragnąć tylko pozbycia się części swej władzy na korzyść narodu, nie dziw, że puścił się do Warszawy, do stolicy „nieustającego spisku", z zamiarami jak najlepszemi, z chęcią rozluźnienia kajdan, skończenia raz na zawsze z dyktaturą wojenną, która przez dwadzieścia pięć lat łamała Polsce kości i połamać ich nie mogła.

Nakoniec dnia 13 Lutego 1856 r. przybył do Warszawy, między dobrze sobie znane mury, które nie budziły w nim żadnych przyjemnych wspomnień, między starych swych znajomych. Ci, którzy znali Gorczakowa dawniej, jego charakter miękki, dobroduszny i łagodny, uważali nominacyą tę za objaw bardzo znaczący, za oznakę, że rządy tyrańskie się skończyły a rozpoczną się rządy łagodne i gotowe do ustępstw. Nazajutrz, gdy w Zamku warszawskim, gdzie dotąd królował groźny i brutalny Paskiewicz, zebrali się wojskowi, urzędnicy, duchowieństwo, szlachta i wybitniejsi mieszczanie dla powitania nowego namiestnika, ten przemówił do nich w sposób przyzwoity, tonem od jakiego oddawna wszyscy byli odzwyczajeni. Swym głosem suchym, bezdźwięcznym, niewyraźnym, połykając połowę wyrazów, patrząc przez okulary i nikogo nie widząc, Gorczakow mówił: że cieszy się, że go cesarz mianował na takie stanowisko, że się znajduje znowu w Polsce, w której tyle lat przepędził. Zaznaczył, że „ci z kraju tutejszego, którzy służą w armii południowej i krymskiej, walecznie

się bili pod murami Sewastopola"; przytoczył nazwiska kilku, „którzy stanęli w rzędzie najznamienitszych i najświetniejszych oficerów". Cała ta mowa tętniła pewną sympatyczną struną, nie miała w sobie nic groźnego, żadnych obelg, oskarżeń i gróźb, które zwykle rozlegały się w takich razach z ust przedstawicieli rządu i w ogóle wywarła dobre wrażenie.

Wrażenie to zatarło się nieco przez nominacyą Pawła Muchanowa na dyrektora Komisyi spraw wewnętrznych i duchownych, po usuniętym nakoniec łapowniku Wikińskim. Był to nieomal pierwszy urzędowy krok nowego namiestnika, który przykro się odbił w kraju. Muchanow był powszechnie nie lubiany; należał do rzędu tych szkodliwych „diejatieli" rosyjskich, których później, po powstaniu Styczniowem takie mnóstwo do Polski się zleciało. Pierwotnie służył w wojsku i odbył w r. 1829 kampanię turecką, oraz polską w r. 1831. Przy szturmie do Warszawy miał się odznaczyć i „wypełnić kilka ważnych poleceń co do uspokojenia wodzów powstania i wcielenia do służby rosyjskiej żołnierzy armii polskiej". Zaraz po wojnie polskiej ożenił się w Warszawie z wdową, baronową Morenheim, Polką, z domu Mostowską, córką Tadeusza, która jednak w niczem nie wpłynęła na jego nienawiść do Polski i Polaków, jaką czuł całe życie. Do służby rządowej w Królestwie wstąpił w r. 1842. Jako pisarz nie bez talentu zajmujący się specyalnie dziejami polskiemi, [1]) mianowany został pomocnikiem Kuratora okręgu naukowego, jenerała Okuniewa. Okuniew go nie lubił, nie lubił także Paskiewicz. Muchanow bowiem był osobistością wysoce niesympatyczną, pozbawiony taktu, surowy w obejściu, z twarzą tatarską i ordynaryjną. Mimo jednak niechęci Paskiewicza, Muchanow był tak zręczny,

[1]) Wydał: 1) Dokumenta oryginalne o wzajemnych stosunkach między Rosyą i Polską, głównie w czasach Samozwańców (Moskwa 1833 r.) 2) Szturm Pragi d. 24 Października (v. s.) r. 1794 r. (Moskwa 1835 r.) 3) Rękopism Żółkiewskiego o wojnie moskiewskiej za panowania Zygmunta III. Przekład z polskiego (Moskwa 1835 r.).

tak potrafił intrygować, zrobić się koniecznym, że po Okuniewie otrzymał kuratorstwo okręgu naukowego.

Na tem stanowisku trzymał się uparcie i stale mikołajowskiego systemu tępienia oświaty i rusyfikacyi szkół polskich. Z właściwością wszystkich umysłów ciasnych, tępych, ograniczonych, do jakich bez zaprzeczenia należał Muchanow, nie lubiał wszelkich nowości i zmian. Raz wprowadzonego systemu i porządku nie chciał naruszać, choćby ten porządek najgorsze wydawał owoce. Postawił sobie przytem zasadę, nie robić przytem żadnych reform w Królestwie, nie wprowadzać doń nic takiego, czego jeszcze w cesarstwie nie było. „Nie mogę na to pozwolić, odzywał się, gdy mu podsuwano projekta reform, ażeby Królestwo uprzedzało w czemkolwiek cesarstwo". Lecz nie tylko nie pozwalał na zmiany, ale psuł to co zastał w kraju. Poziom oświaty obniżył niesłychanie. W szkołach za jego rozkazem uczono dzieci fałszywej historyi z osławionej książki Kajdanowa. Gdzie mógł wprowadzał wykład rosyjski, ograniczał liczbę uczniów, polecał rygor wojskowy, surowe kary za kołnierzyki wyglądające z poza sztywnych halsztuków mundurowych, za niezapięte na wszystkie guziki mundurki, za włosy długie lub wąsiki, za niesalutowanie oficerów po ulicach, za cywilny ubiór ucznia, za poezye Mickiewicza ukradkowo pod ławkami czytywane, za wszystko to ćwiczono rózgami młodzież, wypędzano ze szkoły. Ciało nauczycielskie usiłował zgangrenować; mianował wygnanych z pułku poruczników dyrektorami szkół, wprowadził system szpiegostwa i denuncyacyi wzajemnych; szkołę poświęconą nauce, obcą polityce, zrobił areną dążności politycznych i miejscem zepsucia. W instytucie szlacheckim, zakładzie służącym wyłączności rodowej, zaprowadził zwyczaj, że podczas karnawału dawano bale. Rozkoszna muzyka, panny postrojone i mocno wygorsowane, obfitość jadła i napoju rozgrzewały krew, łechtały wyobraźnie młodych chłopców; w każdym razie z nauką nie miały nic wspólnego. W ogóle system edukacyjny był jak najgorszy, co

kraj oburzało, drażniło i Muchanowa niecierpiano powszechnie.

Nominacya więc jego w d. 20 Marca 1856 r. na dyrektora najważniejszego i najbardziej wpływowego na losy kraju ministeryum, nie mogła być przyjaźnie widziana przez ogół i nie zapowiadała wcale, by rząd zamierzał zmienić zasadnicze podstawy swego systemu dotychczasowego. W rzeczy zaś samej tak nie było. Gorczakow zrobił to nie dlatego, by chciał dalej kraj gnębić i wstrzymywać w nim rozwój, ale dlatego, że czuł osobistą wdzięczność dla Muchanowa. Jeszcze kiedy był w Warszawie szefem sztabu, a później jenerał-gubernatorem, żył w przyjaźni z Muchanowem, który już wtedy miał przewidywać, że nie kto inny po chorym Paskiewiczu zajmie namiestnikowski tron w Królewstwie, tylko Gorczakow. Stosunki więc przyjazne z tym ostatnim starannie utrzymywał i gdy Gorczakow jechał na wojnę turecką, zaproponował mu, że zajmie się zarządem jego majątków w Rosyi, mocno zniszczonych, i w istocie stan ich bardzo poprawił. Przysługa taka dla człowieka, który nigdy nie wiedział co ma, który czuł nieustanną potrzebę pieniędzy i nie był pewny jutra, miała bardzo doniosłe i poważne znaczenie. Gorczakow więc chciał się wywdzięczyć, a przytem Muchanow nie był pozbawiony pewnych zalet. Podobnie jak jego zwierzchnik, nie był łapownikiem i grosz publiczny szanował, co po Wikińskim stanowiło zaletę niepospolitą. Imponował przytem wiecznie fantazyom oddanemu Gorczakowowi pozytywnością swego umysłu, tym realizmem wszystkich mierności, który niekiedy uchodzi za rozum, oraz stałym programem, którego się trzymał ściśle i od którego nie odstępował ani na krok. Wszystko to stanowiło pewną wyższość Muchanowa nad Gorczakowem, i ten ostatni urobiony przez Paskiewicza na to, by zawsze kogoś słuchał i komuś ulegał, nie wiedząc sam o tem, znalazł sobie pana w osobie Muchanowa.

Podczas kiedy Gorczakow był ślepym i głuchym i zdawał się drzemać na swym tronie namiestnikowskim,

Muchanow wszystko widział i słyszał. Nie tajny mu był ruch umysłów, jaki obudził się w Polsce ze śmiercią Mikołaja, i nadzieje, jakie ożywiały wszystkich, że młody monarcha zmieni zgubny i niszczący systemat rządów krajem. Zauważył on, że dwa prądy zbiegają się w Polsce, jeden idący ze wschodu, z olbrzymiego caratu, gdzie wszystko zapowiadało nową erę reform i swobody, drugi z zachodu, zkąd emigracya donosiła o obietnicach Orłowa, o mniemanych stypulacyach kongresu paryzkiego, nawoływała do czynu, do obudzenia się z drzemki. Widział on, że w Polsce wszyscy pełni są jak najlepszych nadziei, że te nadzieje ogarniają nawet inne ziemie polskie, zabrane przez Prusaków i Austryjaków. W tym czasie właśnie, Tytus hr. Działyński, dziedzic Kórnika i bogatej tamże biblioteki, wydał swój „Dyaryusz sejmu unii" i zamierzał na wstępie umieścić rodzaj odezwy do cesarza Aleksandra II-go, „najpotężniejszego władcy ludów słowiańskich", wzywając go niejako do krucyaty przeciw Niemcom, do tego, by „odbudowanie a nie zagłada były celem wspaniałych jego usiłowań", i dając mu przykład, że unia Litwy z Polską, zrobiła tę ostatnią potężną, a zatem unia Polski z Rosyą, oparta na poszanowaniu praw wzajemnych, nie mniej potężną przyszłość dla obu narodów stworzy. Dedykacyą tę napisał Działyński pod wpływem posła rosyjskiego w Berlinie, Brunnowa, który mówił o przyjaznem dla Polaków usposobieniu cesarza Aleksandra, o zamiarach reform i ulg, i kładł nacisk na to, że należałoby, aby Polacy jakimś aktem uroczystym, jakąś odezwą, jakimś objawem wreszcie publicznym, chcieli zaznaczyć swą sympatyą i ufność do młodego monarchy i tym sposobem ułatwili mu zadanie. Pod wpływem tych słów Działyński przygotował swą dedykacyą i pojechawszy do Paryża przedstawił ją ks. Adamowi Czartoryskiemu i emigracyi, otaczającej osiwiałego przedstawiciela polskości. Ale tu napotkał stanowcze potępienie swego kroku. Czartoryski, Zamoyski Władysław i inni, oburzali się na słowa czci dla tyrana, jak mówili, Polski. Gdy do tych zarzutów, wygłaszanych

przez emigracyą, dołączyli swoje i inni ludzie w kraju, należący do rozmaitych stronnictw i stanowczo potępiający zamiar Działyńskiego, oraz obawa, by rząd pruski nie wytoczył mu procesu o zdradę stanu, zachwiały nim tak dalece, że wydrukowaną już odezwę zniszczył, a egzemplarze z nią, znajdujące się w obiegu wycofywał, zaznaczając tylko w przedmowie do swego wydawnictwa, że odezwy tej nie pomieścił dlatego, że była „niezgodna z wypadkami zaszłemi w Polsce, a nawet z zasadami wielu najszanowniejszych rodaków". Bądź co bądź dedykacya ta była bardzo charakterystyczną cechą tych czasów, tej wiosny brzemiennej tylu nadziejami, tych prądów nakoniec, jakie po umysłach i sercach polskich przebiegały.

Uwagi Muchanowa nic nie uszło, co się działo w kraju. Znał on dobrze Polskę i wiedział jakie są pragnienia i aspiracye ogólne. Naród wtedy jeszcze nie zrzekł się ani jednego mniemanego prawa, nie chciał żadnej unii z Rosyą, chciał niezawisłości politycznej i historycznych swych granic. „Wszystko albo nic, a spotkania plac... powietrze", że użyjemy słów poety, wołali już wtedy zacietrzewieni politycy nerwów, głupcy, którzy dla marzeń gotowi byli poświęcić życie narodowe, sam byt jego przyrodzony, czerwieńcy, emigranci chorzy na tęsknotę i w tej chwili ziemską, historyczną ojczyznę wyobrażający sobie jako niebo, jako cudowny ideał, jako alfę i omegę bytu, dla którego wszystko, ostatnią kroplę krwi poświęcić należy. Gdyby im, tym biednym, oszalałym marzycielom powiedziano: będziecie mieli Polskę pod rządem carów rosyjskich, Polskę z zupełną autonomią ale w granicach jej etnograficznych, po Bug, San z jednej, po Bałtyk i Karpaty z drugiej, po Wartę i Odrę z trzeciej strony, to taką Polskę odrzuciliby i nazwaliby to zdradą ojczyzny. Im w długich nocach wygnania, przy połykaniu gorzkiego chleba tułactwa, podobnie jak i ich wychowańcom w kraju, pokoleniu wyrosłemu pod rózgą Muchanowa, kontrabandą zdobywającemu wiadomości o własnym kraju, jeżeli się śniła jaka Polska, to z królem własnym, z husarskiemi skrzydły,

z granicami Dniepru i Dźwiny! I wierzyli w to, że taką Polskę kiedyś wywalczą, zdobędą lub otrzymają. Fatalne złudzenie, które opłaciliśmy potokami najlepszej naszej krwi, i długą, długą nocą niewoli.....

Oczywiście w obec takich przekonań, takiego usposobienia umysłów, nie mogło być nawet mowy o jakimkolwiek kompromisie, o tem, by kraj choćby najszerszemi reformami mógł być zadowolony. To też te nadzieje, które pokładano w młodym cesarzu, nie były wcale ostatnią, że tak powiemy, stawką polską, ale wprost żądaniem uczynienia życia znośniejszem, możnością robienia czegoś, odbiorem części należności bez pokwitowania z niej. A potem co Bóg da i przyszłość przyniesie... Ponieważ w rządzie rosyjskim wiedziano dobrze o tem wszystkiem, żywiono dawną nieufność do Polaków, nieufność, ktora stała się już niejako systematem, nieufność ciągle podsycaną przez kierunek umysłow polskich, musiał więc nastąpić konflikt tych dwóch prądów, zgubny dla obu stron. Z jednej strony niechęć do ustępstw choćby najmniejszych, z drugiej niemożliwe wymagania, wywołać musiały i wywołały w istocie starcie, tem ostrzejszy przybierające charakter, im obopólnie usiłowano go uniknąć i zadawano sobie przymus przez rozum, przez widzianą ale nieodczuwaną należycie potrzebę załatwienia sporu na drodze polubownej. Ta potrzeba, zwłaszcza dla Rosyi, była w tej chwili nieodzowną i konieczną. Długa, krwawa wojna, w której ostatecznie carat został pobity lubo nie pokonany zupełnie, osłabiła go mocno, nadewszystko przeświadczyła, że żyć na sposób mikołajowski dalej niepodobna. Zainaugurowane przez cesarza Aleksandra II-go reformy, których pierwsze forpoczty, że tak powiemy, poczęły się już ukazywać, wymagały zupełnego wewnętrznego i zewnętrznego spokoju. Wszelkie więc zaburzenia w Polsce, w tej Polsce, o której, jak się to przekonano na kongresie paryzkim, Europa nie zapomniała i w razie potrzeby z pewnością skorzystałaby z ropiącej się rany polskiej, by przez nią zadać dotkliwy cios caratowi, były w najwyższym stopniu

nie na rękę Rosyi. Rozum więc, polityka, jakkolwiek niezupełnie uszciwa, bo na dnie mająca restrykcye i gotowość do odebrania jutro tego, co się dziś dało, nakazywała uczynienie pewnych ustępstw Polsce, choćby części tego co Orłow przyrzekał na kongresie paryzkim; z drugiej strony powstrzymanie surowe i bezwzględne wszelkich objawów nielojalnych i rewolucyjnych. Przez koncesye dla Królestwa czyniło się więc zadość dwom potrzebom, piekło się według przysłowia dwie pieczenie przy jednym ogniu, zyskiwało się spokój Polaków i stawało się przed Europą w postawie wysokiej i bezinteresownej uczciwości, że się dotrzymało swego słowa, choć nikt o to nie nalegał i nikt tego nie pilnował. Przytem w rządzie rosyjskim panowało to przekonanie, że Polska zdeptana i zmordowana przez Paskiewicza, zadowolni się lada czem, lada okruchami ustępstw, lada zwolnieniem więzów. Choć więc wiedziano o tych pragnieniach i aspiracyach, jakie wyżej nakreśliliśmy, uważano je jednak za marzenia niezbyt w gruncie rzeczy szkodliwe, a nadewszystko łatwe do powściągnięcia w każdej chwili. Zresztą miano niejakie nocye i o tem, że znajduje się w kraju pewna grupa ludzi wybitnych przez swój rozum, wpływy, bogactwa materyalne lub imiona historyczne, którzy skłonni są do kompromisu, którzy zadowolnią się lada czem, i w skutek czego rząd na nich w razie potrzeby będzie się mógł oprzeć. Było to ze strony rządu takie samo złudzenie, jak ze strony polskiej mrzonka o możności odzyskania historycznych granic Dniepru i Dźwiny. Zapominano o tem, że w kraju rządzonym przez dwadzieścia pięć lat w ten sposób, jak było rządzone Królestwo; w kraju rozbitym, gdzie największa, najliczniejsza część narodu jęczała w anormalnych więzach pańszczyźnianych i stanowiła tylko ciężki balast skołatanej nawy, gdzie nie było żadnego organu, przez któryby głośno można było przemówić, gdzie chłop nienawidził szlachcica, szlachcic chłopa, mieszczanin obu, gdzie wszystko trzymało się kupy tylko przez spójnią długiego żywota historycznego, przez nić pewnych pojęć, obyczai i zwyczai, że w kraju

takim nie mogą się znajdować osobistości na tyle wpływowe i na tyle znaczące, by porywały wszystko za sobą. Mogły być tylko pewne koła, pewne koterye, pewne grupy nakoniec ludzi, zwykle bardzo małe, przez ogół nieznane i nieuznane, które w żadnym razie na ten ogół oddziaływać na wielką, szeroką skalę nie mogły. Był to konieczny owoc długich, Paskiewiczowskich rządów, i Rosya wkrótce przekonać się miała jak gorzkim i zatrutym jest ten owoc.

Wśród takich to warunków i takiego stanu umysłów rządzących i rządzonych, na wiosnę spodziewano się przybycia cesarza do Warszawy i na bytność tę liczono bardzo wiele, przywiązywano do niej ogromne nadzieje. Myśl o konieczności odezwania się, upomnienia o swe prawa, przypomnienia się, lub objawienia swych uczuć i swych pragnień, była nieomal powszechną. Wiele mówiono o tem, ale nikt inicyatywy wziąć nie śmiał; na wszystkich leżała jeszcze straszna, ciężka groza rządów Paskiewiczowskich. Na trzy tygodnie dopiero przed przyjazdem monarchy, dnia 2 Maja, trzech znakomitych obywateli, a między nimi hrabia Jan Jezierski, marszałek szlachty lubelskiej, wielki zwolennik Statutu organicznego, przyrzeczonego niegdyś przez Mikołaja i nigdy niewprowadzonego w życie, człowiek, który w r. 1830 wysłany został przez rząd tymczasowy do Petersburga, i potrafił wtedy z niepospolitą śmiałością zaznaczyć swą lojalność względem cesarza i króla, a przytem rozumny, obdarzony niezwykłą odwagą w obronie interesów kraju, udało się do barona Firksa, publicysty znanego pod pseudonimem Schedo-Ferotti, Kurlandczyka rodem, a urzędującego w Warszawie od dość dawna, zdaje się w kancelaryi dyplomatycznej namiestnika, z prośbą o zredagowanie memoryału. W memoryale tym, który zamierzono podać cesarzowi, miały znaleść wyraz wszystkie życzenia i potrzeby kraju, a właściwie tej grupy ludzi rozumnych, umiarkowanych, do których należał Jezierski. Chciano prosić o amnestyą dla emigrantów, o powrót zesłańców z Syberyi, o ustanowienie Rady stanu, uniwersytetu, o język polski jako urzędowy, o Stany prowincyo-

nalne, Rady gubernialne i miejskie, i inne prawa i instytucye, objęte Statutem organicznym. Firks w trzy dni przygotował żądany memoryał i d. 5 Maja złożył go rzeczonym obywatelom, którzy ze swej strony prosili o zwłokę kilkudniową, by mogli pismo przedstawić swym przyjaciołom politycznym. Debaty musiały być nader ożywione; prawdopodobnie memoryał czytało bardzo wiele osób, gdyż Firks otrzymał go z powrotem dopiero w dwanaście dni, t. j. d. 17 Maja. Rezultatem tych narad było to, że żądania pierwotne znacznie zredukowano. Z sześciu punktów memoryału, stanowiących najpilniejsze potrzeby krajowe, wykreślono zupełnie dwa, a trzeci znacznie zmodyfikowano. Wyrzucono więc żądanie przywrócenia Rady stanu, jako przedwczesne i mogące w rządzie rosyjskim wzbudzić podejrzenia; takiż wzgląd nakazał wykreślić czwarty punkt, w którym proszono o uznanie języka polskiego jako urzędowego w całej administracyi Królestwa. Piąty nakoniec punkt, obejmujący Rady miejskie i gubernialne, oraz Stany prowincyonalne, zawsze z powodu wyżej przytoczonych względów znacznie zmodyfikowano. W ten sposób obcięty memoryał o jedną trzecią swej pierwotnej rozciągłości, przedstawiał tylko cztery następujące żądania: 1) amnestya dla wychodźców; 2) powrót zesłanych na Sybir; 3) udział obywateli ziemskich w administracyi kraju, przez wybieralność sędziów pokoju; 4) przywrócenie uniwersytetu polskiego. W tej formie zredagowany memoryał, baron Firks podjął się dostawić, za pośrednictwem osób trzecich do rąk monarchy.

Tymczasem cesarz jechał do stolicy polskiej, którą pierwszy raz miał odwiedzić jako monarcha panujący, jako samowładny pan potężnego imperyum. W Brześciu Litewskim, gdzie się zatrzymał dla obejrzenia twierdzy, zabiegł mu drogę niedawno mianowany (d. 22 Grudnia 1855 r.) jenerał-gubernator litewski, Nazimow, były kurator okręgu naukowego moskiewskiego. Nazimow człowiek niezły, miękki, jeden z tych wrażliwych ludzi epoki, na których oddziaływał silnie ożywiający prąd zapowiadanych reform i prze-

obrażeń, ale należący do wzrastającej w znaczenie partyi panslawistów, partyi mającej swe siedlisko w Moskwie, był w stosunkach pewnej poufałości z cesarzem, jako niegdyś jego instruktor wojskowy, jako towarzysz jego podróży po Rosyi w r. 1837 i po Europie w r. 1838. Zwykle dawniej, co rano zachodził do gabinetu swego wychowańca i tam gawędzono o rozmaitych przedmiotach. Tak samo było i w Brześciu. Wszedłszy do cesarza nazajutrz po jego przybyciu, zauważył, że jest smutny i zgryziony, co w owe czasy, w dni pełne nadziei i marzeń o świetnej przyszłości, dni, przez które nie przeszły jeszcze tragiczne próby późniejsze, było rzeczą niezmiernie rzadką. Cesarz był zwykle bardzo wesoły, rozmowny, promieniejący młodością, życiem, władzą, która zdawała się go unosić, urokiem otaczać, w którym znajdował przyjemność i pewną rozkosz. Nazimow więc był przykro dotknięty tym smutkiem młodego władcy, który według pojęć powszechnych, nie miał do tego żadnych powodów, i zauważył, że smutek ten zwiększył się, gdy na żądanie cesarza opisał mu opłakane położenie miejscowych włościan i krzyczące nadużycia stosunku pańszczyźnianego. Wówczas cesarz opowiedzial mu, że pierwsze jego kroki w sprawie usamowolnienia chłopa rosyjskiego wcale się nie udały. Gdy bowiem w Marcu bawił w Moskwie, tamtejszy jenerał-gubernator hr. Zakrewskij z powodu pogłosek o mającej nastąpić emancypacyi chłopów, prosił cesarza, żeby przyjął deputacyą od szlachty moskiewskiej i starał się ją uspokoić. Czyniąc zadość tej prośbie cesarz przyjął marszałka gubernialnego szlachty, kniazia Szczerbatowa, oraz marszałków powiatowych, i między innemi powiedział im te rozumne słowa, że „lepiej, żeby reforma poddaństwa chłopskiego wyszla z góry, niż żeby ona sama przez się poczęła się z dołu“. Słowa te, których nie spodziewano się wcale, sprawiły niezmiernie przykre wrażenie na szlachtę moskiewską, wychowaną w tradycyach wschodniego despotyzmu, niechętną reformom, któreby ich pozbawiły części władzy. Niemniejsze zdziwienie było śród publiczności rosyjskiej, nienawykłej do sły-

szenia czegoś podobnego z ust samowładnego monarchy. Zaciekli przeciwnicy reformy włościańskiej, jak jenerał-gubernator moskiewski, wspomniany hr. Zakrewskij, książe Orlow, hr. Adlerberg, oraz ówczesny minister dóbr skarbowych, późniejszy krwawy Murawiew Wieszatiel, agitowali przeciw reformie, a Murawiew, objeżdżając gubernie, głośno mówił szlachcie, że „żadnego usamowolnienia nie będzie". Wszystko to zgryzło cesarza, który chciał, żeby początek reformy wyszedł od szlachty i to od szlachty moskiewskiej, tej odwiecznej dziedziny carów rosyjskich, tej kolebki potężnego imperyum.

Nazimow broniąc szlachtę moskiewską, jednocześnie przeniósł kwestyą na grunt litewski. Mówił, że Rosya nigdy nie da sobie rady z kwestyą polską w tak zwanych guberniach Zachodnich (Wileńska, Grodzieńska, Kowieńska i Mińska), dopóki chłop litewski i ruski będzie poddanym szlachcica polskiego; że na Litwie właściwie niema takiego poddaństwa chłopa jak w Rosyi; że szlachta tutejsza rozumie doniosłość takiej reformy, gdyż jeszcze w r. 1818 z własnej woli i inicyatywy starała się o usamowolnienie chłopa, słała w tym celu deputacye do Petersburga, że zatem podniosła myśl cesarza dobrze się na ziemi litewskiej przyjmie [1]). W końcu wyraził żal, że jeżeli jego projekt

[1]) Inicyatywa tego projektu w r. 1818 wyszła od szlachty wileńskiej, poruszonej uroczystymi obchodami żałobnymi, jakie się właśnie wtedy odbywały na calej Litwie z powodu śmierci Kościuszki. Trzy powiaty gubernii wileńskiej wysyłając swych delegatów do Wilna na sejmik gubernialny, zaleciły im, aby sprawę uwolnienia chłopów od poddaństwa popierali. Obstawali za tem najsilniej Zawisza i kniaziowie Mirscy, opierali się: Pusłowski, Lubecki (późniejszy minister skarbu Królestwa) i Umiastowski, najbogatsi ludzie i liczący się do arystokracyi. Mimo tego oporu jednak, wyznaczono komitet, który miał się zająć ułożeniem przedstawienia do cesarza Aleksandra o uwolnienie chłopów. Sejmik grodzieński podniósł także tę sprawę za inicyatywą delegata nowogródzkiego Wawrzeńca Puttkamera, męża słynnej w poezyi naszej Maryli, ukochanej Mickiewicza. Zdaje się jednak, że twierdzenie Nazimowa o wysłaniu przez szlachtę deputacyi w tej sprawie do Petersburga, nie ma autentycznej podstawy.

będzie przyjęty, to szkoda, że tak ważna reforma nie będzie się rozwijała od środka ku kresom państwowym, ale przeciwnie od kresów ku środkowi. Na to cesarz odrzekł, że istoty rzeczy w niczem to nie zmieni i gorąco wezwał Nazimowa, by zabrał się natychmiast do przeprowadzenia swego projektu.

Załatwiwszy w sposób tak szczęśliwy kwestyą, która mu w tej porze najbardziej na sercu leżała, cesarz puścił się w dalszą drogę ku Warszawie. Przejechawszy granice Królestwa, zaraz na wstępie prawie, nadarzyla mu się sposobność zyskania serca ludności. Przybywszy w dniu 22 Maja na stacyą pocztową w Międzyrzecu, zastał tam żonę pocztmistrza Brzechty w połogu i na prośbę ojca trzymał nowonarodzone dziecię do chrztu, obdarzywszy przytem matkę kolczykami brylantowymi.

W Warszawie tymczasem gotującej się do przyjęcia młodego monarchy, na którym opierano tyle nadziei, ruch i ożywienie było wielkie. Zjazd był ogromny. Zjawiło się mnóstwo ziemian ze wszystkich stron Królestwa, przybyli marszałkowie szlachty: Niemojewski radomskiej; Ostrowski płockiej; Uruski warszawskiej; inicyator w sprawie memoryału Jezierski, koniuszy dworu, lubelskiej; Starzeński augustowskiej; zjechał ks. Pieńkowski, biskup dyecezyi lubelskiej; ks. Tadeusz hr. Łubieński, sufragan dyecezyi kujawsko-kaliskiej; zjechało się mnóstwo innych wybitniejszych osobistości i dygnitarzy. Wszystkie hotele były przepełnione; szewcy, krawcy, modniarki nie mogły nastarczyć z robotą. Stara polska stolica zajaśniała niewidzianym dawno blaskiem i życiem.

Zjawił się tu także nielubiany powszechnie, nie cieszący się dobrą opinią, uchodzący za człowieka twardego, nieużytego, zapamiętałego procesowicza i żywiącego przewrotne, jak mówiono wtedy, i niepatryotyczne tendencye, hrabia Aleksander Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski, właściciel ordynacyi Pińczowskiej. W kraju pozbawionym silnych charakterów, chorym na marzenia romantyki politycznej i na niemoc Hamletowską, nie lubiano

człowieka, który miał żelazną wolę i odwagę wypowiadania otwarcie swych opinii politycznych. Pamiętano mu dobrze i nie zapomniano podobno nigdy jego broszury politycznej p. t. „List szlachcica polskiego do ks. Metternicha“, wydanej w r. 1846, zaraz po rzezi galicyjskiej. W broszurze tej piętnuje pełnemi energii i podniosłości majestatycznej słowy, zrodzonemi w bólu obrażonego do głębi sumienia ludzkiego i narodowego, niecne postępowanie rządu austryackiego, który w swej niemocy uzbroił rękę chłopa polskiego na szlachcica polskiego. W rozżaleniu, łatwo zrozumiałem wobec takiego faktu, Wielopolski oddaje się na łaskę i niełaskę cesarzowi Rosyi i żąda odeń w zamian tylko pomsty, pomsty za krew polską tak niegodnie, tak nikczemnie rozlaną. Dla pokolenia rozmiękczonego na romantycznych tworach chorej z gruntu poezyi polskiej, dla pokolenia płaczącego nad dolą „matki sześćkroć przebitej“, i marzącego o odbudowaniu dawnej Rzeczypospolitej, taki jęk Jowiszowy był zanadto potężnym, taka polityka zanadto obcą. Car Mikołaj nie wysłuchał głosu szlachcica polskiego, owszem zrobił drugie za Sobieskim „głupstwo“, i zdradziecką Austryą w parę lat potem wyratował od rozbicia, a Wielopolski i tak już nieprzyjazną ku sobie opinią, jeszcze bardziej oburzył. Nie chciano żadnych paktów z Rosyą, nic od niej nie chciano, chyba tylko tego, by się wyniosła za Dniepr i Dźwinę. Wszelki głos inaczej brzmiący uważano za zdradę kraju, za proste odstępstwo od sprawy narodowej.

Tymczasem Wielopolski nie należał do ludzi, którzy rozpływali się nad losami Polski w denerwującym płaczu na lazurów głębinie jezior włoskich, lub „gdzie Aar wody błękitnemi spada“, którzy konali na niemoc na palącym bruku paryzkim i śnili Polskę seraficzną, ale myślał trzeźwo o Polsce realnej, prawdziwej, ziemskiej, i gotował się do działania dla jej dobra przy pierwszej przyjaznej okoliczności na gruncie, jaki wypadki dały jej w tej chwili za podstawę. Przybywszy w d. 20 Maja do Warszawy, pozostawiając na boku memoryał Jezierskiego, podjął myśl

adresu do cesarza, adresu nieokreślonego wyraźnie teraz przynajmniej, ale wychodzącego z punktu, jaki zapewne się znajdzie czy to w sposobie zachowania się cesarza w czasie jego pobytu w stolicy polskiej, czy też w słowach, jakie zapewne wypowie do tych lub owych.

Gdy w kołach polskich, a właściwie tylko w grupach Jezierskiego i Wielopolskiego agitowały się powyżej wyłożone projekta, w sferach rosyjskich niepokój nie był mniejszy ani mniej znaczący. Gorczakow wiedział już o tem, że cesarz ma zamiar porobić pewne ulgi, że mianowicie ma obdarzyć amnestyą wychodźtwo polskie. Pod wpływem Muchanowa, który przewidywał w tym kroku, jak na nieszczęście do pewnego stopnia nie bez słuszności, cały szereg niepokojów w kraju, począł się lękać powrotu do Polski „niepoprawnych agitatorów", a nadewszystko ks. Adama Czartoryskiego. W swej bujnej wyobraźni, wpadając z jednej w drugą ostateczność, mówił, że jeżeli Czartoryski będzie amnestyowany, to należy zwiększyć armią rosyjską w Królestwie. Napróżno jeden z dyplomatów rosyjskich zrobił mu uwagę, że „gdyby był namiestnikiem, to włożyłby na siebie wstęgę św. Andrzeja i pojechał przyjmować wracającego księcia Adama, który niebezpieczny na emigracyi, w kraju stawał się najlepszym nabytkiem dla Rosyi". Rozumna ta uwaga nie uspokoiła Gorczakowa i Muchanowa, i przestrach ten, te obawy miały wydać fatalne skutki.

Nakoniec, d. 22 Maja, o godzinie 10 wieczorem, wśród pełnej poezyi nocy majowej, cesarz Aleksander wjechał do stolicy polskiej, świetnie uiluminowanej. W otwartym powozie, mając u boku siostrę swą Olgę Mikołajównę, żonę księcia Wirtemberskiego, cesarz przejechał od rogatek moskiewskich na Pradze aż do Belwederu, wśród ulic zalanych potokami światła, przepełnionych tłumami, grzmiących jednogłośnym okrzykiem ludu, witającego w osobie cara Aleksandra swego monarchę, swego króla polskiego!

To entuzyastyczne przyjęcie zdziwiło sfery rosyjskie warszawskie, tych jenerałów i różnych dygnitarzy, którzy

wiedzieli, ile to trudów trzeba było, by na powitanie Mikołaja, wjeżdżającego do Warszawy, spędzić garść ostatniego motłochu, żydów i kobiet publicznych i zmusić je do krzyczenia: hura!“ Teraz nikt się tem nie zajmował, nikt o to się nie starał, a przecież ulice pełne były najwykwintniejszych kobiet, balkony błyszczały urokiem ślicznych twarzyczek i grzmiało takie hura, jakie nigdy jeszcze nie witało carów rosyjskich w starej polskiej stolicy. Poczęli więc między sobą mówić, że urządzili to wszystko magnaci, że będzie jakaś demonstracya z charakterem politycznym. Te pogłoski doszły do uszów Gorczakowa i gdy wieczorem zdawał sprawę cesarzowi z położenia kraju, wspomniał mu o nich, mówił o zamierzonym memoryale Jezierskiego, o adresie Wielopolskiego; wyraził swe obawy co do amnestyi; zaznaczył niepoprawność i ciągłość marzeń polskich, nadzieje kraju; i nalegał, by cesarz starał się przez surowe napomnienie, wystosowane do marszałków szlachty, którzy jutro mają mu się przedstawić, przywołać wszystkich do porządku, wylać trochę zimnej wody na rozgorączkowane głowy polskie. Gorczakow był tu echem natchnień Muchanowa.

Słowa te nie padły na grunt nieurodzajny. Cesarz wskutek wypadków historycznych, wpływu ojca, nakoniec usposobienia właściwego despotom i tym wszystkim, którzy krzywdę komuś wyrządzili, czuł pewną nieufność do pokrzywdzonych, przyjął uwagi Gorczakowa dobrze, zwłaszcza, że nie przestawano mu ze strony Austryi przypominać ciągle konieczności trzymania Polaków pod rządem ostrym i surowym. Dla polityków wiedeńskich bowiem z wielu względów wydało się być pożytecznem i korzystnem rozdrażnienie i wzajemna nieufność między Aleksandrem IIgim i jego polskimi poddanymi w Królestwie. Podnosząca się powoli kwestya włoska, ku której Francya okazywała już w tej chwili pewną przychylność, stawiała Austryą w położeniu nieprzyjaznem względem Napoleona IIIgo i zmuszała ją do robienia właśnie tego, czego Francya nie chce. Ponieważ zaś Francya pragnęła ułożenia się

przyjaznych stosunków między Polską i Rosyą, Austrya więc tego pragnąć nie mogła. Poseł austryacki hrabia Lichtenstein, który zjechał z cesarzem rosyjskim do Warszawy, działał w tym kierunku i przy każdej sposobności wspominając o rewolucyjnych dążnościach Polaków, starał się chłodzić i psuć dobre zamiary Aleksandra względem Polski. Gdy więc jego wpływy zbiegły się z przedstawieniami Gorczakowa, wywołać musiały skutek całkiem przeciwny temu, jakie pierwotnie zamierzał wywrzeć w Warszawie Aleksander. Z uwag, czynionych mu z obu stron, zrobił zaraz nazajutrz fatalny, niestety! użytek.

Gdy bowiem d. 23 Maja, przyjąwszy wprzódy dygnitarzy wojskowych, zwrócił się do duchowieństwa, urzędników i marszałków szlachty, powitał ich mową, która wywołała ogromne zdziwienie; przez swój ton miała cechę surowego napomnienia za winy niepopełnione, napomnienia, na które niczem dotąd nie zasłużono, nie dano do niego żadnego powodu. Mówił po francuzku, że przybywa tutaj z zapomnieniem przeszłości, ożywiony jak najlepszemi dla kraju chęciami, że oni, t. j. marszałkowie, powinni mu dopomódz w jego zamiarach, że jednak przedewszystkiem wzajemny ich stosunek winien się wyjaśnić; że chce, by porządek przez ojca ustanowiony, był nadal utrzymany, „a więc panowie żadnych marzeń, żadnych marzeń!“; że tych, którzyby je mieli, potrafi powstrzymać i czuwać będzie, by marzenia te nie przekroczyły granic ich imaginacyi. Zmieniając nagle ton surowy na łagodniejszy, mówił, że w ostatniej wojnie „wasi“ bili się na równi z innymi, odwołał się do Gorczakowa, „który był świadkiem, że walecznie przelewali krew w obronie ojczyzny“. Jeszcze raz powtórzył, że jest ożywiony najlepszemi chęciami, że Polska i Finlandya są mu równie drogie jak i inne części cesarstwa, lecz trzeba, żeby wiedziano, że dla dobra Polski i samych Polaków, muszą oni być złączeni na zawsze „z wielką rodziną cesarzy rosyjskich“. Skończył uwagą, że od Polaków zależy ułatwienie mu zadania i powtórzył z naciskiem: „żadnych marzeń, żadnych marzeń“. Poczem

wyrzekłszy parę słów do urzędników, zakończył, zwróciwszy się do duchowieństwa, przypominając mu, że „jego obowiązkiem jest nauczać ciągle Polaków, że ich szczęście zamyka się tylko w zupełnem zlaniu się z Rosyą“ [1]).

Wrażenie, jakie ta mowa wywarła na tych, co jej słuchali, a przez nich na kraj cały, było olbrzymie, i sam cesarz wygłaszając ją, nie przywiązywał do niej zapewne tej wagi, jaką ona w istocie miała. Było to w rzeczy samej wylanie zimnej wody na rozgorączkowane głowy polskie. Jakkolwiek dziś, gdy znamy powody tego wystąpienia, gdy wreszcie po bliższej rozwadze mowa ta nie zawiera nic takiego, coby istotnie mogło oburzać, i ma tylko znamię ostrzeżenia, usprawiedliwionego późniejszymi, niestety! wypadkami, przecież w owych czasach wywołała ona gwałtowny wybuch powszechnego niezadowolenia. Wszystkie stronnictwa w kraju czuły się nią dotknięte. Jeżeli dla grupy Jezierskiego i Wielopolskiego, dla partyi, którą nazwalibyśmy umiarkowaną, wzmianka o potrzebie „zupełnego zlania się z Rosyą“ była szkopułem, o który rozbić się mógł całkowicie ich program zupełnej autonomii pod berłem carów rosyjskich, to dla stronnictwa ruchu, dla nieustających spiskowców, dla marzycieli o cherubowej Polsce historycznej, dla ogromnej nakoniec większości narodu, słowa cesarskie wyrzeczone w pałacu Belwederskim, stanowiły istotny kamień obrazy. To, co oni mianowali swemi świętemi, nieprzedawnionemi prawami, nazwano tu marzeniem i zagrożono karą za te marzenia. Słowa te rozbiegły się po całej Polsce, nabrały niezmiernego rozgłosu, zmieniły się nieomal w przysłowie, brzmiały nieraz ironicznie i miały przywilej wywoływania gniewu nawet w ludziach zkądinąd najspokojniejszych, nie myślących o spisku

[1]) Z trudnością przychodzi ustanowić autentyczny tekst tej mowy. Mieliśmy przed sobą kilka relacyj: francuzkich, polskich i rosyjskich, i w każdej są pewne waryanty. Nie zmienia to jednak w niczem zasadniczej myśli samej mowy. W naszem sprawozdaniu poszliśmy za tekstem umieszczonym w zbiorze d'Angerberga (Paryż i Lipsk 1862, p. 1117).

i powstaniu, ale kołyszących w głębi serca ideał Polski niepodległej, opartej o dwa morza, o dziesięć gór i dziesięć rzek. Nazywano to obrazą narodową, policzkiem wymierzonym przez autokratę Polakom, podeptaniem wszelkich praw; i wszystkich nakoniec, umiarkowanych i zapaleńców, konserwatystów i rewolucyonistów może nie oburzała, ale irytowała wzmianka o żołnierzach polskich, „walecznie przelewających krew w obronie ojczyzny“ Rosyi, podczas wojny wschodniej. Słowa te, wraz z propozycyą zupełnego zlania się z Rosyą, zdawały się ukrywać jakąś głębszą myśl, która wypadkiem na wierzch wypłynęła, jakiś zarys programu, jakieś zamiary bezwzględnej rusyfikacyi, tępienia narodowości polskiej, dla której teraz jedyną ojczyzną miała być Rosya. Wprawdzie parokrotne napomknienie, że Polacy muszą być na zawsze złączeni z „wielką rodziną cesarzy rosyjskich“, przypominało warunki kongresu wiedeńskiego, na zasadzie których Rosya otrzymała Polskę, mówiły wrzekomo, że tę ostatnią łączyć będzie z caratem tylko osoba monarchy. Ale jak zwykle, gdy umysły są czemś podrażnione, gdy nerwy są chore i rozstrojone, widzimy wszystko w czarnych kolorach i same złe tylko strony przedmiotów, tak i tutaj, nie zauważono tych sprzeczności w słowach cesarskich, które najwyraźniej wskazywały, że nie żywi on względem Polski złych zamiarów, że nie ma dla niej programu zniszczenia i wytępienia, że mowa jego po większej części była improwizacyą. Bądźcobądź jednak mowa ta surowa przez swój charakter, wypowiedziana tak niespodziewanie, wywarła przykre i przygnębiające wrażenie.

Teraz jednak znało ją i bolało nad nią nieliczne grono tych, którzy się znajdowali na przedstawieniu w Belwederze; do ogółu jeszcze treść słów cesarskich nie doszła, i mógł on oddawać się złudnym nadziejom, urokowi przepychu, blasku i zabaw, jakie zapanowały w Warszawie. Stronnictwo umiarkowanych, grupa Jezierskiego mianowicie, bodaj czy nie najwięcej bolała nad tem, co się stało, zwłaszcza, że do pewnego stopnia była ona jedną z przy-

czyn surowych cesarskich napomnień. Wywoławszy je przez sam zamiar tylko przypomnienia o sobie, widziała swój projekt w samym zaczątku unicestwiony. Memoryał napisany przez Schedo-Ferottiego, utkwił w tece jakiegoś dygnitarza, który go miał cesarzowi podać, i więcej nie ujrzał światła dziennego [1]).

Za to Wielopolski nie rozstał się z myślą adresu. Mowa cesarska dała mu punkt wyjścia, którego dotąd nie miał. Już w dwa dni po niej, bo 25 Maja, adres był gotowy i przedstawiony kilku obywatelom, między nimi Tomaszowi hr. Potockiemu, szwagrowi margrabiego, człowiekowi wysoce rozumnemu, gorliwemu patryocie i posiadającemu znaczne w kraju wpływy — i został przez nich zaaprobowany. Ułożono się, że po balu, który szlachta dnia 26 Maja miała dać dla cesarza, gdy ten przyjmować ją będzie, Wielopolski stanie na miejscu marszałka szlachty radomskiej, odczyta i złoży monarsze adres. Dokument ten pełen jest wiernopoddańczych uczuć i dziękuje cesarzowi, że przybył do kraju „z zapomnieniem przeszłości“; odpierał zarzut marzeń, gdyż „nie oddając się żadnym marze-

[1]) Oto jak o tem opowiada sam Schedo-Ferotti w broszurze: „Etudes sur l'avenir de la Russie. Huitièm étude. Que fera-t-on de la Pologne?“ (edycya druga, Berlin 1865), p. 5:

„Przerobiwszy memoryał według udzielonych mi wskazówek, postarałem się o przepisanie go przez pewnego młodego kaligrafa, którego mi zarekomendowali moi pierwsi interlokutorowie; poczem gdy cesarz przybył, udałem się do pałacu Łazienkowskiego, do osoby mającej największe znaczenie w orszaku cesarskim (le plus important de la suite imperiale), której wręczyłem mą pracę, prosząc, by się z nią obznajmił, i jeśli to uzna za stosowne, by ją przedstawił cesarzowi. Nazajutrz stawiłem się o godz. 9-ej rano. Zostałem natychmiast przyjęty przez wzmiankowaną osobę, która mi powinszowała mego memoryału, chwaląc treść i formę, i który przyrzekła mi złożyć cesarzowi, jak tylko sposobność potemu się nadarzy. Wiedząc, że nie braknie okazyi rozmawiania z cesarzem dla człowieka, który widział monarchę trzy lub cztery razy na dzień, odjechałem, przekonany zupełnie, że moje pismo dojdzie gdzie należy; tymczasem omyliłem się, gdyż dowiedziałem się później, że mój memoryał został w tece jenerała, i że cesarz wcale o nim nie wiedział“.

niom i zamykając nasze pragnienia w granicach udoskonalenia organizacyi wewnętrznej“, ostrożnie upomina się o poprawę wychowania publicznego, i kończy przypomnieniem „dawnej naszej chwały i naszych nieszczęść, dowodów rozsądku i dojrzałości, jakie kraj złożył przez ćwierć wieku, w czasach pełnych zaburzeń i wstrząśnień“. Adres ten, jakkolwiek tak mało mówiący i stawiający właściwie jedno tylko żądanie, przedstawiony ministrowi spraw zagranicznych, księciu Michałowi Gorczakowowi, nie został przyjęty [1]).

Tymczasem Warszawa, wśród cudownej majowej pogody, oddawała się uciechom i zabawom, wywołanym przez przyjazd cesarza. Nazajutrz po mowie w Belwederze, dnia 24 Maja był bal w Zamku, wydany przez namiestnika. Dnia 25 dopiero, gdy Łazienki miały być wspaniale uiluminowane, a w teatrze tamtejszym „na wyspie“, miało być dane przedstawienie teatralne, niebo zaciągnęło się chmurami i lunął deszcz rzęsisty. Nie popsuło to jednak w niczem przygotowań jakie robiono do balu, wydanego dla cesarza przez marszałków w imieniu szlachty Królestwa, w pałacu Namiestnikowskim w d. 26 Maja. Cesarz przybył z Olgą i jej mężem, księciem Wirtemberskim, o godzinie wpół do jedenastej wieczorem. Przed bogato i ozdobnie przybraną wystawą przyjmowali monarchę namiestnik, książę Gorczakow i jenerał Wincenty hr. Krasiński, oraz członkowie komitetu, zajmującego się urządzeniem balu t. j. Muchanow, gubernator warszawski Łaszczyński, August hr. Potocki, dziedzic Wilanowa, i marszałkowie: Uruski, Jezierski, Niemojewski i Ostrowski. Na schodach od wejścia aż do sali, przeznaczonej na wypoczynek dla dostoj-

[1]) H. Lisicki w swem dziele: „Aleksander Wielopolski“ powiada, że jednym z powodów odrzucenia adresu, było wspomnienie o reprezentacyi kraju, co dążnościom szlachty rosyjskiej do systemu konstytucyjnego nowąby dało podnietę. Ponieważ jednak w adresie niema ani słówka o reprezentacyi, powód więc ten nie mógł istnieć i sam przez się upada. Główną przyczyną nieprzyjęcia adresu była obawa rządu przed każdą, choćby najlojalniejszą manifestacyą polską.

nego gościa, stanęła szlachta w podwójnym szpalerze, krzycząc polskie: niech żyje! przy odgłosie muzyki grającej hymn urzędowy. U szczytu wschodów witały Aleksandra gospodynie balu, panie Augustowa Potocka, Jezierska, Ostrowska, Starzeńska Kazimierzowa, Uruska i Niemojewska, biało ubrane, z wieńcami i girlandami kwiatów w rękach. Cesarz miał na sobie mundur granatowy ułanów gwardyi z amarantowymi rabatami i srebrnemi szlifami, przypominający narodowe wojskowe kolory. Bal rozpoczął Aleksander polonezem z Augustową hrabiną Potocką i Olga z Wincentym hr. Krasińskim. Bawiono się wybornie. Niewielkie, choć pełne smaku, w poważnym stylu cesarstwa sale Namiestnikowskiego pałacu, nadawały zabawie charakter prywatnego wieczorku, urządzonego przez poddanych dla swego króla. Cesarz był bardzo wesoły i swobodny; rozmawiał z kobietami, prawił im dusery, obrzucał ich piękne twarze, wspaniałe biusty, wytworne postawy, swemi dużemi, błękitnemi, rozmarzonemi oczyma. Życie, ruch, wesołość i ten odrębny, swojski, jakby domowy charakter balu, pozbawiony przymusu, etykiety, pełen jakichś prądów ciepłych i serdecznych, tak mu się podobał, że wymknął się cichaczem i pojechał do Łazienek, zkąd przywiózł księcia Sasko-Wejmarskiego dla pokazania mu jak to Polacy siebie i swego króla bawią. Wyborna wieczerza, lody i poncz rzymski od sławnego Contiego, cukry i ciasta od niemniej głośnego Loursa, doskonałe wina podniosły jeszcze wyżej temperaturę wesołości i kordyalności. Opowiadają, że jakiś szlachcic biały jak gołąbek, zbliżył się do Aleksandra z kielichem w ręku i zawołał: kochajmy się cesarzu! I łzy, serdeczne łzy uczucia popłynęły ze spłowiałych oczów starca!

Po wieczerzy cesarz odjechał żegnany polskiem: niech żyje! witany okrzykami na ulicy tłumów ludu, który przypatrywał się wspaniałej dekoracyi byłego Radziwiłłowskiego pałacu. Cały dziedziniec, na którym później, w dniach niedoli miał stanąć na znak pogromu, spiżowy posąg Paskiewicza, wybrukowano na nowo kosztem szlachty i oświecono

bardzo wspaniale. Kraty oddzielające go od ulicy ubrane były kolorowymi lampionami i gdy cesarz wjeżdżał zajaśniały ognie bengalskie. Przed pałacem urządzono pyszny portyk gotycki. W jednej z sal pomieszczono tarcze z herbami pięciu gubernii Królestwa i flagi w kolorach tychże gubernii. Bufet był w stylu maurytańskim. Wieczerzę dano na dole, w galeryi umyślnie zbudowanej od strony ogrodu i w czterech przytykających do niej salach. Świec paliło się przeszło sześćset; służba miała niebieskie fraki, umyślnie sprawione; jednem słowem bal pochłonął znaczne sumy. Szczęśliwa chwila, w której szlachta polska nie żałowała trudu i pieniędzy na to, by zyskać sobie nowego monarchę; jedyna, która niestety! nie miała się już nigdy powtórzyć i podobną była do tych niezdecydowanych, jasno przez słońce oświeconych obłoczków, które jednak w swem łonie kryją burze i pioruny.

Nazajutrz w pałacu Łazienkowskim zebrała się cała szlachta, która wczoraj bal dawała i gościła u siebie cesarza, by przedstawić się swemu monarsze. Muchanow stał na jej czele i wymieniał nazwiska wybitniejszych. Tu cesarz znów przemówił, że jest zadowolony z wczorajszego balu, że ten był piękny i że on nigdy o nim nie zapomni, że dziękuje za niego. Przechodząc następnie do przedmiotów poważniejszych, rzekł: że zapewne powtórzono im słowa wypowiedziane przed kilku dniami do marszałków szlachty, że powinni trzymać się rzeczywistego stanu rzeczy, tworząc jedną całość z cesarstwem, i porzucić wszelkie marzenia o niepodległości, jako nie mogące się nigdy urzeczywistnić. Powtarza jeszcze raz, takie jest jego przekonanie, że szczęście Polski a nawet jej ratunek wymaga, żeby ona nazawsze złączona była ze sławną dynastyą cesarzy rosyjskich, żeby była nieodłącznym członkiem wielkiej rodziny cesarstwa wszechrosyjskiego. Zachowując prawa i instytucye nadane Polsce przez jego ojca, jego wolą niewzruszoną będzie przyczynić się do wzrostu i pomyślności Polski, że gotów jest dać jej wszystko co może być dla niej korzystne, wszystko co ojciec jej przyrzekł darować

i istotnie darował (octroyé), że nic pod tym względem nie zmieni, że wszystko co jego ojciec zrobił, dobrze zrobił; że jego, Aleksandra, panowanie będzie dalszym ciągiem panowania ojcowskiego. Od Polaków zależy ułatwienie mu tego zadania, że na nich spadnie odpowiedzialność, jeżeli jego zamiary spotkają na drodze jakiekolwiek chimeryczne przeszkody. Dla pokazania im swej gotowości do ulżenia losu winnym, oznajmia, że dopiero co podpisał amnestyą, że pozwala na powrót do kraju wszystkim wychodźcom, którzy tego zażądają. Mogą oni być przekonani, że nie będą niepokojeni, że będą im wrócone prawa obywatelskie i nie będą pociągani do komisyi śledczych. Zrobił jeden tylko wyjątek; nie może przebaczyć zatwardziałym w swych błędach i tym, którzy w ostatnich latach nie przestali przeciw niemu spiskować i walczyć. Wszyscy, którzy powrócą będą mogli po trzech latach żalu za błędy, i dobrego sprawowania się, stać się pożytecznymi przez wstąpienie do służby publicznej. Lecz przedewszystkiem postarać się winni Polacy, by urzeczywistnienie dobrych jego zamiarów było możliwe, i żeby on nie był zmuszony do powściągania ich i karania; gdyby bowiem to na nieszczęście okazało się koniecznem, on znajdzie w sobie siłę i wolę potemu. Powinni więc starać się, by nigdy nie był do tego zmuszony.

W tem miejscu mowy, z pośrodka grupy milczących słuchaczów, wysunął się trochę naprzód marszałek Jezierski i chciał coś powiedzieć, wygłosiwszy nawet wyraz „Sire". Ale cesarz nie dał mu przyjść do słowa. Zwróciwszy się ku niemu, pytał: czy go zrozumiano? że on woli nagradzać jak karać, że mu jest przyjemniej wypowiadać swe zadowolenie, jak to teraz czyni, budzić nadzieje i wywoływać sympatyą, lecz powinni także wiedzieć i pamiętać o tem ciągle, że gdy będzie potrzeba, on potrafi być surowym i karać, nawet surowo karać.

Tę mowę swoją, będącą niczem innem tylko parafrazą poprzedniej, zakończył cesarz słowami: żegnam was panowie! lekko głową skłonił i znikł w wewnętrznych poko-

jach. Ale jakkolwiek nie zawierała ona w sobie nic nowego, jednakże silniej i bardzo stanowczo akcentowała konieczność zlania się Polski z Rosyą, wiekuistą nierozłączność tych dwóch krajów, piętnowała nazwą marzeń wszelką myśl o niepodległości i restauracyi dawnej Rzeczypospolitej i groziła za nią surowemi karami. W obec ogromnej większości narodu polskiego, nie rozumiejącego innej Polski jak właśnie taką, za którą cesarz chciał karać, umysły bystrzejsze, dalej widzące, przenikliwsze i przezorniejsze, już wtedy spostrzegły, że na tym punkcie niema i nie może być kompromisu z Rosyą, że w ogóle wszelki kompromis jest niemożliwy i ze względu na pragnienia niczem nieukojone z jednej strony a dążnością przeszkodzenia tym pragnieniom do urzeczywistnienia się z drugiej strony, konflikt jest nieunikniony, starcie konieczne w niezbyt dalekiej przyszłości. Oba kraje zdawały się biedz z przyśpieszoną prędkością po przepaścistej pochyłości, na dnie której leżało albo zwycięztwo, albo śmierć. Fatalne położenie, straszna logika faktów, która jak starożytny fenicki Moloch czekała z rozżarzonem łonem na pochłonięcie kraju, jego losów i przyszłości. Nic tej logiki zmienić nie mogło, ani ludzie, ani fakta. Była ona nieuniknioną jak przeznaczenie, nosiła w sobie tragiczność tego przeznaczenia. Wprawdzie rozumne i rozważne postępowanie, ustępstwa dawane we właściwej chwili przez rząd rosyjski, zdolność stanowczego i zdecydowanego powściągania w potrzebie wszelkich przekroczeń, mogły rozwiązanie tego ponurego dramatu odwlec, z trzech aktów rozłożyć go na pięć, ale nie mogły nigdy przerwać jego akcyi, wstrzymać końcowej katastrofy. Była ona tak fatalnie konieczną, tak naturalną w obec obustronnych aspiracyi i dążeń, jak to, że słońce wstaje co dzień rano i co dzień wieczór zachodzi. A jak słońcu nawet Bóg biblijny, z brodą rozwianą przez wichry nieskończoności, nie może powiedzieć Jozuowego: stań! tak nikt niestety! nie mógł wtedy fatalnego biegu wypadków nie tylko powstrzymać, ale nawet ich ruchu

zmienić w innym kierunku, fali powiedzieć, by się do snu ułożyła...

Mimo to wszystko, Warszawa nie odczuwając wcale tragiczności chwili, bawiła się dobrze wśród ciągłych festynów, wyprawianych na cześć cesarza. Tego samego dnia, 27 Maja, w którym została wygłoszona mowa w Łazienkowskim pałacu do szlachty, miasto naśladując tę ostatnią, wyprawiło w ratuszu bal dla monarchy, niemniej świetny i piękny. Wieczór majowy był prześliczny, gdyż samo niebo, jak gdyby chciało uświetnić pogodą te dni, płodzące w ciszy hydrę tragedyi, błyszczało z małym wyjątkiem, niezamąconym niczem lazurem i jasnem, wesołem słońcem polskiej wiosny. To też ulice przepełnione były tłumami ludności, rojem strojnych i pięknych kobiet, które jak barwne kwiaty świeciły na tle wspaniałej iluminacyi z lamp kolorowych, jakiemi udekorowano poważną, klasyczną fasadę teatru. Na placu, gdy cesarz nań wjeżdżał, zapalono ognie bengalskie, wśród których brzmiały radosne ludu okrzyki. Przyjmowali Aleksandra u bram ratusza książe Gorczakow namiestnik, Andrault prezydent miasta, jenerał Tomasz hr. Łubieński, noszący na swem czole wspomnienia minionej niepowrotnie sławy wojennej polskiej, August hr. Potocki, Roztworowski i notable mieszczaństwa. Więc stał tam ze swą dużą, brzydką ale charakterystyczną głową Szlenker, starszy zgromadzenia kupieckiego, osobistość bardzo wpływowa w mieście; Leopold Kronenberg mały, nizki, nerwowy, z twarzą rozumną, bogaty bankier warszawski; stał drugi bankier Józef Epstein, obaj przechrzczeni żydzi; stali i inni. Na wstępie do sali witały młodego monarchę, ubranego w ten sam co i na balu szlacheckim, granatowy mundur ułański z amarantowymi rabatami, które zdawały się przypominać świetne dni Aleksandra I-go i wojska polskiego, gospodynie balu; rozumna niepospolicie i dowcipna prezydentowa Andrault; świecąca majestatyczną powagą wielkiej damy Augustowa Potocka, hrabina Kosakowska, Branicka i nakoniec mieszczanki bez głośnych imion historycznych, ale błyszczące pięknością i wdziękiem markiz z cza-

sów Ludwika XIV. Była tu pani Kwiatkowska, żona czynnego i bogatego kupca; Fukierowa, żona znanego całej Warszawie kupca win, nosząca stare, historyczne imię patrycyuszów miejskich; Skwarcowa, żona rosyjskiego kacapa i bogacza wielkiego, nakoniec żydówki olśniewające swemi brylantami: Szymonowa Rozen i Fraenklowa, żony bankierów. Bal, jak zwykle, rozpoczął się polonezem, w którym cesarz tańczył z prezydentową, a siostra jego Olga z księciem Gorczakowem. Bawiono się dobrze. Cesarz kręcił się wśród kobiet, wśród słynnych ze swej piękności Warszawianek, mówił dużo, i po mazurze, któremu z przyjemnością się przypatrywał, około północy opuścił salę. Nazajutrz w południe wyjechał z Warszawy, udając się do Berlina.

Tak się skończyły „majowe dni“ warszawskie. Zaszczepiły one w umysłach, w sercach wszystkich stronnictw pewien zaczyn niezadowolenia i niewiary do rządu, który w osobie swego najwyższego zwierzchnika zapowiedział, że obecne panowanie będzie dalszym ciągiem poprzedniego. Przyniosły one prócz tego amnestyą dla wychodźców i zesłańców na Sybir. Była to więc pierwsza „łaska“ i jak na teraz jedyna z pomiędzy tych, jakich się spodziewano i oczekiwano. Pomijając umysły romantyczne, chorych polityków serca, których żadne ustępstwa i żadne reformy by nie zadowolniły, chyba ogłoszenie niepodległości Polski w granicach przedrozbiorowych, to nawet dla ludzi umiarkowanych, trzeźwych, rozumnych, liczących się z rzeczywistością, zawód był ogromny i bolesny. Wszak mieli oni prawo się spodziewać jeżeli już nie przywrócenia karty konstytucyjnej z 1815 r., jeżeli już nie wprowadzenia Statutu organicznego, to przynajmniej jakichś zmian i reform w administracyi kraju, w wychowaniu, w sprawach duchownych, w licznych zresztą ścieśnieniach, które czyniły życie w Królestwie nieznośnem, wypaczały je i podgryzały, krępując w każdym ruchu, w każdej uczciwej chęci działania dla dobra kraju. Nic z tego nie dano prócz surowych napomnień i groźb, prócz pewnego zwolnienia w nacisku

administracyjnym, ogładzenia ostrości rządów wojskowych[1]), łagodności w formach, prócz nakoniec amnestyi dla wychodźców i Sybiraków. Amnestya ta zapewne była bardzo pięknym czynem, mówiła o dobroci serca młodego cesarza, który zapomniał o dawnych urazach, nie jemu zresztą wyrządzonych, ale dla kraju nie stanowiła żadnej korzyści, nie znosiła i nie leczyła tych licznych ran i wrzodów, jakiemi ciało społeczne było okryte dzięki wtłoczeniu go w ciasne kajdany, w kaftan skórzany, jaki nakładają niekiedy na szaleńców. Rozpatrując nawet rzeczy ściślej, sądząc po faktach późniejszych, w ówczesnym stanie umysłów, pojawienie się w kraju kilku tysięcy ludzi wykarmionych goryczą wygnania, zdenerwowanych tęsknotą, rozmarzonych snami o tej dalekiej ojczyźnie, której nie spodziewali się już nigdy ujrzeć, zaprawionych w spiskach, było raczej szkodą niż korzyścią dla kraju. Było to niejako wrzucenie nowego fermentu w kadź już poczynającą „robić“, było to przyłożenie iskry do miny prochowej, do gazów nagromadzających się ciągle w znacznej ilości i nie mających żadnego ujścia.

Sam zresztą ukaz o amnestyi miał w sobie pewien ton obrażający dumę tej czystej, górno się noszącej, niezłamanej niczem emigracyi, jaką było wychodźctwo 1831 r. Nieszczęśliwi ci wygnańcy doprowadzili patryotyzm swój do niesłychanie wysokiego stopnia natężenia, do chorobliwej nieomal ekstazy, i ten stan ich umysłów nadał im cechę pewnej niezłomności, wysokiej cnoty, jaką żadna wcześniejsza ani późniejsza emigracya polska się nie odznaczała. W poczuciu swych świętych praw, w nieustającym proteście przeciw pogwałceniu tychże praw na nich i ich ojczyźnie, nie chcieli oni żadnych paktów z „najazdem“, jak mówili, nie ustępowali w niczem i nie żądali ustępstw. Było to czemś wspaniałem jako zasada, jako idea, ale w najwyższym stopniu niepraktycznem i szkodliwem dla

[1]) Ukaz z d. 10 kwietnia 1856 r. zniósł stan wojenny, istniejący nieprzerwanie od 1831 r. w Królestwie i na Litwie.

tej Polski, której oni uważali się za reprezentantów, za najwierniejszych synów. Strojąc się dumnie w purpurowe łachmany dawnego majestatu polskiego, gotowi byli na Termopilach „bez złotego pasa i bez czerwonego umierać kontusza“, zapominając w dziwnem, niepojętem zaślepieniu, że tą drogą mogą sam naród doprowadzić do śmierci.

Dla takich ludzi, noszących w ten sposób swe, jak mówili, posłannictwo, uważających męki długiego wygnania za służbę ojczyźnie, słowa amnestyi i sama zresztą amnestya była po prostu obelgą. Ukaz o niej twierdził bowiem, że emigracya polska podawała do rządu rosyjskiego „liczne prośby o dozwolenie powrotu do kraju z wynurzeniem żalu za chwilowe obłąkanie“, co najprzód było nieprawdą, a potem obrazą, rodzajem policzka danego całemu wychodźctwu. Że tu i owdzie, od czasu do czasu znaleść się mogli i zapewne znaleźli się ludzie słabszego charakteru, zmęczeni niedolą wygnania, strawieni tęsknotą za krajem, którzy podawali prośby do rządu rosyjskiego, by im pozwolił wrócić do ojczyzny, o tem nikt nie wątpi i nikt temu zaprzeczać nie będzie; ale żeby te prośby miały być liczne i żeby z nikczemną małodusznością nazywały powody swej emigracyi „chwilowem obłąkaniem“, to już było krzyczącym fałszem. Ukaz więc popełnił w swej osnowie gruby błąd i zdradzał przez to ten ciasny, policyjny na wskróś horyzont, który szpecił kłamstwem akt zkądinąd bardzo piękny i ludzki, kalał obelgą tych, których ułaskawiał. Twierdząc dalej, jakoby proszący oświadczali, że „wielu z pomiędzy wychodźców, a szczególniej ci, którzy opuścili kraj po rokoszu (1831 r.), wstrzymują się z podaniem podobnych próśb, jedynie z niepewności o przyszły ich los w kraju“, ukaz popełniał drugie kłamstwo i poniżał powody, dla których emigracya wstrzymywała się od powrotu do ojczyzny. Wszystko to, powtarzamy, nosiło na sobie cechę biurokratycznego poglądu na ludzi i rzeczy, i policyjnej ograniczoności; świadczyło, że w istocie nic się nie zmieniło w tym rządzie i ciężka sewastopolska szkoła niczego Rosyi nie nauczyła.

W obec tego byłoby dziwnem, gdyby emigracya nie zaprotestowała przeciw amnestyi, jakkolwiek ze stanowiska interesu kraju, lepiejby stokroć postąpiła, gdyby milczała i nie drażniła autokraty, w którego rękach leżały losy Polski. Sądząc amnestyą z emigracyjnego punktu widzenia, protestacya taka była konieczną, ze względu na honor obrażonych ciężko, ale służba ojczyźnie wymaga niekiedy takich poświęceń i poświęcenie to trzeba było zrobić. Stronnictwo Czartoryskich, które przez akt publiczny, wydrukowany w trzech językach, w d. 9 Czerwca 1856 r. odrzuciło z pogardą amnestyą, i tych, którzyby ją przyjęli, nazwało wprost zdrajcami kraju, zadość uczyniło interesom obrażonego honoru wychodźctwa, ale nie interesom swej polskiej ojczyzny. Protest, motywując odrzucenie, powiada, że powrót do kraju ulegać musi przedewszystkiem względom osobistego bezpieczeństwa; że amnestya, która pozwala wrócić do rodzinnego kąta, ale go właścicielowi nie oddaje, która, jako warunek przebaczenia, zapowiada nieufność i trzechletnią próbę, jest w ogólności ubliżającą i nic nie wartą. „Znane są w naszej historyi amnestye zupełne i wspaniałomyślnością nacechowane — woła protest — te nie nakładały na ułaskawionych innego warunku, jak obowiązek uznania istniejącego rządu“. Akt ten kończą protestujący nader charakterystycznemi słowami, które rząd rosyjski, gdyby był inny, gdyby miał w sobie poczucie sprawiedliwości, winien był bacznie rozważyć. „Chcieliśmy, brzmią te słowa, oswobodzenia naszej ojczyzny, i nie możemy mieć tego za błąd, co uważamy za obowiązek święcie wypełniony Doznaliśmy klęsk, ale nigdy nie doznamy wyrzutów. Do Rosyi nie mamy ani nienawiści, ani gniewu. W naszem położeniu spokój i rezygnacya chrześcijańska jedynie nam przystoją. Ale dopóki sprawiedliwość nie będzie wymierzona naszej ojczyźnie, nie wolno nam zrzekać się celu, jaki otrzymaliśmy w spadku po naszych ojcach, i dopóki pozostanie na świecie jeden głos wolny wygnańca, wołać on będzie do rządów i ludów: w imię Ewangelii i historyi, Polska ma prawo żyć życiem narodowem i nie-

podległem". Oprócz partyi monarchicznej protestowały przeciw amnestyi i inne stronnictwa emigracyi [1]), nawet Towiańczycy wracać nie chcieli, bo chociaż „mają pozwolenie od rządu, nie mają pozwolenia od Boga".

Jakkolwiek ludzie umiarkowani uważali protestacyą za błąd, wywarła ona jednak silne wrażenie tak na ogół w kraju, jak i na samą emigracyą. Liczba takich, którzy podawali do ambasad rosyjskich prośby o pozwolenie powrotu, była wcale nie wielka. Ani jedna wybitniejsza osobistość emigracyi, żaden jenerał, poseł na sejm, członek rządu rewolucyjnego, żaden pisarz znakomitszy nie korzystał z amnestyi. Wracali tylko ludzie bez znaczenia, bez wpływu, żołnierze lub niżsi oficerowie, robotnicy, biedacy, i nawet między tymi emigracya z 1831 r. stosunkowo bardzo mały stanowiła procent. Przeważnie przyjęło amnestyą wychodźctwo z r. 1846 i 1848 i późniejszych, ludzie wychowani już w szkole rosyjskiej, mniej hartowni, mniej zapaleni i mniej nieprzejednani. Stara gwardya jednak umierała, ale się nie poddawała, umierała z rozdartem sercem, z gorącem pragnieniem ujrzenia choć na chwilę niw ojczystych, jak błądzący Ulises „błękitnego dymu Itaki", tych pól „wyzlacanych przenicą, wysrebrzanych żytem", strawiona tęsknotą, całując grudkę polskiej ziemi, którą każdy z nich nosił na piersi. Wielkie charaktery, wielkie poświęcenia i wielkie serca, niestety! kopiące grób samowolnie tej umiłowanej tak gorąco przez siebie ojczyźnie.

W ogóle, jeżeli wierzyć można urzędowym danym,

---

[1]) Ukazał się mianowicie wcześniej od aktu partyi monarchicznej, bo pod d. 6 Czerwca, gwałtowny i gorący protest, który między innemi powiada: „wychodźcy polscy oznajmiają w obliczu swej ojczyzny i świata cywilizowanego, że odrzucają amnestyą cara Aleksandra II-go, jak również wszelką inną, jakąby im ofiarował którykolwiek z trzech zaborców ich ojczyzny, i nie stąpią na ziemię rodzinną dopóty, dopóki Polska nie będzie wolną i niepodległą, oświadczają, że mają niezachwianą wiarę w odbudowanie ich ojczyzny i choćby mieli umrzeć na ziemi wygnania, oczekiwać będą ostatniej godziny jak ofiary, z których kości powstanie kiedyś całe pokolenie mścicieli".

wrócić miało do kraju od r. 1857 do 1860 około dziewięciu tysięcy emigrantów; cyfra znaczna i która konieczny musiała wpływ wywrzeć na sprawy krajowe. Większość emigrantów byli to ludzie mimo wieku, mimo nieszczęść i niedoli zahartowani, wyćwiczeni w spiskach, polityknjący ciągle i jedynie polityką zajęci. Pomiędzy nimi znalazło się wielu takich, którzy wcale nie podchodzili pod dobrodziejstwa amnestyi, a którzy czy to przez prostą nieświadomość, czy przez rozpaczliwą potrzebę serca odetchnięcia ojczystem powietrzem, wracali. Względem nich rząd zachowywał się nader łaskawie. „Dziś panuje nam cesarz Aleksander, minęły już czasy mikolajewskie", mówił komisarz cyrkułowy do jednego z takich wychodźców, Antoniego Jeziorańskiego, późniejszego jenerała powstania 1863 r., który jako biorący udział w kampanii węgierskiej i krymskiej wyjęty był z pod amnestyi, a mimo to do kraju wrócił. Potrzymano go parę dni na odwachu, i w końcu za poręczeniem dwóch właścicieli domów w Warszawie wypuszczono na wolność. Do tej kategoryi emigrantów należał Abicht Henryk, współpracownik „Kolokoła" Hercenowskiego. Powróciwszy do kraju, dostal posadę na poczcie w Warszawie i sprowadzał mnóstwo broszur, odezw i świstków rewolucyjnych; wrócilo bardzo wielu innych, którzy w późniejszych wypadkach mieli odegrać ważne, niekiedy pierwszorzędne role. Korzystać więc z amnestyi każdy mógł, i istotnie ci tylko nie korzystali, którzy nie chcieli, którzy wołali, że wrócą ale tylko do ojczyzny wolnej i niepodleglej, a tymczasem postanowili wytrwać aż do końca na stanowisku żyjącego protestu.

W kraju przyjmowano emigrantów bardzo życzliwie. Ponieważ termin trzechletni „dobrego sprawowania się" i potem dopiero wstąpienia do służby rządowej, dla większości był niemożliwy do przetrzymania z powodu braku funduszów, więc dawano im zajęcia prywatne po fabrykach, bankach, kantorach i t. p., w czem szlachetną inicyatywę brał Andrzej hr. Zamoyski, postać bardzo wybitna w tej dobie, bardzo zacna i idealna nieomal, ale bez glowy. Gdy

mu wspomniany wyżej Jeziorański dziękował za to, że za niego poręczył, odrzekł, że „to było jego obowiązkiem“. Posiadając żeglugę parową na Wiśle, której był głównym akcyonaryuszem i administratorem, oraz zakłady mechaniczne i fabrykę narzędzi rolniczych na Solcu do współki z Rudzkim, był w stanie ofiarować w nich liczne posady emigrantom; a jeżeli nie mógł ich pomieszczać u siebie, to przez rozgałęzione stosunki i wpływy, jakie posiadał w Warszawie i w kraju, zawsze wynalazł dla powracającego z obczyzny biedaka, jakieś zajęcie. Oprócz Zamoyskiego, i inni dopomagali jak mogli emigrantom, których znaczny stosunkowo procent pomieścił się przy zarządzie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Rozkaz o dozwoleniu powrotu wychodźcom do kraju, rozciągnięty został przez decyzyą z d. 3 Lipca i do emigracyi litewskiej i innych prowincyi, noszących urzędową nazwę Gubernii Zachodnich Cesarstwa. I w tej decyzyi brzmiała nuta obelżywa. Mogli wracać tylko ci, „którzy okażą żal za popełniony błąd“. Litwini upartsi i wytrwalsi wracali w bardzo niewielkiej liczbie. Do d. 13 Marca 1857 r. wróciły zaledwie czterdzieści trzy osoby (z Francyi 40, z Belgii 1, z Rzymu 1, z Algieru 1); w kilka miesięcy potem cyfra ta dosięgła liczby 75 [1]). I tu także nie wróciła prawie ani jedna wybitniejsza w jakimkolwiek kierunku osobistość, chyba że zaliczymy do ich rzędu Napoleona Ordę, muzyka i rysownika starych zamków, kościołów i miejsc historycznych w Polsce, Litwie i Rusi. Litwini zresztą, jakkolwiek szlachta tamtejsza przeważnie posiadała ogromne fortuny, nie wiele dbali o los emigrantów, między którymi też po powrocie do kraju zapanowała wielka bieda. W parę lat dopiero później, w r. 1859 szlachta zebrana w Kownie, na wniosek marszałka powiatowego Bystrana, złożyła na emigrantów 8000 rs. Za tym przykładem poszło i Wileńskie, które na korzyść powracających wychodźców,

[1]) W ogóle do Sierpnia 1860 r. wróciły na Litwę zaledwie 353 osoby.

nałożyło na siebie podatek po pięć kopiejek z duszy t. j. z posiadanych chłopów, który składany przez trzy lata przyniósł 30,000 rs., a potem cała Litwa podniosła ten podatek, a raczej zmniejszyła do 10 kopiejek z dymu. W Grudniu 1858 r. szlachta kijowska naznaczyła na siebie na tenże cel składkę 12 kopiejek z duszy. Te drobne, doraźne zasiłki, oczywiście nie mogły zapobiedz ubóstwu a nawet nędzy, panującej pomiędzy powracającą z długiego wygnania emigracyą. Wywołało to wśród niej niezadowolenie. Wielu żałowało, że powróciło do kraju, rzucając nieraz zyskowne za granicą zajęcia, i winiło o swe położenie rząd. Tym sposobem żywioł niezadowolonych wzrastał w siłę, zwiększał się z każdą nieomal chwilą, doprowadzał stan gorączki na Litwie, stan wywołany przez zbliżającą się reformę stosunków włościańskich, do stopnia arcyniebezpiecznego.

Nazimow, jenerał-gubernator wileński, który poradził cesarzowi w Brześciu litewskim, by reformę włościańską rozpocząć od Litwy, miał w tem cel wyraźnie polityczny. Należał on bowiem, jakeśmy to wyżej napomknęli, do stronnictwa t. z. słowianofilów, którzy mieli siedlisko w Moskwie i przez charakter specyficznie moskiewskiego patryotyzmu, byli w opozycyi z kosmopolitycznym, jak mówili, Petersburgiem. Na czele tego stronnictwa stali bardzo zdolni publicyści i pisarze, jak: Aksakow, Samaryn, Chomiakow, Sołowiew. Z ich to szkoły wyszli póżniejsi organizatorowie Polski i Bulgaryi: Milutyn, Czerkaski i inni. Nazimow będąc kuratorem okręgu naukowego w Moskwie, żył z nimi w przyjaźni i powoli nasiąkł ich przekonaniami i teoryami, które dotąd kołacząc się po głowach tych ludzi, występując w ich pismach, miały wkrótce na gruncie emancypacyi chłopskiej znaleść szerokie pole wcielenia swego. Przekonani o opatrznościowej misyi Rosyi, której celem będzie kiedyś zreformowanie świata przy pomocy jakoby młodej, rzeźkiej, odrębnej cywilizacyi rosyjskiej w porównaniu z wyrodniałą cywilizacyą zachodnią, nosili także nazwę „samobytników“. W zakresie politycznym przepo-

wiadali oni, że Rosya kiedyś odegra wielką, pierwszorzędną rolę w świecie słowiańskim, że go wydobędzie z niewoli niemieckiej i tureckiej, ale że świat ten winien się stać rosyjskim, jeżeli chce żyć i mieć przyszłość przed sobą. Twierdzili dalej, zgodnie zresztą z przekonaniami rządu, że Ruś litewska i ukrainna jest to samo co Rosya, dlatego wszelkie pretensye Polaków do tych ziem, lub dążności separacyjne samychże Rusinów, uważali z jednej strony za zbrodnię przeciw Rosyi, z drugiej za zbrodnię przeciw światu słowiańskiemu. To ich przekonanie wyraźnie wypowiedział Nazimow cesarzowi w Brześciu mówiąc, że Rosya dopóty sobie nie da rady z Litwą, dopóki chłopa tamtejszego nie wydobędzie z pod supremacyi polskiej: to przekonanie wreszcie zamanifestował zaraz po swem przybyciu do Wilna, dając dymisyą naczelnikowi kancelaryi jenerał-gubernatorskiej, Polakowi Białeckiemu, a mianując na jego miejsce niejakiego de Roberti, usuwając zresztą z urzędów wszędzie gdzie mógł Polaków. Kwestya więc emancypacyi włościan wydawała się wybornem narzędziem dla Nazimowa w celu pognębienia żywiołu polskiego; poczęcie reformy od Litwy próbą, której można dowolnie dokonać na skórze szlachty polskiej i potem dopiero, gdy już sprawa przejdzie przez chrzest ognia, zastosować jej wyniki do Rosyi. Rzecz była tym łatwiejsza do wykonania, że oddawna na Litwie, na Białorusi, Wołyniu, Podolu i Ukrainie, między żywiołem polskim istniał silny prąd, domagający się usamowolnienia włościan, popierany przez wszystkich ludzi oświeconych i szczerze pragnących dobra kraju, przez pisarzy i poetów. Zrzeczenie się przez szlachtę władzy patrymonialnej nad chłopem, opinia uważała za czyn patryotyczny, i z tego stanu rzeczy Nazimow postanowił skorzystać i wyzyskać go na pożytek Rosyi i słowianofilskich przekonań. W razie oporu szlachty, wiedział dobrze, iż znajdzie gorące poparcie w opinii samychże Polaków, i czy tak czy owak zmusi obywatelstwo litewskie nie do ustępstw dla chłopa, bo o to Nazimowowi wcale nie szło, ale do tego, że dobrowolnie pozwoli na dokonywanie na sobie

rozmaitych eksperymentów ze spokojem i pokorą owcy na rzeź prowadzonej. Takiem jest położenie pokonanych i słabych. Miecz Brennusowy rzucony na szalę ich przeznaczeń, wiecznie wołać będzie: biada zwyciężonym! ich najlepsze chęci i najszlachetniejsze zamiary obracać się będą zawsze przeciw nim samym.

Otrzymawszy, a raczej wyjednawszy od cesarza w Brześciu pozwolenie do działania, Nazimow powrócił do Wilna i zaraz zaczął pertraktować w tej kwestyi z wybitniejszemi osobistościami z pomiędzy szlachty litewskiej, z ludźmi, których znał dobrze i wiedział, że nie są bez wpływu na swych współrodaków. Do rzędu takich osobistości należał Orzeszko, marszałek gubernialny grodzieński, Lubański, marszałek powiatowy oszmiański, Chomiński, marszałek święciański, książę Ireneusz Ogiński, właściciel wielkich majątków na Żmudzi i hr. Adolf Czapski, także ze Żmudzi. Oczywiście w ludziach tych znalazł jak najgorętsze, jak najuczciwsze poparcie urzędowych zamiarów. Uradowany tak łatwem zwycięztwem, Nazimow zawiadomił o tem konfidencyonalnie ministra spraw wewnętrznych Łanskoja, wielkiego zwolennika reformy włościańskiej, który zachwycony został działalnością Nazimowa, prosił tylko, by całą sprawę wstrzymał do czasu koronacyi, która się miała odbyć we Wrześniu, i na którą wezwał jenerał-gubernatora, żeby zaprosił marszałków i inną szlachtę litewską.

Na tem w tej chwili cała sprawa się zatrzymała, gdyż wszystkie zresztą sprawy rosyjskie stanęły, wobec zbliżających się uroczystości koronacyjnych, jakeśmy rzekli, na jesień odłożonych. I w Warszawie przygotowywano się do obchodzenia tego ważnego aktu. Dla ludu wyprawiono w dniu koronacyi, 7 Września, obfitą ucztę na placu Ujazdowskim [1]), w czasie której motłoch warszawski zacho-

[1]) Były 192 stoły, a na każdym z nich znajdowało się 10 karafek wódki słodkiej, 10 dzbanów miodu i po rogach beczki z piwem. Na czterech głównych stołach ustawiono cztery pieczone daniele z pysznie złoconymi rogami, a na każdym stole łeb wołowy lub wieprzowy jaskrawo różnokolorowymi papierami ubrany. Zabito wogóle

wywał się nieprzyzwoicie i dziko. Uroczystość miała się rozpocząć z przybyciem gubernatora warszawskiego Łaszczyńskiego. Nim on się jednak zjawił, tłum wszystko w jednej chwili rozerwał, ławy i stoły poprzewracał i połamał. Rozeszła się pogłoska, że w dniu tym nikogo aresztować nie wolno, więc też sobie pozwalano. Policya dość nieliczna w Warszawie i źle uorganizowana, oczywiście nie mogła sobie dać rady z kilkunastotysiącznym tłumem, pijanym i rozochoconym nadzwyczajnie. Uczta miała też charakter rozpasanej bachanalii. W całym kraju, po wszystkich miastach obchodzono dni koronacyjne uroczyście przy huku dział i gwarze zabaw ludowych Bawiono się ochoczo i szczerze, bo nie przestano jeszcze wierzyć w to, że cesarz Aleksander reformując całe państwo, zreformuje i zarząd Królestwa i porobi niejakie ustępstwa dla kraju. Oczekiwano z pewnemi nadziejami na manifest koronacyjny, który dawał cesarzowi sposobność do zaznaczenia swego usposobienia dla Polski i do udzielenia jej „łask", jak to wtedy mówiono.

Niestety! zawiedziono się znowu, jak się tylokrotnie zawodzono odnośnie do rządu rosyjskiego, pełnego nieufności, podejrzliwego i w gruncie rzeczy nieuczciwego. Manifest ukazał się d. 7 Września i.... obdarzał szlachtę polską „w osobie głowy rodziny", podobnie jak szlachtę cesarstwa, medalem za kampanią krymską!... oraz darowywał niektóre zaległe podatki i należności skarbowe. Jedyną ważną ulgą dla kraju było wstrzymanie poboru rekruta na lat cztery. Manifest przyszedł wówczas, gdy już jesienny

---

65 wołów, trzydzieści wieprzy, cztery daniele, baranów 80, cieląt dwadzieścia. Lbów wolowych i wieprzowych było 104. Bochenków jednofuntowych chleba wyszło trzydzieści tysięcy, bułek dziesięć tysięcy funtów, wódki 1.300 garncy, miodu dwa tysiące garncy, piwa dwieście pięćdziesiąt beczek, każda po 28 garncy. Przeważną część tego ogromnego wydatku poniosło miasto. W ogólności ta niełukullusowa uczta miała kosztować 20.000 rs. a że kuchnie w Łazienkach na kilka dni przedtem spaliły się, więc musiano większość przedmiotów kupować i płacić w dwójnasób.

pobór prawie w całym kraju był ukończony, i biedacy z głowami pogolonemi, w szarych żołnierskich płaszczach, gotowali się do pochodu w głąb Rosyi lub na Kaukaz. Gdy ich rozpuszczono, radość była niezmierna, wdzięczność dla cesarza jeszcze większa, choć znalazło się wielu takich, którzy twierdzili, że Aleksander zrobić to musiał, bo traktat paryzki go do tego zobowiązywał. Cokolwiekbądź, jakiekolwiek były powody tego aktu, mówiono sobie, dla kraju niezbyt ludnego, dającego swój podatek krwi nie za własne interesa, dobrodziejstwo jest to wielkie. Rekruci płakali z radości, rzucali się sobie w ramiona, pili na uciechę. Po miastach i miasteczkach włóczyły się tłumy włościan, złożone ze świeżo wypuszczonych rekrutów, ich matek, ojców i żon, pijane, błogosławiące tego nieznanego, dalekiego „cysorza", który im tak wielką, tak niespodziewaną łaskę wyświadczyl.

Prócz tego pojawił się jeszcze jeden ukaz z d. 16 Września, pozwalający na powrót do ojczyzny zesłańców na Sybir z Królestwa i z tak zwanych gubernii zachodnich cesarstwa. Miała się więc zjawić w kraju nowa, znaczna grupa ludzi, zaprawionych w spiskach, ludzi, których długie, sybirskie noce wygnania, zrobiły jeszcze bardziej nieprzejednanymi, bardziej, że tak powiemy, utrwalonymi w swej nienawiści do Rosyi i w nadziejach dla Polski. Wracali zesłańcy z 1831 r. i z wszystkich późniejszych lat; wracali z niesłychanie rozegzaltowanymi umysłami, z mistyczną wiarą w przyszłość Polski, w konieczne jej zbawienie. Podobnie jak na emigracyi, wychodźctwo ówczesne odznaczało się z małym wyjątkiem niezmierną czystością i podniosłością swych uczuć, tak i zesłańcy sybirscy umieli zachować między sobą silną solidarność, wspierali się, trzymali razem i zacnością swych serc, powagą i godnością wysoką swych charakterów, nietylko utrzymali między sobą żywą nadzieję i gorącą miłość ojczyzny, ale nawet rzeźkość i energią. Długie wygnanie, męka niewoli, straszne sybirskie pustynie i głucha cisza, jaka ich otaczała, wyrobiła w nich, podobnie jak w emigracyi zachodniej, jakieś mi-

styczne pojęcie swej ziemskiej ojczyzny, jakąś osobliwszą wiarę w jej przeznaczenia, jakąś chorobliwą egzaltacyą co do obowiązków dla tej ojczyzny. Mówili oni i głosili, że dla ojczyzny, która stała się w ich oczach jakimś nieziemskim, boskim ideałem, i to ojczyzny, której kształty rzeczywiste nie obejmowały tych przestrzeni, gdzie brzmi język polski, ale te, gdzie historyczne wypadki wytworzyły granice, otóż twierdzili oni, że dla takiej nieprawdziwej polskiej ojczyzny należy wszystko poświęcić i siebie i rodzinę, i widzenia swoje i nadzieje.... Ojczyzna taka był to bóg pogański, pragnący krwawych ofiar, było to przeznaczenie, wóz indyjskiego Brahmy, pod którego koła rzucać się każden powinien...

Te mistyczne brednie, podsycane wygnaniem, niewolą, tęsknotą za brzegami Wisły lub Pilicy „gdzie gaj tak piękny, dolina tak miła“, stały się u tych nieszczęśliwych wygnańców artykułem wiary, za który ukrzyżowaćby się dali. Zkądinąd ludzie bardzo zacni, bardzo poetyczni i podniośli, ale doktrynerzy, fanatycy idealnie pojętej ojczyzny, mistycy, chorzy, nieszczęsni politycy serca i nerwów. Wierząc gorąco w to co głosili, mieli w sobie zapał fanatyków danej idei i nietolerancyą tychże fanatyków. Ogniem swych słów, siłą swych przekonań porywali, unosili za sobą serca i głowy rozpłakane nad niedolą polską, rozmarzone jej dawną chwałą, pragnące jej wolności i swobody. Kogo nie przekonali, gotowi byli jak hiszpańscy inkwizytorowie palić na stosach, zabijać, piętnować mianem zdrajców. Do Polski chorej oddawna, okrytej wrzodami, trawiącej się wewnętrznym ogniem, któremu wszystkie ujścia na zewnątrz zamknięto, dorzucali oni nowego zarzewia, podsypywali, że tak powiemy, prochu. Nieszczęsny kraj, gdzie najwznioślejsze z uczuć, ale mające czysto realne znaczenie, jakiem jest miłość swego kraju, staje się jakimś mistycznym snem, jakiemś łożem tortur, na którem obywatele sami rozkładać się winni i pozwalać na łamanie sobie kości.

Wracali powoli, w ciągu paru lat, wszyscy, którzy tylko żyli i zwlec się mogli z Sybiru, z nad Angary z za

Bajkału, z nad Amuru i Kamczatki, do Polski, do tej Polski ukochanej, która w ich snach posępnych, w długich, czarnych nocach wygnania sybirskiego, świeciła im jak Elsinoe złotowłosa konającemu na śniegu Anhellemu. Wrócił więc stary, złamany, poszarpany knutem Piotr Wysocki, podchorąży, który odegrał pierwszorzędną rolę w nocy 29 Listopada; wrócił sławny ze swej ucieczki i losów tragicznych Migórski; wrócił Karol Ruprecht, skazany na śmierć i pod szubienicą ułaskawiony; wrócił Agaton Giller, prawdziwy mistrz spisku; wróciło innych bardzo wielu o nazwiskach mniej głośnych i mniej znanych, ale wszyscy ożywieni jednym duchem, zastygli w swych wyobrażeniach niby lody sybirskie mrozem ścięte, wszyscy gotowi do dalszej, nieustannej, świętej, jak mówili, pracy dla ojczyzny. Żyli oni ze sobą w ścisłym związku, komunikowali się ciągle, a wkrótce ich zebrania tygodniowe co Sobota, zwane „Szabasami", nabyły w kołach rewolucyjnych pewnego rozgłosu. Na zebraniach tych mówili oni o położeniu kraju, o konieczności jakiejś akcyi, o potrzebie ożywienia ducha ogólnego, o spisku nakoniec. Niepoprawni marzyciele i okrutni kaci Polski!

Takiemi były łaski dla kraju we wspaniałe, błyszczące przepychem nadzwyczajnym i świetnością, dni koronacyjne cara Aleksandra II-go. Wśród niezwykle wielkiego zjazdu szlachty i dygnitarzy ze wszystkich kończyn ogromnego państwa, znalazł się i jenerał-gubernator Wileński, Nazimow, z marszałkami szlachty litewskiej, którzy objawili chęć popierania rządu w sprawie usamowolnienia włościan. Sprawa ta podniesiona została nazajutrz po koronacyi, na obiedzie u ministra spraw wewnętrznych Łanskoja, gdzie zeszli się wszyscy marszałkowie szlachty, tak litewscy jak i rosyjscy. Ale tu wyraźnie pokazała się niechęć tych ostatnich do wszelkich reform w sprawie włościańskiej [1]). Wów-

[1]) Gdy podczas obiadu, minister Łanskoj wniósł zwykły toast za zdrowie marszałków szlachty, z różnych końców stołu biesiadniczego, podniosło się z pełnemi puharami, w zamiarze odpowiedzi, sześciu przedstawicieli dworzaństwa, a z tych kniaź Koczubej wniósł

czas postanowiono mówić o tej kwestyi wyłącznie tylko z marszałkami litewskimi. Tak zwany „towarzysz“ ministra spraw wewnętrznych, Troickij, za pośrednictwem Chomińskiego, gubernatora Kowieńskiego, Polaka, wyraził chęć bliższego poznania rzeczonych marszałków, i zaprosił ich do siebie na herbatę. Tutaj to gospodarz w płynnej, nader spokojnej formie skreślił widoki rządu, powiadając, że władza wyższa pracuje obecnie nad obmyśleniem środków rozwiązania kwestyi włościańskiej, że należy ją rozstrzygnąć przy udziale szlachty, i że rząd nie myśli zgoła o pozbawieniu posiadaczy obecnych praw własności. Na to A. hr. Czapski, marszałek gub. Kowieński, po zauważonym przez wszystkich namyśle odrzekł: że szlachta gubernii zachodnich nigdy praw swoich nie rozciągała do osób ze stanu włościańskiego; że wymagała tylko wypełnienia prawa obowiązującego w formie określonej pracy; że lud wiejski będąc względnie zamożny i oświecony, należy uważać raczej za fermerów, za obywateli używających praktycznie praw tych samych co i inne stany, nie zaś za właściwych poddanych. Dodał nareszcie, że jeżeli szlachta nie badała dotąd kwestyi reformy, to dlatego jedynie, iż nie była upoważnioną przez władzę, która poprzednio badania takie uważała za podejrzane [1]).

toast, wyrażony w tych słowach: „marszałkowie szlachty, będąc przekonani, że dopóki *wasze wysokoprewoschoditelstwo* będzie zajmować to stanowisko, prawa szlachty pod każdym względem zostaną nietknięte, piją za zdrowie *waszego wysokoprewoschoditelstwa*“. Większość zgromadzonych jednogłośnie poparła ten toast charakterystyczny, ku zdumieniu mniejszości, nie wtajemniczonej w tę, zawczasu, jak się okazało, przygotowaną demonstracyą. Minister był widocznie zmieszany takim obrotem swych wynurzeń, a uczta zakończyła się wśród milczenia ogólnego. Odtąd unikano wszelkich urzędowych zgromadzeń marszałków szlachty.

[1]) Jak dalece marszałkowie rosyjscy oburzeni byli postawą, jaką ich koledzy litewscy zajęli w sprawie włościańskiej, świadczy następujące zdarzenie. Po uroczystościach koronacyjnych marszałkowie rosyjscy wyprawili ucztę pożegnalną, na którą jej gospodarz, marszałek gub. włodzimierski p. Bogdanow, zaprosił litewskich przez pośrednictwo gubernatora kowieńskiego, Chomińskiego. Zaproszeni

W rezultacie więc szlachta litewska gotową była do przyjęcia reformy. To też naradziwszy się z ministrem Łanskojem, co i jak robić należy, Nazimow wrócił we Wrześniu do Wilna i zajął się energicznie tą kwestyą.

Przedewszystkiem więc puścił się w objazd po kraju, odwiedzał miasta, dwory szlachty wybitniejszej i wszędzie wygłaszał mowy dziwne, osobliwie brzmiące w ustach tak wysokiego reprezentanta rządu, mowy charakteryzujące i perfidyą tego rządu i te czasy, jedyne w swoim rodzaju. Nazimow, gdy się zjawił w jakiem gubernialnem lub powiatowem mieście, zwoływał szlachtę okoliczną i prawił szeroko o jej godnem zazdrości stanowisku wobec dworzaństwa rosyjskiego, że inicyatywa w sprawie usamowolnienia włościan wychodzi z Litwy, że przyniesie jej to zaszczyt, zasługę w historyi i pochwałę świata ucywilizowanego.

Słowa te, którym trudno było zaprzeczyć słuszności, znajdowały wogóle chętny posłuch między szlachtą, odda-

---

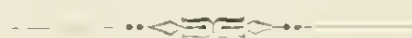
zadość uczynili wezwaniu. Zgromadzenie było liczne. Gospodarz wskazał miejsce po prawej ręce obok siebie gościom z gubernii zachodnich. Pomimo wysokiego taktu i uprzejmości ze strony gospodarza, zauważono jednak nie bez pewnego podziwu, że w zgromadzeniu nie ma harmonii żadnej, że mianowicie marszałkowie wielko i małorosyjscy okazują nie tajoną wcale chęć stronienia od gości litewskich. „Gdym podszedł (pisze jeden z uczestników tej uczty) do dobrze mi znanej osobistości marszałka gubernii orenburskiej, ten ostatni wynurzył mi niedwuznacznie uczucia, ożywiające większość wobec nas wszystkich: „Wybacz bracie, rzekł, że się trzymam zdaleka od ciebie, my patrzymy na was jak na niebezpiecznych podburzycieli w kwestyi włościańskiej, w której rządzicie się fantazyą“. Pod wpływem usposobień większości biesiada wspólna przybrała charakter wyjątkowo ostrego naprężenia, które nie dawało się złagodzić nadzwyczajnemi nawet wysileniami uprzejmości samego gospodarza. Mów i toastów nie było. Reprezentacya nadbaltyckich prowincyj nie była obecną. Ku końcowi uczty przyczyna niezadowolenia wybuchła odrazu. Wzniesiony przez księcia Koczubeja toast, brzmiał jak następuje: „Proponuję toast za zdrowie szlachty nie niemieckiej, nie polskiej, ale za zdrowie i na cześć szlachty wielkorosyjskiej!“. (Predługaju tost za zdorowie nie niemieckago, nie polskago, a za zdorowie i w czest' wielikoruskago dworianstwa). Goście litewscy natychmiast powstali i w milczeniu opuścili salę.

wna ulegającą naciskowi opinii publicznej, domagającej się natarczywie usamowolnienia chłopa jak najszybszego i jakimbądź kosztem. W innych miejscach, w Brzeskiem np. przypomniał szlachcie ich „kompatryotę“ Tadeusza Kościuszkę, który jeszcze w r. 1794 chciał chłopów uwolnić z pod supremacyi szlacheckiej; gdzieindziej odwoływał się do patryotyzmu polskiego, do uczuć narodowych, do wspomnień historycznych, do twierdzeń, że Polska przez to upadła, że chłopa gnębiła, że zatem wnukowie winni wypłacić stary dług, zaciągnięty przez praojców; używał wszystkich słów i wszystkich zaklęć, wszystkich strun dotykał, które grać mogły w duszy polskiej, z chytrością zaiste dziwną w tym jenerale rosyjskim, w tym moskiewskim słowianofilu, niecierpiącym Polaków, jako zwolenników zachodu i latynizmu. Tym sposobem powoli grunt przygotował i wogóle znaczna większość szlachty przyrzekła chętne poparcie widoków rządowych. Zaraz też potworzyły się w miastach gubernialnych, w Wilnie, Grodnie i Kownie, komitety szlacheckie, które miały się zająć zdecydowaniem czy ma być lub nie przeprowadzona reforma włościańska.

Takie w powszechności było położenie całego zaboru rosyjskiego w pierwszych dniach wstąpienia na tron carów Aleksandra II-go, takie żywioły na tych obszarach występowały do walki, która powoli zaogniając się, miała przybrać charakter szalonej, wszystko druzgocącej burzy. Organizm narodowy chory już sam przez się, przez to, że wtłoczony był w formy krępujące gwałtownie wszelkie jego ruchy i wszelki jego rozrost naturalny, podlegał jeszcze ciągle przypadłościom podnoszącym gorączkę. Do kwestyi narodowej, kwestyi swobody i niepodległości, kwestyi czysto politycznej, przyłączyć się wkrótce miała sprawa chłopska, sprawa natury socyalnej, której żaden naród bez wstrząśnień ekonomicznych i społecznych, nawet w stanie zupełnego zdrowia i spokoju, nie rozstrzygnął. W Polsce chorej, stan zapalny, stan zaognienia zwiększyć się jeszcze bardziej musiał przez wzmiankowaną sprawę, której pier-

wsze oznaki ukazują się już w tej dobie na horyzoncie polskim, by wkrótce stać się nieomal główną osią wszystkich wypadków.

Wskazaliśmy żywioły, które w tej chwili drzemały jeszcze w ciszy, łudząc się zwodniczemi nadziejami, że inicyatywa reform społecznych i politycznych wyjdzie z łona rządu rosyjskiego; w następnych rozdziałach zobaczymy, że gdy te nadzieje i złudzenia rozwiały się jak miraż w pustyni, rzeczone żywioły budzą się i poczynają na nieszczęście Polski występować jako aktorzy na scenie wielkiej tragedyi dziejowej, będącej głównym przedmiotem niniejszego opowiadania.



ROZDZIAŁ II.

Zapis Świdzińskiego. Towarzystwo rolnicze.

Nieufność do rządu. Komitet do spraw kościelnych. Nominacya trzech biskupów i ich charakterystyka. Sprawa Dernowicka i Pawłowska. Muchanow i Gorczakow. Projekt założenia uniwersytetu w Warszawie. Opór Muchanowa i jego projekt. Klasa ósma przy gimnazyach filologicznych. Akademia medyko-chirurgiczna i jej uroczyste otwarcie. Konstanty Świdziński i jego zbiory. Zapis ich Wielopolskiemu. Treść testamentu. Mniemany kodycyl. Postępowanie Wielopolskiego. Proces ze Świdzińskimi o nieważność testamentu. Mowa Wielopolskiego w Sądzie apelacyjnym i Senacie. Umieszczenie biblioteki w Chrobrzu. Ogólne potępienie tego kroku. Zjadliwa polemika Wielopolskiego z przeciwnikami. Zrzeka się zapisu i los dalszy zbiorów Świdzińskiego. Andrzej hr. Zamoyski, jego przeszłość, działalność, charakterystyka i program polityczny. Kwestya chłopska. Oczynszowanie i uwłaszczenie. Przedsiębiorstwa przemysłowe Zamoyskiego. Zjazdy Klemensowskie. Towarzystwo rolnicze. Pozwolenie wydania dzieł Mickiewicza. Merzbach i wystąpienie przeciw niemu. Drugi przyjazd cesarza do Warszawy. Jego pobyt w Puławach. Zjazd w Stutgardzie. Powrót do Warszawy, bale, zabawy. Ukaz o Towarzystwie rolniczem i uroczyste tegoż zawiązanie. Znaczenie Towarzystwa w kraju i działalność. Litwa i jej usposobienie. Raport Siemaszki i jego następstwa. Sprawa włościańska. Komitety szlacheckie i ich decyzye. Reskrypt cesarski z d. 20 Listopada 1857 r. Zachowanie się ludu i rozporządzenie Nazimowa. Działalność komitetów włościańskich. Zakończenie.

Pierwszy rok panowania Aleksandra IIgo miał się ku końcowi i rząd kraju w niczem nie zmienił swego charakteru, nic nie zapowiadało, by nadzieje, jakie pokładano powszechnie w młodym cesarzu, mogły się kiedykol-

wiek urzeczywistnić. Ulgi, jakie poczyniono, ograniczały się, jakeśmy to poprzednio zaznaczyli, na zniesieniu stanu wojennego, na amnestyi dla emigrantów i zesłańców na Sybir, na wstrzymaniu nakoniec poboru rekruta. We wszystkiem tem rząd kierował się względami wcale nie mającymi związku z ustępstwami dla Polski, o których zresztą wcale nie myślał. Zasadniczych zmian nie porobiono żadnych, nie dotrzymywano nawet dawniejszych swoich zobowiązań. Gdy bowiem rok temu zmarł marszałek szlachty gubernii Lubelskiej, znany nam już ze swego zamiaru podania memoryału, Jan Jezierski, rząd nie dotrzymał swego przyrzeczenia, że marszałkowie będą odtąd wybieralni, ale mianował wprost od siebie księcia Woronieckiego, niegdyś jenerała wojsk rosyjskich. Była to wprawdzie drobna rzecz, marszałkowie szlachty wogóle nie mieli żadnego znaczenia i tylko niepotrzebnie obciążali skarb Królestwa poważnym wydatkiem parukroć sto tysięcy złotych (złp. 166,666 gr. 20) rocznie, ale dowodziła, że rządowi w niczem wierzyć i w niczem ufać nie można, że samowola i gwałt będą głównymi motywami i główną dźwignią tej władzy złej, zepsutej, despotycznej. Rząd nie robił nic takiego, co albo nie leżało w jego interesie, albo do czego nie byłby zmuszony okolicznościami. Zrobiwszy jednak cokolwiek, przez liczną rzeszę służalczej biurokracyi, przez znikczemniałe w swych narodzinach dziennikarstwo rosyjskie, przez pismaków polujących na urzędy i ordery, był wychwalany na wszystkie cztery strony świata, rozgłaszano jego dobroć, wspaniałomyślność, łagodność i skłonność do ustępstw.

Do rzędu takich postępków, wychwalanych nad miarę i uważanych jako cecha wspaniałomyślności cesarskiej, była nominacya biskupów w końcu 1856 r. na nieobsadzone trzy katedry biskupie w Królestwie [1]). Od śmierci Mikołaja sto-

[1]) Głównym powodem przedstawienia kandydatów na te katedry było to, że Rzym chciał wnieść na kongres paryzki sprawę tolerancyi religii katolickiej w Rosyi. Dla uniknienia tego, coprędzej przedstawiono kandydatów na katedry biskupie.

sunki kościelne w Polsce tak opłakane, dotąd nie uległy żadnej zmianie. Pod straszną przewagą państwowej cerkwi prawosławnej, religia katolicka, a raczej jej duchowieństwo, zniżone zostało do znaczenia drugorzędnego; zarząd jego wcielono do Komisyi spraw wewnętrznych, na czele której z krzyczącym nietaktem, stał człowiek zwykle wyznania schyzmatyckiego, a jak teraz Muchanow. Jeżeli już gdzie nadużycie było wołające o pomstę do Boga, jeżeli gdzie reformy były konieczne i niezbędne, to w tej gałęzi instytucyj państwowych. Spodziewano się też powszechnie zmian i ulg urzędowych na tej drodze i omylono się, jak ciągle przez te kilka lat mylono się i łudzono co do istotnych usposobień rządu rosyjskiego.

W końcu roku 1855 zdecydowano się nakoniec w Petersburgu na rozpatrzenie skarg, zanoszonych w różnych czasach przez Rzym, co do spraw Kościoła katolickiego w Polsce. W tym celu w Listopadzie rzeczonego roku utworzono komitet specyalny, złożony z kanclerza państwa hr. Nesselrode, ministra spraw wewnętrznych Łanskoja, hr. Błudowa i Romualda Hube, którzy obaj w r. 1847 brali czynny udział w negocyacyach konkordatowych, nakoniec z jenerała Kisielewa, z ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego Ignacego Turkułła, z dawnych posłów rosyjskich w Rzymie: Buteniewa i Kisielewa, wogóle z ośmiu osób, między któremi było tylko dwóch katolików i Polaków, t. j. Hube i Turkułł. Podstawą obrad tego komitetu był memoryał, rodzaj streszczenia wszelkich skarg i zarzutów stolicy apostolskiej, jaki przedstawiło ministeryum spraw zagranicznych. Skargi te odnosiły się głównie do tego, że konkordat z r. 1847 pozostał dokumentem martwym, który nigdy nietylko nie został wykonany, ale nawet ogłoszony. Ministeryum w swym memoryale proponowało dla położenia końca nieustannym narzekaniom Rzymu, ażeby konkordat w rzeczy samej wszedł w wykonanie. Jakoż komitet przyznał to i starał się zadość uczynić niektórym drugorzędnym skargom Papieża, mianowicie co do nominacyi biskupów na wakujące katedry.

Wskutek tego już w d. 1 Maja 1856 r. Turkułł uwiadomił namiestnika o rezultacie prac komitetu, „który winien czuwać głównie nad wykonaniem traktatu, zawartego z Rzymem w d. 3 Sierpnia 1847 r.“, i wzywał rząd Królestwa, ażeby starał się jak najspieszniej o przedstawienie kandydatów na wakujące katedry biskupie w Polsce; zakomunikował wreszcie namiestnikowi dwie decyzye komitetu, w jaki sposób ma być dokonany wybór kandydatów na rzeczone katedry, oraz co do małżeństw mięszanych. „Wolą jest Najjaśniejszego Pana, pisał Turkułł, ażeby jak najskrupulatniej trzymano się przepisów prawa kanonicznego co do wyboru kandydatów. Wybór ten winien być pozostawiony swobodnemu zgromadzeniu kapituł dyecezyalnych, wybór zaś sufraganów samym biskupom... Co się zaś tyczy małżeństw mięszanych, uznano możność zastosowania do Królestwa Polskiego przepisów, jakich trzyma się Stolica apostolska w Prusach, Węgrzech i Bawaryi“.

Przeciw tym uchwałom komitetu, które gdyby były istotnie wprowadzone w życie, mogły z jednej strony położyć koniec dokuczliwym i żenującym skargom rzymskim, z drugiej w Polsce wytworzyć znośne położenie kościelne, zaprotestował Muchanow. Uparty ten, ograniczony, zły człowiek nie chciał postradać wyłącznego swego prawa przedstawiania od siebie kandydatów, jak gdyby kapituły, nauczone ciężkiem doświadczeniem nie były skłonne do podawania takich kandydatów, jacy podobali się panu dyrektorowi spraw wewnętrznych. Rezultat tego oporu był taki, że rząd rosyjski musiał się wystawiać na przykre i upokarzające odrzucanie przez Rzym kandydatów muchanowskich, nim nakoniec się ułożono. Co się zaś tyczy zapowiadanych przez komitet petersburski ulg w sprawie małżeństw mięszanych, to te, dzięki Muchanowowi, nigdy nie weszły w wykonanie. Całym rezultatem prac komitetu było opublikowanie w Listopadzie 1856 r. w Gazecie Rządowej warszawskiej konkordatu mocno obciętego i nominacye

trzech biskupów [1]). Nominacye te nastąpiły przez ukaz z d. 11 Listopada 1856 r. z Carskiego Sioła. Na arcybiskupstwo warszawskie powołany został ks. Antoni Melchior Fijałkowski, biskup Hennopolitański, sufragan i proboszcz katedry płockiej, administrator dyecezyi warszawskiej. W chwili gdy otrzymał purpurę arcybiskupią, był to już blizko 80-letni starzec, złamany życiem. W młodości był kapelanem w wojsku polskiem w r. 1831 i zachował gorącą, choć nieopatrzną miłość ojczyzny i jeszcze gorętszy fanatyzm religijny. Gdy w d. 11 Stycznia 1857 r. ks. Łubieński, sufragan kujawski, wkładał nań w katedrze św. Jana paliusz, Fijałkowski osiwiały i pochylony nazwał się „sługą nieużytecznym, niedołężnym starcem, niegodnym piastować tak wysoki urząd". Jakkolwiek w słowach tych przebijała się skromność, przynosząca zaszczyt nowemu metropolicie, wszelako zdanie to nie było pozbawione pewnej prawdy. Chociaż bowiem na zewnątrz Fijałkowski wyglądal dość czerstwo, to przecież pod wielu względami był to już istotnie starzec niedołężny. Zawsze słabego, miękkiego charakteru, z wiekiem oczywiście stał się jeszcze słabszym i ulegającym grupie młodych, energicznych i umiejącym wyzyskać swe wpływy księży, którzy go otoczyli zaraz. W tragicznych wypadkach, które z kolei rzeczy opowiemy później, Fijałkowski odegrał nieomal pierwszorzędną i niestety! wysoce zgubną dla kraju rolę.

Katedrę podlaską powierzono ks. Beniaminowi Szymańskiemu, prowincyałowi zakonu Kapucynów, osobistości czynnej i energicznej, mającej obszerne, wpływowe stosunki we wszystkich sferach, tak polskich jak i rosyjskich. Był to człowiek zręczny, ostrożny, fanatyk zapalony, nadzwyczaj wpływowy na ludność Warszawy przez swój zakon i przez kobiety. Prowadził on gwałtowną propagandę nabożeństw, procesyj, uroczystości kościelnych wszelkiego

[1]) Innym gazetom warszawskim zabroniono przedrukowania konkordatu z Gazety Rządowej, oraz dopilnowano, by ani jeden egzemplarz tej ostatniej nie wyszedł za granicę.

rodzaju, tak że bardzo wiele przyczynił się do tego charakteru religijnego, jaki miały późniejsze wypadki [1]).

Trzecim biskupem Kujawsko-kaliskim został ks. Michał Marczewski, prałat i scholastyk katedralny, człowiek dobry i spokojny, umysł zimny i rozważny, Kaszuba rodem, wychowany przez Niemców, należał do rzędu tych ludzi, których sprawy polskie niewiele obchodziły. Rewolucya go oplwała i ogłosiła zdrajcą, którym nie był, jakkolwiek okazywał karygodną uległość rządowi.

Takiemi były nominacye biskupów, które dawały tylko pozory, ze rząd zamierza zakończyć raz ze sprawami kościelnemi w sposób odpowiedni i godny. W istocie jednak, rzeczy pozostały na dawnej stopie i nominacye biskupie w niczem opłakanego stanu Kościoła polskiego nie zmieniły, jak amnestye, zniesienie rządów wojennych i poboru rekruta, nie zmieniły sposobu władania Polską. Że w rzeczach religijnych rząd żadnej zmiany nie myślał zrobić, świadczy najprzód to, że nie obsadzono katedry augustowskiej i unickiej chełmskiej, dzięki upartej opozycyi Muchanowa [2]); że nakoniec nie zamierzano osłabić przewagi

[1]) Do takich niepotrzebnych całkiem uroczystości kościelnych, które przez jakiś czas absorbowały uwagę jeżeli nie trzech czwartych kraju, to przynajmniej wszystkich w nim kobiet, należało sprowadzenie w r. 1859 przez Szymańskiego z Rzymu relikwii św. Wiktora, które miano umieścić w Janowie Podlaskim, stolicy biskupstwa. W tym celu d. 5 Czerwca procesya wyruszyła od Kapucynów z Warszawy wśród niezliczonych tłumów ludu, przeważnie kobiet. Kazanie miał przed kościołem sławny w tej dobie mówca i fanatyk, ojciec Bronisław, Kapucyn. Procesya wyruszyła w samo południe, poprzedzana przez cechy z chorągwiami, mnóstwo duchowieństwa, czterech biskupów (Dekert, Benjamin, Twarowski i Plater), oraz arcybiskupa pod baldachimem. Relikwie złożone w trumience, w kształcie szafki oszklonej, nieśli przez miasto Kapucyni, a za rogatkami czekał wspaniały wóz, zaprzężony w sześć białych koni. Taki uroczysty pochód szedł przez znaczną przestrzeń kraju, budząc próżny pietyzm.

[2]) Muchanow pomieścił w liczbie kandydatów na biskupstwa głośnego później Myślińskiego, księdza złego, ale Stolica apostolska stanowczo go odrzuciła. Opowiadano sobie, że gdy ktoś z Polaków

wyznania prawosławnego w Polsce, że w tym zakresie rząd szedł drogą wytkniętą przez Mikołaja, dowodem jest szkaradna, krzycząca, oburzająca swym gwałtem sprawa Dernowicka oraz Pawłowska.

Miasteczko Dernowicze, własność podówczas niejakiego Korsaka, szlachcica polskiego, leży w gubernii Witebskiej, za Dźwiną, w pobliżu miasta Dryssy. Ludność od dawien dawna była tam unicka. W r. 1842, z rozkazu Mikołaja zabrano w Dernowiczach kościół unicki i zamieniono go na cerkiew prawosławną, przy której osadzono popa schizmatyckiego, chłopów zaś zapisano, nie pytając ich o to wcale, do ksiąg prawosławnych. Lud nie chodził do cerkwi, nie chrzcił się tam, ani żenił i grzebał, na co zresztą pop miejscowy patrzał przez palce, gdyż miał posadę dobrze płatną i bez kłopotów. Taki stan rzeczy trwał aż do roku 1857. Z wstąpieniem atoli na tron rosyjski Aleksandra II, wieść o jego usposobieniu ludzkiem i łagodnem, o reformach, jakie zamierzał zrobić w państwie, doszła aż do biednych chłopów Dernowickich. Podali więc prośbę do nowego cesarza błagając, by im pozwolił otwarcie wyznawać wiarę dawną ich ojców. Odpowiedziano im za pośrednictwem władz miejscowych, że prośba ich została odrzucona, jako nie zasługująca nawet na uwagę. Nie zraziło to jednak Dernowiczan. W roku następnym podali nową prośbę do cesarza i ministra spraw wewnętrznych. Ten krok oburzył władze, które postanowiły energicznie stłumić buntownicze domagania się chłopskie.

Z rozkazu gubernatora Witebskiego Kołokołcowa wysłano do Dernowicz sprawnika Spordacowa z wojskiem. Ten rozwinął zwykłe w takich razach w Rosyi postępowanie. Bijąc rózgami chłopów, domagał się przedewszystkiem wyjaśnienia, kto ich namówił do podania prośby do

pytał kardynała sekretarza stanu w Rzymie, dlaczego ks. Myśliński został odrzucony, kardynał odpowiedział: „a pani Orzeszko?“ Pani Orzeszko była to powszechnie znana duszka Myślińskiego, z którą żył nieomal publicznie.

cesarza i kto tę prośbę pisał. Z heroicznem poświęceniem wziął na siebie winę felczer Wincenty, który istotnie w Dernowiczach miał wielkie i przeważne wpływy na swych współobywateli. Zbity bezlitośnie, pozbawiony wszystkich zębów, chory, wysłany został do Witebska i skazany tam do ciężkich robót. Żonę, będącą w stanie brzemiennym, przy tej sposobności nowocześni apostołowie prawosławia tak zbili, że poroniła. Cesarz ze swej strony, na skutek drugiej prośby chłopów Dernowickich, wysłał tam dla przekonania się o położeniu rzeczy senatora Szczerbinina. Gdy ten przybył do Witebska, stawił się przed nim marszałek powiatowy szlachty Łopaciński i odmalował opłakaną sytuacyą chłopów. Na to senator Szczerbinin kazał mu jechać do Dernowicz i oznajmić mieszkańcom wolę cesarza, to jest, że muszą być prawosławnymi. Łopaciński miał na tyle odwagi, że rozkazu tego nie przyjął. Szczerbinin w Lipcu udał się sam do Dernowicz i przez rozmaite podstępne środki, których obfity zapas posiadają urzędnicy rosyjscy, pozornie przynajmniej zmusił chłopów do przyjęcia schizmy. Wróciwszy do Petersburga, Szczerbinin wygotował raport do cesarza, z uwagi, że sprawa Dernowicka z tego względu jest niebezpieczna, że może wpłynąć na całą Białoruś, nie dość jeszcze ugruntowaną w wierze prawosławnej, przyczem zaproponował mnóstwo środków, które według jego przekonania mogły się przyczynić do tego ugruntowania ludności w schizmie. Między innemi chciał, by ojców rodzin chłopskich posłano na jakiś czas do monastyrów w głąb Rosyi, by tam mogli się wyuczyć i ugruntować w wierze państwowej. Projekt ten został zatwierdzony przez cesarza.

Sprawa Dernowicka nie była zresztą jedyną i w ogólnych swoich rysach, nie różni się ona w niczem od innych tego rodzaju spraw, które teraz dość często się pojawiają, w skutek tego zapewne, że wieść o usposobieniu łagodnem i ludzkiem młodego cesarza, dochodziła aż do ludu. W r. 1858 we wsi Pawłowie, leżącej w okolicach Wilna, chłopi postanowili powrócić do unii, od której byli oderwani przed

kilkunastu laty gwałtem i przemocą. Próba ta ukaraną została oćwiczeniem bezlitośnem całej męzkiej ludności Pawłowa. W rok potem podobny los spotkał kilka wsi w powiecie Wołkowyskim, w gubernii Grodzieńskiej, przyczem trzech chłopów ze wsi Porowcewo, umarło pod rózgami. Denuncyacyi dopuścił się pop miejscowy i jenerał-gubernator wileński Nazimow, wysłał do Porowcewa adjutanta swego Popowa i urzędnika cywilnego Nowickiego z oddziałem wojska. Bito chłopów póty, póki nie zgodzili się na przyjęcie komunii z rąk popa.

Fakta te nabyły niemałego rozgłosu i opublikowane przez prasę emigracyjną polską, wywołały oburzenie powszechne. W czasie, gdy tyle mówiono o łagodnych rządach Aleksandra, gdy liczono na pewną swobodę, jeżeli już nie w zakresie politycznym, to przynajmniej religijnym, wypadki te świadczyły niestety! wyraźnie, że rząd w niczem się nie zmienił, że był jak przedtem tak i teraz samowolny, niszczący, wrogi narodowości, krępujący ją na każdym kroku. W Królestwie Polskiem pozbył się tylko jednej rzeczy, t. j. surowości w swych formach i grozy w swych postępkach, jaką umiał wytwarzać w około siebie Paskiewicz. Ponieważ jednak rząd samowładny nie może prawie istnieć bez tych dwóch atrybutów, rychło więc stracił powagę. Znikła powoli obawa, a rząd despotyczny, którego się nikt nie obawia, przestaje być rządem. Oczywiście to położenie wytworzyło się nie odrazu, ale zaczątki jego teraz się już pokazują, by w końcu stać się nieomal dominującą cechą rządów niedołężnego Gorczakowa. Wszystko się jednem słowem składało na to, i łagodność władzy, i brak u niej powagi, i pragnienia narodowe, nie mogące być nigdy przez Rosyą zadowolone, i powolna utrata wiary w nowego cesarza, wszystko, powtarzamy, składało się na to, by nieszczęśliwy naród pchnąć w przepaść niedoli.

Muchanow, który właściwie był namiestnikiem i wielkorządcą Polski, twierdził, że Polakom nie należy dawać żadnych ustępstw, nie popuszczać cugli, ale dzierżyć ich ciągle żelazną ręką *(w jeżowych rukawicach)*. Te słowa no-

wożytnego Machiawela moskiewskiego, znajdowały w sferach rządzących ucho podatne, i robiono też ustępstwa niechętnie, powoli, małemi dozami, czyniąc zadość naciskowi opinii publicznej, ulegając prądowi liberalnemu, który ogarnął całe cielsko olbrzymiego caratu. Współcześnie jednak, Muchanow stając sztorcem temu prądowi, nie potrafił, nie był zdolny do tego, by utrzymać dawną powagę i dawną grozę Paskiewiczowską. Był on niekiedy śmieszny, a przewaga jego nad Gorczakowem wytwarzała od czasu do czasu zabawne kolizye, które dochodząc do uszów ogółu, ośmieszały rząd jeszcze bardziej. Obiegało na ten temat mnóstwo anegdotek, mniej lub więcej prawdziwych, ale zawsze w świetle komicznem wystawiających i samego wielkorządcę Gorczakowa i jego wezyra Muchanowa, który mięszał się do wszystkiego i nawet domowe, rodzinne sprawy namiestnika załatwiał [1]). Muchanow podobnie jak rządził starym namiestnikiem, tak rządził i całym krajem. Zajmując wbrew przepisom dwa urzęda, dyrektora Komisyi spraw wewnętrznych i kuratora Okręgu naukowego, i pobierając za oba urzędowania pensyą, zasiadał także i w Radzie administracyjnej Królestwa, i tym sposobem skupiał w swym ręku całą nieomal władzę. Wydawał samowolne rozporządzenia, mięszał się do wszystkiego, do zarządu skarbu, sprawiedliwości, a gdy mu robiono uwagę, że gwałci takie lub inne prawo zatwierdzone przez cesarza, odpowiadał z pychą i dumą wschodniego satrapy: „tutaj ja jestem cesarzem“. Człowiek to był z gruntu zły i przewrotny i nadzwyczaj dla kraju szkodliwy.

Gdy w myśl paryzkich przyrzeczeń Orłowa, w chęci wreszcie uczynienia jakichś poważniejszych reform w Królestwie, w celu nakoniec zaradzenia krzyczącemu brakowi

---

[1]) Opowiadano np., że w tym czasie o rękę córki Gorczakowa, Barbary, począł się starać niejaki Pankratiew, należący do starego bojarów moskiewskich rodu. Gdy więc ten ostatni pewnego dnia oświadczył się ojcu, ten miał zawołać ze zwykłą sobie opryskliwością, gdy mu przerywano jego bezcelowe marzenia: „idź pan do Muchanowa, on to panu załatwi“.

ludzi fachowych w kraju, zdecydowano się wreszcie na założenie uniwersytetu w Warszawie, Muchanow jak najusilniej się temu opierał. Myśl o uniwersytecie polskim przerażała go: „trzeba będzie wtedy wybudować drugą cytadelę“, wołał. Widząc jednak, że w sferach petersburskich zamiar ten jest stanowczym, starał się o ile mógł skrzywić go przynajmniej i doprowadzić do małych, drobnych rozmiarów. Proponował więc, żeby nie tworzyć w jednem miejscu, t. j. w Warszawie, uniwersytetu, ale rozrzucić po różnych miastach Królestwa jego fakultety i tak: w Warszawie utworzyć wydział lekarski, w Kielcach lub Radomiu matematyczny, w Lublinie prawny, w Kaliszu literacki i t. p. Pominąwszy już to, że w takim razie cała wartość wyższej szkoły naukowej obniżyłaby się niesłychanie, bo uniwersytet o tyle ma znaczenie, o ile wszystkie nauki mają w nim reprezentantów, i młodzież widząc cały obszar wiedzy ludzkiej nabywa rozległości poglądów i nie zasklepia się w pewnych wyłącznościach, które gotowa jest uważać za alfę i omegę wiedzy, to z drugiej strony projekt ten upadał w obec znacznych kosztów, jakie za sobą pociągał. Trzeba było bowiem wszędzie, w Warszawie i Lublinie, Kielcach i Kaliszu, wznosić odpowiednie gmachy, zgromadzać pomoce naukowe, zakładać biblioteki, opłacać rektorów, służbę osobną i t. p. Projekt więc Muchanowa, jakkolwiek pod względem politycznym może odpowiadał intencyom rządowym, niepragnącym znowu bardzo tego, by Polska była oświecona, wreszcie zapobiegający zbytecznemu w jednem miejscu nagromadzeniu się młodzieży, czego rząd zawsze się obawiał, to jednakże w obec niemożności urzeczywistnienia upadł. Natomiast opór Muchanowa spowodował to, że porzucono zamiar założenia uniwersytetu, ale z uwagi, że w kraju czuć się dawał brak lekarzy i prawników, postanowiono więc utworzyć tylko szkołę lekarską i prawną. Tę ostatnią w rezultacie zmodyfikowano jeszcze bardzo znacznie.

Muchanow bowiem nie chcąc osobnej szkoły prawa, ustanowił w Lutym 1857 r. specyalny komitet, w którym

zasiadali najgłośniejsi w kraju znawcy prawa: Franciszek Maciejowski, Kobylański, Jan Rogoziński, Karol Thieme i inni, któremu polecił przedstawienie projektu nowego urządzenia wykładów prawa przy gimnazyach filologicznych, przy których zamierzono utworzyć osobną, ósmą klasę, poświęconą wyłącznie studyom prawnym. Komitet ten ułożył odpowiedni projekt, według którego klasy piąta, szósta i siódma miały stanowić wstęp do specyalnego kursu klasy ósmej. Projekt ten uzyskał zatwierdzenie ministerstwa oświecenia, i takie obcięte szkoły prawa utworzono przy gimnazyach w Warszawie, Radomiu, Piotrkowie, Lublinie, Płocku i Suwałkach. Ale i tu wykłady szły kulawo. Nie wszystkie katedry obsadzono, a w tych, które obsadzono, nie zawsze wybór był szczęśliwy. Bądź co bądź jednak zaradzono choć w części nadzwyczajnemu brakowi jako tako wykształconych prawników, który się dał uczuwać w kraju.

Ze szkołą lekarską nie można było w ten sposób postąpić, i Muchanow musiał się zgodzić na założenie jej w Warszawie. Ustawa została zatwierdzona w Carskiem Siole dnia 4 Czerwca 1857 r. i szkoła otrzymała tytuł „Cesarsko-królewskiej warszawskiej medyko-chirurgicznej akademii“. Oddano na jej pomieszczenie wspaniały gmach b. Towarzystwa przyjaciół nauk na Krakowskiem Przedmieściu, i hojnie zaopatrzono we wszelkie potrzeby naukowe. Katedry powierzono znakomitościom lekarskim w kraju.

Uroczyste otwarcie tej nowej, najwyższej szkoły w Królestwie, nastąpiło d. 1 Października 1857 r. Zaczęto od nabożeństwa w kościele P. P. Wizytek, i mszę pontyfikalną odprawił sam arcybiskup Fijałkowski, otoczony licznem duchowieństwem. Kościół był przepełniony publicznością. Po nabożeństwie, udano się do gmachu szkolnego, do wielkiej sali posiedzeń, gdzie przed kilkudziesięciu laty rozlegał się obywatelski głos Staszica, Lelewela, Niemcewicza; gdzie zdawał się unosić jeszcze zdrowy, poważny duch umiejętności. W samo południe przyjechał namiestnik, a z nim Muchanow. Gdy zasiedli na swych miejscach,

pierwszy ze zwykłą sobie fizyognomią obojętną, smutną, ospałą i nieprzytomną, drugi z twarzą brzydką, tatarską, niesympatyczną, wystąpił z mową Kochański, inspektor główny służby zdrowia w Królestwie; po nim mówił arcybiskup, a w końcu namiestnik. Wszystkie mowy obracały się koło jednego tematu, t. j. dobrodziejstwa, jakie monarcha krajowi wyświadczył. Odśpiewano hymn urzędowy i uroczystość się skończyła.

Kraj cały bardzo życzliwie i bardzo wdzięcznie witał akademią. Dziennikarstwo rozpisało się o niej obszernie, a najważniejsza, najbardziej wpływowa Gazeta warszawska, odezwała się o nowej instytucyi temi słowy: „witając ją sercem całem na tej szlachetnej drodze, dobrodziejstwem monarchy najłaskawszego otwartej, powiemy do tej uczciwej młodzieży, że nietylko władze, ale kraj cały patrzy na nią i liczy na nią". Młodzieży tej jednak w początkach zapisało się bardzo niewiele, bo 178 na wydział lekarski, a 55 na farmaceutyczny. Później dopiero napływ uczących stał się ogromny, tak że obawiać się należało, iż więcej będziemy mieli lekarzy, niż ich kraj może potrzebować, co jednak z drugiej strony świadczyło o chęci do nauki, w jakiejkolwiek formie i w jakimkolwiek kierunku ona będzie podawana. Zresztą przyjmowano z początku bardzo łatwo, byle nowowstępujący miał patent z ukończenia gimnazyum, a wielu zapisano nawet bez patentu. Starano się robić wszelkie możliwe ułatwienia, rozumiejąc bardzo dobrze, iż w kraju, pozbawionym przez tyle lat wyższej szkoły, nie można przebierać wśród młodzieży, ale przyjmować każdego, kto posiada choćby elementarne wykształcenie. Dzięki temu napływ zapisujących się do akademii wzrastał; ludzie najrozmaitszych sfer i zajęć biegli do pałacu Staszica, by czerpać wiedzę, której kraj tak długo łaknął i łaknął na próżno. Znaleźli się też wkrótce wśród studentów ci wszyscy młodzi ludzie, których pragnienie wiedzy lub działalności politycznej, ciągnęło do licznego zbiorowiska młodzieży, jakim się stała akademia; wszyscy ci, których później, w ciągu opowieści o wypadkach polity-

cznych, napotkamy jako najczynniejszych i najwybitniejszych aktorów na polu agitacyi rewolucyjnej.

Opinia publiczna bardzo żywo zajmowała się akademią i baczną na nią miała zwróconą uwagę. Zresztą nastrój umysłów a raczej nerwów narodowych był taki, że zwracano uwagę na wszystko, co choćby daleki tylko miało związek ze sprawami ogólnemi, i z pewną namiętnością i drażliwością, właściwą wszystkim narodom chorym i słabym, sądzono ludzi i rzeczy. Biada temu, ktoby się ośmielił wystąpić przeciw tej rzekomej i prawie zawsze niesprawiedliwej i niesłusznej opinii, ktoby chciał inaczej działać niż ona tego żądała. Miano zdrajcy kraju, tak powszechnie u nas stosowane, tak szybko zrywające się z ust wszystkich uciśnionych, piętnowało na zawsze takiego człowieka. Doświadczył tego na sobie margrabia Wielopolski w sprawie zbiorów po Konstantym Świdzińskim. Sprawa ta z natury swej przeważnie prywatnego charakteru, nabrała nagle wskutek rozdrażnienia umysłów, znaczenia sprawy ogólnej, narodowej, i opinia zamanifestowała w niej najwyraźniej swe chorobliwe usposobienie, symptom dla wszystkich ludzi przezorniejszych i głębiej patrzących bardzo niebezpieczny i bardzo groźny na przyszłość dla losów kraju. Już wtedy widzieć można było, po jak fatalnej pochyłości toczył się wóz przeznaczeń polskich i jak silne namiętności polityczne występować poczęły na arenę publiczną.

Konstanty Świdziński, zamożny bardzo potomek jednego z wybitniejszych rodów szlacheckich polskich, poseł na sejm w r. 1831, należący wówczas do t. z. partyi dyplomatycznej, był najszlachetniejszą, najczystszą postacią tego jedynego w naszych dziejach pokolenia, które ojczyznę postawiło jako wyłączny cel życia, a uczucie miłości do niej jako najwyższy, wszystko pochłaniający atrybut tego życia. Podczas gdy wielu z jego kolegów sejmowych wyemigrowało z kraju i na obczyźnie, w chorobliwem rozdrażnieniu wygnania tworzyło tysiączne projekta zbawienia, a właściwie pogrążenia ojczyzny w większą przepaść niedoli, Świdziński wrócił do ziemi rodzinnej i w ciszy

rozpoczął inną, o wiele skromniejszą, niegłośną, ale stokroć pożyteczniejszą pracę dla tej umiłowanej tak gorąco przez siebie Polski. Poświęcił on całe swe życie i swój dość znaczny majątek na zbieranie ksiąg polskich, rękopismów, monet, obrazów, wszelkiego rodzaju zabytków starożytności, mogących rozjaśnić dzieje kraju i mówiących o jego dawnej chwale. Nie ożenił się, chodził w starych, wytartych sukniach, żył lada czem, by wszystkie swe, stosunkowo poważne dochody obracać na zakupno jakiego rękopismu, jakiego obrazu lub księgi. Tak przez ciąg trzydziestu kilku lat zajmując się gorąco zbieraniem, stworzył istotnie bardzo imponującą ogromem i wartością kolekcyą, około 30.000 tomów, zwłaszcza bogatą w książki i rękopismy, odnoszące się do historyi polskiej. Samych manuskryptów było przeszło 20.000. Wszystko to jednak nie było uporządkowane i rozrzucone po różnych miejscach. Część mieściła się w Sulgostowie, majątku Świdzińskiego w Opoczyńskiem, pod nadzorem bibliotekarza Karola Nowakowskiego; część w Poznaniu, Krakowie, gdzie strzegł ich Paweł Popiel, i nakoniec w Kijowie, gdzie Świdziński od r. 1833 prawie stale przemieszkiwał i gdzie w pobliżu, w Skwirszczyźnie, miał także znaczne dobra ziemskie, odziedziczone po matce. Zawiązał tu stosunki literackie i naukowe z tą grupą pisarzy polskich tej doby, którzy mieszkali na Ukrainie i byli nie bez wpływu na swe społeczeństwo, jak Michał Grabowski, Rulikowski, ks. Hołowiński i inni. Interesował się żywo postępami nauki, ruchem historycznym i literackim w kraju, żył w przyjaźni z garścią Rusinów, jak Kulisz, Kostomarow, którzy marzyli wówczas o samoistnym bycie Rusi, dopóki ich kary i nagrody carskie nie zrobiły Moskalami. Grzebiąc się w starych księgach, doszedł drogą dedukcyi historycznej do tych samych wniosków, do których Wielopolski doszedł, obliczając surowo i ściśle szanse rzeczywistości, t. j. że Polska żyć może tylko pod tarczą idei słowiańskiej, w związku z Rosyą i pod jej osłoną. Oczywiście nie bez wpływu był tu na miękki i wrażliwy umysł Świdzińskiego, sam Wielopolski,

z którym znał się jeszcze z doby powstania Listopadowego, do którego przylgnął sam odgadnąwszy w nim potężną inteligencyą i potężniejszą jeszcze wolę, którego bronił przed napaściami warchołów w sejmie, gdy wrócił ze swej misyi londyńskiej i gdy mu przeczono prawa zasiadania w sejmie jako urzędnikowi koronnemu. Później, po upadku powstania, po ostatecznym pogromie wszelkich jak się zdawało nadziei, spotkali się znowu w Krakowie, poznali bliżej i w długich, poufnych rozmowach opłakiwali dolę ojczyzny i męzkie przedsiębrali zamiary jej ratunku. „Są w życiu wypadki i położenia, pisze o tem sam Wielopolski, gdzie w porównaniu z rozwlekłym biegiem zwyczajnego życia, wszystko jak gdyby pod innem niebem dojrzewając, krótszemi drogami kresu swego domierza; dnie pojedyncze równają się latom, a lata znaczenia nieomal wieków nabierają. Pod takimi to wpływami przyjaźń nasza zawiązała się prawie niespodzianie, ale głęboko, ale na całe już życie. Świdziński pierwszy, bez niczyjego pośrednictwa, z właściwym mu popędem, zbliżył się do mnie, by mi podać rękę. Od tej chwili w codziennych rozmowach, pracach i zajęciach, jedność sposobu myślenia, zasad i dążeń coraz ściślejszą się stawała“.

W takich warunkach powstała przyjaźń, oparta na wzajemnym szacunku i ocenieniu wzajemnej wartości, w miarę lat nie słabła, ale owszem wzmagala się, choć przyjaciele się rozstali i jeden osiadł cicho w Chrobrzu, by zrujnowaną ordynacyą do porządku przyprowadzić, a drugi zagrzebał się na wsi pod Kijowem zajęty swymi zbiorami i myślą, że to, co robi, robi dla swej nieszczęśliwej polskiej ojczyzny. Owszem, gdy zbiory wzrastały, już w r. 1842 Świdziński powziął zamiar najprzód dopomożenia Wielopolskiemu w odkupieniu jego margrabstwa, a następnie przyłączenia swych kolekcyj do tegoż. „Mając myśl, pisał do Wielopolskiego, kupienia w okręgu (krakowskim) majątku ziemskiego, z którego intrata przeznaczonaby była na utrzymanie i powiększenie biblioteki, mógłbym na ten cel wykupić jakie wsie z margrabstwa,

jeżeliby to było dogodnem". Myśl ta nie opuszczała go nigdy i miała swe źródło w słusznej i usprawiedliwionej obawie o losy zbiorów po jego śmierci pod rządem rosyjskim. Przyszłość ich i całość mogła być o tyle tylko pewną, o ile by były własnością prywatną wyłącznie, z tą jednakże gwarancyą, że ten właściciel nie stanie nigdy w kolizyi z rządem rosyjskim i nie narazi zbiorów na konfiskatę. Że jednak takiej gwarancyi nikt dać nie mógł, oraz że Świdziński chciał i na to życie swe poświęcił, by z jego zbiorów ogół polski korzystał, by jednem słowem były one własnością publiczną, słusznie więc lękał się o ich przyszłość. Jeżeli bowiem własność prywatna pod rządem rosyjskim była niepewna, tem niepewniejszą była własność publiczna, zwłaszcza tak łakoma dla Rosyi, jak biblioteka. Los wielkich i znakomitych księgozbiorów Załuskich, Nieświezkiego, Towarzystwa przyjaciół nauk. uniwersyteckiego warszawskiego i wileńskiego, stał ciągle w pamięci Świdzińskiego i za nic nie chciał, by owocem jego pracy, zabiegów i pieniędzy szczycił się kiedyś Petersburg. Słowem, szło mu o to, by jego biblioteka łączyła w sobie dwa charaktery: własności prywatnej i publicznej, by włączona była do jakiejś instytucyi, mającej wszelkie warunki trwałości i nienaruszalności, instytucyi prywatnej, niemniej przeto takiej, któraby dozwalała otwarcia zbiorów do użytku publicznego.

Taką instytucyą wydawała mu się ordynacya, której nikt uszczuplać ani alienować, a nawet sam rząd zabierać nie mógł, jako majątku nie będącego własnością jednej osoby, ale rodu; w której przez to, wszystko ruchome czy nieruchome nosiło na sobie charakter wieczystej trwałości i nienaruszalności. Podówczas w Królestwie Polskiem były trzy ordynacye: Zamoyskich, Krasińskich i Wielopolskich. Zamoyszczyzna przez miękkość charakteru swych ordynatów, przez ich niedołęztwo nawet, nie zdawała się być Świdzińskiemu odpowiednią, jakkolwiek gdyby był bibliotekę do ordynacyi Zamoyskich włączył, byłby podobno najlepiej osiągnął swój cel, gdyż Zamoyscy byli szanowani

w kraju, dość bogaci, by uchodzić w tej sprawie za bezinteresownych, i nakoniec mając obszerny pałac w Warszawie, mogli w nim dogodnie pomieścić zbiory Świdzińskiego i tym sposobem zadość uczynić wszelkim wymaganiom. Krasińscy za to, w osobie ordynata jenerała Wincentego, mieli jak najgorszą w kraju opinią i ci stanowczo wykluczeni być musieli. Wielopolski był także nielubiany, uchodził za procesowicza, za człowieka niedobrego, za stronnika Rosyi: zresztą wskutek rozdrapania dwóch trzecich margrabstwa jeszcze za Księstwa Warszawskiego przez Olrycha Szanieckiego, nie był miany za dość bogatego, by taki przyrost majątku i znaczenia mógł być uważany przez ogół za czyn zrobiony bez jego wpływu i starań.

Dlaczego jednak Świdziński nie wahał się ani chwili w wyborze i zamiast Zamoyskim, o których wszakże przez jakiś czas myślał, powierzył swe zbiory Wielopolskiemu? Najprzód dlatego, że był z nim w przyjaźni, że znał i cenił wysoko jego niepospolity rozum, potężną inteligencyą, nieugięty charakter, jego patryotyzm nieposzlakowany, trzeźwy, niemniej przeto gorący, gorętszy może od tych wszystkich, którzy głośno o tem mówili, wreszcie dlatego, że Wielopolski posiadał niepospolite wykształcenie prawne i znawstwo obowiązującego w Królestwie kodeksu. Był to wzgląd bardzo ważny, nieomal pierwszorzędnego znaczenia. Świdziński bowiem przewidywał i słusznie, że tego rodzaju darowizna, jaką on chciał uczynić, z cechą na pół prywatną i na pół publiczną, była czemś całkiem nowem, czemś, co wymagało nielada obrony w razie ataku. A tego ataku się spodziewał, jeżeli już nie ze strony rządu, to ze strony swych przyrodnich braci z innej matki, którzy podług prawa byli jego spadkobiercami, którzy sobie rościli zresztą do tego pretensye, a z którymi on nie żył wcale i którym nakoniec nie miał żadnej racyi darowywania tego, co uważał za własność publiczną, czemu życie poświęcił jedynie w celu przysłużenia się krajowi.

Do decyzyi tej wreszcie, oddania zbiorów Wielopolskiemu, przyczyniły się także pewne starania samych Wie-

lopolskich, jakkolwiek później zapierali się tego uroczyście. „Wiedział także Konstanty, mówił publicznie przed sądem margrabia, że posiadanie rodowego majątku, pomimo zmiennych kolei sprawiedliwości ludzkiej, pracą moją uporządkowanego, pomnożonego i ustalonego, zapewnia rodzinie naszej dostatek, uwalniający nas od potrzeby i pokusy odwracania puścizny po Świdzińskim od celów przez niego wytkniętych". W gruncie rzeczy jednak tak nie było; fakta co innego mówią. Pominąwszy już to, że majątek, jaki Świdziński ofiarował na utrzymanie swych zbiorów, dosięgał bądź co bądź paru milionów złotych polskich i dla stosunkowo niezamożnych Wielopolskich nie mógł taki dar być obojętnym, to z drugiej strony bogate zbiory, stanowiące jedną z najpoważniejszych kolekcyj w kraju, nadawały całkiem ubogiemu pod tym względem margrabstwu pewien urok, równał je z Ossolińskimi, Raczyńskimi i Zamoyskimi, czynił stolicę ordynacyi Chroberz, jednem z ognisk oświaty narodowej, przywracał nimbus dawnej chwały Myszkowskich. To dla dumy Wielopolskiego, dla jego gorącej chęci odgrywania w kraju pierwszorzędnej roli jeżeli nie na polu politycznem, to na każdem innem, do czego zresztą przez swój rozum i charakter był zupełnie uprawniony, było sposobnością jedyną, której należało się uchwycić oburącz.

To też gdy Świdziński w jesieni 1855 r. zjechał chory mocno do Kijowa, odwiedził go bawiący tamże, jako adjutant armii środkowej, mającej leże w tem mieście, syn Wielopolskiego, Zygmunt. Ośmdziesięcioletni blizko starzec rozrzewnił się widokiem syna swego przyjaciela, dawnemi wspomnieniami, które mu ten niejako ze sobą przynosił, i wydał dla niego wieczór, na który zaprosił to grono przyjaciół, z którymi żył w Kijowie. Zresztą Świdziński nie myślał wcale o śmierci i ze spisaniem testamentu ociągał się nieomal do ostatniej chwili. Na osnowę tego testamentu, na to, że zbiory i majątek swój zapisał margrabiemu, wpłynął bardzo wiele syn Wielopolskiego. Podał on najprzód Świdzińskiemu projekt, w którym zapewniał go, że ojciec

jego ustali przyszłość i los biblioteki, że będzie ona pomieszczona w Warszawie, że ojciec nawet gotów dołożyć ze swego majątku, jeśli to potrzebne będzie czy dla kupna domu, czy też uposażenia. Ze swej strony margrabia, otrzymawszy o tem wszystkiem wiadomość, jak również projekt samego zapisu, nie tylko potwierdził obietnice syna, ale w testamencie zaprojektował zmianę trzeciego, najważniejszego paragrafu, na którą to zmianę Świdziński się zgodził i testament odpowiednio ułożony podpisał. Dokonawszy tego umarł w Kijowie d. 11 Grudnia 1855 r.

Testament datowany d. 14 Listopada 1855 r. oznaczał wysokość całego majątku oraz zbiorów na 124,000 rs. Z tego poczyniwszy drobne zapisy bratu Ludwikowi i służbie, „resztę kapitału, brzmi ostatnia wola zmarłego, oraz bibliotekę, numizmaty, malowidła, ryciny, rzeźby, dokumenta, rękopisma i t. d. bez najmniejszego z nich wyłączenia, jako też dobra moje w Królestwie Polskiem, klucz Sulgostowski, zapisuję i wieczyście daruję Aleksandrowi hr. Wielopolskiemu i potomkom jego, a to z prawem zupełnej i nieograniczonej własności“. Czyniąc taki bezwzględny zapis Wielopolskiemu, prosił wszelako usilnie Świdziński legataryusza, ażeby bądź w Sulgostowie, bądź w Warszawie, czy też gdzie to za odpowiednie uzna, zakupił lub wybudował dom stosowny potrzebie biblioteki, aby w tym gmachu umieścił zbiory, utrzymywał przy nich stałego bibliotekarza z dochodów klucza Sulgostowskiego; z tychże łożył koszt na utrzymanie w całości i powiększenie biblioteki, starając się o wydawanie rękopismów na widok publiczny za poprzedniem ich poddaniem pod cenzurę rządową. Upraszał również legataryusza, ażeby zgodnie z prawami krajowemi użył wszelkich środków, iżby biblioteka podzielając naturę ordynacyi Myszkowskiej, nie mogła być alienowana i na zawsze własnością rodu Wielopolskich, „ku pamięci szczególniejszego mojego dla tej familii uważania“, zostawała. W dalszym ciągu zostawiał zapisodawca zupełne prawo i pełną władzę obdarowanemu sprzedać klucz Sulgostowski, lub na inny zamienić dla rozwinięcia środków

utrzymania i powiększenia biblioteki, „gdyby ta w innem, dostępnem dla świata uczonego miejscu, a nie w Sulgostowie urządzoną została“.

Taka była treść testamentu, skreślona według projektu Wielopolskiego, czyniąca go istotnym i wyłącznym właścicielem zbiorów i majątków po Świdzińskim. W końcu swego ostatniego rozporządzenia, zapisodawca prosi legataryusza, by utrzymał na posadzie bibliotekarza pana Erazma Nowakowskiego do śmierci, oraz, żeby w urządzeniu biblioteki mogli mieć wpływ znani ze swych prac historycznych Aleksander hr. Przeździecki i Julian Bartoszewicz, żeby wydawcą i redaktorem mających się drukować rękopismów był krewny Świdzińskiego, Edward Rulikowski. Egzekutorami testamentu mianował w Królestwie: Władysława hr. Małachowskiego i Aleksandra hr. Przeździeckiego: w cesarstwie Erazma Michałowskiego i Edwarda Rulikowskiego.

Oczywiście tym wszystkim, którzy w ostatnich chwilach życia otaczali Świdzińskiego, taki testament, czyniący Wielopolskiego samowładnym panem zbiorów, nie podobał się zupełnie. Wiedząc o zasadniczej myśli zapisodawcy, że pragnie zbiory swoje oddać na użytek publiczny, lękali się, by Wielopolski nie brał dosłownie testamentu, i zbiorów tych nie użył na swoją wyłączną własność. W tym celu sporządzili oni rodzaj listu do Wielopolskiego, oraz projekt „Muzeum polskiego imienia Świdzińskich“, w którym zarząd zbiorami oddawali bardzo licznemu, bo aż z czterdziestu dwóch osób złożonemu ciału [1]), a Wielopolskiemu naznaczali rolę drugorzędną dostarczania środków na to wszystko, co to ciało zadecyduje. Świdziński jednak tego projektu nie podpisał a naciskany odwrócił się do ściany i rzekł: „Wielopolski ma więcej rozumu, niż wy wszyscy razem“.

---

1) W skład tego ciała pod mianem „opiekunów“ wchodzili najrozmaitszych sfer i zajęć ludzie, jak np. Tytus hr. Działyński, Bartoszewicz, Lelewel, Kraszewski, Helcel, Romuald Hube, Malewski, Malinowski, Przeździecki, Michałowski, Henryk hr. Rzewuski i wielu innych.

W liście zaś owym, który ochrzczono mianem kodycylu, Świdziński wyraźnie wypowiada swą myśl: „przekonany jestem, mówi, że owoc życia mojego na ziemi, Muzeum moje, które twej straży poruczam, nie zmarnieje pod twoją opieką, bo mocno ufam, że poszanujesz tę moją pracę, urządzisz ją i zawarujesz tak, żeby przy imieniu rodu twojego przetrwała nietykalna i nierozpraszalna w potomne wieki dla dobra ziomków“. Ta myśl, że zbiory mają służyć ogółowi polskiemu, kilkakrotnie pod różnemi formami w liście się powtarza, i w końcu list wyraźnie powiada, że gdyby wcieleniu kapitałów i zbiorów do ordynacyi prawa się sprzeciwiały, żeby kapitały i majątek hipoteką na margrabstwie opartą, osłonił.

List ten kreślony obcą ręką, ale podpisany przez Świdzińskiego bez świadków, nie miał wobec prawa żadnego znaczenia; wszelako nie można było zaprzeczyć jego autentyczności, a zarazem temu, że jasno wypowiadał myśl Świdzińskiego zagubioną w urzędowym tekście testamentu, i wszyscy sądzili, że Wielopolski ściśle się trzymać będzie nie samego testamentu, ale wskazówek zawartych w owym liście.

Wieść o osnowie testamentu Świdzińskiego, gdy się rozeszła po kraju, wywołała niekłamany entuzyazm i uwielbienie dla zmarłego. W Warszawie zwłaszcza, między uczonymi i literatami, którzy ani na chwilę nie wątpili, że zbiory mieścić się będą w stolicy kraju, rojenia, tak właściwe polskiemu charakterowi, przybrały szerokie rozmiary. Bartoszewicz wystąpił z pełnym superlatywów artykułem, obliczał majątek na miliony, śnił o instytucyi, która co miesiąc będzie wydawała jakieś nieznane dokumenta i materyały historyczne, marzył o kupnie gmachu po dawnej bibliotece Załuskich przy ulicy Daniłowiczowskiej. Kazimierz Władysław Wójcicki wydał gorącą odezwę do wszystkich polskich autorów, nakładców i księgarzy, ażeby wydawane przez siebie dzieła dla dobra nauki polskiej, dla podniesienia instytucyi narodowej, nadsyłali do Muzeum, jak poczęto zwać bibliotekę Świdzińskiego, na ręce Barto-

szewicza i Przeździeckiego. Marzono Bóg wie o czem, a nikt nie pomyślał o tem, jak się na całą tę sprawę zapatrywać będzie najprzód rząd a potem Wielopolski.

Co do rządu, nie ulegało wątpliwości, że gdyby zapis Świdzińskiego istotnie przybrał taką formę, jaką ogół mu chciał nadać, to wcześniej czy później Muzeum by zamknął, a ze zbiorami zapewne tak samo postąpił, jak z biblioteką Załuskich lub Towarzystwa przyjaciół nauk, jak później postąpił z powstałem właśnie w tej dobie Muzeum wileńskiem. Choćby wreszcie na razie tak nie zrobił, to w każdym wypadku było rzeczą bardzo nierozsądną wobec władzy tak podejrzliwej i nieufnej, nadawać całej tej sprawie rozgłos, rozwijać patryotyczne projekta i marzenia. Wielopolski, który to doskonale pojmował, który, jak go słusznie ocenił Świdziński, więcej miał rozumu, niż ci wszyscy, którzy mu chcieli przepisywać warunki, zdecydował się odrazu inaczej postąpić, trzymać się ściśle osnowy testamentu, nie uznawać żadnych mniemanych kodycylów, nie tworzyć muzeum publicznego, ale zbiory wprost wcielić do ordynacyi. Pod tym względem przezorność polityczna zgadzała się w zupełności z jego prywatnym, osobistym interesem. Nieszczęście chciało, że duma, brak taktu i upór Wielopolskiego z jednej strony, z drugiej warcholstwo i chęć dokuczenia nielubianemu powszechnie człowiekowi, znaczenie polityczne kroku margrabiego usunęło zupełnie z widowni, a natomiast podniosło jego prywatny interes i w ten uderzyło namiętnie i bezwzględnie. Odwieczna, historyczna wada polska: prywata, jak wszędzie tak i tu wystąpiła na scenę i zepsuła najszlachetniejsze zamiary Świdzińskiego.

Gdy się to wszystko działo, Wielopolski był w Rzymie. Powróciwszy do kraju i obeznawszy się z całą sprawą, zaakceptował urzędownie w księgach Trybunału cywilnego w Radomiu darowiznę Świdzińskiego, zawiadamiając egzekutorów testamentu, że ostatnia wola jego przyjaciela będzie dlań świętą i niezmienną działań jego podstawą. Nim jednak mógł jakie kroki w tym celu przedsięwziąć, bracia przyrodni Świdzińskiego: Tytus i Ludwik, oraz Izabella

Kochanowska, córka ich siostry, wytoczyli proces przed Trybunał w Radomiu o unieważnienie testamentu, sporządzonego jakoby z pokrzywdzeniem prawych spadkobierców. Chcąc jednak zyskać na swoją stronę opinią publiczną, słusznie zaniepokojoną tym ich krokiem, zagrażającym samej instytucyi, złożyli w d. 30 Czerwca 1857 r. przed rejentem Bryndzą w Radomiu deklaracyą urzędową, w której zapewniali, że wszystkie zbiory ich brata oddadzą na pożytek ogólny i obowiązują się z funduszów spadkowych nabyć na pomieszczenie tychże zbiorów dom w Warszawie za sumę 240.000 złp. Prócz tego przyrzekali na utrzymanie biblioteki płacić po 5% rocznie od 300.000 złp. na Sulgostowie zahipotekowanych.

To zapewnienie opinia publiczna, niechętna Wielopolskiemu przyjęła jak najlepiej. „Gazeta warszawska", najbardziej w tej porze czytana, oświadczyła, że „postanowienia powyższe wskazują ostatecznie, że jakikolwiekbądź weźmie obrót proces dziś prowadzony, interes ogółu zabezpieczono, i że panowie Świdzińscy zwalając testament w jego postanowieniach, prywatne stosunki obchodzących, z własnej woli zawczasu mu czynić zadość chcą w postanowieniach publiczne dobro na celu mających, prawnie się do tego zobowiązując". Powszechnie też uważano akt Świdzińskich za korzystniejszy, bardziej zgodny z myślą zapisodawcy, niż sam testament na rzecz Wielopolskiego zdziałany.

Proces przed Trybunałem cywilnym w Radomiu, Świdzińscy wygrali. Trybunał uznał testament ich brata w całej osnowie za nieważny i zarząd spadku Tytusowi Świdzińskiemu poruczył. Przeciw temu niesprawiedliwemu i nieuzasadnionemu wyrokowi, Wielopolski odwołał się do sądu apelacyjnego. Sprawa tak interesowała ogół, że sala sądowa była przepełniona publicznością. Powodów bronili mecenasi Kojsiewicz, Majewski i Thieme. Ten ostatni wystąpił ze zjadliwą mową przeciw Wielopolskiemu, rozbierał jego życie i czyny, tak że margrabia obecny temu bladł i czerwieniał i cały oblany był potem, a nie mogąc widocznie

znieść spokojnie, robionych mu zarzutów, wychodził bardzo często na korytarz z sali, w której dla jego potężnych piersi zdawało się brakować powietrza. Bronił go mecenas Grabowski, i nakoniec sam Wielopolski wystąpił z mową, przypominającą najpiękniejsze dni krasomówstwa sądowego polskiego, ale pełną buty i szyderstwa.

Stanąwszy przed kratkami sądowemi ze swą olbrzymią, niedźwiedzią postacią, na której osadzona była na krótkim karku pyszna głowa, jakby z antyku zdjęta, o Jowiszowem czole i Jowiszowem brwi zmarszczeniu, rozpoczął od wspaniałego przypomnienia, gdyby ono mogło być odczutem przez to pokolenie rozmarzone, mazgajowate, zatopione w snach fantastycznych: „Na innem miejscu, zaczął, przed wielą laty, podnosiłem głos obok Konstantego Świdzińskiego, jako towarzysz w wspólnym zawodzie, jako uczestnik prac jego; od tamtych czasów przedziela nas długie milczenie, które dzisiaj w obronie zgasłego przyjaciela, przerwać mi przychodzi. W obronie mówię jego, albowiem w przekazanej mi do wypełnienia woli swojej, żyje on dla mnie; najzacniejszą, niespożytą ducha swego istotą jest on niejako w tym przybytku obecny, w postaci swej szlachetnej i poważnej, zasępionej zamachem przez własnych braci przeciwko niemu knowanym. To rzeczy położenie, obudzone oraz oczekiwanie powszechne, śmiałości mojej w zabraniu głosu posłużą może za wymówkę: *si ego tacuerim, lapides clamabunt*".

Opisawszy następnie historyą ordynacyi Myszkowskich, tonem zdradzającym przekonanie o niezmiernej społecznej doniosłości tej instytucyi, schłostawszy surowo i bez ogródki braci Świdzińskich, powiada nakoniec z niesłychaną dumą i pychą: „głos Świdzińskiego w testamencie brzmi dla mnie owem rzymskiem wyrażeniem niebezpieczeństwa, jak gdyby wołał: *vide ne res mea aliquid detrimenti capiat.* Tą dyktaturą przyjaźni i zaufania z nikim się nie podzielę. Straży innej nad sobą, okrom ducha Świdzińskiego i mojego sumienia nie uznam. Niektórych nademną przewodzeniu po dziennikach ani się poddam, ani się w mozolnem

przedsięwzięciu zniechęcę. Sąd ten wyrokiem w sprawie o posiadanie spadku, dodał mi już otuchy, w której następne orzeczenia zapewne mnie utwierdzą. Wtedy przeprowadzę zamiary Konstantego Świdzińskiego z poparciem opinii, jeżeli będzie oględną i wyrozumiałą; przeprowadzę je bez niej, jeżeli jak dotąd miotana baśniami, będzie w swych wymaganiach przesadzona, w swych sądach niesłuszna. W tym razie i nie pierwszy raz w życiu, od opinii rozmarzonej odwołam się do późniejszej, trzeźwej opinii. *Non me civium ardor stulta jubentium mente quatiet solida*".

Mowa ta, wspaniała bez zaprzeczenia, nosi jednak na sobie charakter niepospolitej buty i pychy. Zygmunt Krasiński przeczytawszy ją, miał zawołać: „czyż ona nie przypomina Nabuchodonozora na trzy dni przedtem nim poszedł na paszę...?"

W przypiskach do tej mowy, ogłoszonej następnie drukiem, niemniej surowo chłoszcze Wielopolski wszystkich, którzy przeciw niemu występowali. Karci ostro dziennikarstwo i twierdzi, że „piśmiennictwo dzisiejsze jest odwrotne epoki Sasów; podłość imiennych panegiryków zastąpiona jest teraz nikczemnością zbiorowych obwinień". Oczywiście taki sąd o ludziach i rzeczach, nie mógł zyskiwać Wielopolskiemu przyjaciół; tysiące drobnych ambicyjek zostało obrażonych do głębi; stary polski demokratyzm szlachecki rad był, że magnatowi może przypiąć łatkę i dokuczyć mu, zwłaszcza, że ten magnat płacił pięknem za nadobne. Choć więc Wielopolski w Sądzie apelacyjnym sprawę wygrał, wyroki Trybunału radomskiego zostały uchylone i margrabia uznany jako jedyny legataryusz, opinia czyhała tylko na to, by przy sposobności gwałtownie przeciw niemu wystąpić.

Świdzińscy odwołali się do Senatu, lecz i tam przegrali. Wielopolski nie mogąc z powodu przepisów, zabraniających mu wygłoszenia przed tą najwyższą magistraturą sądową, mowy, jaką przygotował, opublikował ją drukiem. „Słyszeliśmy Świdzińskich, powiada, użalających się na to, że od czasu rozpraw w Sądzie apelacyjnym, opinia

w ich sprawie umilkła. Taka cisza, jak na morzu tak w życiu zmianę prądu poprzedza i zapowiada. Lekkiej, powierzchownej, w swoich okrzykach nieustającej a zmiennej opinii, umysł rozważny i niepodległy nie zwykł cenić zbytecznie; lecz odmienny od takiego gwaru jest ów duch publiczny, który z głębi społeczeństwa się dobywając, nie zawsze się odzywa, niekiedy przemówić ociąga się; ale nawet w zawieszeniu swoich sądów, w otchłaniach swego milczenia dumać nie przestaje, aby prędzej czy później, nie już jak nagła, przemijająca błyskawica, lecz wspaniale i wolno, jak słońce wschodzące każdą sprawę ludzką, każdą opinią przelotną, nieubłaganem promieni swoich światłem wyjaśnić. Chwila ta uroczysta nastała już dla naszej sprawy. Nieprawe braci Świdzińskich roszczenia, własnych sprzeczności i błędów ciężarem, jako mgła niezdrowa, w przekonaniu powszechnem upadają niżej i coraz niżej, a czysta prawda i prawo, w wyroku tego dostojnego sądu, wznosi się na wysokościach".

Niestety! miał się wkrótce przekonać bardzo boleśnie Wielopolski, jak przedwczesny był jego tryumf i jak błędny był jego sąd o ówczesnem społeczeństwie polskiem. Świdzińscy przegrawszy ostatecznie sprawę o ważność testamentu swego brata, wystąpili z nowym procesem o zniesienie działów familijnych, przed czterdziestu laty spisanych, i innymi grozili jeszcze procesami; opinia zaś ciągle i stale podejrzywała margrabiego i była mu nieprzyjazną.

Wygrawszy proces w senacie, Wielopolski postanowił zająć się ostatecznem uregulowaniem i urzeczywistnieniem zapisu. Powodowany z jednej strony względami politycznej natury, lękając się nie bez słuszności, że pomieszczenie biblioteki w Warszawie może zwrócić na nią uwagę rządu; z drugiej względami materyalnymi i osobistej natury podniesienia sławy i powagi swego majoratu, zdecydował się na pomieszczenie biblioteki w Chrobrzu, stolicy ordynacyi. Myśl niekoniecznie była szczęśliwa, i w tych wszystkich, którzy marzyli o Muzeum polskiem w Warszawie, wywołać musiała niezadowolenie. Chroberz leżał w głębi kraju, pod

owe czasy pozbawionego dróg, zdala od wszelkich komunikacyj, od wielkich miast, od życia nietylko społecznego ale i naukowego. Biblioteka umieszczona tam, stanowczo małą korzyść mogła przynieść krajowi, a tem samem krok Wielopolskiego był w sprzeczności z zasadniczą myślą Świdzińskiego.

Gdy więc dowiedziano się, że margrabia przewozi wszystko do Chrobrza, rozległy się zewsząd krzyki oburzenia. W Sierpniu 1858 r. „Gazeta Warszawska" donosząc, że pomarańczarnia z Sulgostowa przeniesiona została do Chrobrza, i że ten sam los czeka bibliotekę, dodała że „pomiędzy prawem i obowiązkiem mogą nieraz zachodzić różnice, i na co pierwsze pozwala, drugi zabrania tego". Te dotkliwe strzały kończy gazeta temi słowy: „wolimy zawsze przypuszczać, że głos obowiązku jeszcze u nas silniej przemawia od głosu prawnej korzyści". Wkrótce potem nowe się znalazły powody dla opinii do wypowiedzenia swego oburzenia przeciw Wielopolskiemu.

We Wrześniu 1858 r. urządzono w Krakowie wystawę archeologiczną, na którą margrabia wysłał hełm ze zbiorów Świdzińskiego, i w katalogu przedmiotów wystawowych, nazwał go cząstką zbioru ordynacyi Myszkowskich. Zaraz we wzmiankowanej gazecie, pojawiły się słowa: „jest to nowym dowodem, że spadkobiercy do niczego się nie czują już obowiązani i ten święty fideikomis publiczny za prywatną własność uważają". Do tych wszystkich, drobnych zapewne, ale w ówczesnym stanie umysłów drażniących niesłychanie faktów, przyłączyły się wkrótce inne. Naznaczony przez testament Świdzińskiego dożywotnim bibliotekarzem Nowakowski, usunął się z tej posady, dla tego, że ordynacyi w ogólności nie uznaje, a właściwie podburzony przez Świdzińskich i opinią. „Uczyniona mu uwaga, pisze ze zjadliwem szyderstwem Wielopolski, że ordynacya Myszkowskich dotąd, przez lat przeszło 250, bez uznania jego i jego doradców jakoś się obchodziła, nie zdołała zachwiać sumiennego jego przekonania, że ordynacye są prawom boskim i ludzkim przeciwne".

Uzupełniło ten stan zapalny sprawy przeniesienie wszystkich zbiorów i biblioteki z Sulgostowa do Chrobrza. Przewiezienie to odbywało się w jesieni 1858 r. i w gazecie zatytułowanej „Kronika Warszawska", ukazała się korespondencya z Kielc, z której, jako wybornie charakteryzującej czasy i ludzi, przytoczymy tu niektóre ustępy. „Od kilku tygodni, pisze korespondent, w okolicach Jędrzejowa i Wodzisławia, na polach spostrzegać się dawał ogromny ruch, wyraźna emigracya szczurów i myszy, dążących widocznie ku Książu Wielkiemu. Zwierzęta te powodowane widać nieomylnym instynktem, przeczuły, że ogromny żer znajdzie się dla nich w tem mieście. Instynkt nie omylił ich, gdyż właśnie w d. 23 Października 1858 r. kilkanaście czterokonnych furmanek przewoziło przez nasze miasto (Kielce) bibliotekę Sulgostowską. Tak więc zamiast Warszawy i naszych literatów, kto wie czy myszy Książa, a następnie Chrobrza, biblioteki tej wertować nie będą". Poważny „Czas" krakowski wyraził swe ubolewanie, swe „przykre i bolesne wrażenie", z powodu tego kroku Wielopolskiego, bo biblioteka będzie dostępną tylko dla uprzywilejowanych, którzy mają dość czasu i pieniędzy na podróż do Chrobrza. Bartoszewicz, jako jeden z kuratorów księgozbioru, wołał, że „zapis biblioteki Wielopolskiemu jest tylko formą. Tytuł własności i nadzór nad nią, jaki płynie z tego tytułu, należą do Wielopolskich, własność sama zaś jest publiczna".

Wielopolski na to wszystko nie zważał. Bibliotekę przeniósł i począł dla niej budować odpowiednie pomieszczenie w Chrobrzu, według planów architekta Markoniego. W roku 1859 zaś wydał pierwszy tom „Biblioteki ordynacyi Myszkowskich", w którym pomieścił nieznane dotąd listy króla Jana III. do królowej Maryi Kazimiry. Redakcyi dokonał, wbrew woli testatora, nie Rulikowski, ale Zygmunt Helcel. Prócz tego, w wydawnictwie tem sam Wielopolski, pod imieniem swego syna Zygmunta, wydrukował „o zapisie Świdzińskiego oznajmienie", pełne przypisków i wycieczek przeciw tym wszystkim, którzy wyra-

zili swe niezadowolenie z jego postępowania. Tak w wycieczkach tych, jak i w swych mowach sądowych, Wielopolski dał dowód, że w charakterze swoim miał coś z adwokata, coś z szermierza publicznego i coś z dziennikarza. Był to przedewszystkiem człowiek stworzony do walki, roznamiętniający się w tej walce i nie zważający kogo i w jaki sposób rażą jego ciosy. „Nie zaczepiamy nikogo, pisze o sobie, lecz gdy kto zastąpi nam drogę, lubimy dawać się we znaki... używamy i nadal używać będziemy wszelkiej broni... Nie mając ani czasu, ani miejsca w żadnym dzienniku do codziennej polemiki, długi nasze pod tym względem raz tylko do roku, lecz z lichwą płacić będziemy“.

Jakoż płacił z lichwą wszystkim, całkiem niepotrzebnie robiąc sobie nieprzyjaciół, puszczając się na ryzykowne nieraz koncepta [1]), dla których wypowiedzenia poświęcał, niestety! niezmiernej doniosłości rzecz, bo znaczenie i wpływ swój na kraj. W drobnej podjazdowej walce dziennikarskiej zetrzeć musiał i starł istotnie ze swego czoła nimbus powagi.

Bądź co bądź biblioteka umieszczona została w Chrobrzu. Na zarzuty, że z powodu oddalenia tego miejsca, zbiory całkiem będą dla ogółu bezużyteczne, w czem zresztą było bardzo wiele słuszności, odpowiadał, że Książ, Chroberz i Pińczów są blizkie Krakowa, Lwowa i Poznania, są przystępne dla uczonego świata polskiego, „który

---

[1]) Do rzędu takich konceptów należała wycieczka przeciw Bartoszewiczowi, którego przedtem za wynagrodzeniem stu rubli, zaprosił był do Sulgostowa dla oszacowania biblioteki. Oskarżał rzeczonego historyka, że pokradł niektóre rękopismy, i o zdaniu Bartoszewicza: „otóż raz przecie zawadziłem o ten Sulgostów, do którego dzięki stosunkom naukowym, jakie zawiązałem z p. Nowakowskim, wybierałem się tak długo“ — robi niesmaczny i zjadliwy koncept, każąc w wyrazie „dzięki“ zamienić literę *k* na *g*, z czego powstanie wyraz rosyjski *dzięgi*, znaczący pieniądze. Dawał tem poznać, że nie dla stosunków naukowych ale za pieniądze pojechał był Bartoszewicz do Sulgostowa. Koncept miał w sobie wiele prawdy, tem więc był dotkliwszy, a nadewszystko niesmaczny i ciężki.

nie w samej tylko Warszawie się zamyka". Połączył z biblioteką własny zbiór książek, który, jako obejmujący literaturę obcą starożytną i nowoczesną, rodzajem swym zbiory Świdzińskiego pożytecznie uzupełniał. Utrzymywał, że wedle myśli i słów testatora, zbiory po Świdzińskim nie mogą być biblioteką publiczną, ani czytelnią dla wszystkich, ale jako własność prywatna przeznaczone są dla badaczów i pracowników. Zaprasza więc do zwiedzenia księgozbioru członków towarzystw uczonych, znanych autorów, członków Towarzystwa Rolniczego, redaktorów pism i t. p. „Uczeni do udziału w pracy naszej powyższym sposobem wezwani, pisze, gościnę u nas przy bibliotece i zbiorach tych niechaj przyjąć zechcą, jako otworzoną im nie tylko przez dzisiejszego właściciela, ale także przez Konstantego Świdzińskiego do korzystania z niej dla dobra i postępu nauk, od siebie oraz imieniem zgasłego przyjaciela uprzejmie ich zapraszamy".

Zaproszenie to swoje w innem miejscu wypowiedział wyraźniej, tonem nieco patetycznym, z pewną domieszką strofowań dla tych, którzy niekoniecznie chcieli wierzyć w to wszystko, co wychodziło z ust margrabiego. „Stolica kraju, woła Wielopolski, zwykła być stolicą wielu rzeczy, stolicą także dziennikarstwa, lecz nie jest ona stolicą ani wszystkiego, ani dla wszystkich, ani też w każdym czasie. Od dawna już stolice nasze są po powiatach, po wsiach naszych; dla Świdzińskiego bywał nią Sulgostów, dla dziedzica jego i zgodnie z jego myślami i przykazem, jest nią Mirów, Pińczów, Chroberz. Gdzie serca nasze, tam i skarby nasze; i serca i skarby chętnie otwieramy młodszym panom braciom. Niechaj oni do nas zawitać zechcą, a nie żądają koniecznie, abyśmy z naszego środka ciężkości wychylając się, w ich zakres się przenosili, ich koniecznie widokom byli powolni. Niechaj zechcą opuścić niekiedy jednostajne równiny Mazowsza i zgiełk stolicy:

Omitte mirari beatae
Fumum et opes strepitumque Romae

Niechaj przybywają nawiedzać ziemię naszą krakowską, na której się niegdyś wielkość dziejów naszych osnuła. Tu na spokojnych wzgórzach, nad piękną doliną Nidy, między górą Chrobrego, przypominającą czas wojennej naszej wielkości, a wznoszącą się zdala świątynią w Wiślicy, prawodawczemi wspomnieniami Kazimirza Wielkiego otoczoną, i górami, na których opodal bieli się Pińczów, zkąd zdają się brzmieć jeszcze głosy wieku Zygmuntowskiego, pod cieniem lip starodawnych oczekują przybywających zbiory Świdzińskiego, i jak dawna akademia pińczowska o starożytny Kraków się opierając, do swobodnych prac, do pokrzepiających i użytecznych dla nauk rozpamiętywań, ich zapraszają“.

Niestety! na to wezwanie wygłoszone stylem klasycznego patosu, nikt nie zjechał do Chrobrza i zjechać nie mógł, raz z tego powodu, że opinia ze zwykłą sobie bezwzględnością była przeciwną tego rodzaju zużytkowaniu zapisu Świdzińskiego, a potem, że podróż nad Nidę była za męczącą i za kosztowną dla chudych kieszeni uczonych i literatów. Już ten fakt winien był przekonać i przekonał Wielopolskiego, że pomieszczenie zbiorów w Chrobrzu minęło się z zasadniczą myślą zapisodawcy; prócz tego gdy Świdzińscy nie ustając w zabiegach, wystąpili z mnóstwem nowych procesów, w liczbie aż dwudziestu czterech, margrabia znużony walką, której końca nie widział i której korzyści materyalne nie mogły pokryć strat moralnych, jakie ponosił; gdy nakoniec egzekutorowie testamentu Władysław hr. Małachowski i Konstanty hr. Przeździecki ogłosili oświadczenie przeciw takiemu urządzeniu zapisu, w d. 18 Kwietnia 1860 r. zrzekł się na rzecz rodziny Świdzińskich przed rejentem Przychodzkim w Radomiu całego spadku po Konstantym. Tytus Świdziński ogłaszając o tem w gazetach, wołał: „de facto więc niema testamentu, ale jest w sercu i sumieniu rodziny, która o ile będzie mogła wykonać zamiary Konstantego Świdzińskiego, przekona publiczność akt dzisiejszy“. Pokazało się teraz, że przez czteroletnie procesy, majątek Świdzińskiego zmniejszył się

blizko o trzykroć sto tysięcy złotych (Wielopolski sprzedał las w Sulgostowie, nie zapłacił trzech rat Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, trzech rat podatku z gorzelni i podatku ofiary, nie popłacił zasług oficyalistom, służbie i t. p.).

Opinia z oburzeniem dowiedziała się o tem wszystkiem, a Świdzińscy zręcznem, choć nie bardzo uczciwem postępowaniem, podsycali to oburzenie jeszcze bardziej. Napróżno Wielopolski w „oznajmieniu pożegnalnem", ogłoszonem w „Czasie", starał się usprawiedliwić i przedstawić istotny stan rzeczy. Słowa jego nacechowane powagą i bólem przebrzmiały bez echa. Jego język spiżowy nie mógł odezwać się w sercach i głowach pokolenia rozmarzonego, chorego na nerwy, miękkiego jak histeryczne kobiety. „Nakoniec z dziełem przyjaciela, wołał, które przez tyloletnie trudy naszem także własnem się stało, rozłączyć się; z samym Konstantym Świdzińskim, nie tak jak przed jego zgonem z otuchą przyszłej pracy około przekazanego nam dzieła, lecz na zawsze już teraz pożegnać nam się przychodzi. Konstanty Świdziński dzieło swe z ufnością zupełną w ręce moje i syna mojego złożył; z tego też zaufania i z przyrzeczeń naszych obadwaj wierną pracą wywiązaliśmy się. W wieku domierzającym już szóstego dziesięciolecia, ziszczeniu zamiarów przyjaciela poświęciłem cztery mozolne lata, oddając się jego sprawie z uszczerbkiem własnej, z ujmą sił i czasu tem droższego na schyłku. Syn mój Zygmunt, przerywając rozpoczęty z prawdziwego powołania zawód wojskowy, oddał zapisowi Świdzińskiego najlepsze lat kilka wschodzącego życia, w których pracami i troską wątłe już zdrowie nadwerężył. Nie były też płonne te nasze usiłowania; pozostanie wiekowym ich pomnikiem sprawa o testament Świdzińskiego, w której szlachetny duch jego pośmiertne a pełne chwały odniósł przez nas zwycięztwo nad spiknionemi nikczemnościami czasu. Że po takiem przekonaniu, a poniekąd przekonaniu nieprzyjaciół, przed przyjaciołmi teraz z pola ustąpić musimy, sąd o tem na sumienie kraju całego zdajemy".

Z nieszczęśliwej tej sprawy Wielopolski nie wyniósł

żadnej materyalnej korzyści. Pozostały mu owoce, drzewa, rośliny, kwiaty i sprzęty ogrodowe, pszczoły, mały olejny portret Konstantego Świdzińskiego, malowany przez Rajma, i agenda jego kalendarza z r. 1855. Za to wydał około stu tysięcy złotych z własnej kieszeni na budowę gmachu pod bibliotekę w Chrobrzu. Świdzińscy zabrali książnicę i zbiory najprzód do Sulgostowa, a widząc niemożność utrzymania ich, wcielili je do ordynacyi Krasińskich, przeznaczając 3000 złp. rocznie na wydawanie roczników. Do tej śmiesznie małej sumy Ludwik Krasiński dodał od siebie 6000 złp. rocznie, a Karol hr. Krasiński zapewnił 2000 złp. Biblioteka ordynacka połączona została ze zbiorami, które pomieszczone w Warszawie nie wywierały i nie wywierają żadnego wpływu na ruch umysłowy i naukowy w kraju.

Taki miał koniec świetny, tyle nadziei rokujący zapis Świdzińskiego. Wola jego ostatecznie nie została spełnioną, owoc trudów całego życia zmarnowany i zbrudzony w poziomych walkach prywaty. Nieszczęsny kraj, w którym usiłowania najlepszych jego synów idą na marne lub w niwecz się obracają!

Wielopolski z tej długiej, czteroletniej walki wyniósł gorzki owoc zniechęcenia, pogardy dla ludzi. Oburzył przeciw sobie i tak już niechętną opinią, a jakkolwiek nizko ją cenił, nazywając „krzykaczami ulicznymi“, przecież nie mógł tego nie widzieć, że gawiedź uliczna w tej i w innych sprawach milczała, bo ją biblioteka nic nie obchodziła; że jeżeli kogo oburzył przeciw sobie, to t. z. inteligencyą kraju, to jest stan średni, adwokatów, lekarzy, literatów, szlachtę zamożniejszą, przemysłowców, fabrykantów i t. p. którzy nadawali ton i kierunek opinii, i którzy właśnie z gorącym zapałem brali się do sterowania skołataną nawą krajową. Nigdyby Świdzińscy nie śmieli uderzać na Wielopolskiego i testament swego brata, gdyby nie znajdowali moralnego i materyalnego poparcia we wzmiankowanych sferach. Sfery te zawsze niechętne Wielopolskiemu i zawsze go mające w podejrzeniu, obruszył teraz jeszcze więcej

przeciw sobie, i w pierwszem z niemi starciu został pokonany i musiał ustąpić. Wielka nauka, poważne doświadczenie, gdyby umiał był z niego korzystać, dla swego i kraju dobra!

Podczas gdy najrozumniejszy, najtrzeźwiejszy mąż w kraju, wielki charakter i większy jeszcze umysł, pracował z zaślepieniem fatalnem i zdumiewającem w takim człowieku, na to, by wszystkich przeciw sobie obruszyć, wszystkich obrazić, zadrasnąć miłość własną każdego i każdemu „dać się we znaki“, jak mówił — inny człowiek, niemniej szczery i gorący patryota jak Wielopolski, podnosił się wysoko w opinii publicznej i stawał się moralnym kierownikiem kraju, nie mając do tego prawa ani przez swój rozum, ani przez swą inteligencyą, ani przez trzeźwość swych poglądów społecznych i politycznych. Mówimy tu o Andrzeju hr. Zamoyskim. Potomek historycznego rodu, niesplamionego niczem w dniach nieszczęść narodowych, ale też prócz Andrzeja, kanclerza koronnego, nie błyszczącego żadnym świetniejszym umysłem w ciągu paru ostatnich wieków, syn ordynata, magnat na wielką dawną skalę, w porze tej, gdy występować począł na szerszą widownię historyczną, liczył 57 lat, skłaniał się już ku starości. Za młodu pobierał nauki w Genewie i Edymburgu, i urządzenia społeczne i polityczne, oraz cały charakter narodowy angielski, wywarł na niego silne, niezatarte wrażenie. Jak swoją postacią wysoką, chłodną, sztywną, twarzą starannie wygoloną prócz faworytów po bokach, przypominał lorda angielskiego, tak w zakresie swej działalności, wszędzie gdzie mógł stosował wzory zaczerpnięte z Anglii. Za czasów Królestwa kongresowego, przez dziwny zbieg okoliczności, przez szczególną ironią losu, mianowany został szambelanem dworu królewskiego razem z Aleksandrem hr. Wielopolskim. Tak to zdawało się, że od młodości przyszło się tym dwom ludziom spotykać ciągle i na wszystkich drogach, choć drogi te, w skutek ich usposobień, całkiem były różne.

W powstaniu listopadowem wziął czynny udział. Bił się pod Grochowem, jako adjutant Chłopickiego, a potem

wysłany został przez Rząd Narodowy do Wiednia, w celu skłonienia Metternicha do interwencyi w sprawie polskiej. Misya ta nie udała się Zamoyskiemu, jak nie udała się misya londyńska Wielopolskiemu, jak wszystkie inne nie powiodły się i powieść się nie mogły.[1]) Po upadku Warszawy, podobnie jak Wielopolski, nie poszedł na emigracyą przeżuwać zakwas powstania i truć się jadem próżnych oskarżeń, nie poszedł wylewać swych żalów na bruku paryzkim lub londyńskim, nosić „wśród rzymskich cmentarzy, na twarzy swojej smutek polskich twarzy", ale cicho, spokojnie wrócił do kraju. Przedstawił się nazajutrz po wzięciu Warszawy Paskiewiczowi, który wiedział od posła rosyjskiego w Wiedniu, Tatiszczewa, o zabiegach Zamoyskiego, w skutek czego przyjął go surowo, groził rozstrzelaniem, i w końcu kazał jechać na wieś. Zamoyski miał serce zanadto wielkie, umysł zanadto ruchliwy i czynny, by wśród czarnej nocy ucisku, jaki zapanował teraz nad krajem, nie myśleć o jego losach. Powstanie wywarło nań bardzo silny i bardzo stanowczy wpływ. Entuzyazm, jakiego żadne nasze powstanie ani przedtem ani potem nie wytworzyło, po upadku przemienił się we wszystkich tych ludziach w chorobliwą, mistyczną miłość ku ojczyźnie, w to szczególne i jedyne w historyi uczucie, które kazało wszystkie swe siły moralne i materyalne skierować ku dobru kraju, ku jego oswobodzeniu. Dobro to widziano wyłącznie w uwolnieniu Polski od obcego najazdu, w przywróceniu granic przedrozbiorowych, w samoistnym bycie politycznym i programem narodowym nic innego nie mogło być i nie było. Drogi atoli prowadzące do tego celu musiały i mogły być różne. Po rozbiciu wszystkich nadziei, po nadzwyczajnem

[1]) Mikołaj Berg w swych „Zapiskach o polskich wozstaniach", oraz w życiorysie Zamoyskiego w „Istoriczeskim Wiestniku" z r. 1880 powiada, że poseł polski spotkał się w Wiedniu z jakąś piękną Polką, i nie badając jej przeszłości i położenia, w miłosnych sam na sam, opowiedział jej wszystko z czem przyjechał. Mogło to być, ale że nie wpłynęło niczem na stan sprawy, nie potrzebujemy zdaje się mówić.

i niestety! bezpłodnem wysileniu ciała narodowego, gdy jedni poszli na emigracyą, by tam rozwodzić żale, zanosić protesta przed Europą, palić się w samych sobie, knuć nieskończone i zawsze zgubne dla Polski spiski, Zamoyski osiadłszy w ciszy wiejskiej, w dniach ciężkiego bólu gorącego patryoty, stworzył całkiem inny i odrębny program, który z konsekwencyą i niezłomną rzec można wolą, przeprowadzał przez całe życie.

Widząc bezowocność wszelkich powstań i spisków, które tylko narażały kraj na liczne ofiary i cięższy jeszcze upadek, Zamoyski jako zasadniczą podstawę swego programu postawił: legalność względem rządu. Nie robić zatem nic takiego, coby nie było przez prawo dozwolonem; a że niema takiego prawa na świecie, z któregoby jakichś korzyści i pożytków nie dało się wyciągnąć, czynić zatem należy to wszystko, co w zakresie praw, nadanych krajowi, czynić wolno. Potępiał więc stanowczo tę ogromną większość ludzi, którzy w rozpaczliwem zniechęceniu i apatyi twierdzili, że w kraju nic zrobić nie można, bo nic nie wolno, bo na nic rząd nie zezwoli. „Ten bluźni przeciw sprawiedliwości Boskiej, wołał, kto sądzi, iż żyje w epoce zbyt trudnej. zmuszającej go do nieczynności, do oczekiwania na lepsze czasy. *Prisca juvent alios, ego me nunc dunque natum gratulor.* Człowiek raz tylko żyje; w ciągu więc życia swego w chwili i miejscu, gdzie go Opatrzność postawiła, usilnie winien się starać, aby poznał swe obowiązki i zasługi położył. Marnemi tylko przeciw temu zasłaniają się wymówkami ludzie słabego ducha. Ztąd wymysły zdrożne, teorye płoche a czasem zbrodnicze, które lenistwo barwą jakąś niby szlachetną powlekają".

Ale głos ten rozumny i zdrową miłością ojczyzny natchniony, nie znalazł posłuchu u ówczesnego społeczeństwa. Emigracya nie przestawała prowadzić wielkiej polityki, żebrać o Polskę, knuć spisków, a kraj zdeptany i uciśniony miał tylko oczy obrócone na to co czyni wychodźctwo, ztamtąd czekał programów, haseł i drzemał pełnym zmor i widziadeł snem. Ciężkiem, Syzyfowem zaprawdę

zadaniem było obudzenie kraju z tej śmiertelnej drzemki, zachęcenie go do czynu, do obejrzenia się w swem położeniu. Zamoyski nie uląkł się tego zadania, i rozstrzygnąwszy w swej głowie kwestyą, że działać należy, postawił sobie drugie pytanie: co i jak działać trzeba i można? Pod tym względem trzy nasuwały mu się zadania: podniesienie kraju z ruiny ekonomicznej, w jaką go wepchnęło ostatnie powstanie; załatwienie sprawy włościańskiej, tego szkaradnego wrzodu, ropiącego się na ciele narodowem; umoralnienie i oświecenie ciemnych mas polskich. Tym sposobem powstał program t. z. pracy organicznej, program, który miał Polskę doprowadzić do wzmocnienia wewnętrznego, do skondensowania jej sił, do takiego stanu, by z czasem, według obrazowego wyrażenia Zamoyskiego, jak owoc dojrzały samym swym ciężarem odpadła od drzewa rosyjskiego.

Bo ostatecznie niepodległość i samoistność państwowa Polski była tak dobrze celem tego programu, jak była celem spisków, działań emigracyjnych i zbrojnych powstań. Zamoyski był synem swego czasu, niepoprawnym jak i tamci marzycielem, mistycznym czcicielem nieziemskiej jakiejś ojczyzny. Różnił się tylko z nimi wyborem drogi, która miała doprowadzić do tego upragnionego celu. Niczego on się nie zrzekał i o niczem nie zapomniał. Granice 1772 r. były dlań artykułem wiary i innej Polski nie uznawał i uznać nie mógł.

Z drugiej strony, w poczuciu obrażonej dumy narodowej, potępiał żebraninę u dworów zachodnich, potępiał stanowczo nadzieje i złudzenia, jakie miała pod tym względem emigracya. Na nic i na nikogo nie liczył, tylko na samych siebie: o nic nie chciał prosić i niczego żądać. Było w tem wszystkiem dużo podniosłości i dużo dumy słusznej i usprawiedliwionej, mimo to program ten nigdy nie został przyjęty i uznany przez kraj. Ci wszyscy, którzy twierdzili, że chęć robienia czegoś w kraju jest marzeniem, którzy dla tego oglądali się na pomoc zewnętrzną, na rewolucyą, na jakąś powszechną europejską zawieruchę, z której

Polska, jak Minerwa z głowy Jowisza, wyskoczyć miała zbrojna i żywa, stanowczo potępiali ten program cichej, mrówczej pracy, pewnego rodzaju snucia przędzy Penelopy, którą lada chwila mogła porwać na szczątki brutalna ręka Paskiewicza, lub innego satrapy. A przytem dla umysłów bystrzejszych, głębiej sięgających, program ten miał swe ważne, bardzo nawet ważne niedogodności, ciemne strony i szkopuły, o które rozbić się mogła mozolnie sterowana nawa narodowa. Obawiać się należało i słusznie, by pod pokrywką podniesienia bytu ekonomicznego kraju, nie wzięły góry poziome instynkta bogacenia się dla samego bogacenia, by chęć robienia pieniędzy nie odsunęła na daleki, bardzo nawet daleki plan ostatecznego celu. Mówiono, nie bez racyi, że aferzyści rozmaici, których nigdzie nie brak, zwolennicy łowienia ryb w mętnej wodzie, będą pokrywali swe działania nie zawsze może zgodne z moralnością, pozorami pracy dla kraju; bankierzy będą grali rolę dobrych obywateli, pracowników w myśl idei ojczystej. Wołano, będziemy się tuczyli, obrastali w sadło i w sadle tem zatopimy wszelkie pragnienia i wszelkie podnioślejsze cele.

Stronnictwo ruchu jednak potępiając program pracy organicznej, domagało się natomiast stanowczego załatwienia sprawy włościańskiej, popierane pod tym względem przez opinią publiczną, przez wszystkich ludzi rozumnych i szczerych patryotów. W tej kwestyi nie było i nie mogło być dwóch zdań, jakkolwiek różne były poglądy na sposób jej załatwienia. Zamoyski wykształcony na wzorach angielskich, uważający tamtejszy ustrój socyalny za najlepszy, miał w tej sprawie swe zdecydowane przekonania. Podczas gdy jego brat, ordynat, w dobrach ordynackich zamienił pańszczyznę na opłatę pieniężną, on w swych majątkach włościan oczynszował, na podstawie długoletniej, nieomal wieczystej dzierżawy. Tego poglądu bronił uparcie i stanowczo do końca swej działalności polityczno-społecznej w kraju. Oczywiście stawał tu w kolizyi ze stronnictwem ruchu, z pewną częścią zamożniejszej szlachty, jak Tomasz hr. Potocki, szwagier Wielopolskiego, jak Gołu-

chowski słynny filozof, Feliks Zieliński ekonomista, gubernator warszawski Łaszczyński i inni, których popierał głos ogółu i głos prasy, a którzy żądali nie oczynszowania w takiej lub innej formie, ale uwłaszczenia chłopów. Z tego powodu zawiązała się bardzo żwawa i bardzo interesująca polemika, w której Zamoyski żywy brał udział, bronił swych opinii gorąco, utrzymując, że kodeks cywilny, obowiązujący w Królestwie, nie zna pańszczyzny tylko dzierżawę, że chcąc sharmonizować ustrój społeczny z wymaganiami prawa cywilnego, należy pańszczyznę opłatą czynszu dzierżawnego zastąpić. Twierdził, przekonany o potrzebie prowadzenia zawsze chłopa na pasku szlacheckim, że nadanie własności nie obdarzy równocześnie tego chłopa potrzebnem do korzystania z niej usposobieniem; że chłop obdłuży swą osadę, stanie się pastwą lichwy, ziemię wreszcie odda w ręce żydowskie, że własność swą dzielić będzie na potomstwo, że ją rozdrobni niesłychanie i t. p. W uniesieniu polemicznem nakoniec nazwał uwłaszczenie „potwornym płodem w boleściach i mękach społeczeństwa na jaw się wynurzającym“.

Łatwo było zbić te twierdzenia, jakkolwiek i one nie były bez pewnej racyi. Przeciwnicy zwali system Zamoyskiego „angielszczyzną“, nieodpowiednią dla stosunków polskich, nie czyniącą zadość najważniejszej stronie tej sprawy, to jest stronie politycznej. Nieszczęściem bowiem Polski było to, że kwestya chłopska, czysto społecznej i ekonomicznej natury, była połączona u nas ściśle z kwestyą polityczną. Zdawało się bowiem wszystkim naszym stronnictwom, jak również i rządowi rosyjskiemu, że kto do chłopa przyjdzie pierwszy i z większymi darami, ten go będzie miał za sobą, a kto będzie miał chłopa za sobą, będzie miał i Polskę całą w ręku. Czas i późniejsze wypadki przekonały, że teorya ta była mylną, że nikt, ani biali, ani czerwoni, ani arystokraci i demokraci, ani inteligencya polska i rząd rosyjski nie znał chłopa polskiego. Ten bowiem brał od wszystkich i wszystko, ale w zamian nic zato nie

dawał i pozostał na uboczu wszelkich prądów i wszelkich walk, zimny, spokojny, poważny.

Wtedy jednak nie miano tego doświadczenia; ludzie ówcześni nie przeszli jeszcze przez rózgi strasznej, Milutynowskiej egzekucyi. Wszyscy się łudzili i wszyscy wierzyli w możność zyskania chłopa przy pomocy darów materyalnych. Dla tego też przeciwnicy teoryi Zamoyskiego zarzucali mu, że dla dobra kraju, dla odbudowania Polski nic nie robi i nic nie zrobi przez swą, z angielskich wzorów wziętą dzierżawę. Chłopu, wołali, trzeba dać własność, trzeba go zrobić obywatelem, stworzyć mu ojczyznę i zmusić przez to do obrony tej ojczyzny. Cóż to znaczy, że szlachta ucierpi przez to materyalnie? Dla tak wielkiego celu należy wszystko poświęcić; a szlachta powinna tym większą ponieść ofiarę, że ona zgubiła Polskę, że chłopa gnębiła przez długie wieki, że za saturnalia pańszczyźniane pokutować musi.

Zdania te przemagały w opinii publicznej, w ruchliwej, czynnej rzeszy t. z. inteligencyi miejskiej, w prasie i literaturze; ale miały jeden szkopuł bardzo niebezpieczny, bardzo zgubny dla kraju i niestety! aż nadto usprawiedliwiony przez późniejsze wypadki. Uwłaszczenie bowiem mogło nastąpić tylko na drodze prawodawczej, na drodze dekretu, wydanego przez rząd, a zatem całą kwestyą chłopską oddawało w ręce tego rządu, co żadną miarą nie leżało w interesie polskim. Któż bowiem mógł przewidzieć co rząd zrobi z tak silną bronią w ręku, dokąd pójdzie i gdzie się zatrzyma, rząd nieprzyjazny, podejrzliwy i niechętny Polsce? Pominąwszy już inne względy, jak naruszenie prawa własności, tak silnie obwarowanej przez kodeks Napoleona, uwłaszczenie w rękach rosyjskich mogło wykopać nigdy nie zapełnioną przepaść między chatą i dworem, poruszyć „martwe morze chłopskie“ całkiem w innym kierunku niż tego wymagają interesa polskie. Sami zwolennicy uwłaszczenia przyznawali, że w tem leży wielkie niebezpieczeństwo, i program Zamoyskiego był bardziej polityczny, że tak powiemy, bardziej konsekwentny. Wyry-

wał on sprawę chłopską ze steru rządu, usuwał go na drugi plan, interesa krajowe oddawał w ręce polskie, zgadzał się nakoniec z programem pracy organicznej, który chciał, byśmy tylko na sobie polegali i sprawy domowe nasze sami załatwiali. Wprawdzie projekt zamiany pańszczyzny na czynsz dzierżawny, miał liczne słabe strony, nie był wolny od illuzyi, które często uwodziły Zamoyskiego. Wykonanie bowiem tego systematu wymagało od szlachty nie tylko dobrej woli, którą ona nie zawsze pod tym względem posiadała, ale nadto zamożności dostatecznej, któraby dozwoliła czynić nakłady na urządzenie folwarków po oczynszowaniu. A przytem system ten miał racyonalną podstawę tylko do r. 1846, to jest do wydania ukazu z d. 9 Czerwca tegoż roku. Ukaz bowiem powyższy zabraniając dziedzicowi rugowania chłopa z osady, skoro ten obowiązki do niej przywiązane, t. j. pańszczyznę, wykonywuje, odebrał systematowi temu główną siłę. Chłop stał się nieufny i przyjął politykę wyczekującą; nie chciał się niczem zobowiązywać, licząc na to, że kiedyś dostanie więcej. Szlachcic groźbą wyrugowania chłopa z gruntu nie mógł już teraz zmusić go do przejścia z pańszczyzny na czynsz, a zatem gdy chłop tego nie chciał, gdy go zmusić nie można było, gdy nakoniec większość szlachty, w obawie przed ruiną ekonomiczną, leniwie i z odrazą brała się do reform, rzeczy musiały pozostać na dawnej stopie i wrzód pańszczyzniany trwał ciągle i ropił się szkaradnie.

Najważniejsza więc, najkardynalniejsza część programu pracy organicznej nie wchodziła w życie, nie mogła być wykonana. I inne działania w myśl tego programu nie wiodły się Zamoyskiemu, a nie wiodły dla tego, że albo brał się do rzeczy niewłaściwie, z teoryą przy biurku wytworzoną, albo bez znajomości fachowej. Rzucał się na wszystkie strony, wszystko chciał poruszyć, ożywić, bo jego celem nie były osobiste jakieś korzyści, ale ojczyzna, ta ukochana, ubóstwiona ojczyzna, w snach długich nocy niewoli i ucisku wymarzona. Dla podniesienia bytu ekonomicznego kraju, Zamoyski szukał sposobu ożywienia handlu

zbożowego, w owe czasy w niektórych stronach Królestwa, z powodu braku dróg, niezmiernie utrudnionego. Niejaki Guibert, inżynier francuzki, otrzymał był koło roku 1848 przywilej od rządu na zaprowadzenie żeglugi parowej na rzekach naszych, ale nie posiadając dostatecznego kapitału, nie mógł jak należy przedsiębiorstwa tego rozwinąć. Zamoyski skorzystał ze sposobności i wszedł do spółki z Guibertem, który z czasem wyszedł ze spółki zupełnie, sprzedawszy swój udział Zamoyskiemu. Ten zaangażował w to przedsiębiorstwo znaczne kapitały, roił sobie świetne nadzieje, udzielał szlachcie zaliczenia na zboże, utworzył osobne biuro komisowe w tym celu, a chcąc jeszcze bardziej rozwinąć interes, założył w Warszawie warsztaty mechaniczne dla budowy parowców i gabarów, a potem fabrykę narzędzi rolniczych na Solcu. Wszystkie te przedsiębiorstwa jednak przynosiły tylko straty, które Zamoyski z własnej kieszeni pokrywał, ale nie były bez pewnych korzyści moralnych. Zetknąwszy się bowiem przez nie ze światem przemysłowym i rzemieślniczym w Warszawie, Zamoyski odrazu zyskał ogromne wpływy i znaczenie. Umiejętnością obejścia, wysoką cnotą, podniosłością swych myśli i celów, gorącym patryotyzmem, który przeglądał z każdego jego czynu i kroku, popularność jego rosła niesłychanie, aż urosła do bałwochwalczej nieomal czci. Powszechnie teraz w Warszawie, a za nią i w kraju całym, czy to w salonach arystokracyi, czy w warsztacie rzemieślnika zwano Zamoyskiego tylko „panem Andrzejem,“ a nawet w sferach rosyjskich, między rozlicznymi dygnitarzami, na Zamku warszawskim, nosił popularne, poufałe miano „Andriuchy.“ Powoli stał się ogniskiem życia narodowego, moralnym jego przewodnikiem; wszyscy oglądali się na niego i przy każdym kroku i czynie pytano się wprzódy: co powie na to pan Andrzej, jak on o tem sądzi? Ktoś nazwał go teraz „słowem posiłkowem społeczeństwa,“ dając tem poznać, że nic bez niego i bez jego pomocy zrobić się w kraju nie da i nie można, nie należy robić.

Popularność ta sięgała do wszystkich sfer społecznych.

Na Zamku warszawskim, w salonach arystokratycznie usposobionego Gorczakowa, Zomoyski mile był widziany, i przyjmowano go tam z wyraźnem odznaczeniem. Gorczakow postępował przy tem tak, że częstokroć dotkliwie obrażał swych współrodaków, którzy bądź co bądź zajmowali tu wysokie posady, uważali się za panów kraju i mieli pretensye wszędzie i zawsze do pierwszeństwa [1]. Powoli koło pana Andrzeja grupować się poczęli ludzie wybitniejsi w kraju, umysły gotowe do czynu, do przerwania strasznej drzemki społecznej. Przyczyniły się do tego tak zwane „zjazdy Klemensowskie," które rozpoczęły się jeszcze koło r. 1843. Zamoyski chcąc pokazać gospodarstwo, jakie prowadził w swych majątkach, zapraszał co rok w Lipcu, do swego pysznie urządzonego pałacu w Klemensowie (w Lubelskiem) ziemian, którzy też bardzo licznie się tam zjeżdżali. Nieraz zbierało się tu do dwustu osób zamożniejszej i wykształceńszej szlachty. Paskiewicz patrzał na to przez palce, gdyż ostatecznie nie mógł nic zarzucić Zamoyskiemu pod względem politycznym. Zjazd taki trwał zwykle dwa dni, w ciągu których gospodarz obwoził gości po polach i folwarkach, tłomacząc uprawę i próby dokonane, pokazywał inwentarz, maszyny rolnicze, budynki. Po wystawnym obiedzie, wieczorem zaczynały się rozprawy rolnicze i ekonomiczne. Kwestya włościańska była zwykle głównym przedmiotem dyskusyi, a niekiedy gospodarz czynił wycieczki w dziedzinę obyczajów, moralności i społecznych obowiązków. Wszystko to jednak miało pewien ton, pewien charakter podniosły, na dnie którego leżała zawsze myśl o oj-

[1]) Mikołaj Berg z tego powodu opowiada taką anegdotę: „zdarzyło się raz (a może nie jeden raz), że księżna Gorczakowowa do tego stopnia się zapomniała, iż rzekła do jednej damy rosyjskiej (której mąż był znaczną figurą i także arystokratycznego pochodzenia), która siedziała na kanapie, gdy nagle weszła do salonu hrabina Zamoyska: „veuillez bien, madame, céder votre place à la comtesse." Obrażona dama odrzekła: „je puis, madame, si vous le desirez, vous céder même le salon." I z temi słowy opuściła pokój." Fakt ten opowiadał autorowi ówczesny dyrektor kancelaryi namiestnika.

czyźnie, tej biednej, nieszczęśliwej, zdeptanej ojczyźnie. Polityki unikano zupełnie, ale ostatecznie takie zjazdy, takie zebrania nieomal całej inteligencyi kraju, miały swój ogromny wpływ, skupiały ludzi, łączyły cementem wspólnej myśli rozbite jednostki społeczne. W r. 1844 zajrzał do Klemenscwa i margrabia Wielopolski, a bawiąc tam cały tydzień wyniósł wdzięczne wspomnienie swego pobytu w Klemensowskim pałacu, o czem póżniej publicznie wspominał.

Rezultatem tych zjazdów, które zresztą podejrzywane przez rząd, w kilka lat potem zakazane zostały, było to, że koło Zamoyskiego zebrała się pewna grupa zamożniejszej i inteligentniejszej szlachty. Byli tam Tomasz hr. Potocki, Adam Goltz, Edmund Stawiski, Stanislaw Aleksandrowicz, dwaj Górscy i kilku innych, którzy też od r. 1849 redagowali i wydawali „Roczniki gospodarstwa krajowego", czasopismo wyłącznie zajęte sprawami rolniczemi i ekonomicznemi. Gdy Mikołaj umarł, gdy Paskiewiczowskie rządy wraz z jego śmiercią ustały, gdy zdawało się, że nastały lepsze, liberalniejsze czasy, gdy świetne „dni majowe" 1856 r. pomimo groźnych i karcących mów cesarza, zapowiadały bądź co bądź jakieś ulgi, zwolnienie pewnych więzów, rozluźnienie kajdan, gdy Jezierski i Wielopolski krzątali się, by drogą petycyi, drogą adresu dać poznać młodemu monarsze pragnienia i życzenia kraju, w grupie „Klemensowczyków" powstała także myśl jakiegoś zbiorowego działania. Nie łącząc się wcale z Jezierskim i Wielopolskim, nie zgadzając się na adresa i petycye, gdyż program Zamoyskiego pracy organicznej nie dozwalał o nic prosić, zwlaszcza, że trzymając się gruntu legalnego, kraj do tego prawa nie miał, postanowili oni co innego zrobić, coś takiego, co nie było domaganiem się o przywrócenie praw należnych Polsce, ale co mogło nieobliczone przynieść krajowi korzyści, co pod skromną formą, nie mającą związku z ustępstwami i koncesyami politycznemi, mogło jednak zbawienny wpływ wywrzeć na losy polskie. Myśl założenia Towarzystwa rolniczego zgadzała się z progra-

mem Zamoyskiego i Klemensowczyków, odpowiadała wszystkim warunkom tego programu. Pozwolenie na takie Towarzystwo nie miało charakteru koncesyi politycznej, nie zamykało drogi do upominania się przy zdarzonej sposobności o nieprzedawnione prawa Polski, nie dawało rządowi pretekstu, że robi wszystko co może; podczas gdy żądania Jezierskiego i Wielopolskiego, gdyby się urzeczywistniły, upoważniałyby rząd rosyjski do twierdzenia przed Europą, że dał Polsce wszystko co mógł i że Polacy nie mają już żadnego powodu do skargi i rekryminacyi. Towarzystwo rolnicze, które miało się zajmować wyłącznie sprawami gospodarskiemi, w żadnym razie w oczach świata nie mogło uchodzić za ustępstwo natury politycznej.

Myśl ta znalazła powszechną aprobatę Klemensowczyków, zwłaszcza, że chwila zdawała się sposobną do jej urzeczywistnienia. Już po wyjeździe cesarza z Warszawy, w Czerwcu 1856 r. na dorocznem ogólnem posiedzeniu członków redakcyi „Roczników gospodarstwa krajowego", pod prezydencyą gubernatora warszawskiego Łaszczyńskiego, projekt został przyjętym i poruczono dwom członkom: Luwikowi Górskiemu i Adamowi Goltzowi, zająć się ułożeniem ustawy przyszłego Towarzystwa. Zamoyskiego wtedy w Warszawie nie było, gdyż bawił w Wiedniu, wezwany tam do łoża konającego ojca. Wróciwszy w jesieni z zagranicy, projekt pochwalił, statut gotowy przeczytał i zajął się gorliwie przyprowadzeniem onego do skutku. Ułożono odpowiednie podanie do rządu, które opatrzone podpisami wszystkich członków redakcyi „Roczników" i kilkunastu znakomitszych obywateli, pan Andrzej złożył wraz z projektem ustawy Muchanowowi.

Ten zrazu opierał się temu. Wychowaniec szkoły mikołajowskiej, drżał, usłyszawszy wyraz „towarzystwo"; lękał się zjazdów, skupień szlachty i nie chciał się na projekt zgodzić. Ale Zamoyski potrafił go nakoniec przekonać, do czego zapewne bardzo wiele się przyczyniły ciepłe, liberalne prądy, jakie szły z Petersburga i jakie wlewały nowe życie w zamarzłe, skostniałe ciało państwowe. Bądź co

bądź podanie i projekt Towarzystwa przyjął i przedstawił Gorczakowowi. Ten oczywiście nie sprzeciwiał się wcale; szło już tylko teraz o formę, jaką nadać należy temu stowarzyszeniu. Statut ułożony przez Klemensowczyków, chciał, by zebrania Towarzystwa odbywały się w Warszawie raz do roku, na które mieli się zjeżdżać wszyscy członkowie. Przeciw temu wystąpił z opozycyą jenerał Kotzebue, syn sławnego niemieckiego pisarza, szef sztabu Gorczakowa, Niemiec zły, zgryźliwy, chytry, intrygant, nie bez wpływów w otoczeniu namiestnika, walczący o te wpływy uparcie z Muchanowem, nie lubiący Polaków i należący do tych, którzy twierdzili, że Polakom nie trzeba robić żadnych ustępstw i rządzić nimi należy po wojskowemu, po Paskiewiczowsku. Małego wzrostu, głęboko zapadłych, drobnych i złych oczów, zjadliwy w mowie, opierał się temu punktowi statutu Towarzystwa zacięcie. Twierdził, że Towarzystwo rolnicze może się stać z czasem bardzo licznem, że zatem takie zjazdy ogólne w Warszawie mogą być niebezpieczne dla rządu, mogą przybrać charakter dawnych sejmików polskich. Jeżeli już koniecznie ma istnieć takie stowarzyszenie, to należy mu nadać formy jak najciaśniejsze, działalność jego, o ile się tylko da, utrudnić i skrępować. W tym celu wymyślił tak skomplikowaną maszynę, przypominającą francuzki projekt konstytucyi Syesa, tak ciężką i wolno idącą, że Towarzystwo nie miałoby żadnego nieomal znaczenia, a przez swój brak ruchu pozbawioneby było wszelkiego wpływu na kraj. Radził mianowicie, żeby zamiast ogólnego dorocznego zebrania wszystkich członków Towarzystwa w Warszawie, były zjazdy powiatowe, aby tam radzono o potrzebach gospodarstwa i żeby wybierano deputatów, którzy zebrani ze wszystkich powiatów całej gubernii, mieli stanowić zjazdy gubernialne. Ponad tem wszystkiem miał stać centralny komitet rolniczy w Warszawie, złożony z wybranych przez zjazd gubernialny deputowanych.

Pominąwszy już ciężką i zbyt wielką komplikacyą takiej maszyny, projekt Kotzebuego uderza wprost swoją

bezsensownością. Można pojąć i usprawiedliwić zupełnie zjazdy powiatowe członków Towarzystwa, ale jakie znaczenie miały mieć zebrania deputatów od tych zjazdów w mieście gubernialnem? Czy to miała być jakaś wyższa instancya? ale czego i na co? co ona miała decydować i czem się zajmować? Czyż kwestya takiej lub innej uprawy buraków i kartofli, drenowania lub nawozu, rozbierana na zjeździe powiatowym, miała jeszcze raz pójść pod ostateczną decyzyą i zatwierdzenie w gubernium?

Śmieszny ten projekt, urodzony w głowie żołnierza, który pojęcia nie miał o tem, o czem wygłaszał zdanie, a który jako jenerał moskiewski czuł się uprawnionym do sądzenia i decydowania o wszystkiem, jakkolwiek znalazł aprobatę u niektórych dygnitarzy rosyjskich, a między nimi i u marszałka szlachty warszawskiej Uruskiego, nie podobał się Muchanowowi, nie dlatego, że nosił cechę niepojętej naiwności, ale dlatego, że wyszedł od Kotzebuego. Dla Muchanowa przedewszystkiem Towarzystwo miało zwrócić umysły szlachty, żądne działalności politycznej, na pole ciasne i ograniczone; miało być klapą bezpieczeństwa, przez którą zbyt nagromadzona para pragnień społecznych mogła uchodzić swobodnie i rozpływać się wśród dyskusyi o inwentarzu lub orce; dlatego też zgadzając się na założenie samego Towarzystwa, nie widział potrzeby ścieśniania go zbytecznego. Zresztą wolał on jeden zjazd, choćby najliczniejszy w Warszawie, pod swoim bokiem, niż kilkadziesiąt mniejszych, rozrzuconych po całym kraju, w miasteczkach małych i oddalonych, gdzie niepodobna była kontrola i dozór, zwłaszcza przy pomocy ówczesnych, mało sprężystych, a nadewszystko ograniczonych umysłowo władz. Mimo to jednak, jeżeli uparcie odrzucał projekt Kotzebuego, to nie dlatego, że on był dość głupi, ale dlatego, że wyszedł od jego nieprzyjaciela. Uparł się więc przy swojem, i statut, z ogólnym zjazdem stowarzyszonych w Warszawie, został przyjęty. Napróżno Uruski ostrzegał, że takie towarzystwo koniecznie musi się zmienić w ciało polityczne, napróżno Kotzebue się gniewał i sypał zjadli-

wymi argumentami, Muchanow stał przy swojem i zwyciężył.

Teraz, gdy statut przeszedł przez ogień władz warszawskich, pozostawało tylko uzyskać jego zatwierdzenie przez cesarza. Poczekano z tem do jego przyjazdu do Warszawy, który zapowiedziany był na jesień. Klemensowczycy nie wątpili o tem, że zatwierdzenie to nastąpi. Chwila była odpowiednią; liberalizm, skłonność do małych ustępstw ciągle jeszcze trwała w rządzie, czego dowodem były dwa nowe objawy, jakie z inicyatywy samego cesarza przyszły do skutku. Mianowicie zwiększono teraz w uniwersytetach rosyjskich liczbę stypendyów na wydziałach prawnych w Moskwie i Petersburgu, dla Polaków, w celu dostarczania Królestwu większej liczby urzędników sądowych z wyższem ukształceniem uniwersyteckiem. Dotąd takich stypendyów było 20, teraz zrobiono ich 40. Dowodziło to, że bądź co bądź myślano o Polsce, chciano coś dla niej zrobić, że nastąpił jakiś ruch po martwych, skostniałych czasach mikołajowskich.

Ale jeżeli zwiększanie stypendyów polskich w uniwersytetach rosyjskich dowodziło, że myślano w Petersburgu o Polsce, to drugi fakt, którego doniosłość na razie, w społeczeństwie odwykłem od tego, przeceniono, świadczył wymownie o dobrem usposobieniu dla kraju młodego cesarza. W Sierpniu 1857 r. wskutek starań Samuela Merzbacha, księgarza warszawskiego, minister oświecenia uwiadomił Muchanowa, jako kuratora okręgu naukowego warszawskiego, że cesarz zezwolił na zapewnienie dzieciom Adama Mickiewicza, „wychodźcy i poety“, prawa własności dzieł ojca, tak w cesarstwie jak i Królestwie, do czasu pełnoletności tychże, z przedłużeniem na czas dalszy dla tego z dzieci, które przysięgę wierności wykona. Jednem słowem, pozwolono na wydanie poezyi Mickiewicza w Warszawie. Fakt ten wywarł bardzo silne i bardzo dodatnie w kraju wrażenie, tłómaczące się tem, że pisma największego poety nietylko w Polsce, ale w całym świecie słowiańskim, były w Królestwie jak najsurowiej wzbronione.

Cenzura nie pozwalała nawet na drukowanie nazwiska poety, i jeżeli o nim pisano, to pod kryptonimem „M.“. Ze szkół wypędzano uczniów, jeżeli wśród nich znalazł się jaki wiersz Mickiewicza, karano za to surowo. Nie dziw więc, że zniesienie tego zakazu, zapewnienie dzieciom poety praw własności do jego dzieł, wywrzeć musiało i wywarło wrażenie, było jedną z tych „łask“, o jakich ciągle mówiono, że spadną na Polskę z ręki młodego monarchy.

Prawo wydania jednorazowego pism poety w dziesięciu tysiącach egzemplarzy kupił od Ludwika Wołowskiego, opiekuna nieletnich dzieci Adama, za 65.000 złp.[1]) żyd Merzbach, księgarz, co mu się zresztą należało, bo właściwie on w całej tej sprawie dał inicyatywę i przez półtora roku robił w tym celu starania. Odnośna umowa zawartą została d. 27 Września 1857 r. przed Marcelim Zielińskim, rejentem kancelaryi ziemiańskiej w Warszawie. W imieniu opieki nieletnich po Mickiewiczu dzieci, stawał Leon hr. Łubieński. Merzbach ogłosił zaraz prenumeratę na pięć tomów kompletnych, jak mówił, pism twórcy „Dziadów“, w cenie 10 rubli, a ze stalorytami 15 rs. Tym więc sposobem, gdyby sprzedał całe owe 10.000 egzemplarzy, miałby poważny dochód stu tysięcy rubli, a zatem zyski niesłychane[2]). Wszystko to nie podobało się powsze-

---

[1]) Właściwie Merzbach zapłacił 35.600 franków, co czyniło nominalnie 8900 rs. czyli złp. 59.333 gr. 10. Ponieważ jednak franki dobrze były płacone, więc dzieci poety dostały około 65.000 złp. Suma ta miała być uiszczoną w dziewięciu ratach w ciągu czterech lat, na co Merzbach dał weksle.

[2]) Zyski te jednak nie mogły być znaczne. W § 3 umowy opieka zastrzegła sobie, że ustąpione Merzbachowi prawo „rozciąga się tylko do Królestwa Polskiego i cesarstwa rosyjskiego i dotyczy tylko dzieł ś. p. Adama Mickiewicza dotąd (t. j. do 1857 r.) drukiem ogłoszonych“. Mając tedy na mocy tego paragrafu zupełną wolność zrobienia innego wydania za granicą, zawarła opieka w dwa lata później umowę z Maurycym Bolesławem Wolfem z Petersburga, wskutek której ten ostatni zrobił nowe, kompletne pism poety wydanie. Wprawdzie przez te dwa lata mógł Merzbach sprzedać swój nakład i znaczne z niego zyski osiągnąć, jednakże z uwagi, że koszt

chnie. Zrazu opinia publiczna narzekała, że wydawnictwo dostało się w ręce zwyczajnemu księgarzowi i do tego żydowi, który jedynie zyski będzie miał na widoku. „Możebyśmy woleli, pisała „Gazeta warszawska", by inne ręce podjęły się tego wydawnictwa, ręce jakie dość zasobne, któreby nie szukały zarobku w tem wydaniu, gdy to w dziejach mieć będzie swe znaczenie. O spełnienie tego obowiązku dobijać się należało niejednemu, a najzacniejsze historyczne nazwisko jeszcze nabrałoby blasku, gdyby stanęło pod imieniem Mickiewicza, wydanego w Warszawie w r. 1857". Była to lekka, choć przejrzysta przymówka do pana Andrzeja, że on powinien był się tem zająć, że tylko pod jego firmą dokonane wydanie, dawałoby gwarancyą narodowi, że dzieci poety nie zostały wyzyskane.

O to bowiem teraz szło. Gdy się spostrzeżono, gdy się dowiedziano, za ile kupił Merzbach prawo wydawnictwa, gdy obliczono zyski, jakie ztąd mieć mógł, powszechnie poczęto się oburzać na lekkomyślność, jak mówiono, opiekuna nieletnich, Wołowskiego, który za tak marną stosunkowo cenę sprzedał ich ojcowiznę. Wołano, że w takich warunkach ofiarność narodowa nie szła na korzyść dzieci poety, ale żyda księgarza. Znany pisarz Padalica, zaprotestował przeciwko temu publicznie w „Czasie" krakowskim, za nim Ludwik Pieńkowski, marszałek szlachty powiatu winnickiego, rozwinął agitacyą przeciw Merzbachowi i ogłosił protest z licznymi podpisami szlachty po-

nakładu był duży, bo wypadał wydawcy po rs. 5 kop. 40 za egzemplarz, zyski te ograniczały się do rs. 4 kop. 60. Byłoby i to dostatecznem, gdyby nie inne jeszcze wydatki, jako to: procent ustępowany księgarzom (25%), kredyta z rachunkiem rocznym, prezenta, jakie dał dzieciom poety (serwis srebrny na 12 osób), opłacanie się cenzorom, by nie bardzo kreślili utwory poety. Zysk więc malał, a i tego pozbawiła Merzbacha prywata tak dalece, że odbiwszy pierwszego tomu 10.000 egzemplarzy, przekonał się, że na sprzedaż takiej ilości liczyć nie może i drugi tom bił już tylko w 2000 egzemplarzy, których sprzedać także nie mógł. Pod pokrywką obrony interesów dzieci poety, inni księgarze warszawscy intrygowali przeciw Merzbachowi i podburzali przeciw niemu opinią publiczną.

dolskiej, która, „powodowana głosem obrażonego sumienia“, oświadczała, że dzieł Mickiewicza, wydanych przez Merzbacha, prenumerować nie będzie, i wzywała wszystkich tych, którym „oburzająca owa spekulacya“ nie jest wiadoma, by to samo zrobili. Wskutek tego szlachta tak zwanych prowincyj zabranych, pieniądze przeznaczone na kupno dzieł Mickiewicza, składała swym marszałkom z tem, żeby wyjednali pozwolenie u rządu, dla przesłania ich dzieciom poety. Napróżno przez usta literata Dziekońskiego, Merzbach zapewniał, że po rozprzedaniu nakładu wypłaci nieletnim drugie tyle, że protestacye mogą je pozbawić tej drugiej połowy, że wobec nich nie odbierze nawet swego; wydawnictwa jego nie kupowano, tak że został przez nie zupełnie zrujnowany. Charakterystycznem jeszcze jest to, że w całej tej sprawie dzienniki warszawskie zachowywały zupełne milczenie.

Wśród tych sporów, d. 6 Września cesarz przybył po raz drugi do Warszawy i stanął w Belwederze, witany przez tłumnie zebraną publiczność na ulicach, przez wesołe, entuzyastyczne nawet okrzyki. Przedstawiony sobie przez namiestnika projekt Towarzystwa rolniczego w zasadzie zatwierdził, zastrzegając tylko przedyskutowanie jego statutu w Komitecie ministrów w Petersburgu. Szło oczywiście o to teraz, by statut ten przeszedł przez tę nową próbę. Ministrem sekretarzem stanu Królestwa po zmarłym w roku zeszłym Turkulle był Tymowski, od którego zachowania się w tej sprawie bardzo wiele zależało. Zyskany przez Klemensowczyków Tymowski przyrzekł poparcie, i nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że projekt całkowicie zostanie zatwierdzony.

Tymczasem cesarz zabawiwszy parę dni w stolicy Polski, udał się d. 9 Września do Puław, gdzie mieścił się instytut panien. Pozbył się tutaj, wśród grona młodych dziewcząt, całego swego majestatu imperatorskiego, bawił się wybornie, biegał z pannami po ogrodzie i parku, ścigał się i kazał się gonić, jadł z niemi kotlety cielęce, rozmawiał, obdarzał cukierkami. Jakkolwiek polskie dziewczyny

zachwycone były tą dobrocią młodego i przystojnego monarchy, opinia przecież w kraju krzywo na to patrzała i wogóle instytut panien w Puławach nie cieszył się dobrą renomą, dzięki tym odwiedzinom cesarskim.

Powróciwszy z Puław do Warszawy, w trzy dni potem wyruszył zagranicę do Stutgardu, gdzie zjechać się miał z cesarzem Francuzów, Napoleonem, i następcą tronu pruskiego, późniejszym cesarzem Wilhelmem Zdobywcą. Tutaj, wśród zabaw, uczt, balów i uroczystości wszelkiego rodzaju, cesarz Napoleon, zawsze myślący o Polsce, korzystając z przyjaźni, jaka od traktatu paryzkiego zdawała się łączyć oba państwa, między innemi sprawami europejskiemi, podniósł przed Aleksandrem II. sprawę polską. Mówił, że czyni to w interesie porządku i pokoju, że trzeba, by monarcha rosyjski uważał to przypomnienie za najszczerszy wyraz poważania i przyjaźni, jaką do niego czuje cesarz Francuzów. „Kwestya polska, powiedział Napoleon, o ile może kiedyś powstać i zainteresować dyplomacyą europejską, jest jedyną, która stosunek Francyi do Rosyi może uczynić drażliwym. Mam zobowiązania, od których odstąpić nie mogę, muszę się także liczyć z opinią publiczną, która we Francyi wielce jest Polsce przychylną. O tej okoliczności zniewolony jestem otwarcie uprzedzić waszą cesarską mość, ażeby nie nastąpiło zerwanie dobrej naszej zażyłości, którą tak cenię“. Niestety! Aleksander nie chciał zrozumieć tych słów, nie chciał wysluchać tej rady, któraby była ocaliła może Polskę od strasznej katastrofy, a rozwoju Rosyi nie powstrzymala na długie lata. Car uczuł to przypomnienie jako obrazę, ale zapanował na razie nad oburzeniem i odrzekł chmurnie i ozięble, że nikt więcej od niego samego nie życzy Polsce spokoju i pomyślności, ale że wszelka interwencya obca może tylko zaszkodzić jego dobrym zamiarom, a to przez obudzenie w Polakach nadziei, niepodobnych do urzeczywistnienia. Wychodząc z tej konferencyi, wyrzekł w petersburskiej francuzczyznie dość głośno, by go wszyscy mogli słyszeć, te słowa znaczące i fatalne: „ośmielono się mówić mi

o Polsce" *(on a osé me parler Pologne).* Znaczyło to, że po za ulgami drobnemi, po za nic nie znaczącemi łaskami, w gruncie rzeczy nie zamierza on zrobić żadnych ustępstw, żadnych reform stanowczych, i że Polska pod jego berłem niczego się spodziewać i na nic liczyć nie może. Postanowienie zgubne, zaślepienie złowieszcze, które, gdybyśmy mogli wierzyć w przeznaczenie, w jakiś bajeczny urok ludowy, los rzuca niekiedy na królów i narody, jakby je chciał pokarać...

Wyjechawszy ze Stutgardu, zkąd zabrał bawiącą tam swoją żonę, cesarz powrócił do Warszawy d. 8 Października. Z dworca kolei oboje małżonkowie wprost pojechali do kościoła św. Aleksandra, gdzie ich powitał arcybiskup Fijałkowski w szatach pontyfikalnych, otoczony klerem i błogosławił. Ludność tłumnie zaległa ulice i radośnie witała dostojną parę, nie wiedząc, że przed kilku dniami ten car potężny, na cześć którego teraz pod bladem, jesiennem niebem polskiem, grzmiały okrzyki wesołe, skazał Polskę na zatracenie i zagładę wiekuistą. Cesarzowa, sentymentalna, niebieskooka, jasnowłosa Niemka, zapragnęła poznać towarzystwo warszawskie, a zwłaszcza damy, i dlatego nazajutrz zaraz, dnia 9 Października, panie, sama wyborowa krema warszawska, Zamoyskie, Kosakowskie, Potockie, Branickie, Wielopolskie i wiele innych, zebrały się w Łazienkach, ubrane w rosyjski, dworski strój, to jest: suknie z ogonami i kokoszniki (rodzaj czółek, jakie widzieć można jeszcze dziś u starych żydówek po małych miasteczkach) na głowie. Tak bowiem kazano się ubrać. Na kokoszniki te krzywiły się mocno panie polskie, i większość ich potrafiła dyademami i wieńcami kwiatów tak przykryć głowę, że tego brzydkiego ubioru urzędowego nie było widać. Cesarzowa z każdą z nich rozmawiała.

Wieczorem tegoż dnia odbył się bal w zamku u namiestnika, bardzo świetny ale krótki, bo cesarstwo odjechali o północy. Cesarz rozmawiał z wielu osobami i w ogóle objawiał żywe zadowolenie z przyjęcia, jakiego doznał w Warszawie. Odzywał się głośno, że w sercu Rosyi, w sta-

rej Moskwie, nie był lepiej witany. Jakoż tak było. Gdzie się ukazał powóz monarchy, lud się tłoczył, wydając okrzyki, potrząsając czapkami. Szczęśliwe dni, w których nie zostały jeszcze rozerwane związki między monarchą i ludem; w których obie strony jeszcze się szanowały i pokładały w sobie zaufanie w lepszą, słodszą przyszłość!

W Wielkim Teatrze na przedstawieniu baletu p. t. „Korsarz", na którym znajdowali się oboje cesarstwo, publiczność z obawy uchybienia etykiecie, zachowywała się bardzo cicho. Cesarz zdziwiony tem, wyrzekł „czy publiczność jest martwa?" *(la public est-il mort?)* i kazał swemu otoczeniu bić oklaski. Na przedstawieniu tem wszyscy mężczyźni w krzesłach i lożach byli we frakach i białych krawatach, damy, przeważnie żydówki, w strojach balowych, ale nie odznaczały się pięknością, świeciły tylko kolekcyą wspaniałych brylantów.

Nakoniec dnia 11 Października oboje cesarstwo zostawiwszy 20,000 rubli na ubogich, opuścili Warszawę udając się najprzód do Puław. Tym razem jednak młody monarcha w obecności swej żony, zachował się bardzo poważnie, bawił krótko, zwiedzał tylko niższe klasy, nie biegał i nie rozmawiał z pannami. Ztąd udał się do Kijowa.

Bezpośrednim skutkiem pobytu cesarskiego w Warszawie, było zatwierdzenie Towarzystwa rolniczego. Tymowski w komitecie ministrów przeprowadził statut, o czem już w Grudniu 1857 r. wiedziano w kraju. Sprawiło to powszechną radość. „Kuryer warszawski", nader rozpowszechnione pisemko brukowe, wołał: „Kreślimy te kilka słów, aby nie spóźniać słusznej radości, jakiej kraj cały wdzięcznością przejęty, dozna na wiadomość o tym nowym dowodzie szczodrobliwej łaski Najjaśniejszego Pana i dobroczynnych zamiarów Wysokiego Rządu, pod którego światłym sterem, pożyteczne, dobro kraju na celu mające usiłowania zacnych obywateli, tak pożądany odnoszą skutek". Ten język niewymuszony, te wyrazy szczerej wdzięczności dla monarchy, nie nakazane przez władzę, jakże dziwnie brzmią dzisiaj w naszych uszach! Później o rzą-

dzie i cesarzu już tak nie pisano, a jeżeli pisano to tylko z rozkazu policyi i satrapów rosyjskich.

Z zatwierdzenia Towarzystwa cieszono się więc powszechnie, a Klemensowczycy tryumfowali. Nie bawili się w adresa, w prośby, w petycye, w żebraninę o nieprzedawnione prawa Polski, ale idąc po drodze legalnej zdołali wyjednać pod skromnem mianem Towarzystwa rolniczego, prawdziwą reprezentacyą kraju, bo za taką w swych rozmowach, w głębi swych serc, stowarzyszenie owe uważali. Nie wątpili bowiem, że przy wpływie i znaczeniu, jakie mieli w kraju przez swe stanowiska, swój rozum, i gotowość do inicyatywy, zdołają przez zręcznie pokierowaną agitacyą, zgromadzić w Towarzystwie wszystko co jest pod jakimkolwiek bądź względem wybitniejszego w kraju, że wreszcie przez sam ogrom liczby swych członków Towarzystwo stanie się faktycznym reprezentantem Polski, jej sejmem, jej parlamentem. Jakoż przy dorocznych zjazdach wszystkich stowarzyszonych w Warszawie, Towarzystwo koniecznie musiało mieć charakter ciała, przedstawiającego w sobie całą nieomal Polskę. Przy braku zatem wszelkich innych organów, przez któreby głos pragnień narodowych mógł był dać się słyszeć, tego rodzaju liczne zebrania, w których brali udział wszyscy ludzie wykształceńsi, czynniejsi, zastanawiający się nad położeniem kraju, musiały koniecznie, mimo woli nabrać charakteru politycznego, choćby nawet na tych zebraniach mówiono o uprawie pszenicy lub jęczmienia. Wreszcie, jak to później obaczymy, sam rząd przez dziwny brak logiki, dziwniejszy jeszcze nierozum, przyznał tę cechę Towarzystwu rolniczemu, wzywając je do rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej.

Nareszcie ogłoszono w dziennikach ukaz o Towarzystwie, podpisany w Carskiem Siole, dnia 24 Listopada 1857 r. Zatwierdzona przez tenże ukaz, ustawa, powiada: że Towarzystwo rolnicze ma na celu zjednoczenie pojedynczych usiłowań dla nadania, zgodnie z dobroczynnymi zamiarami rządu, silniejszego popędu przemysłowi rolniczemu w kraju. Towarzystwo zatem wyłącznie się ma zaj-

mować przedmiotami, dotyczącymi gospodarstwa wiejskiego, we wszystkich jego gałęziach. Ogólne zebranie Towarzystwa ma się odbywać raz na rok w Lutym.

Pierwsze zawiązki nowego Towarzystwa utworzyli członkowie redakcyi „Roczników gospodarstwa krajowego“, w liczbie 53, zaprosiwszy jeszcze do swego grona dwudziestu obywateli ziemskich, majętniejszych, znanych ze swych wpływów i z dobrego gospodarowania. Między nimi zaproszony był i margrabia Wielopolski. Nie przybył jednak, ale przysłał w miejsce siebie syna swego Zygmunta. Jakie były przyczyny tego postąpienia margrabiego, niewiadomo; prawdopodobnie czuł on, że wskutek oburzonej przeciw sobie opinii z powodu procesu o zapis Świdzińskiego, znalazłby się wśród zgromadzonych obywateli osamotnionym, i nie mógłby zająć w Towarzystwie tego stanowiska, jakie mu się ze względu na jego wysoki rozum należało [1]). Zamoyski, wybrany prezesem Towarzystwa,

[1]) Biograf Wielopolskiego, Henryk Lisicki (Le marquis Wielopolski II, 44) powiada, że margrabia zajęty był wówczas sprawami prywatnemi, a mianowicie urządzaniem zbiorów po Świdzińskim, że podróż do Warszawy w porze roku nieprzyjaznej i konieczność długiego tamże pobytu, wstrzymywały go od przyjęcia zaprosin Zamoyskiego, że nakoniec przewidywał, iż Towarzystwo wcześniej czy później zmieni się w ciało polityczne, i dlatego nie chciał do niego należeć. Tłomaczenie to jest zbyt naciągnięte i wcale nieprawdopodobne. Wielopolskiego program nakazywał przyjmować wszelkie ustępstwa, ze strony rządu i przyjmować je z otwartemi rękami, nie mógł być zatem obojętny na tak ważną instytucyą, jaką było Towarzystwo, zwłaszcza, że ono dopiero znacznie później, z inicyatywy samego rządu, zajęło się kwestyą społeczno-polityczną, jaką była sprawa włościańska.

Właściwie przebieg tej sprawy był inny. Już w czasie druku niniejszego tomu, dostał się do rąk naszych manuskrypt, pisany ręką jednego z wybitniejszych członków Komitetu Towarzystwa rolniczego, zatytułowany „Urywkowe zapisy“, gdzie odrzucenie Wielopolskiego, autor przypisuje głównie zabiegom Leona hr. Lubieńskiego. Lubieńscy bowiem nienawidzili Wielopolskiego, jeszcze z czasów swego ojca Feliksa Łubieńskiego, ministra sprawiedliwości za Księstwa Warszawskiego, którego krewny Bontani należał czynnie do rozszarpania Ordynacyi Myszkowskich, sam zaś Feliks Łubieński

z mocy swej władzy, nie przyjął Zygmunta Wielopolskiego, jako zastępcy ojca, do grona założycieli, co było krokiem niesłusznym i niesprawiedliwym, w obec tego, że wiele osób tak samo jak margrabia zrobiło. Zamoyski, który zawsze był niezmiernie drażliwy na głos opinii publicznej, który chciał, by członkowie jeżeli już nie całego Towarzystwa, to przynajmniej jego założyciele nie mieli na sobie żadnych zarzutów, byli szanowani przez opinią, nie chciał Wielopolskiego wprost dlatego, że był przez kraj nielubiany i nie cieszył się mianem dobrego Polaka. Poza tem, leżała w tem wszystkiem jeszcze zapewne fatalna osobista niechęć ku margrabiemu, owoc odrębności poglądów na sprawę ojczystą, owoc zresztą ambicyi niepopartej wielkim rozumem i zazdrość w obec potęgi umysłowej, jaką był Wielopolski. Zapytywany Zamoyski, dlaczego odrzucił Zygmunta Wielopolskiego, miał wyrzec, że dlatego, iż podczas wojny sewastopolskiej, ten ostatni nosił mundur ro-

dlatego właśnie popierał jej zniesienie. Już wtedy Aleksander Wielopolski w jednem ze swych pism, w tej sprawie opublikowanych, surowo skarcił ministra. „Ostre wystąpienie margrabiego — pisze wzmiankowany manuskrypt — wywołało dla niego wielką niechęć całej rodziny Lubieńskich. Głównym przedstawicielem tej złej woli dla margrabiego był Leon Łubieński. Kiedy p. Andrzej Zamoyski w imieniu członków redakcyi „Roczników gospodarstwa krajowego“ otrzymał pozwolenie na założenie Tow. rolniczego, zaprosił 60 obywateli, w kraju wybitniejsze stanowiska zajmujących, ażeby przybyli do Warszawy w celu założenia tegoż Towarzystwa. Oczywiście w tem zaproszeniu nie pominął margrabiego Wielopolskiego, jako męża wielkich zdolności, nauki i znaczenia w kraju. Margrabia miał zamiar przybyć na zaproszenie Zamoyskiego. Powóz był wypakowany, konie pocztowe zamówione. Ale margrabia w nocy zachorował na grypę i silną gorączkę, wstać z łóżka nie mógł. Wysłał zaraz sztafetę do syna Zygmunta do Warszawy i posłał mu list do p. Zamoyskiego, w którym oświadcza, że boleje nad tem, że dla choroby przybyć nie może, ale prosi, żeby w jego zastępstwie syn Zygmunt do obrad nad przyszłem Towarzystwem rolniczem przyjętym został. Zygmunt Wielopolski list ojca w czasie obrad przesłał p. Zamoyskiemu i prosił o odpowiedź. Leon Łubieński, który z każdej okoliczności korzystał, ażeby szkodzić Wielopolskiemu, wystawił p. Zamoyskiemu, że Zygmunta do obrad przyjąć nie można,

syjski. Ale czyż on jeden tylko go nosił? czyż nie było tam innych z niemniej głośnemi historycznemi imionami?

Wśród takich okoliczności członkowie redakcyi „Roczników gospodarstwa krajowego“, i zaproszeni przez nich obywatele, zebrali się w d. 16 Stycznia 1858 r. w Warszawie, i uroczyście, o godzinie 12tej w południe zawiązali Towarzystwo w sali posiedzeń Okręgu naukowego warszawskiego, której na ten cel udzielił im Muchanow, gorliwie całą tą sprawą się zajmujący. Namiestnik Gorczakow na zebraniu nie był z powodu słabości. Po solennem nabożeństwie w kościele P. P. Wizytek, posiedzenie zagaił Muchanow mową witającą nowe Towarzystwo. Ukaz odczytał Gudowski, Dyrektor kancelaryi Komisyi spraw wewnętrznych. Potem przemówił arcybiskup Fijałkowski.

Najważniejszą jednak była mowa Andrzeja hr. Zamoyskiego, jako redaktora „Roczników“. Streszczała ona w sobie cały program partyi Klemensowczyków. „Kształćmy się, mówił, pracujmy pilnie, bo obszar obowiązków rolnika,

---

i jako jedyny motyw, bo innych nie było, podał, że Zygmunt przez lat kilka służył w wojsku rosyjskiem. Jednocześnie Stanisław hr. Kossakowski, wezwany na obrady, leżał obłożnie chory na pedagrę i z listem, w zastępstwie swojem, przysłał syna, młodzieńca osiemnastoletniego. Również jakiś obywatel z Augustowskiego, nie mogąc na zaprosiny p. Zamoyskiego przybyć, w zastępstwie swojem przysłał swego sąsiada. Młodego Kossakowskiego i owego pana z Augustowskiego, pan Zamoyski przyjął do obrad jako zastępców. Odczytał list margrabiego i oświadczył, że syna jego Zygmunta, jako zastępcę na miejsce ojca nie przyjmuje. Wykluczenie to Zygmunta Wielopolskiego było równie niesłuszne jak nieprzyzwoite. Wiktor hr. Ossoliński ostro wystąpił przeciwko temu postanowieniu p. Andrzeja, ale napróżno. P. Zamoyski kazał odpisać Zygmuntowi, że nie został przyjęty. Nazajutrz Zygmunt rozjątrzony tem nieprzyzwoitem wykluczeniem, chciał p. Zamoyskiego wyzwać na pojedynek. Ledwośmy go od tego kroku wstrzymali, wystawiając mu nierówność wieku. Zajście to skończyło się na tem, że p. Zygmunt napisał do p. Zamoyskiego list przyzwoity, ale z ostremi wymówkami. Margrabia słusznie rozgniewany zniewagą bez żadnej przyczyny uczynioną synowi, nie chciał się podać na kandydata i nie był nigdy członkiem Towarzystwa rolniczego, do końca jego istnienia.

u nas zwłaszcza, jest niezmierny. Nauka daje środki i poręcza skutki pracy. Człowiek bez zdrowych zasad, bez jędrnych pojęć, nie może mieć zdania; człowiek bez nauki kołowacieje, i zrażony upadkiem nie może pojąć przyczyn jego. Ziarno my rzucamy, ono tylko od nas zależy; Opatrzność jedynie daje żniwo, ale Bóg błogosławi służącemu z ufnością. Dziś dla każdego obywatela otwiera się nowe a obszerne jeszcze pole pracy, zasługi, na którem ku dobru powszechnemu obracać będzie mógł skuteczniej jak dotąd, doświadczenie i wykształcenie indywidualne przez siebie zdobyte“. — „Pamiętajmy, mówił dalej, że nie instytucya rzecz stanowi; martwą by ona była, jeślibyśmy nie mieli przekonania, że nam trzeba być dojrzałymi, abyśmy wynikającym z instytucyi obowiązkom, pracom i ciężarom sprostać potrafili i byli gotowymi. Nie ten bowiem jest wielkim, co to czyni, co sam chce, ale ten, co umie to czynić, co może.... Obywatel każdy na swojem stanowisku, nie tylko jako ojciec rodziny i kolator parafii, jako pan włości, jako sąsiad i członek towarzyskiego koła, winien dawać z siebie przykład cnót chrześcijańskich obywatelskich, ale i jako cząstka ogółu składowa, za postępowanie przed Bogiem i krajem odpowiedzialna, winien oprócz tego za święty uważać obowiązek czynne przykładanie się do dobra okolicy i kraju“. Zakończył jak następuje: „...ocknijmy się, weźmy się do pracy, a poznamy, że walka z trudnościami ma swoją ponętę, dodam oraz, zaletę; że choć te trudności nas najokropniej czasem zmogą, uchodzimy bez sromoty, a do najdrobniejszego postępu wielką przydają wartość i znaczenie. Ale niedość trudności pokonać, zwyciężyć, postąpić; postęp trzeba zabezpieczyć; postęp zaś i zwycięztwo tych tylko trwałym bywa udziałem, których czujna żarliwość, odwaga i gospodarna zabiegłość, zawsze stają na równi z wymaganiami obowiązków.

„Błyśnij swą łaską, o Panie!
Zwilż oschłość ducha swą rosą,
A serce z więzów powstanie,
Myśli się z mętów podniosą“.

Po mowach tych zajęto się pierwszymi wyborami. Prezesem Towarzystwa jednomyślnie wybrano Zamoyskiego, wiceprezesem Aleksandra hr. Ostrowskiego. Jednocześnie wybrano szesnastu członków komitetu, który pod przewodnictwem prezesa sprawami Towarzystwa miał kierować. Nazajutrz, o godzinie 5tej po południu, w hotelu Angielskim, nowi członkowie Towarzystwa dali wystawny obiad dla Zamoyskiego, na który zaprosili Muchanowa. Osób było około sześćdziesięciu. Przy końcu tego obiadu rozegrała się charakterystyczna scena, wybornie malująca tak Zamoyskiego, jak i jego program. Muchanow, w przystępie szczególnego ożywienia, powstał i wzniósł staropolski toast: „kochajmy się", wygłoszony po francusku (aimons-nous). Toast ten przyjęto grobowem milczeniem i oczy wszystkich zwróciły się na Zamoyskiego, który ze swą nerwową, niemniej przeto nieruchomą twarzą angielską, podniósł się i rzekł spokojnie z lekkim uśmiechem: „tak, każdy u siebie" (oui, chacun chez soi). Brzmiało to wyraźnie: nie chcemy was kochać, nie chcemy żadnego związku z wami, żadnego kompromisu, żadnej zgody, nic nie chcemy, tylko byście sobie poszli na złamanie karku.

Od chwili zawiązania Towarzystwa rolniczego, potrafiono tak zręczną i tak silną rozwinąć agitacyą, że w ciągu miesiąca liczyło ono już 1200 członków, między którymi znaleźli się wszyscy nieomal znakomitsi i wybitniejsi mężowie kraju. W rok potem Towarzystwo miało 2538 członków, a że każdy stowarzyszony obowiązany był wnosić sto złotych rocznej opłaty, posiadało więc Towarzystwo znaczne fundusze. Zdołano tak wysoko w opinii postawić Towarzystwo, że nienależenie do niego, uważano za wstyd, budziło podejrzenie co do moralnej i politycznej wartości człowieka. Kto nie został członkiem tej instytucyi, ten skazywał się sam na pewien rodzaj ostracyzmu, w wątpliwość podawał swój polski charakter polityczny. Wskutek tego każdy, kto tylko jakiekolwiek miał prawa potemu, zapisywał się na członka nowego stowarzyszenia, które odrazu,

nieomal w dzień swego powstania, zajęło stanowisko moralnego przewodnika i reprezentanta kraju i jego interesów.

Dla Zamoyskiego, dla Klemensowczyków, było teraz obszerne, a nadewszystko legalne pole, do wprowadzenia w życie swego programu, obmyślonego ściśle, wśród długich, smutnych dni Paskiewiczowskiej dyktatury. Na ogólnem zebraniu, które zaraz w Lutym się rozpoczęło, Zamoyski miał sposobność od czasu do czasu rzucić jakieś słówko, które z pośrodka rozpraw o nawozach i drenowaniu łąk, wystrzelało jak świetlista raca, oblewająca swym blaskiem szerokie horyzonty, i wskazująca pozbawionej steru nawie narodowej, bezpieczną drogę do portu zbawienia. „Szlachetna odwaga cywilna, wołał, nie zależy na wyzywaniu, na kuszeniu niewłaściwem, ale na pełnieniu obowiązku“. Słowa takie w społeczeństwie, które oddawna przestało pełnić swe obowiązki, które wśród ogólnego rozbicia nie wiedziało naprawdę co jest jego obowiązkiem, które spiskując, wyzywając i kusząc przemożnego nieprzyjaciela sądziło, że spełnia dobrą służbę ojczyznie, słowa takie musiały wywierać i wywierały potężne wrażenie. Wrażenie to było tem silniejsze, że człowiek, który tak mówił, całem życiem swem świadczył o prawdzie tych słów; wierzono mu, czczono go i powoli zbliżała się chwila. w której miał zostać bożkiem narodowych marzeń i aspiracyi.

Zresztą popierali go Klemensowczycy gorąco. Pozbawieni przez długie lata wszelkiego szerszego publicznego zajęcia, zabrali się do pracy z niezwykłym w Polsce zapałem i wytrwałością, która odrazu dała się uczuć w kraju całym. Działalność ich ogarnęła wszelkie zawody i gałęzie przemysłu, mające jakikolwiek związek z rolnictwem. Urządzano wystawy rolnicze, konkursa i nagrody za najlepsze gospodarstwa nietylko folwarczne ale i włościańskie, oraz za instytucye dobro ludu mające na celu; zakładano t. z. ochrony dla dziatwy chłopskiej, kształcono ochroniarki; tworzono dalej szkoły dla rzemieślników, wyznaczano stypendya, urządzano folwarki doświadczalne i laboratorya chemiczne, klasyfikowano grunta, wydawano dzieła spe-

cyalne i ludowe. Ustanowiono na ten cel wydział wydawniczy, który elementarne książki drukował w 15.000 egzemplarzy. Nie pominięto żadnego pola, choćby najdalszy i najluźniejszy miało ono związek z zadaniami Towarzystwa, byle tylko pole to mogło być korzystnie zużytkowane dla dobra kraju. Całe Królestwo podzielono na 77 okręgów rolniczych, i w każdym z nich znajdowało się trzech członków korespondentów, za pośrednictwem których, komitet znajdował się w ciągłych stosunkach z krajem, wiedział co się gdzie dzieje i jaki kierunek przybierają umysły. Odrazu dało się uczuć w Królestwie, że ktoś myśli o losach ojczyzny, że jest jakieś ciało, które powoli spaja rozbite na cząstki społeczeństwo, usiłuje nadać pewien jednolity kierunek jego działalności. Śmiało rzec można, że Towarzystwo rolnicze od samego swego początku poczęło wywierać na kraj wpływ przeważny i dominujący.

Do tego wpływu przyczyniła się bardzo wiele niezamącona niczem harmonia i jednomyślność członków komitetu. Składał on się prawie wyłącznie z Klemensowczyków, ze zwolenników programu pracy organicznej, z ludzi stosunkowo dość zamożnych, którzy przebywali stale w Warszawie i posiedzenia swe prawie ciągle odbywali. Odrazu między nimi wytworzył się ton koleżeńskiej poufałości, wzajemnej pomocy, wolnej od miłości własnej i wszelkiej próżności; przymioty, których nigdy żadne zbiorowe ciała polskie nie posiadały, a które wyrobiła dopiero ciężka szkoła paskiewiczowska, i to podniosłe, na wskróś idealne uczucie miłości kraju, jakie cechuje całe to pokolenie ofiarne niesłychanie, ale też i niesłychanie niepraktyczne w zakresie politycznym i marzycielskie.

Podczas kiedy w ten sposób Towarzystwo rolnicze w Królestwie brało powoli w swe ręce ster losów krajowych, nie mogąc jednak, w tej chwili przynajmniej, pracować nad rozwiązaniem najważniejszej kwestyi, bo kwestyi włościańskiej, która nie leżała w jego kompetencyi, na Litwie przez dziwny i jedyny w swoim rodzaju zbieg okoliczności, kwestya ta oddaną zostala, jakeśmy to już

powiedzieli, w ręce szlachty polskiej. Fakt ten wywołał w umysłach ludzi znających charakter narodowy, głębiej myślących i pojmujących położenie, poważną obawę, czy wogóle szlachta polska na Litwie, Podolu, Wołyniu i Ukrainie odpowie godnie temu zadaniu, czy zdoła czynem ofiarnym okupić winy swych ojców?

Jakoż, obawy te niestety! nie były płonne. Szlachta tamtejsza, przeważnie złożona z ludzi bardzo zamożnych, pielęgnowała nader starannie charakter wyłączności rodowej, do czego z jednej strony przyczyniały się wielkie, lesiste, na pół jeszcze dziewicze przestrzenie, a ztąd trudność przenikania idei postępowych; z drugiej ta okoliczność, że narodowość polska, z małym bardzo wyjątkiem, reprezentowała tam tylko taż szlachta. Dwie te przyczyny spowodowały, że szlachta uważała się za kastę odrębną, wyższą, ściśle konserwatywną, zastygłą i zaśniedziałą w swych przesądach rodowych. Chłop ruski albo litewski. zgnębiony długą i ciężką niewolą, różniący się od szlachcica narodowością i religią, nie miał żadnych prawie pragnień i żadnych aspiracyi, wlókł życie nędzne, ciężkie i z pokorą uginał karku pod jarzmo szlacheckiej niewoli. Żywioł mieszczański bardzo nieliczny, przeważnie z żydów złożony, żyjący z tej szlachty, w niczem wpłynąć nie mógł na zmianę tych pojęć i tego położenia rzeczy. Stan urzędniczy, rekrutujący się w większej części z drobnej, zagonowej szlachty, był pokornym sługą panów polskich, i miał wszystkie wady źle płatnych i sprzedajnych urzędników rosyjskich.

Wszystko zatem, wszystkie warstwy ludności litewskiej przejęte były duchem szlacheckim. Samo Wilno nawet nosiło na sobie ten charakter. Na zimę zjeżdżały się tam zwykle zamożne domy obywatelskie i nadawały ton całemu życiu miejskiemu. Nazimow pozwolił na założenie klubu szlacheckiego, w którym bawiono się szumnie i przegrywano w karty ogromne sumy, krwawo zapracowane przez chłopa litewskiego i ruskiego. Sam zresztą bawić się lubiał. Co środę przyjmował u siebie, i na wieczorkach

tych szlachta litewska tłumnie bywała. W karnawale 1857 r. odbywał się w Wilnie bal za balem, u Lubańskich, Umiastowskich, hrabiów Łopączewskich, Platerów, u książąt Puzynów. W ostatnią niedzielę zapustną, Domeyko, marszałek gubernialny wileński, wydał bal na cześć Nazimowa. Bal ten, według słów miejscowego organu „Kuryera Wileńskiego“, był „jakby wyrazem podziękowania i wdzięczności publicznej ku temu, który nam powrócił wesołość“. W czasie postu, w salonach pałacu, niedyś Masalskich, a dziś jenerał-gubernatorskim, przedstawiano na cel dobroczynny żywe obrazy, wyobrażające zaręczyny pana Chryzostoma Paska z panną Teresą Krosnowską. Błyszczały więc tam, w salach dygnitarza rosyjskiego, karmazynowe kontusze, lite pasy, dzwoniły karabele polskie. Dziwne czasy, pełne marzeń o jasnej przyszłości, która wkrótce, niestety! zmienić się miała w czarną, długą, murawiewowską niewolę.

Ta cecha polskości na Litwie, wszędzie, na każdym kroku dawała się teraz spostrzegać. Przebijała się ona mianowicie w sferach urzędniczych, których skład w znacznej większości był polski. Już ku końcowi panowania Mikołaja, Polacy prawie wyłącznie ogarnęli wszystkie urzędy na Litwie i Białorusi, tak w wydziale skarbowym, jak i w administracyi, sądownictwie i szkole [1]), stanowiąc siedm dziesiątych ogólnej cyfry, nadając tym sposobem całej maszynie urzędowej charakter przeważnie polski.

Ten stan rzeczy zwrócił na siebie uwagę metropolity litewskiego prawosławnego, osławionego renegata Józefa Siemaszki. W ostatnich dniach panowania Mikołaja, mianowicie w d. 5 Stycznia 1855 r. Siemaszko wystosował do prokuratora synodu w Petersburgu, hrabiego Protasowa,

---

[1]) Podajemy tu niektóre cyfry, wyjęte z raportu Siemaszki, o którym niżej będziemy mówili. W izbach skarbowych wileńskiej i grodzieńskiej na 14 urzędników, 12 było Polaków: na 37 asesorów, 32 było Polaków; na 12 naczelników wydziałów, 10 Polaków; na 41 nadleśnych, 33 Polaków. W administracyi gubernialnej na 95 urzędników, było 84 Polaków. W sądownictwie na 165 urzędników, było 118 Polaków.

obszerny raport, w którym jaskrawymi kolorami odmalował położenie i starał się przekonać władzę, że takie przepełnienie urzędów Polakami, grozi poważnem niebezpieczeństwem interesom państwowym z jednej, a prawosławiu z drugiej strony. „Któż może wątpić, pisał, że stronnictwo polskie, tworząc tak silną przewagę w tym kraju, nie ma na widoku teraźniejszych wypadków? Nie sądzę, by stronnictwo to miało dość środków dla zaniepokojenia rządu, ale wobec przypuszczalnej koalicyi państw zachodnich przeciw Rosyi, czyż nieprzyjaciel nie znajdzie w tym kraju gruntu zupełnie przygotowanego? Czyż rząd posiada broń, którą mógłby działać skutecznie tutaj i stawić czoło wszelkim kolejom wojny? Kwestya ta zasługuje, by się nad nią zastanowiono".

„Nie idzie tu o los metropolity, pisał dalej, ani o los ludności prawosławnej, siedm kroć sto tysięcy dusz liczącej, tem mniej nie zastanawiam się nad tem, że może byłoby przyjemniej i łatwiej dla tych, którzy stoją tu na czele rządu, połączyć się ze stroną bogatą, potężną i wpływową; nie w tem wszystkiem leży rdzeń kwestyi; ja pragnę tylko otrzymać od rządu to, by ludność ruska i litewska, dziesięć milionów dusz licząca, osiadła w guberniach zachodnich, nie zeszła z drogi obowiązku w obec wypadków, jakie mogą nadejść i była zabezpieczona od zaraźliwych wpływów cudzoziemczyzny".

Raport ten, pełen przesadnej gorliwości renegata, który chce być bardziej katolickim niż sam papież, pełen dotkliwych przycinków dla Nazimowa, oskarżający wprost o zdradę państwową całą ludność katolicko-polską na Litwie, nie miałby zapewne żadnych dalszych następstw wobec zaszłej wkrótce śmierci Mikołaja i zmiany panującego, gdyby nie to, że kopią jego przesłał Siemaszko metropolicie moskiewskiemu Filaretowi. Ten w odpisie zakomunikował raport Nazimowowi z jednej strony, a z drugiej przypomniał o nim komu należy w Petersburgu [1]).

[1]) Nazimow wyczytawszy w raporcie takie zdanie „że może byłoby przyjemniej i łatwiej dla tych, którzy stoją tu na czele rządu,

Wskutek tego w d. 2 Lutego 1855 r. wyszedł rozkaz do władz trzech gubernij litewskich, ażeby odtąd wszystkie stanowiska urzędowe były powierzane „wyłącznie osobom pochodzenia rosyjskiego", a gdyby to nie było możliwem, to przynajmniej ludziom znanym ze swej lojalności względem rządu. Polecono, by natychmiast zamianowani byli na stanowiska gubernatorów, wice-gubernatorów, prokuratorów, członków sądów powiatowych, komisarzy policyi (sprawników) i poczmistrzów, tylko Rosyanie. Nakazano, by Polacy chcący dalej służyć tranzlokowani byli na takież urzęda do Rosyi. Ustanowiono nakoniec zasadę, że Polacy urodzeni w trzech guberniach litewskich, nie mogą tam otrzymać żadnego urzędu, dopóki nie przesłużą dziesięciu lat w Rosyi, lub nie mają stopnia oficerskiego, i jeżeli nie odznaczają się przytem wszystkiem jak najlojalniejszem usposobieniem (błagonadieżnost). Przepisy te, pełne ducha nienawiści, szkodziły najbardziej samemu rządowi, gdyż administracya litewska, złożona z Polaków, bądź co bądź była bardzo lojalna w zakresie swych obowiązków urzędowych i w niczem interesom państwowym szkody nie przynosiła. Podobnie jak w Królestwie Polskiem, tak i na Litwie, ciało urzędnicze, złożone w większej części z drobnej, ubogiej szlachty, szukającej na drodze służby rządowej utrzymania i karyery, bardzo dbało o swe miejsca, a pozbawione wyższego wykształcenia, widziało w machinie rządowej najwyższy wyraz rozumu ludzkiego. Dobrzy Polacy, gorący nawet patryoci w domu, w czterech ścianach swego

---

połączyć się ze stroną bogatą, potężną i wpływową", co znaczyło, że nowy jenerał-gubernator sprzyja Polakom, odrazu stanął z Siemaszką na stopie zbrojnego, że tak powiemy pokoju i nieustannej podziemnej wojny. Zabawna przytem zdarzyła się okoliczność, która tej nieprzyjaźni nadała osobliwszy charakter. Nazimow otrzymawszy od Filareta kopią raportu, schował ją do biurka w swoim gabinecie. Wkrótce potem cały raport ukazał się w „Kołokole" Londyńskim, ze zjadliwymi dopiskami Hercena, dotykającymi boleśnie Siemaszkę. Pokazało się, że raport zniknął z biurka Nazimowa, a Siemaszko był jak najmocniej przekonany, że nie kto inny tylko sam jenerał-gubernator przesłał Hercenowi to pismo.

pokoju — w biurze byli jak najgorliwszymi, jak najlojalniejszymi urzędnikami, pilnującymi ściśle przepisów, praw i korzyści rządowych. Byli to ludzie w ogromnej swej większości uczciwi, ale ciasne głowy; znali przytem swój kraj, a długoletnia służba zrobiła z nich rutynowanych, wybornych urzędników. Pozbawienie więc chleba takich ludzi, którzy nic innego robić nie umieli, tworzyło najprzód liczną klasę malkontentów, a następnie wprowadzało zamęt w administracyą kraju, co w każdym razie szkodę tylko samemu rządowi przynieść mogło. Sprowadzanie na miejsce urzędników polskich, rozmaitej zbieraniny z głębi Rosyi, ludzi nie mogących we własnej ojczyźnie znaleść zajęcia, nie znających kraju, jego charakteru, praw i zwyczajów, zamęt ten jeszcze bardziej zwiększyć mogło.

Na szczęście poglądy Siemaszki na tę sprawę, nie znalazły odgłosu w Nazimowie, do czego zapewne przyczyniła się osobista niechęć, jaką czuł jenerał-gubernator wileński do metropolity litewskiego. Pod tym względem poparł go jenerał-gubernator kijowski, popierała ogólna opinia w Rosyi, głośno się odzywająca, że czas już skończyć z polityką nienawiści względem Polaków; że taka polityka rodzi tylko gorzkie i zatrute owoce, że raczej należy się chwycić innej drogi, drogi łask, miłości, ustępstw, gojenia ran, drogi liberalnych ustaw, praw dla wszystkich jednakowych. W tym duchu wysłano z Kijowa do rządu przedstawienie, mówiące, że przenoszenie urzędników z jednych miejsc na drugie, połączone jest z mnóstwem trudności; że można w zasadzie oddawać urzęda przeważnie ale nie wyłącznie Rosyanom; że tylko w takim razie należy usuwać Polaków, jeżeli „okażą się nielojalnymi lub też niedbałymi na swych stanowiskach urzędowych“. Nazimow ze swej strony twierdził, że rozporządzenie o usuwaniu Polaków z urzędów może być „bardzo szkodliwem“.

Rezultatem tych przedstawień było to, że ukaz cesarski, wydany w dzień koronacyi d. 7 Września 1856 r. zniósł zakaz z d. 2 Lutego 1855 r. „Przy obsadzaniu posad służby cywilnej osobami urodzonymi w guberniach zacho-

dnich, mówi ukaz, i przy translokacyi ich z jednego miejsca na drugie, lub z jednej do drugiej dykasteryi, należy zachowywać te tylko ogólne przepisy, które zostały wydane dla wstępujących do służby wszystkich poddanych innych gubernii". Tym sposobem ukaz znosił ów bezsensowny warunek, że Polacy mogą być przyjmowani do urzędów na Litwie dopiero po odbyciu dziesięcioletniego, że tak powiemy, nowicyatu w Rosyi. Ograniczenie co do Polaków utrzymało się tylko w szkołach, a mianowicie, że nauczycielami historyi mogli być wyłącznie Rosyanie, ale i ten przepis wkrótce został zniesiony przez rozporządzenie z d. 2 Marca 1857 r., przyczem rząd przyznał się z naiwną otwartością, że czyni to dlatego, iż „nie może znaleść zdolnych kandydatów między Rosyanami na te posady", że zatem można je powierzać mieszkańcom gubernii zachodnich.

Wszystko to usposabiało ogół litewski, podobnie jak w Królestwie, jak najlepiej dla młodego cesarza, od którego wyglądano lada chwila potopu łask, ustępstw, uznania Litwy i Białorusi za ziemię polską. Eustachy hr. Tyszkiewicz, posiadający znaczne dobra w wileńskiem, niegdyś oficer armii rosyjskiej, dał w tym czasie 25.000 rs. na rzecz ranionych żołnierzy w kampanii krymskiej. Czasy były tak miękkie, tak skłonne do zgody, do różowego poglądu na wzajemny stosunek Rosyi do Polski, że opinia publiczna ofiarę tę uważała za stosowną i nie ochrzciła Tyszkiewicza mianem zdrajcy i zaprzańca, jakby to kiedyindziej i w innych warunkach bezwątpienia była uczyniła [1]). Cesarz kazał Tyszkiewiczowi za to podziękować, a on korzystając z tego wyjednał pozwolenie na założenie Muzeum archeologicznego w Wilnie, którego początkiem stały się znaczne i kosztowne zbiory, jakie sam posiadał, a które, gdy się w r. 1858 odwołano do publiczności, urosły do trzech tysięcy numerów, oprócz monet, medali i dzieł sztuki. Cesarz ze swej strony przy-

[1]) „Wiadomości polskie" czasopismo wychodzące w Paryżu pod redakcyą Wrotnowskiego, Kalinki i Klaczki, same jedne potępiły Tyszkiewicza za tę ofiarę.

rzekł dawać rocznie tysiąc rubli na koszta administracyi. Muzeum to miało charakter wyłącznie polski, i wyraźnie, naocznie mówiło o tem, że Litwa i Białoruś to Polska. Mowa, jaką miał Tyszkiewicz przy uroczystem zagajeniu posiedzenia członków Muzeum w d. 11 Lutego 1857 r. była możliwą tylko w tych czasach osobliwszych, w czasach brzemiennych płodem niedoli, w czasach, w których wszystko się uśmiechało, wszystko zapowiadało dni pogodnej ciszy i zgody dwóch narodów, dwóch plemion słowiańskich. Jakże dziwnie dziś w ustach polskich, jak nieprawdopodobnie brzmiałyby takie słowa, jakie wypowiedział wtedy Tyszkiewicz: „Oto są, panowie moi, wołał, przekonywujące dowody, że w nasze czasy, pod berłem potężnego Aleksandra IIgo, przy dobroci jego serca i miłości oświaty, i w naszej prowincyi osoby prywatne mogą skutecznie pracować na korzyść ojczystą, dawać rozwój naukom i sztukom i ułatwiać zbadanie tak ważnej dla wszystkich narodów, a tem ważniejszej dla nas księgi krajowych losów. Błogosławioną niech będzie godzina, w której ukochanemu naszemu monarsze spodobało się ziścić nasze dawne nadzieje“. Gdyby wśród ówczesnych słuchaczów tej mowy, znalazł się był jaki jasnowidzący i w ową „błogosławioną chwilę“ Tyszkiewiczowską zajrzał w przyszłość, w dni krwawych saturnalii Murawiewa, w dni jego ukazów, zabraniających nawet mówienia po polsku na ulicach Wilna, jakżeby został zdziwiony tragicznym kontrastem dziejowym!

Takie mniej więcej było usposobienie szlachty polskiej na Litwie, gdy została powołaną do dania przykładu całej Rosyi w sprawie usamowolnienia chłopów. Jakeśmy już powiedzieli, potworzyły się zaraz komitety szlacheckie w Wilnie, Grodnie, Kownie, Mińsku, Mochilewie i Witebsku, i zajęły się debatami w tej kwestyi. Obawy powzięte przez ludzi znających szlachtę litewską, czy zdoła ona stanąć na wysokości swego zadania, nie były, powtarzamy, nieuzasadnionemi. Komitet wileński, zwany Lipcowym, dlatego, że się w Lipcu 1857 r. zawiązał, dał pierwszy powód do pewnych wątpliwości, czy szlachta litewska zdoła spłacić

ciężki dług zaciągnięty na weksel przyszłości krajowej. Komitet ten. pod prezydencyą marszałka gubernialnego Domeyki, składał się z siedmiu marszałków powiatowych i dwudziestu trzech deputatów od szlachty, razem z trzydziestu jeden osób, samych luminarzy szlacheckich wileńskich, samej kremy obywatelskiej. Tak nieliczna grupa ludzi, zdawaćby się mogło najrozumniejszych w danej gubernii, i pojmujących położenie kraju i całą ważność tego momentu dziejowego, nie zgodziła się jednak odrazu na stanowcze rozwiązanie sprawy chłopskiej. Większość, złożona z szesnastu osób, żądała zupełnego usamowolnienia włościan; mniejszość razem z prezesem Domeyką w liczbie ośmiu osób, między którymi był marszałek lidzki Butkiewicz, uparcie się temu sprzeciwiała, milcząco popierana przez sześciu członków, którzy naprawdę nie wiedzieli czego chcieli, którzy stanowili coś w rodzaju „bagna“, słynnego w posiedzeniach Konwencyi francuzkiej. Hrabia Rajnold Tysenhaus znowu, stał na uboczu, nic nie mówił, nie głosował i czekał, na czyją stronę przeważy się szala. Szala ta jednak, pod lekkim ale decydującym naciskiem Nazimowa, który baczną miał zwróconą uwagę na to, co się działo w komitecie i któremu szło o to, by reforma przeszła. przeważyła się na stronę zwolenników usamowolnienia, ale bądź co bądź opór, jaki stawiała prawie połowa członków, świadczy, że szlachta ówczesna wileńska nie rozumiała swego i kraju położenia i żywiła najgorsze instynkta, że w pojęciach swoich nie wyszła jeszcze poza średniowieczną miedzę.

W komitecie włościańskim mochilewskim nie obyło się także bez upartej walki między stronnikami i przeciwnikami reformy. Wprawdzie na pierwszych zaraz posiedzeniach większość członków oświadczyła się za wyzwoleniem chłopa, ale mniejszość wystąpiła z silną opozycyą. która do tego stopnia się posunęła, że zarzuciła większości. jakoby nie była wyrazem opinii publicznej, coby dawało bardzo smutne świadectwo całej prowincyi. Na to, niejaki Karol Dunin, człowiek młody i gorący, odrzekł, że został

wybrany przez swych współobywateli, że wprawdzie ma obowiązek zdać przed nimi rachunek z tego co tu mówi i czyni, ale pamięta także, iż i tysiące ludu mają prawo upomnieć się o to u niego. W rezultacie atoli, po długiej i gorącej walce, liczba stronników reformy malała, aż w końcu przeciwnicy jej zwyciężyli i komitet oświadczył się stanowczo przeciw oswobodzeniu chłopa z pod supremacyi szlacheckiej. Później dopiero pod naciskiem opinii, prądów gorących liberalizmu, ożywiających najbardziej skostniałe ciała, Mochilewszczyzna starała się pierwotne swoje postanowienie zmienić. Wpadając z jednej ostateczności w drugą, chciano włościan nie tylko usamowolnić, ale odrazu uwłaszczyć. Większość jednak oparła się temu. Oświadczono się za usamowolnieniem chłopów, co zaś do obdarzenia ich ziemią, uznano za konieczne odłożyć rzeczy na lat cztery jeszcze. Uchwała ta, odnośnie do emancypacyi ludu, wzbudziła w zacofanych przed chwilą członkach komitetu tak wielki entuzyazm, że chowali troskliwie pióra, któremi podpisali rzeczoną decyzyą „by jako najdroższą pamiątkę przekazać swym następcom“.

Komitety: Grodzieński (marszałek Orzeszko) i Kowieński (marszałek Alfred Czapski) uchwaliły jednomyślnie „że nie widzą innego sposobu ulepszenia bytu włościan, jak przez nadanie im wolności, to jest od oswobodzenia ich od poddaństwa i pańszczyzny, przy pomocy oczynszowania wieczystego [1]).

Oświadczenia te komitetów litewskich, odpowiadały w zupełności pragnieniom rządowym. Nazimow zadowolony z tego, dumny, że przeprowadził na Litwie to, czego wola carska nie mogła przeprowadzić w Rosyi, kazał spisać decyzye komitetów w formie adresu do cesarza i we Wrześniu 1857 r. udał się z tymi dokumentami do Petersburga i wręczył je monarsze osobiście, który na nie niecierpliwie

---

[1]) Projekt ten podał delegowany kowieński Jakób Giejsztor; popierali go Klety Burba, Walenty Janczewski, Jan i Zygmunt Grużewscy, Szymon Syruć, Franciszek Ledóchowski, Franciszek Gedgowd i Tytus Gacher.

oczekiwał. Wskutek tego, w dwa miesiące później, bo d. 20 Listopada 1857 r. (n. s.) ukazał się reskrypt cesarski, datowany z Carskiego Sioła, do jenerał-gubernatora kowieńskiego, grodzieńskiego i wileńskiego, rozpoczynający erę najpoważniejszej i najdonioślejszej reformy społecznej, jaka w Rosyi od czasu Piotra Wielkiego się odbyła. Jakiekolwiek przyczyny na to się składały, jakie czynniki przez rząd użyte zostały, przyznać wszeląko należy, że początek tej reformy wyszedł z łona szlachty polsko-litewskiej; że szlachta rzeczona w ogromnej swej większości chętnie i z dobrą wolą uchwyciła projekt reformy i przeprowadziła ją gorąco i sumiennie. Jeszcze podczas koronacyi w Moskwie, Stefan książę Lubomirski, posiadający dobra na Litwie, przedstawiał cesarzowi gwałtowną potrzebę uregulowania w tej prowincyi stosunków włościańskich, na podstawie zupełnej emancypacyi chłopa. Rosya i jej rząd prędko o tem zapomniał, i wśród nienawiści politycznych, które niestety! tak szybko po tych dniach wybuchnąć miały, czynił ten rząd z cynizmem godnym ze wszech miar potępienia, zarzut szlachcie, że uciskała chłopa i nie chciała go nigdy usamowolnić. Że stosunki między szlachtą i chłopem na Litwie były złe i krzyczące, temu zaprzeczać nie można, ale fakt zawsze pozostanie faktem, że szlachta z chwilą gdy rząd na to pozwolił, chętnie wzięła się do reformy, nie tyle może z poczucia potrzeby cywilizacyjnej i społecznej, ile z poczucia patryotycznego, że przez ten krok dobrze zasłuży się swej polskiej ojczyźnie. Takie bowiem były pobudki tych wszystkich, którzy w komitetach litewskich żarliwie popierali i bronili sprawę usamowolnienia chłopa, pobudki nader podniosłej natury, by zasługiwać mogły, nawet ze strony Rosyan, na jakiekolwiek zarzuty.

Reskrypt cesarski zaznaczywszy, że w guberniach litewskich ustanowione były osobne komitety, złożone z marszałków szlachty i innych obywateli ziemskich, mające na celu przejrzenie przepisów o powinnościach inwentarzowych, powiada: „Obecnie minister spraw wewnętrznych zawiadomił mnie o błogich zamiarach, wynurzonych przez

też komitety, względem włościan dóbr prywatnych pomienionych trzech gubernii. Pochwalając w zupełności zamiary tych reprezentantów szlachty gubernii Kowieńskiej, Wileńskiej i Grodzieńskiej, jako zgodne z mymi widokami i chęciami, upoważniam ich do ułożenia odpowiednich projektów, z zastrzeżeniem jednakowoż, aby ich urzeczywistnienie stopniowo spełnianem było, a przez to nie wprawiało w zamięszanie urządzeń ekonomicznych, obecnie obowiązujących w dobrach szlacheckich". Po tym wstępie reskrypt poleca, ażeby w każdej z rzeczonych gubernii ustanowiony został jeden komitet przygotowawczy, w Wilnie zaś komisya ogólna, w skład której wejść mają dwaj członkowie każdego komitetu gubernialnego i jeden doświadczony obywatel z każdej gubernii, oraz członek ministeryum spraw wewnętrznych w charakterze komisarza rządowego. Prezydującym ma być jeden z członków ze szlachty miejscowej. Komitety gubernialne składać się zaś mają, najprzód z marszałka gubernialnego szlachty, który ma prezydować i deputatów, wybranych przez szlachtę z każdego powiatu, oraz dwóch doświadczonych obywateli ziemskich tejże gubernii, wyznaczonych przez gubernatora.

Zadaniem komitetów gubernialnych będzie ułożenie projektu polepszenia bytu i urządzenia włościan w danej gubernii, na podstawach następujących: 1) Obywatele mają zachować prawo własności do całego gruntu, chłop zaś ma otrzymać zagrodę, w której mieszka, i wartość jej spłacić przy pomocy wykupu na lata rozłożonego. Prócz tego chłop ma otrzymać należyty obszar roli, z której mógłby się utrzymać, pełnić obowiązki względem państwa, i z której winien płacić czynsz lub odrabiać pańszczyznę; 2) Chłopi mają być podzieleni na gminy wiejskie, przy obywatelach zaś pozostaje prawo policyi dominialnej; 3) Przy urządzaniu włościan, komitety mają baczną zwrócić uwagę na to, by opłata podatków skarbowych była należycie zapewniona.

W zakończeniu reskrypt cesarski powiada: „stawiając w ten sposób szlachtę gubernii Kowieńskiej, Wileńskiej i Grodzieńskiej w możności urzeczywistnienia jej błogich

zamiarów na wskazanych przezemnie zasadach, mam nadzieję, że szlachta odpowie zupełnie zaufaniu, jakiego daję temu stanowi dowód, przez powołanie go do udziału w tej ważnej czynności, i że przy pomocy Boskiej i przy światłem współdziałaniu szlachty, czynność ta dokonaną zostanie z należytem powodzeniem. Wy (t. j. jenerał-gubernator) i naczelnicy powierzonych wam gubernii, powinniście ściśle przestrzegać, ażeby włościanie, okazując obywatelom zupełne posłuszeństwo, nie dawali względu (sic) na żadne przewrotne podszepty lub rozumowania".

Takie były podstawy usamowolnienia chłopa na Litwie. Nie otrzymywał on roli na własność, ale stawał się czynszownikiem lub pańszczyźnianym, to jest wchodził w ten stan, w jakim od lat kilkudziesięciu z małemi różnicami znajdował się chłop w Królestwie Polskiem. Był to jednak niezmiernie ważny krok naprzód. Z niewolnika, jakim był chłop na Litwie, z którym pan mógł wszystko zrobić, zabić rózgami, zesłać na Sybir, oddać w rekruty, posłać, jak w Pińszczyźnie, w olbrzymie puszcze leśne, by tam smołę palił i nigdy już poza granicę borów nie wyjrzał, chłop ten stawał się teraz człowiekiem osobiście wolnym, trzymającym tylko od pana rolę w dzierżawie, z której czynsz płacił lub pańszczyznę odrabiał. Jakkolwiek policya dominialna oddana była w ręce szlachty i dawała tej ostatniej znaczną władzę nad chłopem, wszelako powtarzamy, był to już znaczny postęp, znaczna reforma tych okropnych, opłakanych stosunków, w jakich się znajdowała wieś litewska.

Podczas gdy z mocy reskryptu cesarskiego organizowały się w zimie z 1857 na 58 rok komitety szlacheckie, do ludu, do tego chłopa uciśnionego, drzemiącego niezdrowym snem w swej długiej, wiekowej niedoli, poczęły dochodzić różne wieści, oczywiście bardzo przesadzone, nieprawdopodobne, oparte na tem przypuszczeniu, że rząd, a właściwie cesarz chce chłopów usamowolnić, obdarzyć ziemią, ale szlachta się temu opiera. Tu i owdzie dawały się słyszeć pogróżki, były objawy sporadycznego nieposłu-

szeństwa lub nawet oporu. Jakkolwiek fakta te nie przybrały nigdzie szerszych rozmiarów, były odosobnione i w ogóle nie miały żadnego donioślejszego znaczenia, jednakże zdradzając pewne początki wzburzenia umysłów między chłopami, przeraziły z jednej strony szlachtę, z drugiej rząd. Temu ostatniemu wiele na tem zależało, by reforma przeszła spokojnie i bez wstrząśnień, najprzód dla tego, że państwo po ostatnim sewastopolskim upuście krwi, było bardzo słabe, a zaczynając się reorganizować, resztki swych sił obracało na tę reorganizacyą, a potem, że wszelkie zaburzenia chłopskie dawały broń do ręki licznym przeciwnikom usamowolnienia włościan. Ztąd to w reskrypcie z d. 20 Listopada do Nazimowa, cesarz polecał mu baczność, by chłopi nie dawali ucha „przewrotnym podszeptom lub rozumowaniom", by czuwał nad porządkiem i posłuszeństwem chłopów względem szlachty.

Gdy więc doszła do Nazimowa wiadomość o „buntowniczem" usposobieniu chłopów w niektórych stronach kraju, przeraził się tem mocno i natychmiast wydał w d. 20 Grudnia 1857 r. „rozkaz dzienny" do podległych sobie władz, ażeby chłopów nie chcących robić na roli pańskiej, oddających się próżniactwu i pijaństwu, karano cieleśnie. Polecał, by uwiadomiono włościan, że szlachta zajęta jest obecnie polepszeniem ich losu, że o wszelkich rozporządzeniach rządu będą zawiadomieni przez policyę miejską i ziemską, że zatem nie powinni słuchać żadnych przewrotnych podszeptów, zostawać w zupełnem posłuszeństwie swoim panom; groził, że najmniejsze naruszenie porządku i spokojności ściągnie na występnych surową odpowiedzialność.

Oczywiście chłopi umilkli, choć bądź co bądź nie przestały między nimi krążyć różne, mniej lub więcej prawdopodobne wieści, mające może źródło w tych przeczuciach, jakie niekiedy pojawiają się w masach. W powietrzu, że tak powiemy, czuć było zbliżające się wielkie wypadki, a ognista, przez długi czas widzialna w lecie tego roku kometa na zachodzie, zdawała się zwiastować w za-

bobonnej wyobraźni ludu, jeżeli nie koniec świata, o którym mówiono i naznaczano nawet termin (13 Czerwca 1857 r.), to przynajmniej zapowiedź niezwykłych wypadków i klęsk. „Rozkaz dzienny“ Nazimowa, głoszący, że rząd i szlachta zajęta jest polepszeniem losu chłopskiego, potwierdzając niejako powszechne pogłoski, tłumiąc groźbą kar zewnętrzne objawy, nie przyczynił się jednak do uspokojenia umysłów chłopskich, które z dręczącym niepokojem oczekiwały przyszłych zdarzeń.

Wśród takiego stanu umysłów, komitety włościańskie szlacheckie, stosownie do reskryptu cesarskiego poczęły się organizować. Komitet gubernialny wileński został otwarty uroczyście przez samego Nazimowa w d. 2 Marca 1858 r. w rocznicę objęcia berła przez cesarza Aleksandra IIgo. Nazimow wystąpił z wysoce charakterystyczną mową, w której między innemi powiedział: „z godnością i światłą wiedzą odgadując potrzeby rodzinnego kraju i stosując się do ducha czasu, wy panowie, pierwsi w całem państwie rosyjskiem, oświadczyliście się ze szlachetną dążnością ku polepszeniu bytu, zostających pod waszą opieką włościan“; — mówił, że nie wątpi, iż są przejęci ważnością tego zadania, że wierni swemu powołaniu „żeby pozostać najoświeceńszym, najszlachetniejszym i przewodniczącym stanem w państwie“, z miłością i bezstronnością rozstrzygną poddaną pod ich sąd kwestyą. Mowa była bardzo pochlebna dla szlachty polsko-litewskiej, ale jakże prędko Rosya o tem zapomniała, że taż szlachta, „pierwsza w całem państwie rosyjskiem“, oświadczyła się za usamowolnieniem włościan!

W Grodnie i Kownie także sam Nazimow zagajał posiedzenia komitetów, które wszystkie rozpoczęły swe czynności przed 15 Marca. O ile z początku w komitetach tych, przed wydaniem reskryptu cesarskiego, znajdowało się dość silne stronnictwo, przeciwne wszelkim reformom, o tyle teraz, wszyscy bez wyjątku byli za przeprowadzeniem sprawy w rozmiarach szerokich i stanowczych. Jeżeli byli jacy przeciwnicy, to ucichli i nie odzywali się wcale.

W komitecie wileńskim marszałek powiatowy Tukałło, wraz z deputatem Giecewiczem, odrzucając projekt reformy, tak jak go reskrypt cesarski z d. 20 Listopada określił, podali wniosek, ażeby chłopów wprost uwłaszczyć drogą długoletniego wykupu nadanych im gruntów. Marszałek gubernialny Domeyko wniosek ten poparł i określił go bliżej. Chciał on, by chłop z nadanej mu roli płacił rocznie 23 ruble, tak żeby w przeciągu 33 lat został właścicielem.

Wnioski te zdradzały chęć stanowczego rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej, świadczyły o ogromnym przewrocie, jaki się dokonał odnośnie do tej sprawy w umysłach szlacheckich. Ten sam Domeyko, który jeszcze przed kilku miesiącami, nie chciał nawet myśleć o możliwości jakiejkolwiek reformy stosunków agrarnych, obecnie poszedł dalej niż tego żądał reskrypt cesarski, i odrzucając oczynszowanie, domagał się uwłaszczenia. Że na taki radykalny zwrot w umysłach wpłynęła bardzo wiele opinia publiczna i jej nacisk, zawsze bezwzględny, o tem wątpić nie można. Opinia ta objawiała się na wszystkich drogach, jakie tylko pozostawił narodowi rząd rosyjski do głośnego wypowiadania swych myśli. W większych miastach, jak Wilno, Grodno, Mińsk i t. d. ruchliwa klasa mieszczańska oświadczała się stanowczo i bez ogródki za tem, by raz skończono sprawę włościańską, a skończono ją tak, by już nigdy do niej nie potrzeba było wracać. Jak w Królestwie domagano się powszechnie nieomal nie oczynszowania ale uwłaszczenia, tak samo i na Litwie, głos ogółu nie chciał obdarzenia chłopa tylko wolnością osobistą, ale obdarzenia go ziemią, zrobienia z niego właściciela ziemskiego, równego wszystkim obywatela. To przekonanie propagowane było nie tylko przez usta inteligencyi krajowej, ale znajdowało swój wyraz w prasie, w literaturze [1]), w teatrze,

[1]) W tym czasie napisana, choć wydana dopiero w r. 1859 broszura p. t. „Głos szlachcica," daje wierny obraz szerzących się na Litwie przekonań. Autor domaga się nie tylko usamowolnienia lecz i uwłaszczenia chłopa i urządzenia gmin wspólnych, w skład których wchodziliby wszyscy mieszkańcy wiejscy, bez różnicy sta-

wszędzie jednem słowem, gdzie tylko głos ogółu mógł się otwarcie zamanifestować. Bardzo czytane w sferach zamożniejszej szlachty pismo peryodyczne, wychodzące w Paryżu pod redakcyą Elżanowskiego „Przegląd rzeczy polskich,“ wołało: „pamiętajmy o tem, że droga postępowania, jaką sobie szlachta obierze, jest ostatecznie obojętną dla włościan. Ich przeznaczeniem jest własność, która im się należy, i którą raz rozbudzeni, zdobędą sobie w jakibądź sposób: za dobrowolnem przyznaniem szlachty, lub bez tego przyzwolenia, przez cara lub pomimo nawet cara. Jest to najważniejsza potrzeba chwili. Ale jeżeli ostateczny skutek jest w ręku włościan, to sposób osiągnięcia go z pożytkiem dla Polski, spoczywa w ręku szlachty i za to ona jest odpowiedzialną. Dwie są tylko drogi wytknięte w tej sprawie: jedna patryotyczna i zgodna z dobrze pojętym interesem teraźniejszych właścicieli; druga nie polska, a więc szkodliwa nie tylko ojczystej, ale i osobistej fortunie. Pierwszą drogą idąc, trzeba z całą szczerością szlachetnej rezygnacyi przyjąć za czyn dokonany to, co dziś lub jutro spełnić się musi, i podać braterską dłoń ludowi, odgadnąć jego głębokie życzenia bez zwłoki i targu, tak, aby uwierzył, że carskie ukazy są tylko słabem, wymuszonem echem społeczeńskich reform, jakie odrodzona Polska przynieść może swojemu obywatelstwu. Na drugiej drodze jest opór, pozorna obojętność, lub bierne zachowanie się w obec rozporządzeń carskich i postanowień komitetów. Cóżby w takim razie nastąpiło, gdyby szlachta tę drugą drogę obrała? Rząd w myśl ogłoszonych ukazów

nów. Przytem kreśli program pracy organicznej, osnuty na wzorach wziętych z Królestwa; pragnie więc założenia Towarzystwa rolniczego, szkółek ludowych i t. p. Autor przesiąknięty sentymentalno-idealnym duchem czasu, wierzy święcie w tryumf prawdy, t. j. w oswobodzenie się polityczne dawnej Polski, choć z drugiej strony ostrzega przed nierozważnemi ofiarami, że obowiązek a nie uczucie winno nami rządzić. Wierzy on w reformy cesarza Aleksandra i nie widzi niepodobieństwa zgładzenia win przeszłości i wspólnego rozwoju dwóch szczepów słowiańskich. Chce jednak by Polska połączyła się z Rosyą na zasadzie „równi z równymi.“

zapewne nie będzie chciał zmuszać nikogo do odstąpienia więcej jak zapowiedział, a że to dla ludu jest niewystarczającem, przeto całą winę złoży na szlachtę, zastawiając się uporem i swojemi najlepszemi chęciami. Rząd stanie się w oczach ludu postępowym, a szlachta wsteczną. Role się zupełnie zmienią.“

Obok tych głosów, pozostających nie bez wpływu, zwłaszcza że dochodziły z zagranicy i wyrażały opinią pewnego odłamu emigracyi, w kraju liczne i bardzo czytane powieści J. I. Kraszewskiego, malowały w jaskrawych barwach opłakane położenie chłopa ruskiego i litewskiego, ucisk straszny ciążący nad nim, i wołały o rozcięcie raz tego wrzodu, zbierającego się na ciele polskiem i osłabiającego cały organizm narodowy. Syrokomla w swych nader popularnych i chciwie czytanych poezyach, niemniej silnie walczył za potrzebą rozwiązania kwestyi włościańskiej. Gdy tu i owdzie między szlachtą okazywali się ludzie zacofani i oporni idei wolności chłopa, „lirnik litewski“, jak nazywano poetę, napisał wiersz, piętnujący szlachetczyznę hańbą. „Wstyd mi żem szlachcic, że mam herb w pieczęci“. Na punkcie emancypacyi ludu, jakiekolwiek byłyby przekonania polityczne różnych stronnictw krajowych, nie było dwóch zdań w ogromnej większości narodu. Jeżeli jedni na stosunki włościańskie uderzali ze stanowiska postępu, ze stanowiska niesprawiedliwości społecznej, w imię idei liberalnych, będących wówczas w modzie, to inni domagali się tego w imię przyszłego oswobodzenia kraju, w imię dobra ojczyzny, którą przekonani byli, dźwignąć może z niedoli tylko potężna dłoń chłopska, stara racławicka kosa.

W ogóle, czy to kwestya włościańska, czy inne sprawy czysto politycznej natury, żywo zajmowały cały ogół polski, we wszystkich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej. Po długiej, sennej, śmiertelnej martwocie, odmalowanej tak charakterystycznie przez organ rosyjski „Nord“, — „że kongres paryzki rzucił ostatnią garść ziemi na trupa Polski“, nastąpiło niezmierne ożywienie w umysłach, zapowiadające

szereg nadzwyczajnych wypadków i zdarzeń. Jakkolwiek w tej chwili niebo nad Polską było jeszcze czyste i spokojne, jednakże na skrajach horyzontu zbierały się posępne mgły, które groziły burzą, ulewnym deszczem, wichrem i piorunami. Czas już wielki, byśmy z kolei rzeczy zapuścili się w łono tych ołowianych, ciężkich chmur, które gdzieś, daleko jeszcze, w głębi obrazu przez nas malowanego, podnoszą się z otchłani przeznaczenia dziejowego i poczynają rzucać ponury cień na jasne i pogodne dotychczas oblicze Polski.



ROZDZIAŁ III.

Stronnictwo ruchu. Cesarz w Wilnie.

Stronnictwo ruchu i żywioły w skład jego wchodzące. Jego program. Zarzuty przeciw programowi pracy organicznej. Sprawa włościańska i czerwieńcy. Koła młodzieży na uniwersytetach rosyjskich. Trójki kijowskie. Koło Sierakowskiego i Dombrowskiego. Koło Jurgensa w Warszawie. Projekt Kronenberga przywrócenia uniwersytetu w Wilnie. Bractwa wstrzemięźliwości w Królestwie i na Litwie. Zakaz Muchanowa i kary na duchowieństwo. Jenerał Ixkull i komitet włościański. Postanowienie Rady Administracyjnej o dobrowolnem oczynszowaniu. Zniesienie naczelników wojennych i reforma poczty. Wprowadzenie języka polskiego do szkół na Litwie. Cesarz w Mińsku i prośba szlachty witebskiej. Przygotowania do przyjęcia cesarza w Wilnie. Jego pobyt w Muzeum i wiersz Odyńca. Artykuł Chodźki. Mowa cesarza do szlachty wileńskiej. Bal szlachecki. Przyjazd cesarza do Warszawy. Książę Napoleon i ludność warszawska. Przyjęcie monarchów w Wilanowie. Memoryał Łempickiego. Zmiana w usposobieniu umysłów. Sprawa żydowska. Wypadki w Turku. Polacy petersburscy i ich program. „Słowo“ i jego zamknięcie. Gazeta Warszawska i żydzi. Kronenberg kupuje „Gazetę codzienną“ i sprowadza J. I. Kraszewskiego. Opinia oburza się na niego. Kółko Akademików i Jan Kurzyna. Jego starcie z Jurgensem i „Millenerami“. Koło Narcyza Jankowskiego. Nabożeństwo za trzech poetów i jego skutki. Przyśpieszenie egzaminów podlekarskich. Młodzież podaje się o uwolnie z Akademii. Wygnanie Kurzyny i Jaśniewskiego. Zakończenie.

Podczas gdy Wielopolski, Jezierski, już teraz nieżyjący, i w ogóle ludzie trzeźwo patrzący na rzeczy, marzyli o odbudowaniu Królestwa konstytucyjnego pod opieką rządu rosyjskiego, po pierwszej jednak nieudanej próbie umilkli, czekając na lepsze czasy; — gdy Klemensowczycy

z Zamoyskim na czele, śnili o szeroko zastosowanej pracy organicznej, którąby wzmocnionej wewnętrznie Polsce pozwoliła odzyskać byt polityczny i granice dwóch mórz, i w tym celu rozkładając swą pracę na długie tempa, teraz znajdowali wyraz swych życzeń w Towarzystwie rolniczem; poza nimi stało jeszcze inne, nieokreślone, nie mające widocznych przewodników, niemniej przeto poważne swą liczbą i energią, stronnictwo. Należeli do niego wszyscy młodzi ludzie, wychowani w niewoli mikołajowskiej, wykarmieni niezdrową literaturą emigracyjną i niezdrowszą jeszcze poezyą romantyczną, przekonani, że „zgodnemi ramiony“ potrafią pchnąć na „nowe tory ziemskie kulisko“, urośli wśród spisków, nie ufający w niczem Rosyi i nie rozumiejący żadnej dłuższej pracy w celu oswobodzenia ojczyzny. Jak niegdyś, za czasów Rzeczypospolitej, każdy szlachcic czuł się uprawomocnionym przez swe *liberum veto* zrywać sejmy, niszczyć najzbawienniejsze uchwały, owoc długich prac i kłopotów, tak teraz każdy student, każdy młodzik z ławy szkolnej wypuszczony, świeżo wyszły z pod rózgi ojcowskiej, czuł się w prawie psuć najpożądańsze prace narodowe, narażać na szwank los kraju przez swe *liberum conspiro.* Zawiązywano więc nieustanne spiski, których skutki mściły się najprzód na tych szalonych głowach, a potem na całym narodzie. Czasy były takie, że nikt tego zrozumieć nie chciał, że spiskowanie bez najmniejszej nadziei powodzenia, jest po prostu zbrodnią przeciw ojczyźnie, jest jej najoczywistszą zdradą. Przeciwnie, w opinii ogółu, w tej chorobliwej, rozdrażnionej, histerycznej opinii, spiskowcy uchodzili za dobrych Polaków, za bohaterów, za męczenników sprawy narodowej, których nazwiska niepowołani historycy emigracyjni, wpisywali do martyrologium narodowego.

Wprawdzie teraz, po śmierci Mikołaja, po kongresie paryzkim, nie spiskowano wcale, i rzecz szczególna, jedyna w naszych dziejach porozbiorowych, że przez parę pierwszych lat rządów Gorczakowa, nikt nie siedział w cytadeli warszawskiej w charakterze więźnia politycznego. Kraj zdawał się być tak cichy, że Gorczakow uznał za stosowne

znieść nawet komisyą śledczą, która w tej porze absolutnie nic nie miała do roboty i tylko zadarmo pochłaniała znaczne fundusze.

Istotnie w początkach panowania nowego cesarza, Polska zdawała się być nadzwyczajnie znużoną po ostatnich swych wysiłkach w 1846 r., po kampanii krymskiej, i po strasznej paskiewiczowskiej dyktaturze. A przytem liczono wiele na to, że Aleksander II, o którego dobroci serca, szlachetności duszy tyle mówiono, zadość uczyni jeżeli nie wszystkim żądaniom Polaków, to przynajmniej znacznej ich części. Powoli jednak, gdy się przekonano, że to było takie samo złudzenie, jak tysiące złudzeń, któremi karmił się naród od chwili swego politycznego upadku, tu i owdzie, w obozach rozmaitych stronnictw polskich, poczęła się budzić myśl działania. Widzieliśmy już, jak te działania rozumiały dwa odcienia stronnictwa arystokratycznego, reprezentowanego przez Wielopolskiego i Zamoyskiego; pozostawała jeszcze partya demokratyczna, partya czerwieńców, radykałów, rewolucyonistów, nieustających spiskowców nie mająca dotąd nad sobą widomej głowy, ale nadzwyczajnie niezadowolona i z kierunku działań Klemensowczyków i z „moskiewskich tendencyi“ Wielopolskiego. Partya ta, do której z natury rzeczy należała wszystka nieomal młodzież w kraju, uczniowie gimnazyów, studenci szkoły agronomicznej w Marymoncie, studenci szkoły sztuk pięknych, studenci niedawno założonej akademii medycznej, kanceliści i dependenci, drobniejsi urzędnicy, rzemieślnicy, ludzie wykolejeni, adwokaci bez klientów, lekarze bez pacyentów, dziennikarze i literaci jeść co nie mający, słowem wszystkie żywioły bez określonych zajęć, niedouczeni, niespokojni, źle wychowani i przesyceni miazmatami zepsutej atmosfery muchanowowskich szkół. W kraju, który właśnie pod koniec 1857 r. przechodził swój peryodyczny kryzys ekonomiczny i bankructwa pojawiały się jedne za drugiemi, któremu groziło w niedalekiej przyszłości jeszcze cięższe przejście ze sprawą włościańską, w którym zresztą życie społeczne toczyło się po kolejach niezwykłych, skrzywio-

nych, anormalnych, znajdowało się mnóstwo ludzi niepewnych swego jutra, prawdziwie katylinarnych egzystencyi, gotowych rzucić się na wszystko, wziąć we wszystkiem udział, by życiu robaczywemu, nędznemu, szaremu nadać jakiś cel, jakiś kierunek. A skoro jeszcze ten cel błyszczał urokiem oswobodzenia ojczyzny, spełnieniem najtajniejszych i najserdeczniejszych życzeń, jakie każden z tych ludzi żywił w duszy i w lepszych chwilach swego smutnego istnienia sobie przypominał, nie dziw, że rzucano się z zamkniętemi oczami naprzód, nie czując, nie zważając na przepaść, która pod ich własnemi i pod kraju nogami się otwierała. Większość ogromna tych morderców własnej ojczyzny, składała się z ludzi zacnych, z podniosłemi sercami, ożywionych jak najlepszemi chęciami, stawiających ojczyznę i jej dobro na najwyższych ołtarzach, a kult miłości tej ojczyzny doprowadzających do bałwochwalstwa, tylko że miłość tę i to dobro uważali po swojemu i mieli pod tym względem pewien fanatyzm przekonań i zaciekłość średniowiecznych religijnych ascetów, nie dopuszczających, by ktoś inną niż oni wyznawał wiarę. Znajdowali oni poparcie w kobietach, w tej większości wreszcie ogółu, który pozbawiony wykształcenia, łacno da się uwodzić szumnymi frazesami i celami, które odpowiadały jego najgorętszym pragnieniom.

Stronnictwo to, jeżeli można je w tej dobie nazwać stronnictwem, znalazło silną pomoc i podporę w powracających z obczyzny emigrantach i wygnańcach sybirskich, noszących teraz popularną nazwę „Sybiraków“. Po większej części byli to już ludzie niemłodzi, skostniali w swych przekonaniach, za które cierpieli, zgorzkniali przez wygnanie, otoczeni urokiem męczeństwa za ojczyznę, zatruci jadem nieprzejednanej nienawiści do Rosyi, niepoprawni marzyciele i politycy serca, a przy tem wszystkiem doświadczeni w spiskach, w podziemnych robotach, w knuciu intryg przeciw rządowi. Oni, że tak powiemy, wnosili pewien ład w chaotycznie rozrzucone żywioły stronnictwa ruchu; jego rozproszone cząstki łączyli kitem, i z mgławicy powoli wytwarzali ciało, które puszczone w wirowaty ruch po nie-

skończonych przestrzeniach dziejowych, miało porwać w swój bieg szalony wszystko, i ludzi i wypadki, przeznaczenie i dolę krajową.

Możność wycieczek za granicę, dotąd, za Mikołaja, niezmiernie utrudnionych, dozwalała młodzieży komunikować się z rozbitkami dawnego Towarzystwa demokratycznego na emigracyi, z Mierosławskim wreszcie, który powoli, w tym czasie, zaczyna się stawać widomą głową stronnictwa ruchu. Weszło w zwyczaj niejako, że młodzież polska uważała sobie za obowiązek odbycie pielgrzymki do Mierosławskiego, do „zmartwychwstałego wodza", podobnie jak prawowierni Mahometanie do Mekki dla pokłonienia się grobowcowi proroka. Nadęty ten retor, świetny mówca, tumaniący fantazyą polskich głów młodych błyskotliwymi frazesami, bombastycznymi zwrotami i łamańcami językowymi, przygotowywał umysły do spisku, do powstania, do stworzenia nowego Hamleta polskiego, który miał pchnąć mieczem nie króla ale Poloniusza, nie Moskala lecz własną ojczyznę.

Pod wpływem tego warchoła na wielką skalę, program stronnictwa ruchu począł powoli przybierać wybitniejsze, stalsze, pozytywniejsze formy. I czegóż ono właściwie chciało? jaki był jego program polityczny odnośnie do kraju? Podobnie jak Klemensowczycy, jak nawet mała partya Wielopolskiego, która w głębi, w najtajniejszych skrytkach swego serca śniła o niepodległej zupełnie Polsce, tak i stronnictwo ruchu wyraźnie i jasno mówiło, że chce kraj wydobyć z pod jarzma niemieckiej i rosyjskiej niewoli, chce wskrzesić dawną Polskę w granicach 1772 roku. Droga jednak, która miała czerwieńców doprowadzić do tego upragnionego celu, była całkiem różną od tej, którą szli Klemensowczycy. Nie przy pomocy jakiejś pracy organicznej, którą uważali za zamaskowane episierstwo, ale drogą spisków i powstania, drogą sojuszu z rewolucyą europejską, mówili czerwieńcy, można odbudować Polskę i wygnać z jej granic Niemca i Moskala. W skutek tak radykalnej różnicy poglądów na najżywotniejsze zagadnienie

bytu krajowego, poczyna się już w tej dobie zawiązywać uparta, głucha, niemniej przeto pełna dramatyczności walka, między Klemensowczykami i czerwieńcami. Walka ta objawia się na wszystkich polach i w najrozmaitszych formach, i niestety! powiedzieć to trzeba, że kraj ciągle stawał ze swemi sympatyami i ze swem poparciem po stronie partyi ruchu. Nawet w łonie samej szlachty, która, zdawałoby się z natury swego położenia społecznego, powinna była silnie i stanowczo trzymać się programu Klemensowczyków, która ubiegała się o to, by należeć do Towarzystwa rolniczego i podejrzeniami obrzucała tych, którzy nie byli jego członkami, nawet w łonie tej szlachty przez dziwną sprzeczność, sympatye przeważały na stronę czerwieńców. Taki stan rzeczy kazał przewidywać, że walka, choćby nie wiem jak była długa i uparta, wcześniej czy później przechylić się musi na stronę czerwieńców i nowy grób wykopie Polsce.

Nienawiść do robót wolnych, długich, mających za podstawę materyalne polepszenie bytu kraju, i ostatecznie rezultat których był równie problematyczny jak wszelkich innych prac koło przyszłości kraju, była naturalną w czerwieńcach, w głowach zapalonych, uważających możność odbudowania Polski tylko przez krwawą rewolucyą, przez widmo socyalnego zamętu. Przedewszystkiem więc uderzali oni na zmateryalizowanie społeczeństwa, na wyłączne się jego zajęcie troską o chleb powszedni, na owe obrzydliwe, jak mówili, episierstwo, którego ideałem jest dobry obiad, ładna żona i wygodne łóżko. Program pracy organicznej, twierdzili oni, w pościgu za groszem, za chlebem, za karyerą, zatracić musi w każdym poczucie miłości do ojczyzny i pracy dla dobra tej ojczyzny. Wołali, że taki program jest zgubą kraju. Zdarzyło się w tym czasie, że znany pisarz i poeta Wacław Szymanowski, użył w jakimś artykule dziennikarskim wyrażenia „demagogia uliczna". Wywołało to powszechne oburzenie wśród młodzieży i zapaleńców. Ukazała się odpowiedź wierszowana, w której nieznany poeta twierdził z silną wiarą w prawdę swych słów, że „handel nie zbawi i nie wznieci ducha miłości, ducha

ofiary", że „niech raczej zgłuchnie ten gwar giełdowy i te rozprawy ekonomiczne, niżeli pacierz nasz Chrystusowy i nasze swojskie głosy uliczne".

Wytworzyło się śród tego wszystkiego przekonanie, że materyalizowanie się społeczeństwa polskiego jest naśladowaniem Zachodu, i kierownicy czerwieńców ostrzegali kraj przed Francyą, przed Zachodem, przed całą zachodnią cywilizacyą. Wołali oni, że we Francyi „policyjna tylko latarka przeraźliwie migoce", a szukający tajemnic w umarłym, łatwo się zarazić może śmiertelnymi wrzodami trupa. Zachód, według nich, znikczemniał, umarł i gnije, świecąc jedynie „blaskiem fosforycznego próchna i szpitalnych kantaryd". Takiemi to na pół poetycznemi, na pół bombastycznemi słowy wołano na Polskę, by się zrzekła wszelkiego wspólnictwa z Zachodem, i na wzór powstających właśnie w tej dobie „samobytników" moskiewskich, szukała mocy swego odrodzenia w samej sobie. Wszelkie usiłowania podniesienia dobrobytu krajowego, twierdzili w dalszym rozwoju swego programu czerwieńcy, są „cudzołożnymi płodami Zachodu". Powoli, prasa warzzawska nastroiła się na ten sam ton, i przez kilka lat z rzędu uchodziło w niej za dowód rozumu, za dowód gorącego polskiego patryotyzmu wymyślanie na zepsucie, gangrenę, zestarzenie się Zachodu, a natomiast podnoszenie mniemanych, młodzieńczych cnót polskich. Francya i Paryż był nowoczesnym Babilonem, stekiem zepsucia i rozkładu społecznego; jej literatura jadem trującym najzdrowsze organizmy, i wobec takich talentów jak Flaubert, Balzac, Sand podnoszono na niedościgłe wyżyny gienialności panie: Pruszakowe, Śmigielskie, panów Niewiarowskich lub Wolskich. Założone w tym czasie przez zamożnego drukarza warszawskiego, Józefa Ungra, pierwsze pismo obrazkowe polskie p. t. „Tygodnik illustrowany", z religijną, że tak powiemy, czcią, rysowało wszelkie kupy kamieni, wszelkie walące się chałupy, dla tego, że one miały być pamiątkami przeszłości narodowej, stokroć droższemi i wspanialszemi niż najszczytniejsze dzieła architektoniczne na Zachodzie. Było to bardzo śmiesznem,

ale miało w sobie to niebezpieczeństwo, że budziło w społeczeństwie przekonanie, iż jest najlepszem, doskonałem, wzorowem, że wszystko ma i niczego od innych pożyczać nie potrzebuje. Głośno się odzywano, że byłoby zbrodnią zaszczepiać ze zgniłego Zachodu jad w zdrowe ciało Polski. Jednem słowem to, co w działalności czerwieńców było prostym manewrem politycznym, stało się wkrótce powszechnem społecznem wyznaniem wiary.

Dla czerwieńców bowiem zohydzenie w oczach polskich Zachodu, było tylko manewrem, podjętym w tym celu, by pracę organiczną oplwać, nazwać zgubą jako naśladownictwo Zachodu i zachwiać nakoniec Towarzystwem rolniczem, które przez swą organizacyą i liczbę, stanowiło bardzo niebezpieczną dla warcholskich zamysłów przeszkodę. Ponieważ Towarzystwo propagowało pracę około dobrobytu krajowego, a tym sposobem według czerwieńców, hołdowało zgniłym, episierskim ideom Zachodu, zatracało w sobie i narodzie myśl o oswobodzeniu ojczyzny, więc należy uderzyć szeregiem insynuacyi w Towarzystwo, jako zatruty owoc „latyńsko-germańskiej cywilizacyi“. Zaprawdę, czytając to wszystko, zdaje się, jakbyś miał przed sobą jakiś dziennikarski artykuł późniejszych „samobytników“ moskiewskich.

„Głupie pszczoły, wołał Mierosławski, mówiąc o Towarzystwie rolniczem, zamieniamy nasze płuca w retortę, by w nich pędzić miody dla cara bartnika!“ Z tej zasady wychodząc, że wszystko, co w kraju zbudujemy, co zbierzemy, nagromadzimy, stać się musi łupem rosyjskim, czerwieńcy potępiali stanowczo i bezwzględnie wszelką w tym kierunku pracę. Jeżeli zdanie takie mieściło w sobie dużo niestety! prawdy, jeżeli przypominało starą jak świat i tylokrotnie powtarzającą się w dziejach Brennusową historyą, to niemniej wszelako byłoby zbrodnią nie do przebaczenia, by każden Polak dla tego, że z użytków swoich płaci wrogom czynsz, miał swe niwy zapuścić odłogiem, lub zasiać kąkolem i zaorać solą; dla tego, że pobór dziesiątkował ludność krajową, starać się o jej umniejszenie i ubytek.

Oczywiście były to wszystko stronnicze manewra, które nie mogły znaleść odgłosu w kraju, ale tumaniły głowy niedoświadczonej młodzieży, która widziała w nich tę myśl, niepozbawioną pewnej podniosłości, że w obecnem położeniu nic innego robić nie należy, tylko skierować swe usiłowania ku wyswobodzeniu kraju z niewoli za pośrednictwem rewolucyi i powstania zbrojnego. Na czemże jednak opierano możność wywalczenia tej niepodległości, na jakie siły liczono, by mogły zmierzyć się zwycięzko z potężnym caratem rosyjskim? Pod tym względem przyszłe powstanie polskie, jak wszystkie powstania u nas wybuchłe po rewolucyi listopadowej, miało się oprzeć na chłopie. „spadkobiercy wielkiej ojczyzny", i z niego wydobyć tę straszną siłę, któraby zachwiała potęgą państwową Rosyi. Zgodnie z mylnem przekonaniem wszystkich prawie ludzi tej chwili i wszystkich stronnictw, czerwieńcy sądzili, że chłop da się porwać do powstania obietnicą darowizny gruntów, swobody osobistej, uwłaszczenia. Dla tego też nie mieli słów oburzenia na te wszelkie zacne działania i projekta, które teraz już zajmowały się i obmyśliwały uregulowanie stosunków włościańskich, gdyż tym sposobem chłop dziś uwłaszczony i zaspokojony w swych pragnieniach, jutro nie będzie chciał pójść do powstania, bo to powstanie niczem go już obdarować nie będzie mogło. Pod tym względem przyznać należy, że czerwieńcy trzymali się pewnej logiki, ale jakże strasznej logiki! Dla dobra tej ubóstwionej, tej mistycznej, tej nieziemskiej ojczyzny, jaką wyroili sobie w posępnych nocach wygnania lub ciężkich snach niewoli, trzeba żeby chłop robił dalej pańszczyznę na niwach szlacheckich. pędził smołę w borach Pińskich, szedł z Litwy w rekruty, konał pod razami batożników wołyńskich, trzeba żeby dźwigał swój ciężki krzyż dalej, aż wybije godzina powstania. W tem okropnem, rzec można, przekonaniu, Mierosławski i jego zwolennicy stanowczo potępiali ten ruch, jaki objawiać się począł w kraju w kwestyi włościańskiej; gniewali się, że panowie polscy „odczepną jałmużną chlewa i sadu kartoflanego, myślą kupić sobie spokój jednopokolenny od

dzisiejszych gospodarzy". Oburzali się, że Jakób za miskę soczewicy chce, „aby lemieszowe Ezawa pazury wygrzebały mu zdroje miodu, mleka i talarów; za to karbowi dostaną medal od komitetu rolniczego, a dzieci jego po obrazku od księdza proboszcza". Bo kiedy ojczyzna cierpi, trzeba żeby i chłop cierpiał, jakkolwiek w dniach słonecznej pomyślności tej ojczyzny, dla chłopa nie znalazło się w niej ani jednego promyka światła, swobody i uciechy. „Oszukany przez Jakóba, pod błogosławieństwem ślepego Izaaka, Ezaw, a przyszły spadkobierca wielkiej ojczyzny, niechaj jeszcze cierpi, cierpi, póki ojczyzna cierpi"; niech nie dozwala „ruszać kołka w płocie i miedzy na niwach, aż stanie między jego chmary mierniczy ze szczerbcem i żelaznymi słupami. Ten ci Polskę twoją powtórnie a niezatratnie skadastruje, i takie ci włóki wymierzy, że niemi obdzielą się bez końca wszyscy bracia, bratańcy i wnukowie twoi; ten ci wysnuje szatę dla całej a trwałej ojczyzny, a na wyrost, bo wielka jest przezorność nieograniczonej miłości jego dla dalszych polskich pokoleń, taką, coby jak płaszcz niebios szyty gwiazdami, wszystkie syny, wnuki i prawnuki odział wspólną opatrznością i wspólnym majestatem stworzenia".

Jakież zaś miało być samo powstanie? gdzie miało najprzód pchnąć olbrzymie siły potężnego „chamskiego Erebu?" Przedewszystkiem miały one uderzyć na szlachtę, na tych „krokodylów, smoków, amfibicznych nietoperzy", na Zofijówki, Wilanowy i Sieniawy. Naród polski chcąc dosłużyć się ojczyzny, „wypławić się najprzód musi w krwi własnej potokach".

Taki w głównych zarysach był program czerwieńców, program wypowiedziany przez Mierosławskiego w jego „Rzeczach listopadowych", t. j. mowach, jakie wygłaszał w każdą rocznicę powstania 1830 r. Kto tych mów nie słyszał, to czytał je w tysiącach odbitek i broszur, rozrzuconych obficie drogą kontrabandy po kraju, zwłaszcza po szkołach, uniwersytetach, słowem miejscach, gdzie młodzież polska liczniej była skupiona. Ten język dziwaczny, te

frazesa szumne, ta pełna oryentalnej fantazyi obrazowość i patetyczność stylu, działały na młode umysły jak narkotyk, jak haszysz je upajały i porywały. Cała też ówczesna inteligentniejsza młodzież polska była z gruntu czerwona, ślepa wielbicielka Mierosławskiego, tego „Boga z rozczochraną brodą", tego symbolu, jak mówiono, przyszłej, odrodzonej Polski. Kto nie mógł jechać do Paryża, by ujrzyć „jenerała Ludwika", ten przynajmniej wczytywał się w jego pisma dziwaczne.

Pod takim to wpływem, nie bez insynuacyi może z łona wychodźctwa, które otaczało Mierosławskiego, poczęły się w tej dobie, w parę lat po kampanii krymskiej, tworzyć rozmaite koła i kółka wśród młodzieży polskiej w uniwersytetach: petersburskim, moskiewskim i kijowskim; między oficerami Polakami, dość licznymi w tej porze w Akademii sztabu jeneralnego w Petersburgu. Do tych kół, nie mających jeszcze teraz charakteru politycznego, wchodzili i cywilni Polacy, urzędnicy różnych dykasteryi, lekarze, budowniczowie i t. p. W Kijowie zwłaszcza, gdzie w roku 1857 zapisanych było na uniwersytet, na ogólną liczbę tysiąca studentów, ośmiuset Polaków, stanowiących tem samem ogromną przewagę i nadających szkole czysto polski charakter, koła te i kółka wyrobiły w sobie pewną, wielce pomysłową organizacyą, która wobec bardzo czujnego nadzoru władz nad młodzieżą, pozostałego niejako w tradycyi po Bibikowie, pozwalała tej młodzieży nie narażać się na prześladowanie. Organizacya ta, zwana systemem trójek, polegała na tem, że każdy należący do związku przybierał sobie dwóch towarzyszy, którzy jego tylko znali i przezeń wchodzili w stosunki z resztą stowarzyszenia, całkiem im co do osób nieznajomego. Każdy znowu należący do danej trójki, mógł przybierać dwóch nowych towarzyszy, tak, że tym sposobem związek się rozszerzał i naczelnicy jego nigdy, a przynajmniej z wielką trudnością mogli być odkryci. System ten wydoskonalił się podczas kampanii krymskiej i ówczesne stowarzyszenia studenckie miały charakter spisku politycznego, mającego na celu podanie pomocy

Francuzom, w razie gdyby wkroczyli na Ukrainę, i wywołanie powstania.

Obecnie jednak towarzystwa studenckie kijowskie zmieniły swą cechę. Wojna ustała, umilkły głuche odgłosy dział sewastopolskich, unoszące się nad stepami ukrainnymi, Francuzi wrócili do siebie, i spisek taki nie miał już celu. Organizacya jednak pozostała, jakkolwiek młodzież rozbiła się na kilka kół oddzielnych, stykających się ze sobą tylko zewnętrznie, swarzących się nieraz zajadle i różniących się między sobą bardzo stanowczo. Było tam i koło z charakterem czysto polskim, było koło ruskie, rozbite zresztą na oddziały: podolski, wołyński i ukraiński, domagające się w przyszłej Rzeczypospolitej zupełnej autonomii Rusi, i mające swe związki z Rusinami: Antonowiczem, Kostomarowem i Kuliszem; było koło tak zwanych chłopomanów, noszące się w sukmanach chłopskich, w wysokich butach, wrogie szlachcie i chętnie żyjące z ludem; było koło litewskie, podzielone na dwie koterye: właściwie litewską i drugą noszącą nazwę: *unitis viribus*; było nakoniec mnóstwo kół i kółek, od r. 1859 zwanych gminami, nadających uniwersytetowi kijowskiemu w tej dobie nader ożywiony i ruchliwy charakter. W ogólności jednak wszystkie te stowarzyszenia, prawie bez wyjątku, były gorąco, rewolucyjnie, a nadewszystko nieprzyjaźnie usposobione ku rządowi rosyjskiemu. Zbierano się wieczorami, czytano broszury emigracyjne i mowy listopadowe Mierosławskiego, śpiewano pieśni patryotyczne, zajmowano się gorąco sprawą włościańską, literaturą polską, kwestyami dnia. Z końcem 1859 roku poczęło nawet wychodzić tajne pisemko polskie p. t. „Ulicznik", demokratyczne, po trochu już rewolucyjne, zajęte zresztą wyłącznie życiem uniwersyteckiem. Karciło ono ze zjadliwym nieraz sarkazmem wszelkie usterki i wykroczenia przeciw ideom demokratycznym, zachęcało do skromności w życiu i obyczajach, brzmiało tym tonem idealnym i podniosłym, jaki w parę lat potem stał się powszechną właściwością chwili, i tak szczególny, tak wyjątkowy nadał charakter ówczesnemu społeczeństwu polskiemu. Je-

dnym z rysów tego uniwersyteckiego życia młodzieży polskiej w Kijowie, było to, że obchodziła ona uroczyście rocznicę 29 Listopada. Zwykle zbierano się gminami, śpiewano pieśni patryotyczne, wspominano urocze, niestety! minione niepowrotnie chwile sejmu, wojska polskiego, zwycięztw i chwały polskiej. Obchody te miały cechę poważną i skromną; raz tylko, mianowicie w r. 1859, prawie wszystkie te zebrania zakończyły się pijatyką i hulanką. Jedna tylko gmina t. z. „Koroniarzy“ t. j. pochodzących z Królestwa Polskiego, zachowała dawny, uroczysty nastrój. „Ulicznik“ chłostał też potem w satyrycznym wierszu „próżniaków i pijaków“ [1]). W r. 1860, gdy już w Warszawie zrywały się pierwsze podmuchy przyszłej burzy, gdy na skrajach horyzontu polskiego podnosiły się groźne chmury, w uniwersytecie kijowskim dotychczasowa organizacya zmieniła się i przybrała inne formy. Z pośrodka różnych gmin, wyłoniła się partya pod nazwą „Purytanów“, która była niejako zwierzchniem ciałem ponad wszystkiemi kołami. Partya ta zmieniając często nazwy, znana raz pod imieniem „Mnichów“, to znów „Żyrondystów“, nazwała się na-

[1]) Przytaczamy ustęp z tego wiersza:

„W nocy szalone słyszę pienie.
W pośród okrzyków, kielicha brzęków,
Dolata do mnie głos miłych dźwięków,
Jakiejś mi znanej piosenki.
Ale to inne jakieś dziwacze (sic)
Jakby wśród uczty usłyszeć płacze,
Wpośród wesela gdzieś jęki.
To nie pieśń nasza, pieśń narodowa,
Którą powtarza kraju połowa,
To pijanej uczty piosenki.
Lecz czyż to nowe? było tak było,
Tak się za Piastów, za Sasów żyło,
Piosnka i puhar, to życie!
Dalej do życia, dalej do pracy,
Dalej próżniacy, dalej pijacy!
A jeśli piosnkę wiatr będzie głuszył,
Jeślim serc waszych nic nie poruszył,
To będę krzyczał co pierś tchu zmieści,
Że w was jest forma, ale nic treści!“

koniec „Ogólnem zebraniem", i poczęła wyraźnie działać w kierunku politycznym polskim. Zawładnęła ona kasą, biblioteką gminną, a nawet „Ulicznikiem" i poczęła w nim głosić swe teorye, zapowiadała odrodzenie Polski za pomocą powstania zbrojnego, jednem słowem była echem palących i bombastycznych odezw Mierosławskiego. Na szczęście w tej dobie, w ciągu 1860 r. na tem się wszystko kończyło. Nikt jeszcze w tej chwili o spisku nie myślał, ale była już organizacya, były żywioły i formy gotowe do tego spisku. Był to niejako nabój włożony w lufę strzelby, i pierwsza lepsza iskra mogła wywołać strzał i głośny wybuch.

Daleko poważniejszą, niebezpieczniejszą cechę dla rządu, miały koła petersburskie, zwłaszcza koło wojskowych. W końcu 1857, lub na początku 1858 r. gdyż narodziny takich stowarzyszeń, pokryte są dla historyi, jak początek ciał kosmicznych, tajemnicą, pierwsze takie koło zawiązał Zygmunt Sierakowski, kapitan sztabu jeneralnego, osobistość, której koleje wypadków kazały w ostatnim ruchu polskim odegrać bardzo wybitną rolę. Urodzony na Wołyniu, uczył się w uniwersytecie petersburskim, i tutaj za udział w stowarzyszeniu politycznem 1848 r. został zesłany do Orenburga, do tamtejszych batalionów karnych jako szeregowiec. W r. 1857 za amnestyą uwolniony z prawem dosługiwania się, wstąpił do sztabu jeneralnego i wkrótce został kapitanem. Był to człowiek bardzo inteligentny, oczytany, wpływowy, gorący patryota polski, otoczony urokiem męczeństwa za sprawę ojczyzny, zaciekły rewolucyonista i spiskowiec. Wkrótce, wśród oficerów sztabu jeneralnego, zwłaszcza Polaków, nabył przeważnego znaczenia i niepospolitego wpływu. Szukając z nimi bliższych stosunków, gromił ich, że nie mówią lub też źle mówią swym ojczystym językiem, że nie znają literatury krajowej, że nie wiedzą co się myśli i robi w kraju, że nie czytają dziejów ojczystych, a ztąd nie mają pojęcia o tym duchu anarchiczności i nieporządku, który zgubił Polskę. Zwykle nowo poznanego młodego człowieka odsyłał do Wiktora

Kalinowskiego, Litwina, urzędnika w bibliotece publicznej cesarskiej, posiadającej nader obfitą kolekcyą wszelkiego rodzaju utworów emigracyjnych. Kalinowski przybyłemu dawał do czytania potrzebne książki, zaznajamiał go z tym duchem niesłychanie podniosłego, idealnego patryotyzmu, jaki przenika literaturę naszą tej epoki, i wtajemniczał niejako w drugą jej cechę rewolucyjną i czerwoną.

Tym sposobem oficerowie Polacy w sztabie jeneralnym, w akademii wojskowej, w gwardyi, powoli, pod wpływem przeważnego umysłu Sierakowskiego, nabierali zatraconego w sobie, wśród otoczenia obcego, poczucia polskiego i pewnej jednolitości pojęć. Materyał był gotowy, ale rozproszony; należało go więc skupić i uorganizować. Tę część działania wziął na siebie Jarosław Dombrowski, także kapitan sztabu jeneralnego, młody, zapalony, gorący i niezwykłą obdarzony ruchliwością i energią. Mały, szczupły, jasny blondynek, z dużymi żółtymi jak konopie wąsami i takąż hiszpanką, był bardzo czynny, ze wszystkimi się znał, ze wszystkimi żył, wszystkich przenikał swą żywością i ruchliwością. U niego to, w r. 1858, w pięciu obszernych pokojach, na oddalonej ulicy Petersburga, noszącej miano Oficerskiej, poczęli się zbierać raz na tydzień oficerowie Polacy na wieczory, noszące miano literackich. Czytano tu zakazane książki polskie, dyskutowano gorąco. Zebrania bywały bardzo liczne; nieraz po trzydziestu młodych ludzi się schodziło. Dobroduszna ówczesna policya petersburska, drzemiąca pod wawrzynami krymskiego słońca, nic o tem nie wiedziała, zwłaszcza, że na zgromadzeniach bywali oficerowie, stan niezmiernie uprzywilejowany w Rosyi. Niekiedy na te wieczory przybywał i sam Sierakowski, ale w ogóle zjawiał się tam bardzo rzadko.

Powoli w tem chaotycznem ciele, idącem już jednak w pewnym stale oznaczonym kierunku, poczęła się tworzyć organizacya, według kijowskiego szematu, trójek. Sam Sierakowski do żadnej trójki nie należał, i gdy go niektórzy, nie wiedzący, że to wszystko wyszło z jego inicyatywy, namawiali do wpisania się do stowarzyszenia, odmawiał pod

rozmaitymi pozorami. Z czasem organizacya ta rozszerzała się coraz więcej, rosła w liczbę i związki. Weszła w nią szkoła artyleryi, instytut inżynierski, szkoła wojskowa konstantynowska, weszło wielu cywilnych Polaków, jak Józafat Ohryzko, dość wysoki urzędnik, Wacław Przybylski, znany w literaturze polskiej pisarz, historyk Kostomarow, jeszcze wówczas nieprzyjaciel Rosyi; mnóstwo młodzieży uniwersyteckiej, wielu nawet Rosyan, na których potrafił wywierać znaczny wpływ Tabęcki, Polak, oficer gwardyacki. Już wtedy bardziej wtajemniczeni wiedzieli o tem, że ostatecznym celem związku jest zbrojne powstanie, że będą musieli, według wyrażenia Mierosławskiego, „dosiąść lada chwila owdowiałego siodła“. Zasady zresztą i przekonania „anioła rewolucyi“, jak go zwano między młodzieżą, były w zupełności uznawane i przyjęte przez organizacyą petersburską.

Na młodzież rosyjską oddziaływał znowu niezmiernie silnie Hercen, emigrant rosyjski, przez swe pisma, mowy i odezwy. Założywszy w Londynie (w r. 1857) dziennik rosyjski p. t. „Dzwon“ (Kołokoł), posiadając licznych i wybornie poinformowanych korespondentów w całej Rosyi, był tam chciwie czytany (rozchodził się w 2500 egzemplarzy), choć gazeta jego była jak najsurowiej zakazana. Nie było złego czynu, nie było nadużycia w rządzie, gwałtu i niesprawiedliwości, o którejby Hercen nie wiedział i nie schłostał jej surowo. Sam cesarz Aleksander II pilnie czytywał „Kołokoła“ i dowiadywał się z niego o wielu rzeczach, o których inaczej słuch nawet nie byłby do niego doszedł. Wszystko to robiło z Hercena potęgę polityczną, z którą się liczono i której się obawiano. Na młodzież miał on ogromny wpływ przez swój liberalizm, tak modny w tej epoce, swe idee radykalne, wypowiadane w tym języku barwnym, obrazowym, pełnym przesady, który zdawał się być właściwym wszystkim rewolucyonistom czy to polskim, czy rosyjskim. W kwestyi polskiej Hercen zajmował stanowisko takie, że zyskiwał poklask polskich czerwieńców. „Wyzwolenie Polski, wołał on, jest połową wyzwolenia

Rosyi; wolna Warszawa jest śmiercią dla cesarskiego Petersburga“. Twierdził, że carat rosyjski nie jest w stanie oprzeć się propagandzie, prowadzonej od Baltyku do morza Czarnego. „I dla tego właśnie, pisał dalej, pracujemy z całego serca nad wzmocnieniem najbardziej braterskiego przymierza między demokracyą polską, a rewolucyjną mniejszością Rosyi. Ci z pomiędzy Rosyan, którzy nie pojmują, że niepodległość Polski jest wyzwoleniem Rosyi, nie są rewolucyonistami, nie są wolnomyślnymi, nie są z nami“.

Podczas kiedy nad Newą tworzono jeżeli jeszcze nie spisek, to formy tego spisku, w Warszawie, w stolicy i sercu Polski, cicho i głucho było pod tym względem. Tu, jeśli powstawały jakie kółka, to były to efemerydy, niedonoszone płody, mające w swym zalążku śmierć i umierające po kilku dniach życia. O jakiejkolwiek organizacyi, o jakimś wytkniętym celu działania, mowy jeszcze nie było. Kraj zdawał się oddychać świeższem powietrzem, jakie nagle prysnęło strugą odmłodzenia w duszną, paskiewiczowską atmosferę, i nabierać sił do nowej walki, której mgliste, niezdecydowane zwiastuny ukazywały się już w oddaleniu. Stronnictwo arystokratyczno-szlacheckie, tak zwani Klemensowczycy, znaleźli organ swych opinij polityczno-społecznych w Towarzystwie rolniczem, które nadzwyczaj szybko się organizowało i siecią tej organizacyi, mistrzowsko przeprowadzonej, ogarnęło cały kraj, i zdawało się, że owładnęło wszystkiem w tym kraju. Już teraz odzywały się głosy, iż odtąd nic bez Towarzystwa i poza Towarzystwem zrobić się nie może. Klemensowczycy byli pewni, że tym sposobem program pracy organicznej stanowczo wejdzie w wykonanie, a przy nim wszelkie spiski, wszelkie niewczesne powstania i wybuchy, wszelkie rewolucyjne zachcianki, jak płomień, do którego niema dostępu powietrze, zgasnąć i strawić się sam w sobie musi. Przekonanie to tem więcej było uzasadnione, że poza Towarzystwem w tej porze utworzyło się koło, nie w znaczeniu spisku lub jakiejkolwiek organizacyi, ale poprostu jako skupienie się ludzi pewnych pojęć, siłą atrakcyi ciał jednolitych, ciążą-

cych do siebie, koło złożone z inteligencyi miejskiej warszawskiej, z przemysłowców, bankierów, fabrykantów, urzędników, które wyznawało i propagowało te same mniej więcej co i Klemensowczycy z Zamoyskim na czele, przekonania i tym sposobem w sferach nieszlacheckich popierało Towarzystwo. Mówimy mniej więcej, gdyż w przekonaniach tych zachodziły pewne różnice, pewne odcienia, które jednak z czasem dopiero, przy urzeczywistnianiu programu mogły wyjść na wierzch; teraz atoli w niczem nie psuły harmonii wzajemnej.

Środkiem tego koła, jego słońcem, ku któremu wszyscy ciążyli, które nadawało ton i barwę całemu temu skupieniu się ludzi, był Edward Jurgens, człowiek z wielu względów niepospolity tak co do inteligencyi, jak i charakteru. Stosunkowo dość podrzędny urzędnik Komisyi spraw wewnętrznych, zdołał jednak przez swój rozum, przez swe wysokie wykształcenie, przez umysł obszerny i systematyczny, przez czystość swego życia i charakteru, zająć wśród społeczeństwa niezmiernie wpływowe i pełne konneksyi wszelkiego rodzaju, stanowisko. Znał on wszystkich i wszyscy go znali. Miał stosunki i między arystokracyą rodu i pieniędzy, między rzemieślnikami i uczącą się młodzieżą. Średniego wzrostu, o herkulesowym rozroście bark, głowie dużej, czole wysokiem, włosach czarnych, krótko strzyżonych, twarzy starannie wygolonej, nieco ospowatej, śniadej, przypominał swą postawą, swą fizyognomią sławnego mówcę rewolucyi francuskiej, margrabiego Mirabeau. W twarzy tej zresztą znać było pochodzenie niemieckie Jurgensa, który z rodu należał do tej licznej rzeszy spolonizowanych Niemców, jacy od lat kilkudziesięciu rozmnożyli się w Polsce i silnie wpływali na jej losy, zajmując przeważne stanowiska, skupiając w swym ręku kapitały. Urodził się w Płocku z ojca zamożnego, majstra ciesielskiego, który prawie nie umiał mówić po polsku, uczył się na uniwersytecie dorpackim nauk kameralnych i żywił gorącą, idealną miłość ku polskiej swej ojczyźnie, przejętą tym mistycyzmem, jaki stanowi charakterystyczną cechę patryotyzmu tej epoki.

Jak całe to pokolenie spłodzone wśród nerwowego rozstroju, spowodowanego uciskiem i niewolą, w krótkich chwilach ciszy między jednym a drugim spiskiem, między krwawo ukończonem a gotującem się nowem powstaniem, gotów był życie swe poświęcić ojczyźnie i umrzeć za tę ojczyznę. Był odważny i śmiały; współcześnie bardzo chłodny, skoncentrowany w sobie, uparty. Mówił nie wiele, głosem cichym, spokojnym, bez uniesienia i zapału, ale z potężną, niepokonaną argumentacyą, przez co owładał nader szybko i nader stanowczo ludźmi tej epoki, źle wykształconymi i nieprzywykłymi do dysput. Jako człowiek posiadający nadzwyczaj obszerne we wszystkich sferach stosunki, otoczony był mnóstwem karyerowiczów, którym dopomagał z gotowością zawsze chętną do usług.

Czegóż właściwie chciała partya (jeżeli ją można tak nazwać) Jurgensa? o czem mówiła w długich, cichych wieczorach w mieszkaniu swego przewodnika, na Krakowskiem Przedmieściu, w tak zwanym domu Świętokrzyskim? Chciała ona, tak jak i wszystkie stronnictwa polskie, oswobodzenia kraju z niewoli i przywrócenia mu niezależności państwowej. Ale kiedy Klemensowczycy zamierzali osiągnąć ten cel upragniony, drogą wewnętrznego rozwoju wszystkich sił narodowych, czekali dojrzenia owocu, żeby własnym ciężarem spadł z drzewa; Jurgens nauczał, że Polska może być oswobodzona tylko przy pomocy rewolucyi, powstania zbrojnego, wojny krwawej i upartej. Pod tym względem zgadzał się z czerwieńcami, z Mierosławczykami, ze stronnictwem ruchu. Kiedy jednak ci ostatni uważali każdą chwilę za odpowiednią do powstania, byle kraj do tego przygotować przez spisek i stosowną organizacyą, gdy już teraz nawet zapowiadali, że „lada chwila dosiędą owdowiałego siodła", Jurgens utrzymywał, że powstanie może być owocem tylko długiej, bardzo długiej pracy, prowadzonej systematycznie, rozumnie i ostrożnie. Porywanie się na potężnego wroga bez tych prac przygotowawczych, porywanie się z motyką na słońce, nazywał poprostu zdradą kraju, zbrodnią nieprzebaczoną. Chcąc atoli osiągnąć tę, że

tak powiemy, zdolność do powstania, należy korzystać ze wszelkich dróg legalnych, ze wszystkich ulg i ustępstw, jakie tylko uda się wyjednać od rządu. I program pracy organicznej wymagał korzystania ze wszystkich ulg i koncesyi, ale podczas gdy Jurgens chciał, by Polacy sami się przyczyniali do ich wyjednania, Klemensowczycy o nic i nigdy nie chcieli prosić rządu, choć gotowi byli zawsze brać wszystko co im dają. Jurgens zaś wiedział, że Rosya sama z siebie żadnego ustępstwa Polsce nie zrobi, jeżeli do tego nie będzie zmuszona takiemi lub innemi okolicznościami; zalecał więc, by używano wszelkich dróg do uzyskania lepszych warunków życia i możności przygotowywania się do powstania. Dlatego też uważał, że wszelkie kłótnie z rządem, nie są rzeczą rozumną, a głównie polityczną; owszem Polacy winni się starać o zachowanie jak najlepszych stosunków z władzą, patrzeć na nią jako na siłę, od której zależą losy narodu, z którą otwarcie walczyć nie można, ale wyzyskiwać zawsze i wszędzie należy. Twierdził, że w narodzie trzeba obudzać wszelkimi sposobami niechęć i nienawiść do rządu; wszystko złe, wszelkie nieszczęścia i wypadki jemu przypisywać, „gdy nawet cegła z dachu spadnie, mówił, należy wołać, że rząd temu winien“. Wbrew postępowaniu Klemensowczyków, którzy nie chcieli przyjmować z rąk rosyjskich żadnych, choćby tylko honorowych urzędów, Jurgens zalecał usilne staranie się o nie, chwytanie ich oburącz; radził dopomagać rządowi we wszystkich jego pożytecznych przedsięwzięciach, pracować wszędzie i zawsze z myślą o powstaniu, jako o ostatnim, finalnym akcie tego długiego, nużącego dramatu; gromadzić środki materyalne, pilnie uważać na wypadki europejskie.

Takim był program Jurgensa i jego stronników, których żywioły gorętsze, czerwieńsze, zwały z francuzka milenerami, że odbudowanie Polski odkładają na tysiące lat. Oczywiście wszystko to, cośmy tu powiedzieli w tej porze jeszcze nie miało formy ściśle określonego programu, ani też zbierający się u Jurgensa nie mogli być nazwani

partyą lub kołem politycznem. Były to raczej długie przyjacielskie pogawędki ludzi, którzy się znali dobrze, i którzy w wieczornych godzinach, po całodziennej pracy zeszli się, by porozmawiać ze sobą o tem i owem, a zatem o kraju i jego losie. Niemniej przeto, pod wpływem przeważnego umysłu Jurgensa, jego spokojnej i niezwalczonej argumentacyi, program ten zyskiwał coraz więcej zwolenników, przechodził w krew nieomal inteligentniejszej części mieszczaństwa warszawskiego. W takich warunkach trzeba było tylko jakiegokolwiek zewnętrznego dotknięcia, jakiejkolwiek siły rzutu, a rozproszone dotąd atomy skupią się i tworzyć poczną nowe słońce, nową gwiazdę, nowe ciało kosmiczne na horyzoncie polskim.

Takiej siły jednak w tej chwili nie było i nie dawała się jeszcze czuć jej potrzeba. Rząd wprawdzie wolno i w dozach nadzwyczaj małych, ale ostatecznie robił pewne koncesye i ulgi. Wobec tego dość było przyjmować te koncesye chętnie i starać się o ich rozwój, i o wydobycie z nich wszelkich możliwych korzyści. Zresztą zgodnie z programem Jurgensa, nie przeszkadzało to wcale, żeby ludzie, którym położenie na to pozwala, postarali się jeszcze o to lub owo. „Spróbować nie zawadzi", mówił Jurgens okoliczności są takie, że próba może się udać, jak udały się usiłowania Zamoyskiego w sprawie Towarzystwa rolniczego. Człowiekiem, który mógłby coś zrobić w Petersburgu, był Leopold Kronenberg, bogaty bankier warszawski, przechrzta, ale gorący patryota, nadzwyczaj bystry, zręczny, rozumny, znawca ludzi, posiadający rozległe i wpływowe stosunki w stolicy nad Newą i należący do rzędu tych, którzy komunikowali się z Jurgensem i mimowoli stawali się satelitami tego słońca. Pod wpływem to zapewne skromnego urzędnika, który zgodnie z teoryami swego czasu, był zwolennikiem szeroko stosowanej oświaty, i w wykształceniu szkolnem widział paladium na wszystkie cierpienia ludzkości i Polski, Kronenberg powziął myśl w r. 1858, starania się o przywrócenie uniwersytetu w Wilnie. Myśl była śmiała, i w mieście, w którem tradycye dawnej wszechnicy

żyły jeszcze, której dobroczynne działanie, pomimo tylu klęsk, ciągle jeszcze czuć się dawało, mogła przynieść ze wszech miar zbawienne dla kraju owoce. Szło tu nie tyle może o samą oświatę, o wykształcenie uniwersyteckie, ile o ożywienie znowu polskości i ducha polskiego na Litwie i Białorusi. Wątpliwą atoli było rzeczą, czy rząd rosyjski po doświadczeniu niezbyt dawnem, który wszyscy nieomal mieli w pamięci, zgodzi się na tego rodzaju ustępstwo.

Jakoż w rzeczy samej nie zgodził się. Kronenberg na spółkę z ks. Lubieńskim, proboszczem w Rewlu, późniejszym biskupem augustowskim, zredagowali statut przyszłego uniwersytetu, elaborat ten przetłomaczył na język rosyjski znany wówczas w Petersburgu dziennikarz Arseniew, ale rzecz cała utonęła w biurach ministeryum i więcej na świat nie wyjrzała.

Niepowodzenie to jednak nie odstręczało Milenerów. Byli oni z góry na to przygotowani, że nie powiedzie im się jedna, druga, dziesiąta nawet próba, ale właśnie jedenasta może natrafić na przyjazne okoliczności i wynagrodzi za wszystkie poprzednie zawody. Pod tym względem nie mieli oni żadnych złudzeń i wiedzieli, że droga ich będzie cierniową, Syzyfowem podnoszeniem skały, która co chwila staczać się będzie na dół, że mają do czynienia z rządem podejrzliwym, niechętnym Polsce i Polakom, tłumiącym wszelkie próby podniesienia się kraju, czy to pod względem materyalnym, czy duchowym. Najlepszym, bijącym w oczy dowodem tego usposobienia rządu, była sprawa bractw wstrzemięźliwości, jaka się właśnie w tej porze rozegrała.

W obec bardzo wielkiego rozpowszechnienia się pijaństwa między chłopami po wsiach i drobnem mieszczaństwem, nałogu, który rujnował materyalnie i moralnie lud polski, powstała, niewiadomo zresztą u kogo naprzód myśl, zdaje się, że zapożyczona od Poznańczyków, zakładania pod patronatem kościoła, bractw wstrzemięźliwości od gorących napojów. Myśl była bardzo dobra, nader zbawienna pod wielu względami, ale miała jedną wadę, że nosiła ce-

chę religijnego przymusu. Proboszcze wiejscy, w ogóle niższe duchowieństwo fanatycznie usposobione, przejęte bezwzględnością swej nauki, używało wszelkich środków, jakie posiadało, czy to kazalnicy, czy konfesyonału, czy wpływu osobistego, by propagować wstrzemięźliwość. Opornych straszyło piekłem, odmawiało im posług religijnych, nadało sprawie, czysto moralne i ekonomiczne mającej znaczenie, charakter krucyaty przeciw djabłu, w postaci wódki, z całym, w takich razach używanym, średniowiecznym aparatem kościelnym. W propagandzie swej dochodzili do tego, że zabraniali pić wódki zupełnie, co w naszym klimacie, przy ciężkiej, fizycznej pracy chłopa, przy niedostatecznem jego odżywianiu się, było nieuzasadnionem. Każdy inny rząd, dbający szczerze o dobro kraju, byłby odebrał sprawę z rąk duchowieństwa, które przez zbytek gorliwości prowadziło ją na manowce, byłby jej odjął cechę ascetyzmu kościelnego, a przez to wzmocnił ją i istotny pożytek przyniósł ludności. Od rządu rosyjskiego jednak oczekiwać tego nie można było, i jeżeli przez jakiś czas patrzał na propagandę wstrzemięźliwości przez palce, to dlatego, że wobec zupełnie nowego dla siebie objawu, nie wiedział jakie zająć stanowisko. Przewidywać atoli należało, że wcześniej czy później odniesie się do tej kwestyi nieprzyjaźnie, raz dla tego, że propaganda w rękach niższego duchowieństwa przybierała znamiona zbyt gwałtowne, że częstokroć pod pokrywką wstrzemięźliwości, księża rozszerzali niezdrowy fanatyzm religijny, że nakoniec interesowani, żydzi trzymający szynki, właściciele ziemscy, opierający swe gospodarstwo na gorzelniach, poczęli sarkać, dotknięci w najdrażliwsze swe miejsce, bo w kieszeń.

Jakkolwiekbądź, w tej chwili bractw wstrzemięźliwości rozwijały się potężnie. Na Podlasiu propagował je biskup Benjamin Szymański, ale tam nie bardzo dobrze się przyjmowały; w Płockiem, administrator tamtejszej dyecezyi, ks. Myśliński, ksiądz zły, człowiek dwulicowy, dziś lojalny poddany carski, by jutro zostać gorącym patryotą z podkładką czerwoną, który w tem widział środek poli-

tyczny, przez uzyskanie wpływu i przewagi nad chłopem na Litwie, w Wilnie zwłaszcza, gorliwie się niemi zajmował ks. Tupalski. Później dodał bodźca tej sprawie biskup wileński, ks. Stanisław Krasiński, mianowany na tę godność w początkach 1859 r., tak że liczba członków bractwa wstrzemięźliwości w następnym roku dosięgła cyfry 500.000 głów, przeważnie samych chłopów. W Maju 1860 r. biskup Krasiński wydał nawet list pasterski, zachęcający lud do trzeźwości. Bractwa rozszerzały się promieniami od Wilna ku Wiłkomierzowi, Święcianom; w powiecie Trockim wzdłuż Niemna; w Lidzkiem w parafii Ejszyszki, wogóle w całe południowej części tego powiatu, osiadłego wyłącznie przez Litwinów. W powiecie Oszmiańskim, gdzie gęsto mieszkała t. z. szlachta okoliczna, bractwa rozwijały się tylko na granicy z powiatem Wileńskim i Lidzkim; w Wilejskiem i Dzieśnieńskiem propaganda szła opornie. Znany nam już z uczestnictwa w komitecie włościańskim, Rajnold hr. Tyzenhaus, w dobrach swych, liczących około 9.000 ludności w samej tylko gubernii wileńskiej, zamknął wszystkie gorzelnie, a z 47 karczem pozostawił tylko trzy.

Skutek tej propagandy odrazu dał się uczuć na Litwie. Gdy przedtem w samej gubernii wileńskiej wypijano od 700 do 800 tysięcy wiader, gdy nawet w r. 1859 wypito jej około 900 tysięcy wiader, w r. 1860 cyfra ta zniżyła się do 550 tysięcy. Duchowieństwo w tym celu nie gardziło żadnymi środkami. W powiecie Wileńskim, w parafii Rudomińskiej, proboszcz miejscowy wprowadził zwyczaj, że członkowie bractwa wstrzemięźliwości podczas nabożeństwa w kościele, trzymali świece zapalone, co nie należących do stowarzyszenia mocno wstydziło i na pośmiewisko wystawiało. W innych miejscowościach proboszcze ustanawiali t. z. marszałków, rodzaj dozorców policyjnych, którzy pilnowali, by chłopi nie wchodzili do szynków, a takich, którzy się tego dopuścili, ksiądz karał nieraz surowo aresztem, chłostą, lub też kazał im podczas nabożeństw niedzielnych stać przed kościołem na widoku publicznym, z deską zawieszoną na piersi i napisem: „pijak“. Powoli,

pierwotne dobrowolne zapisywanie się do bractwa, stało się z czasem obowiązkowem dla katolików, i sprawa przybrała cechę przymusu i gwałtu [1]).

Jednem słowem szybki rozwój tej propagandy, która dostała się w ręce niższego duchowieństwa wiejskiego, głów ciemnych, fanatycznych, zardzewiałych w głębi swych puszcz litewskich, jej charakter przymusowy, nadały całej sprawie barwę akcyi politycznej, jaką w rzeczy samej była. Prasa popierała ją usilnie; Syrokomla pisał wiersze, które obiegały po całej Litwie:

„Dosyć bracia lać szampana,
Dziś od chłopka aż do pana
Trzeźwym być się godzi.
Niech toastem będzie zgoda,
Trunkiem naszym czysta woda,
Ludzkość się odrodzi".

Rezultatem tego wszystkiego było to, że gubernator cywilny wileński Pochwisniew, rozesłał do władz w r. 1859 okólnik, zabraniający zakładania nowych bractw wstrzemięźliwości i nakazujący znoszenie dawnych przy pierwszej lepszej sposobności. Władze zatem rozpoczęły szkodzić bractwom gdzie mogły i jak mogły. Starano się propagować pijaństwo. W Bielsku, w dzień uroczystości dworskiej, po nabożeństwie wojsko wystąpiło przy odgłosie muzyki na rynek miejski, gdzie dzierżawca propinacyi miejscowej wystawił kufy z wódką, którą żołnierze pili i zachęcali lud do picia. Oczywiście nie odmawiano im tego i pijatyka

[1]) Niemniej zabobonne wrażenie na lud wywarł wypadek, jaki się przydarzył w początkach 1859 r. w Nowogródku, i który nabył ogromnego rozgłosu. Była to niedziela; proboszcz miejscowy mówił w kazaniu o pijaństwie. Mówił tak rzewnie, że cały kościół płakał. Obecni temu ajenci akcyzy, chcąc zatrzeć wrażenie kazania, po Mszy wytoczyli beczkę wódki na rynek, i oddawali ją za pół ceny, a nawet darmo. Dzień był targowy, ludu mnóstwo. Znaleźli się więc amatorowie i wkrótce beczkę wypróżniono. Lud się spił i jednę z kobiet spaliła wódka. Gdy trup leżał na ziemi, buchający wódką i dymem, opadły psy i świnie i głowę pogryzły. Okropność tej sceny wytrzeźwiła pijanych i głośno i uroczyście wyrzekali się wódki.

rozpoczęła się na dobre. Sam jenerał-gubernator Nazimow, skarżącym się na to postępowanie władz, usiłował je usprawiedliwić potrzebą picia wódki w naszym klimacie i tekstem z Pisma Śgo o Kanie Galilejskiej.

W Królestwie istnienie bractw wstrzemięźliwości było także dość krótkie. Sama gwałtowność propagandy, poczęła na nią zwracać uwagę rządu, który zawsze i wszędzie, nie bez pewnej słuszności zresztą, w każdej działalności polskiej podejrzywał politykę i chęć szkodzenia interesom państwowym. Z tem widzeniem rzeczy zeszły się prywatne interesa żydowskie i właścicieli gorzelni, którym bractwa trzeźwości znaczne straty przynosiły. Znaleźli się i tacy, którzy wprost pisali do Gorczakowa denuncyacye, że bractwa mają cele polityczne, że przez wymaganie ślepego posłuszeństwa względem przełożonych, stać się mogą potężną i arcyniebezpieczną bronią w rękach duchowieństwa katolickiego. Wskutek tego, Gorczakow polecił dyrektorowi Komisyi spraw wewnętrznych, Muchanowowi, ażeby zabronił administratorowi dyecezyi płockiej, gdzie główny był rozrost bractw, ich zakładania. Muchanow istotnie w dniu 30 Lipca 1857 r. wysłał do Myślińskiego reskrypt, w którym zawiadomił go o decyzyi namiestnika. „Jaśnie oświecony książę namiestnik Królestwa, pisał, zalecając duchowieństwu, ażeby lud przy pomocy napomnień religijnych, wygłaszanych roztropnie, odzwyczajało od pijaństwa, zabronił zakładania bractw trzeźwości, jako niedozwolonych przez prawa obowiązujące".

Myśliński jednak, zaprotestował przeciw temu rozporządzeniu w imię moralności chrześcijańskiej, której on, jako zwierzchnik dyecezyalny winien bronić i pilnować, a duchowieństwu podwładnemu polecił nie ustępować, tylko dalej propagować bractwa, oczywiście w rozmiarach szczuplejszych i z cechą mniej gwałtowną. Ten stan rzeczy, to niewykonanie rozkazów rządowych, nie mogło się ukryć przed okiem policyi i żandarmów, zwłaszcza, że byli ludzie, którzy mieli w tem osobisty interes, by rząd wiedział o nieposłuszeństwie duchowieństwa płockiego.

Wskutek tego Muchanow ustanowił komisyą śledczą, pod prezydencyą urzędnika Komisyi spraw wewnętrznych, radcy stanu Remiszewskiego, Polaka, która po czteromiesięcznem śledztwie złożyła raport, potwierdzający istnienie bractw trzeźwości w gubernii Płockiej i ich szkodliwości pod względem politycznym. Przy powtórzeniu rozkazu, zabraniającego jeszcze raz jak najsurowiej zakładania bractw, Muchanow przez reskrypt z d. 16 Marca 1858 r. polecił ukarać kilku księży, jak następuje: księdza Nikodema Składowskiego, kaznodzieję klasztoru Reformatów w Żurominie, który bardzo gorliwie zajmował się propagandą wzmiankowanych bractw, kazał Muchanow przenieść do klasztoru w Biały Podlaskiej z zaleceniem, by oddany został pod ścisły dozór miejscowego gwardyana i by do czasu poprawy nie był dopuszczany do żadnych wyższych obowiązków. Księdza Olszewskiego, proboszcza w Ostrowie, skazano na 200 złp. sztrafu; ks. Giergielewicza, beneficyanta w Zarembach na 266 złp. sztrafu i kazano go przenieść na wikaryat; ks. Ojrzanowskiego, wikaryusza w Obrytach, wysłano na dwa lata do seminaryum; ks. Ropelewski, proboszcz tejże parafii Obryty, zapłacić musiał 400 złp. sztrafu i utrzymywać własnym kosztem przez wymienione dwa lata swego wikaryusza w seminaryum; ksiądz Wielogłowski proboszcz i dziekan Mławski zapłacił także 400 złp. kary i stracił dekanat; ks. Uściński, proboszcz parafii Zambsko, zapłacił 200 złp. i poddany został karze, jaką miała mu wyznaczyć jego zwierzchność kościelna. Ksiądz Kulpiński, beneficyant w Przewodowie i proboszcz parafii Zielona, musiał tyleż zapłacić sztrafu i stracił swe beneficyum. Ksiądz Lubowidzki, proboszcz w Zegrzu, zapłacił 200 złp. groszy 17 (sic). Ksiądz Nawrocki, wikaryusz w Szreńsku, został wysłany do seminaryum na dwa lata, gdzie musiał się sam starać o swe utrzymanie. Wikaryusze Januszkowski z Nasielska, Tarnułowski z Wyszkowa i Żelazowski z Kadzidła, zostali translokowani na inne, mniej przynoszące dochodu wikaryaty. Gwardyani Reformatów w Żurominie i Pułtusku, jak również wikaryusze kościoła

kolegialnego w temże mieście, otrzymali surową naganę. W całem Królestwie naczelnicy powiatów zawiadomili proboszczów, że zakładanie bractw trzeźwości, karane będzie sztrafem 66 złp.

Tym więc sposobem chłop polski mógł pić i zapijać się na śmierć, gdyż rząd rosyjski pod wpływem szynkarzy, propinatorów i gorzelanych, nietylko na to pozwalał, ale nieomal zachęcał. Że propaganda bractw trzeźwości miała pewien charakter niewygodny dla rządu, temu zaprzeczyć nie można; że nawet i dla kraju nie była dobrą ze względu na jej cechę kościelną i fanatyczną, to było widoczne, ale na wszystkie te jej niedostatki przy dobrej woli łatwo było zaradzić. Rząd rosyjski, jak to zawsze bywa w zwyczaju tej władzy leniwej, samowolnej i zepsutej, nie myślał o ulepszeniu zasadniczych podstaw bractw wstrzemięźliwości, ale wolał je wprost zakazać. Najwięcej szło mu o to, że duchowieństwo za zbyt silny, za zbyt stanowczy wpływ może zyskać na chłopa, którego on, na wzór rewolucyonistów i Mierosławczyków chciał trzymać w rezerwie, i nie dozwalając teraz ruszyć „ani kołka w płocie i miedzy na niwach", czekał zapewne aż przyjdą takie okoliczności, w których ze stosownie rozstrzygniętej sprawy włościańskiej, uda mu się wyciągnąć jak najwięcej dla siebie korzyści.

Jednakże w tej chwili, gdy na Litwie i w Rosyi poczęły się organizować komitety włościańskie, gdy wogóle sprawa ta interesowała wszystkie umysły; gdy przebiegał po całem państwie jakiś dreszcz tajemniczy, przypominający dreszcze niektórych zwierząt zrzucających ze siebie starą skórę, niepodobna było nie zająć się i polskim chłopem; należało i jemu coś dać, a przynajmniej okazać ogółowi, że i los ludu polskiego leży na sercu rządowi rosyjskiemu. W tym celu przysłano do Królestwa, z tytułem członka Rady Administracyjnej, jenerała Ixkulla, Szweda rodem, dla ułożenia projektu w sprawie włościańskiej. Był to człowiek rozważny, wykształcony, uczciwy i miał pewne doświadczenie w tego rodzaju robotach, gdyż zajmował się

poprzednio kwestyą chłopską w Estonii. Nie przynosił ze sobą żadnych uprzedzeń, żadnych teoryj z góry powziętych, ale zjawiwszy się w Warszawie badał sumiennie miejscowe stosunki, zbierał skrzętnie wszelkie wiadomości, czytał dużo, radził się ludzi, znających rzecz dobrze. Zresztą nie on sam miał stanowić o losie chłopskim w Polsce, albowiem w skutek rozkazu cesarskiego utworzono w Maju 1858 r. komitet, pod prezydencyą namiestnika. Do komitetu tego, oprócz rzeczonego Ixkulla, weszli dyrektorowie główni komisyj rządowych: Muchanow, spraw wewnętrznych; Drzewiecki, sprawiedliwości; Gumiński, wydziału dóbr i lasów w Komisyi Skarbu, oraz gubernatorowie: Łaszczyński warszawski, i Tykiel augustowski. Ten ostatni opracował projekt, nie bez wpływu Zamoyskiego i Klemensowczyków, oparty na oczynszowaniu. Nad projektem tym rozpoczęły się długie i nużące debaty w komitecie.

Opinia ogólna w kraju wiadomość o utworzeniu się komitetu, mającego się zająć sprawą włościańską, przyjęła bardzo dobrze. W gorącem poczuciu potrzeby rozstrzygnięcia raz tej kwestyi, wszelkie kroki na tej drodze zrobione witano z uznaniem, nieomal z radością. W tym jednak razie, gdy dowiedziano się, że komitet Ixkulla stanowczo poza oczynszowanie wyjść nie zamierza, poczęto sarkać i nie przywiązywano już żadnej prawie wagi do prac tego komitetu. Ogół żądał uwłaszczenia, ostatecznego raz na zawsze ukończenia sprawy chłopskiej; oczynszowanie zaś uważał za środek paliatywny, za stan tymczasowy, który nie lecząc wrzodu radykalnie, kładł tylko na niego plastry, ból łagodzące. Przytem oczynszowanie w oczach opinii było krzyczącą niesprawiedliwością, krzywdą wyrządzoną chłopu, dalszym ciągiem nadużyć, jakich przez długie wieki, rządy i szlachta dopuszczała się względem tegoż chłopa. Chłop, mówiono, krwawym potem i ciężką pracą na roli ojczystej, pracą trwającą kilkaset lat, nabył prawa do własności tej roli, a tymczasem teraz każą mu jeszcze za nią płacić i uważać się tylko za dzierżawcę, wprawdzie wieczystego, ale bądź co bądź dzierżawcę.

Tak się patrzano na projekta komitetu Ixkulla, i przez dziwne przeczucia, objawiające się niekiedy w masach, nie wierzono w urzeczywistnienie, w trwałość jego robót. Dlatego też, gdy komitet nie zamierzał radykalnie zająć się losem chłopskim, zapomniano prędko o jego istnieniu i przyjmowano z obojętnością wszelkie o nim wieści.

Tymczasem komitet pracował dalej i d. 28 Grudnia 1858 r. wydane zostało z upoważnienia cesarskiego, postanowienie Rady Administracyjnej Królestwa, obejmujące przepisy, na mocy których mogły być zawierane dobrowolne umowy czynszowe między właścicielami dóbr i włościanami. Komitet więc nawet tego nie zrobił, co sądzono, że zrobi, t. j. nie oczynszował stanowczo chłopów, ale pozwolił na oczynszowanie każdemu, kto sobie tego życzył, zostawił to, inaczej mówiąc, dobrej woli szlachty, i wydał tylko przepisy, według których taka czynność miała być dokonywana. Rozczarowanie więc było zupełne, niezadowolenie jeszcze większe, nawet w stronnictwie Klemensowczyków. Podczas bowiem gdy ci ostatni chcieli, by umowy dzierżawne czynszowe były tylko czasowe, co jakieś kilkanaście lub kilkadziesiąt lat odnawiane, komitet zrobił je wieczystemi i tym sposobem chłopa uczynił do pewnego stopnia właścicielem roli, na której siedział. Oto główne zasady postanowienia Rady Administracyjnej:

a) umowy miały być wieczyste;

b) czynsz mógł być stały, lub co lat dwadzieścia, stosownie do ceny żyta, odnawiany;

c) budowle gospodarskie przechodziły na własność chłopów;

d) pożyczki i zasiewy dane przez właściciela, miały być przez chłopów zwrócone w naturze lub spłacone;

e) prawa *dominii directi,* jako to: propinacyi, polowania, rybołówstwa i t. d. zostawały przy dziedzicu.

Jakkolwiek postanowienie to posuwało sprawę włościańską znacznie naprzód wobec projektu Zamoyskiego i Klemensowczyków, było bądź co bądź jakiemś wyjściem z martwej ciszy, jaka od ukazu 1846 r. zalegla na polu

tej kwestyi, wszelako w praktyce, w rzeczywistości w niczem prawie chłopu nie przyniosło ulgi i krzyczącego stosunku pańszczyźnianego nie zmieniło. Przez pozostawienie bowiem właścicielom ziemskim i chłopom zupełnej swobody w zawieraniu lub nie umów czynszowych, rezultat okazał się taki, że procent przystępujących do oczynszowania był niezmiernie mały. I dziwić się temu nie należy. Szlachta nie dlatego niechętnie brała się do oczynszowania, żeby wogóle nie widziała jego potrzeby, żeby miała stawać wrogo względem zmian w stosunkach agrarnych, zwłaszcza, że nie było w kraju człowieka ani tak ograniczonego, ani tak zaślepionego, by nie spostrzegał, że stosunki te weszły w takie stadyum, iż wcześniej czy później muszą uledz reformie, ale dlatego, że przy powszechnym złym stanie ekonomicznym średniej własności ziemskiej, zmiana gospodarstwa pańszczyźnianego na folwarczne wymagała znacznych nakładów, na które szlachtę w ogromnej większości nie stać było. Rzecz ta wtedy tylko mogłaby się była zrobić i szybko ukończyć, gdyby rząd przyszedł szlachcie z pomocą, gdyby był obmyślił jakąś instytucyą finansową, jakiś bank czynszowy, któryby przystępującym do oczynszowania dawał tanie pożyczki, spłacane przez dłuższy przeciąg czasu ratami. Ponieważ jednak rząd tego nie uczynił, zostawiając szlachtę własnym jej siłom, oczynszowanie więc dobrowolne nie postępowało zupełnie i cały ten projekt okazał się w rzeczywistości chybionym, nie zadowalniając współcześnie w niczem opinii ogólnej.

Opinia ta zresztą coraz bardziej była teraz ze wszystkiego niezadowolona. Rząd, od którego spodziewano się koncesyj szeroko i dobrze obmyślanych, koncesyj, które w tej chwili z wdzięcznością byłyby przyjęte, utrzymywał ciągle dawny, mikołajowski stan rzeczy i jeżeli robił w nim jakie zmiany, to bardzo niewielkiego znaczenia i bardzo wolno. W dniu 19 Kwietnia 1858 r. zniesiono posady naczelników wojennych, znosząc tym sposobem nieprzerwany stan wojenny, w jakim kraj się znajdował, i rządy wojskowe. Jakkolwiek pozornie tak to wyglądało, w gruncie

jednak zmiany żadne nie zaszły. Na miejsce bowiem zniesionych naczelników mianowano w każdem mieście gubernialnem t. z. komendantów, których atrybucye, z bardzo niewielką różnicą, były takie same jak dawnych naczelników wojennych. Ustępstwa więc nie było żadnego i ogół polski na tę zmianę nie zwrócił nawet uwagi.

Daleko ważniejszą atoli koncesyą i istotnie korzystną dla kraju była reforma zarządu pocztowego. Dotąd poczta w Królestwie podlegała głównemu zarządowi poczt w Petersburgu i językiem urzędowym w niej był rosyjski. Obecnie, na skutek ukazu z d. 19 Maja 1858 r., pocztę w Królestwie oddano pod bezpośrednie zwierzchnictwo i zależność namiestnika i Rady Administracyjnej, a językiem urzędowym został polski.

Najdonioślejsze wszelako znaczenie miało ustanowienie w szkołach na Litwie katedr języka polskiego, który w r. 1854 całkiem został usunięty ze szkół i nie był wykładany, chociaż dziewięć dziesiątych młodzieży uczącej się stanowili katolicy i Polacy. Była to krzycząca niesprawiedliwość, która drażniła i oburzała nadzwyczajnie, i oburzenie to znajdowało wyraz przy każdej zdarzonej sposobności. Jeszcze w r. 1855 szlachta żmudzka, zebrana na wybory w Kownie, na wniosek Edwarda Römera podała adres do cesarza o przywrócenie języka polskiego w szkołach. Na adres ten nie otrzymano odpowiedzi, ale w roku następnym ministeryum oświecenia w Petersburgu wysłało jednego ze swych dygnitarzy na rewizyą szkół i zakładów naukowych w tak zwanych urzędownie „guberniach zachodnich“. Szlachta miejscowa skorzystała z tej sposobności, by wypowiedzieć swe gorzkie i bardzo uzasadnione skargi na usunięcie języka polskiego ze szkoły, oparła je na tak poważnych argumentach, łatwych zresztą do znalezienia, że wobec idei liberalnych, będących wówczas w modzie, wobec dążności łagodzenia wszelkich ostrych kantów, dygnitarz ów uznał powyższe zażalenia za słuszne i sprawiedliwe. Wskutek tego w sprawozdaniu swem o stanie szkół w „kraju zachodnim“ twierdził on, że wykład języka

polskiego w zakładach naukowych okręgu Wileńskiego nie przedstawia żadnych trudności, a nawet jest pożądany, ze względu, że nauka dwóch pobratymczych języków: polskiego i rosyjskiego, wpłynąć może na większe postępy młodzieży w obu: że z uwagi, iż w wykładach religii. w szkołach litewskich używany jest język polski, że zatem uczniowie winni znać i znają ten język, a więc niesłusznem jest ze strony rządu takie postępowanie, które dozwalając na wykład jednego przedmiotu w języku polskim, pozbawia dzieci uczenia się prawideł tego języka, który jest ich mową rodowitą, zwłaszcza, że uczą się obcych, jak: francuzki, niemiecki i łaciński. W konkluzyi raport utrzymywał, że wprowadzenie wykładu języka polskiego zadośćby uczyniło pragnieniom mieszkańców, wypowiedzianym z wszelką pokorą i t. d.

Ministeryum oświecenia wobec tego ustąpiło i dozwoliło w r. 1858 na utworzenie katedr języka polskiego w guberniach litewskich: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej. W tym celu ustanowiono w Wilnie komitet, w którym zasiadał także znany poeta polski, towarzysz niegdyś Mickiewicza, Antoni Edward Odyniec. Komitet ten zajął się zaraz rozpatrywaniem kwalifikacyi kandydatów na nowe katedry. Co się tyczy białoruskich gubernij: Witebskiej, Mohilewskiej i Mińskiej, jak również południowych: Wołyńskiej i Podolskiej, ministeryum stanowczo nie zgodziło się na to, by tam język polski był w szkołach wykładany.

Taka decyzya ministeryum nie podobała się w najwyższym stopniu szlachcie polskiej na Białorusi. Istotnie, w postanowieniu ministra była niekonsekwencya. Jeżeli już bowiem zgadzał się na to ustępstwo dla żądań szlachty litewskiej, nie było żadnej racyi odmawiać zadośćuczynienia pod tym względem szlachcie białoruskiej. Jak tam tak i tu ona jedna przedstawiała żywiol polski, gdyż lud na Litwie był litewski, na Białorusi ruski i w nauce szkolnej nie brał on udziału. Szkoły zapełnione były przeważnie dziećmi szlachty polskiej i pozwalając im na Litwie uczyć się języka ojczystego, nie było żadnego uzasa-

dnionego powodu odmawiania tego samego dzieciom szlachty polskiej na Rusi.

Właśnie pod jesień zapowiadano, że cesarz jadąc do Warszawy, zatrzyma się w Mińsku i w Wilnie, i z okoliczności tej szlachta białoruska postanowiła skorzystać i wypowiedzieć swe żądania za pośrednictwem marszałków. Jakoż gotowano się powszechnie na przyjęcie młodego monarchy. Zwiedziwszy Twer, Jarosław, Kostromę, Niższy Nowogród, cesarz jechał na Moskwę, Smoleńsk, do Mińska, gdzie zebrała się cała szlachta białoruska i dnia 17 Września wyprawiła mu świetny bal. Wówczas to Witebszczanie wystąpili z adresem, w którym żądali: pomnożenia kościołów katolickich, a raczej pozwolenia na wznoszenie nowych; wykładu języka polskiego w szkołach i założenia uniwersytetu w Połocku. Odrazu zażądano zbyt wiele i w umyśle podejrzliwym, ciasnym i upartym w raz powziętych, a raczej narzuconych sobie mniemaniach nowego cesarza prośba taka musiała wywołać niechęć. Gdyby szlachta witebska, opierając się na tym fakcie, że język polski został wprowadzony do szkół litewskich, domagała się tego samego dla swej gubernii, gdyby była nic nie mówiła o kościołach i uniwersytecie, bardzo jest prawdopodobnem, że Aleksander znajdujący się ciągle w egzaltowanym nieco nastroju reform i ulg, byłby się na to zgodził. Tak zaś zażądano naraz zbyt wiele i nic nie otrzymano. Na prośbę szlachty cesarz odrzekł surowym i karcącym tonem, że „w prośbie jej przebija się niejaka dążność do utrzymania mniemanej narodowości polskiej, dążność tem bardziej bezzasadna i lekkomyślna, że nie ma ona żadnego, nawet historycznego znaczenia. Kraj ten bowiem nigdy nie był niepodległym i nigdy nie uważał się za zdobyty, ale tylko odebrany od Polski, jako odwieczna własność Rosyi".

Napomnienie to ochłodziło wiele głów polskich na Białorusi, które licząc na liberalny umysł Aleksandra, sądziły, że kwestya przyłączenia ich ziemi do Królestwa jest tylko kwestyą czasu. Obecnie przekonano się, że pod tym

względem nic się w rządzie rosyjskim nie zmieniło, że nawet nie uznają ich za Polaków, zowiąc „mniemaną narodowością polską". Oburzenie było wielkie, niesmak jeszcze większy, gdy cesarz odwiedziwszy w Mińsku cerkiew prawosławną i kościół katolicki, zakłady dobroczynne i naukowe, opuszczał Mińsk, żegnany bez entuzyazmu i zimno, by udać się do stolicy Litwy, do Gedyminowego grodu nad Wilią.

Tu przygotowywano się na jego przyjęcie tak, jakby w mury starego Wilna wstępować miał jeżeli już nie Jagiellończyk, to przynajmniej Waza, ubrany w purpurę królewskości polskiej i w odwieczną czapkę książęcą litewską. Szlachta zjeżdżała się bardzo licznie ze wszystkich kątów kraju, zpod Kowna, ze żmudzkich niw, z puszcz grodzieńskich, z Pińszczyzny, zewsząd, kto tylko mógł się ruszyć. Spodziewano się bardzo wiele łask, koncesyi, ustępstw; żywiono świetne nadzieje, słodkie marzenia opierano na tym pierwszym pobycie młodego cara w stolicy Litwy. „Czas" krakowski pisał, że „szlachta litewska pragnie z całą okazałością przyjąć monarchę w starodawnych murach Gedymina".

Jakoż robiono ogromne i kosztowne przygotowania. Gmach muzeum wileńskiego odnowiono sumptem szlachty, która na ten cel dała 1500 rs. Przez Nazimowa proszono cesarza, by raczył przyjąć bal, na co Aleksander odrzekł: „bal przyjmuję od zacnej szlachty". Postanowiono zatem wystąpić wspaniale, z przepychem i zbytkiem. Umyślnie wysłano deputata do Warszawy, aby ugodził i sprowadził ztamtąd sławnego kuchmistrza Conti, który z odpowiednią służbą miał przyjechać do Wilna i zgotować dla cesarza obiad. Conti zażądał za to 3000 rubli, za wyjazd, służbę, wety; wszystkie inne przybory, jak: mięso, warzywa, jarzyny, owoce i t. p. miał mieć dostawione. Zgodzono się na to, nie żałowano grosza, świetne rojono nadzieje. Noszono się z myślą podania prośby o przywrócenie akademii wileńskiej.

Nakoniec dnia 18 Września Aleksander przybył do

Wilna. Jechał przez ulice przybrane flagami i dywanami; obok domów wspaniale udekorowanych, między którymi odznaczały się domy Tyszkiewicza i Ogińskich; pod łukiem tryumfalnym, wzniesionym przez żydów na ulicy Niemieckiej: obok Muzeum starożytności, gdzie umieszczono obraz, przedstawiający śpiącego geniusza, budzonego przez Minerwę, wskazującą na wschodzące słońce, na którem była cyfra cesarska; wśród tłumów ludu, witającego radosnymi okrzykami młodego monarchę. Wieczorem miasto było przepysznie uiluminowane, pełne transparentów i blasku; nawet na starej górze zamkowej, gdzie tylekrotnie pogoń litewska ścierała się z czarnym orłem krzyżackim, gorzał ogień bengalski. Wilno przybrało świąteczną, uroczystą szatę, obchodziło gody zaślubin swoich z dynastyą rosyjską. Zdawało się, że w każdej piersi drży nadzieja świetnej, jasnej, na podstawach narodowych opartej przyszłości, na której w oddali niestety! czerniały już krwawe Murawiewowskie chmury. Ten ogólny, entuzyastyczny nastrój umysłów znalazł swój wyraz w haniebnem, brzydkiem wystąpieniu pewnej grupy ludzi, których słusznie potem napiętnowano mianem odstępców i zdrajców.

Cesarz zwiedziwszy sobór prawosławny i kościół katedralny katolicki, uklęknąwszy i pomodliwszy się przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Ostrejbramie, udał się do Muzeum starożytności. Tu na samym wstępie ofiarowano mu przepysznie oprawione album, w którem na atłasie, złotemi literami wydrukowany znajdował się wiersz polskiego poety, Mickiewiczowskiego towarzysza, Antoniego Edwarda Odyńca, p. t. „Przyjdź królestwo Boże!“ Wśród pochlebstw, przypominających najsmutniejsze czasy panegiryzmu naszej literatury, wśród niesmacznych zachwytów i uniesień, mianujących panowanie Aleksandra IIgo królestwem Bożem, wiersz tak się kończył:

„A wy duchy Jagiellonów,
Pojrzyjcie ku nam z wysokości!
Oto dziedzic waszych tronów,
Waszych myśli i miłości;

Ojciec ludu, pan narodów,
Wchodzi w progi waszych grodów,
Przyjąć dzięki milionów,
Którym wraca godność ludzi,
Przyjąć hołd nie czczych pokłonów,
Lecz serc, których wdzięczność budzi,
Których miłość i swoboda,
Aureolą nad Nim świeci;
On nie wzgardzi, co Mu poda
Jako ojcu grono dzieci.
A wy tam, w niebiosach, ust naszych wołanie
Poprzyjcie modłami waszemi:
Pod berłem niech Jego początek nastanie
Królestwa Bożego na ziemi!"

I wszystko to, o tym „dziedzicu tronu Jagiellonów, ich myśli i miłości" pisało się po sławnem i nigdy niezapomnianem ostrzeżeniu w Warszawie: „żadnych marzeń", po zdaniu w Stutgardzie, że „ośmielono się mówić mu o Polsce", po mowie o „mniemanej narodowości polskiej" w Mińsku! Trzeba było istotnie albo zupełnego zaślepienia, albo braku poczucia wszelkiej godności narodowej, albo też nikczemności duszy i serca, by wystąpić z takim panegirykiem, z takiem krzyczącem uwielbieniem ręki chłoszczącej, z nazwaniem carów rosyjskich dziedzicami Jagiellońskiego tronu! Nie tłomaczy się to ani nadziejami, jakie żywiono co do łagodnego, ludzkiego, liberalnego usposobienia młodego monarchy, ani polityką. Nadzieje mogły nakazywać dobre przyjęcie cesarza w Wilnie, ale nie płaszczenie się przed nim, a niema takiej polityki, któraby kazała zapominać o godności narodowej. To też niegodne wystąpienie Odyńca, i jego popleczników Kirkora, Malinowskiego, Chodźki, wywołało oburzenie i potępienie w kilku sercach szczerych i szczerze polskich. Oburzenie to znalazło wyraz w płomienistym pamflecie znakomitego pisarza emigracyjnego, Juliana Klaczki, który palącemi słowami i nazwą „odstępców" napiętnował literatów wileńskich.

Że na to miano zasłużyli, nikt przeczyć nie może, zwłaszcza, że po Odyńcu wystąpił Chodźko z artykułem

i wydrukował go w miejscowym „Kuryerze wileńskim“. W tonie rażącego, sztucznego patosu, pisze Chodźko, że „są w życiu narodów chwile tak ważne, tak głębokiego na los i odległą ich przyszłość wpływu, tak potężne w skutkach, a tak w porę objawiające się światu, że je nie inaczej, jak za kartę z księgi przeznaczeń wyjętą i w trudnych zadaniach społeczeństwa słabemu rozumowi ludzkiemu ku wspomożeniu daną, uważać należy. Taką chwilą, od Boga dla Litwy zesłaną, jest bezwątpienia obecna! Przybycie Najłaskawszego Monarchy ją zwiastuje, a czas i stan kraju tego wyraźne znamię przeznaczenia dla niej objawia“.

Artykuł swój Chodźko temi słowy kończy: „...tak więc jednym wielkim, jednomyślnym chórem brzmi dziś Litwa cała, uznając historycznym, z przeznaczenia danym i uroczystym dzień ten, w którym stopa Monarchy dotykając jej ziemi, ustala jej losy: dzień, który jest powtórzeniem owego dnia wiekopomnego w dziejach Litwy i ludzkości, gdy uwielbiony między narodami Aleksander Iszy, niosąc ku pomocy Europie miecz swój zwycięzki, gałęzią oliwną obwity, wszedł w te mury za wypartym z państwa Jego nieprzyjacielem, i ustępując głosowi serca swego, modły dziękczynne Bogu za zwycięztwo, a ludom święte słowa pokoju i miłości, najpierwsze tu w Wilnie wyrzec raczył (amnestya powszechna). Tenże sam znowu głos serca wprowadzając tu Aleksanda IIgo, błogosławi dziś tej ziemi na wszelkie dla niej dobro i ośmiela w nadziejach, że swobodniejszą odtąd uprawiana ręką, w tem obfitsze obrodzi się plony; że uszlachetniona praca rolnicza, uszlachetni zarazem pojęcia i uczucia ludzi; że jak promienie w słońcu, od którego pochodzą, tak myśli wszystkich zjednoczą się w wielkiej myśli monarchy, czuwającego nad gwichtem (sic) szali przeznaczeń naszych; że nakoniec szalę tę, potężną jego prawicą trzymaną, miłość dlań nasza, wierność i zaufanie, ku szczęściu Litwy, stale przechylać będą“.

Takie to rzeczy drukowały się wtedy, i w ogólności mówiąc, z wyjątkiem kilku serc i umysłów podnioślejszych, opinia publiczna nie potępiła wcale literatów wileńskich

za te brzydkie pochlebstwa. Jeden tylko Klaczko, w wychodzących w Paryżu „Wiadomościach polskich“, nie przestał chłostać „odstępców“, jakkolwiek tak Chodźko, jak i jego koledzy byli wypływem powszechnego usposobienia umysłów, jeżeli już nie w kraju całym, to przynajmniej na Litwie. Dlatego też wiersz Odyńca i artykuł Chodźki czytano bez oburzenia i bez pogardy, na jaką oba te nędzne elaboraty zasłużyły. Usposobienie było takie, że nawet znakomity tej doby poeta litewski Władysław Syrokomla, szczery i dobry patryota, z domieszką demokratyczności rewolucyjnej, nie sromał się dokonać przekładu na język polski mizernego wiersza, napisanego po rosyjsku przez Pawła Kukolnika, cenzora wileńskiego, na cześć pobytu cesarza w Wilnie, i wydrukować go ze swoim podpisem w „Kuryerze wileńskim“. Oprócz Syrokomli, napisal zacny zkądinąd Akielewicz, wiersz litewski, a młody poeta Wincenty Korotyński, wiersz ruski na przyjazd Aleksandra do Wilna. Jednem słowem, nieomal wszyscy ówcześni literaci litewscy, składali ofiary ze swego talentu na ołtarzu caratu.

Cesarz tymczasem otrzymawszy album, zwiedził Muzeum bardzo starannie i na pamiątki polskie zwracał uwagę. Wychodząc obiecał, co uważano za dowód nadzwyczajnej łaskawości, że syna swego, następcę tronu, zrobi opiekunem Muzeum i Towarzystwa archeologicznego wileńskiego[1]).

---

[1]) W parę miesięcy później, d. 9 Grudnia na nadzwyczajnem posiedzeniu Komisyi archeologicznej, kurator okręgu naukowego wileńskiego, jenerał-lejtnant baron Wrangel wręczył prezesowi tejże Komisyi Eustachemu hr. Tyszkiewiczowi reskrypt następcy tronu tej treści: „cesarz jegomość, najjaśniejszy rodzic mój, raczył dozwolić mnie przyjąć godność opiekuna wileńskiej komisyi archeologicznej, będącej pod Waszą prezydencyą i Muzeum przy niej, któremu wy pierwsi daliście początek. Dziękuję wam i wszystkim członkom Komisyi za ofiarowaną mnie godność, którą przyjmuję z zadowoleniem, życząc z duszy, aby ta nowa instytucya naukowa pomyślnie działała w szlachetnym zawodzie oświaty, przyczyniając się do ściślejszego wzmocnienia węzłów, łączących gubernie litewskie z Rosyą“ i t. d. Reskrypt wydany z Carskiego Sioła d. 15 Października 1858 r.

Były to jednak drobne, że tak powiemy, rzeczy. Z natężonym niepokojem, pełnym zresztą nadziei, oczekiwano na to, co cesarz powie do szlachty, która mu się miała przedstawić.

Mowa ta wszelako, jakkolwiek brzmiała tonem bardzo przyjaznym, nawet serdecznym, to znać w niej było staranne unikanie wszelkich napomknień, mających charakter polityczny. Mówił, że cieszy się, iż może osobiście podziękować szlachcie wileńskiej za udział, jaki brała podczas wojny ostatniej, oraz za gościnność okazaną gwardyi, choć to nie pierwszy raz się przytrafiło. Sam bowiem był świadkiem w r. 1849 jak przyjmowali gwardye. Dziękował następnie za udział, jaki szlachta litewska wzięła w polepszeniu bytu włościan; że ona dała przykład, a cała Rosya poszła za nią. Skończył słowami, bezwątpienia nader pochlebnemi, ale nie mającemi znaczenia, że „bardzo mu miło być otoczonym“ przez tęż szlachtę [1]).

Wszyscy ci, którzy liczyli na to, że mowa cesarza zawierać będzie jakiekolwiek wskazówki polityczne, jakiekolwiek napomknienia o obecnym stanie rzeczy na Litwie i o zamiarach rządu na przyszłość, zawiedli się zupełnie. Cesarz nic nie powiedział; ograniczył się na frazesach, podziękowaniach i lekkich pochlebstwach dla szlachty. Ludzie poważniej na położenie patrzący, usprawiedliwiający nawet przez politykę, przez chęć zyskania sobie cesarza, te

[1]) Oto tekst dosłowny tej mowy, według źródeł urzędowych rosyjskich: „Panowie, bardzo się cieszę (oczeń rad), że mogę wam osobiście podziękować za żywy udział, jakiście brali podczas ostatniej wojny, oraz za gościnność (raduszie), okazaną mojej gwardyi. Ale to dla was nie jest nowem. Sam byłem świadkiem w r. 1849, jakeście przyjmowali gwardyą. Dziękuję wam za serdeczne, gościnne przyjęcie. Cieszę się bardzo, że widzę was tu zebranych i że się między wami znajduję. Dziękuję wam za udział, jaki bierzecie w sprawie polepszenia bytu włościan. Pierwsi daliście przykład i całe cesarstwo poszło za wami. Przekonany jestem, że odpowiecie oczekiwaniom rządu i zawsze we wszystkiem pomagać mi będziecie. Jeszcze raz dziękuję wam za przyjęcie, i powtarzam, że miło mi być otoczonym przez was. Liczę (nadiejuś) na was“.

owacye gorące, jakie mu robiono, te wiersze i panegiryki literackie, zostali zupełnie rozczarowani. Aleksander mówił w tonie przyjaznym, ale nic nie obiecywał, nic nie przyrzekał, a zatem obecny stan rzeczy miał trwać dalej, żadne zmiany w nim zajść nie miały. W rezultacie więc, bytność cesarza w Wilnie dodała tylko nową ilość kwasu do fermentujących już mocno namiętności politycznych, kwasu, który wkrótce buchnąć miał gorzkim wylewem, krwawą rzeką, dzielącą kraj i rząd na dwie wrogie i nieprzejednane strony. W owych jednak dniach wrześniowych, wśród malowniczych murów wileńskich, otoczonych wzgórzami czerwieniącemi się całą krasą cichej i ciepłej jesieni polskiej, nikt jeszcze nie przewidywał, że groźna, ponura postać Murawiewa Wieszatiela już poczyna rzucać cień na jasne blaski carskich odwiedzin.

Na ogół jednak, na tę zawsze liczną i zawsze bezmyślną rzeszę, jaka stanowi większość każdego narodu, słowa Aleksandra łagodnością swego tonu, oddziałały bardzo dobrze. Robiono zatem ogromne, niesłychanie kosztowne przygotowania do balu, który w ogólności pochłonął sumę bajeczną 70,000 rs. to jest blizko pół miliona złotych polskich! pół miliona złożone przez samą szlachę, a zatem zapracowane krwawym potem chłopa litewskiego i ruskiego, rzucono na marne! Pieniądze te powstały ze składki po pięć kopiejek z dymu, jaką szlachta na przyjęcie cesarza na siebie nałożyła. Ale zato bal był świetny; zebrało się na nim przeszło tysiąc osób, samych dam dwieście, błyszczących przepychem strojów i wdziękami szlachcianek litewskich. Bal rozpoczął się polonezem Kurpińskiego. Cesarz bawił się wybornie, a wychodząc uściskał marszałka gubernialnego Domeykę i rzekł mu: „nigdy, nigdy nie zapomnę waszego przyjęcia i gościnności, i wy nigdy nie zapomnicie mojej wdzięczności“. Entuzyazm między szlachtą był tak wielki, że wielu chowało na pamiątkę kieliszki, któremi pili zdrowie cesarza. Niestety! już wtedy zapewne wśród egzotycznych kwiatów, w cieniu cytryn i pomarańcz, zdobiących salę balową, podnosiło się blade widmo Ne-

mezy historycznej i szydersko się uśmiechało z tych zaklęć i przysiąg, z tej wdzięczności, która w pięć lat potem spłacona była szubienicami i Dżengishanowem zniszczeniem Litwy [1]).

Nakoniec dnia 20 Września opuścił Wilno, i w okolicy pierwszej stacyi kolejowej, Kierzanki, zatrzymał się i pojechał na polowanie, urządzone przez hr. Tyszkiewicza, kosztem 25,000 rubli [2]). Zabawiwszy tam parę godzin i uszczęśliwiwszy swą obecnością potomka polskich hetmanów i wojewodów, ruszył do Kowna, gdzie jeszcze tego samego dnia stanął. Tu do gubernatora cywilnego Chomińskiego, Polaka, osobistości bardzo zacnej, odezwał się, że radby więcej widzieć krajowców na wyższych urzędach — i, ostatecznie opuścił Litwę, kierując się ku Warszawie.

Zostawił on po sobie w ogóle w ojczyźnie Witolda, przyjemne wrażenie przez swą osobistość sympatyczną, łagodną, przez swój sposób obejścia, tak różny od żołnierskiej surowości i nieprzystępności Mikołaja, słowem, przez te przymioty, które w oczach bezmyślnych mas, czynią z monarchy ulubieńca tłumów. To też na Litwie zachwycone były pobytem Aleksandra jedynie kobiety, którym prawił komplementa i „dusery“, jak to się wtedy mówiło, do których cichaczem, niepostrzeżenie się umizgał; zachwycona dalej była nim szara rzesza umysłów małych, ciasnych, krótkowidzących, które cieszyły się, że w teatrze

---

[1]) Kończąc z tym balem, opowiedzieć tu musimy zabawną anegdotę, obiegającą wówczas po całej Litwie. W czasie urządzania sali balowej, gdy ktoś powiedział, że dla wynalezienia środka w suficie, w celu powieszenia żyrandola, trzeba poprowadzić przekątnią (dyagonalę), obecny temu jenerał-gubernator Nazimow, zawołał: „czy pan myślisz że w Wilnie dostaniesz dyagonali? Potrzeba ją sprowadzić aż z Petersburga, a na to mało mamy czasu!“ Zdanie to Nazimowa nabiera tem większej niejako ceny i wartości, gdy przypomniemy sobie, że ten człowiek był przez długi czas kuratorem Okręgu naukowego w Moskwie.

[2]) Widoki i sceny z tych, sławnych w swoim czasie na całą Litwę, łowów, utrwaliło „Album wileńskie“ wydane przez I. K. Wilczyńskiego. Ryciny odbijano u Lemerciera w Paryżu.

słuchał polskiej sztuki (Okrężne Korzeniowskiego), arystokratyczni panowie litewscy, których ściskał, zapewniał o swej wdzięczności, przyrzekał dać na opiekuna Muzeum własnego syna, polował w ich dobrach. Ale ludzie trzeźwi, których nie upajały błyszczące pozory, którzy upatrywali pilnie, czy wśród zabaw, uczt, odwiedzin i polowań, nie błyśnie jakaś iskra nadziei lepszej dla kraju doli, wszyscy ci ludzie rozumni, przewidujący, zostali carskim pobytem w Wilnie zupełnie rozczarowani. Nic on nie przyniósł, nic nie ulepszył, niczego spodziewać się nie dozwolił. To rozczarowanie zmienić się z czasem musiało w zniechęcenie, w nieufność między rządzonymi i rządzącym, w nieprzyjaźń wreszcie, której straszne skutki wkrótce obu stronom uczuć się dały. Historya jednak przyznać musi, że wina tym razem wyłącznie na rząd rosyjski spada. On wyhodował ten owoc zatruty i spożywać go musiał i spożywa dotąd.

Dnie 23 Września 1858 r. zjechał Aleksander IIgi do Warszawy, witany zawsze jeszcze radośnie przez ludność, zwiedził sobór prawosławny i po raz pierwszy od swego wstąpienia na tron, katedrę św. Jana, gdzie przyjmował go arcybiskup Fijałkowski, otoczony licznym klerem, i nabożeństwo odprawił. Cesarz stanął w pałacu Belwederskim. Pobyt ten w Warszawie przypomniał Aleksandrowi świetne dni mikołajowskie, gdy ojciec jego zjawiał się w Europie, otoczony tłumem książąt i królów, jako pan ich zwierzchni, jako rozjemca. Przybyli bowiem książę Karol bawarski, książę Fryderyk Wilhelm pruski, Wielki książę Sasko-Wejmarski Karol, przybył nakoniec brat cesarza Francuzów, książę Napoleon. Wśród tego królewskiego, błyszczącego otoczenia, car niedawno pokonany, jeszcze okryty pyłem ruin Sewastopolskich, zdawał się odzyskiwać dawny nimb mikołajowski, znaczenie i przewagę w Europie. Zjazd sam nie miał znaczenia politycznego, nie ułożono na nim żadnego aktu dotyczącego polityki międzynarodowej; była to tylko świetna ekspozycya znaczenia

i potęgi rosyjskiej, jaką carat odzyskiwał po kampanii krymskiej.

Zato ludność warszawska z pewnem zadowoleniem przypatrywała się królom i książętom, którzy zjechali do jej dawnej stolicy. Piękna, cicha, ciepła jesień, dawała sposobność do tłumnych wystąpień na ulice, wrzące niezmiernem życiem, pełne pojazdów dworskich, kapiących złotem oficerów, rozmaitych strojów i uniformów. To też gdy się wieść rozeszła, że dnia 28 Września ma przybyć do Warszawy brat cesarza francuzkiego, ogromne tłumy pociągnęły na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej i przyległe ulice. Ze sfer urzędowych wysłano tylko na przyjęcie Bonapartego, jenerała Wincentego hr. Krasińskiego, jako przedstawiciela dawnej chwały wojennej napoleońskiej, a może jako Polaka, milej zapewne widzianego przez Napoleonidę w stolicy polskiej, niż gdyby to był jaki dygnitarz rosyjski. Gdy się z wagonu ukazała śniada, pyszna, o rzymskim profilu twarz Napoleona, przypominająca aż do złudzenia rysy wielkiego stryja, w tłumach rozległy się się okrzyki: niech żyje Napoleon! a czasem: niech żyje Francya! i okrzyki te brzmiały już ciągle, przez całą drogę aż do Łazienek. Policya nieliczna i dość nierozgarnięta w tę porę, zresztą mająca rozkaz nie występowania zbyt widocznie, mocno była zakłopotana tymi okrzykami i tem przyjęciem. Trudnoż było wprost zakazać, lub aresztować kogoś za to, że okrzykami przyjmuje gościa cesarskiego.

Wiadomość o tych entuzyastycznych okrzykach nie mile uderzyła sfery rządowe rosyjskie. Lękając się z tego powodu jakiej nieprzyjemnej manifestacyi, postanowiono dla królewskich gości dawać przedstawienia teatralne w Pomarańczarni, nie zaś w Teatrze Wielkim. Nie przeszkadzało to jednak, że dni przepędzano wśród ciągłych uczt, balów, przeglądów woiskowych, świetnych illuminacyi w Łazienkach. Nakoniec wszystkie te festyny zbladły w obec polowania, jakie wyprawił dla cesarza i jego gości w Wilanowie August hr. Potocki, który podobnie jak Tyszkie-

wicz, z magnacką hojnością i przepychem wystąpił dla uczczenia swego króla.

Przyjęcie to, które przez jakiś czas było przedmiotem wszystkich rozmów w Warszawie, które zresztą przez ogół polski było dość krzywo widziane, krocie pochłonęło. Dnia 29 Września Aleksander ze swymi gośćmi udał się najprzód do Natolina, gdzie powitany przez gospodarzy chlebem i solą, jadł śniadanie, a potem polował na bażanty w parku natolińskim. Ztąd wieczorem ruszono do Wilanowa na obiad, który się miał odbyć w prześlicznym Jana IIIgo pałacu. Wśród cichego wrześniowego wieczoru, pod niebem zasianem tysiącem gwiazd, oczy wjeżdżających uderzyła najprzód brama tryumfalna, ustrojona w trójkolorowe chorągwie i cyfry cesarskie, a potem sam pałac i park przepysznie uilluminowany. Po wystawnym obiedzie puszczono fajerwerki, które sto tysięcy złotych kosztowały! Augustowa Potocka, typ wielkiej damy, już wówczas bardzo rzadki, robiła honory domu. Jakżeby się była zdziwiła ta pani, przyjmująca w swym pałacu królów i książąt, gdyby wtedy, w ten wieczór wrześniowy, był jej jaki prorok powiedział, że za kilka lat, na rozkaz prostego porucznika, płacić będzie musiała krociowe kontrybucye! Los sprawia niekiedy takie niespodzianki i ludziom i rzeczom.

Gdy ten świetny, błyszczący orszak cesarski wracał do Warszawy, cała szosa obstawiona była kagańcami i służbą, w żółto-granatowej herbowej liberyi Potockich, z pochodniami jarząco oświecającemi drogę cara moskiewskiego. Nazajutrz, na manewrach za Powązkami, znalazły się licznie damy polskie, w bogatych strojach i ekwipażach. Była tam Augustowa hr. Potocka, hr. Branicka, Zygmuntowa Krasińska, Adamowa Potocka, było mnóstwo innych, dodających niezwykłego uroku i blasku orszakowi cesarskiemu, świadczących niejako przed reprezentantem Francyi, że Polacy kochają swego króla, że pogodzili się z położeniem rzeczy, że przyjmują go u siebie, otaczają swemi żonami i córkami, bawią się z nim i biorą udział w jego zabawach.

Dnia 30 Września Aleksander opuścił Warszawę, a z nim cały ten tłum królów i książąt wyruszył do swoich państw, nie zostawiając po sobie żadnego wspomnienia i żadnego śladu swego pobytu w stolicy polskiej. Jeden tylko książę Napoleon dał tysiąc franków na budujący się właśnie wtedy kościół i klasztor panien Maryawitek w Częstochowie. Sam Aleksander niczem nie zaznaczył swego pobytu; zakupił tylko bogatą bibliotekę po zmarłym w roku zaprzeszłym ministrze sekretarzu stanu Turkulle i darował ją Akademii medyko-chirurgicznej. Ogół wreszcie przyzwyczaił się już do tego, że żadne poważniejsze zmiany w kraju nie zachodziły i większość przestała się czegokolwiek spodziewać po cesarzu i Rosyi.

Byli jednak ludzie, którzy widząc ożywczy prąd reform, przebiegający skostniałe ciało caratu, nie tracili nadziei, że cesarz Alaksander zrobi coś dla Polski, byle mu to przypomnieć, byle okazać, że stan obecny jest zgubny tak dla Polski, jak i dla Rosyi i świata całego. Niejaki Michał Łempicki, emigrant z r. 1846, szlachcic z Płockiego, osiadły we wsi Nawrze pod Nowem Miastem (Löbau) na Mazurach pruskich, w r. 1857 napisał do ówczesnego ministra sekretarza stanu Tymowskiego, że chciałby przesłać cesarzowi memoryał o sprawach słowiańskich. Tymowski odpowiedział mu, że może to uskutecznić za pośrednictwem ambasady rosyjskiej w Berlinie. Jakoż Łempicki w Maju t. r. przesłał wskazaną mu drogą obszerny memoryał do cesarza. W piśmie tem, w tonie mistycznego nieco proroctwa, zapowiada on, że świat dąży do rewolucyi socyalnej, która obali wszystkie trony i zburzy cały układ społeczny dotychczasowy; że Rosya w tym kataklizmie upaść musi, bo w Polakach ma wrogów. Wobec tego autor memoryału radzi cesarzowi, żeby ogłosił niepodległość całej dawnej Polski, wszelkie traktaty rozbiorowe uznał za nieważne i połączył Rosyą z Polską unią taką samą, jaką niegdyś ta ostatnia połączyła się z Rusią i Litwą. „Zaiste, woła autor, niewolnik z panem nigdy złączeni nie są, ale mąż z żoną, ale brat z bratem, ale syn z ojcem, ci są złączeni; niechże więc Polska z nie-

wolnicy stanie się siostrą Rosyi, niechże cesarz rosyjski z samowładnego pana Polski stanie się jej ojcem, królem, Jagiellonów spadkobiercą, a wtedy unia Polski z Rosyą spełniona na wzór owej starej unii Korony z Litwą, będzie tak świętą i tak wieczną jak tamta. Najjaśniejszy Panie! dotąd jesteś W. C. Mość panem części Polski z prawa mocniejszego; jest to tytuł niesumienny, więc spokojnego i trwałego posiadania nie zapowiadający; ja śmiem podać W. C. Mości myśl zostania królem całej Polski, rzeczywiście z woli Bożej, objawionej wolnymi, z głębi duszy pochodzącymi głosami narodu. Ta myśl nie jest niepodobną do urzeczywistnienia. Niechaj W. C. Mość wszystkie traktaty, rozbioru Polski dotyczące, uzna za nieważne, a więc wszystkie ziemie, skutkiem tych traktatów do Rosyi zabrane, wróci Rzeczypospolitej; konstytucyę 3go Maja, jako ostatni objaw wolnej woli niepodległego narodu, ze zmianami duchowi czasu odpowiedniemi i z postawieniem dynastyi swojej w miejsce saskiej za prawo obowiązujące ogłosi; wszystkich, którzy dotąd w jakikolwiek sposób dla sprawy narodowej cierpieli, za zasłużonych ojczyźnie uzna; w końcu niech W. C. Mość zażąda aktu wieczystej pomiędzy Rzecząpospolitą a cesarstwem rosyjskiem unii; a wtedy czy znajdzie się na całej polskiej ziemi aby jeden człowiek, któryby całą siłą tej unii nie pragnął? czyż znajdzie się wtedy choć jeden Polak, któryby w sprawie W. C. Mości życia nie łożył? czyż znajdzie się wtedy i potem choć jeden Polak, któryby unii takiej do ostatniej kropli krwi nie bronił? Zdobycze oręża oręż odbić może, zdobycze prawdy są wieczne".

Następstwa takiego kroku, według Łempickiego, będą bardzo doniosłe, a przedewszystkiem wywołają wojnę z Austryą i Prusami, którym cesarz Aleksander winien odebrać ziemie polskie, oswobodzić ujarzmione przez nich ludy słowiańskie, pójść do Carogrodu, postawę świata zmienić... Autor zagłębia się w fantastyczne, niepozbawione pewnej śmiałości marzenia i kończy memoryał taką, pełną patosu apostrofą: „Najjaśniejszy Panie! te słowa moje, słowa nie

moje, ale ducha dzisiejszej epoki, przyjmij nietylko czystym, ludzkim rozumem, ale sercem i sumieniem monarchy, któremu Opatrzność powierzyła ludy mnogie; poczuj w nich głos błagalny cierpiącej ludzkości, abyś stał się dopełnieniem Chrystusa, ostatecznym zbawcą świata".

Memoryał ten, przesłany przez ambasadę berlińską cesarzowi, wywarł na niego pewne wrażenie. Czy to, że odczuwał ducha czasu i sam wierzył w urojenia mistyczne, w opatrznościową swoją rolę, w „dopełnienie Chrystusa i ostateczne zbawienie świata", czy uśmiechała mu się myśl, a może też trafiała w jego głęboko ukryte pragnienia zdobycia całej Polski, stratowania „niewdzięcznej" Austryi, zawieszenia na kopule św. Zofii dwugłowego orła czarnego, dość, że memoryał odczytał i polecił za pośrednictwem ambasady, aby Łempicki, dla bliższego rozjaśnienia zawartych w rzeczonem piśmie idei, stawił się w Warszawie, gdzie cesarz w jesieni zjedzie. Łempicki w rzeczy samej stawił się na to wezwanie, ale spóźnił się i cesarza już nie zastał. Polecono mu więc porozumieć się z Gorczakowem, ale polski szlachcic nie zgodził się na to, pisał jeszcze parę innych w tymże duchu memoryałów, które już przebrzmiały bez echa i rzecz cała na tem się skończyła [1]).

Fakt ten jednakże świadczy wymownie o tych prądach, jakie przebiegały ówczesne lepsze głowy, o tej chęci załatwienia stuletniego sporu między dwoma narodami na drodze pokojowego kompromisu. Jeżeli w Wilnie witano w Aleksandrze następcę Jagiellonów, to i w Królestwie byli ludzie, którzy gotowi byli to samo uczynić, byle mieli pewność, że prawa ich do narodowego i niezależnego bytu będą szanowane.

Po ostatnim wszelako pobycie cesarza w Warszawie

---

[1]) Memoryał pierwszy, w r. 1863, wydrukowała „Gazeta Augsburska", przypisując jego autorstwo Wielopolskiemu. Czy wskutek tego, czy z innych powodów, dość, że w czasie zbrojnego powstania i wynikłej ztąd reakcyi rządowej, zesłano Lempickiego drogą administracyjną do Samary na osiedlenie.

ludzi takich niestety! coraz mniej było. Powoli tracono wszelkie złudzenia, wszelkie nadzieje i w powszechnem usposobieniu umysłów zachodziły poważne zmiany. Kraj począł się zapatrywać na swe położenie surowo, sądzić się jeszcze surowiej. Jakkolwiek pod wpływem nauk rewolucyjnych i bredni poetycznych uważał się za coś moralnie wyższego od innych narodów; nazywał cywilizacyą zachodnią w stosunku do swej, polskiej cywilizacyi, zgnilizną; porównywał się do Chrystusa, rozpiętego przez łotrów na krzyżu, cierpiącego mękę na Golgocie za winy ludzkości, która miała być przez Polskę odkupioną i zbawioną, jednakże fantasmagorye te nie przeszkadzały, że się zastanawiano nad sobą i usiłowano wyleczyć się z wielu błędów i grzechów. Dotychczasowa hulaszczość młodzieży, gorliwie popierana przez rządy Paskiewiczowskie, tracenie majątków na bruku warszawskim na konie, karty, kobiety i dorożkarzy, marnowanie ojcowizn, które wpadały w ręce lichwiarzy żydowskich lub Niemców, poczęło być surowo karconem przez opinią publiczną. Wszelkie tego rodzaju wybryki Warszawa przyjmowała głośnem i powszechnem oburzeniem, które oczywiście powstrzymywało marnotrawników przynajmniej od tego, że już swego rzemiosła rozpustnego nie prowadzili głośno, z tą ostentacyą i wrzawą, jaka dotąd towarzyszyła hulankom młodzieży. Owszem, rozpoczął się teraz ruch, objawiający się nawet w prasie, zachęcający do oszczędności, do liczenia się z wydatkami, do unikania zbytków w strojach i mieszkaniach. Karol hr. Jezierski, syn zmarłego marszałka Jana, wystąpił nawet w „Gazecie warszawskiej“ z pewnym rodzajem proklamacyi, w której w imię miłości ojczyzny wzywał kobiety polskie do zarzucenia strojów kosztownych i zbytków w życiu. Powszechnie powstawano przeciw hucznym zabawom, przeciw życiu nieoglądającemu się na jutro, nieumiejącemu związać końca z końcem, przeciw przysłowiowemu „gospodarstwu polskiemu“, rozrzutności i lekkomyślności. Dziennikarstwo polskie zagraniczne surowo karci teraz zajęcie się gorączkowe Warszawy i jej prasy tea-

trem i sztuką, podnoszenie do godności chwał narodowych aktorek, śpiewaków i baletnic, staranne notowanie dnia i godziny nieomal, w której do stolicy polskiej raczyła zjechać lub z niej wyjechać jaka gwiazda teatralna. Nazywano to bizantynizmem, chorobą społeczną, bardzo złym objawem, obniżeniem się poziomu myśli polskiej. Obchód w r. 1859 z inicyatywy głośnego w tej porze pisarza i krytyka literackiego, żyda Lewestama, jubileuszu Szyllera w kirsze luterskiej, stał się przedmiotem dotkliwych szyderstw i nagan, zupełnie zresztą zasłużonych.

Z drugiej strony, wbrew dotychczasowym tradycyom, począł się wyrabiać całkiem nowy i oryginalny pogląd na kwestyą żydowską w kraju. Pod wpływem zapewne tego bogatego żydowstwa, które w Warszawie coraz wybitniejsze zajmowało stanowiska, które przez swój rozum i pieniądze silny wpływ wywierało na ogół, któremu szło o to, by uzyskać prawa obywatelstwa, zaczęło się wytwarzać przekonanie, że najlepszem, najkorzystniejszem dla kraju będzie zasymilowanie żydów, wessanie w ciało polskie tej krwi czynnej, ruchliwej, zdolnej bez zaprzeczenia, ale też i zepsutej mocno. W Warszawie wówczas było mnóstwo żydów, którzy ten program propagowali i którego bronili. Na ich czele stał znany nam już bankier Leopold Kronenberg, dalej Matyas Rosen, żyd pełen powagi i znaczenia; rodzina Epsteinów, przedmiot nieustannych żartów wszystkich dowcipnisiów miejskich, niemniej przeto nader bogata i wpływowa przez to, że posiadała w swym ręku jedyną w kraju kolej żelazną warszawsko-wiedeńską; Natansonowie, żydzi uczeni i majętni, i mnóstwo innych mniej głośnych i mniej znanych, ale trzymających się solidarnie i popierających wszelkimi środkami i sposobami program asymilacyi. Do nich przymykali Frankiści, żydzi chrzczeni jeszcze za Stanisława Augusta, składający się z rodzin niepospolicie zdolnych, zajmujących w naszem sądownictwie stanowiska poważne, jak Krupińscy, Brzezińscy, Wołowscy i wielu innych. Program ten zresztą popierało całe grono entuzyastów wszelkiego rodzaju, jak sławny w tę porę

lekarz Chałubiński, popierał i Jurgens, który marzył o stworzeniu jednolitego narodu polskiego; popierał, jakkolwiek ostrożnie i nie bez pewnej wewnętrznej odrazy, Andrzej Zamoyski i Klemensowczycy; popierali nakoniec wszyscy ludzie, ulegający ideom liberalnym tej epoki, którzy widzieli w ograniczeniach prawnych i państwowych co do żydów, gwałt zadawany prawom naturalnym człowieka. Ogół, który zawsze zapatrywał się na wszelkie kwestye ze stanowiska polskiego, widział w programie asymilacyi, jeżeli już nie wzmocnienie organizmu narodowego, to przynajmniej zyskanie na swą stronę żydów, żywiołu licznego i zręcznego, który dotąd, we wszystkich powstaniach zachowywał się nieprzyjaźnie i szkodliwie. Z tego też punktu zapatrywali się na tę kwestyą czerwieńcy i spiskowcy, tak że pod tym względem zgoda była ogólną i powszechną, jakkolwiek we wszystkich tych ludziach w gruncie rzeczy pozostał dawny wstręt i niechęć do żydów; zresztą program asymilacyi znajdował chętne ucho tylko w Warszawie, i to między tak zwaną inteligencyą; śród mas, po miasteczkach i wsiach, nienawiść odwieczna trwała w swej mocy pierwotnej i przy lada sposobności wybuchała z siłą wszystko niszczącą. Właśnie w tym czasie mniejwięcej, kiedy w Warszawie serca i głowy uczciwe ale płytkie, marzyły o wessaniu w ciało polskie krwi żydowskiej, rozegrała się jedna z takich strasznych scen nienawiści w miasteczku Turku w Kaliskiem, scena średniowiecznego rozpasania, będąca z jednej strony niejako ostrzeżeniem dla tych, którzy wierzyli w możność zupełnej asymilacyi, z drugiej świadcząca, jak wogóle rząd rosyjski zapatruje się u nas na kwestyą żydowską.

Powód do wzmiankowanych wypadków, jak zwykle w takich razach, był błahy i mało znaczący. W Turku od r. 1833 istniała przy pryncypalnej ulicy Kolskiej niewielka bożnica żydowska murowana, którą właśnie w tej porze miejscowy zarząd bożniczy postanowił odnowić. Lecz ludność chrześcijańska, która oddawna niechętnem okiem patrzała na to, że przy najpiękniejszej ulicy miasteczka

wznosi się świątynia żydowska, poczęła robić starania, by nietylko jej nie odnawiano, ale owszem zupełnie zamknięto. Starania te nie miały skutku i żydzi przystąpili do restaurowania budynku. Oburzone tem drobne mieszczaństwo tureckie, owe „łyki i kulony“, jak ich chłop nazywał, na kilku schadzkach uradzili zupełne zburzenie bożnicy. W tym celu d. 27 Września 1857 r. wieczorem, gdy żydzi z powodu przypadającego nazajutrz sądnego dnia zebrani byli w bożnicy, zgromadzony na umówione hasło tłum robotników, rzemieślników, czeladzi i mieszczan zmusił żydów przez bombardowanie kamieniami do opuszczenia świątyni, wdarł się potem do jej wnętrza, zniszczył ławki i stoły, a rodały podarł i poszarpał. Nie poprzestano jednak na tem. Nazajutrz takież sceny miały się powtórzyć, tylko w formie groźniejszej i lepiej uorganizowanej. Wieczorem zebrał się tłum, przeszło dwa tysiące osób liczący, uzbrojony w oskardy, siekiery, młoty i drągi, i doszczętnie zburzył cały budynek, pozostawiając tylko gruzy. Tym razem żydzi stawili opór, ale oczywiście pobito ich z kretesem, kilkunastu ciężko poraniono i w dodatku splądrowano zupełnie dom jakiegoś żyda, mieszkającego obok bożnicy. Na trzeci dzień miasto wzburzone do głębi, nie mogło się uspokoić i zanosiło się wieczorem na nowe awantury, ale na szczęście z Kalisza przybył kniaź Golicyn z setnią kozaków i żandarmami, i aresztowawszy kilku przywódców, porządek przywrócił.

Wypadki te stały się bardzo głośnymi i zwróciły na siebie uwagę kraju całego. Zwolennicy asymilacyi wypowiadali gorąco swe oburzenie, popierani pod tym względem przez żydowstwo warszawskie; wszyscy zaś ludzie chłodniejsi i dalej patrzący, z łatwo zrozumiałym niepokojem oczekiwali na to, jakie stanowisko w obec tego faktu, zajmie rząd rosyjski. Nie długo na to czekali. Wichrzyciele oddani pod juryzdykcyą Sądu kryminalnego w Kaliszu, zostali uniewinnieni i z więzienia wypuszczeni [1]). Świad-

---

[1]) Żydzi domagali się ukarania wichrzycieli z mocy artykułu kodeksu o świętokradztwie; mówili, że napaść na bożnicę, podarcie

czyło to wymownie, że rząd krzywo patrzeć będzie na wszelkie próby zlania się i zjednoczenia z żydami, że owszem do wzrostu nienawiści rasowej gotów zawsze i wszędzie dopomódz pośrednio i bezpośrednio.

Że rząd Królestwa z tego punktu widzenia zapatrywał się na żydów, dowodzi postawa, jaką przyjął w obec poruszenia tej sprawy przez władze petersburskie. W tymże samym 1857 r., nieomal w tymże czasie, w którym mieszczanie w Turku rozbijali bożnicę żydowską, minister sekretarz stanu Tymowski, zawiadomił rząd Królestwa, że „wolą najjaśniejszego Pana jest, by prawodawstwo, dotyczące żydów w Królestwie Polskiem, było ujednostajnione z prawodawstwem w Cesarstwie", oraz prosił władze warszawskie, by zechciały w tej kwestyi wypowiedzieć swe zdanie. Gorczakow w tym celu ustanowił komitet specyalny, złożony z wyższych urzędników wszystkich Komisyi rządowych (Wosiński od Komisyi sprawiedliwości, Biernacki Spraw wewnętrznych, Moszyński Skarbu). Komitet rzeczony, po dość długo i ospale prowadzonych debatach, wypracował projekt reformy przepisów, dotyczących żydów, reformy opartej na zupełnem ich zrównaniu z ludnością chrześcijańską i zniesieniu wszelkich ograniczeń. Pod tym względem zresztą, przedstawiciele Komisyi kierowali się przekonaniem, że takie są intencye cesarza Aleksandra.

W ten sposób przygotowany projekt, poszedł pod rozpatrzenie Komisyi spraw wewnętrznych, a raczej Muchanowa. Ten, jak zwykle przeciwny wszelkim reformom w Królestwie Polskiem, projekt odrzucił, komitet rozwiązał, i zajął się sam spisaniem odnośnego memoryału. Memoryał ten tchnie głęboką nienawiścią do żydów, i w zasadzie utrzymuje, że żadna reforma nie jest potrzebna w prawodawstwie dotyczącem tej ludności; że oba prawodawstwa, tak rosyjskie jak i polskie, są w gruncie rzeczy jednakowe,

rodałów, podlega temu artykułowi. Skargę tę sąd odrzucił z zasady, że kodeks kar głównych i poprawczych, nie mówi nic o świętościach żydowskich. Sądzono więc mieszczan tureckich, jako zwyczajnych zakłócicieli spokoju publicznego.

że zatem zmiany wszelkie są zbyteczne i przedwczesne. Memoryał ten, pod przemożnym wpływem Muchanowa, został zatwierdzony przez Radę Administracyjną i namiestnika, i przesłany do Petersburga, utrzymał na dawnej stopie stan wyłączności i odosobnienie, w jakiem znajdowali się żydzi w Polsce.

Podczas gdy się to odbywało w sferach rządowych, gdy w Turku rozbijano bożnicę żydowską, wśród ludności krajowej kwestya asymilacyi nie wypłynęła jeszcze na wierzch; jeszcze ona, jak płód w łonie matki tajemniczemi drganiami dający znać o swem istnieniu, żyła we wnętrzu narodu; ale najmniejsza okoliczność mogła ją wyprowadzić na jasność dzienną, spowodować narodziny nowego embryona społecznego. W tej chwili, w zakresie tych aspiracyi, żydzi, zwłaszcza ich arystokracya pieniężna, byli niesłychanie drażliwi i przez tę drażliwość dawali znać w jakim kierunku idą ich pragnienia. Drażliwość ta dochodziła już do tego, że „Gazeta warszawska", organ konserwatywny, czytywany głównie przez szlachtę, musiała się w tym czasie bardzo solennie tłómaczyć, że nie szydzi z żydów, a tym sposobem zamiast popierać zgodę i jedność, jątrzy zadawnione rany i obudza nienawiść. Gazeta powiada, że taki zarzut jej czyniony, jest niesprawiedliwy, że gdyby coś podobnego robiła, popełniłaby ciężki grzech w obec kraju i Boga. Wszelako utrzymuje, że plemię żydowskie w Polsce przedstawia obraz upadku, że gazeta radaby całą duszą je podnieść, i w rezultacie, nim nastąpi zjednoczenie się Polaków z żydami, trzeba, żeby ci ostatni się poprawili [1]).

---

[1]) Niemniej ciekawa z powodu żydów, zawiązała się nieco później, polemika w prasie emigracyjnej polskiej. Polemika ta, jakkolwiek bardzo mało znaną była w kraju, jest jednak tak charakterystyczną, tak dosadnie malującą prądy przebiegające ówczesne umysły polskie, że ciekawsze z niej ustępy przytaczamy tu w całości.

W „Przeglądzie rzeczy polskich", dwutygodniku wychodzącym w Paryżu pod redakcyą Seweryna Elżanowskiego, w zeszycie lipcowym z r. 1858, ukazała się korespondencya z Warszawy, obrzuca-

Te zastrzeżenia, te słowa prawdy, nie mogły się podobać najprzód żydom i przechrztom, a potem tej grupie entuzyastów, którzy śnili o idealnej zgodzie dwóch plemion i o zlaniu się ich ze sobą. Poczęto zatem na gazetę krzywo patrzeć, narzekano na nią, posądzano ją o zdradę, i w ogóle cała kwestya żydowska weszła w takie stadyum, że trzeba było najmniejszej rzeczy, by ją rozognić, z mglistych marzeń, z cienia gabinetów pojedynczych ludzi wyprowadzić na scenę publiczną i postawić jeśli nie jako program narodowy, to przynajmniej jako niezmiernie ważną część tego programu. Bądź co bądź, w każdym razie, w obecnem usposobieniu umysłów, przyczyniała się ona do zaognienia położenia ogólnego w kraju, stawała się je-

jąca żydów wszelkiego rodzaju obelgami i insynuacyami. W obronie ich stanął „Demokrata polski", czasopismo wychodzące w Londynie, pod redakcyą Antoniego Żabickiego. „Dla nas, woła „Demokrata", dwumilionowe żydowstwo w Polsce jest faktem, z którym pogodzić się musimy; warstwą społeczeństwa polskiego, którą jako wchodzącą w dziesiątej części do utworzenia sumy własnych sił, potrzeba skłonić do przyłożenia ręki do wspólnego dzieła narodowego wyzwolenia". „Zapewne Opatrzność zesłała ich umyślnie na ziemię Polski, abyśmy w naszych klęskach narodowych mogli się uczyć z żyjącej księgi dwudziestowiekowej wytrwałości, jak przechować tradycye narodowe, nie upaść na duchu i przetrwać długie i srogie niedole niewoli i uciemiężenia". — „Nie odpychajmy ich zatem wyrzutami wad, za które nielitościwa, barbarzyńska, fanatyczna przeszłość jest jedynie odpowiedzialną, i narzekaniami, które tylko złośliwość, głupota lub nizka zazdrość poddmuchiwać mogą". — „Demokracya polska, która nie widzi zbawienia Polski jeno we własnych usiłowaniach, i ma przed sobą wielką, nieuchronną i konieczną walkę do stoczenia z trzema potężnemi, najezdniczemi mocarstwami, nie może być obojętną na postawę, jaką dwa miliony żydów, wewnątrz polskiego obozu, względem walczących przybrać mogą, i czuje się w obowiązku dziś, podczas prac przygotowawczych, wszelkich dołożyć starań, aby, jeżeli nie uda jej się zrobić z nich sprzymierzeńców przynajmniej nie zamienić ich na szkodliwych nieprzyjaciół".

„Przegląd" odpowiadając na to we Wrześniu t. r. utrzymuje, że „wzbogaceni żydzi warszawscy, nieprzyjaźni narodowości polskiej, a jej wrogom przychylni, jak pijawki wysysają z krajowców mienie. Twierdzenie to faktami tylko, dowodzącymi patryotyzmu wzbogaconych, odeprzeć można; a fakta stanowcze, to praca narodowa,

dnym z motorów agitacyi, która powoli przybierała szersze, bardziej zdecydowane rozmiary.

Pierwszy symptomat tej działalności pojawia się w Petersburgu. Polacy tamtejsi, może nie bardzo chętni gorączkowej i mającej wyraźnie rewolucyjny charakter agitacyi Sierakowskiego i Dąbrowskiego [1]), poczęli myśleć o innem, spokojniejszem, legalnem, a zatem pewniejszem działaniu. Do tej grupy należeli wszyscy poważniejsi, starsi i powiedzmy, rozumniejsi ludzie. Podczas kiedy Sierakowski i jego satelici, marzyli o wywołaniu rewolucyi w Rosyi, i w tym celu łączyli się z Rosyanami, niezadowolo-

---

więzienie, Sybir, wygnanie, ruina majątków za sprawę polską, a nie sława muzyczna, lub nędzne srebrniki przez bogacza dane na utrzymanie pisma (jest tu mowa o „Bibliotece Warszawskiej“, na wydawnictwo której dawali fundusze Epstejnowie a głównie bankier Matyas Rosen). Nędza i poniżenie polskich Izraelitów, to gorzki owoc czasów ubiegłych, który nie uwalnia od obowiązków uważania się za Polaków i pracowania, nie dla osobistego podniesienia się majątkiem, sławą lub dostojeństwy, ale dla tej świętej sprawy, którą obywatel Lubliner tak ukochał, że jej wszystkie chwile i siły życia poświęca“.

Wzmiankowany „obywatel“ Ludwik Lubliner, żyd emigrant z r. 1831, wziął także udział w tej niezmiernie interesującej polemice. Wydał on w miejscu swego zamieszkania, Brukselli, osobną broszurę p. t. „Obrona żydów zamieszkałych w krajach polskich od niesłusznych zarzutów“, którą tak kończy:

„....wzywam żydów, braci moich w religii, aby przestali uważać ogół narodu polskiego, jako prześladowców swoich. Charakter Polaka jest w ogóle wspaniały, serce jego jest ludzkie i tkliwe; język serca zdoła go wzruszyć do największej czułości. Nie zapominajmy nigdy, że nasi przodkowie jedynie w krainach Polski otrzymali przytułek, schronienie, protekcyą królów i szlachty polskiej przeciw motłochowi ciemnemu, podbudzanemu przez fanatyków, bigotów, lub Jezuitów. Jest to prawda historyczna, tak niezaprzeczalna, jak dogmat zasadniczy naszej religii: jedność Boga — *Adonai Echod.* Co się tyczy Polski, przeszłość obfita w wypadki różnego rodzaju, służyć będzie za przewodniczkę przyszłości, nie przez obietnice lub nadzieje, lecz przez czyny, przez rzeczywiste działania; przyszłości, której dążnością powinna być równość praw obywatelskich w różności wyznań religijnych“.

[1]) Pisał się właściwie Dombrowski.

nymi z obecnego porządku rzeczy, i w razie wybuchu tej rewolucyi śnili o oswobodzeniu Polski, — inna grupa miała przed sobą całkiem inne cele. Oni nie chcieli rewolucyi i powstań, nie wierząc stanowczo w ich powodzenie, ale pragnęli tylko polepszenia losu kraju, gnębionego przez rządy wojskowe i ucisk narodowościowy. Zrzekając się, przynajmniej na teraz, wszelkiej niezawisłości politycznej, widząc gwałtowne parcie niemczyzny na ziemie polskie, pragnęli pozostać pod potężną opieką Rosyi, żyć z nią w zgodzie, chętnie dawać jej swą inteligencyą, swą krew i swe złoto, byle ona w zamian szanowała narodowość polską, nie krępowała jej niczem, dozwalała na jej rozwój naturalny wszędzie tam gdzie ona istnieje, czy to nad Wisłą, czy nad Dźwiną lub Dnieprem. Potępiając więc wszelkie powstania i rewolucye, które miały zawsze tylko przywilej pogrążania ojczyzny w większą niedolę, pragnęli wypowiedzieć swe przekonania, odwołać się do braterstwa krwi, do wspólności szczepu, do misyi dziejowej świata słowiańskiego, którego bądź co bądź jedną z najszlachetniejszych, z najcenniejszych cząstek stanowią Polacy. Program ten bardzo rozumny, bardzo chłodny, pozbawiony wszelkiej wielkości, wszelkiego entuzyazmu i poezyi, skazujący Polaków na rolę drugorzędną, na cichą, skromną pracę w zakresie czterech swoich kątów, nie był nowym i obcym dla tych wszystkich, którzy zajmowali się badaniem rozwoju rozmaitych poglądów na sprawę polską. Znano go dobrze i gardzono nim powszechnie w kraju, a wyznawców jego nazywano szyderskiem mianem „petersburskich patryotów".

Ci jednak, osiadli oddawna nad Newą, zajmujący tam po większej części poważne stanowiska urzędowe, patrzący z blizka na potęgę Rosyi, znający ją doskonale, w gruncie rzeczy dobrzy ale chłodni patryoci polscy, nie zważali na szyderstwa, i teraz, gdy kraj cały zdawał się ożywiać, gdy pod tchnieniem nowych prądów, zdawał się drgać, gdy podniosło w nim głowę mnóstwo kwestyi i mnóstwo stronnictw, gdy nawet tu w stolicy caratu, tworzyły się koła

rewolucyjne polskie, wchodzące w cudzołożne związki z nieliczną i niemającą żadnej przyszłości partyą rewolucyjną rosyjską, postanowili i oni wystąpić i przez swą działalność spokojną, jeżeli już nie położyć tamy zgubnym, jak mówili, dążnościom, to przynajmniej paraliżować je, a nadewszystko dla swego programu zyskiwać wyznawców. W tym celu najodpowiedniejszem wydało im się założenie w Petersburgu dziennika polskiego; organu, któryby z jednej strony lał zimną wodę na rozgorączkowane głowy polskie, z drugiej wskazywał, o ile się to da, drogę Rosyi, po której idąc mogłaby szukać stałego i pewnego kompromisu z Polską. Że taka działalność, znając ówczesny stan umysłów w kraju, nie mogła mieć skutku, wiemy dziś dobrze; że na rolę pobitych i myślących jedynie o utrzymaniu swej narodowości, żadne stronnictwo polskie tej doby zgodzić by się nie chciało i nie mogło: że kiedy czerwieńcy marzyli przy pomocy powstania i rewolucyi odzyskać niepodległość polityczną w granicach przedrozbiorowych; kiedy stronnicy pracy organicznej do tego samego dążyli celu drogą wewnętrznego wzmocnienia się i dojrzałości; kiedy nawet Wielopolski i Jezierski chcieli być z Rosyą w związku jedynie przez unią personalną, chcieli mieć tylko wspólnego z nią panującego; — to na program zrzeczenia się wszystkiego pod warunkiem ocalenia samej narodowości, nikt stanowczo zgodziłby się nie chciał. Wierzono wtedy w swoje siły i trudno było wymagać, by mając taką wiarę naród nie wyzwał jeszcze raz Rosyi do krwawego pojedynku, a przytem nie zdawało się nikomu, byśmy w naszej ostatniej reducie, w narodowości byli zagrożeni. Tu nie szło o narodowość, ale o byt polityczny. Zrzeczenie się więc tego ostatniego za nic, gorzej niż za miskę soczewicy, bo za przyrzeczenie, że narodowość będzie szanowaną, kiedy tej narodowości nic dotąd nie grozi, wszystkie stronnictwa uważały wprost za złożenie broni, za oddanie swych atutów, za politykę samobójstwa, i dlatego szydzono i pogardzano programem „patryotów petersburskich“, i nie wchodził on wcale w rachubę w ów-

czesnych kombinacyach polskich. Stronnictwo to zresztą, znajdując się zdaleka od kraju, bardzo nieliczne, już z natury swojej mało na zewnątrz oddziaływające, nie mogło mieć i nie miało żadnego wpływu. Teraz jednak, Polacy petersburscy bacznie śledząc co się w kraju dzieje, przestraszeni ruchem, jaki się tam objawiać począł, zachęceni może reformami, jakie w Rosyi nowy cesarz zaprowadzał, postanowili wystąpić i działać. W tym celu Józefat Ohryzko, Białorusin z rodu, wyższy i bardzo zdolny urzędnik w ministeryum skarbu, osobistość nader wpływowa między Polakami w Petersburgu, mający zresztą swe związki z kołem rewolucyjnem Sierakowskiego, wystąpił z podaniem w połowie 1858 r. do głównego zarządu cenzury o pozwolenie wydawania w języku polskim gazety p. t. „Słowo“. W programie dziennika było najwyraźniej powiedziane, że zadaniem jego będzie zbliżenie Polaków z Rosyanami. Zarząd prasy dał wymagane pozwolenie, Ohryzko wyjechał do Paryża, zwiedził po drodze Warszawę, Kraków, Wrocław, Poznań, Berlin i Bruksellę, pozawiązywał stosunki z emigracyą, wyszukał współpracowników i korespondentów, jednem słowem, chciał swój organ postawić odrazu na stopie europejskiej. Pieniądze na założenie pisma i drukarni dostał od Rosyanki, wdowy Karamzinowej, córki słynnego bogacza Demidowa, której majątkiem dawniej zarządzał, i w jesieni 1858 r. ogłosił prospekt na „Słowo“. W prospekcie tym powiada, że „wybranym został Petersburg na miejsce wydawnictwa z następujących pobudek: tu się skupiają wszystkie administracyjne interesa, tak zwanych zachodnich prowincyi; tu w bogatych księgozbiorach spoczywają drogie zabytki, rzadkie dzieła i rękopisma, których opracowanie nie mały może przynieść dla historyi narodowej pożytek; tu łatwiej niż na całej kraju przestrzeni posiadać arcydzieła europejskie i śledzić ruch europejskiej oświaty pod wszelkimi względami: nauk, sztuk i przemysłu; ztąd nakoniec łatwiej badać stan społeczny Rosyi i dojrzeć wszelkich objawów umysłowego jej życia, którego poznanie jest niezbędnie potrzebne“.

Pojawienie się pisma w stolicy Rosyi z programem, mającym na celu zbliżenie dwóch wrogich sobie i nie znających się wzajemnie narodowości, nie mogło pozostać bez wrażenia nie tylko na sfery literackie, ale i na tych, którzy myśleli o losie kraju. Nowe pismo, jakkolwiek zaledwie dwa razy na tydzień miało wychodzić, zyskało znaczną ilość prenumeratorów, zwłaszcza z Litwy, Podola i Ukrainy, tak, że Ohryzko w początkach 1859 r. mógł zwrócić Karamzinowej pożyczone pieniądze. Krótkie jednak było istnienie „Słowa“. Już w drugim miesiącu, za wydrukowanie listu Lelewela do profesora uniwersytetu petersburskiego Antoniego Czajkowskiego, wzbudziło we władzach rosyjskich do siebie niechęć i podejrzliwość. List był wyłącznie treści naukowej; prostował pomyłki, jakie w tekście Statutu Wiślickiego, wydanym przez Zygmunta Helcla, dostrzegł był uczony historyk polski. Nie szło też o sam list, ale o to, że w piśmie polskiem, wychodzącem w granicach państwa rosyjskiego, ba! w jego stolicy, pod bokiem władzy najwyższej, znalazł się ktoś, co się ośmielił wydrukować nazwisko Lelewela, nieprzejednanego wroga Rosyi, spiskowca, członka niegdyś rządu rewolucyjnego. Świadczyło to zarazem, że Ohryzko jest w stosunkach z przestępcami politycznymi. Numer „Słowa“, zawierający ten list, skonfiskowano, a egzemplarze wysłane na pocztę polecono pozabierać i zniszczyć, Ohryzko zaś dostał surowe napomnienie (strogij wygowor). Sprawa ta jednak w rezultacie zostałaby zapomniana, gdyby „Słowo“ nie wmięszało się w zaognioną mocno w Warszawie kwestyą żydowską.

Powód tego zaognienia, jak zwykle gdy jaka idea leży w łonie czasu, był bardzo drobny, i w innych okolicznościach nie zwróciłby na siebie wcale uwagi. „Gazeta warszawska“, jakkolwiek niedawno uroczyście się wypierała, że nie chce „jątrzyć zadawnionych ran“, jakkolwiek takie postępowanie nazywała „grzechem w obec Boga i kraju“, przecież nie przestawała przy lada sposobności szydzić z żydów, dawać im przycinki, zjadliwie z nich dowcipkować, do czego lud ten, zwłaszcza jego zbogacone sfery,

pełne niesmacznej pychy i pogardy dla tych, którzy są ubodzy, tysiączne dawał okazye. Zdarzyło się właśnie, że do Warszawy w Styczniu 1859 r. zjechała, europejską ciesząca się sławą, Czeszka, Wilhelmina Neruda, wraz z siostrą, obie grające na skrzypcach, i dały koncert. Sala koncertowa świeciła pustkami, co spowodowało „Gazetę warszawską“ do wystąpienia ze zjadliwym artykułem, w którym między innemi powiedziano, że „panna Neruda widać nie posiada łask u pewnej, licznej koteryi, uchodzącej i uchodzić pragnącej za muzykalną. Brak jej (Nerudzie nie koteryi) orlego nosa, cery śniadej, czarnycb włosów i innych cech azyjskiego pochodzenia; nie wymawia *r* gardłowo, nazwisko jej nie kończy się na: berg, blat, kranz, stern lub podobnie, brak jej więc tytułów do poparcia ze strony tego tajemniczego związku, który nasiadł całą Europę a zwłaszcza nas, i trzymając się ściśle, popycha każdego ze swoich, czy to on bankierem, czy tenorem, czy spekulantem, czy skrzypkiem“. Związek ten, według gazety, korzystać umie ze wszystkiego, z reklamy, oklasków, wrzasku, nawet pieniędzy. Pomiędzy brodaczem rzucającym się na paradyzie [1]), a strojną lożą, przebiega tajemniczo myśl jedna: wyniesienie swoich, wyniesienie bezwarunkowe. Wszelki tryumf jednego z nich, czy to on się objawia w rotszyldowskiej kasie, czy w meyerberowskiej orkiestrze, czy w Racheli laurach, jest tryumfem całego plemienia. Ten, który przyszedł po procent, o którym sądzisz, że nic nad swe weksle nie zna, będzie ci mówił o tem z równą chełpliwością, jak światowy jego kolega. „Tej to potęgi, w naszem mieście potęga to prawdziwa, pisze dalej gazeta, nie umiała sobie zjednać panna Neruda; głównego tytułu jej brak“.

Szyderski ten, zjadliwy w najwyższym stopniu artykuł, gazeta kończy anegdotą o jakimś Angliku, który w Roterdamie chciał zakupić mnóstwo akcyi na budowę kanału

---

[1]) Tak nazywają w teatrach warszawskich miejsca najwyższe i najtańsze.

Suezkiego, bo wyczytał w proroctwie Jeremiasza, że gdy międzymorze Suez będzie przekopane, to tym kanałem żydzi wrócą do Egiptu. „Zaczęliśmy szukać w Jeremiaszu, powiada gazeta, ale dotąd nie napotkaliśmy upragnionego wersetu; gdy go znajdziemy, przepiszemy tekst. W każdym razie kanał suezki dziś mniej ma widoków jak kiedyś; pewno żaden potomek tych, co wyszli z Egiptu, nie zechce wrócić do krainy, którą przed 3.000 laty tak niechętnie opuszczali; za naszych miejscowych przynajmniej ręczyć można“.

Artykuł ten wywołał niesłychane oburzenie w sferach bogatego żydowstwa warszawskiego i w partyi Jurgensa. Mówiono, że jest to umyślne jątrzenie dwóch narodów, żyjących na jednej ziemi od wieków, że jest to woda na młyn rosyjski, zdrada kraju, a „Gazeta warszawska“ wzięła pieniądze od rządu, w którego interesie leży podszczuwanie Polaków na żydów i odwrotnie, by tym sposobem łatwiej jednych i drugich mógł pokonać i ubezwładnić. Redaktor gazety, Antoni Lesznowski, zarzucony został anonimami, pełnymi wymysłów, inwektyw, obelg i gróźb, przechodzących nie tylko granice przyzwoitości towarzyskiej, ale nawet uwłaczających ogółowi polskiemu. W niektórych grożono Lesznowskiemu kijami, w innych wprost wypowiadano wtedy nowe, ale później tak pospolite śród inteligencyi żydowskiej zdanie, że gdyby nie żydzi, z Polski dawnoby już śladu nie było, że oni są jedyną jej inteligencyą, jej rozumem i mocą jedyną [1]).

---

[1]) Właściwie Lesznowski otrzymał jeden list bezimienny, ale zato Kenig, współpracownik gazety i autor artykułu przeciw żydom, aż dwa. List do Lesznowskiego był rodzajem ostrzeżenia i pochodził od żyda, który uważał, że artykuł inkryminowany w niczem nie ubliża żydom, owszem, uznając owładnięcie przez nich Polski, daje im przez to niejako świadectwo ich wysokiej inteligencyi; że wreszcie oburzenie objawia się tylko w pewnych grupach żydów warszawskich i że ci niewłaściwie uważają się za reprezentantów całego plemienia. „Dla tego przestrzegam pana — pisał nieznany korespondent — abyś się miał na baczności, gdyż żydzi niemieccy (sic), autorowie listów bezimiennych i podpisanych, na walnej zmowie ura-

Rozwinięto przytem nadzwyczajną agitacyą przeciw gazecie, agitacyą, której rezultat nosił cechę zmowy formalnej. W połowie Stycznia 1859 r. zebrało się 23 młodych żydów, należących do najwybitniejszych rodzin izraeli-

---

dzili pobić pana i pana Keniga i losem wybrać tego, który tak wielkiego czynu ma dokonać. Lecz niejaki Izydor Brüner nie chcąc ludzi żonatych i obarczonych rodziną, narażać na odpowiedzialność, sam się ofiarował i zaprzysiągł wszystkim, należącym do spisku, iż publicznie pana Lesznowskiego po pysku (sic) wybije, a Keniga kijem wywali. Ostrzegam was, miejcie się na baczności".

Kenig otrzymał listy zaraz nazajutrz po artykule w gazecie. Niektóre ustępy w listach tych są wysoce charakterystyczne ze względu na pretensye, jakie pojawiały się już wtedy między żydami warszawskimi. Dla tego, powiada ten dokument, że żydzi nie zebrali się na koncert Nerudy, „już wrzawa, gburowata, ordynarna i śmieszna reklama (!?), robiąca żydom zarzut z cnoty, którą Polak w ustach ciągle nosi, ale której w czyn obrócić nie potrafi, że odznaczających się swoich zbyt usilnie protegują. Gałganie, durniu, korz się przed zaletami żydowskiemi, które, gdyby żydzi mieli wolność kształcenia się bez ucisku, jak ją mają Chrześcijanie, wszelką narodowość blaskiem swym by otoczyły. Padaj na kolana błaźnie! przed wytrwałością plemienia uciemiężonego, które z odwagą nadludzką zwycięzko wyszło z tak licznych i okrutnych prześladowań, wsparte tylko wielkością swej religii i znakomitością swej odwiecznej inteligencyi, która wam dała prawa a nawet Boga, w którego imieniu kłamiecie i któregoście jeszcze pojmować nie zaczęli. Wiedz ty błaźnie, i podobni tobie reprezentanci spodłonej i jezuickiej prasy, że plemię Izraela zniosło inne prześladowania i wytrwało, i że dziś jest prawie jedynym reprezentantem zdrowego rozsądku i miłości Bożej w tym nieszczęśliwym kraju. Wiedzcie zatem upadli tak nizko, że możnaby rozpaczać o przyszłości narodu, gdyby nie pewność prawie, że z łona nieszczęśliwego plemienia żydowskiego powstaną ludzie, którzy będą was uczyć, jak poczciwa prasa na opinią publiczną działa, którzy jako uczeni się odznaczą, rolnictwo upadłe podniosą, przemysł rozkrzewią i literaturę oczyszczą z głogów i cierni ją szpecących. Upadliście tak dalece, że gnębione plemię, które między wami mocą Biblii św., pomimo prześladowania, siłę inteligencyi i serca utrzymało, jedynym zdrowym jest zarodkiem do podniesienia na nowo upadłego kraju. Nic wam głupie nie pomogą drwinki; tam jest działalność i bogobojność; u was zgnilizna, słabość, brak czynności i obłuda. Kłamstwo przed ludźmi i Bogiem. Wasze masy bydlęceją wódką i brakiem oświaty; pojedynczo objawiające się chęci marnieją przed sie-

ckich warszawskich, w mieszkaniu Ignacego Natansona, współwłaściciela fabryki cukru i agronoma, na walną naradę jak sobie postąpić z Lesznowskim i „Gazetą warszawską“. Uchwalono przesłać mu pismo zbiorowe, opatrzone podpisami wszystkich obecnych, i domagające się w formie kategorycznej stanowczego odwołania zarzutów, czynionych żydom w artykule Keniga. Jakoż list taki wystosowano. Między innymi podpisał go: Dr. Ludwik Natanson, redaktor „Tygodnika lekarskiego“, Jakób Natanson, magister uniwersytetu dorpackiego, Henryk Natanson, księgarz i nakładca, Aleksander Lesser malarz, Henryk Toeplitz i Stanisław Kronenberg, naczelnicy domów handlowych, Jan Berson, wspomniany już Ignacy Natanson; Zygmunt Ostrowski, naczelnik zakładu rolniczo-przemysłowego, Maksymilian Fajans artysta litograf, i inni [1]).

W liście tym twierdzili oni, że artykuł gazety nacechowany jest nienawiścią do żydów i lekceważeniem szyderczem „wszystkich krajowców tego wyznania“. Jeżeli

---

cią głupoty i słabizny, któremiście kraj usidłali. Ani jednego zdrowego organu prasy; wszystko przekupne, czy to czystem łapowem, czy pochlebstwem dla przesądów łapiąc biednych abonentów, którzy swoje pragnienia zaspakajać muszą trucizną nędznych pojęć i niekonsekwencyi. Przekleństwo wam, którzy znacie bieg cywilizacyi a kłamiecie! A tobie chłystku, bodajby ci ręka upadła nim wymówisz słowo prześladowania przeciw żydom, którzy mają powołanie odrodzić imię Polski i Chrześcijanizmu w myśli Chrystusa, którąście zdradzali i codzień zdradzacie faryzeusze“ i t. d.

Nakoniec trzeci list, także pisany do Keniga, ma charakter zwykłej bezimiennej napaści ulicznej. Powtarzać go więc nie będziemy.

[1]) W ogóle na liście były 23 nazwiska, jak następuje: Stanisław Kronenberg kupiec; Seweryn Lewenstein komisant handlowy, Zygmunt Ostrowski kupiec, Henryk Toeplitz kupiec, Henryk Nelkenbaum i Aleksander Rosenstein buchalterzy, Mikołaj Epstein ajent bankowy; Dawid Rosenblum korespondent handlowy; Henryk Natanson kupiec, Henryk Lange ajent handlowy, Aleksander Lesser malarz historyczny; Bernard Kohn bankier; Zygmunt Bereus wekslarz; Ignacy, Jakób, Józef, Adam, Szymon, Ludwik Natansonowie; Izydor Brüner kupiec; Jan Berson obywatel; Szymon Dawidson ajent handlowy i Maksymilian Fajans kupiec. W spisie tym znajdowały się nieomal wszystkie wybitniejsze nazwiska żydów warszawskich.

zatem gazeta nie przez lekkomyślność ten artykuł pomieściła, i jeżeli nie będzie chciała przez odwołanie go w formie określonej w ciągu dni ośmiu, donieść, że nie uczyniła tego z namysłem, to da przez to dowód, że rozmyślnie wzbudziła nienawiść przeciw całemu plemieniowi pod płaszczykiem przywiązania do kraju, że postąpiła niegodnie, ze złą wiarą, że miała jedynie na celu zyski materyalne, że zatem działając tak, redaktor jej ma wszystkie cechy człowieka podłego. Do listu tego dołączone było odwołanie, które miała gazeta pomieścić [1]).

Lesznowski listu tego ani odwołania umieścić nie myślał, a tymczasem pisma z pogróżkami ciągle przychodziły. Żydzi umieli sprawie nadać taki rozgłos, że nawet wśród sfer najniższych, wśród żydowstwa chałatowego, wśród sprzedających śledzie za Żelazną Bramą, wieść o wystąpieniu Lesznowskiego się rozniosła, budząc przeciw gazecie i jej redaktorowi oburzenie i wywołując groźby [2]). Mikołaj Epstein, ajent handlowy, jeden z tych co się podpisali na

---

[1]) Odwołanie to brzmi jak następuje: „w gazecie naszej z d. 4 b. m. sprawozdawca tygodniowy, uniesiony zachwyceniem dla talentu panien Neruda, pobratymczych nam Morawianek, upatrzył w nielicznem zebraniu się publiczności na ich pierwszym koncercie, jakiś symptomat zmowy między zamożniejszą klasą żydów, w Warszawie zamieszkałych. Szyderczy ton tego artykułu, odznaczający się nieomal zapomnieniem przyzwoitości publicznej, wywołał między znaczną liczbą szanownych mieszkańców tego wyznania gwałtowne oburzenie, które się w listach, pisanych do mnie objawiło. Zmuszony jestem oświadczyć, że jakkolwiek zawsze wady żydów naszych, równie jak i innych mieszkańców kraju wytykać będę, nie miałem wszakże myśli ubliżyć, ani lekceważyć tej części ludności krajowej i nie przestanę przestrzegać, aby szpalty gazety w granicach poważnej krytyki pozostawały. Warszawa d. 16 Stycznia 1859 r.“

[2]) Między innemi ktoś doniósł Lesznowskiemu pocztą ze stacyi kolei Warsz.-Wiedeń. Rokiciny, że „żyd z pod Skierniewic, będący u kupca żyda, handel win za Żelazną Bramą utrzymującego, pytany był przez ostatniego co do obrazy czyli szykany żydów w gazecie z d. 4 b. m. umieszczonej; odpowiedział ostatni pierwszemu: „nasi złożą 500 tysięcy, będzie mało, milion, i to mało: półtora, i to mało, o dwa miliony i dokażą swego a za pieniądze to wszystko zrobią“.

liście wyżej wzmiankowanym, głośno się odgrażał w jednej z restauracyi, w obec świadków (Karola Kucza, redaktora „Kuryera warszawskiego“; Franciszka Salezego Dmochowskiego, literata; Alojzego Żółkowskiego aktora, oraz niejakiego Juliana Trzcińskiego), że spoliczkuje publicznie Lesznowskiego. Opowiadano po całem mieście, że podpisani na liście ciągnęli między sobą losy, kto ma dokonać zobelżenia czynnego redaktora gazety, i że los taki wyciągnął Izydor Brüner.

Wieści te, prawdziwe czy nie, świadczące jaką potęgą są już w Warszawie żydzi, przestraszyły Lesznowskiego. Według jednozgodnych relacyi udał on się do władzy policyjnej i wszystkie otrzymane listy jej złożył[1]),

---

[1]) Utrzymują to wszystkie źródła drukowane i niedrukowane. W zbiorze p. t. „Sprawa żydowska w r. 1859“, jaki mieliśmy pod ręką, jest jeden list do Lesznowskiego, w którym znajdujemy te słowa: „lepiej być żydem, jak szpiegiem i denuncyantem“. W cyrkularzu nigdy nie drukowanym, który żydzi rozrzucili po mieście, a który poniżej podajemy, wyraźnie czytamy: „redaktor po otrzymaniu listu, unikał honorowych jego konsekwencyi, a w kilka dni później list powyższy znalazł się w rękach policyi. Władza policyjna nader uprzejmie, ale stanowczo kazała oświadczyć podpisanym, że wszelkie zobelżenie osoby p. Lesznowskiego, nadal będzie uważane za czyn uchybiający rozkazom władzy“. W ówczesnych gazetach zagranicznych polskich, rosyjskich, francuzkich i niemieckich, oskarżenie to stale się powtarza. W korespondencyi z Warszawy do „Peterburskich Wiedomosti“ w Lutym 1859 r., napisanej z natchnienia obrażonych żydów, spotykamy taki ustęp: „redaktor, który miał dość odwagi, żeby obrażać ludzi bezbronnych w najświętszych ich uczuciach, nie miał jej w obec męskiego i otwartego wyzwania. Policya została o tem uwiadomiona; oczekują na śledztwo; wtedy żydzi będą mieli sposobność przedstawić swe położenie bezbronne w obec takich napaści“. Podobneż oskarżenia znajdują się w „Nordzie“ i innych pismach peryodycznych. W broszurze J. Lelewela p. t. „Sprawa żydowska w 1859 r. w liście do Ludwika Merzbacha przez... rozważona (Poznań 1860 r.)“ stoi wyraźnie, że „list żydów Lesznowski poniósł oberpolicmajstrowi, który prosił żydów, ażeby się wstrzymali od dalszej na Lesznowskiego napaści“. W broszurze O. Ludwika Lublinera, znanego nam już emigranta, p. t. „Zatargi p. Lesznowskiego, redaktora Gazety warsz. z żydami polskimi“ (Bruksella 1859 r.) takież

jakkolwiek przy rozdrażnieniu obustronnem, przy ogólnem zainteresowaniu się tą sprawą, policya i bez doniesienia Lesznowskiego, musiała się sama przez się o wszystkiem dowiedzieć i złożyć raport Gorczakowowi. Rezultat tego był jak najgorszy: z jednej strony policya zakazała surowo żydom dopuszczania się jakichkolwiek względem Lesznowskiego gwałtów, z drugiej cenzura warszawska otrzymała polecenie nie przepuszczania więcej ani jednego słowa, odnoszącego się do tej kwestyi.

To oczywiście pozornie stłumiło rozdrażnienie, ale nie usunęło go wcale, owszem wzmogło jeszcze bardziej. Lesznowski pierwotnie miał zamiar całą sprawę wytoczyć przed forum publiczne w swej gazecie, i w tym celu przygotował artykuł, który został, zgodnie z rozkazem namiestnika, przez cenzurę wstrzymany. W obec tego redaktor gazety uciekł się do innego środka. Artykuł zabroniony przez cenzurę, rozrzucił w mnóstwie egzemplarzy w odbitkach korekcyjnych po mieście. „....świętym obowiązkiem naszym, woła w tym artykule, jest przestrzegać, by plemię nasze z czasem przez nieoględność swą, a więcej jeszcze przez zabiegi i zręczność waszą, nie wyszło na sługi tych, którzy kiedyś przychodzili tu jako jego słudzy. Nie my to stworzyliśmy istniejący rozdział, nie my go utrzymujemy, ale wy sami. Nie zazdrościm bogactw skupionych w ręku kilkuset lub kilku tysięcy żydów; nie cieszym się wcale z nędzy materyalnej i moralnej, w której gnije niesłychana większość tego plemienia u nas. Ale widząc jak coraz bardziej, skutkiem owej jedności w działaniu, owej potęgi zbiorowej, wszystko z każdym dniem więcej monopolizuje się w żydowskich rękach, wznosimy głos nasz. Pamiętamy o tem, że żydzi, stanowiący dziś

samo oskarżenie na str. 2 napotykamy: „...jeżeli wiadomości mnie doszłe, są prawdziwe, miał on (Lesznowski) nikczemność denuncyować przed dyrektorem policyi rosyjskiej Izraelitę Izydora Brünera, jednego z podpisanych na reklamacyi, że w r. 1849 służył we Włoszech w szeregach powstańców rzymskich, walcząc za wolność i niepodległość Włoch!“

ósmą blizko część ludności naszej, za lat sto stanowić będą jej połowę; nie spoglądalibyśmy nawet na nich, gdyby stosunek ten nie był tak zatrważający. Nie o poniżenie żydów, ale o ochronę naszego ogółu nam chodzi, nie o teraźniejszość już, ale o przyszłość. Zakazy, ograniczenia, bronią jeszcze tu i owdzie, ale ten mur z czasem runąć może, runąć musi, a wówczas co nastąpi? Handel prawie cały, a przynajmniej najgłówniejsze jego części, największa część zyskownych przedsięwzięć, oddawna już nie do nas należy; cały prawie kapitał ruchomy jest żydów własnością; korca zboża, pnia drzewa nie umiemy sprzedać bez żyda, i śmiemy marzyć, że w takim stanie rzeczy zdołamy się utrzymać przy ziemi. Dla tego wołamy o wyswobodzenie się z rąk żydowskich, o wyswobodzenie przez oszczędność od lichwy, przez pracę od faktorów, przez zabiegłość od monopolu. Tak mówiąc, tak działając, nie nasze tylko plemię mamy na widoku, ale i samych żydów. Oburzać to może kilku, kilkunastu lub kilkuset bogaczy, którzy wyssawszy swój pieniądz z pracy innych, monopolizując w swem ręku ruch cały, nie dbają o stan tej niesłychanej większości swego plemienia, nędznej, odartej, wygłodniałej, ciemnej i przesądnej z ich winy, którą, posługując się nią, zostawiają losowi. Bo nie sądzim stanu żydów u nas z Warszawy tylko. Kto wie, czy ta ludność, która przy wszystkich wadach zachowała jednak silnie wiarę swoją, uznaje za swych naczelników tych, którzy nie opuszczając jej, formami życia wyrzekają się tej wiary. W ten tylko sposób oddziałać można na samychże żydów, zmusić do umoralnienia, do pracy więcej produkcyjnej, podnieść ów handel, który, jak tego mamy dowody nawet w postanowieniach, ciągle wydawanych, w ich ręku kontrabandą a szachrajstwem coraz bardziej upada i przestaje być źródłem narodowego bogactwa“.

Żydzi nie pozostali dłużnymi w odpowiedzi. Zaraz po artykule Lesznowskiego, poczęła obiegać po mieście w licznych, rękopiśmiennych egzemplarzach odezwa, tak się kończąca: „rysując nasze oblicza, przedrzeźniając nasze

nazwiska, wytykając nas nieomal palcem, robiąc z nas igraszkę dla złej swawoli, wyrządza nam (Lesznowski) publiczną obelgę, zmusza spokojnych ludzi do gwałtownego upominania się za sobą, a porzucając właściwą zacnym ludziom drogę, nazywa te szyderstwa otwieraniem oczu krajowi, i stara się, fałsz z fałszu wyprowadzając, zrobić z tej sprawy osobistej, sprawę kraju całego. Opinia publiczna długo uwodzić się nie da i pozna się na czczych i napuszonych frazesach. Próżno się będzie stawiał jako męczennik ten, kto nie ma odwagi osobiście swego zdania zastąpić, prędzej czy później śmiesznością okrytym zostanie [1]).

Żydzi jednak nie poprzestali na tem. W osobliwszem rozdrażnieniu, trudnem dziś dla nas do pojęcia, ze zręcznością, właściwą swej rasie, uciekli się do pomocy prasy zagranicznej dla zohydzenia i napiętnowania hańbą śmiałka, który z nich szydzić się ośmielił. W jednej z gazet rosyjskich, wychodzących w Petersburgu, nazwano Lesznowskiego wprost niegodziwcem (niegodiajem) [2]); w czasopi-

---

[1]) W odezwie tej, znajduje się jeszcze następujący, niepozbawiony interesu szerszego, ustęp: „... dowiadujemy się, że p. Lesznowski napisał artykuł w odpowiedzi na list nasz, a nie mogąc uzyskać pozwolenia na umieszczenie go w swej gazecie, puścił go w obieg. Nie tykając wcale kwestyi osobistej, która drogą właściwą, ogół nieobchodzącą, załatwioną być winna, podajemy artykuł p. Lesznowskiego jedynie dla tego, aby wykazać drogi, jakiemi idzie ten pan w sprawach prywatnych; jak z drobnej kwestyi, tylko osobistego honoru jego dotyczącej, starał się, nie zaniedbując żadnego środka, poruszyć wszystkie sprężyny efektów, zrobić ogólną sprawę, kraj cały oburzyć mogącą. Nadzwyczaj nam zależy na zupełnem odłączeniu sprawy pana Lesznowskiego od kwestyi żydów w Polsce, bo o ile opinia ogólna co do tej kwestyi jest dla nas największej wagi, o tyle sprawa z panem Lesznowskim jest małą i przypadkową. Nie zaczepialiśmy p. Lesznowskiego o istotę kwestyi żydów w Polsce, ani nawet o jego osobiste zdanie w tym względzie, ale o nieprzyzwoitą formę, w jakiej się o nas odzywa“.

[2]) Oto ten artykuł. „Gazeta warszawska“, dziennik codziennie tu wychodzący i bardzo czytany, oddawna systematycznie obrzuca obelgami (klenieszczet) żydów. Obrażeni żydzi nie mają żadnego

śmie „Nord", wychodzącem w Brukselli, oskarżono „Gazetę warszawską", że służy ideom wstecznym, że jej redaktor, wyzwany na pojedynek, zamiast stanąć po rycersku na placu, uciekł się do pomocy policyi, która „dystyngowanych" żydów aresztowała. W „Breslauer Ztng." jakiś Fritz napadł w sposób brutalny na Lesznowskiego, a w piśmie „L'observateur belge" (z d. 22 Marca 1859 r.) ukazał się osobny artykuł pod sensacyjnym tytułem: „Prześladowanie żydów w Polsce przez stronnictwo Jezuitów". „...Prasa codzienna warszawska, brzmi ten niegodny paszkwil — nie wstydzi się cofać ku barbarzyństwu i fanatyzmowi wieków średnich, obarczając wściekłą nienawiścią (haine furibonde) i gwałtownemi obelgami liczną ludność żydowską, mieszkającą w Polsce od ośmiu wieków. „Gazeta warszawska", redagowana przez p. Lesznowskiego, jest głównym organem prasy warszawskiej, która nie przestaje głosić prawdziwej krucyaty nienawiści i wytępienia przeciw żydom, których liczba stanowi $^1/_8$ całej ludności polskiej, i co jest potworniejszem, to że uczniowie Ignacego Loyoli okrywają się płaszczem patryotyzmu polskiego, zapalają pochodnię niezgody między mieszkańcami jednego kraju". Opowiedziawszy następnie historyą sporu, dziennik brukselski tak kończy: „Redaktor Lesznowski w swej nienawiści przeciw żydom podsycany jest nietylko przez par-

---

organu, w którymby mogli odpierać obelgi dziennikarza; dlatego zmuszeni byli dotąd milczeć, lub ograniczać się na udzielaniu nieskutecznych rad redakcyi. Artykuł przepełniony zwykłymi złośliwymi dogryzkami i wymyślaniami w jednym z ostatnich numerów tego dziennika, dał powód niektórym znanym żydom do postępku, który najlepiej objaśnia smutne położenie, w jakiem dotąd znajdują się żydzi w Polsce. Ludzie z najlepszych rodzin, odznaczający się wykształceniem i stanowiskiem społecznem, uczeni, doktorzy, fabrykanci, przemysłowcy i t. d. oświadczyli na piśmie redaktorowi „Gazety warszawskiej", że systematyczne obrzucanie obelgami i nieustanne drażnienie fanatyzmu przeciw żydom w gazecie, przezeń wydawanej, uważają oni za czyn niemoralny, i gotowi są wobec takiego postępowania uciec się do środków, których używają ludzie ucywilizowani przeciw obelgom i oszczerstwom".

tyą jezuicką, ale nawet przez obywateli ziemskich, chciwych na podatki wyjątkowe, jakie rząd nakłada na żydów w Polsce; którzy to obywatele, zbogaciwszy się zdzierstwem, podają rękę redaktorowi Lesznowskiemu dla obrzucania żydów obelgami i pogardą, dla osłonięcia sromoty łupu na tych ostatnich zdobytego. Takimi są straszne fakta, które się odbywają w Warszawie, w połowie XIX wieku! Żydzi polscy, nie mając w kraju żadnego organu prasy, którýby chciał ich bronić, zmuszeni są uciec się do prasy innych krajów, dla pokazania światu ucywilizowanemu haniebnego postępowania p. Lesznowskiego i jego adherentów, panów Jezuitów. Życzyćby należało, żeby Polacy chrześcijanie oświeceni napiętnowali czyny p. Lesznowskiego odnośnie do żydów, gdyż prześladowanie religijne, jakie partya Jezuitów roznieca między mieszkańcami jednego kraju, może osłabić sympatyą innych narodów do Polski...“

W tej osobliwszej walce, w której żydzi pociągali przed trybunał opinii europejskiej nietylko Lesznowskiego, ale całą nieomal Polskę, wzięła także udział prasa zakordonowa i emigracyjna polska, jakkolwiek zachowała się z wielkim taktem i spokojem i sądziła rzeczy i ludzi ze stanowiska interesu patryotycznego. „Nieobeznanym z polskimi smutnymi stosunkami wewnętrznymi, pisał „Dziennik poznański“, dziwną zaiste zdawać się może, iż następstwa gazeciarskiego artykułu o koncercie panny Nerudy podnosim do znaczenia zajścia politycznej wagi. Niestety! nie podnosim z własnej ochoty, ale raczej ze smutkiem przyznać sobie musimy, że w istocie tak bizantyńskie zagnieżdżać się już poczęło w Warszawie usposobienie umysłów, że stronnictwa koncertowe, baletnicze, artystyczne i poruszone w ich następstwie namiętności, politycznej nabierają wagi, bo polityczne ciągną za sobą skutki. Jakoż wskutek dopiero co opowiedzianego zajścia, nietylko że Towarzystwo rolnicze, zebrane w Warszawie, biorąc stronę „Gazety warszawskiej“, odrzuciło przystąpić do Towarzystwa pragnących, majętniejszych żydów, ale redakcya „Gazety

warszawskiej“ z jednej, a żydzi z drugiej strony starają się temu sporowi ogólne, zasadnicze nadać znaczenie. Że autor recenzyi koncertowej czynić to usiłuje, pchany bardzo łatwo wytłómaczonem ludzkiem uczuciem, które mu każe bronić słów w recenzyi koncertowej powiedzianych przez wynoszenie ich na stanowisko zasady narodowej, wybornie to rozumiemy, lubo pochwalić nie możem; że ma po sobie większość, a nawet prawie całość dobrodusznego obywatelstwa wiejskiego i masę narodu chwilowem uczuciem osobistem tylko się kierującą, i to rozumiemy. Czego wszelako nie rozumiemy, to jest, żeby „Gazeta warszawska“, ten najgruntowniejszy, najbardziej czytany, najlepszemi chęciami ożywiony dziennik Królestwa Polskiego, w tym jednym punkcie dawał dowód takiego braku rozumu politycznego“. Po tem lekkiem napomnieniu, udzielonem gazecie, „Dziennik poznański“ nakreśla pewien rodzaj programu odnośnie do żydów, programu, który rychło urzeczywistnić się miał. „Być może, powiada, że niezupełnie uspokajającą, ale z pewnością z wszystkich, jakie się nadarzają, solucyi najprostszą, najmniej dla narodu szkodliwą tak moralnie jak materyalnie, jest wsiąknienie stopniowe plemienia żydowskiego w masę narodu. Że organizm każdy nerwowo odpycha obcy sobie pierwiastek, to naturalna; cóż wszelako powiedzieć, kiedy domniemani piastuni rozumu publicznego odpychają tych, co solucyą tę ułatwiając, sami pragną zlać się z narodem tuziemców, obyczaj jego, język, a nawet religią przyjmując?“

I „Wiadomości polskie“ zabrały głos w tej sprawie. Potępiwszy stanowczo postępowanie Lesznowskiego, dochodzą mniej więcej do takich samych, jak „Dziennik poznański“ konkluzyi. „Utworzyła się w Warszawie, piszą, klasa Izraelitów z kultury, majątku, sposobu życia należących do towarzystwa ukształconego; nie dziw, że pragnęliby oni mieć w niem zupełny udział, kosztować wszystkich jego korzyści. Przez to samo, że przyjęli polski język, zasmakowali w polskiej literaturze, nawykli do polskich obyczajów, są już bliżej połączeni z krajem, a mo-

żna wierzyć, że znajdują się między nimi głębiej przywiązani do przybranej ojczyzny, gotowi w danym razie ofiarami okupić imię prawych jej synów. Tymczasem ogólne ich położenie zawsze jest nieswobodne i ztąd drażliwe, jako ludzi nowych. Tu mianowicie trzeba delikatnego taktu, wzniosłego poglądu, czystego pojęcia godności narodowej, żeby poskramiając niesłuszne lub zbyteczne pretensye, nie deptać razem kiełkujących uczuć życzliwych i szczerych. Nie mamy dziś do rozdawania praw politycznych, indygenatów obywatelstwa; obcy i nieprzyjaciele mogą szafunkiem tych darów uprzedzać nas albo i poniżać, ale mamy w skarbcu narodowego ducha, czem niegdyś przewyższaliśmy i obcych i nieprzyjaciół: mamy tam drogie klejnoty ewangelicznego braterstwa dla ludów i ludzi; umiejmy użyć tego bogactwa".

Nawet stary, osiwiały Lelewel odezwał się w tej sprawie i karcił surowo Lesznowskiego. „Bolesna to rzecz, pisał historyk, rozważać, co się tam dzieje; wstydna przed cudzoziemcami, którzy o tem wiedzą". „Zamiast uciszać i koić wzruszenia, gazeta drażni i jątrzy, wytacza towarzyskie i religijne namiętności, rozbudza złośliwy w mieszkańcach jednej ziemi fanatyzm". „...Dajcie się poznać mowie polskiej, jak jesteście w sobie. Wstydem się zapłoną najprzesądniejsi. Umilkną. Otworzy się księga obywatelska. Siła wieku, światło wieku przełamie zawziętości i przesądy". „Przybyszem będzie od wczora przybyły, a jakiegokolwiek wyznania krajowiec, wedle woli swej zapisze się w obywatelską księgę, aby użył pełnych praw cywilnych i politycznych, jakich dziś obywatel polski pozbawiony".

Wobec tego powszechnego potępienia, Lesznowski broniąc się, przedewszystkiem wytoczył 23 podpisanym na liście żydom proces karny o obelgi i pogróżki. Sprawa poszła przed Sąd policyi poprawczej, który wyrokiem, zapadłym d. 28 Kwietnia 1859 r. skazał wszystkich żydów „za rozmyślne obelgi i zagrożenie względem Antoniego Lesznowskiego" na trzy i cztery miesiące więzienia w domu

poprawy, na uroczyste przeproszenie obrażonego przed sądem w wyrazach: „przepraszam za rozmyślne listowne znieważenie pana“, oraz na koszta sądowe w wysokości 106 złp. [1]).

Przeciw napaściom gazet Lesznowski pierwotnie zamierzał bronić się w „Czasie“ krakowskim, ale gdy ten odmówił wszelkiego mięszania się do tej sprawy [2]), redaktor posłał do Petersburga, do „Słowa“ obszerny i nadzwyczaj złośliwy artykuł przeciw żydom, prosząc Ohryzki, by go wydrukował w swem piśmie. W artykule tym opowiedziawszy całą historyą koncertu Nerudy i jego następstw, tak kończy: „hola, moi panowie, grubo pomyliliście się w swojej rachubie. Chcieliście nas znieważyć, a zapomnieliście, że zniewaga, poniesiona w obronie sprawy publicznej, stanie się zaszczytem i dobrego a zacnego obywatela znamieniem; śmieliście żądać odwołań, a utwierdziliście nas tylko w naszych i tak najbardziej stanowczych przekonaniach. Żadne groźby, żadne nieczyste szamotanie

[1]) Treść wyroku jest taka: „Mikołaj Epstein za rozmyślne obelgi i zagrożenie względem Antoniego Lesznowskiego, redaktora „Gaz. warsz.“, z mocy art. 1016, 1039, 157, 141 wstępu 2 i 5 art. 142 K. K. G. i P. na zamknięcie w domu poprawy przez miesięcy cztery; zaś Stanisława Kronenberga i t. d. na miesięcy trzy zamknięcia skazuje“.

[2]) Redaktor ówczesny „Czasu“, Leon Chrzanowski, tak motywował swą odmowę: „umieściwszy odezwę waszą, bylibyśmy mocą ustawy drukowej zmuszeni do zamieszczenia odpowiedzi, którym odpórby dawać należało, a nie byłoby wolno. Wyzwalibyśmy do walki całe dziennikarstwo niemieckie, szczególniej wiedeńskie, będące wyłącznie w ręku żydów. Bo jeżeli żydzi są silni w Warszawie, iż swym wpływem na cenzurę wzbronili wam odezwać się, to daleko większą przewagę mają w Wiedniu. Oto niedawno z powodu uderzenia naszego na nadużycie, popełnione przez żydów w Starym Sączu, stanęły przeciwko nam żydowskie potentaty z połowy Europy, Fuld, Rotszyld, Pereira i t. d. Jeżeli zaś toczy się bój przeciw polskości i Polakom, lub wogóle Słowianom, to Niemcy liczą się za żydów, a żydzi za Niemców; mieliśmy tego przykłady u nas i w Poznańskiem“. Zapewniał, że dla wszelkich odezw ze strony żydów szpalty dziennika będą zamknięte.

się ciemnoty, przesądu i fanatycznej kastowości nie zwróci nas z raz obranej drogi“.

Ohryzko zadość uczynił prośbie Lesznowskiego, list jego wydrukował, zaopatrzywszy go od siebie w dopisek tej treści: „jakkolwiek ironiczne wyrazy „Gazety warszawskiej“ mogły być dotkliwe, broń atoli, której się jęli obrażeni, broń obelg i potwarzy, rzucanych nietylko na redakcyą „Gazety warszawskiej“, lecz nawet na ogół, nigdy nie może być usprawiedliwioną, nawet wobec najbardziej stronniczego sądu“. Ohryzko całkiem niepotrzebnie wmięszał się w sprawę obcą sobie, a nadewszystko postąpił nietaktownie wobec zakazu cenzury warszawskiej. To też rezultat tej burzy spadł wyłącznie na jego głowę.

W tym czasie bowiem, gdy ukazał się ów artykuł w „Słowie“, bawił w Petersburgu i mieszkał w Pałacu Zimowym namiestnik Królestwa, książę Gorczakow, który co rok w Lutym zjeżdżał wraz z innymi wielkorządcami do stolicy państwa, dla otrzymania nowych instrukcyi, lub robienia przedstawień co do takich albo innych zmian w zarządzie podwładnej sobie prowincyi. Przy nim znajdował się naczelny prokurator ogólnego zebrania departamentów rządzącego senatu w Warszawie, Juliusz Enoch, żyd z pochodzenia, człowiek bardzo zdolny, bystry i umiejący wpływać na słaby, miękki charakter namiestnika. Wpływ ten nawet charakteryzowano temi słowy, że w Polsce nikt nie może żyć bez faktora, więc i namiestnik ma swego faktora w osobie Enocha. Znajdował się także wtedy w Petersburgu znany nam już bankier warszawski, Leopold Kronenberg, gorący zwolennik asymilacyi żydów, ztąd niesłychanie oburzony i rozgniewany na wystąpienie „Gazety warszawskiej“.

Gdy się więc ukazał artykuł antiżydowski i w „Słowie“ petersburskiem, oburzenie Enocha i Kronenberga nie miało granic. Ten ostatni płakał ze złości gorzkiemi łzami. Enoch ze swej strony przedstawił całą sprawę Gorczakowowi w ten sposób, że żaden rząd nie jest możliwy w Królestwie, jeśli rozporządzenia namiestnika mają być lekce-

ważone i nieuznawane w Petersburgu przez pierwszego lepszego asesora kolegialnego (taką rangę miał Ohryzko); że należy raz dać przykład i pokazać władzom petersburskim, że namiestnik w Królestwie coś znaczy. Jak każdy charakter miękki i słaby, tak i Gorczakow był niezmiernie drażliwy o swą powagę i władzę. Uległ jezuicko-żydowskim wykrętom Enocha i okazał w tej sprawie niezwykłą stałość i energią. Nie zastanawiając się nad tem, że Ohryzko jest najmniej winnym w tem wszystkiem, że mógł nie wiedzieć o zakazie, wydanym w Warszawie, że nakoniec istotnym winowajcą jest komitet warszawski cenzury, który polecenia, otrzymanego od namiestnika, nie zakomunikował innym komitetom, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie wychodziły dzienniki polskie, — Gorczakow nadzwyczajnie rozdrażniony pobiegł do cesarza ze skargą. Ze zwykłą sobie wrażliwością na rzeczy drobne i małe, zrobił z tej sprawy kwestyą gabinetową, mówiąc, że albo „Słowo" musi być ukarane, albo on poda się do dymisyi z namiestnictwa. Oczywiście tak postawiona kwestya musiała się obrócić na niekorzyść biednego dziennika polskiego. Zaraz na drugi dzień minister oświecenia, Kowalewski, został zawiadomiony osobiście przez Gorczakowa o rozkazie cesarskim zamknięcia gazety „Słowo" i osadzenia jej redaktora w twierdzy Petropawłowskiej na jeden miesiąc. Napróżno Kowalewski, człowiek zimny i rozważny, opierał się temu; napróżno na radzie ministrów za Kowalewskim poszedł Rostowcow i kniaż Dołgoruki; obaj Gorczakowowie, namiestnik i kanclerz, uparcie się domagali, by gazetę zawieszono, a jej redaktora wsadzono do więzienia. Nie dozwolili nawet Kowalewskiemu odczytania memoryału, który on w tej sprawie przygotował. Dość, że „Słowo" zostało zamknięte, a Ohryzko poszedł do kozy.

Fakt powyższy, przypominający swą samowolą najgorsze mikołajowskie czasy i sławne burbońskie *lettres de cachet*, wywołały w sferach inteligencyi petersburskiej i moskiewskiej, a nawet w całem państwie, oburzenie ogólne. Opinia publiczna, poczynająca teraz w caracie nabierać

ogromnego znaczenia, stanowczo i bezwzględnie potępiła to zamknięcie pisma i uwięzienie jego redaktora bez sądu, bez rozpatrzenia winy. Hercen w „Kołokole“ wystąpił z ostrym artykułem przeciw temu gwałtowi, dokonanemu przez rząd na osobie dziennikarza, człowieka zasługującego ze wszech miar na szacunek i w dodatku zupełnie niewinnego [1]). Mówiono głośno, że żadne reformy w Rosyi nie są możliwe i na zawsze pozostaną bezskuteczne, jeżeli wolność osobista obywateli zależeć ma od kaprysu pierwszego lepszego jenerała. Nacisk był tak silny, że cesarz rozkazał w tydzień po zamknięciu uwolnić z twierdzy Ohryzkę, a Gorczakowowi polecił wytłómaczyć się przed komitetem ministrów. Gorczakow sam przestraszony burzą, jaką wywołał, chętnie to uczynił, ale przytem miał wyrzec te prorocze, rychło niestety! sprawdzić się mające słowa: „jeżeli tutaj w ten sposób postępować będziecie panowie, to ja wkrótce będę musiał strzelać w Warszawie kartaczami!“

Pierwsza więc próba stronnictwa polsko-petersburskiego stanowczo się nie udała i była też ona ostatnią. Odtąd stronnictwo to nie występuje wcale na scenę historyczną polską, aż wtedy dopiero, gdy wszystkie usiłowania innych stronnictw rozbiły się i utonęły w ruinie i w morzu krwi polskiej [2]).

Kronenberg przerażony skutkami, jakie co do „Słowa“

---

[1]) Mikołaj Berg (Zapiski o polskich wozstaniach, 155) powiada, że znany autor rosyjski Turgieniew, z powodu uwięzienia Ohryzki napisał list otwarty. Listu tego jednak w zbiorze dzieł Turgieniewa, wydanym w Petersburgu, nie znaleźliśmy.

[2]) Ohryzko robił przez jakiś czas starania o wskrzeszenie „Słowa“, ale napróżno, tak że w Maju musiał zawiadomić swych prenumeratorów o zamknięciu pisma. Pieniądze abonentom albo zwracał w gotówce, albo też, kto tego chciał, ofiarował za nie nową edycyą dawnych praw i konstytucyi polskich, zwanych *Volumina legum,* które w swej drukarni bardzo ładnie i starannie przedrukował. Późniejsi oskarżyciele Polaków z tego przedruku zrobili fakt doniosłości politycznej, mówiąc, że Ohryzko dlatego to uczynił, żeby przyszła Polska miała gotowe prawa.

wywołały jego starania, w gruncie rzeczy dobry patryota polski, widząc, że kwestya żydowska wchodzi na manowce, postanowił walczyć o nią tą samą bronią, jakiej używali przeciwnicy, t. j. za pośrednictwem dziennikarstwa, którego wpływ w owej epoce zbytecznie przeceniano. Wróciwszy z Petersburga, przedewszystkiem mocno zganił młodzieży żydowskiej, że całą sprawę z Lesznowskim przez swój list postawili nieomal na ostrzu noża i pchnęli ją przez to na tory tak niebezpieczne, na jakie wkońcu zeszła; następnie kupił od literata Aleksandra Niewiarowskiego „Gazetę codzienną“, wlokącą nędzny swój żywot z dnia na dzień.

Wieść o kupnie przez bogatego bankiera gazety w tym właśnie czasie, gdy kwestya żydowska weszła w stadyum mocno zapalne, została niechętnie przyjęta przez ogół, który radby był zrobić z żydów Polaków, ale żeby się to bez jego pomocy stało i żeby nie wymagano od niego miłości do rasy całkiem z nim różnej i wstrętnej mu nadzwyczajnie. Nie podobało mu się zatem, że bogaty, jakkolwiek powszechnie uważany za dobrego Polaka, żyd będzie miał w swym ręku organ, w którym znając żydów, podejrzywano, że idea asymilacyi, idea polityczna będzie zajmowała drugorzędne miejsce, a natomiast obrona interesów własnych bankiera i w ogóle spekulacyi żydowskich stanowić będzie zadanie główne gazety. Niechęć ta ku faktowi kupna dziennika przybrała większe rozmiary, gdy się dowiedziano, że na redaktora zaproszony został znany powszechnie pisarz, Józef Ignacy Kraszewski.

Jakoż w rzeczy samej tak było. Kraszewski mieszkał naówczas w Żytomierzu, gdzie pełnił honorowe obowiązki kuratora szkół miejscowych, pędząc zresztą życie ciche, oddane pracy, pisaniu mnóstwa bardzo poczytnych powieści, szkiców i rozpraw. Przez swe dzieła wywierał on znaczny wpływ na ogół i u szlachty, zwlaszcza wołyńskiej, nie cieszył się zbytnią miłością, za to, że w książce p. t. „Wieczory wołyńskie“, postawił pod pręgierzem opinii publicznej jej próżniactwo, nieuctwo, hulaszczość i znęcanie się nad chłopem. W ogóle propagował on idee usamowolnienia

chłopa, i w tej porze napisał w tym kierunku kilka powieści, malujących jaskrawemi barwami ucisk, jakiego ze strony szlachty doznawał lud. Wprzódy jeszcze, nim Kronenberg wezwał go na redaktora „Gazety codziennej“, Kraszewski nosił się z myślą założenia dziennika, robił propozycye hr. Branickim i Leonowi hr. Łubieńskiemu, i dlatego też zaproszenie bankiera warszawskiego było mu bardzo na rękę. Przyjął je bez wahania i program przyszłego dziennika miał być „katolickim bez ultramontanizmu, narodowym i postępowym zarazem, szlacheckim, o ile szlachta jest przewodniczącą do postępu i czynną, ale lud i jego dobro, oraz wszystkich klas społecznych zgodę, porozumienie, miłość i zjednoczenie mającym na celu“.

Mimo programu, który pod wielu względami odpowiadał zamiarom Klemensowczyków i Millenerów, podniósł się krzyk na Kronenberga i Kraszewskiego, krzyk, który „Gazeta warszawska“, lękając się niebezpiecznego współzawodnika, a więc w interesie swej kieszeni, różnemi intrygami podniecała, pokrywając swe zachody płaszczykiem patryotyzmu i dobra ogólnego. Wołano, że Kronenberg chce mieć organ, broniący jego spekulacyi; że Kraszewski, pierwszorzędny pisarz polski, nie uszanował swego dostojeństwa i sprzedał niegodnie swe pióro żydom. Obrońcy, których ludzie bogaci z jednej, a głośni i wpływowi z drugiej strony, zawsze znajdą, twierdzili w odpowiedzi na to, że Kronenbergowi wcale nie idzie o interesa żydowskie, a tem mniej osobiste; że chce tylko, by w kraju była choć jedna dobra gazeta; że nie ma zamiaru, jak niektórzy utrzymywali, zrobienia przy pomocy głośnego imienia redaktora doskonałej spekulacyi na dzienniku, gdyż zaraz z początku wyłożył nań znaczne koszta, które mu ledwie pokryje 5000 prenumeratorów: że zapraszając Kraszewskiego, autora znanego ze swych tendencyi uczciwych i niepodległego majątkowo, chciał dać krajowi rękojmię, że nie szło mu wcale o interesa żydowskie.

Gdy Kraszewski przyjechał do Warszawy i objął redakcyą gazety, zarzucony został listami bezimiennymi, tą

bronią dusz małych i nikczemnych. Pisano mu, że opinia publiczna stanowczo go potępia za to, że się sprzedał żydom, że stał się sługą żydowskim, że wstępuje w ślady dziennikarzy wiedeńskich, którzy są na żołdzie różnych bankierów i banków. Jakkolwiek te zarzuty w gruncie rzeczy były niesłuszne i niesprawiedliwe, bolały one przecież bardzo wrażliwą duszę powieściopisarza. Mimo to zabrał się do pracy i w Sierpniu 1859 r. zawiadomił czytelników, że obejmuje redakcyą, że godłem jego będzie „powoli a stale", że walczyć będzie za prawdę przeciwko fałszowi, nigdy przeciwko indywiduom, że chce, by zadaniem gazety było jasne postawienie kraju przed własnym jego sądem. Pisał, że czem dawniej w społeczeństwie zbudowanem na sile pięści, była arystokracya rycerska, dziś w wieku pracy i przemysłu, jest arystokracya mienia; że jakie dawniej było powołanie kasty zdobywców, dziś jest wszelakiego pochodzenia możnych; te same ciężary i obowiązki przewodnictwa, kierunku, wodzów i naczelników. Słowa te były wyraźnem wypowiedzeniem, że za urodzonych przodowników narodu uznaje tylko ludzi bogatych; że zatem Kronenberg, który należał do najbogatszych w kraju, powinien być jego kierownikiem i rządcą.

Takie zdania oczywiście nie mogły zjednywać sympatyi gazecie i Kraszewskiemu. Zarzucano mu, że stawianie przemysłowców i przemysłu, handlarzy i handlu na świeczniku życia narodowego, jest sprzeczne z tem co dawniej głosił, np. w książce p. t. „Choroby wieku". Bronił się przeciw temu w gazecie dość niezręcznie, że tam mówił o zmateryalizowaniu się społeczeństwa, co jest całkiem różne od programu, jaki stawia.

Bądź co bądź, gazeta sama bardzo zyskała na nowej redakcyi i liczba prenumeratorów rosła. Zwiększywszy w Listopadzie 1859 r. format, już w Lutym 1860 r. liczyła 4000 abonentów; koszta wydawnictwa jednak były tak znaczne, że Kronenberg ciągle dokładał. Główny kontyngens prenumeratorów stanowili atoli żydzi i inteligentne mieszczaństwo; szlachta była ciągle przeciwna gazecie i Kraszew-

skiemu, i ten antagonizm objawił się przy sposobności z wielką siłą i stanowczością.

Gdy bowiem w Lutym 1860 r. odbywało się zebranie ogólne Towarzystwa rolniczego, na które zjechało do Warszawy około 2000 członków, Kraszewski podał się także na członka. Mówiliśmy już jaką moralną doniosłość miało należenie do Towarzystwa rolniczego; dawało ono niejako patent na dobrego obywatela i dobrego Polaka. Bardzo więc jest naturalnem, że i Kraszewski chciał należeć do zgromadzenia, które tem samem niejako broniłoby go przeciw zarzutom i wątpliwościom, jakie czyniono co do jego obywatelstwa. Niestety! zawiódł się pod tym względem bardzo boleśnie i przekonał się na sobie, jak ciężko jest walczyć w kraju chorym i nieszczęśliwym z tem, co się nazywa opinią publiczną.

Podług ustawy każdy kandydat na członka Towarzystwa rolniczego powinien był być przedstawionym przez dwóch członków i balotowanym najprzód na okręgowem, a potem na ogólnem zebraniu. Otóż zebranie okręgowe warszawskie jednomyślnie przyjęło Kraszewskiego na członka; i zdawało się, że to samo zrobi ogólne. Ale tu nieżyczliwi powieściopisarzowi rozpoczęli przeciw niemu bardzo żywą i bardzo czynną agitacyą. Józef Kenig, redaktor „Gazety warszawskiej“ po zmarłym w Październiku 1859 r. Lesznowskim, rozwinął pod tym względem nadzwyczajną działalność. Przyniósł on na posiedzenie Towarzystwa kilkadziesiąt egzemplarzy „Wieczorów wołyńskich“, w których ważniejsze, jaskrawsze ustępy pozakreślane były czerwonym ołówkiem, i rozdawał je obecnym, wyrzekając przytem przeciw owczemu pędowi Towarzystwa, które takiego człowieka jak Kraszewski chce zrobić swoim członkiem; że należy przez jednomyślne odrzucenie jego kandydatury dać mu uczuć, że jest pod strażą opinii publicznej, że źle zrobił łącząc się z żydami i t. p. Rezultatem tej brzydkiej, pokątnej agitacyi było to, że Kraszewski na ogólnem zebraniu dostał aż 140 gałek czarnych, a zatem nie mógł być członkiem Towarzystwa.

Rezultat to dla Kraszewskiego był bardzo bolesny i bardzo dotkliwy bez zaprzeczenia, jakkolwiek wiedziano komu i czemu zawdzięczać go należy. Z drugiej jednak strony, samo Towarzystwo, w czem zresztą nie różniło się ono od wszystkich zebrań wielogłowych, dało przez odrzucenie kandydatury dowód braku konsekwencyi i logiki. Przed dwoma bowiem laty, na pierwszem swem posiedzeniu, jednomyślnie wybrało ono na swego członka Kronenberga. W obec tego, z jakiej racyi odrzucono Kraszewskiego? Ale nie trzeba szukać logiki w zebraniach, złożonych z mnóstwa osób, i w czasach, gdy poczynają się budzić namiętności społeczne i polityczne.

Takı miała przebieg i takie wywołała fakta, w epoce przez nas opisywanej, sprawa żydowska. Epilog jej należy już do innych czasów. Teraz przyczyniła się ona bardzo wiele do rozgorączkowania i tak już rozgorączkowanych umysłów; w sporach i walkach, jakie co do tej sprawy ze sobą toczono, nie szczędzono się wzajemnie; z zaciekłością rewolucyonistów lub fanatyków religijnych obrzucano się obelgami i insynuacyami. W sporach tych wzięła udział i emigracya. Lelewel potępił stanowczo chęć waśnienia mieszkańców jednego kraju; Lubliner wołał: „przestańcie nakoniec poniżać żydów; bądźcie pierwszymi do podania im dłoni bratniej, rozpocznijcie z żydami nowe życie socyalne, oparte na uprzejmości i braterstwie, bo to są jedyne godne środki, aby natchnąć żydów uczuciami i obowiązkami obywatelskimi“. Były to piękne słowa, w gruncie jednak rzeczy, sprawa żydowska w tym czasie, była jednym z objawów tego niezdrowego, sztucznego, gorączkowego życia, jakie obejmowało naród cały po dniach długiego, niespokojnego snu; zdawało się, że ciało Polski leżące przez tyle lat na Prokustowem łożu Paskiewiczowskiem wstaje, wstrząsa się i wyciąga wszystkie swe muskuły zastygłe w nieruchomej i niewygodnej pozycyi. Jeżeli dotąd, tu i owdzie, czy to w Petersburgu czy Moskwie, Kijowie czy Warszawie nareszcie, tworzą się jakie koła, to mają one charakter jeszcze niezdecydowany, brak im

cechy wyłącznie politycznej, celu jasno zdeterminowanego, i są raczej koteryami ludzi znających się ze sobą, którzy od czasu do czasu schodzą się na pogawędkę przy szklance herbaty i cygarze — to teraz koła te i kółka zaczynają się konsolidować, tworzyć organizacyą, myślą o spiskach politycznych.

Mówiliśmy już poprzednio, że w Warszawie do tej pory, prócz bardzo luźnego koła Jurgensa, Millenerów, błądzących dotąd ciągle w zakresie pogawędek i programów, a odkładających akcyą rzeczywistą na czasy oddalone i nieoznaczone bliżej, innych związków politycznych nie było. Ale w ciągu 1858 r. ten stan ulega zmianom. Otwarcie akademii medycznej, nagromadzenie w jej murach młodzieży dorosłej i inteligentnej, zebranej z różnych okolic kraju, musiało koniecznie wywołać utworzenie się jakiegoś ciała, które z jednej strony nadawałoby ton życiu towarzyskiemu młodzieży, z drugiej powoli przemieniało na stowarzyszenie polityczne, jak to zwykle w takich razach się dzieje. Pośród studentów akademii znalazło się kilku ludzi o niepospolitych zdolnościach i charakterach zdecydowanych, zapalonych i gorących patryotów, młodych a więc rewolucyonistów, którzy odrazu wśród swych kolegów zajęli stanowiska dominujące i wpływowe. Do rzędu takich ludzi należał Jan Kurzyna, z przydomkiem Pelszewski[1]), syn ubogiego policyanta w Warszawie i matki akuszerki. Pierwotne swoje wychowanie odebrał w seminaryum pijarskiem w Opolu, gdzie go rodzice umieścili przeznaczając na księdza. Zamiar ten jednak Kurzyna porzucił i przeniósł się do Warszawy, gdzie osiadł samotnie na ulicy Niecałej i oddał się namiętnie nauce i pochłanianiu niezdrowej literatury emigracyjnej i rewolucyjnej. Gdy akademia medyczna została otwarta, zapisał się do niej, zawsze jednak łączyły go z Pijarami jakieś stosunki, gdyż mieszkał wtedy w kolegium pijarskiem na ulicy Jezuickiej.

[1]) Kurzynowie — Pelszewscy należeli do drobnej, zagonowej szlachty, osiadłej w okolicach Tykocina, we wsi Garbowo stare.

Młody, liczył bowiem wówczas zaledwie 23 lata, średniego wzrostu, bardzo przystojny, ztąd ulubieniec kobiet, jasny blondyn z dużymi, białymi wąsami i niebieskiemi, mglistemi, rozmarzonemi oczami, posiadał charakter silny, stanowczy, niepospolitą odwagę i rzutkość. Oczytany, wymowny, wierzący w to co głosił, imponował młodzieży znajomością rewolucyjnego piśmiennictwa polskiego, porywał ją swym zapałem, ogniem, jakim przenikał wszystko, czego się dotknął. Był to jeden z tych charakterów stworzonych na przewodnika stronnictwa, na trybuna ludu, na Sawonarolę jeżeli nie na Katylinę, zmarnowanych niestety! u nas, jak mnóstwo innych zdolności i talentów [1]).

Obok niego znaleźli się inni, mniej zdolni i mniej wpływowi, ale odznaczający się energią i stanowczością, jak: Władysław Jaśniewski, Edward Lisikiewicz i Laurysiewicz. Wszystko to była młodzież dzielna i pełna życia, gotowa do spisków, do męczeństwa za ojczyznę, jak to wtedy mówiono. Pod ich wpływem, a głównie pod wpływem Kurzyny, zawiązało się w akademii, na wzór uniwersytetów rosyjskich „Towarzystwo bratniej pomocy", które na zewnątrz, w obec innych związków, nosiło wprost nazwę: Kółka akademickiego. Towarzystwo miało swój statut, swą kasę, swą bibliotekę, w której główne miejsce zajmowała literatura emigracyjna i rewolucyjna w językach polskim i francuzkim, znajdował się nawet rosyjski „Kołokoł" Hercena. Główny jednak i najpotężniejszy wpływ, wywierały na młodzież pisma Mierosławskiego, między nimi bro-

[1]) Wiadomość podana przez Berga w jego „Zapiskach o polskich wozstaniach", jakoby Kurzyna był synem emigranta i wychowywał się we Francyi, jest całkiem fałszywa. Zdaje się również, że twierdzenie, jakoby był ajentem Mierosławskiego, wysłanym do Warszawy dla podburzania młodzieży, jest bezpodstawnem. Wprawdzie twierdzenie takie wypowiada w swej książce „Zapiski oczewidca", A. Podwysockij, naczelnik tajnej policyi w Warszawie i ze swego stanowiska mogący mieć niejakie wiadomości. Za Podwysockim powtarza to samo Mikołaj Berg. Polskie źródła i relacye, jakie posiadamy, nie mówią o tem wcale, by już w akademii Kurzyna był ajentem Mierosławskiego.

szury, ukazujące się co jakiś czas p. t. „Narodzie, przebudź się!“ W broszurach tych „wódz zmartwychwstały“ zastanawiał się nad możliwością i koniecznością powstania i wzywał młodzież do chwycenia „za oręż Bolesławów i Batorych... za pikę i kosę racławicką... za bagnet grochowski... za działa Bema i Sowińskiego“. Wszystko to czytane było chciwie i oddziaływało niezmiernie silnie na umysły młode, wychowane w ucisku mikołajowskim, kiedy to wyraz ojczyzna, był wymawiany pocichu i z trwogą. Owoc zakazany smakował bardzo dobrze i porywał za sobą młodzież urokiem swobody słowa, malowaniem w jaskrawych barwach niedoli kraju i ucisku wroga. Ta młodzież, która dotąd nie słyszała nic o Polsce i o jej bohaterach, pochłaniała teraz o nich prawdę i nieprawdę, z chciwością człowieka spragnionego pokarmu lub napoju. Dlatego też śmiało rzec można, że spiski u nas przygotowywał zawsze sam rząd rosyjski, przez nierozsądne ukrywanie przed młodzieżą wszystkiego, co się tyczyło jej ojczyzny. Tym sposobem i Kółko akademików powoli, samo nie wiedząc jak i kiedy, stawało się na wskróś rewolucyjnem, gotowem do spisków, ufnem w swe siły, które mogą, jak im się zdawało „pchnąć bryłę świata na nowe tory“, a cóż dopiero wygnać z Polski Moskali i Niemców!

Ten kierunek rewolucyjny i konspiracyjny młodzieży akademickiej nie podobał się i przestraszał Jurgensa i Millenerów. Mieli oni swe wpływy i swe stosunki wśród studentów, Jurgens znał Kurzynę i starał go się uspokoić, ale napróżno. Zapaleniec wprost powiadał, że trzeba dążyć jak najprędzej do powstania, trzeba „dosiąść owdowiałego siodła“ nieomal że zaraz. Jego gwałtowność, jego szalone zdania o natychmiastowem powstaniu, gdy nic do niego nie było przygotowanem, w grupie akademików chłodniejszych, rozsądniejszych, ulegających wpływom Jurgensa i należących przez to do Millenerów, wzbudziły podejrzenie, czy czasem Kurzyna nie jest ajentem rządowym, czyli po prostu szpiegiem. Nikt go przecie nie znał, nikt nie wiedział zkąd się wziął. Młodzież bowiem mniej więcej

żyła koteryami, złożonemi albo z wychowańców jednej szkoły, albo pochodzących z jednej okolicy, dość że się znali wzajem dobrze, a Kurzyna dla wszystkich był obcym, nie należał do żadnej koteryi. Poczęto więc go śledzić, badać jego przeszłość, i wygrzebano, że ma stosunki z jakimś mułłą mahometańskim, który dla muzułmanów i Tatarów, służących w wojsku rosyjskiem w Warszawie, w t. z. pułku czerkiesów, pełnił obrządki religijne ich wyznania. Jakkolwiek Kurzyna łatwo bardzo przed sądem swych kolegów, umyślnie w tym celu zebranym, usprawiedliwił swe stosunki z mułłą tem, że się uczył od niego dawniej języka tureckiego, jednakże podejrzenie to zabolało go bardzo i wyrobiło w nim pewną zgryźliwość i ironią, która mu odtąd jednała mnóstwo nieprzyjaciół. Co jednak najważniejsza, to, że Kółko akademików, kierowane przez Kurzynę, stanowczo zerwało z partyą Millenerów i niehamowane już niczem, dążyło śmiało i otwarcie do wywołania w kraju ruchu.

Znalazło ono podporę w innym związku, złożonym z żywiołów najrozmaitszych, z kancelistów, aplikantów, dependentów, niższych urzędników różnych dykasteryi, młodzieży kupieckiej, szkolnej, mieszczan, nawet księży, który mniej więcej w tej porze się utworzył pod naczelnictwem, że tak powiemy, niejakiego Narcyza Jankowskiego, byłego oficera pułku olwiopolskiego ułanów rosyjskich, rodem z Wołynia, człowieka stosunkowo dość zamożnego, bez wybitnych zdolności, ale gorącego patryoty w znaczeniu rewolucyjnem i gotowego do wszelkich poświęceń.

Przybył on do Warszawy w początkach Maja 1858 r. wprost z Kijowa, z zamiarem zawiązania stosunków między kołami studenckiemi w tem mieście, a temi, jakie istnieją lub powstać mogą w Warszawie. W Kijowie zresztą sądzono, że Warszawa śpi jeszcze, że nic się tam nie robi; głównem więc zadaniem Jankowskiego miało być obudzenie stolicy polskiej i utworzenie w niej koła rewolucyjnego. Sam Jankowski był Mierosławczykiem, jak to

wtedy mówiono, i w uniwersytecie kijowskim należał do grupy studentów wielbiących tego warchoła (należeli tu: Bobrowski, Trąbczyński, Milewicz, Sabiński i inni). Przybywszy do Warszawy, Jankowski dla zapoznania się z młodzieżą, pilnie uczęszczał na prelekcye w akademii medycznej, w szkole sztuk pięknych i w Marymoncie. Wkrótce w jego mieszkaniu, w parterowej, na pół zrujnowanej oficynie, leżącej w głębi dużego podwórza, na rogu ulicy Królewskiej i Mazowieckiej, gdzie wkrótce potem wzniósł się wspaniały pałac Kronenberga, zbierały się co tydzień, na t. z. „herbatę przyjacielską", tłumy rozmaitych ludzi, i wiodły ze sobą rozmowy ożywione, głośne, zawsze nacechowane skrajnym rewolucyonizmem. Zjawiał się tam niekiedy Jurgens, siadał gdzieś w kącie, słuchał, milczał swoim zwyczajem i od czasu do czasu usiłował chłodzić rozpalone głowy; bywali i akademicy, bywali i studenci Instytutu agronomicznego w Marymoncie, szkoły sztuk pięknych, młodzież gimnazyalna, bywał i Kurzyna. W kołach atoli ściślejszych swych przyjaciół, Jankowski otwarcie mówił o potrzebie blizkiego powstania, zbierał składki, najął mieszkanie osobne, gdzie uczył młodzież strzelania do celu, fechtunku i służby frontowej żołnierskiej. Miał stosunki nader obszerne we wszystkich sferach, i począł je nawet nawiązywać z Poznaniem i Krakowem.

Oba te związki: Akademików i Jankowskiego wspierając się wzajem, dodając sobie otuchy, rozgrzewając i współubiegając się ze sobą o jak najszybsze prowadzenie roboty, zdecydowane były na wystąpienie czynne przy pierwszej lepszej sposobności. Wprzódy jednak Kurzyna, Jaśniewski, Laurysiewicz i kilku jeszcze akademików, wybralo się pieszo do Warki, do bohatera nocy listopadowej Piotra Wysockiego, który powróciwszy niedawno za amnestyą z Syberyi, osiadł we wzmiankowanem miasteczku. Szli do niego w pielgrzymce, z podniosłem pragnieniem otrzymania błogosławieństwa z rąk męczennika polskiego, na ciężką, krwawą drogę, z której on już zeszedł, a na którą z kolei rzeczy oni zapuścić się mieli. Ale Wysocki,

człowiek stary, znużony życiem, wygnaniem i istnem męczeństwem, jakie wycierpiał na Syberyi, pragnący jedynie spokoju i ciszy, należnej mu zresztą po tylu przygodach, przyjął ich zimno i z wyraźną obawą przed odpowiedzialnością, jakąby takie odwiedziny mogły ściągnąć na jego głowę biedną i zmęczoną. Do niczego mięszać się, o niczem wiedzieć nie chciał. Wrażenie, jakie wywarł na młodych zapaleńców, streścił później Kurzyna w słowach: „to ruina!“

Nie ochłodziło to jednak młodzieży, która zdecydowaną była do chwycenia się, jakeśmy rzekli, pierwszej lepszej sposobności. Sposobność taką łatwo było znaleść, zresztą sama się ona niejako wkrótce nadarzyła. Szło o to, żeby się przekonać, jakie też jest ogólne usposobienie umysłów w Warszawie? czy długie i męczące rządy Paskiewicza nie wytępiły całkowicie poczucia patryotyzmu polskiego? Trzeba więc było zrobić próbę i przeświadczyć się naocznie jaki jest, jak to wtedy mówiono, duch w kraju.

W dniu 23 Lutego 1859 r. zmarł za granicą, w Paryżu, jeden z największych poetów polskich, najbardziej melancholijna dusza swego czasu, Zygmunt hr. Krasiński, syn jenerała Wincentego, przeżywszy swego ojca zaledwie o trzy miesiące [1]). Mało znany przez współczesnych, gdyż dzieła swoje wydawał bezimiennie, zgasł cicho i bez echa w kraju. Rodzina w dniu 28 Lutego wyprawiła mu w kościele Kapucynów w Warszawie sute nabożeństwo żałobne, które celebrował mianowany w roku zeszłym biskupem sufraganem dyecezyi warszawskiej, ks. Dekert. Cały kościół obito kirem; u katafalka, na szczycie zbiegających się ośmiu kolumn, wznosił się anioł z trąbą, jako symbol sławy, której zmarły, niestety! wcale za życia nie posiadał. Na nabożeństwo zgromadziło się bardzo wiele osób i mnó-

---

[1]) Pogrzeb jenerała Krasińskiego, świetnego niegdyś wodza szwoleżerów gwardyi Napoleona Igo, odbył się dnia 28 Listopada 1858 r. Pogrzeb był pełen przepychu, towarzyszył mu namiestnik, jazda rosyjska i sześć dział.

stwo młodzieży, między którą świeciły głównie kołnierze niebieskie akademików.

Smierć ta, ostatniego ze świetnej trójgwiazdy konstelacyi poetycznej na niebie romantyki polskiej, oraz to nabożeństwo, natchnęło zapewne akademików, czyhających, że tak powiemy na sposobność zrobienia próby, myślą odprawienia nabożeństwa żałobnego za duszę Adama, Juliusza i Zygmunta, t. j. Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Te trzy imiona, łączące ze sobą tyle drogich i patryotycznych wspomnień dla ówczesnego pokolenia, będą, mówiono sobie, najlepszą sondą dla przekonania się o usposobieniu ogółu. Nabożeństwo zamówili w kościele ks. Pijarów, gdzie Kurzyna miał swe stosunki, „krewni, bliżsi i dalsi znajomi", jak powiedziano księdzu, na dzień 18 Marca 1859 r. Nie robiono żadnych ogłoszeń, rozpowszechniono tylko drogą ustną i piśmienną wieść o tem po mieście całem.

Oczywiście gdy wszyscy o tem mówili, wybierając się na ów obchód, dowiedziała się o nim i policya także i doniosła Muchanowowi, jako kuratorowi okręgu naukowego, że studenci akademii urządzają jakieś mocno podejrzane nabożeństwo. Muchanow natychmiast odniósł się do rektora akademii, Cycuryna, żeby zbadał co to takiego i kto z pomiędzy studentów najwięcej się tem zajmuje. Cycuryn zarządził śledztwo i doniósł, że studenci nazywają to nabożeństwem za spokój duszy Adama, Juliusza i Zygmunta, głównymi zaś kierownikami i inicyatorami całej tej sprawy są: Jan Kurzyna i Władysław Jaśniewski.

Tymczasem nadszedł dzień 18 Marca i do kościoła Pijarów na ulicy Świętojańskiej zeszły się tłumy młodzieży i wszelkiego rodzaju osób. Ołtarz pokryto kirem, na środku świątyni wystawiono skromny katafalk czarny. Ledwie atoli zapalono świece przed ołtarzem, gdy nagle służba kościelna zabrała się do sprzątania katafalka i kiru z ołtarza. Między zebraną publicznością zdziwienie było niezmierne, niezadowolenie jeszcze większe gdy się dowiedziano, że policya zabroniła odprawienia nabożeństwa. Przeszło godzinę jeszcze

pozostali wszyscy w kościele, jakby w oczekiwaniu czegoś; w końcu poczęto się rozchodzić z oznakami wyraźnego oburzenia na rząd i policyą. Oburzenie to wypowiedział zaraz potem „Czas“ krakowski w korespondencyi z Warszawy. „Opisaliśmy fakt, odzywa się korespondent, aby wiedziała o nim cała Polska, aby wieść o nim doszła do uszu potężnego Monarchy, pod którego rządem odradza się Rosya, aby dowiedział się, jak słudzy jego u nas nie pojmują myśli jego rządu, jakich dopuszczają się nadużyć. Albowiem pewni jesteśmy, że potężny i szlachetny monarcha, Aleksander IIgi, który pozwolił zabronione poprzednio pisma Mickiewicza drukować, którego poezye sam przed laty z zapałem odczytywał, skarci jak należy takie postępowanie swych urzędników“ i t. d.

Bądź co bądź, jakkolwiek zamierzona przez czerwieńców akademickich manifestacya nie udała się w tej formie, w jakiej chciano, żeby się odbyła, to wszelako przekonano się, że społeczeństwo warszawskie nie jest martwem, że żywi gorące uczucia patryotyczne, że gotowe jest podać rękę i wziąć czynny i tłumny udział we wszelkich objawach ruchu. O to głównie szło czerwieńcom, i z próby swej byli najzupełniej zadowoleni. Jankowski wołał, że policya może sobie przeszkadzać manifestacyom jak jej się żywnie podoba, kraj jest gotów do wzięcia w nich udziału, a co za tem idzie i do powstania. Głupstwem zatem, zbrodnią przeciw ojczyźnie, jej zdradą jest wszelka temporyzacya, odkładanie do dalszych czasów powstania. Trzeba teraz żywo wziąć się do roboty i rozpocząć przygotowania na wszystkich polach do walki zbrojnej o niepodległość. Słowa te nie padały na grunt opoczysty. W młodych fantazyach, źle wychowanych politycznie na utworach poezyi romantycznej i chorobliwej literaturze emigracyjnej, śniły się już trójbarwiste chorągiewki, czerwone krakuski i orły białe zawieszone na wieżycach Kremla....

Z drugiej strony nabożeństwo to przekonało Muchanowa, że w łonie młodzieży akademickiej, coś się tworzy niebezpiecznego dla rządu. Zawsze podejrzliwy, niechętny

akademii, jako znacznemu zbiorowisku młodzieży, znajdował teraz niejako potwierdzenie swych słów, że „jeżeli uniwersytet zostanie założony w Warszawie, trzeba zbudować drugą cytadelę“, i postanowił energicznie wziąć się do wytępienia w akademii żywiołów rewolucyjnych. Nie chcąc jednak w tym celu używać środków gwałtownych, wpadł na pomysł pełen istotnie greckiej perfidyi. Nakazał mianowicie władzom akademickim, ażeby przyspieszyły egzamina podlekarskie, t. j. żeby je zarządziły przy przejściu z kursu drugiego na trzeci, oraz żeby je utrudniły dla wszystkich studentów podejrzanych, którzy tym sposobem będą musieli sami przez się opuścić akademią i „oczyścić“ ją z żywiołów niepotrzebnych.

Nadzwyczajny ten środek dał poznać Kurzynie i jego kółku całemu, że tu nie idzie o egzamina, ale wprost o to, by z akademii usunąć umysły gorętsze. Widząc niebezpieczeństwo grożące nie tyle im samym, ile sprawie, którą reprezentowali, zebrali się akademicy bardzo licznie w Czerwcu 1859 r. w mieszkaniu Kurzyny na ulicy Jezuickiej, i uchwalili po długich i żwawych rozprawach wysłać najprzód deputacyą do rektora Cycuryna z żądaniem odwołania rozporządzenia co do egzaminów, w razie zaś odmowy podać się gremialnie o uwolnienie z akademii. Uchwała ta a raczej postanowienie wkrótce stało się głośnem w mieście, zwłaszcza, że Kurzyna działał tu w porozumieniu ze związkiem Jankowskiego, dla którego tego rodzaju tłumne wystąpienie akademików przedstawiało się jako bardzo poważna manifestacya polityczna. Opinia przytem całego miasta, kobiet i młodzieży stanowczo pochwalała zamiar akademików. Zato Jurgens i stronnictwo Millenerów przeraziło się tym krokiem, narażającym w ogólności sprawę krajową a nie przynoszącym żadnej widocznej korzyści. Dlatego też starał się wszelkiemi siłami zapobiedz postanowieniu młodzieży, zapraszał do siebie studentów, tłomaczył im, że to do niczego nie doprowadzi, że opuszczeniem akademii nie zbawią ojczyzny a przerwą swe studya wtedy, kiedy kraj choruje na brak ludzi wykształ-

ceńszych; że rezultatem ostatecznym ich wystąpienia będzie zamknięcie przez rząd akademii i zatamowanie jedynego źródła naukowego w kraju. Jakkolwiek argumentami swymi każdego potrafił Jurgens przekonać, że zamiar jest niedojrzały i nosi charakter swawoli dziecinnej, przecież oprócz bardzo małej grupy, jakichś kilku akademików, którzy odmówili udziału w zamyślanej manifestacyi, reszta t. j. prawie cała szkoła nie chciała go słuchać, nie dlatego, by nie miał racyi, ale dlatego, że związali się słowem, że się bali jeden drugiego, że Kurzyna i jego poplecznicy wywierali na ogół studentów pewien terroryzm moralny.

Jakoż, pomimo zabiegów Jurgensa i Millenerów, postanowienie swoje wykonali. Gdy deputacya wysłana do Cycuryna, jak przewidywać należało, nic nie wskórała, Kurzyna zwołał ogólne zgromadzenie kolegów na pola Grochowskie, niejako na miejsce uświęcone, po którem słaniały się jeszcze cienie poległych bohaterów polskich. Chciał przez to może nadać więcej uroczystości, więcej wagi decyzyi, jaką by tu powzięto. Dlatego, by policya nie przeszkodziła tak licznemu zebraniu, akademicy udawali się do Grochowa po dwóch lub trzech, różnemi drogami, niosąc ze sobą puszki do herboryzacyi, by tym pretekstem pokryć tłumną wycieczkę. W puszkach tych atoli niesiono papier i pióra, i tam, w pobliżu nieśmiertelnej Olszynki, zredagowano podanie o uwolnienie z akademii, które zaraz większość na miejscu podpisała. Nazajutrz podania te, w liczbie przeszło dwustu, złożono władzom akademickim. Mała tylko grupa, jakichś kilku studentów, nie wzięła udziału w tym kroku, to też później, choć rzecz cała się załagodziła, koledzy uważali ich za „parszywe owce“, nie żyli z nimi, nie znali ich i nie podawali im ręki.

Wrażenie tego postąpienia młodzieży akademickiej w mieście było ogromne. Większość, usposobiona czerwono, chwaliła akademików, kobiety zachwycały się ich śmiałością, nazwisko Kurzyny było na wszystkich ustach. Gazety zagraniczne, zwłaszcza niemieckie, rozgłosily ten fakt. traktując go jako zaburzenie polityczne o bardzo poważnej

doniosłości. Rzecz tymczasem, w skutek zabiegów władz akademickich i profesorów, skończyła się na tem, że młodzież cofnęła swe podania, oprócz kilkunastu zawziętszych czy wytrwalszych, którzy akademią porzucili i udali się na uniwersytety do Moskwy, Kijowa lub Petersburga, niosąc ze sobą wszędzie zarzewia rewolucyi i przyrzekając zachowywanie stosunków z Warszawą.

Przeprowadzone jednak śledztwo urzędowe wykryło, że głównym promotorem całej sprawy był Kurzyna, Jaśniewski i siedmiu jeszcze innych. Tych wydalono z akademii, a prócz tego Kurzyna i Jaśniewski, z rozkazu namiestnika, zostali wysłani z Warszawy, pierwszy do Opola, a drugi do Płocka, i zabroniono im przyjazdu do stolicy. Kurzyna atoli z Opola się wymknął, ukrył się w Warszawie, w mieszkaniu Asnyka, głośnego później poety, na Solcu, zkąd codzień przebrany, w niebieskich okularach, zjawiał się w mieście i uczestniczył w rozmaitych naradach u Jankowskiego i agitował dalej. Gdy jednak policya wpadła na jego trop, koledzy zaopatrzyli go w fundusze, i uciekł do Lwowa, a ztąd do Paryża, gdzie miał, według polecenia koła, zapoznać się z Mierosławskim, i starać się wciągnąć go w bezpośredni stosunek z agitacyą warszawską. Kurzyna zadość temu uczynił i został nawet sekretarzem Mierosławskiego, znikając tym sposobem na jakiś czas z widowni krajowej.

Sprawa akademicka skończyła się, rzec można, na niczem, ale mogła być ona ostrzeżeniem dla rządu, gdyby ten rząd miał oczy i dobrą wolę oszczędzenia krajowi niepotrzebnych i zgubnych klęsk. Załatwiwszy się z akademikami, złożono całą rzecz do akt, nie wejrzano w przyczyny tego kroku młodzieży, nie wyszukano jego źródeł. Gorczakowowi i jego urzędnikom zdawało się, że z uwolnieniem z akademii kilku studentów, z wysłaniem z miasta Kurzyny i Jaśniewskiego, przecięli raz na zawsze korzenie ruchu, i poczęli po dawnemu drzemać na swych krzesłach kurulnych w starym, Zygmuntowskim Zamku warszawskim.

Tymczasem kraj stał już, że użyjemy spowszedniałego

wyrażenia, na wulkanie. Pod ziemią, w głębi ciała narodowego, zbierały się już siły, rozżarzały ognie, które wkrótce miały wywołać szalony, wszystko niszczący ruch. Ludzie rozumni, trzeźwi, szczerze a głównie mądrze miłujący kraj, widzieli już wtedy na co się zanosi, ale czy to przez słabość charakteru, czy przez obawę niezaszkodzenia interesom kraju, o których nikt wtedy nie miał jasnego pojęcia, milczeli i usuwali się na bok i pozwalali młodzieży działać. Młodzież ta, przez właściwą wiekowi swemu energią i zuchwalstwo, nie zważała na uwagi lękliwe starszych, właśnie dla tego nie wpływające na nią, że lękliwe, i szła dalej, spiskowała i kopała grób ojczyźnie. Pod tym względem znajdowała poparcie w kobietach, zawsze niezmiernie wpływowych w Polsce, a teraz może więcej niż kiedykolwiek. Patryotyzm gorący, czerwony, spiskujący i manifestujący się, stał się modnym po tych licznych salonach i salonikach, w jakie obfitowała ówczesna Warszawa, i w jakich królowały słynne ze swych wdzięków i swej inteligencyi Warszawianki. Pod ich wpływem młodzież zawsze gorąca i nieopatrzna, stawała się jeszcze goretszą i nieopatrzniejszą, i nieraz, przez chęć uchodzenia w oczach kobiet za bohaterów, dla zyskania ich pochwały, uśmiechu lub słodkiej obietnicy, rzucała się na oślep w wir, który nie tylko ich samych miał porwać i pogrążyć w przepaść ale i cały, niestety! kraj.

Z drugiej strony rząd rosyjski w Królestwie, ze swym naczelnikiem starym, chorym, chwiejnym, roztargnionym i leniwym Gorczakowem, choć widział niebezpieczeństwo, choć sam namiestnik miał jakby przeczucie strasznych późniejszych scen, i mówił o strzelaniu kartaczami w Warszawie, jednakże nic nie robił, by temu zapobiedz, by złe w zawiązkach zniszczyć, by nakoniec zainicyowaniem dobrze obmyślanych reform, odjąć powód do zaburzeń.

Na nieszczęście Polski w tym właśnie czasie, gdy umysły w niej wrzały, gdy kwestya chłopska, sprawa żydowska, nieurzeczywistniające się nadzieje, jakie pokładano na młodym cesarzu rosyjskim, zaogniały rany i stan cho-

roby chronicznej zamieniały w zapalny, na zewnątrz kraju, wypadki w Europie zaczęły przybierać taką postać, że najszaleńsze nadzieje polskie zdawały się być nietylko usprawiedliwionemi, ale blizkiemi urzeczywistnienia. Wszystko więc złożyło się na to, i rzeczy i ludzie, by nieszczęśliwą Polskę pchnąć na drogę Dantejską, na piekielny gościniec zatracenia.

Przypatrzmyż się teraz poszczególe tym wypadkom i rozwojowi tej gorączki okropnej, jaka od kilku lat owladała powoli Polską, by wkrótce zamienić się w nieustający paroksyzm, niszczący żywotność kraju i jego przyszłość. Zobaczymy jak z małej chmury, kryjącej się dotąd gdzieś w głębi przestrzeni, poczyna się zrywać burza pełna gromów i błyskawic. Tak w Alpejskich górach, drobna bryłka śniegu staczając się po pochyłości, rośnie coraz bardziej, by w końcu runąć potężną lawiną i zdruzgotać wszystko i ludzi i zwierzęta i pola i lasy.

ROZDZIAŁ IV.

Pierwsze manifestacye.

Towarzystwo rolnicze i domy zleceń. Rząd dozwala Towarzystwu zastanawiać się nad oczynszowaniem włościan. Projekt Wielopolskiego odrzucony przez Komitet Towarzystwa. Mowa Zamoyskiego przy otwarciu posiedzeń Towarzystwa. Agitacya przeciw Towarzystwu i reskrypt Muchanowa. Interpelacya Niegolewskiego w sejmie pruskim. Wojna włoska i jej wpływ na umysły. Podróż cesarza na Ukrainę i Podole. Stan kwestyi włościańskiej tamże. Adres szlachty podolskiej i jego los. Cesarz w Warszawie. Karol Majewski. Usiłowania Jankowskiego zlać wszystkie koła w jedno. Pierwszy Komitet p. n. „Kapituły warszawskiej". Aresztowanie Jankowskiego. Ruch młodzieży w Krakowie. Pogrzeb jenerałowej Sowińskiej. Manifestacya z tego powodu. Śledztwo i rezultaty tej manifestacyi. Agitacya rewolucyjna. Zjazd w Warszawie trzech monarchów. Odezwa Komitetu. Cesarz w Wilnie. Przyjazd do Warszawy i asafedyta w teatrze. Wykradzenie Austryjakom papierów na kolei. Polewanie sukien kwasem siarczanym. Afisze teatralne. Rozpadnięcie się komitetu. Przybycie Godlewskiego do Warszawy. Nominacya Trepowa na oberpolicmajstra. Manifestacya d. 29 Listopada przed kościołem Karmelitów na Lesznie. Nabożeństwo u Bernardynów. Stan umysłów w mieście. Hr. Kossakowski w teatrze. Żądania Czerwonych. Ogólny rzut oka na przebieg pięcioletnich wypadków. Zakończenie.

Wśród tej agitacyi podziemnej, której obraz co chwila zmieniający się, opisaliśmy powyżej, Towarzystwo rolnicze, kierowane zręczną i wytrawną dłonią Klemensowczyków, coraz poważniejsze zajmowalo stanowisko w kraju, ogarniało wszystkie jego organa i powoli na zewnątrz przedstawiało się jako istotna reprezentacya krajowa i jako

siła, z którą liczyć się należy. Pominąwszy już zakres czysto rolniczych zajęć, Towarzystwo, jakeśmy to wspomnieli, zakładało szkoły wiejskie, po miastach ochronki, przez co liczyło na to, że uda mu się zyskać znaczny wpływ na chłopów i mieszczaństwo uboższe, i starało się wszelkiemi siłami podnieść kredyt rolniczy i w ogóle stan materyalny kraju. Z jego to inicyatywy w r. 1859 powstał pierwszy tak zwany „Dom zleceń rolników płockich", założony na akcyach przez szlachtę płocką, który, chcąc wydobyć handel zbożem i produktami rolniczymi z rąk drobnych przekupniów i pośredników żydowskich, brał od ziemian zboże, dawał na nie zaliczki i sam trudnił się jego sprzedażą. W tej porze właśnie liczono bardzo wiele na takie domy zleceń, złożone ze samej szlachty i najświetniejsze na nich budowano nadzieje. Marzono, że z czasem staną się bankami rolniczymi. Wkrótce za przykładem Płocczan poszły inne prowincye kraju, i w ciągu 1860 r. powstały takie stowarzyszenia w Lubelskiem, w Kieleckiem, Kaliskiem, Augustowskiem, Siedleckiem i na Kujawach (we Włocławku). W ogólności jednak domy te, kierowane przez ludzi niefachowych, ciężkie w swych operacyach, mało rzutne, nie przyniosły stowarzyszonym tych korzyści, na jakie rachowali, a gdy potem przyszły smutne wypadki krajowe, domy te po kilkuletniej kulawej egzystencyi musiały się zlikwidować. Wszelako teraz stanowiły one jeden z motorów ożywienia powszechnego, świadczyły o tym ogromnym ruchu umysłów, jaki się objawiał we wszystkich gałęziach życia narodowego. Po szkółkach wiejskich, które zakładano wszędzie i które rosły w liczbę, uczyła dzieci chłopskie młodzież dworska, córki i synowe dziedziców, zakładano wspólne biblioteki, czytano wiele, rozprawiano jeszcze więcej. Zachęcano się, współubiegano w działalności, mającej na celu dobro kraju; modą się stało żyć skromnie i oszczędnie. Podczas Lutowego zebrania Towarzystwa rolniczego w r. 1859, szlachta przybyła do Warszawy, mieściła się po dwóch, po trzech w jednym numerze hotelowym, unikała wydatków, tak, że to zwróciło uwagę „Gazety warszawskiej",

która w słowach pełnych entuzyazmu mówiła o tym całkiem w Polsce nowym objawie. Reporter gazety ujrzał w bufecie Towarzystwa tylko jednę butelkę porteru i dwie butelki wina czerwonego, i o tym fakcie uznał za stosowne ogłosić światu dla wiadomości wszystkich, jak szlachta polska stała się oszczędna i skromna. Na uroczystym obiedzie w hotelu Europejskim, jaki sobie członkowie Towarzystwa co rok wyprawiali, wypito tylko dwie butelki szampana, kiedy dawniej, choćby przed rokiem jeszcze, kosztowne to wino lało się strumieniami. Ten nagły zwrot w usposobieniach ogółu, zbyt nagły, by miał być trwałym, świadczył w każdym razie o podniosłości uczuć ożywiających wszystkich, o szczerej, gorącej chęci pracowania dla dobra kraju. Literat Agaton Giller, który niedawno za amnestyą wrócił był z Syberyi, założył przy pomocy bogatej właścicielki majoratu w Sandomierskiem, pani Petrow, Polki, tanie pisemko ludowe p. t. „Czytelnia niedzielna,“ które kosztowało tylko jeden złoty polski na miesiąc, i stało się wkrótce bardzo popularnem i bardzo wpływowem, zwłaszcza między rzemieślnikami warszawskimi [1]).

Działalność Towarzystwa rolniczego, jakkolwiek nie zbyt ściśle kontrolowana przez rząd leniwy, obojętny i lękający się obrażenia w czemkolwiek modnego liberalizmu, nie podobała się jednak tej grupie jenerałów, otaczających namiestnika, którzy niechętni byli w ogóle tej instytucyi, między którymi pierwsze miejsce zajmował zły i zgryźliwy Niemiec, Kotzebue. Zwracał on uwagę Gorczakowa na tę okoliczność, ale ten znudzony wszystkiem, puścił to na teraz mimo uszów. Jakkolwiek Towarzystwo w tym roku uniknęło ze strony władzy napomnień, rzeczy zawsze w rządzie rosyjskim niebezpiecznej, przecież było to już niejako wskazówką, że działalność jego nie podoba się, i że wcześniej czy później przyjść musi do konfliktu, tem groźniej-

[1]) Przy „Czytelni niedzielnej“ utworzono kasę pożyczkową dla rzemieślników. Fundusze, powstałe wyłącznie z ofiar dobrowolnych, były bardzo szczupłe, mimo to kasa spełniała jak mogła swe zadanie, wywierając przez to niemały wpływ na sfery rzemieślnicze.

szego, że z jednej strony stała instytucya bezbronna, z drugiej rząd, posiadający władzę absolutną w ręku.

Narzekania i denuncyacye Kotzebuego i jego kliki, że Towarzystwo rolnicze przybiera ton i charakter władzy samoistnej, o tyle były niesłuszne, że sam rząd wkrótce potem nadał Towarzystwu cechę polityczną. W miesiącu Październiku 1859 r. namiestnik Królestwa zawiadomił Andrzeja hr. Zamoyskiego, jako prezesa Towarzystwa, „iż najjaśniejszy pan dozwolił Towarzystwu rolniczemu roztrząsać na swoich posiedzeniach i ogłaszać w wydawanym przez siebie dzienniku, uwagi swoje względem środków, mogących posłużyć do postępu oczynszowania włościan na postawionych przez rząd zasadach.“

Był to oczywiście gruby głąb. Ze stowarzyszenia, którego zadaniem było tylko rolnictwo, taka lub inna uprawa zboża, taki lub inny skład nawozu, Towarzystwo z woli rządu zmienia się nagle w rodzaj wielogłowego agrarnego parlamentu, który ma debatować nad kwestyą pierwszorzędnej doniosłości politycznej i społecznej, przyjmuje na siebie rolę prawodawcy, a tem samem nabiera cechy ciała politycznego. Radość w łonie komitetu Towarzystwa, w tej sfornej, jednolitej grupie Klemensowczyków, była z tego powodu niezmierna. Wszak było to ich i Zamoyskiego gorąco upragnione marzenie, by Towarzystwo mogło wziąć w swe ręce kwestyą włościańską, by zgromadzenie ich istotnie, faktycznie, przez rozwiązanie najpoważniejszego zagadnienia chwili, stać się mogło przewodnikiem i reprezentacyą krajową i by nakoniec z nużącego koła rozpraw o jęczmieniu lub poprawie rasy bydła, wejść na szeroką arenę interesów krajowych, do kierowania którymi czuli się Klemensowczycy uprawomocnionymi i uzdolnionymi. To, o czem mówili w pogawędkach przyjacielskich, co zresztą uważali za nigdy nie mogące się ziścić marzenie, stawało się teraz, nagle, bez ich przyczynienia się, rzeczywistością; sam rząd robi z nich rodzaj sejmu, parlamentu polskiego. W swej słusznej i usprawiedliwionej radości, nie dostrzegali, a jeżeli dostrzegali, to nie zważali na okoli-

czność, która z czasem mogła i istotnie doprowadziła Towarzystwo do starcia z rządem. Okolicznością tą były rażące sprzeczności w roli, jaką miało odegrać teraz Towarzystwo. Rząd bowiem z właściwą sobie niekonsekwencyą, nie uznawał w Towarzystwie organu, mającego wyrażać potrzeby i pragnienia kraju, a mimo to oddawał mu w ręce rozpatrywanie najżywotniejszej kwestyi tego kraju. A przytem w oczach rządu rozpatrywanie to miało mieć charakter pewnego rodzaju ekspertyzy, a zatem, że uchwały i wnioski Towarzystwa w sprawie włościańskiej mogą być przyjęte lub odrzucone, bez wyjaśnienia nawet, dlaczego to się przyjmuje, a tamto odrzuca. Towarzystwo jednem słowem miało się tylko przydać na to, by w swych rozprawach przyczyniło się do rozświetlenia kwestyi, ale nie do jej zdecydowania. Taka, że tak powiemy, krytyka kwestyi, była dla rządu bardzo potrzebną, i mściła się teraz na nim własna jego polityka w Polsce. Gdyby był nie obezwładnił kraju, nie okuł w kajdany, nie zamknął mu ust, gdyby mu był zostawił takie lub inne organa reprezentacyjne, to nie potrzebowałby się teraz uciekać do Towarzystwa rolniczego, nic wspólnego niemającego z zadaniami natury politycznej, nie musiałby wchodzić na śliską i niebezpieczną drogę oddawania w ręce licznego zgromadzenia, tak ważnych zagadnień społecznych i politycznych. Ale w obec braku wszelkich, choćby najmniejszych, najciaśniejszych organów, któreby mogły rządowi jako tako rozwidnić zawiłe węzły sprawy włościańskiej, musiał on, chcąc nie chcąc, uciec się do Towarzystwa rolniczego. W Rosyi, na Litwie, miał gotowe ku temu celowi instytucye w korporacyach powiatowych i gubernialnych szlachty; w Królestwie nic podobnego nie było. Sam więc ranił się własną bronią i Towarzystwu rolniczemu nadawał charakter reprezentacyi krajowych pragnień, to jest obdarzał je atrybutem, którego mu dać nie powinien i którego się obawiał. Obdarzając jednak tym atrybutem i zastrzegając sobie współcześnie, że wnioski Towarzystwa mają mieć cechę tylko doradczą, mogą być przyjęte lub odrzucone, rozdrażniał przez to ciało liczne,

a ztąd czujące się w prawie decydowania w najważniejszej sprawie krajowej. W innych czasach, w czasach paskiewiczowskiej nocy i ucisku, taki warunek byłby wywołał zniechęcenie, obojętność i Towarzystwo byłoby się zajmowało podaną mu kwestyą raczej tylko dla formy, dla zadośćuczynienia woli rządu; ale teraz w chwili powszechnego ożywienia umysłów, gorączki opanowującej kraj, budzącego się poczucia siły, koniecznie urodzić się musiała chęć, by debaty nie zostawały płodem poronionym, by wydały swój owoc, choćby rodzenie tego owocu nie wiem co kosztować miało. W dozwoleniu więc rządowem leżały ziarna poważnego niebezpieczeństwa, które też prędzej, niż przypuszczano, wydać miały plon gorzki i zatruty, tak dla kraju, jak i dla rządu rosyjskiego w Polsce.

Niebezpieczeństwo to nie uszło uwagi Klemensowczyków, pomimo radości, jaka ich ogarnęła, że bez starań, bez zabiegów, bez próżb, samą przewagą moralną otrzymali to, czego pragnęli serdecznie; nie uszło ono uwagi i takiego bystrego, przenikliwego umysłu jak Wielopolski, który teraz, po ostatniej swej przegranej walce z opinią publiczną o zapis Świdzińskiego, siedział samotny w Chrobrzu i bacznie patrzał na wszystko, co się w kraju dzieje. Widział on, jak stronnictwo czerwonych rozwija energiczną agitacyę, że z pierwotnego działania podziemnego przystępuje do otwartej walki, której oznaki spostrzegał czy to w nabożeństwie za trzech poetów, czy w sprawie akademickiej; widział, że stronnictwo to stanowczo dąży do powstania zbrojnego; że ogół kraju, zniechęcony, zawiedziony w swych nadziejach, chętnie daje posłuch podszeptom czerwieńców, które Bóg wie, gdzie go mogą zaprowadzić; że nakoniec charakter polityczny, jaki rząd przez dziwną niekonsekwencyą nadał Towarzystwu, musi popchnąć to ostatnie do działalności na pół rewolucyjnej, sądził, że czas już wielki położyć tamę tej zgubnej akcyi przez wystąpienie lojalne do cesarza, przez wyjednanie od rządu ustępstw, któreby zadowolniły większość krajową, a tem samem obezwładniły działalność rewolucyjną. Jeżeli z drugiej strony

dotąd nie było żadnej drogi, żadnego legalnego organu, którymby dostać się mogły do tronu pragnienia lub żądania kraju, to teraz zdawało się Wielopolskiemu, taki organ znalazł się w Towarzystwie już przez to samo, że rząd, wzywając je do działania w sprawie włościańskiej, uznał je niejako za reprezentacyą krajową. Towarzystwo więc, korzystając z tej szczęśliwej okoliczności, o tyle rozumie się szczęśliwej, o ileby ją umiejętnie wyzyskać potrafiło, powinno było wystąpić z domaganiem się koniecznych i niezbędnych reform. Reformy te, według Wielopolskiego, na teraz przynajmniej, miały się ograniczyć na wprowadzenie w życie Statutu organicznego z r. 1832; żądając zresztą tego, nie wychodziło się wcale z granic możliwości, z granic lojalności; nie zaczepiało się strony politycznej kwestyi polskiej, załatwiało się całą sprawę w domu, między swoimi. Myśl bez zaprzeczenia była rozumna, chwila dobrze wybrana, możność urzeczywistnienia pomysłu bardzo prawdopodobna, gdyby los był Polsce dał głowy rozumne, umysły trzeźwe i chłodne, serca przepełnione poczuciem istotnego dobra kraju. Ale mówić wtedy o rozumnem, logicznem działaniu, było to według przypowieści biblijnej, wołać na puszczy. W powietrzu czuć było oddech gorący rewolucyi i wszystkie głowy pijane były od tego oddechu i przeznaczeniem fatalnem Polski było wysączenie kielicha goryczy do dna, do mętów samych...

W myśl swego projektu, Wielopolski za pośrednictwem młodszego syna Józefa, i w jego imieniu, wniósł w Lutym 1860 r. na pierwsze Towarzystwa posiedzenie, na którem miała być roztrząsana sprawa czynszowa, propozycyą, aby: wychodząc ze słów monarchy, wypowiedzianych w r. 1856 w Warszawie, o zachowaniu instytucyi nadanych przez cesarza Mikołaja, Towarzystwo wydało rezolucyą następującą: „ogólne zebranie Towarzystwa rolniczego, uznając się niekompetentnem do rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej, zobowiązuje wybraną z łona swego komisyą specyalną do zredagowania projektu adresu o tem do cesarza. Adres ten winien wyrażać wdzięczność za zaufanie, jakie Towarzystwu

okazanem zostało i prożbę o powierzenie reformy włościańskiej stanom prowincyonalnym, ustanowionym przez Statut organiczny 1832 roku".

Według ustawy wszelkie wnioski, mające być przedstawionymi ogólnemu zebraniu Towarzystwa, winny być wprzódy rozpatrzone przez komitet, złożony, jak wiadomo, z Klemensowczyków, ze stronników pracy organicznej. Gdy więc przyszedł pod ich obrady projekt Wielopolskiego, został ogromną większością odrzucony i wskutek tego nie był nawet wniesiony na posiedzenie ogólne i przepadł stanowczo. Na ten smutny wynik składały się rozmaite przyczyny. Pierwszą z nich była ta, że Klemensowczycy, zgodnie z zasadą swoją, nie chcieli o nic prosić i niczego żądać, a projekt Wielopolskiego był prożbą i żądaniem, i to żądaniem niezmiernie małem, cząstką nic nie znaczącą tego, do czego Polacy mieli prawo; był nakoniec zrzeczeniem się niejako tego prawa za miskę soczewicy. Rząd mógł w danej chwili powiedzieć, że wszystko już dał Polakom, co mógł dać i tym sposobem zamknąć usta Europie, która wcześniej czy później, takie przekonanie żywili wszyscy, upomni się o pogwałcone na Polsce traktaty. Otóż, twierdzili Klemensowczycy, byłoby błędem, nierozumem, dawanie rządowi możności do zamknięcia ust Europie. A przytem czasy już były inne, gorące. i nikt już dziś nie zadowolniłby się Statutem organicznym, jeżeliby ten statut nie ogarnął Litwy, Podola, Wołynia i Ukrainy. W takim tylko razie kompromis byłby możebny; a że przypuszczać nawet nie należy, by rząd rosyjski zgodził się na takie ustępstwo, więc lepiej niech rzeczy pozostaną tak jak są, niech rany się ropią, rozdrażnienie wzrasta, przepaść między rządzonymi i rządzącymi się rozszerza. Kraj cały poczyna się burzyć, wichry coraz większe po nim się unoszą, jak na morzu, gdy po długiej sennej ciszy huragan zawieje i spiętrzy drzemiące dotąd fale. Jakkolwiek Klemensowczycy nie chcieli powstania, nie chcieli otwartej walki, w której wiedzieli, że Polska zostałaby bezwarunkowo pokonaną, jednakże przeciwni byli powstrzymywaniu i tamowaniu

objawiającego się ruchu rewolucyjnego, który według nich mógł z jednej strony zwrócić uwagę Europy na Polskę, z drugiej zmusić rząd do ustępstw. Przekonani zresztą byli, że każdej chwili, gdy to uznają za potrzebne, ruch ten zdołają powstrzymać, wypuszczonego z łańcuchów tygrysa na nowo zakuć w kajdany. Fatalne i zgubne złudzenie, które kraj miał okupić potokami krwi i długą niewolą!

Wprawdzie w komitecie byli i tacy, którzy popierali wniosek Wielopolskiego, jak jego szwagier Tomasz hr. Potocki, człowiek bardzo rozumny, trzeźwy i wpływowy, otoczony urokiem, jaki nosili na sobie wszyscy ci, którzy w 1831 r. walczyli, adjutant naczelnego wodza, ciężko raniony pod Długosiodłem, postać marsowa, typ polskiego szlachcica, żywo zajmujący się kwestyą włościańską, piszący nawet bardzo poważne w tej materyi dzieła pod pseudonimem Krzyżtopora. Popierali ten wniosek i inni, ale że byli w znacznej mniejszości, upadli. Do upadku tego bezwątpienia dużo przyczyniła się niechęć do Wielopolskiego, zła jego opinia, podejrzliwość, że jest „duchem moskiewskim“, jak to wtedy mówiono. Przytem komitet nie wierząc stanowczo w powodzenie tego projektu, lękał się, by podanie adresu nie wywołało jakiego niebezpieczeństwa, jeżeli już nie dla istnienia samego Towarzystwa, to przynajmniej pod tym względem, że rząd może cofnąć dane mu pozwolenie do roztrząsania kwestyi włościańskiej. A tego przywileju Towarzystwo za nic nie chciało utracić, gdyż taka utrata cofała je do nic nie znaczącej i nudnej roli zgromadzenia, mającego jedynie prawo myśleć o drenowaniu łąk lub uprawie roślin pastewnych.

Podczas gdy Wielopolski po nowem swem niepowodzeniu umilkł, zagrzebał się w swym Chrobrzu, czekając z utęsknieniem na wypadki, które przeczuwał, że niedługo nadejdą i jego wywiodą na wielką widownię historyczną. Towarzystwo rozpoczęło swe zwykłe doroczne, Lutowe posiedzenie. Zjazd był bardzo liczny, i w dniu 3 Lutego 1860 roku, w dniu otwarcia posiedzeń, Andrzej hr. Zamoyski powitał zgromadzonych mową, w której przedstawił całą

ważność zadania, jakie rząd włożył na Towarzystwo. „Główne zasady oczynszowania, mówił, prawo postanowiło; umowy wszakże na dobrowolnej ugodzie wzajemnej chce mieć oparte. A że w tej stanowczej chwili obowiązkiem jest dać włościanom dowód naszej o ich byt przyszły troskliwości, boć to dzieci tej ziemi, które na świat szeroki wyprowadzić mamy, sumienie nakazuje nie tylko dobrą i doświadczoną wspierać ich zawsze radą, ale przy zawieraniu z nimi układów naprowadzić ich na taką drogę, po której postępując bezpiecznie z czasem dojdą do zapewnienia sobie moralnych i materyalnych nowego położenia korzyści". Rozwinąwszy następnie myśl swoją o sposobie prowadzenia rozpraw i wspomniawszy, że stosunek czynszowy nie był u nas nowością, bo jeszcze w końcu przeszłego wieku znakomici właściciele ziemscy zaczęli go w dobrach swoich wprowadzać, a obecnie już $^1/_3$ część włościan w dobrach prywatnych z układów czynszowych korzysta, zakończył temi słowy: „Nie mamy więc, panowie, przed sobą kwestyi nowej i mało znanej; jestem przekonany, że dojrzałość sądu i spokojna rozwaga cechować będą nasze w tym przedmiocie rozprawy, bo przymioty te były od początku zawiązania Towarzystwa rolniczego naszą zasługą i chlubą. W tych obradach nad przedmiotem osobiście każdego z nas obchodzącym, damy nowy dowód, że dalecy od jednostronnego nań zapatrywania się, a przejęci miłością kraju, poszanowaniem dla naszych tradycyi i uczuciem wrodzonej nam prawości, jesteśmy zawsze ludźmi dobrej woli, którzy ważne społeczne zadania ze stanowiska ogólnego dobra i ścisłej słuszności oceniać umieją".

Na tem posiedzeniu jednak nie przyszło do zasadniczej, że tak powiemy, uchwały w sprawie oczynszowania. Mówiono bardzo wiele i bardzo dobrze: wniosek komitetu, że Towarzystwo przemianę czynszowników na właścicieli uznało za ostateczne, jedynie pożądane rozwiązanie kwestyi włościańskiej, został przez ogólne zgromadzenie jednomyślnie przyjęty, ale ponieważ Muchanow nie pozwolił tej uchwały wydrukować, więc odłożono całą sprawę do sesyi

w następnym, 1861 roku, na której miało się okazać, jak ogół szlachty polskiej zapatruje się na kwestyą włościańską.

Rozszerzenie atrybucyi Towarzystwa, przemienienie go w pewien rodzaj konwentu narodowego, nie podobało się nadzwyczajnie tej klice jenerałów rosyjskich, o której już mówiliśmy, i na której czele stał Kotzebue. Zawsze nieprzyjaźni Towarzystwu i wróżący jak najgorsze skutki z tych zjazdów peryodycznych i tej potężnej organizacyi, jaką komitet rozwinął, nie mogąc nic przeciw woli cesarskiej, dozwalającej Towarzystwu wziąć w krąg swej działalności i sprawę włościańską, starali mu się szkodzić na innem polu. Potemu znaleźli mnóstwo sposobności. Ponieważ ustawa nie mówiła o tych licznych komitetach, delegacyach, tłumnych zebraniach na rozmaite konkursa i próby rolne, jakie odbywały się z inicyatywy Towarzystwa, przeciwnicy potrafili podburzyć drzemiącego Gorczakowa, który polecił Muchanowowi wydać odpowiednie rozporządzenie do prezesa Towarzystwa. Jakoż Muchanow dnia 24 Maja 1860 r. wygotował takie rozporządzenie, które czyniąc Towarzystwu zarzut, że od ustawy swej odstąpiło, zabraniało wszelkiego podziału w zarządzie, delegacyi okręgowych lub wydziałowych i wszelkich komitetów; zaznaczało, że członkowie Towarzystwa tylko na zebraniach ogólnych mogą działać wspólnie; polecało, by nagrody, które Towarzystwo ze swych funduszów wyznacza, jeżeli nie są rozdane na posiedzeniu walnem, były doręczane komu należy tylko przez gubernatorów; zabraniało nakoniec konkursów, wystaw okręgowych, prób orki i t. p., na które zwykle szlachta tłumnie się zjeżdżała i na których zbierała także włościan. Zjazdy te po części miały zły skutek, gdyż szlachta tłómaczyła na nich chłopom, że panowie już się ich losem zajęli, że „będzie lepiej“. To „lepiej“ chłopi uważali za zniesienie pańszczyzny, oraz że dostaną większe działy ziemi, a co najważniejsza, że gorączkowało umysły ludu i tym sposobem podnosiło jeszcze bardziej i tak już wysoką temperaturę ciała narodowego.

Bądź co bądź reskrypt Muchanowa był dla Towa-

rzystwa ciosem bardzo poważnym już przez to samo, że pozbawiał je tej szerszej, praktycznej, widocznej dla wszystkich działalności, która nie mając w sobie cechy politycznej, wywoływała jednąk wzajemny wpływ moralny między stowarzyszonymi, i ożywienie, jakie różne zjazdy i delegacye budzić koniecznie musiały. To też gdy reskrypt doszedł do wiadomości wszystkich członków, spowodował on głębokie oburzenie i zniechęcenie. W pierwszej chwili w doraźnem i tak łatwo wzbierającem u nas uczuciu, że już wszystko przepadło, że nie warto nic robić, że nie można robić, bo rząd na każdym kroku stawia przeszkody nieprzełamane, że jedna tylko broń protestacyi pozostaje, kilkuset członków zamierzało wystąpić z Towarzystwa, i pole tak ważne, z takim mozołem zdobyte, gromadnie opuścić. Ale Zamoyski, donosząc o reskrypcie Muchanowa, w kilku gorących słowach starał się zachęcić swych współkolegów do wytrwania na stanowisku. „Komitet ufa, pisał, że pojęcie dobra publicznego tak głęboko w umyśle i sercach obywateli kraju naszego zakorzenione, od szkodliwego zobojętnienia ich uchroni i do wytrwania na drodze, w imię Boga i dobra publicznego obranej, zachęci“.

Słowa te uznanego swego przewodnika i kierownika powstrzymały tłumne szeregów opuszczenie, którego rezultat dla samego Towarzystwa byłby opłakany, bo zachwiałby jego bytem i sprowadził upadek, to jest to, czego pragnął Kotzebue i jego klika, a czego w żadnym razie dopuścić nie mogli i nie powinni byli Klemensowczycy. Jakkolwiek więc pod osobistym wpływem Zamoyskiego, Towarzystwo zachowało swą spójność i całość, niemniej przeto cios odczuło ono boleśnie, i w umysłach, dotąd dość życzliwie dla rządu usposobionych, obudził on dawną niechęć, nieufność i niewiarę, nasiona złych i trujących owoców, które niedaleka przyszłość zbierać miała. Wprawdzie wielu, nie przypuszczając, by rząd rosyjski istotnie działał ze złą wolą, szukało przyczyn i źródeł reskryptu majowego gdzieindziej. Dość rozpowszechniona w tym czasie wieść, której chętnie słuchano i chętniej jeszcze wierzono, przypisywała wydanie

tego rozporządzenia naleganiom władz pruskich, oskarżających jakoby ciągle Polaków przed Rosyą, że knują spiski i dążą do powstania zbrojnego.

Wieść ta, prawdziwa czy nie, znajdowała potwierdzenie niejako w osobliwszej sprawie, jaka się w tej porze, na rok przeszło przed reskryptem Muchanowa rozpoczęła w sejmie pruskim w Berlinie, i której akt końcowy rozgrywał się właśnie teraz (w Maju 1860 r.). Sprawa ta przedstawiła światu ciekawe i jedyne w swoim rodzaju widowisko, a w Polakach wszystkich zaborów wywołała głębokie oburzenie na „perfidyą krzyżacką" i na wroga naturalnego, za jakiego uważano Prusy.

W dniu 2 Kwietnia 1859 r., członek izby deputowanych w Berlinie, poseł pleszewski, Niegolewski, wystąpił do rządu z interpelacyą tej treści: że w końcu Lipca i na początku Sierpnia zeszłego, 1858 roku, rozrzucono w Poznaniu między niższą, przeważnie rzemieślniczą warstwą ludności, mnóstwo proklamacyi, datowanych z Londynu d. 23 Maja 1858 r., wzywających Polaków do powstania przeciw Rosyi i malujących w jaskrawych barwach ucisk, jakiego naród polski w Królestwie kongresowem doznaje od rządu rosyjskiego. Otóż Niegolewski utrzymywał, że proklamacye te nic wspólnego nie miały z Londynem, zkąd jakoby miały pochodzić, ale że drukowane były w Poznaniu, w drukarni niejakiego Deckera i spółki. Zebrał nawet szczegółowe dane, że we wzmiankowanej drukarni poczęto proklamacye owe składać d. 18 Lipca [1]), a na drugi dzień

[1]) „Po odejściu wszystkich robotników — opowiada Niegolewski — Zoern (zarządzający drukarnią) wręczył zecerowi Lehmannowi drukowany papier (był to egzemplarz proklamacyi londyńskiej) z wezwaniem, aby wedle niego czcionki tym samym charakterem i w tej samej formie ustawił. Lehmann pracował nad tem aż do godz. 11 wieczorem i ukończył za pozwoleniem Zoerna stawianie czcionek następnego dnia rano, w niedzielę d. 19 Lipca około godz. 7. Za pracę tę otrzymał Lehmann dwa razy tak wielką jak zwykle zapłatę. W poniedziałek rano między 6 a 7 wzięto zecera Gustawa Paszyńskiego do pomocy, aby tenże wspólnie z Lehmannem zajął się korektą. Przytem powiedziano im, że nowy oddruk musi mieć toż samo pismo,

je skończono, że w ogóle odbito ich trzysta egzemplarzy, że drukowano je podług formularza, istotnie w Londynie wydanego. Rozsyłano je potem pocztą do różnych osób, nieraz po pięć lub sześć egzemplarzy. Charakter pisma na kopertach miał, według Niegolewskiego, wielkie podobieństwo do pisma pewnego urzędnika policyjnego w Poznaniu.

Gdy się wieść o tych proklamacyach rozeszła, mówił dalej interpelant, gazety niemieckie podchwyciły ją, ogłosiły, zdobiąc w różne dodatki i nie szczędząc narzekań na niespokojne i ideami rewolucyjnemi przesiąknięte umysły polskie. Zaraz też prezydent policyi w Poznaniu, Bärensprung, rozesłał do władz cztery okólniki drukowane, datowane 23 Lipca, mówiące o wzburzeniu umysłów w sąsiedniem Królestwie Polskiem, o możebności nagłego tam powstania i polecając wielką baczność i ostrożność. Okólniki te miały charakter poufny [1]). Owóż, w konkluzyi Nie-

---

tęż samą ilość wierszy z nie mniejszą i nie większą ilością zgłosek, te same odstępy pomiędzy pojedynczymi wierszami, i że nawet wszystkie błędy w formie i przecinkowaniu zachować należy, ażeby przedruk nawet w najdrobniejszych szczegółach do oryginału był podobnym. Zarazem nie tylko ich do jak najściślejszego milczenia zobowiązano, lecz zamknięto ich także podczas pracy w pokoju, leżącym za tak zwaną salą niemieckich gazet, mającym okna na podwórze wychodzące, oddaliwszy poprzednio robotnika, który tam suszeniem wilgotnego papieru był zajęty. Tego samego dnia powierzono druk preserowi Oskarowi Fischer, który jeszcze w tym samym dniu, również przy drzwiach na klucz zamkniętych, w tymże pokoju 150 egzemplarzy, w ogóle w czterech przestankach około 300 egzemplarzy odcisnął. Wszystkich robotników, których tak do składania jak i do drukowania użyto, zobowiązano powtórnie do milczenia".

[1]) W okólnikach rzeczonych Bärensprung między innemi pisał: „zmiany w systemie administracyi sąsiedniego państwa, wywołały tamże we wszystkich warstwach nader żywe poruszenie umysłów. Mianowicie w dawniejszych prowincyach polskich, nie tylko tam, gdzie ogół ludności jest pochodzenia polskiego, ale i w guberniach odleglejszych, gdzie tylko szlachta ziemię posiadająca do tej należy narodowości, okazuje się widoczne rozdrażnienie, które się we wszystkich kwestyach życia obywatelskiego, mianowicie zaś w tych, które się tyczą kierunku narodowego i polityczno-liberalnego, objawia. Też same dążności objawiają się na polu literackiem i dziennikarskiem.

golewski żądał od ministra spraw wewnętrznych objaśnienia, co to wszystko znaczy i czy z jego wiedzą zostało zrobione? Interpelacya ta, zawiadamiająca ogół, że policya poznańska ze swym naczelnikiem Bärensprungiem drukuje u siebie rewolucyjne proklamacye polskie, rozrzuca je między ludnością, zapowiada blizkość powstania wtedy, kiedy Polacy o tem nie myślą nawet, zrobiła nie tylko na sejmujących, ale na cały kraj wrażenie bardzo silne. Sprawa ta wyglądała tak, jakby policya pruska umyślnie, w celach jej tylko wiadomych, prowokowała powstanie, co tem osobliwszy przybierało charakter, że minister pruski Flotwell, na interpelacyą Niegolewskiego, na razie nie umiał nic odpowiedzieć, tłomacząc się, że musi wprzódy zasięgnąć wiadomości. Z tego oczywisty wniosek, że Bärensprung działał bez rozkazu ministeryalnego, na własny, że tak powiemy, rachunek. Dla tego też powszechnie z natężoną ciekawością oczekiwano na odpowiedź ministra.

Ten nie dał na siebie długo czekać. Pokazało się, mówił, że były odezwy londyńskie z datą 23 Maja 1858 r.,

---

Emigracya polska zapowiada z zagranicy powstanie, jako nieuchronne, i wzywa każdego dobrego Polaka, aby na wszelkie możebne następstwa był przygotowany"... „Lubo oczekiwanie to może być zawczesnem, nie należy zapominać, że w Rosyi, lub też w innem z państw zagranicznych, mogłyby zajść wypadki, któreby były w stanie nagły w krajach polskich wywołać wybuch. Podobnych wypadków nie tylko partya demokratyczna z niecierpliwą żarliwością oczekuje, ale i partya arystokratyczno-klerykalna, równie jak i niezawiśli patryoci. Widoczną jest rzeczą, że obie czynią przygotowania, aby oddawna knowane zamiary z lepszym urzeczywistnić skutkiem. W tym celu, pomimo różnicy społecznego położenia i opinii politycznych, aż do pewnego punktu wspólnie działają, lubo każda w innym kierunku. Załączony tu wyciąg z rozlicznych pism rewolucyjnych między ludnością polską szerzonych, dozwala odgadnąć plany, które wychodząc z emigracyi, i w kraju mniej lub więcej znajdują zwolenników i poparcie. W przekonaniu, że znajomość płodów polskiego dziennikarstwa i pism politycznych emigracyi nawet wtedy nie będzie bez interesu, gdyby oczekiwania, w nich wynurzane sprawdzić się nie miały, nie zaniecham i nadal w razach stosownych przesyłać takowych, do czego załączam prośbę, aby te przesyłki jako poufne uważano".

zatytułowane: „lud polski, związek rewolucyjny w Londynie, do Polaków". i podpisane: „pozdrowienie i braterstwo. Przełożony związku: Popowski, sekretarz: H. Abicht"; że Bärensprung istotnie kazał te proklamacye przedrukować w Poznaniu i rozesłał je różnym władzom i podległym sobie urzędnikom, żeby wiedzieli, co się święci i mieli się na baczności; że nakoniec osobom prywatnym, a tem mniej klasom rzemieślniczym odezw rzeczonych nie rozdawano.

Na te słowa ministra, malujące policyą pruską jako niewinnego baranka, ściśle tylko pełniącego swe obowiązki, Niegolewski odrzekł, że proklamacya londyńska jeżeli istnieje, to nie może mieć żadnego znaczenia, bo ogłosiły ją „ladajakie osoby", nikomu w kraju nieznane, oraz że „zupełnie jest nie do pojęcia, dlaczego proklamacya owa w tym właśnie czasie przeciw cesarzowi rosyjskiemu wystosowaną została, kiedy się tego najmniej spodziewać było można" — „że nie było celem rozpowszechnić ją wszechstronnie, ale tyle tylko, ażeby się o niej cesarz rosyjski dowiedział". Przedrukowanie jej i rozesłanie do osób prywatnych przez Bärensprunga uważać należy wprost za prowokacyą. Odbito ją tajemnie, ściśle nakazano naśladować oryginał; u dołu, według obowiązujących przepisów prawnych, nie pomieszczono firmy drukarza, co świadczy, że chciano ukryć jej pochodzenie poznańskie, co wreszcie potwierdzają okólniki prezydenta policyi. Że rozsyłano ją osobom prywatnym, to nie ulega wątpliwości; otrzymywali ją ludzie różnych sfer, szlachta, księża, urzędnicy, nauczyciele, rzemieślnicy, nawet parobcy i stróże [1]). Na szczęście

[1]) „Między innymi, mówił Niegolewski, otrzymał nie jedną, lecz kilka takowych, powtarzam kilka, kolega nasz Seweryn hr. Mielżyński. Znany izbie Włodzimierz Wolniewicz otrzymał ich sześć. Z tych pięć zniszczył, a pozostałą mnie wręczył i jest gotów przysięgą stwierdzić, że ich sześć otrzymał, jako też, że egzemplarz, który mam w ręku, jest jednym z sześciu otrzymanych. Dalej otrzymał jednę brat mój, właściciel Włościejewek, Kazimierz Niegolewski. Mam też kopertę, w której mu ją przesłano, jak i sam egzemplarz w mem ręku i gotów jestem każdemu je pokazać. I ja otrzymałem jednę. a to w Dobrojewie, gdzie razem ze mną p. Wolniewicz był w odwie-

wiele osób składało je, zaraz po otrzymaniu, policyi; byli i tacy, co przesyłali je ambasadorowi rosyjskiemu w Berli-

dzinach u matki mej żony, a swej kuzynki, hr. Tekli Kwileckiej. Podczas kiedy byłem zajęty otwieraniem listów odebranych, wskazał p. Wolniewicz na jeden z nich, jeszcze nierozpieczętowany, mówiąc: „z adresu i kształtu zgaduję, jakiej list ten jest treści, zawiera on proklamacyą". Otworzywszy go, znalazłem w nim tę oto proklamacyą. Kilku księży także podobno ją otrzymało, jak np. ks. Badurski w Opalenicy. Dalej dr. med. Matecki, który po odebraniu zapytał pewnego urzędnika, coby to znaczyć mogło; ten mu zaś dał radę, iż najlepiej zrobi, jeżeli list ten odeśle. Napisawszy wskutek tego na kopercie te słowa: „takich głupstw nie przyjmuję", zwrócił list ów poczcie. Kalkulator Wilden także odebraną proklamacyą zwrócił przez woźnego Taranczewskiego, radcy policyjnemu Niederstetterowi z uwagą, że takich rzeczy nie przyjmuje, że radca policyjny może ją sobie zatrzymać. Dalej kancelista Słupecki, który pierwotnie miał zamiar z odpowiednim dopiskiem swój egzemplarz odesłać napowrót, lecz potem tego nie uczynił. Z pomiędzy kupców, którzy takowe odebrali, wymieniam z zamiejscowych Kollata z Miłosławia, a z miejscowych Remusa w Poznaniu, który dla słabego wzroku subjektowi swemu dał ją do przeczytania i zaraz potem ją w ogień wrzucił. Sztycharz Dmochowski oddał swój egzemplarz p. Niederstetterowi, czyniąc mu uwagę, iż dziwną jest rzeczą, że proklamacya ta z Poznania wysłaną została. Nawet, panowie, przysłano ją nauczycielowi Przyborowskiemu (Józefowi) człowiekowi, który najwyższego używając szacunku, tylko dla nauki żyje, i któremu najmniej można zrobić zarzut, ażeby hołdował wyobrażeniom niesfornym, zwłaszcza, że wcale a wcale w sprawy polityczne się nie miesza. Nie żywi on nienawiści przeciw Niemcom, jak to okólnik p. Bärensprunga o Polakach utrzymuje, z Niemką się ożenił, która słowa nie umie po polsku i w szczęśliwem żyje z nią małżeństwie: żona jego łzy tylko laćby mogła, ubolewając nie nad rodakami męża, lecz nad swoimi. Takiemu to człowiekowi, także przesłano proklamacyą. Czyż tu nie ciśnie się gwałtem przypuszczenie, że to dlatego tylko nastąpiło, aby w jakikolwiek sposób dokuczyć człowiekowi, który wydaniem autora polskiego z XVI wieku zdobył sobie imię uczonego, a to wszystko dla tego, że człowiek spokojny, pracowity i naukowo wykształcony władzom poznańskim nie jest miłym? Dalej otrzymali proklamacye: komisyonerzy Skrzycki, Andrzejewski i Kutzner; bonitor (sic) Mędrzecki, cieśla Gabryelski, restaurator Adamski, piekarze Czapiński i Walenty Jankowski, mosiężnik Plewkiewicz, złotnik Czarnecki, szewc Włościborski, siodlarz Jakubowski, młynarz Essmann, szynkarz Broniewski i nakoniec stróż domu Antoni Sieradzki".

nie. Policya ze swej strony po rozesłaniu proklamacyi, ściągała tych, którzy je otrzymali i badała, zkąd je wzięli. Znaczną ich ilość posłano także do Królestwa Polskiego; 20 egzemplarzy otrzymał naczelnik policyi w Warszawie, margrabia Paulucci. „Szczęściem, mówił Niegolewski, policya warszawska znajduje się chwilowo w pewniejszym ręku. Jak wiadomo, margrabia Paulucci nie wierzy pierwszej lepszej denuncyacyi“. Bądź co bądź okólniki Bärensprunga wychodziły z niezwykłym pośpiechem, właśnie w chwili, gdy cesarz Aleksander bawił w Warszawie.

Z całej tej mętnej sprawy ogół polski nabył przekonania, że policya pruska starała się wywołać jakiś ruch w kraju, w celach jej tylko wiadomych. Przypuszczać należy, że niepodobały jej się stosunki przyjazne, jakie w tej porze zawiązywały się między Królestwem Polskiem i rządem rosyjskim; nie chciała dopuścić do możności kompromisu między dwoma wrogimi dotąd sobie narodami, któryby jak jednej, tak i drugiej stronie dał wielką siłę i spójność na zewnątrz. Że taka spójność nie leżała i nie leży do dziśdnia w interesie sąsiednich nam państw, to nie ulega kwestyi, i ztąd to te mętne, brzydkie, podziemne działania policyi poznańskiej, które niejako miały być ostrzeżeniem dla rządu rosyjskiego, by nie popuszczał cugli Polakom, by im nie wierzył, bo oni zawsze i wszędzie dążą do rewolucyi, do wyswobodzenia się z pod władzy rosyjskiej. Słusznie też wołał Niegolewski: „...poczytuję sobie za obowiązek stanąć w obronie dobra mych rodaków i pod rosyjskiem zostających berłem. Czyżby podobna prowokacya nie mogła była wywołać najdotkliwszych dla nich skutków? Powszechnem jest mniemaniem, które niech mi się godzi tutaj objawić, że jak cesarz Aleksander Iszy przez rozmaite pisma i wywoływane przez nie postrachy od kongresu Akwizgrańskiego z drogi cywilizacyjnej i prawnej miał być zepchnięty, podobnież i ta sprawka takiż sam cel miała, cel powtórzenia tej samej gry, powstrzymania cesarza Aleksandra IIgo na obranej drodze i skłonienia go do odwrotu“.

Z drugiej strony nierozumne postępowanie garści war-

chołów polskich, dawało nader podatną i pożądaną broń w ręce naszych nieprzyjaciół. Ów Abicht Henryk, syn profesora uniwersytetu wileńskiego, wyemigrowawszy w r. 1857 za granicę, znalazł się w Londynie w redakcyi rosyjskiego „Kołokoła", wstąpił do towarzystwa rewolucyjnego polskiego, oraz do towarzystwa międzynarodowego, mającego na celu wywołanie rewolucyi powszechnej. W charakterze tym dał się podejść policyi pruskiej, mianowicie urzędnikowi tejże Postowi, „apostacie duchownemu", jak go nazywa Niegolewski, i wysyłał do kraju wzmiankowane proklamacye, których Bärensprung użył za narzędzie do wzbudzenia niewiary, nieufności i obawy w rządzie rosyjskim, i którą istotnie wzbudził, tak że odtąd każdy krok, jaki robiono w Królestwie na drodze reform, czyniony był wolno, z restrykcyami, z gotowością cofnięcia się i położenia napowrót żelaznej ręki despotyzmu wojennego na piersi kraju. Do takich następstw prowadziła i prowadzić będzie zawsze zasada *liberum conspiro*, owoc niedoli krajowej i niepoprawnego warcholstwa [1]).

Jakkolwiek Niegolewski zrobił istotną przysługę krajowi przez rozgłośną swą interpelacyą, wykazującą, że mniemane działania rewolucyjne polskie mają źródło w policyi pruskiej, wszelako rząd rosyjski wiedział, czego się ma pod tym względem trzymać. Jeżeli bowiem Bärensprung przedrukowywał i rozrzucał proklamacyę, to ostatecznie faktem było, że pierwotnie proklamacye te wyszły z lekkiej ręki rewolucyonistów polskich, osiadłych w Londynie. Jeżeli z drugiej strony policya poznańska mówiła, że w Królestwie Polskiem gotuje się powstanie, to i pod tym względem nie myliła się zupełnie, w obec rozpoczynającej się

---

[1]) Gdy cała ta sprawa z Bärensprungiem została ujawniona przez Niegolewskiego, Abicht przed tym ostatnim usiłował się wytłomaczyć ze swego postępowania, i w przejeździe przez Kraków w r. 1862, gdzie wówczas bawił wspomniany poseł, starał się z nim widzieć, lecz ten odmówił wszelkich dyskusyi, i znaglił go do wyjazdu z Krakowa. Abicht został powieszony na stoku cytadeli warszawskiej, d. 12 Czerwca 1863 r.

w kraju agitacyi z wyraźnym i nieukrywanym wcale celem zbrojnego kiedyś ruchu. Rząd rosyjski mógł nie wiedzieć o tworzących się rozmaitych kołach i kółkach rewolucyjnych, ale nie uszło jego uwagi i ujść nie mogło nadzwyczajne ożywienie społeczeństwa polskiego, ta atmosfera przepełniona elektrycznością i piorunami, jaka zdawała się unosić nad krajem; miał zresztą oznaki tego, że się coś tworzy i coś robi, coś w każdym razie dla niego niebezpiecznego, czy to w nabożeństwie za trzech poetów, czy w sprawie akademickiej, czy w domaganiach się szlachty witebskiej, czy nakoniec w działalności emigracyi polskiej. Wszystko to były oznaki zbliżającej się burzy, a niestety! na nieszczęście Polski, nikogo nie było w Petersburgu, coby umiał zażegnać tę burzę szeregiem reform szeroko pojętych i rozumnie a energicznie przeprowadzonych. Rząd nie był od tego, by porobić ustępstwa, ale chciał je czynić wolno, z tą zawsze myślą, że lepiej ich nie czynić, z nadzieją wreszcie, że w razie czego potrafi surowym rządem wojskowym, choćby „kartaczami“ Gorczakowa, stłumić wszelki ruch, gdyby przybierał zanadto jaskrawe lub groźne formy.

Tymczasem w kraju umysły coraz bardziej się rozgorączkowywały, coraz śmielsze budowały nadzieje. Wybuch w Maju 1859 r. wojny włosko-austryjackiej, do której Francya się wmięszała, podniesienie przez tę ostatnią zasady narodowości, t. j. że o tyle każde państwo ma racyą bytu, o ile opiera się na jednolitym narodzie, którego jest reprezentantem, zapowiadać się zdawały rychłą i stanowczą zmianę w karcie Europy. Po sprawie włoskiej, mówiono sobie, pocieszano się tem, przyjdzie na stół sprawa polska, musi przyjść, bo jest najważniejszą; niewola Polski jest gwałtem krzyczącym o pomstę do Boga, gwałtem, od czasu popełnienia którego Europa znajduje się w stanie nienormalnym, w stanie ciągłej gorączki i niepokoju. Takiemi zdaniami, nie opartemi na niczem, złudzeniem o chorobie Europy, która od pół wieku przeszło doskonale się bez państwa polskiego obchodziła, starano się wzbudzić wiarę,

że rozstrzygnięcie kwestyi polskiej jest tylko kwestyą czasu. I wierzono temu powszechnie w kraju. Z niesłychanem, nerwowem rzec można zajęciem chwytano wszelkie wieści o wojnie włoskiej, a gdy ta znaczyła się szeregiem zwycięztw francuskich, cieszono się nadzwyczajnie, wołano, że oto jeden z wrogów Polski leży już pokonany i rozbity, że przyjdzie czas, kiedy z dwoma drugimi to samo się stanie. Wierzono w to, jak, że po nocy złote słońce wschodzi, po długiej, mroźnej zimie wiosna śmiejąca się urokami życia, bo zwykle wierzy się w to, czego się pragnie, a tu zdawało się wszystko zapowiadać dni lepsze, jaśniejsze, dni swobody i niepodległości politycznej.

W gruncie jednak rzeczy, w posępnem pasmie przędzy historycznej, dla Polski snuła się ciągle nić szara, mająca się wkrótce zamienić na czarną. Jeżeli ludzie nawet najtrzeźwiejsi i najmniej ulegający złudzeniom fantazyi, w kombinacyach polityki europejskiej, w wypadkach zewnętrznych widzieli zapowiedź zmiany na lepsze dla nieszczęśliwego i zasługującego istotnie na inną dolę narodu, to fakta wewnętrzne nie potwierdzały w niczem tych nadziei. Właśnie pod jesień 1859 r. cesarz przedsięwziął zwiedzenie swych południowo-zachodnich prowincyi, ukrainnych niegdyś ziem polskich, Podola i Wołynia. Jak przed trzema laty w Warszawie, jak przed rokiem w Wilnie, tak teraz w Kijowie, Kamieńcu i Żytomierzu przywiązywano wielkie znaczenie do tej podróży, liczono na jakieś ulgi i łaski, i gotowano się między szlachtą polską do serdecznego, entuzyastycznego przyjęcia monarchy. Niestety! miano się tak samo zawieść, złudzenia w obec surowej rzeczywistości miały się rozwiać, słodkie marzenia zmienić w gorycz codziennego, ciężkiego, bezbarwnego życia.

Przyjazd cesarza poprzedził ukaz, który zdawał się zapowiadać, że przynajmniej teraz nadzieje szlachty ukrainnej polskiej nie będą płonnemi. W dniu 20 września, dniu dojścia do pełnoletności młodego następcy tronu Mikołaja Aleksandrowicza, cesarz nakazał, ażeby odtąd ustały wszelkie poszukiwania majątków, mających ulegać konfiskacie

z powodu, że ich właściciele należeli do powstania w 1831 r. Ukaz ten obejmował wszystkie ziemie dawnej Polski, należące obecnie do Rosyi, i jakkolwiek nie przynosił żadnej korzyści, bo co miano skonfiskować, to już dawno skonfiskowano, wszelako był dowodem, że cesarz pragnie zapomnieć o przeszłości, o dawnych rozterkach i nienawiściach. To też sprawił on w ogóle dobre wrażenie i Aleksander, jadąc do gubernii południowo-zachodnich swego olbrzymiego państwa, miał tu natrafić na to samo ożywienie, na tę pełność nadziei rozkwitających, na ufność w lepszą, pogodniejszą przyszłość, jaka wszędzie, na całym obszarze zaboru rosyjskiego spostrzegać się dawała.

Do tego ożywienia przyczyniała się bardzo wiele i sprawa włościańska. Jeżeli w Królestwie posuwała się ona bardzo wolno, i utknęła na oczynszowaniu dobrowolnem, wbrew opinii kraju, domagającej się uwłaszczenia; jeżeli na Litwie, szlachta w komitetach włościańskich bardzo pięknie mówiła za uwłaszczeniem, a u siebie w domu nadużywała w sposób krzyczący swej umierającej władzy, to na Ukrainie, a zwłaszcza na Wołyniu, sprawa ta przybrała szkaradny charakter rozdrażnienia dwóch warstw społecznych. Tu, szczycący się po wsze czasy smutną sławą, hańbą napiętnowani w „Wieczorach wołyńskich“ Kraszewskiego, batożnicy wołyńscy, katowali po dawnemu włościan, zdzierali z nich ostatnią niemal koszulę, a sami marnowali, krwawą pracą chłopa zarobiony grosz, na hulanki, na życie pańskie, na podróże za granicę, na karty, konie, psy i kobiety, i stanowczymi byli przeciwnikami, w ogromnej swej większości, usamowolnienia włościan. Przez niepojęty dziś dla nas zastój umysłowy, głowy najotwartsze, serca najlepsze były przeciwne temu usamowolnieniu. Kiedy w początkach Stycznia 1858 r., komitet włościański wołyński zebrał się w Żytomierzu, pod przewodnictwem marszałka łuckiego Wincentego Korwina Piotrowskiego, wspomniany już przez nas Józef Ignacy Kraszewski przesłał na ręce rzeczonego marszałka rodzaj memoryału w sprawie chłopskiej, w którym domagał się, ażeby dzia-

łano powoli i ostrożnie, żeby reforma stopniowo przenosiła chłopa ze stanu zależności patryarchalnej do swobody osobistej. Bezwarunkowo nie zgadzał się na emancypacyą natychmiastową, i żądał z argumentacyą, godną zaiste lepszej sprawy, ażeby chłop nie był wypuszczony z pod opieki szlacheckiej, żeby policya wiejska do dworu należała, to jest, żeby po dawnemu pan batożył chłopa za lada co, dawał mu uczuwać swą supremacyą społeczną i urzędową [1]; przeciwny był uwłaszczeniu, bo „ziemia jest własnością dziedzica", bo „dziś nagle dana chłopu własność, aniby zrozumianą, ani ocenioną (przez chłopa) była"; utrzymuje nawet, że w ciągu pierwszych lat dobryby był „najem przymusowy, ograniczony co do liczby dni, i sposób wybierania go oceniony najsprawiedliwiej". Własność, podług Kraszewskiego, chłop powinien dostać dopiero po kilku, lub kilkunastu latach [2].

---

[1]) „Swoboda osobista człowieka w społeczności dobrze urządzonej, pisał Kraszewski, wymierza się stopniem jego ukształcenia moralnego i umysłowego. Jest tu to samo, co z dziecięciem; maluczkiemu daje się mniej wolności, dorastającemu coraz szersze swobody. Dać się nieograniczenie rządzić małoletniemu, byłoby szaleństwem; toż z włościaninem małoletnim. Dając mu więc swobodę, koniecznie ją do czasu dojrzałości ograniczyć i uregulować potrzeba, emancypować go stopniowo. Dla własnego jego dobra włościanin z opieki wypuszczonym być nie może, a opieka ta najwłaściwiej powierzoną być musi tym, którzy wyżej odeń stoją oświatą, a starego, patryarchalnego z nim związku nie zerwali. Zależy bardzo na tem w przyszłości, aby stosunek przyjazny dworu z wioską nie został nadwerężony, aby opieka, jakiej dotąd doznawała, nie uchyliła się od niej; ztąd zda mi się, że lepiej jest przyjąć na siebie ciężar i odpowiedzialność wiejskiej policyi, niżeli dla małych niedogodności w cudze oddawać ją ręce".

[2]) „Nie sądzę, pisał dalej, by w stanie naszym majątkowym, który w ogóle bardzo jest wątły, można było bez niebezpieczeństwa zdobyć się na wielkie ofiary. Więcej niż pół kraju zagrożone majątkową ruiną, na wszystkich prawie długi banku, *prykazu* i prywatne, kapitałów brak zupełny. Jeżeli ziemi zabraknie rąk do jej obrobienia, upadek rolnictwa i z nim szlachty jest niezawodny. Z drugiej strony szlachta jest żywiołem cywilizacyi i postępu; zabić ją, byłoby kraj na sto lat cofnąć w tył i posunąć ku barbarzyństwu. Pomimo to je-

Projekt ten, cuchnący zdaleka szlachecką fanaberyą i samolubstwem, w gruncie rzeczy prawie żadnych niewprowadzający zmian do sprawy włościańskiej, nie podobał się większości szlachty wołyńskiej, która go uważała za zbyt liberalny i zbyt demagogiczny [1]).

---

dnak. szlachta we własnym interesie, dlatego, by nie stracić serca ludu, na którem wiele jej zależy, ufności włościanina i dobrych z nim stosunków, musi dlań jakąś uczynić ofiarę"... „...Ale naprzód uczynim tu spostrzeżenie, że lud, o którym mowa, nie ma dotąd nawet pojęcia osobistej własności. Stara gmina słowiańska i późniejszy byt zależny od pana, nauczyły go tylko. że wszystko między ludźmi jest wspólnem. Dlatego włościanin nasz często się niewinnie prawie dopuszcza kradzieży, i tłomaczy, że on pański i rzecz pańska, a zatem winnym się nie czuje. Z tych i podobnych faktów widzimy, że pojęcie indywidualnej własności dopiero w włościaninie wyrobić potrzeba na drodze powolnej pracy i doświadczenia, a dziś nagle dana mu własność, aniby zrozumianą, ani ocenioną była. Tak w Galicyi, w pierwszej po nadaniu chwili, chłopi lekkomyślnie pozbywali się gruntów swoich w przekonaniu, że później znowu do nowego podziału dopuszczeni zostaną". „... Jakikolwiek środek obrany będzie dla ułatwienia nabycia włościaninowi sadyby lub części gruntu, powtarzam, że wzgląd na to, aby przez pozbawienie rąk krajowe gospodarstwo nie upadło, potrzeba mieć na oku. Ztąd w pierwszych latach nowego stanu, najem przymusowy, ograniczony co do liczby dni, sposobu wybierania go i oceniony najsprawiedliwiej — miejsce mieć musi, inaczej stanie się to, co w Galicyi, gdzie najżyzniejsze części Podola wyżywić się nie mogą". Memoryał ten Kraszewski tak kończy: „stanowcza to chwila dla ludu i wielkie ma w niej obowiązki szlachta, która tu przedstawia żywioł ofiary i postępu"... „nie sądzę, by to, co przedstawiam, samem marzeniem być miało, a wierzę, że ogół obywateli znajdzie środki, by spełnić powinności, ocalić przyszłość, uspokoić sumienie i nie splamić się niedarowanym egoizmem w obec dzieła, na które patrzy świat cały".

[1]) Jak dalece szlachta wołyńska nie umiała stanąć na wysokości chwili, jak dalece żywiła w sobie zacofane pojęcia, świadczy fakt następujący: w r. 1859, J. I. Kraszewski napisał komedyą p. t. „Stare dzieje", w której podniósł, mniej więcej na tych samych, co i w memoryale podstawach, kwestyą chłopską. Sztuka ta została wystawioną w teatrze polskim w Żytomierzu. Autor, ukryty w loży, śledził wrażenie na publiczności, przeważnie z ziemian złożonej, i widział niezadowolenie powszechne, niecierpliwość i oburzenie na to, że śmiał pana, szlachcica, ekonoma i chłopa razem powołać na deski teatralne.

Pod tym względem mieli godnych siebie współzawodników w magnatach na Białorusi, zwłaszcza w Minszczyźnie, dziedzicach ogromnych obszarów ziemi ornej i lasów. Ci w stosunkach z chłopami szydzili z ich blizkiej wolności, odmawiali im wszelkich zapomóg, eksploatowali ich pracę, zaprzedawali ich setkami całemi przedsiębiorcom robót na kolejach żelaznych, oburzali się na bractwa wstrzemięźliwości, szkodzili im i denuncyowali je do władz rosyjskich. Na Ukrainie i Podolu było za to znacznie lepiej. Wprawdzie i tu większość szlachty była przeciwna zupełnemu usamowolnieniu chłopa, wyjęciu go z pod supremacyi dworskiej. Liczba tych wsteczników była tak znaczną, że stanowili, do pewnego stopnia, poważne stronnictwo w prowincyi, zwane przez przeciwników szyderczo „Moszrodziejami“. Jednakże pod wpływem młodzieży, zwłaszcza akademickiej kijowskiej, która na święta i wakacye zjeżdżała do domów rodzinnych i przynosiła ze sobą świeże, postępowe, gorąco-liberalne idee, wygłaszane zwykle z zapałem i bezwzględnością, właściwą młodym umysłom; pod wpływem nakoniec bardzo szanowanego na Ukrainie pisarza Michała Grabowskiego, stronnictwo Moszrodziejów słabło, nie miało odwagi wypowiadania otwarcie swych przekonań, i wstydliwie kryło się z niemi w cztery ściany swych pysznych, pańskich dworów. Za to Grabowski i postępowcy, chłopomani i niechłopomani, domagali się nietylko usamowolnienia, ale i uwłaszczenia. Tym, którzy byli za oczynszowaniem, mówiono, że takie rozwiązanie kwestyi chłopskiej, jeżeli je można nazwać rozwiązaniem, może być dobrem dla Królestwa Polskiego, gdzie ludność jest jednolita, gdzie władze są polskie i urzędnicy Polacy, ale inna jest rzecz z Rusią. Tu dwór i chata stanowią dwie odrębne narodowości; w skutek różnych powodów krzywo i z pod oka na siebie patrzące, a władze są rosyjskie, zawsze nieprzyjaźnie usposobione dla szlachty. W razie oczynszowania, urzędnicy ci, jak klin falangi macedońskiej, wbiją się między chłopa i szlachcica w charakterze pośrednika i wyzyskując obie strony, będą je drażnili, podszczuwali i kłó-

cili. Otóż, sądząc rzeczy ze stanowiska polskiego, takie pośrednictwo wcale nie jest pożądanem, będzie ono zgubnem i fatalnem dla przyszłości kraju. Sprawa włościańska, mówiono dalej, jest sprawą naszą wewnętrzną, domową, i trzeba ją między sobą, własnemi rękami załatwić i własnemi rękami wyprać zabrudzoną przez wieki bieliznę. Należy chłopa nie oczynszować, nietylko usamowolnić, ale uwłaszczyć i raz tego raka wypalić z ciała narodowego.

Mimo to, do uwłaszczenia nigdzie nie przyszło. Komitet kijowski w początkach 1859 r. uchwalił, co następuje: „szlachta gubernii kijowskiej wyrzeka się na wieczne czasy należnego jej, z mocy ustaw krajowych, prawa do poddaństwa włościan, osiedlonych na ziemi obywatelskiej, oraz ludzi dworowych, przypisanych (sic) do ziemi, domów i fabryk. Na mocy tej uchwały, włościanie ci, jako i ludzie dworowi uwalniają się niepowrotnie i bez żadnej nagrody od poddańczej osobistej zależności, a wszystkie obowiązki z tym stanem połączone i z niego wynikające, na zawsze ustają; sam zaś wyraz: „poddany“ (kriepostnoj) ze wszystkich aktów publicznych i prywatnych wykreślonym ma być na zawsze. Ludzie dworowi uwalniają się bez żadnej opłaty, nawet i w takim razie, gdyby kosztem właściciela przysposobieni byli do rzemiosł“. Sadyby mieli włościanie wykupić, budowy zaś na nich stojące, darowano. „Mając zaś na uwadze, brzmi dalej ten dokument, iż w tutejszym kraju zarząd gminny nigdy nie istniał, że wspólne przez gminę nabycie ziemi sadybnej, byłoby trudne dla włościan, wcale do wspólności gminnych nie przywykłych, i że włościanie drogą osobistych nabytków (licznych priobretenij), które są przystępne ich pojęciu, prędzej i łatwiej mogą się stać ich właścicielami, Komitet zadecydował, aby włościanom wolno było nabywać sadyby rodzinami, osobno. Włościanie mają prawo wykupić sadyby w przeciągu lat dziewięciu za oznaczoną sumę; lecz dopóki jej nie wypłacą. należy się obywatelowi procentu pięć od sta rocznie. Prawo kupienia sadyby służy członkom gromady, samemu obywatelowi i postronnym, lecz zapisującym się do gro-

mady. Zabrania się sprzedawać sadyby żydom, cyganom i ludziom rozmaitych powołań (roznoczyńcam), jakoteż wszystkim niechodzącym koło roli".

Ziemię orną, co do rodzajów jej, podzielono na cztery klasy; na każdą chatę przeznaczono cztery dziesięciny (około 8 morgów). Czynsz roczny z chaty ma wynosić gotówką 18 rs., albo też robocizną 82 dni. W razie, gdyby włościanie chcieli nabyć ziemię orną, komitet oznaczył jej cenę szacunkową, stosownie do rodzaju, od 29 do 90 rs. za dziesięcinę.

Takiemi były uchwały komitetu kijowskiego. O uwłaszczeniu nie ma w nich mowy, i później, gdy prezydujący w komitecie, Oktawian Jaroszyński, zaproponował, by komitet wyraził swą opinią stanowczą, jakiej zasady pragnie się trzymać co do uwłaszczenia włościan, większość szlacheckiego tego zebrania sądziła, że pytanie to jest niewłaściwem i przedwczesnem. Wywołało to oczywiście oburzenie w sferach młodzieży liberalnej, która nie przestała członków komitetu piętnować mianem zacofańców.

Tego rodzaju rozprawy i spory, bronione przez postępowców silnie, popierane poważnymi argumentami, z wiarą w ich prawdę i zbawienne dla kraju skutki, nadawały społeczeństwu polskiemu tej epoki w kresowych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, niezwykły, dawno tu już zapomniany charakter ożywienia. Ruch był znaczny na każdem polu i nosił na sobie cechę polską. W Żytomierzu szlachta wołyńska postanowiła założyć teatr polski i utrzymywać go kosztem własnym. Mikulicz, marszałek gubernialny wołyński, oddał ten teatr w administracyą doświadczonemu kierownikowi scen polskich Adamowi Miłaszewskiemu, honorowy kierunek częścią estetyczną powierzono Kraszewskiemu, dopóki mieszkał w Żytomierzu. Zobowiązano się dawać teatrowi rocznego subsydyum 3000 rubli. Świadczyło to o dobrych, a nadewszystko polskich chęciach tej samej szlachty, która współcześnie w tak ważnej i doniosłej kwestyi, jak kwestya chłopska, zajmowała stanowisko zacofane i odznaczała się pojęciami średniowiecznemi.

Taki był stan prowincyi południowo-zachodnich, jak je zwano w języku urzędowym, gdy w jesieni, w pierwszych dniach Października 1859 r. cesarz Aleksander II-gi tu zjechał. Najprzód odwiedził Kijowszczyznę, starą Ukrainę polską. W Kijowie marszałkowie szlachty wyprawili mu bal, a dziedzice Białocerkwi, hrabiowie Braniccy świetne polowanie w swych dobrach, zaćmiewające przepychem zeszloroczne polowania Tyszkiewicza na Litwie i Potockiego w Wilanowie. Cesarz był grzeczny, wesoły, łaskawy, ale z granic zwykłych, towarzyskich, nic nie znaczących rozmów, ani na chwilę nie wyszedł. Dopiero zmusiła go niejako do aktu politycznej doniosłości szlachta podolska i przekonała się tak samo jak szlachta w Koronie, jak nazywano przez tradycyą Królestwo, że oprócz złagodzenia form, miękkości w dzierżeniu steru rządowego, niczego się więcej spodziewać nie może i nie powinna.

Na powitanie monarchy szlachta podolska zjechała się do Kamieńca tłumnie i za inicyatywą kilku ludzi czynniejszych i energiczniejszych, postanowiła podać adres do cesarza. Na dwa dni przed przybyciem Aleksandra, adres ten był gotowy. Dziękując w nim monarsze za pozwolenie oswobodzenia włościan z poddaństwa, oraz wychodząc z przekonania, że cesarz dla tego objeżdża prowincye, żeby poznać dokładnie i naocznie ich potrzeby, szlachta podolska ośmiela się przedstawić najjaśniejszemu panu, że religia rzymsko-katolicka nie używa przynależnych jej praw, że język polski wykluczony z sądu i szkoły, i „pozbawiony praw żywego języka“, że urzędy, które według przepisów winny być sprawowane przez ludzi, wybieranych na ten cel przez szlachtę, są obsadzane od korony — domagała się w wyrazach pełnych pokory i powagi zarazem, by te „niedostatki“ były usunięte.

Zredagowawszy ten dokument, uchwalono, by marszałek gubernialny i wszyscy powiatowi udali się do jenerał-gubernatora kijowskiego Wasilczykowa i uprzedzili go, że adres ma być podany. Wasilczykow, człowiek nie zły, lubiący szlachtę polską, obojętny na wszystko z wyjątkiem

dobrej kuchni i ładnej kobiety, przeczytawszy adres, zmięszał się mocno i począł przedstawiać marszałkom, że to, czego domagają się, jest po większej części niczem nieusprawiedliwionem i na fałszywych zasadach opartem żądaniem. Twierdził więc, że religia rzymsko-katolicka nie jest prześladowaną, że mogło to być dawniej, za cesarza Mikołaja, ale nie dziś; że o język polski w szkole i sądzie niesłusznie się szlachta upomina, boć przecie Podole jest krajem rosyjskim, a nie polskim. W jednem tylko przyznal racyą adresowi, to jest co się tycze urzędników wybieranych nie przez szlachtę, ale mianowanych od korony i pod tym względem przyrzekał zrobić do cesarza przedstawienie. W końcu prosił, nalegał i groził nawet, by adresu nie podawano.

W trzy godziny po tej rozmowie, dnia 13 Października, wśród tłumów ludu witającego monarchę okrzykami, Aleksander II-gi wjechał do starego, pełnego pamiątek dawnej chwały polskiej, Kamieńca Podolskiego. Na ganku, pod perystylem domu gubernatorskiego, stała zebrana szlachta, urzędnicy cywilni i wojskowi. Przy odgłosach grzmiącego „hura!“, odbijającego się o odwieczne mury Kamieńca, konającego u stóp Matki Bożej depczącej na minarecie półksiężyc turecki, cesarz otoczony błyszczącą świtą jenerałów i adjutantów, pojechał najprzód do cerkwi prawosławnej, zkąd wróciwszy przyjmował zebranych w sali audyencyonalnej domu gubernatorskiego. Tu szlachta, wbrew zwyczajowi, umieszczona przez Wasilczykowa na samym końcu, po urzędnikach wojskowych i cywilnych, nie uznała za stosowne podawać adresu na posluchaniu do pewnego stopnia publicznem, postanawiając prosić o szczegółową dla siebie nazajutrz audyencyą. Cesarz, powitawszy urzędników, zbliżył się do szlachty i dziękował jej w wyrazach, przejętych szczerością, za pomoc w sprawie włościańskiej i objawił nadzieję, że szlachta nie zatrzyma się na półdrogi, ale zrobi to wszystko, czego wymaga interes ludzkości i państwa.

Wieczorem tego samego dnia Aleksander był na balu,

wydanym dla niego przez szlachtę. Gdy zabawiwszy parę godzin, odjechał, jenerał-gubernator Wasilczykow zebrał w jednym z salonów marszałka gubernialnego i wszystkich powiatowych, oraz kilkunastu wybitniejszych z pomiędzy szlachty obywateli, i tonem suchym, ostrym, z odcieniem lekkiej groźby, zawiadomił zgromadzonych, że adres, jaki postanowili podać, jest aktem nielegalnym, że szlachta ma prawo podawać adresy tylko od koła wyborczego, a wybory jeszcze nie zostały rozpoczęte, że wreszcie adresu podać nie mogą i zapewne nie podadzą. Gdy na te słowa nie otrzymał od zebranych żadnej odpowiedzi, zawiadomił ich, że na skutek prośby o audyencyą, cesarz przyjmie ich jutro o godzinie 10tej rano, a przyjmie dlatego, by mu mogli podziękować za to, że był na balu przez nich wydanym. „Podziękujecie mu panowie i nic więcej", rzekł w końcu. Odchodząc dodał: „dziś już nie będziecie mieli panowie sposobności podać adresu, a jutro będzie zapóźno. Najjaśniejszego pana uprzedzę o treści adresu i nie przyjmie go".

Słowa te świadczyły, że sprawa adresu jest stanowczo przegraną, i większość szlachty poczęła się wahać, byli nawet tacy, którzy radzili dać wszystkiemu pokój. Zresztą, czyby chciano spełnić pierwotne życzenie, czy nie, rzecz już teraz bezwarunkowo przyjść nie mogła do skutku. Gdy bowiem nazajutrz marszałkowie o naznaczonej godzinie przybyli na posłuchanie, cesarz wyszedł do nich z twarzą surową, i obrzuciwszy zebranych badawczym wzrokiem, spytał po rosyjsku głosem, któremu chciał nadać ton groźny, a który lekko drżał: „kiedy u was wybory?" Gdy mu odpowiedziano, że jutro, rzekł: „wiem, że macie zamiar podać mi adres, ale narady wasze są nielegalne. To knowania! (zamaszki). Nie zapominajcie, że to kraj rosyjski a nie polski, i pamiętajcie, że mi stokroć przyjemniej chwalić i dziękować, niż dawać napomnienia".

Tegoż dnia po południu opuścił Kamieniec, zostawiając w sercu szlachty polskiej bolesny zawód i boleśniejsze rozczarowanie. „To kraj rosyjski", powtarzano sobie z go-

ryczą i z tem samem uczuciem, z jakiem przed kilku laty powtarzała Warszawa sławne „precz z marzeniami“, a przed rokiem Białoruś o „mniemanej narodowości polskiej“. Wobec znanych nam już przekonań, stanowiących artykuł wiary większości ówczesnego społeczeństwa, że Polskę tworzy wszystko, co niegdyś do r. 1772 do niej należało, słowa, że „Podole jest krajem rosyjskim“, wywołały silne rozdrażnienie i poczucie potrzeby przekonania tak Aleksandra jak i Rosyi, że jest inaczej. Niestety! to pragnienie, przez fatalność ścigającą losy i przeznaczenia polskie, miało się rychlej niż przypuszczano zaspokoić, ugasić potokami krwi polskiej!

Pobyt cesarza w Warszawie, dokąd przybył d. 17 Października [1]), rozchwiał także tę resztę złudzeń, jakie jeszcze miano, że powoli, jeżeli nie stan z przed 1831 r., to przynajmniej jakieś ważniejsze nastąpią zmiany. Tym razem oprócz zabaw, przeglądów, przejażdżek, cesarz wcale nie zajmował się sprawami kraju. Otaczali go znowu liczni książęta niemieccy, stanowiący jakby wspaniały, gwiaździsty orszak słońca rosyjskiego, podnoszącego się z poza tumanów mgły sewastopolskiej, w nowym, stokroć świetniejszym blasku. Był tu Wilhelm ks. Oranii, następca tronu niderlandzkiego; był tu ks. August Wirtemberski, był wielki ks. Karol sasko-wejmarski, był arcyksiąże austry-

---

[1]) Ponieważ podówczas nie było jeszcze kolei, jechał więc Aleksander końmi na Żytomierz i Lublin. Na stacyi pocztowej Stepankowice, z tej strony Bugu, będącej pierwszą w granicach Królestwa Polskiego, przyjmował przybywającego monarchę, marszałek szlachty lubelskiej, książę Woroniecki, w mundurze wojskowym, jako były jenerał wojsk rosyjskich. Przez parę dni poprzednich padały deszcze jesienne, i drogi znacznie się popsuły. Cesarz był zmęczony, a nadewszystko głodny, gdyż wyjechał z Żytomierza po lekkiem śniadaniu, i tłukąc się po błotach i wertepach wołyńskich, nie miał nic przez cały dzień w ustach. Spodziewano się, że w Stepankowicach Woroniecki przygotuje jakie przyjęcie; tymczasem nie zastano nic, tylko marszałka wyprostowanego jak struna. Opowiadano sobie później, że któryś z Adlerbergów, towarzyszący cesarzowi, miał rzec do Woronieckiego: „poco u dyabła było się stroić

jacki Albrecht, był nakoniec, mało jeszcze wówczas znany, w ciszy czasu kujący pioruny, najzaciętszy wróg polski, pełnomocny minister pruski hr. Bismarck-Schönhausen. Że to i owo mówiono o Polsce, że zwłaszcza Bismarck wskazywał na niebezpieczeństwo blizkiego w niej powstania, to zdaje się nie ulegać kwestyi, ale głównie zajmowano się zabawami i przeglądami wojsk. Warszawianie patrzyli na przepych, jaki przed nimi roztaczano, i w braku czego innego, pocieszali się choć tem, że na zabawach i balach publicznych cesarz dużo mówił po polsku, że z Drzewieckim, dyrektorem Kom. sprawied. przez parę godzin rozprawiał o zamierzonej w przyszłości reformie sądowej w Królestwie. Dla cesarza i jego gości wydali świetne bale: hr. Kossakowski, prezes Heroldyi, i namiestnik; u tego ostatniego złota młodzież warszawska i damy świata arystokratycznego przedstawiały żywe obrazy. Nakoniec po dziesięciodniowym pobycie, obdarzywszy teatra warszawskie 20,000 rs. w celu postawienia ich na świetniejszej stopie, Aleksander IIgi opuścił Warszawę, żegnany z mniejszym, niż dotąd bywało, entuzyazmem.

Niezadowolenie bowiem wzrastało i wzrastać musiało, gdy z jednej strony były żądania, których żaden car rosyjski, chyba siłą do tego zmuszony, urzeczywistnić nie może; z drugiej niechęć do wszelkich ustępstw, do wszelkiej za-

w mundur jeneralski, kiedy jeść ani pić niema!“ Ruszono więc co prędzej do Lublina i cesarz miał mówić: „stary Mackiewicz nas nakarmi, to mój stary druh, znam go dobrze i oddawna“. Mackiewicz był gubernatorem cywilnym lubelskim, i istotnie przygotował kolacyą, na której pierwsze miejsce zajmowała starka litewska. Rozweseliła ona humory przybyłych: wódkę chwalono bardzo, co Mackiewicza, jako Litwina z rodu, mocno cieszyło. Złośliwi plotkarze miejscy mówili wprawdzie, że starka ta nie pochodziła wcale z piwnicy gubernatorskiej, ale od kupca Zaszczyńskiego. Mniejsza zresztą o to, dość, że wódka cesarzowi bardzo smakowała i Mackiewicz ostatnie dwie butelki włożył na drogę do powozu. Aleksander odjeżdżając był bardzo dla Mackiewicza uprzejmym i po kilkakroć nazwał go „dobrym swoim starym znajomym“, co jednak później, w r. 1861, nie obroniło gubernatora od dymisyi.

miany rządów wojskowych na rząd spokojny, oparty na prawie i zadość czyniący istotnym potrzebom narodu. Z tego stanu rzeczy nie omieszkali skorzystać domorośli rewolucyoniści i zagraniczni czerwieńcy polscy i międzynarodowi wichrzyciele. W Warszawie tworzyło się teraz mnóstwo kół i kółek, których efemeryczna egzystencya, jeżeli nie zasługuje na zaznaczenie w historyi, to w każdym razie była oznaką coraz silniejszej gorączki, ogarniającej naród a nadewszystko młodzież. Najważniejsze koła: akademików i Jankowskiego wzrastały z każdym dniem w siłę, konsolidowały się i organizowały coraz lepiej i ściślej. W kole akademików po ucieczce za granicę Kurzyny, pojawiła się na jego miejsce nowa osobistość, której zbiegły powierzył przewodnictwo. Osobistością tą był Karol Majewski, człowiek młody, pochodzący ze znanej w Warszawie rodziny, która wydała kilku znakomitych prawników. Uczył on się wtedy w Berlinie i na wieść o otworzeniu w kraju Akademii medycznej wrócił do Warszawy, gdzie wśród młodzieży odrazu zajął bardzo wybitne stanowisko przez swój rozum, energią niepospolitą, zdolności niezwykłe i charakter przyjacielski, pozornie miękki, łagodny, niemniej przeto wpływowy i stanowczy. Jasny blondyn, nieładay, nieco ospowaty, ale nader sympatyczny w obejściu, gdy począł mówić swym głosem łagodnym, spokojnym, owładał młodzieżą i kierował nią jak chciał. Gorący patryota, w tem znaczeniu, w jakiem wówczas uważano patryotyzm, nie miał jednak zdecydowanych przekonań co do tego, jaką drogą Polska może i winna być zbawioną. Ogrom tego zadania i ogrom odpowiedzialności olśniewał go i wprawiał w stan ciągłego wahania się między stronnictwem skrajnie rewolucyjnem Mierosławczyków i Jankowskiego, między Millenerami Jurgensa i partyą Klemensowczyków, partyą pracy organicznej. Zdawało mu się, że wszędzie leży cząstka prawdy, i dlatego wszędzie miał stosunki, wszędzie należał do narad i wychodząc z dymnej, ciasnej izdebki Jankowskiego był mocno czerwony, by nazajutrz poszedłszy do Jurgensa, stać się Mil-

lenerem, lub w parę dni potem wyznawcą pracy organicznej, która miała Polskę strącić z drzewa rosyjskiego, jak owoc dojrzały, bez wysiłków i bez walki. Wskutek tych wahań nie dowierzano mu nigdzie zbytecznie, choć liczono się z nim, jako z człowiekiem wpływowym, ale Majewski nie zajął w ruchu nigdy tego pierwszorzędnego stanowiska, jakie winien był zająć przez swe zdolności, niezwykłą inteligencyą i charakter osobisty.

Bądź co bądź, w tej chwili, w połowie 1859 r., stał on niejako na czele koła akademików po ucieczce Kurzyny. Przedewszystkiem dość luźne części stowarzyszenia uorganizował on w jednę całość spójną. Na wzór trójek kijowskich i petersburskich, wprowadził piątki i dziesiątki, i nad każdą ustanowił osobnego naczelnika. Do biblioteki sprowadził z zagranicy nowe broszury, pamflety i świstki emigracyjne z odcieniem najczerwieńszego rewolucyonizmu. Między obu kołami: akademików i Jankowskiego, nie różniącemi się zresztą prawie wcale co do swych przekonań, były ciągłe stosunki, ale że koła te stały oddzielnie, szły osobno, stanowiło to ich wadę i słabość.

Jankowski więc, człowiek wytrawny w tego rodzaju podziemnych robotach, zamierzył wszystkie koła złączyć ze sobą, stworzyć z nich jednę całość, już przez to samo dużo znaczącą, że liczną. Robił to zresztą nie bez wpływu Mierosławskiego, który chciał mieć w Warszawie jakieś ciało, do którego mógłby się udawać w razie potrzeby i rozkazywać mu, bo chciał on zawsze rozkazywać z bezpiecznego kąta w Paryżu, jako urodzony dyktator Polski. Jankowskiemu znowu uśmiechała się myśl kierowania całym ruchem rewolucyjnym w Polsce, do czego nieodbicie potrzebnem było zjednoczenie wszystkich związków, samopas dotąd idących. Najpoważniejszem było koło Jurgensa, koło Millenerów, tak ze względu na samego ich przewodnika, jak i na osoby, wchodzące w skład tego stronnictwa. Zbliżył się więc do niego, rozpoczynał rozprawy i spory, ale ostatecznie przekonali się obaj przodownicy, że zlanie się tych dwóch stronnictw równie jest niemożebne, jak

połączenie ognia z wodą. Jankowski chciał działać, spiskować, tworzyć w całym kraju organizacyą, rozesłać ajentów, przygotowywać jednem słowem powstanie; Jurgens uważał, że wszelka akcya dążąca do powstania jest na teraz przedwczesną i zgubną, i chciał czekać na sprzyjające okoliczności, które według niego wcześniej czy później nastąpić niezawodnie miały.

Rezultat był taki, że po kilku naradach deputowanych obu stron, Jankowski widząc, że nie przekona Jurgensa i nie pociągnie go ku sobie, przerwał pertraktacye i zwrócił się ku akademikom. Robił to w ostateczności, gdyż koło akademickie nie wiele cenił, uważał je za złożone z dzieci, ze „smarkaczów", którym Bóg wie, co po głowach się troi, którzy nakoniec oczekują na jakąś pomoc z Zachodu, kiedy powstanie może tylko w sobie samem znaleść siłę, zdolną do wyrzucenia najazdu obcego. Nie było jednak innej rady. Dla dobra sprawy, dlatego, by siły rozstrzelone nie marniały w szamotaniu się bezowocnem, odrzucony przez Millenerów, musiał Jankowski, acz niechętnie, zwrócić się do „smarkaczy".

Rozpoczęto więc pertraktacye; wybrano z obu stron delegatów, którzy mieli się schodzić w mieszkaniu Majewskiego na ulicy Chmielnej. Ze strony akademików stawili się trzej bracia Frankowscy, Stanisław, Jan i Leon, z Podlasia rodem, zacięci, niezmęczeni spiskowcy; Karol Nowakowski, młody zapaleniec, uczeń szkoły sztuk pięknych, brat znanego nam już bibliotekarza Świdzińskich, Erazma; Rafał Krajewski, budowniczy, jako przedstawiciel miasta; Jan Banzemer i Lewenhardt, jako literaci. Ci wszyscy, reprezentując niejako wszelkie słoje społeczne Warszawy, stanowili delegatów od koła akademików.

Od koła Jankowskiego wydelegowano Bolesława Dehnela, Poznańczyka rodem, urzędnika kolegium kościelnego luterskiego w Warszawie i współpracownika „Gazety codziennej", człowieka charakteru łagodnego, ujmującego, pełnego szlachetności i gotowości do wszelkich ofiar; był to typ nader sympatyczny tego pokolenia marzycieli i czci-

cieli nieziemskiej polskiej ojczyzny. Prócz niego w skład deputacyi wchodzili dwaj synowie obywatelscy: Stanisław Krzemiński i Julian Wereszczyński, pod wielu względami podobni do Dehnela.

Po długich, nieraz krzykliwych i nieładem swoim przypominających sejmy dawne polskie, debatach, większością głosów zadecydowano zlanie się obu kół i utworzenie komitetu pod dziwaczną nazwą „Kapituły warszawskiej". Do Kapituły tej wybrano: Jankowskiego, Dehnela, Krzemińskiego, Wereszczyńskiego i Majewskiego, który miał pełnić obowiązki kasyera. Wybór ten świadczył, że Jankowski opanowawszy koło akademików, prawie całkiem usunął jego przedstawicieli od wszelkiego udziału w tym pierwszym z porządku komitecie rewolucyjnym.

Członkowie Kapituły odbywali swe posiedzenia w mieszkaniu Jankowskiego, który teraz przeniósł się na ulicę Marszałkowską, lub u Dehnela, w domu gminy luterskiej na ulicy Królewskiej i podzielili pomiędzy siebie zajęcia. Dehnel, który niegdyś brał udział w powstaniu poznańskiem i był wielbicielem Mierosławskiego, wziął na siebie korespondencyą z „wodzem zmartwychwstałym"; Wereszczyński, który uczęszczał był na uniwersytet kijowski i miał tam swoje stosunki, postanowił je odświeżyć i przez to działać na Ruś; Lewenhardt, jako wychowaniec uniwersytetu Jagiellońskiego, z Krakowem i Galicyą; Banzemer, ponieważ uczył się we wszechnicy berlińskiej, miał prowadzić korespondencyą z młodzieżą polską, bawiącą tam na wykładach. Krzemiński został bibliotekarzem, Majewski, jak wiemy, kasyerem.

Czasu, w którym się to stało, trudno określić. Dość, że już w póżnej jesieni 1859 r., mniej więcej w chwili, gdy Aleksander syt zabaw, blasku przeglądów wojskowych, widoku żywych obrazów paziów i dam warszawskich, opuszczał starą Polski stolicę, Mierosławski nasłał zaraz do kraju mnóstwo broszur, świstków ulotnych, pieśni patryotycznych, portretów swoich, Kościuszki i Kilińskiego, które akademicy rozrzucali wszędzie dla „podniesienia ducha

w narodzie". Kapituła zawiązała z Mierosławskim stosunki, za pośrednictwem Kurzyny sprowadzała czasopisma zagraniczne polskie i gorliwie pracowała nad podniesieniem owego ducha, którego wcale już podnosić nie trzeba było, tak rwał się i szamotał w ciasnych kajdanach rosyjskich.

Jakikolwiek jednak krąg działalności, która na teraz nie mogła być wielką i zbyt znaczącą, obrali sobie pojedynczy członkowie Kapituły, to wszelako z chaotycznego zamętu rozmaitych kół i kółek, rosnących i umierających na anemią na bruku warszawskim, wytworzyło się już ciało osobne, skonsolidowane, uorganizowane, kwintumwirat, który miał rządzić wszystkiem i wieść naród polski ku strasznej przyszłości powstania. To, co miało dotąd nieokreślone formy, stało się teraz spiskiem, konspiracyą, przyoblekło się w ciało, chwyciło rodzaj władzy w swe ręce. Cezarowa kość była rzucona i Rubikon przekroczony.

Któż jednak kiedy powstrzymać jest zdolen wodze spisku i rewolucyi? Kapituła spostrzegła wkrótce, że na posiedzenia jej zjawia się i Adam Asnyk, najgorętszy z gorących, zjawiają się i Frankowski i Nowakowski, i zresztą kto chciał i nie chciał, boć przecie szło o ojczyznę, a do decydowania o jej losach, każdy się czuł upoważnionym. To, co Jankowski, Dehnel i Majewski zamierzali uczynić przez zorganizówanie zwierzchniego jakiegoś ciała, to jest powstrzymać młodzież od natychmiastowego wybuchu i rozpocząć poważne przygotowania, stawało się prawie niemożebnem wobec nacisku różnych samorodnych czerwieńców, którzy domagali się powstania, wyrznięcia Moskali, Bóg wie wreszcie czego. Zpoczątku Kapituła stawiała tym nierozsądnym żądaniom śmiałe i zwycięzkie czoło, ale widziała, że i ją porywa szalony wir wypadków. Znalazła wprawdzie poparcie w całej młodzieży akademickiej, ale któż mógł zaręczyć, że gdzieś, na uboczu, nie utworzy się jakie inne ciało, które będzie robiło głupstwa? Kapituła nie miała mocy do powstrzymywania wszystkich szaleńców, i chorówała na to, na co chorują wszelkie spiski, na bezsilność wobec innego spisku. A przytem w tych umy-

słach rozgorączkowanych, rozbolałych cierpieniami i niedolą kraju, co chwila podnosiła się wątpliwość, czy mają prawo kłaść tamy jakiejkolwiek działalności? a nuż ta działalność będzie dobrą i zbawienną dla kraju? czy stawiając jej zapory, nie popełni się przez to zabójstwa na własnej ojczyźnie? Któż może zapewnić, że droga, wybrana przez inny spisek, nie jest lepszą, bardziej odpowiadającą celowi?

Z drugiej strony Kapituła toczyła uparty spór z emigracyą, a właściwie z Mierosławskim. Majewski wchodząc do związku, postawił za pierwszy warunek, by Kapituła nie zależała od emigracyi, oddalonej od kraju, nieznającej obecnego położenia i pragnącej rządzić Polską z Paryża; twierdził, że nie Kapituła ma otrzymywać rozkazy od Mierosławskiego, ale raczej ten ostatni od niej. Oczywiście urodzony dyktator polski, nie chciał o tem nawet słyszeć, nazywał to „buntem" przeciw swej prawowitej władzy. Ztąd wywiązała się walka, spory, wyrzuty wzajemne. Majewski, zgodnie ze swym charakterem, usiłował tę burzę, nurtującą Kapitułę, uspokoić; jeździł nawet do Poznania, gdzie się spotkał z Kurzyną, przedstawiał mu niestosowność, by kraj był kierowany z Paryża, ale to wszystko nie na wiele się zdało. Mierosławskiego najoczywistsze, najlogiczniejsze wywody przekonać nie mogły.

Wobec takich sporów i wątpliwości, nikt nie śmiał poważnych stawiać przeszkód naciskowi szaleńców, których przecież pchała do tego gorąca, najczystsza miłość ojczyzny. A zresztą czasy były takie, że wszystko wrzało, wszystko zdawało się płynąć ku jakiejś świetnej, swobodnej, jasnej przyszłości. Na niebie ludów ukazywały się rozliczne znaki niedalekiej wolności i braterstwa. Po wojnie włoskiej, która w tak cudowny, rzec można sposób oswobodziła słoneczną Italią od jarzma austryackiego, Garibaldi z garścią straceńców wylądował w Marsali i na skrzydłach zwycięztwa szedł do Neapolu i rozbijał na szczątki tyrański rząd Burbonów. Zamierzał stworzyć legion zagraniczny, którego dowództwo ofiarował Mierosławskiemu. Na wieść o tem,

w kraju entuzyazm między młodzieżą był wielki; marzono, że po zniesieniu monarchii Burbonów w Neapolu, „zmartwychwstały wódz“ pójdzie na czele swych szyków „z ziemi włoskiej do Polski“. A gdy Garibaldi zadawał cios po ciosie staremu porządkowi rzeczy w państwie Obojga Sycylii, gdy szedł jak wicher, i w końcu został dyktatorem Neapolu, zdawało się, że nic mu już nie może przeszkodzić, że poczyna się „wielka jutrznia odrodzenia świata“. W kraju z chciwością czytano gazety, powtarzano każdą wieść, zachwycano się zwycięztwami, ubierano się w czerwone, garibaldyjskie koszule, i pasy i buty wysokie, noszono w spinkach portrety wodza włoskiego, ozdabiano niemi ściany salonów obok Kościuszki i księcia Józefa, przeklinano Burbonów i zapowiadano rychły zgon tyranii i upadek despotów. Po ulicach Warszawy i wszystkich nieomal miast i miasteczek, włóczyło się mnóstwo Włochów w bandyckich, kalabryjskich kapeluszach, z katarynkami, które wygrywały nieustannie marsz Garibaldiego i prawdziwy kult tego wodza, rozpowszechniały po Polsce.

Wszystko to, jak z jednej strony rozpalało jeszcze bardziej i tak już rozgorączkowane umysły młodzieży, dolewało oliwy do ognia, tak z drugiej utwierdzało ją w tem przekonaniu, iż zdanie Jurgensa i Majewskiego, że nie nadszedł jeszcze czas do działania, niema żadnej podstawy, jest zdaniem tchórzów lub niedołęgów; że teraz właśnie, gdy daleko, na południu, pod lazurowem niebem włoskiem unosi się purpurowy sztandar rewolucyi, i po uciśnionych ludach przebiega tajemniczy dreszcz odrodzenia, że teraz właśnie działać trzeba szybko i stanowczo. Byli tacy, co układali już plan powstania. Chcieli oni skorzystać z jakiego wielkiego odpustu w Częstochowie, zgromadzić tam z pół miliona pielgrzymów, broń przynieść pod płaszczami, gorącemi mowami zachęcić lud do powstania i na czele tej rozentuzyazmowanej masy, rzucić się na Moskali. Takie szalone, wylęgłe w chorych głowach projekta, snuli ci ludzie, i bronili ich zacięcie i namiętnie, z wiarą w ich powodzenie. Nacisk tych ultraczerwieńców, tych pijanych

złudzeniem serc, był tak silny, narady były tak głośne i burzliwe, że nawet ówczesna policya warszawska, złożona z Polaków, a przytem zdeorganizowana trochę przez miękkie, liberalne prądy czasu, zwróciła na to uwagę. Ostrzeżono Jankowskiego, który z tego powodu, oraz dla porozumienia się z Mierosławskim w sprawie legionu zagranicznego i w sprawie interesów rewolucyjnych, a głównie dla urządzenia stałej i pewnej komunikacyi między Warszawą i Francyą, wyjechał z kraju. Był w Paryżu u Mierosławskiego, i wróciwszy, jeździł jakiś czas z Poznania do Krakowa i odwrotnie, zawiązywał tam stowarzyszenia, tworzył koła i kółka. Jego częste podróże zwróciły uwagę władz austryackich: poczęto go śledzić i w końcu przyaresztowano go na komorze granicznej w Szczakowy, gdy wracał z Poznania do Krakowa. Znaleziono przy nim różne kompromitujące go papiery, choć starał się niektóre podrzeć, a nawet kilka połknął, lecz i z tych, jakie ocalono, policya austryacka przekonała się, że tworzą się w granicach dawnej Polski związki w celu zbrojnego powstania. Kilkanaście osób w Krakowie, przeważnie młodzieży szkolnej, aresztowano i wysłano do domu, a Jankowskiego po śledztwie, po długiej korespondencyi między naczelnikiem policyi krakowskiej, Wukachowiczem, a konsulem austryackim w Warszawie Ledererem i prezesem komisyi śledczej w cytadeli, margrabią Pauluccim, wydano w ręce rosyjskie i w końcu 1860 r. przywieziono do cytadeli warszawskiej. Tym sposobem zeszedł na zawsze ze sceny jeden z najpierwszych i najenergiczniejszych przewódców rewolucyjnego ruchu w kraju, szczęśliwy, że nie brał udziału w strasznych późniejszych scenach, że nie patrzał własnemi oczami na krwawe owoce swego ślepego, nie kierowanego rozumem patryotyzmu [1]).

W Krakowie istotnie objawiał się między młodzieżą ten sam ruch z charakterem rewolucyjnym, jaki panował

[1]) Jankowski po długiem siedzeniu w cytadeli, zesłany został na Sybir, gdzie dostał pomięszania zmysłów, i koło r. 1867 umarł.

i w Warszawie. Wojna włoska zmusiła Austryą do ustępstw, do pogodzenia się z tak zwaną ideą narodowości, którą przed wojną nazywała w publicznych swych odezwach „najniebezpieczniejszą utopią“. Namiestnikiem Galicyi został Agenor Gołuchowski, który jadąc do Lwowa, dawał się głośno słyszeć, że rząd nie chce tępić podwładnych sobie narodowości, że język polski przywrócony zostanie w szkołach i urzędach. Wszystko to oczywiście wpływało na ożywienie, na niezwykły w tej nieszczęsnej krainie, stoczonej do szpiku przez robactwo rakuskie, ruch umysłów. Młodzież uniwersytecka w Krakowie, zjechawszy się po wakacyach 1859 r. uchwaliła upomnieć się o wykład polski na uniwersytecie i w tym celu wysłała do Wiednia dwóch delegatów: Wolka i Szczepańskiego. Obu delegatów tych aresztowano, ale ruchu tem bynajmniej nie wstrzymano, a rezultat śledztwa w sprawie Jankowskiego, pokazał rządowi austryackiemu, że na całym obszarze dawnej Polski panuje wielkie wzburzenie umysłów i silne pragnienie wydobycia się z dotychczasowego smutnego politycznego położenia.

Kapituła warszawska, pozbawiona swego przewodnika, nie miała już siły do stawienia czoła burzliwym falom, uderzającym w nią z coraz większą wściekłością. Młodzież, tacy Nowakowscy, Frankowscy, Asnyki, cała ta grupa głów zdolnych, gorących, szalonych, domagała się nieustannie czynu, zamanifestowania publicznego przed rządem rosyjskim swych uczuć, podniesienia w narodzie ducha, który wydawał im się być niedość jeszcze wysoko napiętym. Jak zwykle, gdy umysły są nastrojone w jakim kierunku, gdy pragną czegoś, pożądana rzecz się zjawia; tak samo i tutaj, dla tych, co chcieli się manifestować i wyczekiwali tylko na szczęśliwą sposobność, na jakiś przyjazny zbieg okoliczności, okoliczność się taka przytrafiła.

Zdarzyło się mianowicie, że dnia 9 Czerwca 1860 r. wśród rewolucyjnych wichrów, szalejących po umysłach, wśród odgłosu dział, dobiegających aż tutaj z nad zatoki

Neapolitańskiej, zmarła w Warszawie Katarzyna Sowińska, wdowa po jenerale, który bohaterską śmiercią poległ na ołtarzu kościółka wolskiego we Wrześniu 1831 r. Trzeba było tych czasów gorących, tej palącej atmosfery, przesiąkniętej burzą, by śmierć kobiety starej, ośmdziesięcioletniej przeszło, którą dotąd nikt się nie zajmował, nikt prawie nie wiedział o jej egzystencyi, stała się niejako punktem wyjścia dla wielkiej, historycznej tragedyi. Córka niegdyś dyrektora mennicy za Stanisława Augusta, Szrederówna z domu, a z pierwszego małżeństwa Jonas, kalwinka, od śmierci męża pędziła życie ciche, spokojne, poświęcone uczynkom miłosiernym. W dobrach swoich oddawna chłopów oczynszowała. Jako wdowa jednak po jenerale polskim, który umiał umrzeć heroicznie za ojczyznę, miała na siebie zwrócone baczne oko policyi. W r. 1835 ktoś z emigracyi napisał do niej list, który na poczcie przejęto, i Paskiewicz osadził Sowińską na dożywotnie więzienie w klasztorze Benedyktynek w Łomży, zkąd ją jednak w dwa lata później uwolnił. Odtąd żyła cicho, zajęta wyłącznie swymi ubogimi. Umarła na apopleksyą na ulicy Świętokrzyzkiej, w chwili właśnie, gdy szła z pomocą do jakiejś biednej wdowy.

Prawdopodobnie uwagę czerwieńców zwróciły ogłoszenie w „Kuryerze“ i plakaty, zwane w Warszawie klapsydrami, donoszące o śmierci Sowińskiej [1]). Niejaki Mateusz Gralewski, syn chłopa z Łęczyckiego, który niedawno powrócił z Kaukazu, oraz drugi jeszcze wygnaniec, Sybirak, zdaje się, Agaton Giller, który dzięki amnestyi, znalazł się w kraju, zaproponowali młodzieży szkoły sztuk pięknych, ażeby skorzystali z tej okoliczności, uczcili za-

---

[1]) „Kuryer warszawski“ z d. 10 Czerwca 1860 r. zawiadomił, że „w dniu wczorajszym o godz. 1-ej z południa zakończyła życie wdowa po b. pułkowniku b. wojsk polskich, Katarzyna Sowińska, lat 85. Zwłoki jej odprowadzone będą na cmentarz Ewangelicko-Reformowany d. 11 b. m. o godz. 6ej wieczorem“. Na klapsydrach zmarłą nazwano wdową po b. komendancie szkoły aplikacyjnej b. wojsk polskich.

sługi jenerała Sowińskiego, a w gruncie rzeczy żeby zapuścili sondę w głębie ludowe. Myśl ta podobała się powszechnie i Karol Nowakowski wziął się do urzeczywistnienia projektu Gralewskiego. Zaraz też na klapsydrach pojawiły się dopiski ołówkiem porobione: „niech żyje Polska! cześć bohaterowi Sowińskiemu!"; na innych znajdowały się ustępy ze znanej pieśni o Sowińskim, pojedyncze wiersze, jak np.: „krzycz pardon! Moskal go wzywa, on mu kulą pierś przeszywa, oto masz pardon Polaka" i t. p.

Policya spostrzegła, że się coś gotuje. Plakaty z dopiskami pozrywano i dla położenia tamy gotującej się manifestacyi chwycono się środka dość niezręcznego. Ajenci policyjni poczęli mianowicie rozpuszczać pogłoskę, że pogrzeb się już odbył, albo że dopiero o 8ej wieczorem się odbędzie, kiedy ogłoszenia zapraszały na szóstą; że zmarła nie była wcale żoną jenerała, ale tylko jego imiennika; twierdzono nawet, że dobrym katolikom nie wypada być na pogrzebie heretyckim. Półśrodki te jednak na nic się nie zdały, nie oszukano nimi czujności młodych czerwieńców, którzy doskonale o wszystkiem wiedzieli, mieli swe stosunki i wpływy w mieście, i zdecydowani byli na doprowadzenie manifestacyi do skutku.

Jakoż wśród drobnego ale rzęsistego deszczu zebrały się w oznaczonym dniu i godzinie tłumy publiczności na ulicy Królewskiej, gdzie mieszkała Sowińska. Cała ulica została zajęta przez karety i dorożki, a studenci szkoły rolniczej w Marymoncie pod Warszawą najęli kilka ekwipaży pocztowych dla odwiezienia z cmentarza młodzieży z powrotem do miasta. Gdy wyniesiono zwłoki zmarłej i służba pogrzebowa chciała trumnę wstawić na karawan, młodzież przeważnie w niebieskich i czerwonych kołnierzach, nie pozwoliła na to i na swych ramionach poniosła ciało ulicami Żabią, Elektoralną, Chłodną za rogatki Wolskie na cmentarz kalwiński. Orszak, wynoszący w przybliżeniu około kilkunastu tysięcy głów, składał się prawie wyłącznie z samych mężczyzn, z młodzieży szkolnej, akademickiej i cywilnej wszelkich stanów, z emigrantów, wielu

byłych wojskowych polskich, kilku oficerów rosyjskich i znacznej ilości szlachty wiejskiej, która właśnie zjechała się do Warszawy na czerwcowe posiedzenie Towarzystwa rolniczego. Kobiet było niewiele, a z arystokracyi dominował swą olbrzymią postacią młody Zygmunt hr. Wielopolski, syn margrabiego Aleksandra. Żydów, zwłaszcza ze sfer inteligentniejszych, znalazło się także kilkunastu. Co chwila zbliżały się do trumny nowe grupy, domagając się, by i oni mogli ponieść na miejsce wiecznego spoczynku „żonę bohatera“ [1]). Pogrzeb swą ciszą i powagą robił wielkie, imponujące wrażenie.

Przy rogatkach Wolskich czekał na zbliżający się kondukt pogrzebowy bardzo liczny tłum osób wszelkiego stanu i wieku. Na cmentarzu koło grobu ścisk był tak wielki, że się duszono. Pastor kalwiński, Spleszyński, śmiertelnie blady, oblany kroplistym potem, drżący cały i przerażony widocznie tą manifestacyą, której znaczenie rozumiał, wśród wypogadzającego się nieba, zwyczajem swego wyznania miał mowę po polsku nad mogiłą. Gdy rzekł: „oto leżą przed nami zwłoki ś. p. Katarzyny Sowińskiej, wdowy po pułkowniku“, przerwano mu, krzycząc głośno: „po jenerale! po jenerale polskim! wdowa po ś. p. polskim jenerale z pod Woli!“ Gdy miano nakoniec trumnę chować do grobu, rzucono się na nią, odarto z ozdób, dzielono się niemi jako drogą pamiątką. Samą trumnę w tymże celu chciano na drzazgi połupać, ale przecie ktoś powstrzymał ten zbytek zapału. Za to suknię jedwabną, ciemno-popielatą, wystającą z trumny, porozrywano na drobne strzępki. Mogiłę zasypano literalnie liśćmi, które zrywano z drzew.

Gdy nakoniec pogrzeb się skończył, wśród tłumu poczęły się rozlegać okrzyki: „teraz chodźmy na Wolę!

---

[1]) Urzędnik policyjny, którego raport o pogrzebie złożony władzy wyższej, mamy przed sobą, powiada, że nie mógł spisać nazwisk tych, którzy trumnę nieśli, z powodu tego, że zmieniano się co chwila, że wiele osób po raz pierwszy widział i nazwisk ich nie zna.

trzeba iść pod wolski kościółek, trzeba tam westchnąć za duszę obojga!“ Gromadkami po kilku i kilkunastu, sama przeważnie młodzież szkolna, akademicka i rzemieślnicza, ruszyła ku Woli; inni poszli dalej, szukać sławnej, Mickiewiczowskiej reduty Ordona. Na cmentarzu wolskim, zacienionym gęstemi drzewami, bujnie rosnącemi na ziemi, obficie krwią polską zlanej, otoczonym starymi okopami, których niestety! Sowiński obronić od przemocy nie mógł, zebrało się około tysiąca osób. Pop miejscowy, zdziwiony tym nagłym, niezwykłym napływem publiczności polskiej na cmentarz prawosławny, wyszedł na ścieżkę i stał na pół skamieniały. Gdy atoli tłum począł zrywać rosnące na grobach gałęzie jaśminu i przypinać je do piersi na pamiątkę tego dnia, a gdy jaśminu nie stało, to gałęzie z drzew, wmięszali się w to dwaj stróże cmentarni. Zakrzyczano ich, zwymyślano i w końcu wzięto pod ręce i wyrzucono za wrota cmentarne. Poczem wszyscy, umajeni jaśminem i gałązkami zielonemi, tłumnie, wśród okrzyków entuzyastycznych, wrócili do miasta.

Manifestacya ta, jak z jednej strony zadowolniła w zupełności gorących czerwieńców i przekonała, że poruszyć ludność warszawską w celu jakiejś awantury ulicznej o charakterze politycznym, nie jest rzeczą zbyt trudną, tak z drugiej strony władze rosyjskie nie mogły pominąć milczeniem tej sprawy zbyt rozgłoszonej, zwłaszcza przez dziennikarstwo francuzkie, zbyt krzyczącej i zbyt wielu świadków mającej. Koterya Kotzebuego widziała w tem oznakę bliskiej rewolucyi i domagała się surowego śledztwa i surowej kary na inicyatorów tej „zuchwałej“, jak ją nazywali, manifestacyi. Żądanie to nabierało tem większego znaczenia, że od władz pruskich nie przestawały nadchodzić ostrzeżenia, iż w Warszawie istnieje szeroko rozgałęziony spisek polityczny, dążący do powstania. Ostrzeżenia te, dawane jakoby przez uczucie szczerej przyjaźni, popierane były przez ciągłe i uparte twierdzenia prasy niemieckiej, utrzymującej jednogłośnie, że w całem Królestwie, na Litwie i Rusi rozwija się bardzo silna agitacya polityczna.

Jakkolwiek koterya Kotzebuego oddawna już to samo utrzymywała i domagała się od Gorczakowa przykrócenia rozluźnionych nieco cugli, jednakże wszelkie jej namowy nie przynosiły rezultatu, nie dlatego, żeby namiestnik nie ulegał wpływom Kotzebuego, tak samo jak ulegał wszelkim innym, ale dlatego, że był za leniwy, że mu się nie chciało wprowadzać zmian, nad któremi potrzeba było rozmyślać, zajmować się sprawami rządowemi, których on nie cierpiał, które go odrywały od lektury modnych romansów francuzkich, dlatego nakoniec, że spowodowałoby to pewne sarkania, których odgłos doszedłby bez wątpienia do liberalnych salonów petersburskich i wywołał w nich oburzenie na starca, drzemiącego na stolcu namiestnikowskim w Warszawie. Teraz jednak, gdy z ostrzeżeniami zagranicznemi zbiegła się krzycząca manifestacya polityczna na pogrzebie Sowińskiej, naleganiom Kotzebuego trzeba było uledz, jeżeli nie chciano wyraźnie okazać swego niedołęztwa i ospałości. Śledztwo wszakże, prowadzone niedbale przez nieliczną i źle zorganizowaną policyą, która nawet dziesięciu nazwisk nie mogła zebrać z pomiędzy kilkunastu tysięcy uczestników pogrzebu, nie doprowadziło do niczego. Wkońcu Gorczakow znudzony tem, jak wszystkiem, co go odrywało od jego bezcelowych marzeń, kazał śledztwo przerwać i całą sprawę uważać za zwykłą awanturę uliczną i swawolę młodzieży szkolnej.

Na tem by się zapewne skończyło i na Zamku warszawskim wróconoby do dawnej bezczynności, drzemki i obojętności na wszystko, gdyby nie wieść, jaka właśnie w tej porze poczęła obiegać między kolonią rosyjską w Warszawie, której źródło zapewne leżało w koteryi Kotzebuego, w intrydze osnutej dlatego, by pobudzić leniwego Gorczakowa do działalności energicznej, do przywrócenia rządów despotyzmu wojskowego, do czego koterya ta stale dążyła, nie przebierając w środkach. Mówiono mianowicie, że d. 26 i 27 Czerwca ma wybuchnąć w Warszawie powstanie zbrojne, że będzie rzeź Moskali, powtórzą się sławne i niezapomniane nigdy przez Rosyą dni kwie-

tniowe, Wielki tydzień Polski 1794 r. Wieści te przybrały tak szerokie rozmiary, z taką pewnością mówiono o nich na Zamku, że w końcu Gorczakow, nie wierząc w ich prawdziwość, uznał jednak za stosowne przedsięwziąć niektóre środki ostrożności. Zdwojono więc i zwiększono patrole policyjne na ulicach, w nocy przebiegały miasto gęste oddziały kozackie, wojskom w koszarach nakazano czujność i gotowość wojenną, ogród Saski polecono zamykać o godz. 9ej wieczorem t. j. zaraz po zachodzie słońca; na prezesa komisyi śledczej mianowano cieszącego się później smutną sławą dręczyciela więźniów, jenerała Jołszyna, w miejsce miękkiego Włocha i katolika, jenerała Paulucci.

Wszystko to były środki, które w żadnym razie nie mogły wpłynąć na uspokojenie czerwieńców, zwłaszcza że przeprowadzono je tak cicho i tak nieznacznie, iż ogół Warszawy nie wiedział o tem wcale. Co się tyczy młodzieży, to ta choćby nawet wiedziała, że rząd przedsięwziął pewne środki ostrożności w obawie przed pogłoskami o powstaniu, o którem w tej chwili nikt na seryo nie myślal, to byłaby się nie cofnęła wobec ogarniającej ją stopniowo coraz większej gorączki, wobec pogardy, jaką żywiono dla rządu i jego słabości. Już tych serc i głów szalonych, upitych haszyszem ślepej miłości ojczyzny, żadna siła powstrzymać nie była zdolną, a cóż dopiero jakieś patrole kozackie na ulicach, lub Jołszyn w cytadeli. Po manifestacyi na pogrzebie Sowińskiej rozpoczął się teraz szereg drobnych czynów i faktów, dowodzących, jak dalece agitacya rewolucyjna przeniknęła nieomal wszystkie słoje społeczne.

W jesieni tegoż roku, przed przyjazdem cesarza, którego się spodziewano i który miał się zjawić w stokroć wspanialszem otoczeniu niż to dotąd bywało, wszyscy kupcy, przemysłowcy i wogóle ludzie trudniący się jakimkolwiek procederem, otrzymali przez pocztę miejską bezimienne wezwania, ażeby na znakach, wiszących na ulicy, poznosili napisy rosyjskie i cudzoziemskie, gdyż w przeciwnym razie będą mieli wybite szyby w oknach i sklepach.

Wielu kupców, którzy jak zwykle kupcy poza swoim interesem nic więcej godnego swej uwagi nie widzą, nie widzieli więc także agitacyi, trawiącej miasto i kraj od paru lat i powszechnego wzburzenia umysłów, uważając te groźby za jakiś niesmaczny i niewłaściwy żart kilku, jak mówili w swym ordynaryjnym, kupieckim języku, „łobuzów“, udało się z tymi listami do policyi. Policya zbywała ich ni tem, ni owem, a gdy niewidoma władza czerwieńców groźby swe względem nieposłusznych wykonywała, tłukła szyby w oknach i sklepach, wówczas wszyscy zadość uczynili tajemnemu rozkazowi i wszystkie szyldy w Warszawie miały jeden tylko napis polski.

Prócz tego w prasie, jakeśmy to już poprzednio wspomnieli, w mnóstwie ulotnych świstków, zalecana była oszczędność, zwłaszcza w strojach kobiecych; surowo napominano nie wypełniające tej „woli narodowej“ panie w bezimiennych listach, polecając im wydatki zaoszczędzone na strojach obracać na pożytek ojczyzny. Zdarzało się nieraz, że postępująca ulicą strojnisia usłyszała za sobą groźne słowa: „zachowaj pani swe pieniądze na lepsze niż stroje cele“. Gdy się obróciła, ujrzała zwykle młodego człowieka, spokojnie idącego dalej. Bardzo często i obficie pokazywały się teraz plakaty, poprzylepiane zwykle w nocy na rogach domów i ulic, zabraniające w tonie modnego w tej porze, sentymentalnego patosu, wszelkich zabaw, przyjęć, balów; tym, którzy tego nie słuchali, grożono w listach, zawsze bezimiennych, karą wybicia okien, jako ludziom nie umiejącym godnie i odpowiednio się zachować wobec nieszczęść narodowych, wobec ojczyzny uciśnionej. Pan Andrzej Zamoyski wznosił swym kosztem przed kościołem św. Krzyża kolosalną statuę kamienną Chrystusa dźwigającego krzyż i wołającego do tłumów, snujących się u Jego stóp: *sursum corda,* w górę serca! jak gdyby te serca, palone gorączką czynu, trzeba było jeszcze podnosić i napawać nadzieją.

Taki był stan umysłów, taki terroryzm, jaki poczęła garść czerwieńców, młodzieży szkolnej, „smarkaczy“, jak

ich słusznie nazywał Jankowski, wywierać na mieszkańców Warszawy, gdy w jesieni, w zwykłych swych corocznych odwiedzinach, miał przybyć do stolicy Polski cesarz rosyjski. Tym razem zjazd, który się opóźnił nieco z powodu połogu cesarzowej, miał być daleko świetniejszy, niż to dotąd bywało. Zapowiadano bowiem przybycie także rejenta pruskiego, późniejszego cesarza Niemiec, Wilhelma, słusznie przez historyą ozdobionego przydomkiem „Zdobywcy“, oraz cesarza austryackiego Franciszka Józefa. Oczywiście takie spotkanie się trzech najpotężniejszych monarchów północnych musiało na siebie zwrócić uwagę Europy i w świecie dyplomatycznym wywołać niezwykle zainteresowanie. Wprawdzie cesarz Aleksander zapewniał najbardziej zaniepokojoną tym zjazdem Francyą, że tu nie idzie o koalicyą, ale o pokój, mimo to jednak świat przez chwilę z obawą spoglądał ku Warszawie, gdzie, jak sądzono, miały się decydować najważniejsze sprawy ucywilizowanych narodów. Przekonano się później, że w gruncie rzeczy nic podobnego nie było; że cesarz Aleksander miał może jedynie na celu okazanie Europie swej potęgi, tej potęgi, która, zdawało się, na zawsze zdruzgotaną została pod murami Sewastopola.

Jeżeli atoli świat polityczny europejski z takim niepokojem spoglądał na zjazd warszawski, o ileż bardziej interesował on Polaków i uderzać musiał rozgorączkowany ich umysł tym szczególnym zbiegiem okoliczności, że w chwili właśnie ożywienia się ich nadziei i serc, trzej rozbiorcy ich ojczyzny zjechali się do stolicy kraju jakby na urągowisko, jakby na przypieczętowanie wieka do trumny, w którą gwałtem wtłoczyli żywą i żyjącą Polskę. Okoliczność ta wpadała w oczy wszystkim i w każdym, najzimniejszym nawet umyśle rodziła bolesne uczucie i kazała zachować się wobec świetnych uroczystości zjazdu z godnością i powagą. Takie uczucie budziły we wszystkich ludziach rozważniejszych zapowiedziane odwiedziny monarsze, a w głowach czerwieńców, młodzieży, która zasmakowała w manifestacyach, którą to bawiło, dla której taka

walka z rządem stanowiła pewien rodzaj sportu, zjawiła się jedyna, która się już nigdy nie powtórzy, sposobność zrobienia wspaniałej jakiejś demonstracyi. Dla rozważniejszych, dla Dehnela i Majewskiego, była to sposobność także jedyna, z której należało bądź co bądź skorzystać. Należy, mówili, pokazać z jednej strony światu, że Polska nie przestaje protestować przeciw gwałtowi na niej dokonanemu, że taki zjazd jest poprostu dla niej obelgą, której ona bezkarnie znieść nie może; z drugiej objawienia swoim zaborcom, którzy się zjeżdżają do stolicy zabitej ojczyzny jakby na urągowisko, że naród nie śpi, ale budzi się z długiego i ciężkiego snu. Najtrzeźwiejsi nawet ludzie, najspokojniejsi, nawet Klemensowczycy, których teraz czerwieńcy poczęli zwać stronnictwem „białych“, sądzili, że dobrzeby było okazać trzem monarchom swe niezadowolenie, swe niezapomniane urazy i nieprzyjaźń nieprzejednaną. Tak więc wszystkie prawie stronnictwa z porozumieniem i bez porozumienia zgodziły się na jedno. Jakie wszelako miały być te manifestacye, nikt nie wiedział i nikt się tem nie zajmował i tym sposobem ich inicyatywa dostała się w ręce „smarkaczy“, którzy też prawdziwie po szkolnemu, z charakterem wyraźnej, młodzieńczej swawoli je urządzili. Kapituła Dehnela, Majewskiego i Krajewskiego chciała wprawdzie nadać temu cechę surowej powagi i w tym celu wydała odezwę, którą w licznych egzemplarzach rozrzucono po mieście i poprzylepiano po rogach ulic.

W odezwie tej, pełnej niesmacznego patosu, pisano do „braci“, że zjazd „trzech kruków, którzy rozerwali naszą ojczyznę“, jest niezmiernie ważną chwilą w historyi naszych nieszczęść, bo nie pozostanie prawdopodobnie bez wpływu na naszą gorzką dolę, że zapewne ujrzymy nowy program działalności, która pod maską reform dążyć będzie do zupełnego wytępienia naszej narodowości. Prócz tego odezwa utrzymywała, że zjazd ma niewątpliwie jeszcze inny cel, że te „smoki“ postanowiły stanąć oporem wszelkiej sprawiedliwości i słuszności, że nadeszła chwila, w której stolica wielkiej Rzeczypospolitej winna okazać swą

pogardę i nienawiść, jaką przepełnione jest serce każdego Polaka ku tym „świętokradcom“, którzy targnęli się na prawa Boże, na wolność i niepodległość naszej ojczyzny. Wkońcu proklamacya wzywała, żeby Warszawa w czasie pobytu monarchów podobną była do czarnej trumny, obitej suknem czarnem; żeby im przypominała na każdym kroku ich zbrodnię; żeby wszelka radość ubrała się w całun śmierci, że nakazuje nam to duch przeszłej wielkości naszej i tysiące braci poległych w obronie ojczyzny.

Te słowa bombastyczne, pełne sztucznej afektacyi i romantycznego sentymentalizmu, miały przywilej wyciskania łez czytającym. Tak dawno w kraju nic podobnego nie widziano i nie słyszano, tak dawno słowo „ojczyzna“ wykreślone było ze słownika polskiego, że wyrazy te rozrzewniały biedne, nieszczęśliwe serca polskie, przypominały im wszystkie boleści, wszystkie nieszczęścia i wszystkie niedole nasze. Odezwę tę czytano gorączkowo, rozrywano ją sobie, płakano nad nią i wśród łkań przyrzekano zachować się z powagą, surową obojętnością i pogardą wobec uroczystości i wspaniałych uczt, jakie sobie zaborcy wyprawiać będą na trupie Polski.

Jeżeli atoli w kraju stronnictwo czerwieńców chciało zająć staniwsko nieprzejednanej opozycyi względem zjazdu monarchów, to za granicą, w emigracyi polskiej, zwłaszcza w stronnictwie Czartoryskiego i jenerała Władysława hr. Zamoyskiego, tego „widma Polski“ (spectre of Poland), jak go Anglicy nazywali, inaczej się na te rzeczy patrzano. Przy tym ostatnim od paru lat istniało t. z. „biuro“, złożone z najdzielniejszych pisarzy emigracyi, z tych samych, którzy wydawali w Paryżu pismo „Wiadomości polskie“, jak: Julian Klaczko, Waleryan Kalinka, Wyziński, były profesor historyi w uniwersytecie moskiewskim, Zygmunt Jordan, Plichta, oraz kilku Francuzów, którzy wówczas młodzi, później mieli się wsławić w literaturze ojczystej. Zadaniem pierwotnem tego biura było informowanie prasy francuzkiej co do spraw polskich; bardzo często redagowały się tu artykuły dotyczące Polski, które potem uka-

zywały się w gazetach francuzkich. Instytucyą tą kierował bezpośrednio jenerał Zamoyski, brat rodzony Andrzeja, niegdyś świetny W. ks. Konstantego adjutant, który w posępnej nocy listopadowej 1830 r. tak przeważną a zarazem tak zgubną dla kraju odegrał rolę, zdobywca sztandarów na szosie Kałuszyńskiej, dziś człowiek już stary, ale zapalony i nieprzejednany wróg Rosyi; pośrednio zaś biuro stało pod zarządem starego ks. Adama Czartoryskiego i od niego brało natchnienia. Ale jak zwykle bywa, gdy człowiek podeszłych lat otoczony jest przez młodych, powoli ulega ich wpływom i gdy mu się zdaje, że kieruje jaką sprawą, sam jest kierowany, tak i tu było. Biurem w rzeczy samej rządził Klaczko, Kalinka, Wyziński i inni.

Otóż z powodu zjazdu monarchów w Warszawie biuro postanowiło wystąpić z jakimś uroczystym aktem, któryby przypomniał spotykającym się w stolicy Polski jej zaborcom, ich zobowiązania względem tej Polski, oraz Europie, zapatrzonej teraz na Warszawę, że Polska żyje i żyjąc, upomina się, jeżeli już nie o wszystkie swe prawa przyrodzone, to przynajmniej o te, które jej uroczystemi zobowiązaniami i traktatami były zaprzysiężone i zapewnione. W tym celu pragnęło biuro, żeby najważniejsze części rozbiorowej Polski, a mianowicie: Królestwo, Wielkopolska i Galicya, wystąpiły z jednobrzmiącym memoryałem do zjeżdżających się w Warszawie monarchów. Memoryał taki wygotowano. Opierał on się na warunkach i przyrzeczeniach kongresu wiedeńskiego i domagał się, by zobowiązania, jakie trzej zaborcy na rzeczonym kongresie wzięli na siebie, a których albo wcale nie wykonali, albo je później pogwałcili, zostały przywrócone w całości. Rzecz była rozumnie pomyślana i jeżeli kiedykolwiek mogła mieć jakieś szanse powodzenia, przynajmniej odnośnie do Królestwa, to właśnie teraz, gdy na tronie rosyjskim siedział cesarz liberalny, gdy rozpoczął szereg reform, mających z gruntu przeobrazić olbrzymi carat. Nie ulega jednak wątpliwości, pominąwszy już kwestyą, czy znalazłyby takie żądania odgłos w osobach monarchów, że w kraju, który

żadnego innego rozwiązania sprawy polskiej nie widział, jak tylko przez przywrócenie niepodległości politycznej w granicach przedrozbiorowych, memoryał ten musiałby być przyjęty niechętnie i z oburzeniem. Nazywanoby to zdradą ojczyzny, zdradą tradycyi polskiej i jej posłannictwa historycznego, zaprzedaniem się wrogom; jednem słowem, obrzucanoby memoryał i jego twórców tymi frazesami, które tak modne były w tej epoce i które tak łatwo zrywają się z ust polskich, gdy kto ma inne przekonania w sprawach ojczystych, niż tłum bezmyślny.

Autorowie memoryału wiedzieli o tem wszystkiem i mimo to nie ulękli się, co bardzo dobrze świadczy o ich odwadze cywilnej i ich patryotyzmie. Memoryał, jakeśmy rzekli, został przygotowany i szło tylko teraz o rzecz najważniejszą t. j. ażeby znaleść takiego człowieka, któryby go podał, człowieka z pewnem imieniem znanem krajowi, ze stanowiskiem towarzyskiem i społecznem. Takiego człowieka nie łatwo było znaleść wówczas w Polsce, obezwładnionej przez Paskiewicza i napojonej zabobonnym strachem przed rządem. Ci zaś, którzyby nie wahali się podać memoryału, cała gorąca grupa czerwieńców, nie chciałaby tego zrobić nie przez obawę, ale dla tego, że memoryał nie odpowiadał ich przekonaniom; zresztą w stronnictwie tem nie było ani jednej osobistości, której wystąpienie mogłoby mieć jakiekolwiek znaczenie polityczne. Tutaj więc nie udawali się nawet ze swą propozycyą autorowie memoryału; tam zaś gdzie się udali, napotkali stanowczą odmowę.

Zdarzyło się, że właśnie w tej porze bawił w Paryżu margrabia Aleksander Wielopolski, który pomimo swej niepopularności i różnicy poglądów na sprawę polską, umiał zawsze zachować pewne stosunki z Czartoryskimi, a zwłaszcza z jenerałem Zamoyskim i tą cząstką emigracyi, która czy to przez swe położenie majątkowe, czy ze względu na swe nazwiska lub zasady, grupowała się koło pałacu Lambert. Jeszcze przed dziesięciu laty, w r. 1850, obaj Wielopolscy, ojciec i syn przebywali przez jakiś czas w Paryżu

i rozmawiali dużo i często ze stronnictwem Czartoryskich o sprawach polskich. Wrażenie z tych rozmów obaj Wielopolscy wynieśli bardzo smutne. Element emigracyjny wydał im się starym, zużytym, skostniałym w swych pojęciach, nie znającym Rosyi i położenia kraju, a nadewszystko nabyli przekonania, że jest wrogi ich poglądom [1]).

W emigracyi, w grupie redagującej memoryał, wiedziano zapewne o tem, mimo to postanowiono udać się do Wielopolskiego z propozycyą, by memoryał podał komu należy w Warszawie. Mówiono sobie, że margrabia jest bardzo wybitną osobistością, znaną całemu krajowi, człowiekiem z wielkiem imieniem historycznem, głową stronnictwa, które wprawdzie nic nie ma więcej prócz głowy, wszelako reprezentuje pewną ideę, mężem nakoniec, któremu z pewnością nie zabraknie odwagi do podania trzem zaborcom w Warszawie memoryału. Osobistość więc margrabiego odpowiadała wszelkim wymaganiom, a w dodatku miała i tę zaletę, że opinia kraju zwali swe oburzenie za występny, jak go nazwie, memoryał, nie na emigracyą ale na margrabiego; stanie się on kozłem ofiarnym, na którego wszystkie obelgi i klątwy zacietrzewionych patryotów spadną. Jemu samemu, pocieszano się w głębi obrażonego tą kazuistyką sumienia, nic przez to złego się nie stanie; opinią i tak ma przeciw sobie, i jedno ziarnko mniej lub więcej na szali popularności krajowej nic nie zaważy. Nie wątpiono zresztą, że margrabia, który wyznawał takie same przekonania, jakie głosił memoryał, który kilkakrotnie już próbował a zawsze napróżno, wystąpić z adresem do cesarza, chętnie się podejmie tej misyi. Miał potemu sposo-

[1]) „Zraził tych panów niepomału, pisał w trzydzieści kilka lat potem Zygmunt Wielopolski w broszurze okolicznościowej „List otwarty do hr. Stanisława Tarnowskiego“, zamiar mój wstąpienia do wojska rosyjskiego; zdumiewali się, zdawali się nie rozumieć, poczytywać sobie za ujmę, ojczyźnie za krzywdę, za wyłamywanie się z pod patryotycznej subordynacyi, każde dążenie do poprawy losów kraju na innej drodze, aniżeli podług układanej przez nich politycznej kolejki. Pojąć nie mogli, że kraj bez nich obchodzić się może, obchodzić się musi“.

bność, jaka się drugi raz nie przytrafi; nie sam przychodził, jak to dotąd bywało, ale do niego przychodzono.

Bądź co bądź, jenerał Zamoyski rozpoczął pertraktacye z Wielopolskim i memoryał mu wręczył. Margrabia w zasadzie pomysł pochwalił i memoryał wziął do przeczytania, ale w parę dni potem zwrócił go i współudziału odmówił. Jakie powody go do tego skłoniły, trudno wiedzieć; może, co jest najprawdopodobniejszem, nie chciał być wyrazem przekonań innych, może chwilę uważał za nieodpowiednią, może w przeczuciu blizkiej swej roli historycznej nie chciał jej kompromitować, lub brać na siebie jakiekolwiek zobowiązania względem emigracyi, może wreszcie i w nim obudziła się obawa. Dość, że projekt ten skonał przy swem narodzeniu [1]) a „Wiadomości polskie" poczęły wlewać do

[1]) Stanisław hr. Tarnowski w biografii Waleryana Kalinki („Przegląd polski" z r. 1887) opowiada, że Wielopolski wziąwszy memoryał do przeczytania, obiecał w parę dni dać stanowczą odpowiedź. Jakoż przyszedł do Zamoyskiego i miała się tam odbyć dyskusya w obecności Klaczki i Kalinki. Nieszczęściem, a „może przez nieostrożność Zamoyskiego, znalazło się u niego wtedy parę innych osób, których wyprosić nie śmiano. Wielopolski wyobraził sobie, że byli umyślnie wezwani i uwiadomieni o wszystkiem. Zraził się tem i mówić nie chciał". Anegdota ta jednak, może zresztą autentyczna, nie tłomaczy wcale postąpienia takiego człowieka, jakim był Wielopolski. Lisicki („Le marquis Wielopolski" II, 114) inaczej to opowiada. Nie mówi on nic o memoryale Zamoyskiego, i twierdzi, że inicyatywa porozumienia się ze stronnictwem Czartoryskich na emigracyi, wyszła od Wielopolskiego. „Przywiązywał on, pisze rzeczony autor, wielką wagę do moralnego poparcia najpoważniejszego stronnictwa w emigracyi polskiej. Znając bardzo dobrze źródło napaści, świeżo skierowanych przeciw niemu w „Wiadomościach polskich", udał się do jenerała Zamoyskiego i miał z nim, jak również z niektórymi redaktorami „Wiadomości" dwukrotną konferencyą. Pierwsza przerwaną została przez przybycie kogoś obcego: mówiono więc o polityce dopiero na drugiej. Margrabia żądał od tych panów zgody na akcyą legalną, mającą na celu uzyskanie dla Królestwa Polskiego autonomii administracyjnej i narodowej. „Bardzo dobrze, odrzekł jeden z obecnych, lecz racz nam pan wprzódy wyjaśnić powody, dla których zmusiłeś swego syna do służenia w wojsku rosyjskiem?" „Tak nam się podobało" (cela nous a paru convenable) odrzekł sucho margrabia i rozmowa przerwana nie zawiązała się już więcej".

mocno zaognionej rany, nowy jad trujący. „Jeszcze, pisały one, związkowi nie zjechali do miejsca swego zebrania, a już zauważono zdwojenie się surowości w niektórych naszych prowincyach. Władze i policya zwiększyły czujność; mówią o licznych aresztowaniach (co nie było prawdą). Serce się ściska na myśl cierpień, jakie się gotują, niemniej przeto mamy racyą a nawet odwagę wyznać, że wolimy cierpienie niż kłamliwą przychylność. Wolimy je niż te okrzyki radości, radości nakazanej i podejrzanej, jakie się słyszeć dają w Polsce podczas przejazdu cesarza rosyjskiego, i które każą wierzyć Europie, że umiemy zapominać o naszych prawach i naszej godności. Dziś więzienia są pełne, to prawda, ale zato sale balowe puste, i wybierając z dwojga złego, wolimy dla naszych braci męczeństwo jak nikczemność".

Kiedy więc na nieszczęście stronnictwo umiarkowane, z wolą czy mimowoli, usunęło się od podniesienia głosu w chwili zjazdu trzech monarchów, kiedy nawet przez usta swego organu, zachęcało do biernego oporu, kiedy stawiało cierpienie bezwładne, jako jedynie godne honoru polskiego, jako program wreszcie polityczny,— pole zostało swobodne dla czerwieńców.

Ogół kierowany przez nich i przez nich natchniony, postanowił być poważnym, obojętnym i pogardliwym dla trzech zaborców polskiej ojczyzny, którzy zjeżdżali się do Warszawy i którzy zapewne między innymi przedmiotami, będą także radzili o losach nieszczęśliwej Polski.

Uczucie to przytłumiło wszelkie inne; zimno przyjęto wieść, jaka poprzedziła przyjazd cesarza, i która, w innych okolicznościach, zapewne byłaby niezmiernie zainteresowała wszystkich, którzy myśleli o kraju i jego doli. W ostatnich dniach Sierpnia, zjechał do Żytomierza jenerał-gubernator kijowski, Wasilczykow, i oznajmił zebranym tam wołyńskim marszałkom szlachty, że cesarz zezwolił na wprowadzenie w szkołach jenerał-gubernatorstwa kijowskiego, wykładu języka polskiego. Twierdził przytem Wasilczykow, że rząd dawno byłby to już zrobił, gdyby nie stanęło na przeszko-

dzie nielegalne żądanie w roku przeszłym szlachty podolskiej. Krok tej szlachty skłonił rząd do wstrzymania się z tą łaską, gdyż inaczej miałoby to pozór, jak gdyby rząd ulegał nieprawym domaganiom. Radził zatem jenerał-gubernator, ażeby szlachta o nic nigdy nie prosiła, bo sam rząd wie najlepiej co jest potrzebnem. W nagrodę za to, że szlachta wołyńska dotąd żadnych petycyi nielegalnych do rządu nie zanosiła, wiadomość ta jej naprzód udzieloną zostaje.

Śmieszna ta mowa, z widocznem zakłopotaniem wypowiedziana przez Wasilczykowa, nie osłabiła jednak w niczem doniosłości samego ustępstwa, jakie rząd zrobił dla południowych, polskich niegdyś prowincyi. W kraju, gdzie od lat trzydziestu prawie nie uczono młodzieży polskiej jej ojczystego języka, gdzie przy każdej sposobności oświadczano, że to ziemia rosyjska, reforma ogłoszona przez Wasilczykowa, zapowiadała lepsze dni dla tamtejszego żywiołu polskiego, i w innych czasach i innych okolicznościach, przyjętaby była w wdzięcznością. Teraz jednak, gdy kraj cały wrzał, gdy nie myślał o takich lub innych ustępstwach, ale o odzyskaniu zupełnej niepodległości politycznej w granicach przedrozbiorowych, gdy trzeba było zjeżdżającym się monarchom pokazać, że Polska jest jak „czarna trumna kirem obita“, któżby tam zajmował się takiemi sprawami, jak wprowadzenie do szkół wykładu języka polskiego na Ukrainie, Podolu i Wołyniu? Niestety! przez dziwne zaślepienie, które niekiedy jak bielmo na oczy, pada na mózgi całych narodów, lekko ceniono to, co stanowiło istotną zdobycz, a ścigano chimery, widma poetyczne, jak ten młodzieniec w niemieckiej balladzie, co gonił urojone szczęście na złamanie karku póty, aż kark w końcu złamał.

Tymczasem cesarz późną jesienią, niemniej przeto zawsze prawie piękną w Polsce, jechał do Warszawy świeżo ukończoną koleją warszawsko-petersburską, i miał przez parę dni zatrzymać się w Wilnie, w tem samem Wilnie, które w roku zaprzeszłym przez usta poetów polskich, nazywało go spadkobiercą Jagiellonów i dziedzicem ich tro-

nów. Tu już oddawna rozprawiano i zastanawiano się, czy i tym razem ma być wydany bal dla cesarza, czy nie. Gdy jednak pod wpływem zapewne obudzającego się patryotyzmu polskiego, większość szlachty zachowała się względem proponowanego balu albo wprost niechętnie, albo też zimno, gdy pieniędzy nań nie chciano dać lub wcale nie dawano, bal oczywiście nie mógł przyjść do skutku i nie przyszedł. To też gdy z powodu odwiedzin cesarskich stolicy litewskiej, szlachta zamierzała się zjechać, jenerał-gubernator zawiadomił marszałków, że wcale nie są potrzebni w Wilnie. Powodem tego zakazu, bo tak go nazwać należy, była wiadomość, że nakoniec i szlachta litewska, za przykładem swej braci witebskiej i podolskiej, zamierza podać adres, upomnieć się o Towarzystwo rolnicze prowincyonalne, którego projekt złożony jenerał-gubernatorowi Nazimowowi, utonął w jego kancelaryi, prawdopodobnie na zawsze i to właśnie w chwili, gdy na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, dzięki poparciu Wasilczykowa, rząd zezwolił na zawiązanie „zgromadzenia do ulepszenia gospodarstwa wiejskiego“. Pod tym bowiem tytułem ukryło się prawdziwe towarzystwo rolnicze, uorganizowane na wzór warszawskiego i niemniej bogate, gdyż szlachta miejscowa na sam fundusz organizacyjny przyszłego zgromadzenia, złożyła przeszło 20.000 rs. Na Litwie tymczasem Nazimow o niczem podobnem myśleć nawet nie chciał.

Kwestya jednak Towarzystwa rolniczego była drugorzędnego znaczenia w obec innych spraw, jakie niektórzy czynniejsi członkowie rzeszy szlacheckiej na Litwie, zamierzali w adresie podnieść. Poczucie potrzeby zrobienia jakiegoś kroku stanowczego, tak było głębokie, że pomimo zakazu Nazimowa, zjechali się marszałkowie gubernii kowieńskiej i wileńskiej, oraz kilku szlachty, do Wilna, i rozpoczęli narady u marszałka Domeyki, nad podaniem adresu do cesarza. Projekt adresu był już gotowy, ułożony przez jednego z obywateli żmudzkich; domagano się w nim przywrócenia uniwersytetu w Wilnie, języka polskiego w szkołach (dotąd było po jednej lekcyi na tydzień) w admini-

stracyi i sądownictwie, sądów jawnych i tolerancyi religijnej, a właściwie zniesienia krzyczącego przepisu prawnego co do małżeństw mięszanych. Marszałkowie powiatowi: wileński i wilejski zimno i niechętnie zachowywali się w obec zamierzonego adresu, a marszałek gubernialny Aleksander Domeyko sprzeciwiał mu się dość uparcie, ale gdy marszałek trocki, Ludwik Jeleński, przyłączył się do zdania marszałków kowieńskich, żądających podania adresu, Domeyko w końcu uległ naciskowi swych współobywateli i zdawało się, że adres będzie podany. Tymczasem gdy go nazajutrz zapytał o to Nazimow, który wiedział dobrze co się dzieje, Domeyko wyparł się wszystkiego i zapewniał jenerał-gubernatora, że żadnego adresu nie będzie. Nazimow zawiadomił go, że wie o wszystkiem, że przed tygodniem, na zebraniu u marszałka powiatowego Tyszkiewicza, marszałek kowieński Żyliński mówił: „że nie tyle idzie o skutek adresu, jak o to, aby fakt był spełniony i wiedziano, że tu nie Moskale mieszkają". Słowa te oburzały Nazimowa, który wołał, że adres jest nielegalny, że tylko na ogólnych wyborach szlachta ma prawo proszenia o to lub owo cesarza. Domeyko się zgadzał na to widzenie rzeczy i ostatecznie adres przepadł.

Obok stłumienia sprawy adresowej Nazimow i inne jeszcze przedsięwziął środki, by jakakolwiek demonstracya nie pojawiła się w Wilnie podczas pobytu cesarza. Obawy jenerał-gubernatora były do pewnego stopnia słuszne. I w odwiecznej bowiem stolicy litewskiej wzburzenie umysłów było bardzo znaczne, tworzyły się związki, będące z jednej strony odnogą komitetu warszawskiego, z drugiej kółek wojskowych i cywilnych petersburskich. Pod wpływem znacznej liczby tej młodzieży, która w lecie 1860 r. przybyła do Wilna na wakacye, organizowały się koła, których głównem zadaniem było oddziaływanie na sfery rzemieślnicze. Powodzenie tej akcyi było różne; najlepiej udała się ona wśród cechu białoskórników. Najęto osobne mieszkanie, gdzie co niedziela schodzili się rzemieślnicy i młodzież, śpiewano pieśni patryotyczne, czytano te liczne

świstki, jakimi emigracya i Mierosławski zarzucali w tej porze kraj, później nawet, zdaje się, że odbierano jakąś przysięgę. Dość czujna w Wilnie policya wcześnie spostrzegła tę agitacyą, i teraz w obec zbliżającego się przyjazdu cesarza, należało chwycić się stanowczych środków. Jenerał Nazimow rozkazał młodzieży akademickiej, przybyłej do Wilna na wakacye, wyjechać z miasta, a uczniom szkół miejscowych zabronił wychodzić na ulicę bez rodziców lub opiekunów. Cechy rzemieślnicze musiały się zobowiązać, że terminatorów swoich nie będą wypuszczały na miasto. Policya nakazała domy ozdabiać orłami i flagami, które sama sprzedawała po siedm do dziesięciu rubli za sztukę. Żydów, bardzo licznych w Wilnie, zdołali niżsi ajenci policyjni namówić do tłumnego wystąpienia podczas wjazdu cesarza; niejaki Opatow, żyd rosyjski, i policya rozdawała nawet uboższym żydom drobne pieniądze.

Nakoniec cesarz zjawił się w Wilnie, otoczony gronem książąt niemieckich, którzy teraz stale koło niego krążyli, jak planety koło słońca, odzyskującego swe blaski po chwilowem przyćmieniu. Byli więc tu dwaj książęta pruscy Karol i Albert, był ks. August wirtemberski, Fryderyk książę hesen-kaselski, był i następca tronu Mikołaj, młodzieniec blady, szczupły, o anemicznym wyglądzie, zniszczony moralnie i fizycznie przez zgubny nałóg, któremu się oddawał. Z takim to świetnym orszakiem wjechał car rosyjski do Gedyminowego grodu, witany okrzykami „hura!“ przez najniższy motłoch żydowski, wśród którego zrzadka tylko, gdzieniegdzie, jakby wstydząc się, ukrywał się ktoś z wyższych sfer ludności polskiej. Cesarz widokiem tym, tem przyjęciem był rozdrażniony i rozjaśnić mu chmurnego czoła nie mogła powitalna mowa, wygłoszona po rosyjsku przez arcybiskupa, metropolitę mohylewskiego, Żylińskiego, pod kolumnami katedry wileńskiej. Przez cały czas swego pobytu Aleksander nie spotykał nikogo z publiczności polskiej; kobiety wcale nie ukazywały się na ulicach, tylko żydzi za pieniądze Opatowa krzyczeli swe gardłowe: hura! To też cesarz kilkakrotnie, jakby mu przy-

jemność sprawiały te żydowskie okrzyki wśród poważnie milczącego Wilna, przejeżdżał przez ulicę Niemiecką, ghetto wileńskie, a unikał ulic: Zamkowej i Wielkiej, gdzie mieszkali Polacy. Rozdrażnienie wzmagać się musiało w obec otoczenia cudzoziemskiego, tych różnych książąt i książątek niemieckich, którzy swą postawą poważną i zimną, zdawali się ubolewać nad niepoprawnością Polaków z jednej strony, a z drugiej nad kłopotliwem położeniem monarchy i pana świata polowicy. Zły humor cesarski odbił się na szlachcie, która mu się przedstawiła w osobach swych marszałków. Nie mówił z nimi prawie nic; jednego zapytał, jak daleko mieszka od kolei? drugiego, czy służył w wojsku? Uprzejmym był tylko dla księcia Ireneusza Ogińskiego, który znaczną był dał sumę na bal niedoszły do skutku, i pytał go o zdrowie żony; w końcu wyjechał z Wilną, nie rozjaśniwszy czoła, i udał się na polowanie do puszczy Białowieskiej, na żubry litewskie, polowanie, o jakiem jego goście niemieccy pojęcia nawet nie mieli [1]).

Zato Nazimow po wyjeździe cesarza wpadł w wielki gniew i postanowił wziąć się ostro do uspokojenia umysłów. Ustanowiono natychmiast komisyą śledczą pod pozorem, że w Wilnie utworzył się spisek między rzemieślnikami, i kilka osób aresztowano, między niemi księgarza Assa za to, że znaleziono u niego nieco druków zakazanych; Władysława Jankowskiego, kierującego pensyonatem chłopców, gdyż był w stosunkach z niejakim Wiszniewskim, który miał u siebie tak zwane wiersze patryotyczne. Uwięziono również kilku uczniów szkół publicznych, między nimi Wincentego Witkowskiego, który zamierzał ze swymi kolegami okazać cesarzowi, w czasie jego pobytu w Wilnie, niezadowolenie za to, że nie przywracano w stolicy Litwy uniwersytetu, pisał wiersze patryotyczne, z których jeden, noszący tytuł: „Toasty“, był nawet głośny.

[1]) Autor rozprawki „Litwa przed rokiem 1863“, pomieszczonej w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania 1863/4“, twierdzi, że cesarz miał się odezwać do marszałków: „powiedzcie szlachcie, żem z niej niezadowolony, niech wie ona i Europa, że tu nie Polska“.

Uwięziono go i oddano w ręce komisyi śledczej, a ucznia instytutu szlacheckiego Romera, o to, że w dzień przybycia cesarza pogasił w oknach świece, oćwiczono w szkole rózgami tak nielitościwie, że nazajutrz ciężko zachorował.

Wśród takich to złych i smutnych okoliczności, Aleksander pokazawszy swym gościom żubry i drzewa Białowieży, ruszył dalej koleją żelazną do Warszawy. Na stacyi Targówek, bo kolej jeszcze do samej Pragi nie była wykończona, siadł do powozu i pojechał do Łazienek. Wieczorem tego samego dnia (20 Października 1860) cesarz ze swymi niemieckimi gośćmi, miał się udać do teatru na przedstawienie nowego baletu p. t. „Modniarki". Przed przybyciem jednak monarchów, trzej zapaleni agitatorowie, a mianowicie: Henryk Filipowicz, student szkoły sztuk pięknych, i dwaj uczniowie gimnazyum: Adam Trąbczyński i Józef Kleczyński, zdołali popalić kwasem siarczanym aksamit w loży cesarskiej i przy pomocy wylanej z paradyzu płynnej asafetydy napełnili teatr taką zabójczą wonią, że nikt wytrzymać nie mógł, i publiczność, schodząca się już na paradyz, galerye i nawet krzesła, musiała uciekać. Nadzwyczajna i wytężona czynność służby teatralnej ledwie zdołała do godziny ósmej wieczorem, o której cesarz miał przybyć, usunąć tę woń smrodliwą. Na loży aksamit poplamiony musiano zerwać i nowy przykleić. Wszystkich trzech sprawców tej osobliwszej manifestacyi, noszącej cechę niezaprzeczoną swawoli szkolnej, aresztowano, ale po jakimś czasie wypuszczono na wolność.

O całej tej awanturze namiestnik dowiedział się zaraz, co mogło go przekonać, że agitatorzy są czynni i że zapewne na asafetydzie nie skończą. Mimo to nie przedsięwzięto żadnych szczególnych ostrożności, pozwalając tym sposobem rozswawolonej do najwyższego stopnia młodzieży szkolnej i rzemieślniczej dopuszczać się różnych wybryków ulicznych, noszących miano manifestacyi patryotycznych.

Nazajutrz przybył do Warszawy rejent pruski, oraz książę Meklemburg-szweryński. Na ich powitanie, a zwłaszcza króla przyszłego pruskiego, mnóstwo Niemców, za-

mieszkałych w mieście, zebrało się na kolei, krzycząc Wilhelmowi: *hoch!* Ulice zato były puste i jeżeli tu i owdzie znajdowały się tłumy, to złożone z żydów, z najniższego motłochu i z kobiet publicznych. Tegoż samego dnia, o godzinie trzeciej po południu, cesarz Aleksander miał uroczyście położyć kamień węgielny pod mający się wznieść wspaniały most żelazny na Wiśle, według planu inżyniera Stanisława Kierbedzia. Wybudowano tu bramę tryumfalną, ozdobioną w herb Królestwa i herby wszystkich gubernii, obwieszono ją flagami, przystrojono bogato całe miejsce, w którem się miała odbyć uroczystość. Dzień, choć chłodny, był piękny tem jasnem, jesiennem, złotawem słońcem polskim; to też mnóstwo osób, zwłaszcza kobiet żydówek, żon niższych urzędników, oficyalistów, kupców, drobnych przemysłowców, słowem tego motłochu inteligencyi, sfer bezmyślnych, ale lubiących błyszczeć strojami, zebrało się nad Wisłą, pomimo ciągle pojawiających się plakat z najsurowszem wezwaniem, by jak najmniej pokazywano się na ulicach. Uroczystość więc miała świetny, błyszczący przepychem i wspaniałością charakter. Metropolita Fijałkowski w asystencyi biskupów Dekerta i Platera odprawił nabożeństwo, a cesarz własnoręcznie granitową cegłę położył pod budować się mający most. Zato wśród kobiet uwijała się licznie młodzież, przeważnie rzemieślnicza, cięła suknie nożami lub paliła je za przykładem rewolucyonistów włoskich kwasem siarczanym, karząc tym sposobem za niepatryotyczną i niewłaściwą ciekawość.

Dnia 22 Października zjawił się w Warszawie cesarz austryacki, Franciszek Józef. W czasie jego podróży do stolicy polskiej, zdarzył się wypadek, który najrozmaitsze wywołał pogłoski. Ministrowi austryackiemu Rechbergowi skradziono na kolei portfel z papierami i pieniędzmi tak zręcznie, że najmniejszego śladu nie było. Wieść o tem przeniknęła do miasta i niewiadomo na jakiej podstawie twierdzono powszechnie, że kradzieży dopuścił się tajny ajent francuzki, wysłany z rozkazu swego rządu dla dowiedzenia się, o czem radzić będą trzej monarchowie, zjeżdża-

jący się do Warszawy. Z tego powodu między publicznością polską, i tak już skłonną do bezwzględnego uwielbienia Francyi i Francuzów, zadowolenie było wielkie i ufność w zręczność rządu francuzkiego niezmierna. Cieszono się, że Francuzi takiego figla wypłatali Austryakom. W istocie zaś rzeczy miały się nieco inaczej.

Cesarz Napoleon III, zaniepokojony zjazdem warszawskim, trafił przez pośrednictwo księcia Napoleona do Mierosławskiego z zapytaniem, czyby nie podjęto się w Warszawie wykradzenia papierów ministrowi austryackiemu. Mierosławski zgodził się na to i posłał rozkaz (bo zawsze rozkazywał) Kapitule, by żądaniu francuzkiemu zadość uczyniła. Kapituła widząc w tem korzyść dla kraju i sposobność zyskania przyjaźni potężnego cesarza Francuzów, wykonała polecenie przy pomocy konduktora kolejowego, Szajewskiego, prowadzącego pociąg, w którym jechał Rechberg. Szajewski wykradł z wagonu całą tekę, w której oprócz papierów były pieniądze, czeki i przekazy bankowe, i po przybyciu do Warszawy, złożył to natychmiast konsulowi francuzkiemu. Papiery oczywiście konsul zatrzymał, a pieniądze i klejnoty zwrócono komu należy, za pośrednictwem kapucyna warszawskiego ks. Honorata, któremu oddał je ktoś przy spowiedzi, zapewniając sobie tym sposobem bezkarność [1]). Śledztwo, z tego powodu rozpoczęte, ciągnęło się bardzo długo, i w rok potem, w Grudniu 1861 r., wezwany do sądu dla objaśnień konduktor Szajewski, nie stawił się wcale, lecz zbiegł za granicę, zabierając ze sobą tajemnicę całej tej historyi [2]).

Co wieczór gromady młodzieży rzemieślniczej i tak zwanych w żargonie warszawskim „łobuzów“, przebiegało ulice i gasiło illuminacyą, paliło suknie kobietom. Zjawiła się i wśród wszystkich sfer miasta znalazła ogromne po-

---

[1]) Według innej wersyi miano je podrzucić w klasztorze kapucynów warszawskich.

[2]) W jakiś czas potem Szajewski wrócił do kraju i służył na jednej z kolei, zkąd później przeniósł się do Rosyi.

wodzenie śpiewka, szydząca ze zjazdu i zapowiadająca, że pomimo wszelkich konszachtów trzech monarchów i spisków przeciw Polsce, ona „co chce to i zrobi“.

Co noc ukazywały się nowe plakaty, zabraniające udziału w uroczystościach. To też miasto, które dotąd, podczas wszystkich przyjazdów cesarza, błyszczało tłumnem pojawianiem się klas wyższych, kobiet najświetniejszych towarzystw, teraz czerniało ostatnim motłochem, żydami, którzy, jak wezbrany strumień, wylewali się ze swych dzielnic i krzycząc „hura!“ mieli przedstawiać Polaków i Polskę. Na illuminacyi w Łazienkach, gdzie zwykle, za poprzednich lat, zbiegała się cała Warszawa, mnóstwo pięknych dam snuło się wśród malowniczo oświetlonego parku, teraz nikogo nie było prócz żydów i kobiet publicznych. Na balu u Gorczakowa, w Zamku królewskim, na 300 do 400 mężczyzn, znalazło się zaledwie 25 tańczących kobiet, głównie Rosyanek i Niemek, a za to „Polki świeciły nieobecnością“, jak się ktoś wyraził.

Takie przyjęcie cesarza, tak różne od dawniejszych, brzmiących szczerym entuzyazmem, było bardzo przykrem dla Aleksandra, tem przykrzejszem, że patrzeli na to obcy monarchowie i mnóstwo korespondentów gazet zagranicznych, którzy zjechali się tutaj, by być świadkami choć zewnętrznych objawów spotkania się tylu monarchów. Przed ich bystrym wzrokiem nic się nie ukryło, a chociaż korespondencye ich poddawano w Warszawie najściślejszej i najsurowszej cenzurze, to jednakże należało się spodziewać, że gdy powrócą do swej ojczyzny, gdzie im już nikt ust zamykać nie będzie, nie omieszkają sobie powetować przymusowego milczenia. Wszystko to gniewało cesarza, a choć otaczający go tłómaczyli mu, że powodem chłodnego przyjęcia jest obecność rejenta pruskiego i cesarza austryackiego, prawdopodobnie nie wierzył temu, choć udawał, że wierzy.

Zjazd i jego uroczystości przerwała wiadomość o ciężkiej chorobie, na jaką zapadła cesarzowa matka, wdowa po Mikołaju. Aleksander wskutek tego wyjechał z powro-

tem do Petersburga, dnia 26 Października, a jego dostojni goście tegoż dnia po południu. Wyjeżdżając Aleksander, jakby chciał udać, że nie widział nieprzyjaznego dla siebie usposobienia ludności polskiej, zostawił hojne dary. Na budowę kościoła na Grzybowie dał 10,000 rs.; pozwolił na założenie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych; dla biednych dał 10,000 rs. a syn jego 5,000 rs. Prócz tego ten ostatni przeznaczył jednorazowe wsparcie dla weteranów b. wojsk polskich; po 200 rs. dla oficerów sztabowych, a 150 rs. dla innych. Odtąd Warszawa przez długi czas nie oglądała w swych murach cesarza rosyjskiego. W kilka lat dopiero potem, po wielkiej i niszczącej burzy, która przeszła ponad krajem, zasiała go ruinami, zalała krwią, zjawił się tu Aleksander IIgi, ale w postawie zwycięzcy i nieubłaganego niczem Boga, grożącego pomstą. Świetne dni nadziei, słodkich marzeń, snów o zagojeniu ran wspólnych i zgodnem pożyciu dwóch narodów, rozwiały się na długo...

Wszystkie te manifestacye były zanadto widoczne, by nawet ówczesnej policyi warszawskiej nie miały wpaść w oczy. Dzienniki francuzkie wołały: zjazd warszawski dowiódł, „że Polska nie umarła". Hercen w „Kołokole" pisał, że „carski despotyzm napotkał nareszcie swą granicę i wywołał tę rozbolałą reakcyą milczenia i tłumionej pogardy, przed którą bledną królowie". Nie trzeba było jednak tych słów dziennikarskich, by się przekonać, że w Warszawie na każdym kroku nieomal szydzono z rządu i jego pomyłek. W teatrze, artyści grając na scenie korzystali z każdej sposobności, by wtrącać do roli rozmaite dodatki, skierowane przeciw rządowi, które publiczność zawsze przyjmowała grzmiącymi oklaskami. „Smarkacze" poprostu szaleli i teroryzowali miasto, dopuszczali się nieraz gwałtów, i zawsze im to uchodziło na sucho. Wprawdzie aresztowano kilku, ale ostatecznie nie wstrzymało to innych od grania roli ulicznych patryotów.

Nie podobało się to chłodniejszym i rozważniejszym członkom Kapituły. Widzieli, że władzy nie mają, że ini-

cyatywa ruchu wymyka im się z rąk i przechodzi do młodzieży szkolnej, podczas gdy w oczach wszystkich za każden krok tej młodzieży oni odpowiadali i musieli znosić nieraz słuszne wyrzuty Millenerów i Klemensowczyków, przezwanych teraz stronnictwem „białych“. Zarzuty te wywołały konieczne rozdrażnienie i spory w Kapitule, których rezultatem było to, że Majewski wycofał się i przeszedł do Millenerów Jurgensa, Krzemiński wyjechał do Heidelberga, Wereszczyński do Kijowa, a Banzemer wrócił na studya uniwersyteckie do Berlina, i Kapituła faktycznie rozpadła się zupełnie. Dehnel zaś, mając już zwrócone na siebie oczy policyi, uwolnił się ze swej posady w Kolegium kościelnem luterskiem w Czerwcu 1860 r. gdyż, jak sam pisze, „nie odpowiadała ona ani jego usposobieniu, ani charakterowi“, opuścił Warszawę i udał się na prowincyą, gdzie w Listopadzie t. r. został przyaresztowany i odstawiony do cytadeli warszawskiej [1]).

Tym sposobem, gdy od kierownictwa sprawami ruchu, któremi szczerze mówiąc, wcale nie kierowali, usunęli się ludzie, obdarzeni jakim takim rozsądkiem, wodze przeszły w ręce „smarkaczy“, którzy przy kole akademickiem się wieszali, i którzy zbawienie ojczyzny widzieli tylko w ciągłem manifestowaniu się i dokuczaniu władzy. Zjawił się teraz wśród nich niejaki Franciszek Godlewski, młody, dwudziestokilkoletni człowiek, Mazur rodem, żywy, ognisty patryota, należący do tej grupy ówczesnej młodzieży, która opuszczała kraj jedynie dlatego, by pójść do Paryża i pokłonić się „aniołowi rewolucyi“, Mierosławskiemu. Godlewski, zgodnie z teoryami swego mistrza, „jenerala Ludwika“,

---

[1]) Właściwie Dehnel udał się z Warszawy do swego brata, mieszkającego na samej granicy pruskiej. Oficer straży granicznej, Kalinin, żył z nim w dobrych stosunkach, i wiedząc, że Dehnel jest przez policyą poszukiwany, zaprosił obu braci do siebie na wieczór, i przybyłego Bolesława aresztował, okuł w kajdany i odesłał do Warszawy. Dehnel poległ w r. 1863 w jednej z utarczek w Augustowskiem.

jak go poufnie zwano w kołach zbliżonych do niego, widział zbawienie tylko w powstaniu, w rewolucyi, w krwawym wybuchu, który miał Polskę społecznie odrodzić, a zarazem uwolnić ją na zawsze od Niemca i Moskala. Kiedy powyżej opowiedziane wypadki się rozgrywały, gdy Kapituła się rozpadła, gdy wskutek tego w kołach spiskowych zapanowała anarchia, Mierosławski mając baczną zwróconą uwagę na to, co się dzieje w Warszawie, postanowił chwycić walające się na bruku ulicznym wodze ruchu i pokierować nim według swego widzenia rzeczy. Chwila była bardzo ważna i stanowcza. Rozbici członkowie Komitetu Jankowskiego, mianowicie ci, którzy pozostali w Warszawie, jak np. Majewski, przymknęli do partyi Millenerów i domagali się przerwania manifestacyi, które według nich do niczego nie prowadziły, które już zrobiły to, co miały zrobić, i jak na teraz, nie przynosząc pożytku sprawie, mogły tylko rozdrażnić władzę i zmusić ją do chwycenia się środków radykalnych i surowych. Mówili oni, że czerwona rewolucya, której ponura, krwawa twarz ukazywała się już z pośrodka mglistych marzeń o niepodległej Polsce, może tylko zgubić tę Polskę; że trzeba poprzeć białych, Klemensowczyków, Towarzystwo rolnicze, pracować cicho i wolno, pracować może długo ale pewnie, by dojść w końcu do tego, że Polska, jak owoc dojrzały, sama odpadnie od rosyjskiego drzewa.

Te zdania, jak z jednej strony nie podobały się akademikom i „smarkaczom", którzy zasmakowali w manifestacyach, których to bawiło, którzy je robili nieraz dlatego tylko, że im to przyjemność sprawiało, jaką sprawia kosztowanie każdego owocu zakazanego, tak z drugiej nie mogły się podobać Mierosławskiemu. Zniknięcie ruchu rewolucyjnego w Warszawie, zatamowanie go przez działalność cichą i spokojną białych, groziło zarazem usunięciem jenerała Ludwika na drugi plan, wyrwaniem mu władzy z ręki, do której pyszny ten i samolubny warchoł czuł się stworzonym niejako, widział się jedynym uprawnionym dyktatorem Polski. Gdy więc Dehnel uciekając z War-

szawy, dał znać Mierosławskiemu o tem, co się tu stało, „wódz zmartwychwstały“ wysłał natychmiast tam Godlewskiego, żeby rozwinął agitacyą, przywrócił porządek w obozie czerwonych, uorganizował „smarkaczy“, robił ciągłe manifestacye i pchał losy narodu ku zgubnej, fatalnej przepaści, która wszystko niestety! miała pochłonąć i naród i jego rozwój i jego byt materyalny i instytucye autonomiczne.

Godlewski wziął się do tego energicznie. Z całym zapałem, do jakiego zdolni byli ludzie tej epoki, z całem zaślepieniem na skutki, jakie ich czyny wywołać muszą w losach ojczyzny, którą zdawało im się, że oni tylko prawdziwie i rozumnie kochać umieją, zawiązywał stosunki, organizował dziesiątki i setki, pchał ku manifestacyom „smarkaczy“ i rzemieślników, śród których swą wymową, ognistym entuzyazmem swych uczuć patryotycznych potrafił uzyskać licznych zwolenników i wielbicieli. Ludność Warszawy przez tyle lat trzymana pod strasznym uciskiem, z radością witała wszelkie drobne uliczne awantury, które „dokuczały Moskalom“, dopomagała jak mogła i gdzie mogła; a choć wielu ludzi rozumniejszych i trzeźwiejszych ganiło tę swawolę polityczną, przewidywało straszne następstwa, nikt przecież nie śmiał się oprzeć szalonemu prądowi, naciskowi swych żon, córek i synów, którzy w tem widzieli jedyną drogę zbawienia Polski.

Rozpoczął się więc szereg drobnych manifestacyi z cechą awantur ulicznych lub swawoli szkolnej. Zrywano lub zamazywano smołą szyldy z napisami rosyjskimi, tłuczono szyby w oknach tym, którzy wyprawiali jakie zabawy, przesyłano bezimienne listy miejską pocztą, pełne grubijańskich wymyślań lub gróźb tym, którzy w czemkolwiek zawinili opinii publicznej. Powoli zapanował istny terroryzm garści szkolnej młodzieży, rozmaitych Kozubskich, Jaczewskich, Śniegockich i t. p. Co chwila pojawiały się różne odezwy do „braci“, do „sióstr Polek“, podpisane „młodzież“, wzywające do zaprzestania zabaw, do skromności, oszczędności, do przywdziewania żałoby po „żyw-

cem pogrzebionej ojczyźnie". Policya nieliczna, złożona z samych zresztą Polaków, patrzała na to wszystko przez palce i „smarkacze" robili, co chcieli. Duch rewolucyjny przenikać począł wszystkie słoje społeczne miejskie i objawiał się co chwila, przy lada sposobności.

Jest zwyczaj u rzemieślników warszawskich, a zwłaszcza u szewców, że przy nastaniu długich wieczorów zimowych, a zatem używaniu w czasie pracy światła sztucznego, majstrowie zbierają się do swojej gospody i wyprawiają sobie bankiet, którego główną potrawę stanowi gęś pieczona, zkąd uroczystość ta nosi niemiecką nazwę lichtgansu. Zdarzyło się, że w dobie tej podniecenia wszystkich umysłów, szewcy zgromadziwszy się na lichtgans do gospody na Podwalu, poczęli rozprawiać o polityce, przyczem zawiązały się spory, a za sporami przyszło do bójki. Oczywiście policya wtrąciła się w to, chcąc pijanych szewców uspokoić. Oburzeni tem majstrowie zapomnieli o swych sporach wzajemnych i jednozgodnie zwrócili się przeciw przedstawicielom władzy. Przy okrzykach: „Garibaldi! bij, zabij salcesonów" [1]), pokaleczono policyantów i wyrzucono ich za drzwi.

Awantura ta miała pewien rozgłos i świadczyła w ogólności o nastroju umysłów, o tej pogardzie i nieuszanowaniu dla władzy, jakie powoli, z gwałtownością długo tłumionej siły, wybuchało przy pierwszej lepszej sposobności. Ze swej strony rząd zamiast surowo i przykładnie ukarać pijanych szewców za ich zuchwalstwo i nieposłuszeństwo, przyaresztowawszy zrazu kilku, uwolnił ich w parę dni potem, zachęcając wszelkiego rodzaju ulicznych patryotów do sprobowania jeszcze raz takiej awantury i odgrywania roli bohaterów i męczenników, dręczonych przez Moskali, jak to wtedy mówiono.

Wszystkie te wypadki, te awantury uliczne, te manifestacye wszelkiego rodzaju, listy bezimienne, plakaty, obra-

---

[1]) Uliczna nazwa policyantów.

żanie oficerów i żołnierzy rosyjskich w miejscach publicznych, jeżeli bezkarnie „smarkaczom“ uchodziły, to jednak nie mogły pozostawać bez wpływu na tę sferę rządową rosyjską w Warszawie, która już oddawna z jenerałem Kotzebuem na czele domagała się surowych środków i przywrócenia rządów wojskowych, nowej paskiewiczowskiej dyktatury. Do partyi tej należał i jenerał-gubernator warszawski Paniutyn, który nalegał na Gorczakowa, żeby raz przecie położono koniec tym nieporządkom, jakie się pojawiają w Warszawie i powoli zaczynają przechodzić w stan chroniczny. Gorczakow niechętnie słuchał takich nalegań, gniewał się poprostu, gdy mu kto przerywał jego drzemkę i jego marzenia o bohaterach świeżo przeczytanego romansu francuzkiego. Gdy jednak Paniutyn kładł główny nacisk na bezczynność policyi, na jej niedołęztwo, na nieumiejętność nie tylko zapobieżenia którejkolwiek manifestacyi, ale że dotąd nawet nie zdołała schwytać ani jednego z tych, którzy okna wybijają, szyldy malują, obrażają oficerów, Gorczakow ustąpił. Usunięto więc, ze stanowiska oberpolicmajstra warszawskiego, jenerała Aniczkowa, człowieka grzecznego, przystępnego, liberalnego, wielkiego pana zresztą, a na to miejsce sprowadzono w drugiej połowie Listopada 1860 r. z Kijowa jenerała Trepowa, dowódcę pułku żandarmów, karyerowicza, nieprawego syna, jak wieść skandaliczna niosła, według jednych cesarza Mikołaja i jakiejś pięknej baronówny inflanckiej [1]). Uchodził on za energicznego urzędnika i liczono na to, że potrafi lepiej uorganizować policyą warszawską i natchnąć ją duchem porządku, karności i zrozumienia swych obowiązków. W maleńkim powoziku, zaprzężonym po rosyjsku w jednego konia, z konwojem paru kazaków za sobą, przelatywał on po ulicach miasta w postawie groźnej i surowej, budząc ku sobie powszechną niechęć i wywołując szydercze uśmiechy. Czy jednak w owych czasach, w owych

---

[1]) Trepow zwał się właściwie Trephoff i był lutrem. Nominacya jego nastąpiła d. 21 Listopada 1860 r.

chwilach powszechnej gorączki, mógł Trepow co zrobić, było odrazu dla ludzi, dobrze znających położenie kraju, bardzo wątpliwem. Przedewszystkiem pomimo jego energii, niezwykłej ruchliwości i pewnej nerwowości, nie znał on ani Warszawy, ani jej ludności, ani ówczesnego jej usposobienia. Przychodził tu jako człowiek nowy, któremu się zdawało, że szeregiem nakazów policyjnych zdoła powstrzymać ruch, który rwał już naprzód, jak wezbrany strumień, gniotąc tych, co mu stali na przeszkodzie. Na ludność Warszawy, dla której szyderstwo z władzy i jej przedstawicieli stało się, że tak powiemy, chlebem powszednim, Trepow wywierał wrażenie śmieszności i jego postawa groźna, nastroszone wąsy nie mogły przerażać nikogo i nie powstrzymały czerwonych od urządzenia nowej, już teraz na wielką skalę manifestacyi.

Zbliżała się właśnie rocznica rewolucyi, dzień 29 Listopada, który uroczyście, przy wygłaszaniu rozmaitych mów programowych, emigracya wszelkich stronnictw i odcieni od trzydziestu lat obchodziła. Za tym przykładem postanowili iść i czerwieńcy warszawscy. Była to zresztą sposobność jedyna do urządzenia wielkiej, prawdziwej manifestacyi i przekonania się, jak też rząd będzie się na to zapatrywał, co pocznie? Boć inną rzeczą były awantury uliczne dotychczasowe, wybijanie szyb, bójki szewców pijanych, a inną ten poważny, uroczysty objaw swych uczuć, jaki teraz zamierzono okazać. Szło więc o wysondowanie, że tak powiemy, rządu; o zbadanie jego postawy w razie, gdy już jeżeli nie cała ludność Warszawy, to przynajmniej jej część wyraźnie i widocznie zademonstruje swe przekonania polityczne i swe pragnienia. Nie będą to już figle szkolne, swawola uczniów, jak dotąd policya nazywała wszelkie manifestacye uliczne, słusznie więc zapytać się można, jak się wobec tego rząd zachowa? Rozstrzygnięcie tego pytania było rzeczą pierwszorzędnej doniosłości tak dla samych czerwieńców, jak i dla sprawy, której kierownictwo chwycili w swe ręce.

Obchód listopadowej rocznicy postanowiono odbyć

w kościele Karmelitów na Lesznie, w miejscu, gdzie przed 1831 r. tylu patryotów było dręczonych, tylu więźniów jęczało za to, że chcieli wolności swej ojczyzny. A przytem ulica to oddalona od środka miasta i od jego ruchu, nadzór więc policyjny jest tam słabszy niż gdzieindziej. Z tych wszystkich względów wybrano cichy, mały, skromny kościółek na Lesznie, jako miejsce pierwszej wielkiej manifestacyi politycznej. Zamówiono nabożeństwo żałobne, nie tłomacząc zresztą proboszczowi miejscowemu istotnych powodów tego zamówienia, i przy pomocy licznych Kozubowskich, Śniegockich i innej młodzieży szkolnej, zdołano nie bez trudności, zgromadzić w kościele o godz. 12tej w południe dość liczny tłum ludzi, złożony z rzemieślników, garści kobiet, uczniów szkół i akademików. Temu tłumowi, który nie mogąc się pomieścić w samym kościele, wylewał się na zewnątrz, który w większej części przybył tu przez ciekawość, poczęto rozdawać litografowane portrety Kilińskiego, Kościuszki i innych bohaterów rowolucyjnych polskich z napisem: „na pamiątkę obchodzonej razem z rzemieślnikami rewolucyi d. 29 Listopada“. Nabożeństwo się odbyło; odśpiewano t. z. suplikacye: „od powietrza, głodu i niewoli wybaw nas Panie“, a choć ksiądz podmawiany do wygłoszenia kazania patryotycznego stanowczo odmówił, jednakże wszystko się odbyło jak należy i policya się nie pokazała. Podniosła się więc kwestya, że albo rząd nie wie o niczem, co się na Lesznie stało, albo też wie i zachowuje dotychczasową swoją obojętną postawę. W pierwszym i drugim razie należy manifestacyą powtórzyć; trzeba się przekonać o istotnem znaczeniu postępowania władz. Tak mówił Karol Nowakowski, znany nam już uczeń szkoły sztuk pięknych, gorący, zapalony patryota; wołał, że trzeba koniecznie zaśpiewać na ulicy „Jeszcze Polska nie zginęła“, zobaczyć jakie to wrażenie zrobi, i potrafił przekonać innych, że jego zdanie jest słusznem i rozumnem. W tym celu przy wyjściu z kościoła mówiono wszystkim, że należy się tu jeszcze raz zebrać dziś wieczorem, o godz. 6tej po południu.

Jakoż o godz. 6tej, przy zapadającym już zmroku zbliżającej się nocy listopadowej, prawie w tym samym czasie, gdy przed trzydziestu laty podchorążowie w Łazienkach gotowali się do wybuchu, na Lesznie zgromadził się znaczny, daleko większy niż rano tłum, złożony już nie tylko z rzemieślników i akademików, ale z ludzi wszystkich stanów i wszystkich sfer. Kobiet pojawiło się mnóstwo; widziano nawet najwybitniejsze w mieście osobistości. Kościół był zamknięty, zajęto więc całą ulicę tak, że wszelka komunikacya była na niej przerwana. Wznoszącą się przed kościołem kamienną figurę Matki Boskiej oświecono lampami, i na znak dany, pomimo błota na bruku, wszyscy padli na kolana i Nowakowski głosem grzmiącym i donośnym zaintonował stary, zapomniany, nieznany wcale większości hymn: „Boże, coś Polskę...“ Poważne słowa tej pieśni, uroczyste jej tony, wywarły na otaczających ogromne, niesłychane wrażenie. Wszyscy mieli łzy w oczach, a kobiety płakały głośno lub szlochały spazmatycznie. Wezbrane uczucie patryotyczne, serdeczny ból nad losami tej Polski, którą Bóg „przez tak długie wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały“, rozrywał piersi. Rozrzewnienie było powszechne, a pieśń brzmiała dalej pod szarem, mętnem niebem listopadowem, ku któremu szło błaganie: „ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!“ [1]).

Wśród tłumów, klęczących w kornej postawie na ulicy i śpiewających głośno, kręcili się akademicy i młodzież szkolna, i rozdawała oprócz portretów Kilińskiego i Kościuszki, drukowane broszurki p. t. „Od młodzieży

---

[1]) Pierwszy to raz odśpiewano w Warszawie i w Królestwie, w tej dobie, hymn „Boże coś Polskę“. Kiedyś, po kongresie wiedeńskim, hymn ten napisał Alojzy Feliński a muzykę do niego dorobił Jan Kaszewski (ojciec Kazimierza), oficer wojsk polskich. Hymn ten śpiewano po wszystkich kościołach w Królestwie, ale później oczywiście wykreślono go z listy pieśni nabożnych. Przypomniano go sobie dopiero w Paryżu, gdy w d. 22 Maja 1858 r. odprawiono w kościele w Montmorency nabożeństwo żałobne za dusze zmarłych na obczyźnie Polaków. Już wtedy, między zebraną w kościele emigra-

polskiej“. W broszurze tej, dziś bardzo rzadkiej, pomieszczony był opis wypadków od czasu rewolucyi listopadowej, oraz na końcu znajdowały się pieśni narodowe. Tłum powoli rozchodzić się począł, tylko pojedyncze grupy młodzieży, ciągnąc ulicą, śpiewały: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Policya wcale się nie ukazywała i manifestacya ta udała się zupełnie. Groźny Trepow się nie pojawił, i ta obojętność władz, jak z jednej strony zachęcała agitatorów do dalszego działania, tak z drugiej dodawała im odwagi do wystąpienia śmielszego, do urządzenia manifestacyi nie na bocznej, cichej ulicy, ale w środku miasta, choćby pod samym Zamkiem.

Tymczasem jenerał-gubernator Paniutyn nalegał na Gorczakowa, żeby przedsięwziął jakie środki, celem położenia końca tym wszystkim nieporządkom. Jakoż Trepow otrzymał odpowiednie rozkazy i gdy na trzeci dzień po manifestacyi przed Karmelitami na Lesznie, rozeszla się pogłoska, umyślnie rozpuszczona przez agitatorów, że nastąpi przed tymże kościołem powtórzenie tego, co się stało d. 29 Listopada, nowy oberpolicmajster poleciał tam zaraz w swym powoziku, skoncentrował na Lesznie i w okolicznych ulicach prawie całą policyą, mnóstwo żandarmów i tajnych ajentów. Policya z żandarmami otrzymała rozkaz rozpędzenia zbiegowiska siłą. Całe to rozwinięcie znacznego stosunkowo aparatu wojskowego, na nic się jednak nie przydało. Nikt na Lesznie się nie pokazał i nikt nie śpiewał, i podczas gdy Trepow tutaj groźną przybierał postawę, na placu Trzech Krzyży, w innej zupełnie części

---

cyą, rozrzewnienie było ogromne i powszechne. W rok potem, hymn pojawia się w Poznańskiem; śpiewają go w starej katedrze gnieźnieńskiej. Władze pruskie jednakże odrazu go zakazały.

W książce p. t. „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania“, znajdujemy na str. 18 wiadomość, że pierwsze „Boże, coś Polskę“ zaśpiewano „w malutkim, ubożuchnym kościołku w Zabużańskich okolicach. Działo się to d. 20 Maja 1859 r.“. Autor tej notatki, bliżej samego faktu, ani miejsca, gdzie się to stać miało, nie określa, oraz powodów. Wiadomość ta jest bardzo wątpliwą.

miasta, zebrała się garść agitatorów i odśpiewała „Boże, coś Polskę“, ciesząc się, że policyi takiego figla wypłatała.

W kilka dni potem urządzono nową manifestacyą i tym razem, nieomal pod bokiem samego namiestnika. Uczniowie szkoły realnej zamówili nabożeństwo żałobne w kościele OO. Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu, za dusze Polaków poległych w r. 1831. Wieść o tem przebiegła całą Warszawę i liczne tłumy napełniły kościół. Kobiety były po większej części żałobnie, czarno ubrane. Po ukończeniu nabożeństwa, agitatorzy rozpoczęli konieczne już teraz „Bożę, coś Polskę“, a choć duchowieństwo przed ołtarzem śpiewało „requiem“, musiało jednak ustąpić przed potężnymi głosami Nowakowskiego i innych. Zakończono całą tę manifestacyą odśpiewaniem suplikacyi, w których błagano Boga o wybawienie z „niewoli moskiewskiej“.

Nowy ten krok ze strony agitatorów, ich zuchwalstwo, spowodowało jenerał-gubernatora Paniutyna, że począł jeszcze raz nalegać na namiestnika. Domagał się, by szkoła realna została zamkniętą, by policya otrzymała najsurowsze rozkazy wyśledzenia głównych spiskowców. Żądania jego nie odniosły skutku. Drzemiący Gorczakow lękał się wszelkich ostrych, stanowczych środków; szkoła nie została zamkniętą, tylko Muchanow wysłał do uczniów pomocnika swego Sumińskiego, który w długiej przemowie zalecał młodzieży powstrzymanie się od manifestacyi; wystawił ich złe następstwa i radził, „aby każdy pozostał dobrym Polakiem, ale w duszy“. Policya zaś raczej z inicyatywy Paniutyna niż Gorczakowa, otrzymała polecenie, by położyła koniec śpiewom i nabożeństwom. Skoro więc Asnyk ze swą grupą chciał odprawić modły rewolucyjne u św. Krzyża, został aresztowany i wraz z kilku innymi osadzony w cytadeli.

Nie uspokoiło to jednak ani miasta, ani czerwieńców, a raczej całej młodzieży warszawskiej wszystkich stanów, która wciągniętą została w agitacyą i w niej smakowała. W całem mieście mówiono tylko o manifestacyach, o proteście uroczystym przeciw rządom rosyjskim. Kobiety entu-

zyazmowały się tą nową drogą objawiania swych uczuć i przekonań patryotycznych, zachęcały mężów, braci i kochanków do brania udziału jeżeli już nie w samym spisku (którego, ściśle mówiąc, dotąd nie było) i w samej agitacyi, to przynajmniej w tych nabożeństwach i śpiewach, które poczęły się pojawiać tak licznie i miały służyć do podniesienia ducha narodowego. Ukazało się mnóstwo świstków, odezw, śpiewów, które drukowane i litografowane, a bardzo często tylko pisane, rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy po mieście. Z władzy, z rządu szydzono gdzie tylko można było. W Grudniu, w gmachu Towarzystwa dobroczynności w Warszawie, grano teatr amatorski na rzecz ubogich tegoż Towarzystwa. W jednej ze sztuk występował młody Stanislaw hr. Kossakowski, syn prezesa Heroldyi Królestwa. Z roli wypadło mu coś czytać z gazety. Korzystając z tego, wziął on dziennik zagraniczny i obrócił do widzów tą stroną, która była mocno pomazana przez cenzurę. Publiczność grzmiącymi oklaskami przyjęła ten żart, cieszyła się, że można było wystawić rząd na śmieszność, na pogardę ogólną [1]).

Agitacya, zwłaszcza wśród sfer rzemieślniczych i ludu warszawskiego z każdą chwilą wzrastała i wobec braku wszelkich przeszkód ze strony władzy, powoli przybierała ogromne rozmiary. Zbliżające się ferye na święta Bożego Narodzenia dawały możność przeniesienia tej agitacyi na prowincyą, dotąd po większej części cichą, spokojną, nieco zaspaną i nadsłuchującą tylko ciekawie, co się dzieje w Warszawie. Czerwieńcy doskonale to rozumieli, że zrewolucyonizowana stolica nie stanowi jeszcze kraju, i chcąc zapewnić swemu dziełu powodzenie, należy przeniknąć do tego kraju, do ludu, jeżeli się da. Już Dehnel to pojmował, i opuszczając Warszawę w obawie przed poszukiwaniami policyi, udał się na prowincyą, jak to wtedy mówiono

---

[1]) Według pogłoski, Gorczakow miał nazajutrz wezwać do siebie Kossakowskiego i zagroził mu wysłaniem do dóbr matki. znajdujących się w głębi Rosyi.

w stolicy, by i tam siać ziarna przyszłych burz i wichrów. Teraz już nie jeden Dehnel, ale całe setki młodzieży, istnych ajentów rewolucyi, namiętnych czerwieńców, zagorzałych głów i serc, rozbieglo się po kraju, niosąc niejako na swych ramionach pył tego patryotyzmu, który rodził się na bruku warszawskim, tego szału, który wszystkich ogarniał i miał zdolność zapładniania wszystkiego. Ferye Bożego Narodzenia wyrzuciły na kraj, jak niedole z puszki Pandory, jak plagi egipskie, całe setki młodzieży akademickiej, szkoły sztuk pięknych, instytutu w Marymoncie, uczniów gimnazyalnych i nakoniec tej licznej rzeszy młodych ludzi, którzy pod imieniem aplikantów, kancelistów, dependentów i t. p. wieszali się przy różnych władzach centralnych w stolicy. Ta klasa młodzieży, po większej części synowie urzędników, drobnej szlachty, mieszczan, byli to ludzie źle wykształceni, źle wychowani, biedni, gorzej jeszcze płatni; wiedli oni w Warszawie życie pełne prywacyi, prawdziwie katylinarne egzystencye, które stanowiły wyborny, jedyny w swoim rodzaju materyał na spiskowców i na agitatorów, tym cenniejszych, że głupich, ztąd łatwo zapalających się szumnym frazesem, bombastycznem zdaniem, tym patosem tak modnym w tej porze a tak niesmacznym. Rozbiegli się oni po kraju jak szarańcza: ciche, senne nieco życie miast i miasteczek zakłócili swemi rozprawami, swemi zdaniami, warem tej atmosfery, jaką zdaje się, przynieśli ze sobą ze stolicy, mnóstwem wreszcie odezw do „braci Polaków“, do „siόstr Polek“, śpiewów i pieśni. Zabraniali zabaw, tańców, prawili o uroczystej żałobie, w jaką cały naród ma się przybrać po utracie swej ojczyzny. Wielu pojawiało się na ulicach swych rodzinnych miasteczek w konfederatkach kolorowych, w czamarkach i butach z cholewami, naśladując niby strój polski, budząc uśpione w sercach a zawsze drogie wspomnienia tej przeszłości tak świetnej, a tak niestety! marnie zagasłej. Tu i owdzie po kościołach, w oddalonych, zapadłych kątach kraju, dawała się słyszeć poważna, majestatyczna nuta „Boże coś Polskę“, sprawiając wszędzie potężne, rzewne, chwytające za serce wrażenie. W wielu

miejscach kobiety głośno płakały, gdzieindziej mdlały z krzykiem bólu serdecznego, jaki im wydzierała ta pieśń, stworzona zdaje się na to, by z ludzi najspokojniejszych i najzimniejszych zrobić czerwonych patryotów.

Wszystko to, ta agitacya gwałtowna, jeżeli z jednej strony nie uchodziła uwagi rządu, to z drugiej przerażała ludzi rozumnych, trzeźwych, szczerych patryotów, którzy widzieli, że kraj pod wpływem garści szaleńców i warchołów dąży olbrzymimi krokami ku powstaniu, a co zatem idzie, ku nieuchronnej swojej zgubie. Cóż wy chcecie? pytano się czerwieńców, czy powstania? czy tego, by w ciągu dwudziestu czterech godzin rząd stłumił w potokach krwi polskiej wszelki ruch i miał sposobność przywrócenia despotyzmu wojskowego, odebrania może i tej resztki autonomii, jaka cudem jeszcze ocalała po rewolucyi listopadowej? Do czego prowadzi cała ta wasza agitacya, te pieśni, śpiewy, odezwy? Wszystko to gniewa rząd, może wywołać represye, gwałty tak zwykłe u Moskali, gdy są podrażnieni, bezprawia i nadużycia, których tyle już widzieliśmy, a co najważniejsza może przerwać, zniszczyć na długo, oby nie na zawsze! te wątłe jeszcze nici, jakie dzięki trzydziestoletniej ciężkiej pracy zdolaliśmy zasnuć na przędzy bytu narodowego; może zniszczyć dobrobyt kraju i dojrzałość tego owocu, który tak starannie pielęgnujemy, by z czasem sam odpadł od drzewa rosyjskiego. Jeżeli więc kochacie naprawdę, a nadewszystko rozumnie tę biedną, nieszczęśliwą Polskę, to uspokójcie się, starajcie się położyć koniec wszelkim manifestacyom, które zrobiły już to, co miały zrobić, obudziły ducha polskiego w narodzie, ale które trwając dalej mogą nakoniec podrażnić rząd i zmusić go do użycia siły, a która raz puszczona w ruch, Bóg wie gdzie i na czem się zatrzyma.

Słowa te, tak rozumne i tak patryotyczne nie znalazły odgłosu w sercach czerwieńców, w głowach tej młodzieży oszalałej od gorączki rewolucyjnej. Widząc, że stronnictwo Klemensowczyków, a raczej białych, samo do nich przychodzi, to stronnictwo, które dotąd z pogardą patrzało

na „smarkaczy“ i ich roboty, czerwieńcy spostrzegli, że są pewną siłą, że zatem mogą wymagać i żądać tego, co będą uważali za najlepsze i najstosowniejsze. „Dobrze, odpowiadali oni, wstrzymamy manifestacye, ale pod jednym warunkiem: że Towarzystwo rolnicze zdecyduje się na podanie adresu do cesarza, nie pytając namiestnika o pozwolenie. Adres ten ma najprzód zawierać wyraźną skargę na sposób rządzenia Polską, upomnienie się o reformy, jeżeli już nie wszystkie, to przynajmniej najkonieczniejsze i najodpowiedniejsze tak duchowi czasu, jak i tym przekształceniom, jakie mają być zaprowadzone w cesarstwie rosyjskiem. Gdyby zaś Towarzystwo rolnicze z jakichkolwiekbądź względów wstrzymało się od tego kroku, to manifestacye pójdą jedna za drugą i nikt nie odgadnie do czego doprowadzą. My od następstw umywamy ręce i wina spadnie nie na nasze głowy“.

Żądania te podobały się pewnej części stronnictwa białych, tej części, która nie chciała coprawda powstania, bo przeczuwała, wiedziała dobrze, iż Rosya, wyzwana przez nas do orężnego pojedynku, wcześniej czy później wyjdzie z niego zwycięzką, ale partya ta sądziła, że korzystając z rządów liberalnych Aleksandra IIgo, z ducha reform ogarniającego olbrzymi carat, należy położyć nacisk pewien na rząd, by i o Polsce pomyślał i porobił jej ustępstwa. Nie zgadzając się z Klemensowczykami, którzy odpowiednio do postawy swego moralnego naczelnika, Zamoyskiego, nie chcieli mieć żadnych stosunków z rządem, żądać niczego nie mieli prawa, prosić zaś nie chcieli, stronnictwo to owszem pragnęło użyć wszelkich sposobów, by w przyjaznej chwili, która, zdawało im się, że właśnie teraz nadeszła, położyć silny nacisk na rząd i wyjednać od niego wszystko, co się tylko da wyjednać. Dlatego też myśl o adresie wydała im się godną uwagi. Czemu, mówili, nie mamy się zgodzić na to i poprosić choćby o wprowadzenie do Królestwa przyobiecanego jeszcze w r. 1832 i nigdy nie urzeczywistnionego Statutu organicznego? Kto wie, może nam się uda tą drogą uzyskać wprowadzenie tego

prawa, wprawdzie z wielu względów niedostatecznego, ale bądź co bądź dozwalającego na jaki taki rozwój narodowy. A przytem postępowanie to nałoży kaganiec na dzikiego zwierza rewolucyi, który szarpie się i kąsać poczyna i może nieobliczone nieszczęścia na kraj sprowadzić. Można żądać nietylko wprowadzenia Statutu organicznego, ale i reformy wychowania publicznego, przemiany Akademii medycznej na uniwersytet.

Zrazu Klemensowczycy stanowczo odrzucali wszystkie te żądania i grozili, że jeśli czerwoni nie przestaną swych działań, to oni, Klemensowczycy, gotowi są dla dobra kraju i przyszłości, wydać ich w ręce rządu. Myśl ta, cokolwiek by o niej można powiedzieć ze stanowiska moralności ludzkiej, bezwątpienia zbawienna dla kraju, powzięta w pierwszej chwili oburzenia, po bliższej rozwadze obudziła prawie we wszystkich wstręt ku sobie, pewną obawę przed odpowiedzialnością wobec narodu. Któżby w Polsce kiedykolwiek mógł się na taki krok odważyć? Komuby serce nie zabiło, sumienie nie zachwiało się przy wydawaniu w ręce rosyjskie swych braci, może nierozumnych, szalonych, ale bądź co bądź swych braci, którzy przecież nic innego nie chcieli, tylko zbawienia wspólnej ojczyzny, Polski ukochanej? Cóżby zresztą powiedziała na to opinia publiczna, ta straszna, rozdrażniona, chora opinia publiczna polska? Krok taki odrazu podkopałby stanowisko Klemensowczyków i uniemożebniłby wszelką ich działalność społeczną i polityczną.

Z drugiej strony czerwieńcy wołali, że gotowi są urządzić taką manifestacyą, o jakiej jeszcze nikt nie słyszał; że policya nie będzie w stanie jej stawić oporu: że jeżeli przyjdzie do starcia się z wojskiem, jeżeli krew się poleje, to tem będzie lepiej. W Petersburgu tym sposobem bez adresów dowiedzą się, że coś trzeba dla Polski zrobić.

Wobec tego Klemensowczycy ustąpili. Zadecydowano poczekać do walnego lutowego zebrania Towarzystwa rolniczego, na którem wszystkie te kwestye będą rozebrane

bliżej. Ostatecznie jednak myśl stronnictwa białych zatrzymywała się na Statucie organicznym, jako na jedynym legalnym punkcie wyjścia w umowach z rządem. Myśl ta przenikała powoli i w społeczeństwo. Poczęły obiegać w końcu 1860 r. pogłoski, że do Królestwa ma być wprowadzony Statut organiczny; że cesarz wkrótce zjedzie do Warszawy i prawdopodobnie jakiś ważny krok polityczny uczyni, bo w starym Zamku warszawskim odnawiają salę tronową. Wszystko to były pogłoski nieuzasadnione, ale zdradzały one to nerwowe usposobienie społeczeństwa, które w przededniu strasznych wypadków przeczuwało niejako swą przyszłość pełną burz i wichrów. Tak wśród dręczącego niepokoju dla jednych, wśród uśmiechającej się nadziei świetnej, jasnej, purpurą majestatu polskiego okrytej przyszłości dla drugich, kończył się rok 1860 a rozpoczynał 1861. Nim zapuścimy się w dramatyczną, pełną tragicznych epizodów opowieść o wypadkach tego strasznego i burzliwego roku, rzućmy na chwilę okiem za siebie wstecz i w krótkich rysach przypomnijmy sobie to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli.

Widzieliśmy jak ze śmiercią Mikołaja społeczeństwo polskie nagle odżyło, uczuło pewne zwolnienie więzów, budzić się zaczęło z niezdrowej drzemki, wywołanej bezprzykładnym uciskiem rządów mikołajowskich. Jakkolwiek wojna krymska i kongres paryzki zawiódł jeszcze raz wszystkie nadzieje Polaków, że kwestya polska stanie się przedmiotem umów i pertraktacyi międzynarodowych, wszelako nadzieje, budzące się z wiosną 1856 r. nie opuszczały nieszczęśliwego i na tak ciężkie próby wystawionego narodu. Wieści o młodym cesarzu, o jego liberalnem, ludzkiem usposobieniu, o szerokich reformach, jakie zamierza on uczynić w swem państwie olbrzymiem, przyczyniały się do utrzymania tych nadziei. Owocem ich były świetne, jedyne niestety! „dni majowe“, w których naród jeszcze raz doznał ciężkiego zawodu. Żywiąc w sobie niestłumione niczem pragnienie niepodległości, a jeżeli nie niepodległości to autonomii w granicach przedrozbiorowych, miał się

wkrótce boleśnie przekonać, że na tym punkcie nie może być nigdy zgody między Rosyą i Polską, nie może nastąpić żaden kompromis, któryby pierwszą spychał na stanowisko drugorzędnego państwa, a drugą podnosił z nicości do stopnia wielkiego mocarstwa. Starcie się tych dwóch prądów wywołać musiało z obu stron niezadowolenie i dla ludzi przenikliwych widoczną była fatalna pochyłość, na którą weszły obie strony, pochyłość, na dnie której leżało widmo krwawego, śmiertelnego pojedynku. Rząd ze swej strony, reprezentowany w Polsce albo przez ludzi niedołężnych, albo złych i karyerowiczów, sądził, że Polską będzie można dalej władać na tych samych podstawach, na jakich władał nią Paskiewicz. Nie robiąc żadnych ustępstw, albo robiąc je rzadko i w dozach małych, mających charakter tylko pozornych ulg, lecz nie sięgających do głębi, mniemał, że potrafi zażegnać podnoszące się aspiracye i ducha czasu, który wiał prądami ożywczych nadziei. We właściwem miejscu wskazaliśmy, że gdyby rząd był rozumny, gdyby patrzał na rzeczy ze stanowiska wyższego, to zdołałby położyć koniec niezadowoleniu przez szereg reform, nie naruszających w niczem stosunku państwowego obu ludów a zadość czyniącego tym pragnieniom polskim, które na razie chciały tylko żyć życiem narodowem. Nie uczyniono tego, niestety! owszem drażniono niepotrzebnie ogół nieraz i dawano mu uczuć swą ciężką władzę. Powoli w umysłach ludności poczęło się budzić przekonanie, że z Rosyą kwestye sporne może tylko miecz rozstrzygnąć. Nie było w kraju ani jednego stronnictwa, jakiekolwiekby one nazwy nosiły, któreby się zrzec chciały tak zwanych świętych i nieprzedawnionych praw polskich. Każde z nich chciało Polski niepodległej państwowo i zamkniętej w granicach 1772 r. Tak dobrze dążył do tego Zamoyski z Klemensowczykami, tak Jurgens z Millenerami, jak i Jankowski i akademicy z czerwieńcami. Jeżeli na chwilę mogła nastąpić jakaś ugoda z Rosyą, jakieś ułożenie się pokojowe wzajemnego stosunku przez nadanie Królestwu szeroko i rozumnie pomyślanych reform, to uważane to by-

łoby przez wszystkie stronnictwa polskie, jako czasowe tylko załatwienie kwestyi polskiej. Kwestya ta bowiem w pojęciu wszystkich Polaków, mogła być stanowczo i raz na zawsze rozstrzygniętą jedynie przez nadanie jej zupełnej niepodległości politycznej i przywrócenie dawnych, przedrozbiorowych granic.

Wobec takiego położenia rzeczy w sprawie tej nie było wyjścia, i powiedzmy szczerze, cokolwiekby zrobił rząd rosyjski, jakiekolwiekby przeprowadził reformy, nie zadowolniłby nigdy Polaków i nie pozyskał ich dla siebie. Ustępstwa mogły ostateczny rezultat odwlec, burzę na chwilę zażegnać, chmury spędzić na skraj horyzontu, ale wcześniej czy później, chmury te pokryłyby znowu niebo Polski i burza zerwałaby się z większym jeszcze trzaskiem piorunów i świstem wichru. Rząd rosyjski widział to dobrze, ale sądził, że rządząc po dawnemu, zdoła burzę jeżeli nie powstrzymać zupełnie, to odwlec ją na długi czas. Omylił się i patrzeć musiał, jak w Polsce gromadziły się powoli żywioły zapalne, jak uśpiony żelazną paskiewiczowską ręką wulkan budzić się i dymić poczyna, grożąc strasznym wybuchem i zniszczeniem. Drżała już ziemia w Polsce i w łonie jej słychać było posępne pomruki lwa skutego łańcuchami, który wstrząsał nimi i gotował się do potężnego skoku, mającego zdruzgotać klatkę, w jakiej go zamknięto.

Straszna ta chwila dziejowa, to rozkuwanie ostatniego łańcucha, zbliżało się szybkimi krokami. W zmroku niedoli narodowej, podnosiło się już blade widmo nieszczęść, które spaść miały na Polskę, zalać ją krwią, zasiać ruinami, napełnić łzami.

Opis tych okropnych, bolesnych dla serca polskiego wypadków, będzie przedmiotem następnej części tej pracy.

KONIEC CZĘŚCI WSTĘPNEJ I TOMU PIERWSZEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU I.

Przedmowa. . . . . Str. 1 do 6.
Spis bibliograficzny druków i niektórych rękopismów użytych przy pisaniu dzieła niniejszego. . . . . Str. 7 do 26.
Rozdział I. Majowe dni. Śmierć cesarza Mikołaja. Wieści o jego następcy. Rząd francuski podnosi kwestyą polską. Jego korespondencya z lordem Clarendonem. Kongres paryzki i przyrzeczenia Orłowa. Śmierć Paskiewicza. Stan kraju i umysłów. Sprawa Wikińskiego. Nominacya księcia Gorczakowa, jego podróż do Warszawy i charakterystyka. Jego mowa w Warszawie. Nominacya Muchanowa na dyrektora Komisyi spraw wewnętrznych. Jego przeszłość, charakter i znaczenie. Pragnienia polityczne polskie. Przyjazd cesarza do Warszawy. Myśl o memoryale. Baron Firks go pisze. Cztery punkta. Cesarz w Brześciu Litewskim i jego rozmowa z Nazimowem. Cesarz w Międzyrzeczu. Projekt Wielopolskiego. Bal szlachecki. Mowa do szlachty. Bal w ratuszu. Amnestya dla wychodźców. Protest przeciw niej Towarzystwa demokratycznego. Zajęcia dla powracających wychodźców. Ukaz rozciąga się i do Litwy. Pomoc dla emigrantów. Sprawa włościańska i postępowanie Nazimowa. Obchód koronacyi w Warszawie. Ukaz o zesłanych na Sybir Polakach. Ich powrót i wpływ na kraj. Podróż i agitacya Nazimowa na Litwie. Komitety szlacheckie do sprawy włościańskiej. Zakończenie. Str. 27 do 102.
Rozdział II. Zapis Świdzińskiego. Towarzystwo rolnicze. Nieufność do rządu. Komitet do spraw kościelnych. Nominacya trzech biskupów i ich charakterystyka. Sprawa Dernowicka i Pawłowska. Muchanow i Gorczakow. Projekt założenia uniwersytetu w Warszawie. Opór Muchanowa i jego projekt. Klasa ósma przy gimnazyach filologicznych. Akademia medyko - chirurgiczna i jej uroczyste otwarcie. Konstanty Świdziński i jego zbiory. Zapis ich Wielopolskiemu. Treść testamentu. Mniemany kodycyl. Postępowanie Wielopolskiego. Proces ze Świdzińskimi o nieważność testamentu. Mowa Wielopolskiego w Sądzie

apelacyjnym i Senacie. Umieszczenie biblioteki w Chrobrzu. Ogólne potępienie tego kroku. Zjadliwa polemika Wielopolskiego z przeciwnikami. Zrzeka się zapisu i los dalszy zbiorów Świdzińskiego. Andrzej hr. Zamoyski, jego przeszłość, działalność, charakterystyka i program polityczny. Kwestya chłopska. Oczynszowanie i uwłaszczenie. Przedsiębiorstwa przemysłowe Zamoyskiego. Zjazdy Klemensowskie. Towarzystwo rolnicze. Pozwolenie wydania dzieł Mickiewicza. Merzbach i wystąpienie przeciw niemu. Drugi przyjazd cesarza do Warszawy. Jego pobyt w Puławach. Zjazd w Stuttgardzie. Powrót do Warszawy, bale, zabawy. Ukaz o Towarzystwie rolniczem i uroczyste tegoż zawiązanie. Znaczenie Towarzystwa w kraju i działalność. Litwa i jej usposobienie. Raport Siemaszki i jego następstwa. Sprawa włościańska. Komitety szlacheckie i ich decyzye. Reskrypt cesarski z d. 20 Listopada 1857 r. Zachowanie się ludu i rozporządzenie Nazimowa. Działalność komitetów włościańskich. Zakończenie. . . . . Str. 103 do 183.

Rozdział III. Stronnictwo ruchu. Cesarz w Wilnie. Stronnictwo ruchu i żywioły w skład jego wchodzące. Jego program. Zarzuty przeciw programowi pracy organicznej. Sprawa włościańska i czerwieńcy. Koła młodzieży na uniwersytetach rosyjskich. Trójki kijowskie. Koło Sierakowskiego i Dombrowskiego. Koło Jurgensa w Warszawie. Projekt Kronenberga przywrócenia uniwersytetu w Wilnie. Bractwa wstrzemięźliwości w Królestwie i na Litwie. Zakaz Muchanowa i kary na duchowieństwo. Jenerał Ixkull i komitet włościański. Postanowienie Rady Administracyjnej o dobrowolnem oczynszowaniu. Zniesienie naczelników wojennych i reforma poczty. Wprowadzenie języka polskiego do szkół na Litwie. Cesarz w Mińsku i prośba szlachty witebskiej. Przygotowania do przyjęcia cesarza w Wilnie. Jego pobyt w Muzeum i wiersz Odyńca. Artykuł Chodźki. Mowa cesarza do szlachty wileńskiej. Bal szlachecki. Przyjazd cesarza do Warszawy. Książę Napoleon i ludność warszawska. Przyjęcie monarchów w Wilanowie. Memoryał Łempickiego. Zmiana w usposobieniu umysłów. Sprawa żydowska. Wypadki w Turku. Polacy petersburscy i ich program. „Słowo“ i jego zamknięcie. „Gazeta warszawska“ i żydzi. Kronenberg kupuje „Gazetę codzienną“ i sprowadza J. I. Kraszewskiego. Opinia oburza się na niego. Kółko akademików i Jan Kurzyna. Jego starcie z Jurgensem i „Millenerami“. Koło Narcyza Jankowskiego. Nabożeństwo za trzech poetów i jego skutki. Przyśpieszenie egzaminów podlekarskich. Młodzież podaje się o uwolnienie z Akademii. Wygnanie Kurzyny i Jaśniewskiego. Zakończenie. . Str. 184 do 278.

Rozdział IV. Pierwsze manifestacye. Towarzystwo rolnicze i domy zleceń. Rząd dozwala Towarzystwu zastanawiać się nad oczynszowaniem włościan. Projekt Wielopolskiego odrzucony przez Komitet Towarzystwa. Mowa Zamoyskiego przy otwarciu posiedzeń Towarzystwa. Agitacya przeciw Towarzystwu i reskrypt Muchanowa. Interpelacya Niegolewskiego w sejmie pruskim. Wojna włoska i jej wpływ na umysły. Podróż cesarza na Ukrainę i Podole. Stan kwestyi włościańskiej tamże. Adres szlachty podolskiej i jego los. Cesarz w Warszawie. Karol Majewski. Usiłowania Jankowskiego zlać wszystkie koła w jedno. Pierwszy Komitet p. n. „Kapituły warszawskiej". Aresztowanie Jankowskiego. Ruch młodzieży w Krakowie. Pogrzeb jenerałowej Sowińskiej. Manifestacya z tego powodu. Śledztwo i rezultaty tej manifestacyi. Agitacya rewolucyjna. Zjazd w Warszawie trzech monarchów. Odezwa Komitetu. Cesarz w Wilnie. Przyjazd do Warszawy i asafedyta w teatrze. Wykradzenie Austryjakom papierów na kolei. Polewanie sukien kwasem siarczanym. Afisze teatralne. Rozpadnięcie się Kapituły. Przybycie Godlewskiego do Warszawy. Nominacya Trepowa na oberpolicmajstra. Manifestacya d. 29 Listopada przed kościołem Karmelitów na Lesznie. Nabożeństwo u Bernardynów. Stan umysłów w mieście. Hr. Kossakowski w teatrze. Żądania czerwonych. Ogólny rzut oka na przebieg pięcioletnich wypadków. Zakończenie. . . . . Str. 279 do 362.



WYKAZ BŁĘDÓW DRUKU.

Str. 12,	wiersz	19	od góry	zamiast *Baerensprungu* powinno być *Baerensprunga*.
„ 16,	„	2	„ „	zamiast *czasonismo* winno być *czasopismo*.
„ 17,	„	8	od dołu	po wyrazie *Arnholda* brak przecinka.
„ 45,	„	5	„ „	w przypisku, zamiast w powiecie *Komińskim* winno być *Konińskim* (Konin).
„ 61,	„	10	od góry	w zdaniu „nie robić“ — „przytem“ jest niepotrzebne.
„ 71,	„	13	„ „	zamiast *Brzechty*, winno być *Brzechfy*.
„ 91,	„	3	od dołu	zamiast *Bystrana* winno być *Bystrama*.
„ 233,	„	3	„ „	zamiast *Krupińscy* winno być *Krysińscy*.
„ 247,	„	5	„ „	w przypisku, zamiast *Bereus* winno być *Berens*.
„ 252,	„	1	„ „	w przypisku, zamiast *„klenieszczet“* winno być *„klewieszczet“*.
„ 256,	„	1	„ „	zamiast „na trzy i cztery miesiące“ winno być „na trzy lub cztery miesiące“.


UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 14 24 11 014 6